

BESTSELLEROWA AUTORKA NEW YORK TIMES

ALEXANDRA BRACKEN



ROZGRYWKA TRWA.
A ONA GRA O WŁASNE ŻYCIE.

ALEXANDRA BRACKEN

L RE

Tłumaczenie: Michał Zacharzewski



Chomikowarnia

Tytuł oryginału: *Lore*

Redakcja: Karolina Wąsowska

Korekta: Marta Tojza, Marta Stochmiałek

Skład i łamanie: Arkadiusz Zawadzki/Aureusart

Jacket art © 2021 by Billelis

Spot illustrations copyright © Keith Robinson, 2021

Map illustration by Keith Robinson © 2021 by Buena Vista Books, Inc.

Marble and column images © 2021 by Stone/Shutterstock

Reprinted by permission of Disney Hyperion Books. All rights reserved

Text copyright © Alexandra Bracken, 2021

First published in Great Britain in 2021 by Hodder & Stoughton

First published in the US in 2021 by Hyperion, an imprint of Buena Vista Books, Inc.

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-037-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2021

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)



Dla mojej greckiej rodziny. Σας αγαπώ όλους.



Rody istniejące



DOM KADMOSA – Kadmici

Naznaczeni znakiem węża

Wyniesieni przez Gniewnego z Aresa zrodzonego



DOM ODYSEUSZA – Odyseidzi

Naznaczeni znakiem konia trojańskiego

Wyniesieni przez Strażnika Serc z Afrodyty zrodzonego



DOM TEZEUSZA – Tezeidzi

Naznaczeni znakiem Minotaura



DOM ACHILLESA – Achillesydzi

Naznaczeni znakiem wojownika



DOM PERSEUSZA – Perseidzi

Naznaczeni znakiem Gorgony

Wyniesieni przez Dawczynię Przyływów z Posejdona zrodzoną

Rody Wymarłe



DOM MELEAGERA – Meleagidzi

Naznaczeni znakiem dzika kalidońskiego



DOM BELLEROFONTA – Bellerofontydzi

Naznaczeni znakiem Pegaza



DOM JAZONA – Jazonidzi

Naznaczeni znakiem barana



DOM HERAKLESA – Heraklidzi

Naznaczeni znakiem lwa nemejskiego

Wyniesieni przez Bachanta z Dionizosa zrodzonego



Pan niebios zajaśniał na tle zapadającego zmierzchu i przemówił: „Słuchajcie mnie ci, w których żyłach płynie krew tych dumnych ludzi, co zapuszczali się w ciemność, aby zabijać potwory i królów przeszłości. Wzywam was na Agon, abyście i wy mogli okryć się wieczystą chwałą. Dziewięciu bogów mnie zdradziło, więc domagam się okrutnej zemsty. Co siedem lat na siedem dni staną się śmiertelni, abyście wy i wszyscy wasi dziedzice mogli wyrwać się z przeznaczonej wam ścieżki i zmienić swą nić życia w złotą nieśmiertelność. Pokażcie siłę i zdolności, a wynagrodzę was opończą wraz z niewyczerpaną mocą tego boga, którego krew splami wasze śmiałe ostrza. O to was proszę! Zbierzcie się w pępku znanego wam świata i z nastaniem dnia wyruszenie na polowanie. Tak będzie aż do dnia ostatecznego, kiedy pozostanie ten, kto odrodzi się w całości”.

Zeus na Olimpie w tłumaczeniu Kreona z Odyseidów



Ocknął się, czując pod sobą ubitą ziemię i zapach krwi śmiertelnika. Jego ciało budziło się wolniej od umysłu. Wciąż przebiegały przez nie fale nieprzyjemnych doznań, a jego skóra zasklepiała się niczym świeżo wypalona glina.

Rosa z trawy wsiąkła w plecy jego cienkiej, niebieskiej szaty, gołe nogi i stopy zaś pokrywał brud. Nagle przeszył go upokarzający dreszcz, ciągnący się od czubka głowy aż po same pięty. Po raz pierwszy od siedmiu lat poczuł chłód.

Krążąca w jego żyłach śmiertelna krew przypominała szlam w porównaniu ze słonecznym blaskiem ichoru¹ wypalającego wszelkie ślady śmiertelności i wyrzucającego je na zewnątrz. Przez siedem lat przemierzał krainy bliskie i dalekie, podsycił okrutne serca zabójców, zamieniał żarzące się konflikty w prawdziwe pożogi. Był wcielonym gniewem.

Znów czuć ograniczenia ludzkiego ciała... Trafić do tak kruchego naczynia... Odbierał to jako udrękę. Na tyle wielką, że współczuł starym bogom. W końcu zmagali się z tym koszmarem już dwieście dwanaście razy.

On już nie będzie. To jego ostatnie spotkanie ze śmiertelnością.

Choć miał przytępione zmysły, rozpoznał miasto i jego wspaniały park. Zapach skoszonej trawy wymieszany z nikłym odorem kanalizacji. Odgłosy ruchu ulicznego. Niespokojny elektryczny posmak jego nitek ciągnących się głęboko pod ziemią.

Niezgrabnie rozchylił kąciki ust, zmuszony przypomnieć sobie, jak się uśmiechać. Kiedyś było to jego miasto, w jego śmiertelnym życiu; ulice oferowały mu bogactwa, chciwcy sprzedawali mu zaś namiastki władzy. Manhattan ukląkł niegdyś przed nim i znowu to robi.

Przetoczył się na bok i przykucnął. Gdy był już pewien swoich kończyn, powoli podniósł się z ziemi.

Wokół niego płynęły rzeki ciemnej krwi. Znad krateru młoda dziewczyna, z maską zsuniętą z twarzy, wpatrywała się w niego niewidzącymi oczami. W jej gardle wciąż tkwił nóż. Odciętą od ciała głowę mężczyzny zasłaniała maska konia. Bezwładna, pozbawiona palców dłoń ścisnęła sztylet.

Z prawej strony dobiegł go odgłos czyichś kroków. Sięgnął po miecz, lecz nie znalazł go u swojego boku. Z cienia pobliskich drzew wyłoniły się trzy postacie. Przebiegły przez brukowaną drogę. Twarze skrywały pod maskami z brązu, zdobionymi wizerunkiem węża.

Jego śmiertelny ród. Dom Kadmosa. Przybyli po niego, po swojego nowego boga.

Wyciągnął szyję, aż coś w niej strzyknęło. Obserwował, jak się zbliżają. Najwyraźniej zrobił na nich wrażenie i odpowiadało mu to. Jego poprzednik, ostatni nowy Ares, nie był godny nosić opończy boga wojny. Siedem lat temu zabicie go i pozbawienie przyrodzonych praw sprawiło mu olbrzymią satysfakcję.

Najwyższy z łowców wystąpił do przodu. Belen. Nowy bóg z rozbawieniem patrzył, jak młodzieniec z chłodną bezwzględnością wyrывa strzałę z ciała.

Szkoda, że urodził się bękartem. Gdyby nie to, jako jego jedyny żyjący potomek mógłby po nim dziedziczyć. Dziedziczyć po Aristosie Kadmosie, jego śmiertelnym wcieleniu. Wygiął usta, czując dumę z chłopaka.

Belen zdjął maskę i z szacunkiem opuścił wzrok. Bóg podniósł dłoń i przesunął ją wzdłuż własnej twarzy. Tak bardzo przypominała tę należącą do chłopca. Pokryta bliznami skorupa nosząca piętno wielu dekad życia odpadła, kiedy wstępował ku niebiosom. Wtedy ponownie stał się młody i wyglądał teraz jak za swoich najlepszych lat. I to już na zawsze.

– Przyjmij wyrazy naszego szacunku – powiedział Belen, klęknął i podał mu zawiniątko z torby przy biodrze. Zawierało szkarłatną jedwabną tunikę w miejsce tej obrzydliwej, błękitnej, którą nowy bóg miał na sobie. – Witamy cię i oferujemy krew twoich wrogów na znak naszej bezgranicznej lojalności. Przybyliśmy, by cię chronić aż po dzień, w którym ponownie odrodzisz się w mocy. Jesteśmy gotowi oddać za to życie.

Pierwsze słowa zachrząściły w gardle nowego boga.

– I nie tylko.

– Tak, panie – odrzekł Belen.

Zza niego wyłonili się kolejni łowcy, wszyscy odziani w typową dla nich czerń. Ciągnęli za sobą człowieka w błękitnej tunice.

– Przyprowadźcie go do mnie – rozkazał Belenowi.

Dwa czarne SUV-y z wyłączonymi światłami wynurzyły się z pobliskiej ulicy i przecinając trawnik Central Parku, podjechały do nich. Kadmici rozpoczęli swoją pracę. Rozłożyli plandeki i przetoczyli na nie ciała martwych łowców. Wygładzili ziemię. Wymienili zakrwawioną trawę. Załadowali zmasakrowane zwłoki do bagażnika kolejnego SUV-a, który zatrzymał się tuż za nimi.

Nowy bóg wiedział, że pozostałe rody wykonują dokładnie taki sam rytuał w innych zakątkach parku.

Pociągnięty do przodu jeniec ponownie zaczął się szarpać, uderzając prowadzących go łowców czołem niczym dzikie zwierzę. Najwyraźniej przecięli mu ścięgna kostek, uniemożliwiając wykorzystanie jego obłędnej szybkości podczas ewentualnej ucieczki. Dobrze!

Łowcy rzucili go na kolana. Nowy bóg wyciągnął rękę i zerwał mu kaptur z głowy.

Złote oczy płonęły, wpatrując się w niego, iskry mocy wirowały w nich z wściekłością. Krew ciekła z rany na czole, plamiąc niegdyś świetlistą skórę oraz tunikę.

– Straciłeś swoją ostatnią przydatną moc – powiedział nowy bóg. Złapał garść brązowych kręconych włosów starca i odchylił jego głowę do tyłu, zmuszając go do podniesienia wzroku.

– Wiem, czego pragniesz, bogobójco – odparł jeniec w starożytnym języku. – Ale nie znajdziesz tego. Nigdy!

Chciał się tylko upewnić, czy przedmiot wciąż istnieje. Wściekłość nowego boga była swego rodzaju euforią. Skierował ostrą niczym brzytwa klingę w stronę śmiertelnego ciała starego boga.

Uśmiechnął się.

– Oszust. Posłaniec. Podróżnik. Złodziej – wycodził i wbił ostrze pomiędzy pokręcone kości jego kręgosłupa. – A teraz już nikt.

Krew trysnęła z rany. Przez chwilę nowy bóg napawał się przerażeniem jeńca – ten ból, to zaskoczenie! – oraz jego gasnącą mocą. Wielka szkoda, że nie mógł jej połączyć ze swoją.

– Tak już bywa, prawda? – powiedział i pochylił się, obserwując, jak ostatnia iskra życia gaśnie w oczach konającego. – Tę drogę obrał twój ojciec, a wcześniej jego ojciec. Starzy bogowie muszą umrzeć, by nowi mogli się narodzić.

Ciszę panującą w parku zakłócały jedynie wilgotne plaśnięcia miecza. Krzepiący trzask oznajmił wkrótce, że głowa jeńca oddzieliła się od korpusu. Nowy bóg uniósł ją na tyle wysoko, by jego wyznawcy mogli ją zobaczyć.

Łowcy ryknęli z radości, uderzając się pięściami w piersi. Nowy bóg po raz ostatni spojrzał na odciętą głowę Hermesa, po czym rzucił ją na brezent, gdzie leżały już pozostałe

szczątki. Rankiem nie będzie śladu po tych ośmiu bogach, którzy pojawili się w Central Parku niczym błyskawice przecinające niebo. Nie będzie też śladu po łowcach, którzy polegli w walce z nimi.

Miasto wokół nich szumiało, tętniło z trudem ujarzmianym chaosem. Śpiewało pieśń o nadchodzącej grozie. Rozumiał jego tęsknotę. Tę chęć urwania się ze smyczy.

– Jestem Gniewny – powiedział nowy bóg, klękając. Zanurzył palce w krwi zmieszanej z błotem. – Jestem waszym panem – dodał, przeciągając dłonią po policzkach. – Jestem waszą glorią.

Stojący dookoła niego łowcy zadarli maski, żeby pójść w jego ślady i wsmarować wilgotną ziemię w swoje żarliwe twarze.

Nadchodziła nowa era. Czekala, żeby rozpoczął ją ktoś dostatecznie odważny.

– A więc... – powiedział nowy bóg. – Zaczynamy!

CZĘŚĆ PIERWSZA

MIASTO BOGÓW



ROZDZIAŁ PIERWSZY



MATKA POWIEDZIAŁA JEJ KIEDYŚ, ŻE CZŁOWIEKA MOŻNA POZNAĆ TYLKO W JEDEN SPOSÓB – wyzywając go na pojedynek. Lore wiedziała jednak z własnego doświadczenia, że dzięki walce można co najwyżej odkryć, w którą część ciała przeciwnik nie chciałby oberwać.

Dla jej obecnego rywala tą częścią ciała była lewa pierś, wciąż zasłonięta bandażem skrywającym nowy tatuaż.

Uniosła ważące blisko pół kilograma rękawice i przyjęła na nie kolejne niedbane uderzenie. Cofnęła się o krok, a jej trampki zapiszczały na taniej niebieskiej macie. Po pięciu walkach, jakie odbyły się tego wieczora, kawałki srebrnej taśmy samoprzylepnej wyznaczającej prowizoryczny ring zaczynały odklejać się pod wpływem ciepła i wilgoci. Lore chrząknęła, dotykając piętą jednego z nich.

Pot ściekał jej po twarzy, czuła już wyłącznie jego słony smak. Nie zamierzała się ocierać, choć szczypał ją w oczy. Ból nie był przecież zły. Pomagał jej się skupić.

Wszystko to – to znaczy walka – stało się jej najnowszym złym nawykiem. Przynosiło ukojenie tak potrzebne od sześciu miesięcy, czyli od śmierci Gila. Złożona wówczas obietnicą *tylko jednego pojedyнку* została złamana w chwili, gdy Lore poczuła znajomy przypływ adrenaliny.

Pierwsza walka wystarczyła, żeby zdusić dławiący smutek, wypchnąć go z głowy, wrócić do normalności. Druga pozwoliła uśmierzyć ból rodzący się w sercu. Trzecia zapewniła jej zaskakująco dużo gotówki.

A teraz, wiele tygodni później, walka numer piętnaście dostarczyła jej tego, czego tak bardzo potrzebowała tej nocy: odwrócenia uwagi.

Lore powtarzała sobie, że w dowolnym momencie może rzucić ten sport. I że przestanie walczyć, kiedy pojedyńki niczego już nie będą jej dawać. Albo kiedy zaczną przypominać jej o tym, co zakopała.

Ale tak się nie stało. Jeszcze nie.

W ciasnej piwnicy chińskiej restauracji Czerwony Smok panował gwar. Wokół mat tłoczyło się stanowczo zbyt wiele rozgrzanych osobników. Tłum falował wraz z ruchami zawodników, wyznaczając nieoficjalne granice ringu. Wielu gapiów ścisnęło w dłoniach kubeczki, starając się nie rozlać ani odrobiny cennego trunku. Przekazywane z rąk do rąk kupony i rachunki krążyły dookoła, na koniec trafiały do Frankiego, organizatora całego przedsięwzięcia. Lore spojrzała na niego. Właśnie ustalał kolejność dwóch następnych walk oraz wysokość stawek. Zawsze bardziej od zwycięzców interesowały go wygrane.

Schodami prowadzącymi do kuchni na górze spływała para, nadając powietrzu satynową miękkość. Zapach kurczaka kung pao stanowił smakowitą alternatywę dla smrodu starych wymiocin i piwa, który straszył w nieczynnych klubach nocnych, w których najczęściej organizowano walki.

Publiczności to nie przeszkadzało: każde miejsce dawało im iluzję ekskluzywności. Choć tak naprawdę lista gości Frankiego była obecnie o wiele mniej wyjątkowa niż kiedyś: modelkom, osobom ze światka artystycznego, wreszcie biznesmenom rozdającym małe saszetki z białym

proszkiem coraz częściej towarzyszyły dzieciaki z prywatnych szkół testujące granice obojętności swoich rodziców.

Rywalem Lore był chłopak w jej wieku – miał delikatną, pozbawioną szram skórę i cechowała go nieuzasadniona pewność siebie. Śmiał się, wskazując Lore palcem, kiedy wybierał sobie przeciwnika spośród zawodników Frankiego. Lore zdecydowała się go zmiażdżyć, zdeptać resztki jego dumy. I to zanim nazwał ją dzieciną i posłał jej pijackiego buziaczka.

– Niech zgadnę – warknęła przez ochraniacz na zęby i wskazała głową na bandaż na jego nastoletniej piersi zasłaniający nowy tatuaż. – „Żyj, śmieję się, kochaj”? „Fruzia Forever”?

Chłopak zmarszczył brwi, a publiczność zarechotała. Wycelował pięścią w jej głowę i aż stęknął z wysiłku. Wyprowadzenie tego ciosu w połączeniu z włożoną weń siłą zmusiło go do odsłonięcia klatki piersiowej. Lore miała otwartą drogę do celu. Momentalnie wbiła rękawicę w miękką, pokrytą tuszem skórę.

Chłopak wybałuszył oczy i wypuścił z sykiem powietrze z ust. Jego kolana uderzyły o matę.

– Wstawaj – powiedziała Lore. – Przynosisz wstyd swoim kumplom.

– Ty... ty głupia dzi... – rzucił, krztusząc się własnym ochraniaczem na zęby.

Lore zastanawiała się wcześniej, ile czasu upłynie, zanim wbije przeciwnika w ziemię. Teraz już wiedziała. Pięć minut.

– Jestem przekonana, że nie chcesz mnie tak nazwać – stwierdziła, krążąc wokół niego. – Zwłaszcza że właśnie przede mną uklęknąłeś.

Wyraźnie wściekły, próbował podnieść się z ziemi. Wywróciła oczami.

Już cię nie śmieszę, co?, pomyślała.

Gil powiedziałby, żeby dała spokój temu głupiemu szczeniakowi – zawsze powtarzał jej w ten swój beztroski, nieoceniający sposób, że nie musi brać udziału w każdej walce, jaka się trafiła. Prawdę mówiąc, nienawidził pojedynków i Lore czuła się winna. Że go zawiodła.

Oczywiście próbowała innych rzeczy. Żadna z nich nie pomagała jej uporać się z miażdżącym poczuciem straty równie skutecznie, co dobra bijatyka. A Lore usiłowała zapomnieć nie tylko o śmierci Gila. Czuła właśnie, jak tuż pod jej skórą rodzi się nowy lęk.

Był sierpień. W mieście znów odbywało się polowanie.

Ze wszystkich sił starała się wyprzeć z pamięci tę mroczną część swojego życia, którą dawno zostawiła za sobą. Włożyła mnóstwo wysiłku w rozpoczęcie jaśniejszej, pogodniejszej egzystencji, a jednak w zakamarkach umysłu mimowolnie odliczała dni. Jej ciało napinało się, a zmysły wyostrzały, jakby szykowały się na nadchodzące wydarzenia.

Dwa tygodnie temu zaczęła widywać na mieście znajome twarze osób, które najwyraźniej przygotowywały się na dzisiejszy wieczór. Związany z tym szok zadał jej cios w płuca niczym ostry nóż. Każde takie spotkanie uświadamiało jej, że cała jej nadzieja i wszystkie ciche błagania poszły na marne. *Proszę*, wielokrotnie powtarzała w myślach przez ostatnich kilka miesięcy. *Niech w tym cyklu to będzie Londyn. Niech to będzie Tokio.*

Niech to będzie dowolne miejsce na świecie, byle nie Nowy Jork.

Wiedziała, że tego wieczora nie powinna opuszczać domu. Nie wtedy, kiedy wybuchnie wśród nich szal zabijania. Gdyby rozpoznał ją choćby jeden łowca, rody nie polowałyby wyłącznie na bogów. Pragnęłyby również zdobyć jej skalp.

Kątem oka zobaczyła, że Frankie spogląda na swój śmieszny zegarek kieszonkowy i daje jej sygnał do zakończenia walki. Podejrzewała, że chciał jak najszybciej stąd wyjść i w spokoju napawać się zapachem pieniędzy.

– Wyszalałeś się? – zapytała rywala.

Zamroczony alkoholem chłopak zaczął ganiać Lore po macie, zataczając niezdarne półkola pięściami. Coraz bardziej się irtował, bo publiczność wciąż rechotała ze śmiechu.

Kiedy Lore uchyliła się, unikając kolejnego ciosu, jej naszyjnik wysunął się spod koszulki. Umieszczony na nim wisiołek w kształcie złotego pióra odbił promyk światła i zabłysnął. Chwilę później trafiła go pięść przeciwnika. Najwyraźniej zaczepiła o cienki łańcuszek, bo kiedy Lore ponownie się przesunęła, zapięcie pękło i naszyjnik wylądował u jej stóp.

Lore odpięła zębami pasek rękawicy i uwolniła dłoń. Uchyliła się przed następnym atakiem rywala i szybko podniosła błyskotkę. Schowała ją do tylnej kieszeni dżinsów. Kiedy zakładała rękawicę, poczuła kolejną falę frustracji.

Wisiołek dostała od Gila.

Odwróciła się do chłopaka, powtarzając sobie, że nie powinna go zabijać. Mogła jednak złamać mu ten piękny nosek.

Co, ku radości tłumu, zrobiła.

Krew trysnęła na twarz. Chłopak zaklął.

– Czas spać, chłoptasiu – powiedziała, spoglądając na Frankiego. Chciała się upewnić, czy powinna już zakończyć walkę. – Tak naprawdę...

Na skraju pola widzenia dostrzegła nadlatującą pięść. Odwróciła się dostatecznie szybko, żeby rękawica trafiła ją w bok głowy, a nie w oko. Świat zniknął w ciemności i dopiero po chwili odzyskał kolory. Jakimś cudem Lore zdołała utrzymać się na nogach.

Chłopak wydał z siebie okrzyk zwycięstwa i uniósł ręce do wysoko. Wciąż krwawił z nosa. Potem ruszył w stronę Lore. Miała tylko sekundę, żeby uświadomić sobie, co się dzieje.

Instynktownie podniosła gardę, starając się zasłonić klatkę piersiową. Jednak jej rywal miał inny plan. Nieoczekiwanie objął ją ramieniem i przycisnął usta do jej ust.

Panika zawładnęła Lore, odcięła ją od własnego umysłu. Oślepiła ją. Chłopak przywarł do niej, niezgrabnie liżąc ją językiem. Otaczający ich tłum wył z zachwyty.

Coś w niej pękło. Ciśnienie narastające od tygodni uwolniło się ze wściekłym rykiem. Uderzyła kolanem między nogi chłopaka. Kiedy upadł, wyjąc, jakby poderżnęła mu gardło, zaatakowała z furii.

Następną rzeczą, jaką pamiętała, było wrażenie, że ktoś podnosi ją z ziemi. Wciąż warczała i kopała. Rękawice miała skąpane we krwi. Zmiażdżonej twarzy przeciwnika nie dało się już rozpoznać.

– Uspokój się! – huknął Wielki George, jeden z ochroniarzy Frankiego, i delikatnie nią potrząsnął. – Kochanie, on nie jest tego wart!

Serce Lore waliło w jej piersiach zdecydowanie zbyt szybko, by mogła zapanować nad oddechem. Wciąż drżała, kiedy mężczyzna postawił ją na ziemi. W końcu skinęła na znak, że wszystko z nią w porządku. Puścił ją i podszedł do jęczącego na macie chłopaka. Trącił go stopą.

Dudnienie, które przez cały ten czas słyszała, nagle ustąpiło i Lore uświadomiła sobie, że w sali zapadła kompletna cisza. Słyszać było jedynie szcęk naczyń w kuchni na piętrze.

Strach powoli zagnieździł się w niej, zaciskając pętlę wokół jej serca. Ukryte w rękawicach palce zacisnęły się aż do bólu. Nie tylko straciła nad sobą kontrolę, ale także obudziła tę część siebie, którą – jak sądziła – pogrzebała wiele lat temu.

To przecież nie ja, pomyślała, ocierając pot z górnej wargi. Już nie ja.

Prowadziła teraz inne, lepsze życie.

Nie chcąc stracić wypłaty za tę noc, zignorowała zalewającą ją żółć i zapomniała o nienawiści, jaką żywiła do leżącego na ziemi, skamlącego z bólu ścierwa. Uśmiechnęła się niewinnie. Wzruszyła ramionami i wyrzuciła ręce do góry.

Widzowie nagrodzili ją wiwatami, unosząc na jej cześć kubeczki.

– Wcale nie wygrałaś. Oszukiwałaś! – rzucił chłopak przez łyżę. – To nie fair. O s z u k i w a ł a ś!

Tacy kolesie jak on tak właśnie kończyli. Jego świat wcale się nie zawalił, co najwyżej jego obraz samego siebie okazał się iluzją. Lore uświadomiła mu, że zasłużył na wszystko, co go dzisiaj spotkało. Był winny, ponieważ w ogóle istniał.

Zdjęła rękawice i nachyliła się nad nim. Publiczność zamilkła. Otaczające ją twarze czekały niecierpliwie na jej słowa niczym wygłodzone wrony.

– Może następnym razem walniesz tu sobie: „Jestem przegrywem”? – zapytała słodkim tonem, kładąc dłoń na tatuażu chłopaka.

Gong zagłuszył jego okrzyk wściekłości i zakończył walkę. Wielki George pociągnął pokonanego w stronę jego przyjaciół.

Lore spojrzała na Frankiego. Wiedziała już, że przychodząc tutaj, popełniła błąd. Zastanawiała się, czy powinna zacząć krzyczeć, czy też po prostu rzucić się do ucieczki.

Dotarła do krawędzi ringu, kiedy usłyszała głos Frankiego:

– Następną walkę: Złotko kontra pretendent Gemini.

Posłała mu poirytowane spojrzenie, na które odpowiedział typowym dla siebie beztroskim uśmiechem. Pokazał jej pięć palców. Pokręciła głową, więc dodał jeszcze trzy. W powietrzu wokół niej wirowały pomięte banknoty, wzniecone przez tłum spieszący obstawiać zakłady.

Powinna wrócić do domu. Wiedziała o tym, ale...

Uniosła wszystkie dziesięć palców. Frankie skrzywił się, po czym machnął ręką, kierując ją w stronę ringu. Lore ponownie założyła rękawice i odwróciła się. Liczyła, że czeka ją teraz pojedynek z jednym z przyjaciół chłopaka. Przynajmniej mogłaby się zabawić.

Tak się jednak nie stało.

Lore zachwiała się, gdyż jej młody przeciwnik znajdował się poza snopem światła rzucanego przez lampę wiszącą nad ich głowami. Celowo ukrył się w ciemności. Po chwili zrobił jednak krok w przód. Pozwolił, żeby przyćmiony blask odsłonił wykonaną z brązu maskę zasłaniającą mu twarz.

Powietrze w płucach nagle zaczęło Lore ciążyć.

Łowca.

ROZDZIAŁ DRUGI



JEDNA MYŚL PRZELECIAŁA JEJ PRZEZ GŁOWĘ. *Uciekaj.*

Ale instynkt domagał się czegoś innego, a ciało mu uległo. Lore przyjęła postawę obronną i poczuła smak krwi, gdyż z nerwów przegryzła sobie wargi. Miała wrażenie, że każda część jej ciała wibruje, napędzana strachem i napięciem.

Jesteś idiotką, powiedziała sobie. Musiała teraz go zabić na oczach wszystkich tych ludzi albo znaleźć sposób, żeby przenieść walkę na zewnątrz i tam dokończyć dzieła. Żadnych innych opcji nawet nie rozważała. Nie planowała też umrzeć na nasączonych alkoholem matach rozłożonych w piwnicy chińskiej restauracji, która nawet nie serwowała mapo tofu.

Jej przeciwnik górował nad nią wzrostem i Lore próbowała sobie wmówić, że nie ma w tym nic niepokojącego. Choć była wysoka, on miał co najmniej piętnaście centymetrów więcej. Prosta szara koszula i spodnie dresowe wydawały się na nim zbyt małe i ciasno przylegały do atletycznej sylwetki. Każdy mięsień jego ciała był tak doskonale zarysowany jak u wojowników, których Lore oglądała na starożytnych wazach należących do jej ojca. Noszona przez rywala maska przedstawiała grymas wściekłości. Tak też zabrzmiał okrzyk bojowy, który nagle z siebie wydał.

Dom Achillesa.

No cóż, pomyślała Lore. *Słabo.*

– Nie walczę z tchórzami, którzy zakrywają twarz – oświadczyła chłodnym tonem.

Z trudem stłumił śmiech.

– Domyślam się – odpowiedział ciepło.

Zdjął maskę i położył ją przy krawędzi ringu. Reszta świata rozplynęła się dla Lore w blasku ognia.

Ale ty nie żyjesz!

Słowa stanęły jej w gardle, pozbawiając ją tchu. Cofnęła się o krok, lecz tłum wypychał ją do przodu, ku macie. Walczyła o powietrze, które – jak sądziła – nie docierało do jej płuc. Miała wrażenie, że twarze dookoła są poza zasięgiem jej wzroku.

Powinieneś nie żyć, pomyślała. *Przecież umarłeś!*

– Zaskoczona? – Wyczuła w tonie przeciwnika nutkę nadziei, ale jego oczy czujnie ją obserwowały.

Castor.

Jego niegdyś delikatna twarz nabrała ostrości, a młodość umknęła z jego rysów. Zaskakujące, jak bardzo pogłębił się mu głos.

Przez jedną koszmarną chwilę Lore wydawało się, że śni na jawie. Że za moment się ocknie, tak jak zawsze, kiedy śniła o przeszłości; o czasach, kiedy jej siostry i rodzice wciąż żyli. Bała się, że zaraz zwymiotuje lub zacznie szlochać. Ciśnienie rozsadało jej czaszkę, unieruchamiało ją, dusiło jakąkolwiek radość, jaką mogła nieść ta niespodzianka.

Ale Castor Achilleos nie zniknął. Podobnie jak nie zniknął pulsujący ból, pamiątka po wcześniejszych walkach. W powietrzu wciąż unosił się zapach gorzałki i smażonego jedzenia, a Lore czuła na swoim ciele każdą kroplę potu spływającego po twarzy i plecach. Więc wszystko to działo się naprawdę!

Nadal się nie poruszyła. Nadal nie oderwała wzroku od twarzy Castora.

Był prawdziwy.

Naprawdę żył.

Kiedy wreszcie jakaś szczątkowa emocja przedarła się przez ogarniające ją odrętwienie, okazała się czymś innym, niż Lore się spodziewała. To była złość. Nie dzika i oszałamiająca, lecz tak ostra i bezlitosna jak niegdyś ostrza ich treningowych mieczy.

Castor żył, a mimo to pozwolił, żeby go oplakiwała przez siedem długich lat.

Lore otarła twarz rękawicą. Starła się skupić na walce, choć miała wrażenie, że za chwilę jej ciało rozpadnie się na kawałki. Cekał ją pojedynek. Przeciwnik zadał już pierwszy cios, jednak był osobą, którą kiedyś uważała za swojego najlepszego przyjaciela, dlatego doskonale wiedziała, jak mu się zrewanżować.

– Dlaczego miałabym być zaskoczona? – odpowiedziała. – Nie mam pojęcia, kim jesteś.

Cień niepewności przemknął po twarzy Castora, ale szybko zniknął. Chłopak uniósł brew i posłał Lore łagodny, lecz wiele mówiący uśmiech. Kilkoro stojących za nią widzów zaczęło szeptać.

Lore wiedziała, że nie zrezygnuje z urzędu awantury. Nie zamierzała też wypuścić go z ringu bez stoczenia walki. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Odwróciła się, żeby dać sygnał Frankiemu. Miała nadzieję, że nie zauważy, jak serce wyrywa się z jej piersi.

Rozległ się gong. Tłum zaczął wiwatować. Stała nisko na nogach i przyjęła bojową postawę.

Odejdź, pomyślała, patrząc znad rękawic na przeciwnika. Zostaw mnie w spokoju.

Przez siedem lat nawet nie próbował jej odnaleźć, więc dlaczego teraz się pojawił? Żeby z niej zakpić? Zmusić do powrotu?

Nie ma na to szans.

– Bądź dla mnie łagodna – powiedział, unosząc dłonie i spoglądając na rozdarcie na jednej z pożyczonych rękawic. – Od dawna nie sparowałem.

Nie tylko żył, ale też wybrał karierę uzdrowiciela, zamiast wykształcić się na wojownika. Jego życie potoczyło się zgodnie z planem. Nie było jej przy nim, więc nie mogła mu w niczym przeszkodzić.

I nigdy jej nie szukał. Nawet wtedy, gdy naprawdę go potrzebowała.

Lore krążyła wokół niego, lekko stąpając po macie. Tej siedmioletniej rozłąki nie dało się wymazać.

– Nie martw się – powiedziała chłodno. – Walka nie potrwa długo.

– Mam nadzieję, że nie będzie też krótka – odpowiedział, rozciągając usta w kolejnym uśmiechu.

W jego ciemnych oczach odbijało się światło żarówek kołyszących się nad ich głowami, w tęczówkach zaś płonęły iskry. Miał długi, prosty nos, choć wielokrotnie złamał go podczas sparingów, do tego szczękę uciętą pod idealnym kątem i kości policzkowe przypominające ostrza.

Lore wyprowadziła pierwszy cios. Castor odchylił się na bok, robiąc unik. Wydał jej się szybszy niż kiedyś, ale poruszał się sztywno. Choć wciąż był silny, najwyraźniej wyszedł z wprawy. Przypominał jej zardzewiałą maszynę, która próbowała odnaleźć dawny rytm. Jakby na potwierdzenie tego, pochylił się nieco zbyt głęboko i zakołysał, z trudem łapiąc równowagę.

– Naprawdę przyszedłeś tu, żeby walczyć? – warknęła. – Płacz mi od meczu, więc przestań marnować mój czas.

– Nie śmiałbym – odpowiedział Castor. – Nawiasem mówiąc, nadal pochylasz prawe ramię.

Lore skrzywiła się, ale oparła się pokusie zmiany postawy. Stopniowo tracili uwagę publiczności. Podłoga w piwnicy zadrżała, gdy widownia zaczęła wytupywać rytm, próbując wpłynąć na tempo walki.

Castor najwyraźniej dobrze odczytywał emocje tłumu albo został obłany wystarczającą liczbą drinków, ponieważ ponownie skupił się na pojedynku. Żarówki kołysały się na łańcuchach, rzucając dookoła cienie. Wchodził i wychodził z nich, jakby znał metodę wtapienia się w mrok.

Zamarkował ruch w prawo i bez przekonania uderzył Lore w ramię.

Furia przemałowała jej świat na palącą biel. Oto, jak bardzo ją szanował. Nawet nie uważał jej za godnego siebie przeciwnika. Potraktował ją jak jakiś żart!

Uderzyła pięścią w jego nerkę, a kiedy się skulił, lewą ręką grzmotnęła go w ucho. Zachwiał się i w końcu podparł kolanem, nie mogąc odzyskać równowagi.

Wyprowadziła kolejny cios, tym razem prosto w twarz. Castor zachował trzeźwość umysłu i go zablokował. Wstrząs towarzyszący uderzeniu przeszedł przez całe jej ramię.

– Baw się ze mną dalej, a zobaczysz, jak to się dla ciebie skończy – ostrzegła.

Castor spojrzał na nią zza ciemnych, niesfornych kosmyków, które opadły mu na oczy, a jego skóra w kolorze kości słoniowej się zarumieniła. Lore odwzajemniła spojrzenie. Pot spływał jej po brodzie, a ciało wciąż pulsowało siłą burzy szalejącej w jej wnętrzu. Kołyszące się żarówki niemal hipnotycznie tańczyły w ciemnych tęczęwkach Castora. Ostatnie ślady rozbawienia zniknęły mu z twarzy, zupełnie jakby zdołała je zdrapać.

Skoczył do przodu, blokując własne ramię pod jej kolanami i następnie pociągając za nie. W jednej chwili Lore stała, w następnej leżała już płasko na plecach, z trudem łapiąc oddech. Publiczność zaczęła wiwatować.

Uniosła nogę, żeby kopnięciem odrzucić Castora od siebie, jednak usłyszała uprzejmy ton głosu Frankiego:

– Żadnego kopania!

No tak.

Przetoczyła się na lewo, niemalże do krawędzi maty, i poderwała się na równe nogi. Tym razem Castor był już gotowy na serię razów, którą wyprowadziła. Uchyliła się więc i odskoczyła, chwytając rytm walki. Wygięła usta w mimowolnym uśmiechu.

Dostrzegła ruch u szczytu schodów prowadzących do piwnicy. Ktoś schodził. To jedno spojrzenie miało swoją cenę – Castor cofnął rękę i zadał jej silny cios w brzuch.

Sapnęła, próbując opanować nieprzyjemny ból. Oczy chłopaka rozszerzyły się ze strachu.

– Wszystko w... – zaczął.

Lore pochyliła głowę i wbiła ją prosto w jego klatkę piersiową. Miała wrażenie, że próbuje przebić betonową ścianę. Każdy staw ją bolał, a przed oczami pojawiły się mroczki. Kiedy Castor upadł, przewróciła się razem z nim.

Przetoczył ich tak, że znalazł się na górze. Przyszpilił Lore do maty, uważając, żeby nie zmiażdżyć jej ciężarem własnego ciała. Ku swojemu zadowoleniu Lore usłyszała, że równie ciężko oddycha.

– Umarłeś – wykrztusiła, po czym spróbowała wyrwać się z jego uchwytu.

– Nie mam za wiele czasu – odpowiedział i przeszedł na język starożytny. – Potrzebuję twojej pomocy.

Zaczęła się uspokajać, choć wypowiedział te słowa w dialekcie, o którym tak bardzo pragnęła zapomnieć.

– Coś się dzieje – dodał. Walka rozgrzała go do tego stopnia, że jego ciało prawie ją paliło. – Nie wiem już, komu mogę ufać.

Spojrzała w bok.

– I to niby mój problem? Ja już się wycofałam.

– Wiem, ale mimo to musiałem cię ostrzec... Cholera! – sapnął Castor, po czym zaklął też w starożytnym języku.

Nagle przekręcił się i Lore znalazła się na nim. Gdzieś w oddali usłyszała publiczność odliczającą do ośmiu. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że Castor chce dać jej wygrać.

– Ty kretynie! – warknęła.

Utkwił wzrok w postaci u szczytu schodów, którą wcześniej widziała tylko przez chwilę. To był Evander, krewny Castora i od czasu do czasu towarzysz ich dziecięcych zabaw.

Van miał na sobie prostą czarną szatę łowiecką ze złotym świecidełkiem przypiętym tuż nad lewą piersią. Choć jego czarna skóra błyszczała za sprawą pary buchającej z kuchni, to sam wydawał się chłodny niczym ocean. Przyciął włosy tuż przy skórze, czym jeszcze bardziej wyeksponował swoją oszałamiającą urodę. Spojrzenie wciąż miał bystre i właśnie sygnalizował coś Castorowi.

– Czas minął – oświadczył jej przeciwnik. Lore nie była pewna, czy mówi o walce.

– Zaczekaj – zaczęła, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Ale Castor już ją z siebie zsunął. Trzymał ją w talii o sekundę dłużej, niż było to konieczne.

– On czegoś szuka i nie wiem, czy nie chodzi mu o ciebie – stwierdził.

Gdy dotarł do niej sens jego słów, natychmiast zakręciło jej się w głowie. Był tylko jeden o n , o którym Castor mógł mówić. Z trudem wzięła kolejny oddech. Walczyła z szumem narastającym w uszach.

– Może skończyłaś z Agonem, ale jego to chyba nie interesuje. Bądź ostrożna! – dodał i przyjrzał jej się uważnie, po czym pochylił się i szepnął jej do ucha: – Nadal walczysz jak Furia.

Cofnął się i uklonił. Przyjął na klatę buczenie publiczności. Sięgnął po czerwony kubeczek i precyzyjnie się przez tłum, kierując się w stronę schodów. Kiedy do nich dotarł, Evander chwycił go za ramię i obaj zniknęli w rozgrzanej kuchni.

Ktoś złapał Lore za nadgarstek, próbując unieść jej rękę wysoko, ale wyrwała mu się i popędziła przed siebie, łokciami roztrzaskując ludzi na boki.

Co ty wyrabiasz?, huknął głos w jej umyśle. Daj im odejść!

Tuż pod schodami wpadła na kogoś z tak dużym impetem, że poleciał na ścianę. Odwróciła się w jego stronę, pozwalając ustom wypowiedzieć pierwszą sylabę przeprosin. Nagle zorientowała się, z kim ma do czynienia.

– Cholera.

Skórę miał białą niczym kość, ciemne oczy zaś komicznie rozszerzył, kiedy pochwycił jej spojrzenie. Ostra, nieco hipsterska fryzura. Szczupłe ciało i obcisłe džinsy. Naszyjnik z plecionej końskiej sierści.

Miles.

Niewiarygodne, pomyślała. Jakim cudem ta piekielna noc stała się jeszcze gorsza?

– Zaczekaj tutaj! – rozkazała, a wciąż oszołomiony chłopak kiwnął głową.

Wbiegła po schodach do kuchni i omijając poirytowanych kucharzy oraz przedzierając się przez klęby pary, dotarła do drzwi ewakuacyjnych. Wyskoczyła na spowitą mrokiem ulicę.

Powietrze jarzyło się czerwienią tylnych świateł odjeżdżającego SUV-a. Pojedynczy czerwony kubeczek potoczył się do jej stóp. Na jego krawędzi dostrzegła coś ciemnego.

Tusz.

Odwróciła przedmiot w stronę przyciemnionej lampki wiszącej tuż nad drzwiami, próbując złożyć w całość nierówne litery. Na skroniach czuła pulsowanie tętnic.

Apodidraskinda.

Dziecięca zabawa w chowanego.

Wyzwanie. *Odszukaj mnie.*

Wrzuciła kubeczek do pobliskiego śmietnika i odeszła.

ROZDZIAŁ TRZECI



NAPIĘCIE OPUŚCIŁO LORE, KIEDY Z POWROTEM ZESZŁA DO PIWNICY. Nigdzie nie zauważyła Milesa, choć przez chwilę krążyła w tłumie. W końcu zajrzała do Frankiego, że odebrać plecak oraz wypłatę za tę noc. Wysłuchiwała jednym uchem, gdzie w przyszłym tygodniu miały odbyć się walki. Przeliczyła gotówkę. Chciała upewnić się, że Frankie jej nie oszukał. Przez cały czas próbowała zignorować niepokój krążący w jej krwiobiegu.

On czegoś szuka i nie wiem, czy nie chodzi mu o ciebie.

Przeszedł ją dreszcz. Potrząsnęła głową, próbując pozbyć się z niej głosu i twarzy Castora. Musiała przygotować się na nadchodzące dni.

Miles czekał na nią na zewnątrz. W ciągu kilku minut, które Lore straciła na bezowocną pogon, zdążył już złapać zadyszkę. Możliwe, że po prostu krążył lub szykował przemowę, którą miał zamiar wygłosić. Albo robił obie te rzeczy naraz. Kiedy Lore pojawiła się w drzwiach, znieruchomiał, udając, że przez cały czas gapił się w telefon.

Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego, co powiedział.

– Chcesz coś przekąsić u Marthy?

Zawahała się.

Najchętniej wróciłaby do domu, wzięła prysznic i przespała kolejnych sześć dni, aż to obrzydliwe polowanie dobiegnie końca i rozpocznie się kolejny, siedmioletni cykl. Sęk w tym, że Miles działał na nią uspokajająco.

– Jasne – odpowiedziała z wymuszoną nonszalancją. Wciąż miała wrażenie, że pod skórą skwierczą jej błyskawice. – Całkiem sensowna propozycja.

Uniósł brew.

– Tym razem ty stawiasz.

– Ja? – zapytała, pozwalając sobie na powrót do luźnego stylu ich rozmów. – A może mam zatrzepotać rzęsami i poprosić o posiłek na koszt firmy?

– A czy kiedykolwiek ci się to udało? – rzucił szczerze zaciekawiony.

– Przecież jestem przekonująco urocza – stwierdziła.

Zatrzepotała rzęsami, jednak twarz miała obolałą od ciosów. Opuchlizna też pewnie nie pomagała.

Miles otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

– No co? – zapytała.

– Nic – odparł, spoglądając na zachmurzone niebo. – Powinniśmy iść, zanim weźmiemy przymusowy prysznic, którego zresztą potrzebuje tylko jedno z nas.

Powietrze przesyciła wilgoć. Cuchnęło ułożonymi w stos workami śmieci przygotowanymi do porannej wywózki. Przejżdżająca taksówka zmąciła wodę w rynsztoku. Przelotny deszcz padał od wielu dni i Lore wiedziała, że szybko nie przestanie.

– Używam perfum z najlepszych lo mein i bao – odpowiedziała. – Ale nie mogę przecież spodziewać się po tobie dobrego gustu.

Oczywiście żartowała. Miles traktował swoje ciało jak dzieło sztuki. Miało mówić o jego nastrojach i zainteresowaniach, wreszcie o ludziach, których nosił w sercu. W rezultacie jego

skórę zdobiły liczne tatuaże, od wspaniałych motywów florystycznych i winorośli wijących się wokół torsu, po dzieła sztuki nowoczesnej, które sam zaprojektował. Lore podejrzewała, że tylko on znał znaczenie tych wszystkich szczytów górskich, par oczu czy szlaczków. Sama najbardziej lubiła widniejące na jego szyi zdanie napisane w języku koreańskim. Ceniła je ze względu na związaną z nim historię. Słowa te powtarzała Milesowi babcia, kiedy co niedziela dzwonił do domu swoich rodziców na Florydzie. Oznaczało: „Kocham cię mocniej z każdym wschodem słońca”. Gdy po raz pierwszy Miles pokazał jej ten tatuaż, zbesztła przyjaciela. Oblizła nawet palec i udała, że próbuje zetrzeć tusz, przez resztę nocy pęczniała jednak z dumy.

Poszli na Canal Street, żeby linią A dojechać aż do Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Lore była już w połowie schodów prowadzących na peron metra, kiedy usłyszała nadjeżdżający pociąg i poczuła charakterystyczny podmuch powietrza uciekającego ze stacji. Przyspieszyła, wyciągając kartę miejską z tylnej kieszeni spodni i przeciągając ją przez czytnik. Miles jak zawsze nie był gotowy na tego typu akcje. Wydał z siebie zduszony jęk i zaczął grzebać w portfelu.

– Zaczekaj, ja... coś nie...

W końcu przeciągnął kartę przez czytnik, ale otrzymał komunikat o błędzie.

O wpół do trzeciej metro kursowało znacznie rzadziej niż w godzinach szczytu. Wagon był pełen. Lore zablokowała zamykające się drzwi ramieniem, dając Milesowi czas na dołączenie do niej.

Poklepał ją po plecach, kiedy pociąg wreszcie ruszył w dalszą drogę.

– Martha – przypominała. – Głodnam.

– Taksówka – odpowiedział. – Łatwiej.

– Kasa – wyjaśniła. – Rozrzutnyś.

Wagon opustoszał na wysokości Columbus Circle. Zwolniły się miejsca przed nimi, więc Miles usiadł i wyciągnął telefon. Lore wzięła głęboki oddech i otarła dłonią czoło. Choć wydawała się spokojna, w jej głowie królował chaos.

On czegoś szuka i nie wiem, czy nie chodzi mu o ciebie.

Odkąd zobaczyła w mieście łowców, czuła rosnący niepokój. Wiedziała, że powinna obawiać się Aristosa Kadmou – lub kimkolwiek był jako nowy bóg. W normalnych okolicznościach zachowywałaby ostrożność i najchętniej jeszcze tego samego dnia opuściła miasto. Trzymałaby się z dala od ringu i od niego. Od nich wszystkich.

Ale to nie przerażenie zdominowało jej uczucia. Wiedziała bowiem, że może się ukryć. Zresztą z powodzeniem ukrywała się przez ostatnie trzy lata. Przede wszystkim czuła dziwne napięcie, którego nie potrafiła się pozbyć. Ten niepożądany ucisk w klatce piersiowej, który pojawiał się za każdym razem, gdy przypominała sobie twarz Castora.

On żyje, pomyślała, czując dziwaczne oszołomienie.

Miles chrząknął skonsternowany i zamknął jedną ze swoich aplikacji randkowych.

– Co się stało z facetem, z którym umówiłeś się w piątek? – zapytała Lore, z przyjemnością podsuwając swojemu umysłowi temat zastępczy. – Sądziłam, że dobrze rokuje. Jak mu tam było? Nick?

– Noah – odpowiedział Miles, zamknął oczy i wziął głęboki oddech, jakby brakowało mu sił. – Zaprosił mnie do siebie do domu. Poznałem jego cztery chomiki.

Lore spojrzała na niego.

– Nie mów!

– Nazwał je imionami swoich ulubionych pierwszych dam – kontynuował Miles obolałym głosem. – Jackie miała kapelusik z filcu wzmocnionego lakierem do paznokci. Kazał mi ją nakarmić. Kawaleczkami sałaty. S a ł a t y , Lore. Sałaty!

– Przestań powtarzać to słowo – poprosiła. – Wiesz, mógłbyś odpocząć od randkowania.
– A ty mogłabyś spróbować – odbił piłeczkę. Poprawił się na siedzeniu. – Nigdy cię o to nie pytałem, ponieważ nie chciałem być wścibski...

– Ale... – dodała za niego.

– Ale... – zaczął. – Chodzi mi o tego chłopaka. Widziałem, jak na niego zareagowałaś...
Zacisnęła dłoń na pasku od plecaka.

– A jak miałam zareagować, skoro się na mnie rzucił? – zapytała. – Zasłużył na to, żeby mu przemodelować twarz. Następnym razem dwa razy się zastanowi, zanim zacznie dobierać się do obcych dziewczyn.

– No tak, t e n zdecydowanie zasłużył – powiedział szybko Miles. – Prawdopodobnie i na kolejnych trzydzieści sekund lania. Ale pytałem o tego drugiego kolesia.

– Tego drugiego – powtórzyła. Jej serce забиło mocniej.

– Tego, który wyglądał, jakby narodził się w moich szczenięcych fantazjach – wyjaśnił usłużnie Miles.

Głos Castora w jej głowie wciąż był ciepły. *Nadal walczysz jak Furia.*

– Co z nim? – zapytała.

– Odniosłem wrażenie, że go znasz – wyjaśnił.

– Nie – odpowiedziała ostrym tonem. Już nie.

Aby powstrzymać kolejne pytania, oparła głowę o ramię Milesa i pozwoliła kołyszącemu się wagonowi działać uśmierzająco. Po chwili wzięła pierwszy głęboki wdech tej nocy.

Pociąg pędził w stronę Sto Dwudziestej Piątej, łapiąc miarowy rytm gwałtownych hamowań i przyspieszeń. Lore bała się zamknąć oczy. Czuła, że twarz Castora, pogodna i pełna wiary w przyszłość, ponownie pojawi się w jej głowie. A to wywoła w niej wspomnienia o świecie, który zostawiła za sobą.



W końcu wyszli z metra i ruszyli w stronę baru U Marthy. W centralnej części miasta niewiele się działo.

Dawniej Harlem wydawał się jej obcą krainą. Zwłaszcza wtedy, kiedy przeprowadziła się do Gila, do przytulnego, wyłożonego piaskowcem szeregowca przy Sto Dwudziestej Ulicy. Jej rodzina od zawsze mieszkała w Hell's Kitchen i Lore nie miała wcześniej powodu, żeby zapuszczać się dalej na północ niż do Dziewięćdziesiątej Szóstej. Jednak wtedy jej bliscy nie żyli już od czterech lat, a ona spędziła ten czas za granicą. Wracając na stare śmieci, czuła się, jakby odzyskała ciuchy, które wcześniej komuś oddała. Coś jej nie pasowało. Niby wszystko było takie samo, ale w jakiś sposób inne.

Mimo to ceniła sobie kolejne trzy lata, zakończone tym przerażającym dniem jakieś sześć miesięcy temu, kiedy Gil zmarł, potrącony przez samochód. W pierwszym odruchu chciała spakować się i wyjechać, tymczasem okazało się to niezwykle skomplikowane. Mężczyzna zostawił jej w spadku dom razem z całą zawartością.

Lore mogła oczywiście sprzedać budynek i w mgnieniu oka zniknąć. Miles dałby sobie radę, nawet jeśli znalezienie sensownego lokalu w tym mieście mogło przyprawić o ból głowy. Jednak za każdym razem, kiedy na poważnie to rozważała, ulice zdawały się owijać wokół niej. Znajome witryny sklepowe, dzieciaki bawiące się na werandzie dwa domy dalej, pani Marks splukująca chodnik co poniedziałek o dziesiątej rano... to wszystko ją uspokajało. Dzięki temu zapominała, że czuła się, jakby jej klatka piersiowa miała zapaść się z przerażenia i rozpacz.

Ostatecznie Lore postanowiła zostać. Mimo wszystkich swoich wad to zatłoczone miasto było przecież jej domem. Rozumiała jego trudną osobowość i była wdzięczna, że ukształtowało ją, ponieważ w najmroczniejszych chwilach życia ratowała ją właśnie elastyczność, której tu nabyła.

W pewnym sensie Lore czuła, że to dzielnica wybrała ją, a nie odwrotnie. Dziewczyna chciała wówczas, by ktoś ją przygarnął. I taki właśnie był Nowy Jork. Zawsze miał swoje zdanie i jeśli było się dostatecznie cierpliwym, prowadził człowieka tam, dokąd powinien on dotrzeć.

Choć była czwarta rano, Lore wcale nie zaskoczyła obecność innych osób cieszących się wczesnym śniadaniem u Marthy. Nawet w tak spokojnym miesiącu jak sierpień.

– Dzień dobry, panie Herrera – zawołała, wycierając stopy o starą matę.

– To się jeszcze okaże, Lauren Pertho – odpowiedział mężczyzna z kanapką w buzi.

Lore używała tego imienia od lat, ale wciąż potrafiło ją zaskoczyć.

– Jak leci, Mel?

– Przynajmniej jest sucho – odpowiedziała barmanka zza kontuaru i spojrzała na nią. Właśnie sprawdzała stan kasy. – To, co zawsze?

– Cóż, jesteśmy niewolnikami własnych przyzwyczajęń – potwierdził Miles. – Masz bezkofeinową?

– Nastawię dla ciebie dzbanek – zaproponowała. – Z bitą śmietaną?

Miles miał podniebienie dziecka, które najchętniej jadałoby tylko desery.

– I z wiórkami czekoladowymi! – przypomniał.

– Robi się, kochanie – odpowiedziała Mel i zniknęła w kuchni, biorąc się do realizacji zamówienia. Jeden potrójny talerz drwała dla Lore i naleśniki z czekoladą w kształcie Myszki Miki z dodatkową bitą śmietaną i syropem klonowym dla Milesa.

– No co? – zdziwił się. – Nie skomentujesz tego? Nie rzucisz żartu o czekającej mnie cukrzycy?

Dopiero po chwili Lore zrozumiała, że mówił do niej. Uniosła wzrok, który wcześniej wbijała w podłogę.

– Od samego gapienia się na ciebie może rozboleć brzuch – stwierdziła, opierając się o ścianę jednej z pokrytych winylami kabin. Jej tętno skoczyło, jakby Miles przyłapał ją na robieniu czegoś zakazanego.

Przyjaciół wpatrywał się w nią przez chwilę, ale zachowywał pogodny ton.

– Rozsądny komentarz jak na kogoś, kto zamierza pochłonąć posiłek przeznaczony dla trzech osób.

– Zdrowy apetyt, zdrowa dziewczyna – rzucił pan Herrera, regulując rachunek.

– No właśnie – podchwyciła Lore, próbując skupić na mężczyźnie swoją uwagę. – A jak się miewa mój piękny Bo?

Sklepowy kot Bo pojawił się w tej okolicy dwa lata wcześniej i uznał delikatesy pana Herrery za swoje terytorium. Nigdy go nie porzucił. Kiedy Lore po raz pierwszy natknęła się na niego, wzięła go za wyjątkowo dużego szczura i na poważnie zastanawiała się, czy przypadkiem nie uciekł z Zaświatów. Teraz w późne niedzielne poranki uwielbiała siadać na ławce przed sklepem i dzielić się łososiem z bajgla z pewnym kumplem o wyjątkowo niesfornym usposobieniu.

– Zżarł dwanaście batoników czekoladowych, zarzygał towary, a następnie zniszczył wór papierowych ręczników – oświadczył pan Herrera i ruszył w stronę drzwi. – Powinienem zabrać tego diabła do weterynarza.

– Mam popilnować sklepu? – zapytała Lore. Lubiła zastępować sklepikarza, zwłaszcza tuż po porannej inwazji kawoszy. Mogła wówczas usiąść i w spokoju poczytać książkę, dopóki

nie pojawili się luncherzy, gotowi zdziesiątkować zapasy kanapek i tacek z sushi.

– Nie tym razem – odpowiedział mężczyzna. – Przyjechał mój siostrzeniec. Może chciałabyś go poznać? Jest o rok młodszy od ciebie, całkiem mądry chłopak...

– Potrafi pracować? – zapytał poważnym tonem Miles. – Albo chociaż gotować? Ona potrzebuje kogoś, kto wypełni poważne luki w jej kompetencjach życiowych.

Pan Herrera zaśmiał się, pomachał im na pożegnanie i wyszedł, żeby otworzyć sklep.

Lore nie wiedziała, dlaczego proponowała mu pomoc. Przecież planowała czym prędzej wyjechać. Sama obecność Castora powinna skłonić ją do ucieczki, z zapasami lub bez. A co dopiero jego słowa!

Potała ramiona w miejscu, za które ją chwycił. Ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że skóra wciąż jest ciepła pomimo porannego chłodu. Nie spodziewała się... j e g o . Całego. Tych dobrze jej znanych łagodnych oczu. Ale też tego, jak urósł. Silnego ciała.

Sposobu, w jaki się do niej uśmiechnął.

– Lore... L o r e ! – powtórzył Miles, tym razem bardziej stanowczym tonem.

Znów uniosła wzrok.

– Co?

– Pytałem, czy chodzi o pieniądze.

Zerknęła na niego zaskoczona.

– Z czym chodzi o pieniądze?

Spojrzał na nią znacząco.

– Jeśli chodzi o kasę, to mogę zacząć płacić ci za wynajem. Ale sądziłem, że Gilbert zostawił ci trochę forsy...

Zgodnie ze swoją irytującą uprzejmością i zamiłowaniem do niespodzianek Gil zostawił im, swoim „przyszywanym wnukom”, sporą sumę pieniędzy. Lore właściwie jej nie tknęła – no dobra, pokrywała z niej koszty utrzymania domu. Wydawanie odziedziczonej kasy na inne rzeczy uznała za niewłaściwe.

– To pieniądze Gila – oświadczyła.

Miles wydawał się to rozumieć.

– Cóż, mogłabyś, jak wszyscy, zatrudnić się na pół etatu jako baristka. To normalny etap w życiu człowieka. Mogłabyś też zarabiać na zajęciach z samoobrony.

Pokręciła głową. Była wycieńczona, a mimo to próbowała przedrzeć się przez płataninę uczuć i myśli. Spróbować skupić się na pojedynczym wątku rozmowy.

– Nie zamierzam oskubywać nikogo, kto chce nauczyć się bronić – stwierdziła, ścisząc głos.

Właściciel siłowni położonej przy Sto Dwudziestej Piątej pozwalał jej korzystać ze sprzętu, kiedy na zewnątrz robiło się zbyt zimno na bieganie. W zamian udzielała tam bezpłatnych lekcji samoobrony i była z tego układu zadowolona.

– Nie chodzi o pieniądze – dodała.

– Jesteś pewna? Bo przez ostatni rok używałaś tych samych trzech ohydnych woreczków strunowych – kontynuował Miles.

Uniosła palec.

– Wcale nie są ohydne, bo myję je po każdym użyciu. A ty co robisz dla środowiska?

Uniósł brew. Tego lata odbywał staż w radzie miejskiej i jednocześnie studiował zrównoważony rozwój miast na Uniwersytecie Columbia.

– Nie musisz odpowiadać – stwierdziła.

Miles robił to, czego w nim nienawidziła – pozował na współczującego i niezwykle wyrozumiałego faceta.

– Poza tym mam pracę – dodała. – Jestem złotą rączką, zapomniałeś?

Początkowo miała pracować u Gila jako mieszkająca na miejscu opiekunka. Jej funkcja rozszerzyła się po wymianie przez Lore baterii w czujnikach dymu, co wiele mówiło o ówczesnym stanie technicznym budynku.

– A właśnie, z ł o t a r ą c z k o , może wpadniesz naprawić mi okno, zanim nadejdzie zima?

Lore zmarszczyła brwi, przeczesując dłonią kołtuny, w jakie zamienił jej włosy deszcz.

– Okej, w jakimś stopniu chodzi o pieniądze – przyznała. – Ale również o inne sprawy.

– Sprawy Gila? – naciskał Miles.

Wyciągnęła wisiołek z kieszeni i spojrzała na pęknięte zapięcie złotego łańcuszka. Brakowało jej jego dotyku na szyi. Świecidełko dostała trzy lata temu, na swoje pierwsze urodziny od powrotu do miasta. Od tamtej pory zdjęła łańcuszek tylko jeden raz.

Piórko, które oderwało się od skrzydła, wcale nie zostało utracone, powiedział wówczas Gil. Ono odzyskało wolność.

Wisiołek codziennie przypominał jej, jak wiele zyskała, pracując dla Gila. A zatrudniła się u niego, kiedy po poważnym wypadku stało się jasne, że mężczyzna nie może mieszkać dalej sam. Od tamtej pory wiele dla niej zrobił. Stał się jej przyjacielem i mentorem. Był żywym dowodem na to, że nie wszyscy mężczyźni są tak surowi i okrutni jak ci, których Lore pamiętała z dzieciństwa.

– Minęło już parę miesięcy... – zaczął Miles.

– Sześć – przerwała mu ostrym tonem.

– Sześć – potwierdził, kiwając głową. – Nieczęsto o tym rozmawiamy, ale... – Ponieważ Lore otworzyła usta, gwałtownie podniósł rękę. – Chcę jedynie powiedzieć, że jestem przy tobie i jeżeli chcesz, możemy o nim pogadać.

– Ale ja nie chcę – warknęła.

Gil powiedział jej kiedyś, że czasami trzeba odpychać od siebie złe myśli tak długo, aż na dobre odejdą. Podejrzewała więc, że pewnego dnia oswoi się z jego śmiercią.

– Wiesz... – zaczął Miles znanym jej tonem.

– Nie interesuje mnie nauka – powtórzyła po raz setny. – Zresztą tobie też szkoła się nie podoba.

– Nie zawsze lubi się to, czego się potrzebuje – zauważył.

– Nie zawsze trzeba robić to, czego się nie lubi – odparowała.

Miles westchnął, wydmuchując powietrze przez nos.

– Tak sobie myślę... Co prawda nie wiem, co przeżyłaś w przeszłości, ale... spróbuj skupić się na przyszłości, w przeciwnym wypadku przeszłość stale będzie cię powstrzymywać.

Lore przełknęła ślinę, lecz wciąż czuła nieprzyjemny ucisk w gardle.

– Jakim cudem dowiedziałeś się o tej walce? Śledziłeś mnie?

– Spotkałem się wczoraj z kumplem ze szkoły i nagle zaczął mi opowiadać o tych szalonych, supertajnych ringach. W pewnym momencie wspomniał też o dziewczynie z blizną ciągnącą się od zewnętrznego kąca oka aż do brody. Pomyślałem, że to zupełnie jak u mojej przyjaciółki Lore.

Dziewczyna nieświadomie otarła tę część twarzy o ramię. Blizna była wąska, ale mimo upływu lat wciąż widoczna.

– Mam nadzieję, że tym kumplem nie był koleś, którego spralam? – zażartowała. – Tylko się upewniam.

– Nie, ale jeszcze nigdy nie byłem tak zachwycony i jednocześnie przerażony – przyznał.

Jego telefon zadzwonił tak wściekle, że obydwoje podskoczyli.

– To twój budzik? – zapytała, przyciskając dłoń do klatki piersiowej.

Choć od lat mieszkali w tym samym budynku, nigdy jeszcze nie słyszała tego dźwięku.

– W pewnym sensie – odpowiedział, po czym odebrał połączenie. – Mamo, czemu jeszcze nie śpisz? Jest czwarta nad ranem... No nie, na pewno nie musisz teraz drukować tych formularzy. Zapisz sobie na karteczce, żeby to zrobić o normalnej godzinie, i... Nie, idź już spać... Cóż, gdybym spał, tobyś mnie obudziła... Mamo! Wracaj do łóżka!

Niewyraźny głos pani Yoon przepełniała niewytłumaczalna o tej porze dnia energia. Lore zauważyła, że Miles zamyka oczy i cierpliwie wzdycha.

– Ech, no dobrze. Sprawdziłaś wszystkie przewody, prawda? – zapytał. – Jesteś pewna, że się nie poluzowały?

Posłał przyjaciółce przepraszające spojrzenie, lecz Lore nie miała mu tego za złe. Właściwie było to miłe. Wykorzystała tę chwilę, żeby wyobrazić sobie malutkiego gotha dorastającego wśród strzelistych palm pastelowej Florydy. Miles był jednakiem i czasami – na przykład teraz – życie przypominało mu o tym.

Właśnie westchnął po raz kolejny.

– A w ogóle to włączyłaś drukarkę, mamo? Powinien się świecić taki guziczek...

Lore usłyszała, jak pani Yoon śmieje się w odpowiedzi.

– Dziękuję, Michael – stwierdziła zawstydzona.

Miles ukrył twarz w dłoni, wyraźnie poirytowany jej pytaniem lub tym, że użyła jego imienia, którym zwracała się do niego tylko rodzina. Potem powiedział mamie, że ją kocha, zarówno po angielsku, jak i koreańsku, i wreszcie się rozłączył.

– Zmusiła mnie do zmiany dzwonka, kiedy w zeszłym miesiącu pojechałem do domu – wyjaśnił. – Uważa, że czasami nie odbierałem, bo ustawiłem zbyt cichy dźwięk. Czułbym się źle, gdybym go teraz zmienił...

Lore uśmiechnęła się, choć jednocześnie czuła ból w sercu. Każdy marzyłby o takich telefonach, gdyby nagle zamilkły.

– Ona po prostu chce usłyszeć twój głos – powiedziała.

I żebyś o niej pamiętał, dodała w głowie. Potem jej myśli podryfowały w innym kierunku. Świat wokół niej otoczyła mroczna aureola, zza której wyłoniła się twarz Castora. Cienie przytulały się do niej.

– Hej – odezwał się nagle Miles. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest – stwierdziła Lore.

I musiało tak być. Dla niego. Dla niej samej.

Dla Gila.

– Zbieramy się? – zapytała, kiedy Mel wróciła z kuchni z ich zamówieniem.

– Obiecuj mi, że będziesz ostrożna – poprosił Miles i zanim zdążyła cofnąć rękę, schwycił jej dłoń. – Nie chodzi mi o walki. Po prostu nie chcę, żebyś cierpiała.

Na to już niestety za późno, pomyślała Lore.



Wracali ulicą skąpaną w przyćmionym świetle latarni, niosąc swoje śniadania i kawy. Burza zamieniła się w coś, co przypominało zasłonę z drobnej mgły. Nowy Jork należał do tych nielicznych miejsc na świecie, które po deszczu wydawały się brudniejsze niż wcześniej, a mimo to Lore uwielbiała to miasto.

Po drodze do domu postanowiła powiedzieć Milesowi, że kilka kolejnych dni spędzi

w podróży, nawet jeśli oznaczałoby to wskoczenie do pierwszego lepszego autobusu i spanie w lesie – tak by nikt nie zdołał jej znaleźć.

W rzeczywistości marzyła o spędzeniu reszty niedzielного poranka w łóżku. Splotła ramiona z Milesem i przyjaciele wędrowali przed siebie pogrążoną we śnie ulicą. Chłopak nucił piosenkę, której nie знаła, a Lore starała się o niczym nie myśleć.

Kiedy od domu dzieliła ich już tylko jedna przecznica, Miles nagle zatrzymał się, a potem cofnął o krok.

– Co jest? – zapytała Lore.

Nachylił się w stronę ściany delikatesów Martin's, miejsca, w którym Lore nie była mile widziana, gdyż zbyt często narzekała na czerstwe bajgle. Ostrożnie potarł palcami smugę jakiejś ciemnej substancji. Lore ze zgrozą pociągnęła go do tyłu.

– No dobra, chyba nadszedł czas, żebym przypomniała ci o kilku podstawowych zasadach bezpieczeństwa obowiązujących w Nowym Jorku. Po pierwsze, nie przyjmuj niczego, co ktoś próbuje ci wcisnąć na Times Square. Po drugie, nie dotykaj żadnych podejrzanych substancji na ziemi i ścianach...

– To chyba krew – przerwał jej Miles.

Lore odsunęła od niego rękę.

Obrócił się, spoglądając na ziemię.

– Cholera jasna. Sporo jej...

Miał rację. Lore uznała krople widoczne na betonie za deszcz, ale teraz dostrzegła ciemną ciecz spływającą rynsztokiem. Burza przybierała na sile.

Miles ruszył do przodu. Rozglądał się, próbując zlokalizować rannego. Lore złapała go za tył koszuli i podała mu swoje pudełko ze śniadaniem i kawą. Drugą ręką wyciągnęła scyzoryk przyczepiony do pęku kluczy.

– Trzymaj się mnie – rozkazała.

Czuła się, jakby tropiła ranne zwierzę. Ofiara prawdopodobnie słała się na nogach. Sunęła, szukając kolejnych podpórek – latarni, poręczy, zaparkowanego samochodu. Lore z rosnącym niepokojem uświadomiła sobie, że ślady zmierzają w stronę ich domu.

Kiedy zbliżyli się do budynku, zacisnęła dłoń na tępych nożu. Krwisty trop prowadził do ich własnych drzwi i kolorowych doniczek, które Gil umieścił wzdłuż frontowych schodów.

Miles jęknął, więc Lore podążyła za jego wzrokiem.

Tuż obok pustych pojemników na śmieci siedziała kobieta, opierając się plecami o ich werandę ze starego piaskowca. Błękitną szatę miała przesiąkniętą deszczem.

Lore miała wrażenie, że powietrze wokół niej uskakuje, jak na chwilę przed uderzeniem pioruna.

– Pokaż ręce! – wykrztusiła, wyciągając w stronę bogini swój żałosny scyzoryk.

Oczy kobiety miały kolor ofiarnego dymu. Drobinki złota błyszczały w jej tęczówkach, dryfując niczym skry. Jedyna pozostałość po stłumionej boskiej mocy.

Nazywano ją siwooką boginią, ale Lore wiedziała już, że nie chodziło o kolor jej oczu. Prędej o to, że kiedy patrzyła na kogoś tak, jak teraz patrzyła na nią, można było dostrzec jej prawdziwy wiek. Wojny, cywilizacje, potwory, tragedie, wynalazki i odkrycia geograficzne – te oczy widziały mijające tysiąclecia i postrzegały je tak, jak Lore pory dnia.

Kosmyki lśniących złotem włosów zwisały wzdłuż twarzy bogini niczym zasłużone blizny. Nawet w swojej obecnej formie wydawała się niepokojąco nieskazitelna, rysy miała bowiem śmiałe, idealnie symetryczne.

Kobieta odchyliła się do tyłu, odrywając rękę od biodra, za które do tej pory się trzymała. Kiedy położyła ją na kolanie, długie, zadbane palce zgięły się niczym pazury.

Zakrwawioną dłoń miała jednak pustą.

Lore gapiała się na nią. Na wpół świadomie opuściła broń.

Bogini nachyliła się i z jej boku buchnęła fala gorącej, cuchnącej krwi. Rana była zbyt duża i zbyt postrzępiona jak na ślad po strzale czy pocisku. A więc ostrze. Cios zadany przez profesjonalistę.

Lore miała wrażenie, że wciąż śni, choć jednocześnie zachowała pełną jasność umysłu.

– Ktoś najwyraźniej miał twój numer – wykrztusiła. – Pech przy lądowaniu?

Zajmij się mną.

Lore aż podskoczyła. Półżywa czy nie, bogini wciąż wypowiadała słowa w taki sposób, że przypominały uderzenia mieczem w tarczę. Wibrowały wzdłuż nerwów Lore, unosząc wszystkie włoski na jej ciele. Od tak dawna nie słyszała krystalicznie czystej formy starożytnego języka, że potrzebowała chwili, by dokładnie zrozumieć to zdanie.

Jej głos stał się niemal niesłyszalnym szeptem.

– Co powiedziałaś?

Spojrzenie bogini stało się nieostre, tracąc swoją hardość. Na jej twarzy nie widać było strachu, a jedynie gorzkie rozczarowanie. Cofnęła rękę i przyłożyła ją do rany. Kiedy znów przemówiła, z trudnością wymawiała słowa. Mimo to jej rozkaz odbił się echem w duszy Lore.

– Zajmij się mną... śmiertelniczko.

Potem siwooka Atena osunęła się na chodnik i straciła przytomność.

ROZDZIAŁ CZWARTY



– O MÓJ BOŻE!

Spanikowany głos Milesa wyrwał Lore z odrętwienia. Spojrzała w jego stronę. Blask telefonu komórkowego rozświetlał jego twarz. Drżącymi rękami wybierała kolejne cyfry.

Wyrwała mu aparat z rąk i zakończyła połączenie.

– Co robisz? – zawołał. – Ona potrzebuje pomocy! Proszę pani! Słyszysz mnie pani?

– Uspokój się! – przerwała mu Lore ostrym tonem. – I nie krzycz tak!

– Znasz ją? – Miles wyglądał, jakby miał ochotę rozorać sobie twarz paznokciami. – O nie, krew... Ja tylko... – Zakrztusił się i zakaszał we własną dłoń.

– Ja... ją znam – odpowiedziała Lore bez namysłu. – Ona jest... tak jakby... też walczy.

– Ale teraz musi... – Miles znów się zakrztusił. – Przepraszam... Ja tylko... Szpital... Musimy zawieźć ją do szpitala! I na policję!

Lore zakłęła, choć jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Gdyby zawieźli boginię do szpitala, policja z pewnością chciałaby przesłuchać Lore. Jej dane i być może zdjęcie znalazłyby się w systemie. Rody z reguły umieszczały co najmniej kilku łowców w każdym szpitalu w mieście. Liczyły, że jakiś samarytanin wezwie pogotowie i nieświadomie dostarczy boga w ich ręce. Ale Atena z pewnością już zostawiła za sobą ślady. Zapach i krew. Psy będą w stanie ją wytropić. Doprowadzą łowców do sanktuarium Lore. Naraziłoby to Milesa na niebezpieczeństwo, a ją zmusiło do zaangażowania się. Do zrobienia czegoś.

Przyłożyła palce do szyi bogini, próbując wyczuć puls. Ichor bogini, równie czerwony co zwykła ludzka krew, kapał na kolana i tenisówki Lore.

Cholera, pomyślała. Po raz pierwszy od wielu lat czuła się bezradna. Musiała odnaleźć w sobie boski pierwiastek. I to szybko.

– Żadnej policji – zdecydowała, szukając sensownego argumentu. – Bo ona... no... Ona nie ma ubezpieczenia. Możesz otworzyć drzwi i pomóc mi wnieść ją do środka?

Z trudem założyła sobie rękę Ateny na szyję. W swojej śmiertelnej postaci bogini miała ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i – jak się okazało – ciało śliskie od deszczu i krwi.

Wnieśli ją do mieszkania i położyli na kafelkach w czarno-białą szachownicę. Lore zostawiła Milesa przy rannej i pobiegła na górę. Wyciągnęła z szafki zapasowe prześcieradła i ręczniki, po czym zrzuciła je przez poręcz.

Zbiegła po schodach, zaciągnęła żaluzje okna w wykuszu. W ten sposób zamieniła frontowy pokój w fortecę. Miles w tym czasie włączył lampę wiszącą pod sufitem.

Ekran telewizora stojącego nad kominkiem przypominał czarne lustro. Lore odsunęła na bok stół kawowy. Kiedy Miles rozłożył ciemne prześcieradła, uświadomiła sobie, że niegdyś korzystał z nich Gil.

– Co się dzieje? – zapytał, kiedy próbowali przetoczyć na nie leżącą na brzuchu Atenę. – Lore, pytam poważnie. Co się tu, do cholery, dzieje?

Bogini jęknęła boleśnie. Lore zerknęła w stronę wejścia. Od razu dostrzegła rozmazaną krew i uświadomiła sobie, że miała kolejny bardzo poważny problem do rozwiązania.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił – powiedziała do przyjaciela, klękając koło Ateny. – Leć do pana Herrery i poproś go o tyle butelek wybielacza, ile ma na stanie... Zaczekaj! Nie

chodzi mi o zwykły wybielacz, tylko o taki tlenowy. No, chyba że nie ma innego.

– Tlenowy... co? – spytał bezradnie Miles.

– Wybielacz tlenowy. Tyle, ile ma – wyjaśniła. – Poproś, żeby dopisał mi go do rachunku.

– A jak ma taki w tabletkach?

– Idź – powiedziała, wskazując ręką wyjście. – No, ruszaj się!

Miles wydawał się zbyt oszołomiony, żeby zaprotestować. Przeskoczył nad plamą krwi, po raz ostatni zakaszłał, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

Zapach drzewa sandałowego i starych książek, którymi zazwyczaj pachniał dom, zniknął zduszony przez ostry odór krwi. Żołądek Lore niemalże zrobił fikołka, gdy ułożyła boginię na plecach. Rozdarła zniszczoną tunikę, chcąc lepiej przyjrzeć się ranie. Czerwona ciecz sączyła się jej między palcami.

– Cholera – szepnęła Lore.

Atena miała uszkodzoną wątrobę i nerkę. Lore знаła to cięcie. Wykonała je léaina, jedna z młodych kobiet przygotowywanych przez rody do udziału w polowaniach. Miały dopaść zdobycz i raną przynieść swojemu panu, żeby mógł ją dobić.

Lore przycisnęła ręcznik do rozcięcia, próbując zatrzymać krwawienie.

– Obudź się. Obudź się! – zawołała.

Atena pod zamkniętymi powiekami poruszyła oczami.

Lore zrobiła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Uderzyła boginię w twarz.

Siwe oczy spojrzały na nią, bogini kilkakrotnie zamruwała.

– Przepraszam – powiedziała Lore. – Ale zasłużyłaś na to.

Powietrze nagle zaczęło parzyć jej płuca. Własny strach bardzo ją zaskoczył. Stanowił przebłysk żalu za uderzenie Ateny. Całe lata uczono ją nienawiści wobec starych bogów. Nauka na niewiele się zdała, kiedy Lore zobaczyła iskry mocy płonące w oczach rannej kobiety.

Można było sobie wmawiać, że ściga się zdobycz, ale tylko do momentu, gdy ta odwracała się i odsłaniała zęby.

Bogini odkaslnęła, przesuwając głowę po podłodze. Nawet jako śmiertelniczka miała w sobie coś obcego, niehumanoidalnego. Jej obecne ciało było jedynie nienaturalnym naczyniem stworzonym, żeby je zniszczyć.

Lore położyła sobie dłonie na udach, próbując zapanować nad ich drżeniem. Wiedziała, że nie zdołaby zabić Ateny. Nie chciała boskiej mocy. Nie chciała niczego, co się z tym wiąże.

– Fatalne uczucie, prawda? – zapytała, pozwalając, żeby strach ustąpił miejsca szalonej lekkomyślności. – Bycie śmiertelnym człowiekiem. Co za porażka! Mogę zapytać, kto cię dopadł?

Ta chwila rodziła się od ponad tysiąca lat. Atena przeżyła dwieście jedenastie cykli Agonu tylko po to, żeby w dwieście dwunastym ktoś ją pokonał.

Miodowy odcień jej skóry przybladł, kiedy wreszcie zbliżała się do niej śmierć. Atena należała do ostatnich pierwotnych bogów wciąż walczących w Agonie. Prócz niej żyli jeszcze Hermes, Artemida i być może Apollo. Przy czym Atena zawsze wydawała się Lore celem niemożliwym do upolowania. Była na to za silna, za szybka, za sprytna.

Aż do teraz.

Badały się wzajemnie.

Gdyby Atena próbowała ocenić wartość Lore, chociażby siłę, usłyszałaby, żeby nie zawracała sobie głowy.

– Ja się wycofałam – powiedziała na wszelki wypadek Lore.

Znała mnóstwo pięknych słów, za pomocą których mogłaby schlebić bogini. Mogłaby

korzyć się przed nią, odwoływać do próżności i dumy istot jej pokroju. Nie chciała jednak po nie sięgać.

– I nie zamierzam pozwolić tobie ani nikomu innemu na wciągnięcie mnie z powrotem w to bagno.

Bogini wciąż ją obserwowała. Jej surowa linia ust nawet nie drgnęła. Lore spodziewała się tego. Nie będzie przekonywania. Atena wytrzyma niczym dobre ostrze lub pięknie jak słabe.

– Wiem, że rozumiesz angielski – dodała Lore, odmawiając zaoferowania bogini tego, czego ta najwyraźniej oczekiwała.

Starożytny był mieszkanką wielu antycznych dialektów, które z czasem stały się współczesną greką. W wykonaniu Ateny język ten czarował nieziemskim pięknem.

– Nie wiem, po co tu przyszłaś, ale niczego nie znajdziesz – kontynuowała Lore. – Jeśli to podstęp i chcesz się na mnie zemścić, to się spóźniłaś. Każdy, kto nosił moje nazwisko, już od dawna nie żyje. Jestem ostatnią z Perseidów. Dom Perseusza przestał istnieć.

Wyraz twarzy Ateny uświadomił jej, że bogini doskonale o tym wiedziała.

Lore poczuła przepełniający ją strach. Lata temu przestała wierzyć w Przeznaczenie i wszystkie te staruszki, które się nim zajmowały. Jednocześnie wątpiła, by pojawienie się Ateny było zwykłym przypadkiem. Nie po ostrzeżeniu Castora.

Zajmij się mną, rozkazała Atena. Pomóż mi.

– Skoro już mnie znalazłaś – stwierdziła Lore, czując dumę z tego, jak pewnym powiedziała to głosem – to wytłumacz mi, czego ode mnie oczekujesz. Byle szybko. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale twój czas się kończy, a moje plany na dzisiejszy poranek nie obejmują pojedynku na miny z bóstwem. Może zacznij od wyjaśnienia mi, kto próbował cię zabić.

Atena spojrzała na nią po raz kolejny i wreszcie się odezwała.

– Moja siostra – rzekła nieco słabszym głosem.

Strach przemknął przez ciało Lore.

– Artemida?

Bogini spochmurniała. Jej druga siostra, Afrodyta, została zgładzona dobry wiek temu. Nowy bóg przetrwał zaledwie jeden cykl, gdyż po siedmiu latach dopadł go inny łowca. Wszystko to przypominało jakąś chorą odmianę sztafety maratońskiej. Nieśmiertelność przekazywana niczym pałeczka pomiędzy rodami krwi.

– Sądziłam, że trzymacie się razem – powiedziała Lore. – Co się stało z waszym zabawnym sojuszykiem, dzięki któremu mogłaś wszystkich terroryzować?

– Obrócił się... przeciwko mnie – wyjaśniła Atena, przyciskając dłoń do swojego boku. – Zostałam zdradzona. Ten fałszywy Ares... przyszedł po nas... zaraz po Przebudzeniu... Artemida spowolniła mnie, aby móc uciec!

– Niefajnie – stwierdziła Lore z uznaniem w głosie. – Nawet jak na nią.

– Sojusze tworzy się w obliczu potrzeb... żeby zapomnieć o strachu... – Atena walczyła teraz o każde słowo. – Teraz... potrzebuję... ochrony... Dopóki nie... wyzdrowieję. Zwiąż swój los... ze mną.

Zwiąż swój los ze mną. Lore zadrżała.

– Po cholere miałabym to robić? – rzuciła. – Mogę przecież siedzieć tutaj i patrzeć, jak umierasz!

Pomimo przejściowej utraty nieśmiertelności bogowie zachowywali okruchy swojej potęgi i mogli się skutecznie bronić. U szczytu swoich możliwości dysponowali nieograniczonymi mocami, więc te z Agonu musiały wydawać im się smutną namiastką. A leczyć potrafił jedynie Apollo. Zarówno siebie, jak i innych. Może Atena pod względem fizycznym była silniejsza od pozostałych ośmiorga bogów, zdolna zrównywać budynki z ziemią,

ale teraz nie płynęły z tego żadne korzyści.

Gdzieś na ulicy rozległy się szybkie kroki Milesa. Lore poderwała się z ziemi, posyłając bogini surowe spojrzenie. Atena zjeżyła się w obliczu takiej zuchwałości.

– Kiedy przyjdzie, masz się do niego nie odzywać – powiedziała Lore. – Najlepiej udawaj, że śpisz.

– Nie opuszczaj mnie – rzekła słabym głosem Atena. – Zakazuję ci tego!

– No cóż, a ja zakazuję ci umrzeć – warknęła dziewczyna, a jej puls przyspieszył. – Na razie muszę po tobie posprzątać, bo jeszcze psy wpadną na twój trop i sprowadzą tu łowców.

Atena zamrugnęła nieprzytomnie.

Cholera, pomyślała ze smutkiem Lore. Być może bogini była ciężko ranna, być może nawet straciła przytomność, ale z pewnością nie zapomniaby o tak ważnym szczególe, gdyby nie znalazła się w naprawdę poważnych tarapatkach.

Frontowe drzwi otworzyły się na oścież.

– Mam!

Bogini poruszyła nozdrzami, ale wykonała polecenia Lore.

– Dziękuję – powiedziała Lore do Milesa. – Idź na górę. Spać.

– Zaraz... Co? – zapytał i ruszył za nią na zewnątrz. – Co zamierzasz zrobić?

– Najpierw chcę posprzątać, zanim ktoś zobaczy krew i wezwie gliny – wyjaśniła Lore. – A ty w tym czasie położysz się do łóżka.

Miles spojrział na leżącą na ziemi Atenę.

– Posłuchaj mnie – powiedziała Lore tonem tak stanowczym, że aż się wzdrygnął. Nie czuła się winna. Nie w tej sytuacji. Chłopak nie miał pojęcia, w jakim bagnie się znalazł. – Idź na górę i nikomu nie otwieraj drzwi. Jeśli zobaczysz na zewnątrz kogoś podejrzanego, to mnie zawołaj.

Wyszła, zanim zdążył zaprotestować lub, co gorsza, zadać kolejne pytanie. Zbiegła po schodach na ulicę i skręciła w stronę bramy prowadzącej do sutereny, której używała jako piwnicy. Bała się, że zabraknie jej czasu. Słońce powoli wyłaniało się zza chmur, a wraz z nim mogli pojawić się pierwsi nowojorczyści.

Wlała dwie butelki wybielacza do wiadra i wyniosła je na zewnątrz, żeby dolać do nich wodę z węża należącego do sąsiada. Za pomocą drucianej szczotki, z determinacją napędzaną przerażeniem, zaczęła szorować kałużę krwi, którą Atena zostawiła tuż obok śmietnika. W końcu Lore rozboleła głowa, a ręce zaczęły szczypać od chemikaliów.

Zaczęła wylewać zakrwawioną wodę z wiadra do rynsztoka, jednak momentalnie przestała. Przez chwilę obserwowała, jak deszcz spłukuje chodnik, a woda spływa do otworu burzowca.

Lore nie była w stanie zamaskować zapachu krwi ani samej bogini, na dodatek teraz przesiąkały ją oba. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie zmylić łowców fałszywymi tropami i mieć nadzieję, że się pogubią, zanim dotrą do ich domu. I do Milesa.

Lore ruszyła śladami Ateny, czyszcząc i spłukując je, dopóki deszcz nie zmył reszty plam do rynsztoka. Następnie zatoczyła łuk wokół całego osiedla, zostawiając tu i ówdzie kałuże wody wymieszanej z krwią i wybielaczem.

Kiedy znalazła się nieopodal Central Parku, zdjęła zabrudzone buty i skarpetki. Skrzywiła się, stąpając boso po popękanych chodniku. Zanim zdążyła uświadomić sobie, co może przyczepić się jej do stóp, odważnie ruszyła przed siebie. Wybrała przypadkową, krętą drogę przez labirynt ulic. Zatrzymywała się tylko po to, by wrzucić swoje buty i skarpetki do przepełnionych kontenerów i pojemników na śmieci. Każdą rzecz oddzielnie. W pobliżu domu cisnęła swoją cienką kurtkę na pakę przejeżdżającej śmieciarki i wepchnęła džinsy oraz koszulkę

w podwozia dwóch różnych samochodów dostawczych zaparkowanych nieopodal sklepu pana Herrery.

Zamiast wejść do domu przez główne drzwi, zeszła do piwnicy, w której wciąż unosił się zapach drzewa sandałowego z wody kolońskiej Gila wymieszany z odrobiną pleśni i kurzu. Przeszukując stojące tu pudła, znalazła pojemnik z olbrzymią kolekcją jego świątecznych muszek i krawatów. Odłożyła je na bok, gdyż w kolejnym pudełku zauważyła starą parę szortów i T-shirt.

Szybko się przebrała, a zabrudzone ubrania wyrzuciła do worka na śmieci. Wzięła kilka oddechów, by się uspokoić. Chemiczny zapach zniknął, więc panika zaczęła ustępować miejsca prymitywnej złości.

Lore wdrapała się po wewnętrznych schodach na górę i zanurzyła w ciszy panującej na pierwszym piętrze budynku. Napięcie, które czuła w plecach i ramionach, już zelżało.

Rozejrzała się i niemalże uśmiechnęła. Miles usunął krew z korytarza i zgasił światło w salonie. Zostawił Atenie szklankę wody i aspirynę.

Jest taki pomocny, pomyślała, czując nagły przypływ sympatii do kumpla.

Spojrzała w lewo. Miles nie tylko zamknął drzwi, ale także podparł klamkę krzesłem – jak gdyby miało to powstrzymać łowców przed zainstalowaniem dostatecznej liczby materiałów wybuchowych, żeby wysadzić cały front domu.

Na dźwięk jej kroków Atena obróciła głowę i ponownie otworzyła oczy, które zabłyśły w pogrążonym w ciemności pokoju.

Wciąż przyciskała ręcznik do rany. Powietrze wokół niej nie poruszało się. Cisza wydawała się nienaturalna.

– Chcesz, żebym cię chroniła, ukryła przed ludźmi, którzy, jak sądzę, z radością by mnie zabili – szepnęła Lore. – I masz tego świadomość. To dlatego tutaj przysłaś, prawda?

Atena lekko skinęła głową.

– A co ja będę z tego miała? – zapytała dziewczyna, zbliżając się o krok. – Rozumiem, że to dla ciebie nowe doświadczenie, ale nawet jeśli wracasz do zdrowia szybciej od przeciętnego śmiertelnika, to jeszcze przez jakiś czas będziesz w naprawdę kiepskim stanie. Dlaczego miałabym wiązać swój los z kimś, kto może nie przeżyć kilku godzin, a co dopiero dni?

– Słyszałam... co ci się przytrafiło – powiedziała Atena. – Lata pomiędzy... szukałam... cię...

Włosy na ciele Lore stanęły dęba.

Po zakończeniu Agonu bogowie, zarówno ci starzy, jak i nowi, odzyskiwali nieśmiertelność. Pozostawiali jednak w świecie śmiertelników, niezdolni do powrotu do swoich dawnych domów.

Nowi, przepełnieni mocą bogowie celebrowali swoją fizyczność. Żyli pełną życia, manipulując losami świata tak, by napęlić skarbce swoich śmiertelnych rodów. Starzy bogowie, których moce stopniowo słabły, woleli pozostać bezcieleśni. Nie można było ich wysledzić, kiedy przemierzali ziemię i przygotowywali się na nieprzewidziane okoliczności kolejnych polowań. Czasami szukali zemsty na tych, którzy próbowali ich zabić. Właśnie dlatego łowcy zawsze nosili maski.

– Szukałaś mnie? – zdziwiła się Lore. – Ale dlaczego?

– Wierzyłam... że może ktoś... przekona cię, żebyś mnie wsparła... Usłyszałam twoje... imię... od innych rodów... Twoja rodzina... z a m o r d o w a n a . Matka... ojciec... siostry... – powiedziała Atena, oddychając z najwyższym trudem. – Uznali cię za... zaginioną. Niektórzy sądzili... że nie żyjesz.

Gardło Lore zacisnęło się. Prawie nie mogła mówić.

– Co wiesz?

Atena ponownie na nią spojrzała. Tym razem z miną osoby, która wiedziała już, że wygrała.

– Wiem... kto ich zabił.

ROZDZIAŁ PIĄTY



WSPOMNIENIE NABRAŁO OSTROŚCI. WYDAWAŁO SIĘ TAK PRAWDZIWE, ŻE PRZEBIŁO WSZYSTKIE BARIERY, którymi Lore je otoczyła. Drzwi do jej rodzinnego mieszkania, w stronę których szła tego ranka. Paraliżująca cisza. Zapach krwi.

Lore odetchnęła głęboko i przetarła oczy tak mocno, że pod powiekami zatańczyły jej plamki barw i światła. Na krótką chwilę odwróciła swoją uwagę od mrocznego szlaku, który ciągnął ją w dół.

Nie wiedziała, jakim cudem nie uniosła głosu.

– Wiem, kto ich zabił – powiedziała. – Aristos Kadmos z Domu Kadmosa.

Od końca ubiegłego Agonu nowy Ares.

– Być może fałszywy bóg... zdecydował o ich śmierci... ale czyja ręka dzierżyła miecz?

– drażyla Atena. – Przecież nie zrobił tego osobiście... Dopiero co narodził się jako bóg...

Ciało Lore stężało do tego stopnia, że zaczęło boleć.

– To bez znaczenia. Liczy się to, że wydał rozkaz – stwierdziła dziewczyna. – Stał wtedy na czele swojego rodu, a potem został bogiem. Dlatego oni wszyscy są odpowiedzialni. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy, którzy teraz przed nim klękają. Co do jednego! Zresztą tylko o n mógł to zlecić.

Ród posłuchał jego rozkazu. Zamordował jej rodziców i dwie małe siostry w tak okrutny sposób, że wysprzątanie mieszkania i ukrycie dowodów zbrodni zajęło Kadmitom kilka tygodni. Na koniec i tak podłożyli ogień pod jej dom. Według nowojorskiej policji rodzina Lore po kłótni o czynsz sama podpaliła lokal, po czym opuściła miasto i przepadła bez wieści.

Nikt z Domu Kadmosa nie przyznał się do morderstwa i zapewne nigdy tego nie zrobi. Wieki temu łowcy przysięgli na własny ród, że pomiędzy Agonami żaden z nich nie zabije innego łowcy. To był jedyny sposób na uniknięcie wojny.

Tymczasem jej rodzina zginęła o poranku. Już po zakończeniu Agonu. Wtedy, kiedy przysięga gwarantowała im bezpieczeństwo. Kadmici ją złamali. Niestety, żaden inny dom nie był na tyle potężny, żeby rzucić im wyzwanie. Żaden z bogów nie wysłuchał też modlitw Lore.

– Czemu... nigdy ich nie pomściłaś? – zapytała Atena. – Tyle czasu upłynęło... i nic nie zrobiłaś... Nawet nie poznałaś... swojej moiry... Nie szukałaś... poiné... Pozwoliłaś, żeby spadł na ciebie... najgorszy aidos...

Lore osunęła się na podłogę, zginając nogi w kolanach. Objęła je rękami, walcząc ze znajomym uciskiem w klatce piersiowej. Mojra... była jej losem, jej Przeznaczeniem.

– Te słowa nic już dla mnie nie znaczą – odpowiedziała dziewczyna zachrypniętym głosem, choć bolały ją, jakby ktoś rozdrapywał jej stare blizny.

Poiné. Zemsta.

Aidos. Wstyd.

Życie bez doskonałości areté² i własnego timé³. Bez szans na osiągnięcie kleos⁴.

– Byłam wtedy małą dziewczynką – usprawiedliwiła się, ledwie słysząc własny głos. – Zabiliby mnie. Nie miałam sił, żeby z nimi walczyć. Wiedziałam zresztą, że nigdy nie dopuszczą mnie do niego. Nie po tym, jak stał się bogiem.

Od tamtej pory zabijała, żeby samej nie zginąć. Podróżowała lądem, wodą i powietrzem,

aż wreszcie wróciła do miasta, które ją wychowało. Trzymała się jednak z daleka od labiryntu przysiąg mających uwięzić ją aż do dnia, w którym Agon zażądałby jej ostatniego oddechu.

Nie zrobiła nic, żeby pomścić swoją rodzinę.

Atena wykrzywiła usta.

– Wymówki... Te kłamstwa, które powtarzasz... Nigdy nie byłaś... zwykłą... dziewczynką. Słyszałam... co o tobie mówili... Nazywali cię najlepszą w całym pokoleniu... że to wstyd... że urodziłaś się w innym rodzie.

– Kłamiesz! – szepnęła Lore, choć przez jej ciało przeszedł dreszcz. Kiedyś te słowa wiele by dla niej znaczyły. Marzyła o uznaniu, którego wiecznie jej odmawiano.

– Spartanka... tak cię nazywali – westchnęła Atena. – Mała Gorgona... Szukałam cię... Wybrałam cię... bo znałam twoje możliwości... bo wiedziałam, że nie należysz już do łowców... Ty nigdy... nie byłaś słaba... nigdy nie byłaś b e z s i l n a... Dlatego pytam cię... Dlaczego nic nie zrobiłaś... żeby pomścić swoją rodzinę?

Lore objęła się rękami, próbując ukryć się za słowami Gila niczym za tarczą. Wiedziała jednak, że nie obronią jej przed prawdą.

– To nie jest... Nie zrozumiesz tego. Na tym świecie wartościowe jest jedynie to, co możesz zrobić dla innych. To, że możesz się nimi zająć.

Bogini parsknęła kpiąco.

– Wszystko, na czym się znasz – kontynuowała Lore, choć w tej chwili szczerze nienawidziła głębokiego tonu swojego głosu – i wszystko, na czym kiedykolwiek ci zależało, sprowadza się do władzy. Nie pojmujesz, jak można pożądać czegoś innego. Dlatego pewnie nie uwierzysz, kiedy powiem, że nie chcę waszych mocy. Nie chcę brać udziału w tej chorej grze.

– Więc czego... tak naprawdę chcesz? – zapytała Atena.

– Wolności. – To słowo samo wymknęło się Lore. Wydawało się dzikie i przepełnione bólem.

– Nie – odpowiedziała zbolalym głosem bogini. – Nie o to mi chodzi. Czego... sobie odmawiasz?

Przed oczami Lore pojawiła się wizja. Jasna i czysta. Dziewczyna potrząsnęła głową, chcąc się jej pozbyć.

– Możesz okłamywać siebie... ale mnie... nie okłamiesz – oświadczyła Atena. – Widzisz... Nigdy nie będziesz wolna... dopóki cienie twojej rodziny... będą wędrować za tobą w cierpieniu... Nie zaznają spokoju, dopóki on żyje.

Lore przycisnęła pięści do oczu, szukając słów, którymi mogłaby się obronić.

– Odrzucasz swoje dziedzictwo... Plamisz swój honor... Wyrzekasz się swoich przodków, swoich bogów... Ale przecież nie możesz temu zaprzeczyć – mówiła Atena. – Bo wiesz, że to prawda... Dlatego powiedz mi, czego pragniesz...

Prawda w końcu wyrwała się z klatki.

– Chcę go zabić.

Lore przez całe lata wmawiała sobie, że jest inaczej. Ukryła prawdę głęboko w sercu. Chciała być dobra, bo chciała zasłużyć na swoje nowe życie. Nie wstydziła się mrocznych pragnień ani też snów o śmierci mordercy. Częściej jednak dręczyło ją wrażenie, że nie zasłużyła na szansę, jaką otrzymała wraz z pracą u Gila.

– Tylko że nie potrafię – dodała, czując ucisk w gardle. – Nawet gdybym zdołała się do niego zbliżyć i jakimś cudem go zabić, to odebrałabym mu moc. A ja nie chcę zostać boginią. Wolę wieść normalne życie. Zależy mi tylko na wiecznym spokoju mojej rodziny.

– Więc zabiję go dla ciebie.

Lore z niedowierzaniem spojrzała na Atenę.

– Zabiję fałszywego Aresa w twoim imieniu – wyjaśniła Atena, z trudem łapiąc oddech. – Jeśli obiecasz... że mi pomożesz... jeśli przysięgniesz... związać swój los z moim aż do... końca tego polowania... do wschodu słońca... ósmego dnia.

Serce Lore znów zaczęło galopować w jej piersi.

To był jakiś pomysł. Nie tylko zniszczyłaby Aristosa Kadmou, ale... Bóg nie mógł odebrać mocy innemu bogu. Tym samym Atena raz na zawsze usunęłaby niebezpieczne moce Aresa z Agonu – i ze świata śmiertelników.

– Zwiąż ze mną swój los – powtórzyła bogini, wyciągając zakrwawioną dłoń. – Tego właśnie pragniesz... w głębi serca...

Twarz Gila i jego typowy szeroki uśmiech zamajaczyły przed oczami Lore.

Przepraszam, pomyślała zmęczona.

Potem skinęła głową.

Atena odsłoniła zakrwawione zęby w półuśmiechu.

– Wiesz, co to znaczy, prawda? Z czym wiąże się taka przysięga?

– Wiem.

Przestrołę stanowiły koleje życia jej wielokrotnego pradziadka, który nierozsądnie związał się z pierwotnym Dionizosem i musiał chronić go przed potomkami Kadmosa. Co prawda Dionizos za sprawą swojej śmiertelnej matki należał do Kadmitów, lecz przeklął ów ród i samego Kadmosa. Miał powód – nie uwierzono mu, iż jest synem Zeusa.

Kiedy umarł, osaczony i zarżnięty niczym dzik, serce jej przodka również przestało bić.

Odszedł w mgnieniu oka, choć uchodził za najsilniejszego w całym pokoleniu. W historii rodu zapisał się jako zdrajca. Ojciec Lore uważał nawet, że to właśnie on przyczynił się do wielowiekowej animozji pomiędzy domami Perseusza i Kadmosa.

Lore zamierzała zgodzić się chronić Atenę, nawet kosztem własnego życia. Musiała wierzyć, że bogini nie umrze od najmniejszej rany. To było spore ryzyko. Nie bez powodu przysięga uchodziła za klątwę rzuconą na siebie – Lore miałaby przechłapaną nie tylko wtedy, gdyby zawiodła, lecz także wtedy, kiedy podołałaby zadaniu. Wiedziała jednak, że lepszej okazji do wymierzenia sprawiedliwości pewnie mieć nie będzie.

Spróbowała przypomnieć sobie słowa, których używali jej rodzice, kiedy coś ślubowali. Nie potrafiła jednak zmusić się do przywołania imienia któregośkolwiek z bogów.

– Pomogę ci przetrwać ten tydzień, a ty w rewanżu zniszczysz boga znanego kiedyś jako Aristos Kadmou, wroga mojej krwi – powiedziała Lore cichym głosem i ujęła chłodną dłoń bogini. – Jeśli taka jest cena, to przysięgam na wszelkie moce, że dotrzymam słowa lub stawię czoła gniewowi niebios.

Atena skinęła głową.

– A zatem wiąże swoje śmiertelne życie z twoim... Meloro, córko Demosa z rodziny Perseusza... Jeśli upadnę... upadniesz razem ze mną. Jeśli umrzesz w Agonie... i ja zginę. Oto słowa przysięgi, którą składamy sobie nawzajem.

Ciepło osnuło ich złączone dłonie, jakby w kontraście do przypominającego ostrze chłodu ciągnącego się wzdłuż kręgosłupa Lore. Jak dobrze, że moc Ateny uzewnętrzniała się jedynie w formie bólu i stali.

– Udało się? – zapytała Lore.

Odpowiedzią był okrutny, krwawy uśmiech bogini.

Lore cofnęła się i niepewnie podniosła z ziemi. Czuła iskry skaczące po jej skórze niczym gwiazdy na niebie, wsiąkające w nią aż po szpik kości.

– Musimy powstrzymać krwawienie – zdecydowała, spoglądając na ranę bogini. – Nie wiem tylko, czy mam odpowiednią nić, żeby zszyć ci tę ranę.

Bogini pokręciła głową.

– Przypal ją.

Lore wyprostowała się i ruszyła w stronę kuchni. Czuła się na wpół oderwana od swojego ciała. Opaliła jeden z noży nad palnikiem kuchenki gazowej, aż jego ostrze zaśniło niczym iskry w oczach Ateny.

Miles, pomyślała nie do końca świadomie. Postanowiła sprawdzić później, co u niego.

Tymczasem Miles chciał sprawdzić, co z przyjaciółką, i znajdował się już na dole.

Siedział na schodach, obserwując znad drewnianej barierki to, co działo się w salonie. Lore odniosła wrażenie, że cała krew odpłynęła mu w twarzy. Domyśliła się, że wszystko słyszał, zanim jeszcze spojrzał na nią i jej nóż.

– Lepiej będzie – wychrypiał w końcu – jeśli wreszcie wyjaśnisz mi, co się tu dzieje, do cholery.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



SIEDZIELI W MILCZENIU PRZEZ DOBRYCH PARĘ CHWIL PO TYM, JAK LORE SKOŃCZYŁA przedstawiać Milesowi skróconą historię Agonu. Opowiedziała przyjacielowi o losach dziewięciu bogów, dla których Agon miał stanowić karę – wliczając w to dzieje kobiety, której ranę Lore przypaliła w salonie – a także dziewięciu rodów krwi wywodzących się od starożytnych bohaterów zaproszonych do udziału w polowaniach.

Streściła ponad tysiąc lat historii w zaledwie kilka minut. Czuła przy tym, jak powoli ogarnia ją szaleństwo, tymczasem twarz Milesa pozostawała niewzruszona.

Nie mogła go za to winić. Kiedy mówiła, że „co siedem lat przez siedem dni bogowie przebywają na ziemi niczym zwykli śmiertelnicy i jeśli zdołasz zabić któregoś z nich, zajmiesz jego miejsce, zyskasz jego moc i nieśmiertelność, ale też staniesz się celem w następnym Agonie”, jej własny żołądek wariował. I to wcale nie dlatego, że od dzieciństwa powtarzano jej, żeby nigdy nie zdradzała tajemnic tego świata osobom z zewnątrz.

Dla Milesa kolejne wymieniane przez nią imiona – Atena, Artemida, Apollo, Posejdon, Hefajstos, Afrodyta, Dionizos, Hermes i Ares – stanowiły jedynie część prastarych mitów. Nie były żywymi, oddychającymi potworami, które nie umierały, dopóki w ich krainie nie pojawił się nowy, potężniejszy bóg.

Według łowców bogowie zmusili swoich wyznawców do uległości, siejąc chaos po upadku Rzymu. Przykładowo polecili Apollovi stworzenie śmiertelnych plag, spośród których sama dżuma Justyniana zabiła dziesiątki milionów ludzi. Zrobili to tylko po to, żeby śmiertelnicy błagali ich o pomoc i schronienie.

– A kiedy Zeus rozkazał im przestać – kończyła opowieść Lore – cała dziewiątka pod przewodnictwem Ateny postanowiła go obalić, aby móc kontynuować swe dzieło. Tyle tylko, że nie dali rady.

Gil zawsze parzył herbatę, kiedy musieli o czymś porozmawiać. Teraz też Lore postanowiła tak zrobić. I to nie z torebek! Zupełnie jakby pamięć mięśniowa przejęła nad nią kontrolę i kazała jej przygotować nieco inny napar niż zwykle.

Zdecydowała się na herbatę, którą łowcy w żartach nazywali nektarem, a więc napojem bogów. Składała się tymianku – zioła dodającego odwagi – oraz imbiru, cytryny i miodu, które wzmacniały ich zarówno podczas treningów, jak i samego Agonu.

Napar w obu kubkach zdążył wystygnać nietknięty. Naczynia wciąż stały na stole, gdzie Lore je postawiła.

Klimatyzator cicho szumiał, wypełniając kuchnię chłodem. Lore zaciągnęła zasłony w oknie nad zlewem, jednak po sposobie, w jaki słońce próbowało się wdrzeć do pomieszczenia, domyśliła się, że jest już późny poranek.

– Powiedz coś – szepnęła.

– To znaczy... – zaczął Miles, przeczesując dłonią włosy. Patrzył tępo w stół. – Nawet nie nazywasz się Lauren.

– Chyba rozumiesz, że nie mogłam używać swojego prawdziwego imienia? – zapytała.

Nawet nie chodziło o to, że się ukrywała. Imię i nazwisko Lauren Pertho widniały w fałszywych dokumentach, które przygotował dla niej ród jej matki. Dzięki nim wydostała się

z kraju po śmierci rodziny i od tej pory z nich korzystała.

– Nie wiem, co o tym myśleć – przyznał Miles. – I czy wszystko dobrze zrozumiałem. A zatem co siedem lat... dochodzi do tego polowania. Miejsce akcji się zmienia, tak jak w przypadku igrzysk olimpijskich, tylko tu ginie więcej ludzi.

– Coś w ten deseń – potwierdziła Lore. – Łowcy w pewnym momencie zorientowali się, że mogą zmienić miejsce Agonu, przenosząc omfalos. To taki duży kamień, który kiedyś znajdował się w Delfach i który uważano za pępek świata. To znaczy jego środek.

– Jak ten pępek z wiersza? – zapytał.

Wyrecytowała tłumaczenie wystąpienia Zeusa wzywającego rody na Agon. Oryginalna wersja, zapisana w starożytnym języku, zaginęła bez wieści.

– Przywódcy poszczególnych rodów zbierają się na rok przed Agonem i głosują, gdzie tym razem się odbędzie. Najczęściej wybierają miejsce, w którym mają najwięcej zasobów i mocy – dodała. – Potem muszą w tajemnicy przed bogami przenieść omfalos, utrudniając im przygotowanie strategii obronnej. Ostatnio Agon odbywa się tutaj, ale czasami przywódcy wybierają również miasta krajów wyspiarskich, chociażby Londyn czy Tokio. W ten sposób chcą utrudnić bogom ucieczkę. I niekiedy w cyklach, w czasie których starali się wyjątkowo mocno dać się bogom we znaki, przenosili omfalos do ich ojczystego kraju. Polowali wówczas na nich wśród ruin ich świątyń i ludzi, w których owi bogowie wzbudzali niegdyś strach.

– Dziewięć rodów... – zaczął Miles.

– W Agonach biorą udział już tylko cztery – powiedziała Lore. – Pozostałe wymarły.

– Jak twój? – upewnił się Miles. – Ponieważ jesteś... ostatnią ze swojego rodu?

– Ostatnią śmiertelniczką – sprostowała. – Nowa Posejdon, zwana Dawczynią Przypływów, należała kiedyś do Perseidów, czyli potomków Perseusza.

– A pozostałe rody?

– Do rodów żyjących należą też domy Kadmosa, Tezeusza, Achillesa i Odyseusza – wyjaśniła Lore. – Niegdyś istniały jeszcze domy Heraklesa, Jazona... – Kolejne postanowiła opisać bardziej szczegółowo, gdyż wydawało jej się, że nikt ich już nie pamięta: – I Meleagera, który dowodził polowaniem na dzika kalidońskiego, oraz Bellerofonta, który dosiadał Pegaza i zabijał potwory. Te dwa rody wymarły jako pierwsze.

Unicestwiono je zaraz po tym, jak w XVI wieku w wyniku zmieniających się potrzeb prawnych rody zdecydowały się na ujednolicenie nazwisk. Wkrótce oba domy zostały uznane za niegodne udziału w polowaniu, nawet przez przedstawicieli przekłętego rodu Jazona. W przypadku Domu Meleagera chodziło o to, że pozostali potomkowie pochodzili od przodka z nieprawego łoża. Z kolei potomkom Bellerofonta zarzucano, że ich przodek zmarł znienawidzony przez bogów i tylko Zeus mógłby przywrócić go do łask.

– Sądziłem, że to Herkules... Herakles jeździł na Pegazie – wtrącił Miles. – Twierdzisz, że mój ulubiony film animowany to bujda na resorach?

Lore westchnęła.

– Nie wiem, czy powinienem o to pytać, ale... co się stało z resztą twojej rodziny? – odezwał się po krótkim namyśle.

Przez chwilę zastanawiała się, od czego zacząć.

– Istnieje pewna zasada, czy też raczej powszechnie obowiązujące przekonanie, że jedynie mężczyźni, a ściślej przywódcy wybrani przez poszczególne rody, mogą rościć sobie prawo do boskich mocy – wyjaśniła, czując, że robi się sztywna ze złości. – Tylko mężczyźni mogą być spadkobiercami przywilejów przynależnych śmiertelnikom bądź nieśmiertelnym. Posiadanie męskiego przywódcy ułatwia proces dziedziczenia. Jeśli dany archont polegnie albo zyska nieśmiertelność, cała władza może przejść w ręce jego syna, brata lub bratanka. W tym

celu ród spotyka się przed kolejnym Agonem i w głosowaniu decyduje, komu przypadnie ten zaszczyt.

Z każdym kolejnym słowem Lore czuła rosnące obrzydzenie, aż wreszcie nieprzyjemna gorycz wybiła w jej ustach. Ona też kiedyś wierzyła w tę zasadę. Może nawet więcej niż wierzyła. Jako dziecko oddałaby życie, byle tylko utrzymać okrutny porządek tego męskiego świata.

– Naprawdę nie pozwalają kobietom sięgnąć po ten tytuł? – zapytał Miles. – Nawet współcześnie?

Jej nozdrza rozszerzyły się wraz z kolejnym oddechem.

– Minęły stulecia, zanim w ogóle pozwolili kobietom polować. Nawet teraz tylko nieliczne z nas pracują dla swoich archontów. I oto nagle, czternaście cykli temu, Dawczyni Przyptywów celowo lub przypadkowo sięgnęła po boskość. W dodatku przejęła ją nie od byle kogo, bo od jednego z pierwotnych bogów, Posejdona.

Do nowej bogini Lore czuła głęboko zakorzeniony wstręt i jednocześnie jej współczuła. Nauczono ją nienawidzić Dawczyni Przyptywów za to, co stało się z Domem Perseusza. Powtarzano jej, że dopuściła się czegoś złego. Wcale nie dlatego, że zabiła boga, ale że zrobiła to jako kobieta.

– No dobrze, ale czemu ta pani Posejdonowa miałaby odpowiadać za śmierć... twojego domu? – zapytał Miles, wahając się przy ostatnich słowach. – Sądziłem, że nowi bogowie chronią swoje rody i służą im.

– Bo tak jest – odpowiedziała. – Dawczyni Przyptywów została jednak odrzucona przez Perseidów i musiała ukrywać się podczas kolejnych cykli Agonu, gdyż nie miała rodziny, która dbałaby o jej bezpieczeństwo. Zresztą wszystkie rody uznały ją za poważne zagrożenie dla starego porządku świata. Wcześniej nie wiedzieliśmy, czy kobieta może dostąpić zaszczytu wstąpienia. Ona tego dowiodła. Sama ta idea uchodzi za niebezpieczną.

Miles westchnął.

– Chyba domyślam się, dokąd zmierza twoja opowieść.

– Aby mieć pewność, że sytuacja się nie powtórzy, ostatniego dnia tego samego Agonu pozostałe rodziny z archontem rodu Kadmosa na czele zniszczyły niemal cały Dom Perseusza. Zrobiły to, kiedy zabijanie innych łowców było jeszcze dozwolone – wyjaśniła Lore. – Oprócz Dawczyni Przyptywów przetrwał jedynie mój prapradziadek, który wybrał uczelnię zamiast uczestnictwa w polowaniu.

– Cholera jasna! – zaklął Miles.

– Rody postanowiły oszczędzić go, lecz stale dręczyły, raz po raz upokarzając – dodała Lore. – Poza tym zajęły wszystkie zbrojownie Perseidów, podzieliły się naszymi lukratywnymi imperiami skutniczymi i włókienniczymi, dowodzącemu rodem Kadmosa powierzyły zaś największy skarb mojej rodziny. Nasze dziedzictwo. Egidę. To tarcza Zeusa, ozdobiona głową Gorgony Meduzy, noszona w wielu bitwach przez jego ukochaną córkę Atenę. Została podarowana nam przez samego króla bogów tuż przed polowaniem. To artefakt zdolny do przywołania piorunów, siejący nienaturalne przerażenie w sercach tych wrogów, którzy na niego spojrzeli. Egidy zazdrościły nam wszystkie domy. Powszechnie uważano, że Perseidzi otrzymali coś, co dawało im przewagę. Na przestrzeni wieków wiele innych artefaktów zostało zniszczonych przez rywalizujące ze sobą rody. I to tylko po to, żeby uniemożliwić ich użycie.

Co ważne, tylko członkowie konkretnego rodu mogli używać darów przekazanych ich domowi. Kadmici być może zdobyli egidę, jednak żaden z nich nie był w stanie nią władać. A prawda o prapradziadku Lore była okrutniejsza, niż dziewczyna sądziła. Oszczędzono go z tego samego powodu, dla którego oszczędzono ją. Bano się, że egida zniknie, kiedy ostatni

z Perseidów zginie.

– Łał – szepnął Miles. – A twoja rodzina... Rodzice?

– I siostry.

Skrzywił się. Kiedyś Lore wspomniała mu o tym, co wcześniej wyjawiała też Gilowi. Że jej bliscy zginęli, a ją samą wbrew jej woli oddano na wychowanie człowiekowi z rodziny jej matki. Tak rzeczywiście było. W dużym uproszczeniu.

– O ich śmierci zdecydował Aristos Kadmou, wnuk człowieka, który dowodził pierwszą egzekucją Perseidów – wyjaśniła.

– Ten sam, który jest teraz nowym... Aresem? – upewnił się Miles. – Bo podczas ostatniego Agonu, siedem lat temu, zabił poprzedniego nowego Aresa?

– Ten śmiertelnik sądzi, że kłamiesz.

Niski głos Ateny całkowicie ją zaskoczył. Milesa nawet bardziej. Poderwał się z krzesła, przewracając je na ziemię, i przykładając dłoń do piersi, uderzył się o biał.

– Jezu! – ryknął. – To znaczy... ja nie...

Następnie wykonał coś, co wyglądało jak połączenie skłonu z dygnięciem.

– To prawda? – zapytała go Lore. – Nie wierzysz mi?

Atena wypełniła swoją osobą całe wejście. Oparła się ciężko o framugę, przyciskając rękę do rany w swoim boku.

– To znaczy... wierzę – odpowiedział Miles. – Wierzę ci. Jednak przyjęcie tego do wiadomości zajmie mi jeszcze trochę czasu. Chyba to rozumiesz?

Bogini spojrzała na niego drwiąco, po czym przeniosła wzrok na Lore.

– Naczynie wymaga utrzymania – oświadczyła.

– Chcesz... śniadanie? – domyśliła się dziewczyna.

Atena zajęła wolne krzesło. Lore przez chwilę ją obserwowała. Poczula nieprzyjemny ucisk w żołądku, widząc ją w domu Gila, na jego krześle. W końcu jednak podniosła się z miejsca i podeszła do lodówki.

Po kilku minutach postawiła na stole trzy talerze z jajecznicą na bekonie i trzy szklanki wody. Potem wraz z Milesem patrzyli, ściskając w dłoniach widelce, jak Atena chwytając kawałek bekonu palcami i przysuwa sobie pod nos, żeby go powąchać.

Lore zawsze uważała, że darmowe jedzenie smakuje najlepiej. Bogini najwyraźniej nie podzielała jej opinii. Ostrożnie ugryzła kawałek mięsa i całe jej blisko dwumetrowe ciało zadrżało.

Jak zwykle lojalny Miles, choć tyle lat żył w kłamstwie, spróbował dania i oświadczył:

– Najlepszy bekon, jaki kiedykolwiek jadłem.

– Jeśli nie chcesz, to nie jedz – zwróciła się Lore do Ateny bardzo chłodnym tonem.

Bogini spróbowała wody, wykrzywiając usta w szyderczym uśmiechu.

– Chodzi o ogólne w r a ż e n i e – stwierdziła, zmuszając się do przełknięcia odrobiny jajka. – Muszę zniżyć się do zaspokajania... tak podstawowych potrzeb. Muszę z m u s i ć się do spożywania tak mdłych, odrażających wiktuałów. Alternatywę stanowi głód. B ó l . To nie do zniesienia.

– No cóż – westchnęła Lore. – Stwierdzenie „nie do zniesienia” dobrze podsumowuje wiele ludzkich egzystencji.

Miles spojrzał na nią zaskoczony, ale tym razem zachował swoje uwagi dla siebie.

– A zatem – zaczął, spoglądając na siedzącą tuż obok niebiańską istotę, wciąż brudną i zakrwawioną. – Co zrobiłaś ze swoją sową?

Spojrzenie, jakim go obdarzyła, zniszczyłoby całą dzielnicę, gdyby tylko bogini była w formie.

– No i co z tarczą? – kontynuował niezrażony Miles.

Szklanka wyślizgnęła się z dłoni Lore i rozbiła w zlewie.

– Wszystko w porządku? – zapytał przyjaciel i podszedł, by jej pomóc.

Odgoniła go gestem dłoni, a kiedy ponownie usiadł, wzięła się do porządków.

– Aegis – wycodziła Atena, upewniając się, że użyła właściwej nazwy. – To prawda, nosiłam tarczę mojego ojca. Podarował ją wieki temu łowcom razem z pozostałą naszą bronią i licznymi boskimi artefaktami. Od tamtej pory jej nie widziałam. Zresztą nie mogłabym z niej skorzystać. No chyba że znalazłaby się w moich rękach przed upływem siedmiu dni Agonu, kiedy odzyskam swą boską postać.

– Nieprawda – wtrąciła Lore. – Ktoś z mojego rodu musiałby przekazać ci ją z własnej woli. Chyba zdajesz sobie sprawę, że to niemożliwe. Przecież od dziesięcioleci mają ją Kadmici!

– Wiesz to na pewno? – zapytała bogini. – Zresztą w jakim celu opowiadasz to wszystko śmiertelnikowi, Meloro? Co dobrego może z tego wyniknąć?

– Czuję się zmęczona ciągłym okłamywaniem go – wyjaśniła Lore, starając się kontrolować swój temperament. – Choć rozumiem, że przyjaźń może być dla ciebie obcą koncepcją. Daj mi znać, jeśli potrzebujesz jej zaktualizowanej definicji. Bo zdaje się, że przyjaźniłaś się z Artemidą. Przynajmniej zanim cię dźgnęła.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiem, ale jeśli chodzi o dźganie, właśnie po raz pierwszy w życiu ucieszyłem się, że nie mam siostry – powiedział Miles, choć wyglądał na nieszczęśliwego. – A więc z pierwotnych bogów jeszcze tylko Artemida walczy w Agonie?

Podbródek Ateny uniósł się, wyznaczając Lore do odpowiedzi.

Zignorowała to.

– Nie, jest jeszcze Hermes. No i Apollo.

– I tu właśnie się mylisz – stwierdziła surowym tonem Atena. – Apollo został zabity pod koniec ostatniego Agonu.

Lore poczuła ukłucie ciekawości i nie zdołała go stłumić. Ścisnęła dłonie pod stołem, czekając, aż niepożądane odczucie ją opuści.

– Podobno rzeczywiście zginął, ale nikt tego nie widział – wyjaśniła Lore. – Krążyły takie plotki, ale mogły przecież pochodzić od rodu, który poznał jego miejsce pobytu i chciał tę informację zachować dla siebie. Chociażby po to, żeby spokojnie zapolować na niego w czasie następnego cyklu. Jeśli Apollo rzeczywiście nie żyje, to z jakichś powodów dom jego nowego wcielenia zachował jego tożsamość w tajemnicy. Osobiście nie zdziwiłabym się, gdyby chodziło o Dom Tezeusza. W zeszłym roku właśnie ten ród dokonał znaczących inwestycji w energię słoneczną.

Lore wyjaśniła już Milesowi, że nowy bóg może przynieść korzyści finansowe swojemu rodowi, wpływając na losy świata tak, żeby wspierać interesy domu. Na przykład obecna nowa Afrodyta wciągnęła Dom Odyseusza w serię niezwykle udanych hollywoodzkich projektów. Nowy Ares, w tym Aristos Kadmou, mógłby dla odmiany zaognić konflikty międzynarodowe, jako że jego ród zainwestował w fabryki broni. Nowy Dionizos pewnie postawiłby na megakościół lub kult zagłady. Bogowie mieli ogromne możliwości, ograniczone jedynie własną kreatywnością.

– Naliczyłem ośmiu bogów – oświadczył Miles. – Kim jest ostatni?

– Hefajstos – odpowiedziała Lore. – Ale jego już nie ma.

– Został zniszczony przez żadnego jego mocy uzurpatora – warknęła Atena.

– Być może twój ojciec powinien osobiście spisać instrukcje, zamiast powierzać to zadanie kilku gościom, którzy w rezultacie spłodzili marne wiersze upamiętniające jego ówczesną przemowę – stwierdziła Lore. – To nie wina łowców, że musieli sami wypracować

obowiązujące zasady.

– Oczywiście – prychnęła szyderczo Atena. – Temu arogantowi nie wystarczyło, że zdobył moc jednego boga. Głupiec uparł się, że zabije Hefajstosa, aby upewnić się, że rzeczywiście nie może przejąć jego mocy. No i nie mógł.

– Tutaj się zgodzę – powiedziała Lore. – Nikt nigdy nie popełnił już tego błędu. Łowcom zależy przecież na tym, żeby szans na nieśmiertelność było jak najwięcej. Dlatego właśnie bitwy nigdy się nie skończą. Ludzie na to nie pozwolą.

Z każdym uderzeniem tykającego tuż obok zegara, należącego niegdyś do dziadka Gila, Lore robiła się coraz bardziej nerwowa.

– Więc jaki macie plan? – zapytał Miles

– Ty masz staż – przypomniała Lore. – I znajdziesz sobie przyjaciela, u którego zatrzymasz się aż do następnej niedzieli.

– Że co? – zdziwił się. – Więc po co mi to wszystko opowiadałaś?

– Po to, żebyś zrozumiał, jak bardzo zrobiło się niebezpiecznie.

– Jeśli zrobiło się niebezpiecznie, to tym bardziej nie opuszczę tego domu. Nie zostawię cię – stwierdził. – Napiszę mejla do szefowej, że mam paciorkowca. A na staż nie pójdę i nie zmusisz mnie do tego.

Atena przyglądała mu się z zaskoczeniem i aprobatą. Lore to zauważyła i zazgrzytała zębami.

– Wolę towarzystwo tego śmiertelnika – oświadczyła bogini.

– Ten śmiertelnik nie zna nawet podstaw walki na noże – odpowiedziała Lore i podniosła się, żeby sprzątnąć puste talerze. – Jeśli padniesz w walce jako pierwsza, przegrasz.

Spojrzała na Milesa.

– Nie wiem, jak długo ten dom będzie bezpiecznym schronieniem. Pewnie udało mi się zmylić psy myśliwskie podążające tropem Ateny, jednak na dłuższą metę to za mało...

– Nie zamierzam być więźniem w twoim domu – stwierdziła Atena. – W razie potrzeby skorzystam z mocy, żeby zamaskować swoją obecność. Zadowolę się pobytem tutaj do czasu, aż to śmiertelne naczynie wyzdrowieje. Prędzej czy później będę musiała opuścić te mury, chociażby po to, żeby dopełnić przysięgi. A ty, Meloro Perseous, wiesz znacznie mniej, niż ci się wydaje. Nie masz pojęcia, czego fałszywy Ares poszukiwał przez ostatnich siedem lat.

Przed oczami Lore znów pojawiła się twarz Castora. *On czegoś szuka...*

– A ty wiesz?

Atena pokiwała głową.

– Ten... wiersz, który tak wysoko cenicie, który recytujecie, jakby stanowił prawdę objawioną, w rzeczywistości jest niekompletny. Możliwe też, że istnieje jego inna wersja. I on jej szuka. Chce się z niej dowiedzieć, jak zakończyć Agon i w jaki sposób zwycięzca może zyskać nieograniczoną moc.

Umysł Lore wyłączył się, pozwalając ciału zareagować. Poderwała się z krzesła tak szybko, że przewróciło się, łomocząc o kafelki. Nie wiedziała, dokąd mogłaby pójść, a jej ręce nie miały się czego chwycić, poza sobą nawzajem.

– Co? – zapytała.

Zdezorientowany Miles spoglądał to na nią, to na Atenę.

Bogini chwiała się na krześle, wyraźnie osłabiona z powodu obrażeń wewnętrznych i utraty krwi.

– Tropiliśmy go z siostrą. Fałszywy Ares niczego bardziej nie pragnie niż tych informacji. Kazał szukać wiersza swoim łowcom – kontynuowała. – Podejrzewam, że nie muszę ci mówić, co stanie się z tym światem, kiedy wreszcie go zdobędzie. Dlatego musimy się

spieszyć. Jeśli zlokalizujemy ten zagubiony fragment... czy też oryginalną wersję... staniemy mu na drodze i wówczas będę miała okazję, żeby go wykończyć.

Jeśli udałoby się im znaleźć ten wiersz – o ile w ogóle istniał – to Atena zdobyłaby wiedzę, o której marzył Aristos Kadmou. Lore wolałaby tego unikać. Nie chciała, żeby przejął go którykolwiek łowca czy ktoś z nieśmiertelnych. Najlepiej byłoby, gdyby Lore jako pierwsza odnalazła tekst i – jeśli to możliwe – zniszczyła go lub...

Jej umysł dokończył mroczną myśl. *Zabiła każdego łowcę, który poznałby jego treść.*

– W swoim obecnym stanie nie zdołasz mu nic zrobić – powiedziała Atenie. – Prawdopodobnie potrzebujesz transfuzji krwi i jakichś antybiotyków.

– Nie potrzebuję tego typu medykamentów – stwierdziła bogini. – Czyżbyś wątpiła w moje moce, dziecko? – Choć co chwilę mrugała, walcząc z zamykającymi się oczami, zdawała się tego nie zauważać.

– Wątpię w twoje śmiertelne ciało – wyjaśniła Lore.

– Może znasz kogoś zaufanego, kogo mogłabyś poprosić o pomoc? – zapytał Miles.

– Tak – odpowiedziała, ale nie dodała jakże istotnego „być może”.

Castor został uzdrowicielem, więc pewnie miał dostęp do apteczki swojego rodu – lekarstw, krwi i wszystkich tych specyfików, których Lore nie zdołałaby kupić na ulicy. Chętnie schowałaby swoją dumę do kieszeni i poprosiła go o pomoc, jeśli przybliżyłoby to dzień śmierci Aristosa Kadmou. Problem w tym, że kiedy Castor do niej przyszedł, wściekła się i zachowała nierozsądnie. A choć jej dawny przyjaciel nie zwykł się obrażać, to nowego Castora przecież nie знаła.

Apodidraskinda.

To było zaproszenie do zabawy... czyż nie?

– Mogę poszukać pomocy, a także dowiedzieć się więcej o oryginalnej wersji wiersza. Popytać, kto może ją mieć – zaczęła Lore. – Większość łowców ściągnęła teraz do miasta, więc być może przechowują ją w jednym z archiwów rodów krwi. Gdzieś w innym kraju.

– Jest tutaj – powiedziała Atena. – Nie mam co do tego wątpliwości. Zresztą fałszywy Ares nigdzie się stąd nie rusza. Dlatego wierzę, że wiersz znajdziemy w tym mieście, w skarbcu czy w czyjejś pamięci.

Lore skinęła głową.

– Czy powinniśmy martwić się twoją siostrą? Może wrócić, żeby dokończyć zadanie?

– Artemida zraniła mnie tylko po to, żeby wymknąć się łowcom z rodu Kadmosa, którzy napadli na nas podczas Przebudzenia – wyjaśniła Atena. – Nasz sojusz być może dobiegł końca, ale nie brakuje jej... obowiązków. A ja odwzajemnię się jej nożem, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

– A co z Hermesem? – zapytała Lore.

– Od jakiegoś czasu go nie widziałam – przyznała beznamietnym tonem Atena. – Nie z mojej winy. Kiedy głupiec zerwał nasz pakt cztery dekady temu, odmówiliśmy mu pomocy. A on nam.

– Ciekawe dlaczego – mruknęła dziewczyna, po czym ponownie spojrzała na boginię. – Pod moją nieobecność spróbuj się umyć.

Atena oderwała kosmyk włosów przyklejony krwią do policzka i skinęła głową. Lore poszła za nią na górę, do łazienki. Chciała zapewnić sobie spokój podczas nieobecności, dlatego napełniła wannę wodą, nasypała do niej soli i naalała olejków eterycznych. Tuż obok zlewu położyła czyste bandaże.

– Znajdę ci jakieś ubranie – powiedziała, wychodząc z łazienki. – Muszę jednak cię ostrzec. Nie będzie ono takiej jakości, do jakiej jesteś przyzwyczajona.

Atena zerknęła na nią znad ramienia. Jej oczy zabłyśły.
– Jestem przekonana, że cokolwiek znajdziesz, jakoś to... zaakceptuję.
Lore zatrzymała się w drzwiach, chwytając palcami framugę.
– Wychodzę na jakiś czas – powiedziała cicho. – Poszukam uzdrowiciela. Miles będzie przy tobie bezpieczny, bo nie wiem, co bym sobie zrobiła, gdyby coś mu się stało.
Usta bogini wydęły się w kpiącym uśmiechu.
– Oczywiście. Choć...
– Co? – zapytała Lore.
– Jedna rzecz w twojej opowieści się nie zgadza – oświadczyła Atena. – Zostaliśmy ukarani nie za wymordowanie milionów ludzi, ale za najechanie ziemi należącej do innych bogów. W ten sposób naruszyliśmy spokój naszych... świata, o którym śmiertelnicy nawet nie słyszeli.
– To... – zaczęła Lore. Mogła skończyć to zdanie na wiele różnych sposobów. Powiedzieć: „koszmarne”, „okrutne”, „niewiarygodne”. Wszystkie te określenia byłyby prawdziwe.
Ostatecznie nie dokończyła myśli. Atena zamknęła drzwi do łazienki, a Lore została na korytarzu. Sięgnęła do kieszeni po naszyjnik od Gila. Zaciśnęła dłoń na piórku i przez chwilę stała w ciemnościach, czekając, aż jej serce się uspokoi.
Nie zostało utracone, pomyślała. Odzyskało wolność.
Kiedy ten tydzień dobiegnie końca i Atena wywiąże się ze swojej obietnicy, również i Lore odzyska wolność. Od Agonu. Od bogów. Od łowców.
Nie zdziwiła się, kiedy zastała Milesa w swoim pokoiku, siedzącego na skraju łóżka. Stanowił najbardziej interesujący element w tej bardzo zwyczajnej przestrzeni.
– No dobra – powiedziała. – Wiem, że chcesz zostać, ale...
Nagle znalazł się tuż przy niej. Objął ją i mocno przytulił. Znieruchomiała, a ręce zwisały jej bezwładnie ku ziemi.
– Dlaczego nie wyjechałaś? – zapytał. – Mogłaś wyjechać stąd w zeszłym tygodniu. Pomógłbym ci.
Zamknęła oczy, po czym wyrwała się z jego uścisku i ruszyła w stronę komody.
– Jeśli podczas mojej nieobecności wydarzy się coś dziwnego albo zobaczysz kogoś podejrzanego na ulicy, musisz wiać. Bez Ateny.
– Nie zamierzam uciekać – upierał się.
– Nie możesz walczyć z łowcami, Miles. Nauczono ich zabijać bogów i wszystkich ludzi, którzy staną im na drodze. Pewnie nigdy nie znalazłabym twojego ciała.
Posłał jej niejasne spojrzenie.
– Nie zamierzam z nimi walczyć – odpowiedział. – Ukryję się w piwnicy i zadzwonię po pogotowie, jak każdy normalny człowiek.
Lore pozwoliła sobie na lekki uśmieszek i ostrożnie położyła naszyjnik na komodzie. Po kolei wyciągnęła z szuflad przydużą białą koszulkę, czarne legginsy, bieliznę i skarpetki.
– Może spróbuję go naprawić? – zapytał Miles, wskazując na łańcuszek.
– A dałbyś radę? – Podała mu go. – Nie mam zapasowego, a nie zawieszę wisiorka na sznurku, bo go zgubię.
Miles zbadał miejsce, w którym pękło jedno z cienkich złotych ogniw.
– Zdecydowanie mogę spróbować – odpowiedział.
Podziękowała mu. W końcu posiadała tak niewiele pamiątek. Te ze swojego dawnego życia straciła.
Ale nie Castora, szepnął jej umysł.

Kiedy to sobie uświadomiła, odetchnęła głęboko i pozwoliła ciepłu rozlać się po jej sercu. Faktycznie wciąż miała Castora. Agon wiele jej zabrał, ale jego akurat oddał.

– Chyba rozumiem, dlaczego łowcy marzą o nieśmiertelności – powiedział Miles, zerkając na nią znad naszyjnika. – I rozumiem też, co ona oznacza dla nich samych i dla ich rodów. Ale to niewiele, jeżeli ceną jest rola zwierzyny.

Kiedy Lore opowiadała o wszystkim Milesowi, czuła przerażenie. Teraz wreszcie ustąpiło, a w jego miejsce pojawiła się długo wyczekiwana ulga. Jakaś część niej była wdzięczna losowi, że pozwolił jej wybrać sposób podzielenia się tą historią.

– Tak naprawdę najważniejszy jest kleos – stwierdziła, dotykając ramy obrazu. – Wszystko sprowadza się do niego. Na nim najbardziej im zależy. Nieśmiertelność zdobywasz, nie tylko zabijając boga, ale również okrywając się chwałą. Kleos to zaszczyt związany z zapisaniem się w legendach. Życiem w pieśniach i opowieściach. Być może twoje ciało umrze, jednak imię będzie żyć wiecznie.

– Naprawdę? – zapytał Miles.

– Pewnie dla ciebie nie ma to sensu – odpowiedziała. Pewnie nie miało to sensu dla nikogo wychowanego poza ich światem. Czasami również i dla niej.

Nieprzyjemne wycie telefonu sprawiło, że obydwójce drgnęli.

– Musisz zmienić ten dzwonek – oświadczyła.

Miles rzucił „przepraszam” i skierował się w stronę drzwi.

– Cześć, mamó... – powiedział zbolalym tonem. – Tak... Nie, nie, mam czas. A o co chodzi?

Kiedy szedł korytarzem do swojego pokoju, Lore wciąż słyszała jego głos.

– Nie, nie, to nie to miejsce – mówił. – Tam, gdzie kiedyś się bawiliśmy, gdzie graliśmy w piłkę nożną. Na pewno nie w szkole...

Drzwi sypialni zatrzasnęły się za nim i stłumiły dalszą część rozmowy, jednak ostatnie słowa Milesa wciąż krążyły Lore po głowie. Nagle zadudniły niczym dzwon.

Tam, gdzie kiedyś się bawiliśmy...

No jasne! Apodidraskinda. Zabawa w chowanego. To w nią Lore i Castor bawili się jako dzieci.

– Sprytne, Cas – szepnęła. Jego wiadomość nie stanowiła już dla niej zagadki.

Była wyraźną instrukcją, gdzie należy go szukać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY



LORE NAWET NIE PODEJRZEWAŁA, ŻE NABAWIŁA SIĘ LĘKU wysokości, dopóki nie znalazła się trzy piętra nad ziemią, balansując na wąskiej cementowej kładce dawnego magazynu stojącego w dzielnicy TriBeCa.

– Cudowny plan. Jak zawsze! – mruknęła.

Jej ciało wciąż drżało od wysiłku towarzyszącego wspinaczce, a koniuszki placów bolały, otarte na skutek chwytania się za cegły. Po raz ostatni przechyliła głowę w prawo. Upewniła się, że nie znajduje się w kadrze pobliskiej kamery.

Achillesydzki kontrolowali liczne nieruchomości w mieście, ale tylko w tym budynku, znanym też jako Dom Tetydy, Lore bawiła się z Castorem w apodidraskindę.

Kiedy byli jeszcze dziećmi, pokazał jej, jak unikać wszechobecnych kamer przemysłowych i snajperów na dachu – zakradali się do windy serwisowej znajdującej się w oddzielnym garażu z tyłu obiektu, przeczołgawszy się przez dziurę w podłączonym do prądu ogrodzeniu i używając szeregu śmietników jako osłony.

Potem pozostało już tylko jedno drobne, ale zabójczo niebezpieczne zadanie polegające na wspięciu się po ozdobnej ścianie z cegieł na narożnik budynku.

Bez jakiegokolwiek sprzętu! Kiedy po raz ostatni Lore robiła to siedem lat temu, nie czuła strachu.

Teraz wiedziała, że należy się bać – nie tylko upadku, ale także czekającej ją wewnątrz gmachu niewiadomej.

Podciągnęła się, chwytając się czterech kolejnych wystających cegieł. Minęła balkony i okna trzeciego piętra. Zanim dotarła na kolejny poziom, jej uszy wychwyciły jakieś dźwięki. Delikatną muzykę, której towarzyszyły brzdęk kryształów i niski szum podekscytowanych głosów.

Skorygowała swoją pozycję, zerknęła w górę i w dół, po czym wychyliła się w lewo i spojrzała w przyciemniane szyby drzwi balkonowych, które ktoś zostawił otwarte.

To chyba jakieś jaja, pomyślała.

Impreza.

Wnętrze budynku przypominało sen o dawnym, starożytnym życiu. Nieopodal balkonu Lore dostrzegła przechadzających się Achillesydów. Kobiety krążyły po sali w jasnych, jedwabnych sukniach w stylu klasycznych chitonów⁵ i peplosów⁶. Prócz błyszczących klejnotów nosiły również korony z liści laurowych, zarówno prawdziwych, jak i wykonanych ze złota.

Mężczyźni zebrali się wokół szerokich półmisków z jedzeniem i ustawionych w wieże kieliszków z szampanem i winem. Oni także nosili chitony, choć niektórzy wybrali nowoczesne tuniki i narzucili je na luźne jedwabne spodnie.

Takie imprezy, napędzane winem i sekretnymi rytuałami, zmieniały się z reguły w szalone hulanki. Nie były jednak niczym niezwykłym – jaką wartość miałyby dostatkia przyszłość, gdyby już teraz nie można było cieszyć się życiem? Podczas niektórych przyjęć odbywały się specjalne obrządki polegające na składaniu ofiar Zeusowi w nadziei na łaskę podczas zbliżającego się Agonu lub zaraz po nim, kiedy nadchodził czas chowania zmarłych.

To przyjęcie nie przypominało jednak żadnego z nich.

Lepiej, żebyś tu był, Cas, pomyślała Lore, poirytowana. Na samą myśl o tym poczuła dreszcz ekscytacji.

W obrębie ceglanych ścian znajdowały się niezliczone pomieszczenia, sypialnie, sale szkoleniowe i konferencyjne, a także szafy i gabloty, wśród których łatwo było się zgubić. W przeszłości Lore zapraszano jedynie na trzecie piętro, które stanowiło otwartą przestrzeń pełną stojaków na broń – właśnie tam trenowała razem z innymi młodymi Achillesydami.

Kiedy była dzieckiem, rodzice uznali, że powinna nauczyć się walczyć. Sami też walczyli – przede wszystkim o znalezienie dla niej czasu pomiędzy licznymi obowiązkami pozwalającymi opłacić czynsz oraz zapewnić jedzenie. Lore nigdy nie zastanawiała się, jak wiele kosztowało jej ojca dogadanie się z archontem Achillesydów w sprawie jej treningów. Prawdziwej ceny zapewne nie stanowiły gotówka czy obiecane przysługi, ale utrata dumy związana z koniecznością poproszenia go o pomoc.

Kiedy Lore dotarła na czwarte, najwyższe piętro, wzięła głęboki oddech. W przeszłości – choć miała nadzieję, że i obecnie – wykorzystywano je jako magazyn. Nie pilnowano go też tak dokładnie jak niższych, łatwiej dostępnych poziomów czy dachu, który był patrolowany przez łowców. Na piętrze znajdował się nie do końca tajny łącznik z budynkiem położonym na prawo od Domu Tetydy.

Od krawędzi ściany do najbliższego balkonu biegła może centymetrowa półka. Lore wstrzymała oddech i oparła na niej czubki palców u stóp. Jej barki i ramiona wrzasnęły w proteście, ale martwiła się teraz wyłącznie o dłonie, odrętwiałe od ciągłego chwytania się cegieł.

Zanim zdążyła uświadomić sobie, jak niewiarygodnie to było głupie, zdołała – wisząc na rękach – przedostać się w okolice balkonu.

Poranne słońce paliło ją w plecy. Kiedy tylko wyłoniło się znad horyzontu, doprowadziło gęste, wilgotne powietrze miejskie do wrzenia, nieco ją oszałamiając. Zamrugła, gdyż pot spływał jej do oczu, po czym wyciągnęła rękę w stronę kamiennej balustrady.

Zadygotała, przeciągając się nad nią, a następnie cichutko zeskoczyła na wąską betonową płytę. Podeszła bliżej drzwi i, niewidoczna dla patroli powyżej, na chwilę przykucnęła. Czekala, aż czucie powróci do górnej części jej ciała.

Nie masz na to czasu, powiedziała sobie. Ruszaj!

Potężne kotary zasłaniały wnętrze pomieszczenia i znajdujących się w nim ludzi. Lore przyłożyła ucho do rozgrzanego szkła. Usłyszała dobiegające z dołu odgłosy przyjęcia oraz bicie własnego serca.

Co prawda szyby były kuloodporne, jednak większy problem stanowił podłączony do nich system alarmowy. A raczej stanowiłby, gdyby jedenastoletni Castor okazał się odporny na diaboliczną strategię dziesięcioletniej Lore, która zakładała się tylko wtedy, kiedy zwycięstwo miała w kieszeni.

Tuż za framugą drzwi wymacała obluzowaną cegłę. Podważyła ją scyzorykiem, dziękując w myślach pewnemu zakochanemu łowcy. Temu samemu, który – szpiegowany przez Castora – skorzystał z tej właśnie sztuczki, żeby spotkać się z mężczyzną, z którym zabroniono mu zawrzeć małżeństwo.

Wyciągnęła z kieszeni dzinsów magnes ze sznurowadłem, które wcześniej do niego przywiązała. Ostrożnie wsunęła go do otworu w ścianie i poruszała nim na boki, aż usłyszała charakterystycznie plasknięcie metalu przywierającego do czujnika.

Zadziałaj, proszę, pomyślała. Niech choć ta część planu pójdzie gładko.

Czujniki wykorzystywały zjawisko magnetyzmu. Kiedy magnes zainstalowany w drzwiach odłączał się od nich, alarm się uruchamiał. To był prosty, ale niezwykle skuteczny

system, więc Lore liczyła, że nie zastąpiono go nowoczesnymi urządzeniami laserowymi.

Wsunęła dłoń do kieszeni i wymacała wycięty z butelki po pepsi cieniutki kawałek plastiku. Przez chwilę manewrowała nim, aż wreszcie zdołała wcisnąć go w szparę przy drzwiach i podważyć słabszą, dolną zasuwkę. Zaczekała, aż łowca na dachu przejdzie dalej, po czym wsunęła w zamek niewielki klucz do bumpingu kupiony w pobliskim sklepie z narzędziami. Owinęła cegłę dolną częścią swojej koszulki i uderzyła nią w klucz na tyle mocno, że wskoczył na właściwe miejsce. Przekręciła go, odblokowując drzwi.

Stała z boku, opierając się plecami o drugie ich skrzydło, po czym ostrożnie pchnęła w stronę zasłony. Otworzyły się.

– Przewidywalni idioci. – Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Choć na sprzęt i systemy alarmowe ród Achillesydów przepuścił miliony, wciąż nie zdecydował się w lepszy sposób zabezpieczyć drzwi balkonowych ani też ich zamurować, tak jak to zrobił z oknami. Wiązałoby się to z odcięciem potencjalnych dróg ucieczki, przydatnych w czasie ataku innego domu czy nawet boga.

Tak jak się spodziewała, pomieszczenie wciąż pełniło funkcję magazynu. Stanowiło labirynt starych kufrów i skrzyń, które pachniały wilgocią, jakby dopiero co uciekły przed powodzią w piwnicy. Lore przejrzała zawartość kilku z nich, aż znalazła komplet nadgnitych czarnych szat noszonych przez łowców. Naciągnęła je na swoje podarte dżinsowe szorty i przepoconą koszulkę.

Na dole skrzyni dostrzegła wyszczerbioną maskę. Przez chwilę wpatrywała się w nią zniesmaczona. Nie podobało jej się, że wciąż odczuwa mdłości na myśl o noszeniu symboli nienależących do jej rodziny.

Nie masz wyboru, powiedziała sobie. Weź ją. Na wszelki wypadek.

Nie udało jej się znaleźć żadnej broni, nawet noża.

– Cóż – westchnęła, wyciągając śrubokręt z porzuconej skrzynki z narzędziami. – Przynajmniej jest szpiczasty – dodała i wsunęła go do wewnętrznej kieszeni szaty.

Naciągnęła kaptur na głowę, a potem go opuściła, gdyż zdała sobie sprawę, że wygląda absurdalnie.

– No dalej, Perseidko – szepnęła. – Odszukaj go.

Doskonale pamiętała układ korytarzy. Nie zmienił się, choć przy niektórych drzwiach pojawiły się panele szyfrowe. Uniosła wzrok, wypatrując kamer.

Głos przeciął ciszę niczym miecz przyłożony do pleców.

– Co tu robisz?

ROZDZIAŁ ÓSMY



LORE SIĘ ODWRÓCIŁA. NIE ZNAŁA TEGO MĘŻCZYZNY. STAŁ PO DRUGIEJ STRONIE KORYTARZA, TUŻ PRZY SCHODACH. MIAŁ NA SOBIE IDENTYCZNY STRÓJ CO ONA.

– Ja... – zaczęła, po czym powiedziała pierwszą rzecz, jaka przysła jej do głowy: – Wydawało mi się, że słyszałam jakiś hałas.

Nieznajomy zmrużył oczy. Instynktownie wsunęła dłoń pod kostium, szukając śrubokrętu. Zmusiła się do zatrzymania dłoni. Będzie wyglądać na bardziej winną tylko wtedy, jeśli nie podejdzie do mężczyzny. Dlatego ruszyła do przodu.

– Czy był zdenerwowany? – zapytał łowca w starożytnym języku. W jego tonie wyczuła niepokój. – Wydawało mi się, że wziął pomocników.

Pomocników?

– Chyba się przesłyszałam – odpowiedziała beztrosko, unikając blasku świec stojących na pobliskim stole. Zaciśnęła palce na masce. Żałowała, że nie założyła tego badziewia. – Piętro jest czyste – dodała.

Zanim wyszła z domu, narysowała sobie na lewym nadgarstku literę alfa wraz ze znakiem rodu. Dokładnie takim samym, jaki widywała wytatuowany na klatkach piersiowych i ramionach szkolących ją Achillesydów. Leniwie podciągnęła rękaw i podrapała się, udając, że zaswędziała ją ręka.

Mężczyzna zauważył symbol i linie jego twarzy złagodniały.

Szpiedzy byli gotowi zrobić wszystko, aby prześlizgnąć się przez systemy obronne konkurencyjnych rodów. Jednocześnie byli do tego stopnia przesądni, że uważali, że wytatuowanie sobie na skórze znaku innego domu rozgniewałoby ich przodków, a gdyby zrobił to ich potomek, musieliby go porzucić.

Przez ostatnich siedem lat pech towarzyszył Lore na każdym kroku. Uważała, że przodkowie nie mogą jej bardziej nienawidzić.

– Doskonale – odpowiedział łowca. – Chodźmy zatem na dół. Może uda nam się zdobyć coś do jedzenia, zanim ściągną nas z powrotem na wartę. Jesteś jedną z dziewczyn Tassosa, prawda?

– Trafiłeś za pierwszym razem – stwierdziła Lore, pozwalając sobie na luźny uśmiech. – Jak...

Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się i kilka małych dziewcząt mających nie więcej niż pięć lat wynurzyło się z jednego z pokoi.

Serce Lore zaciśnęło się niczym pięść.

Dziewczynki nosiły białe tuniki wzbogacone złotym haftem oraz dopasowane sandałki i paski. W splecione włosy wsunięto im diademy i wstążki.

Tuż za nimi pojawiła się kobieta o ciemnych włosach tworzących gęste pukle. Fioletowy jedwab jej długiej, udrapowanej sukni ozdobiono starożytnymi symbolami i ilustracjami. Co najmniej jedna z nich przedstawiała Achillesa szykującego się do walki.

Kobieta skinęła na dziewczynki, a wówczas cała dziewiątka ucichła i znieruchomiała. Po sposobie, w jaki ich drobne ciała zeszytywniały, Lore domyśliła się, że posłuszeństwo

wymuszano strachem.

Z pomieszczenia znajdującego się po przeciwnej stronie korytarza wyszedł mężczyzna. Na jego widok Lore pociągnęła nosem.

Philip Achilleos posiwał, odkąd widziała go po raz ostatni. Grymas niezadowolenia wiecznie widniejący na jego bladej twarzy pogłębił się z wiekiem, a blizny stały się wyraźniejsze. Wciąż miał beczkowatą klatkę piersiową, choć ciało ukryte pod szafirową szatą zmarniało. Cóż, minęły już najlepsze lata jego życia.

Jego żona, Acantha, pojawiła się tuż za nim, jak zwykle opanowana i starannie uczesana. Uchodziła za lepszą łowczynię od męża – pod koniec swojego pierwszego cyklu stała się wręcz legendą. Niestety, wzmocniony jej małżeństwem sojusz łączący domy Achillesa i Tezeusza podciął jej skrzydła.

– Patér⁷ – zaczęła kobieta w fioletowej szacie, kłaniając się nisko Philipowi. – Czy mogę przedstawić ci...

Z obrzydzeniem na twarzy obszedł dziewczynki dookoła. Kiedy jedna z nich odważyła się na niego spojrzeć, wierzchem dłoni uderzył ją w skroń.

Lore poczuła wściekłość. Zrobiła krok w jego kierunku, jednak zatrzymała się, gdyż dziewczynka się wyprostowała. Kiedy unosiła podbródek, miała niewzruszoną minę.

Musisz odnaleźć Castora, powiedziała sobie Lore. *Nie zdradzaj swojej obecności.*

Ale te dziewczynki... te dzieci... Nie była w stanie tego zaakceptować. Z przyjemnością wróciła do Domu Tetydy, ale teraz przypomniała sobie swoją dawną nienawiść do łowców i ich stylu życia. Czuli się, jakby właśnie uderzył ją piorun.

Widok małej dziewczynki kłaniającej się temu potworowi z szacunkiem – na który przecież nie zasługiwał – w nadziei, że go zadowoli, doprowadził Lore do wrzenia.

Philip nie dbał o te dzieci, tak jak nie dbał o Castora. Jako archont osobiście odmówił ojcu chłopca funduszy na jego leczenie. To wystarczyło, żeby Lore znienawidziła go po wsze czasy.

– Czy tylko na tyle cię stać? – syknął do kobiety w fioletowej szacie. – Mówiłem ci, że masz wybrać piękne dziewczyny. Skąd ty je w ogóle wzięłaś? Skakały po tunelach metra razem ze szczurami?

– Patér – odpowiedziała kobieta nieco ciszej.

– Być może – wtrąciła się Acantha, kojąco kładąc dłoń na ramieniu męża. Spojrzała ukradkiem na kobietę i przechyliła głowę, żeby zwisające z jej uszu diamentowe kolczyki zaśniły w blasku świec. – Być może, Patér, ich widok wydałby ci się mniej obraźliwy, gdyby pomalowała je na złoty kolor?

Philip Achilleos wydał z siebie niski pomruk.

– W porządku – warknął. – Pamiętaj jednak, że to nie mojego rozczarowania powinnaś się bać!

– Tak, Patér – odpowiedziała kobieta, przywołując do siebie dziewczynki. – Oczywiście. Będą gotowe na ceremonię.

Ceremonia, zauważyła Lore. *Coś więcej niż zwykłe imprezowanie.*

Philip odwrócił się, kątem oka zauważając ją i stojącego tuż obok niej jej łowcę.

– Czemu stoicie jak te głupki czekające na batożenie?

Ani Lore, ani towarzyszący jej mężczyzna nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Zbiegli po schodach.

Pozwoliła mu zająć ją krótką rozmową. Opuściła wzrok i zaczęła liczyć schody, które znikwały pod jej stopami. Zapach kadzidła wymieszanego z olejkiem cyprysowym wystarczył, żeby głowa zaczęła jej ciążyć, a ciało zataczało się jak po alkoholu.

Ośrodek szkoleniowy na jedynym otwartym piętrze budynku przekształcono w miejsce ceremonii. Wejście udekorowano białym jedwabiem, na tyle grubym, że zasłonił znajdujący się za nim pokój. Przy drzwiach stało dwóch łowców w ceremonialnych szatach, z hełmami i ciałami pomalowanymi na jaskrawe kolory.

Lore puściła przodem swojego towarzysza, po czym sięgnęła po wyciągnięte ramię strażnika i ścisnęła jego przedramię dwoma wysuniętymi palcami. Dokładnie tak, jak Castor nauczył ją lata temu, kiedy wygrała kolejny zakład. Strażnik odwzajemnił gest.

– Witaj, siostró! – szepnął i odsunął się na bok.

Skinęła głową i nasunęła na twarz wykonaną z brązu maskę. Poczuła się pewniej, kiedy zauważyła, że niektórzy łowcy też je nosili. Nie chciała się wyróżniać, ale jeszcze bardziej obawiała się, że ktoś ją rozpozna.

Być może minęło siedem lat, odkąd po raz ostatni pojawiła się w tym budynku, ale jej wygląd aż tak bardzo się nie zmienił. W dodatku każdy, kto znał jej matkę, widział ją również w twarzy Lore. Obie miały niesforne, gęste włosy, oliwkową skórę i piwne oczy.

Ale... może niepotrzebnie się obawiała. Jej matka przecież nie żyła. Choć urazy potrafią przetrwać wieki, to wspomnienia blakną z biegiem lat. Być może w budynku nie było nikogo, kto pamiętał Helenę Perseous.

Nikogo oprócz jej własnej córki.

Kiedy Lore odsunęła jedwabną zasłonę na bok, aż zaniemówiła. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co widzi przed sobą.

Świątynię. Stała w świątyni!

Zrobiła krok do przodu i rozpoznała iluzję. Widmowe obrazy holograficzne wyświetlano na gładkich lustrach pokrywających ściany i sufit. Kolumny, prawdziwe i wirtualne, wznosiły się aż do cyfrowego ekranu przedstawiającego potężną kopułę o wyrazistych barwach, inkrustowaną srebrem i złotem.

Choć Lore wiedziała, że wygląd pomieszczenia jest tylko złudzeniem, czuła wewnętrzny niepokój. Nie zamierzała jednak się na nim skupiać.

Kiedy odwróciła się, zauważyła, że stojące przy wejściu holograficzne kolumny wychodziły na dzikie, skaliste wybrzeże morskie. Coraz dalej od niego cienie w pomieszczeniu pogłębiały się. Były niczym sen przemieniający się w koszmar.

Rzędy mis paleniskowych ciągnęły się aż do ołtarza. Oświeślały zdobioną płytę położoną na porysowanej drewnianej podłodze, na której Lore i setki innych uczniów nieraz walczyły, niszcząc ją i zakrwawiając.

– Co tu się dzieje, do cholery? – szepnęła dziewczyna, nie mogąc się powstrzymać.

W płytkim basenie umieszczonym przed ołtarzem pływały świece i kwiaty. Pomiędzy nimi stało imponujące siedzisko – rodzaj tronu z wyrytym na oparciu słońcem, które wydawało się odlane ze złota lub przynajmniej nim pokryte.

Sądząc po tym, co Lore już widziała, bardziej prawdopodobna wydawała się ta druga opcja.

Mężczyźni i kobiety wokół kołysali się w rytm łagodnych dźwięków liry, inni krążyli po pomieszczeniu, uzbrojeni w wino i plotki zamiast ostrzy.

Długie stoły przykryte białymi niczym kości obrusami stały przy ścianie na prawo. Achillesydzcy wyłożyli na nie swoje najcenniejsze sztuce i odświętne naczynia i napełnili je aż po brzegi najróżniejszymi świeżymi owocami. Obok ustawili srebrne półmiski pełne cieniutkich plasterków mięsa, ryb, serów i pasztecików, wreszcie stosy nadziewanych oliwek.

Lore upewniła się, że nikt jej nie obserwuje, po czym zwinęła kieliszek wina i szybko go wypila. Potem przyjrzała się leżącym przed nią przysmakom. Chciała jak najszybciej odnaleźć

Castora, ale po raz ostatni jadła kilka godzin temu. Z pewnością nie zignoruje nieprzyjemnego ucisku w żołądku, skoro miała wybór.

Siedząca obok niej kobieta, która kontemplanowała ciasteczka migdałowe w sposób, który Lore gotowa była nazwać głębokim niczym studnia, w końcu przeszła do miodowej baklawy. Na ten sygnał dziewczyna chwyciła jeden ze słodkich łakoci. Kusiło ją, żeby zwinąć też czekoladowe jabłko owinięte w złotą folię. Chociażby po to, żeby zobaczyć reakcję Ateny.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu poczuła się nieco pewniej. Ponownie skupiła całą swoją uwagę na ogromnym pomieszczeniu, w którym się znajdowała. Przeszła na bok, aż pod ścianę. Wyświetlane na niej obrazy z bliska wydawały się rozmazane.

No dobra, Cas, powiedziała do siebie. Gdzie się podziałeś?

Zmieniła miejsce. Tym razem zbliżyła się do basenu i zatrzymała tuż przed otaczającą go aureolą światła. Uważnie rozejrzała się po sali. Achillesydz, podobnie jak pozostałe rody łowieckie mające swoje korzenie w starożytności, brali za mężów i żony ludzi z całego świata. Widziała to w otaczających ją twarzach, różniących się nie tylko rysami, ale i odcieniami skóry.

Przez chwilę nie ruszała się, pozwalając, by serce miarowo biło jej w piersi.

Źle się czuła w tej sali, pomiędzy tymi ludźmi. Chciała uciec, a jednak stała w miejscu. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła.

Kiedy była dziewczynką, bogactwo cechujące najznamienitsze rody robiło na niej olbrzymie wrażenie, zwłaszcza że jej rodzina nie należała do majątnych. Być może dlatego uwielbiała tajemnice i tradycje ich sekretnego świata. Czuła się dumna i niezwykle ważna, że jej rodzina również została wybrana. Należała do rodów krwi, potomków największych greckich bohaterów.

To przecież zwykły bal przebierańców, pomyślała teraz.

Dziś ten świat wydawał jej się równie fałszywy, co otaczające ją projekcje. Świątynie stanowiły kiedyś miejsca kultu, unikały rozpasania i przesady. Jednak już wieki temu rody oderwały rytuały od wierzeń, tworząc religię z chorej brutalności i materializmu. Jedynie Zeus zachował uznanie, choć składanie mu ofiar Lore uważała za płytkie gesty zrodzone z przesądów, nie zaś pobożności.

Rozpoznała kilku uczniów ze swojej dawnej klasy i od razu zrobiło jej się gorąco. Orestes, ten głupi osioł, narzucał się wyraźnie znudzonej Selenie, jednej z nielicznych dziewczyn, które odzywały się do niej przez te trzy lata, które tu spędziła. Była tu też Agata – zanurzała właśnie dłoń w sadzawce, szukając zagubionej szmaragdowej bransoletki. Obok niej stał Iesos, ze znacznie większą liczbą blizn niż kiedyś – nie żeby Lore lubiła go wspominać. Kiedyś uznał, że nie miała „właściwego” czy też „prawdziwego” imienia, i zaczął nazywać ją Chloris, jakby jej dotychczasowe stanowiło jakąś obelgę.

Gdzie jesteś, Cas?, pomyślała po raz kolejny.

Czas płynął, a ona wciąż nie odnalazła Castora. Desperacja powoli rozpuszczała wątle pokłady nadziei. Może zajął się leczeniem rannych łowców albo odpoczywał w innej posiadłości należącej do Achillesydów?

Matka Castora zmarła podczas Agonu tuż po jego narodzinach, jednak jego ojciec, Cleon, powinien pojawić się na przyjęciu. Jako wieloletni zarządca Domu Tetydy mieszkał właśnie w tym budynku i zapewne odpowiadał za przygotowanie tej imprezy.

Zmarnowałaś już zbyt wiele czasu, skarciła się w myślach i skierowała w stronę wejścia. Zamierzała skorzystać z okazji, że uroczystość zajmuje wszystkich obecnych, i poszukać przyjaciela w pokojach na piętrze, a jeśli tam go nie znajdzie, ukraść niezbędne lekarstwa i wrócić do Ateny.

Zaledwie zrobiła krok, wszyscy członkowie Domu Achillesa ucichli. Łowcy obrócili się

w stronę wejścia i odsunęli od prowadzącej do ołtarza oświetlonej ścieżki.

Lore dostrzegła same głodne spojrzenia na twarzach zgromadzonych. Tkwiące w nich oczy płonęły mieszkanką wina i podniecenia. Żołądek momentalnie podszedł jej do gardła.

U szczytu schodów pojawił się Philip Achilleos. Tuż za nim kroczyła Acantha. Szli przy dźwiękach liry, wpatrując się w ołtarz. Zbliżyli się do tronu, ale żadne z nich go nie zajęło. Philip stanął po jego lewej stronie, pozwalając żonie stanąć po prawej.

Przez chwilę Lore nie rozumiała jego zachowania. Wyjaśnienie pojawiło się w jej głowie niczym uderzenie niepowstrzymanej fali o brzeg.

Podniecenie otaczających ją osób. Symbole słońca, muzyka lir, liście laurowe widoczne na płaskorzeźbach i girlandach.

To wszystko przypominało Wielką Świątynię na wyspie Delos.

Miejsce narodzin Artemidy... i jej bliźniaka, Apolla.

– Och – westchnęła Lore, a elektryzujący wstrząs przebiegł po jej kręgosłupie. *Och!*

Nowy Apollo wcale nie mieszkał w Domu Tezeusza. Gościł w Domu Achillesa! Ale dlaczego nie był nim Philip? Spojrzała na starszego mężczyznę, szukając odpowiedzi w jego powściągliwej minie.

Interesujące. Być może doszło do jakiegoś wypadku? Może Apollo zmarł, zanim ten starzec zdołał go wykończyć? Nie byłby to pierwszy ani ostatni taki przypadek.

Dzieci, te same dziewczynki, które Lore widziała na górze, właśnie schodziły po schodach. Ich skórę przemalowano na złoto. Lore nie była w stanie na nie patrzeć, choć dumnie kroczyły przed siebie, ściskając w dłoniach świece i niewielkie srebrne przedmioty. Jedna trzymała księgę, druga teleskop, kolejne lirę i maskę teatralną. Do Lore dotarło, że miały być muzami.

Zaśpiewaj mi, o muzo...

One również przeszły w procesji aż do basenu, po czym usiadły na jego krawędzi i puściły świece na wodę. Ich płomienie unosiły się wysoko ponad białymi kwiatami.

Wnętrze wypełnił cichy szum. Dobiegał ze wszystkich stron. Młoda czarnoskóra liriniczka rozpoczęła kolejną pieśń pełną lekkich, świetlistych dźwięków, które zdawały się spiralnie wznosić ku sklepieniu. Ona również poprawiła się na miejscu, jakby chciała przypatrzeć się osobie, która lada chwila miała się pojawić w pomieszczeniu.

Lore odwróciła się, zanim jeszcze usłyszała ciche westchnienia. Nagle ogień zapłonął na jej skórze, swoją potężną mocą rozpalając każdy nerw w jej ciele.

Schodził po schodach tak, jak robią to wpadające przez okno pierwsze promienie słonecznego poranka. Wydawał się nieskazitelny – wysoki, umięśniony, z twarzą, która odbijała się echem w najśłodszych zakątkach jej pamięci.

Castor.

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ



PEWNEGO ZIMOWEGO PORANKA LORE SPOTKAŁA SIĘ ZE SWOIM PRZEZNACZENIEM, i to zanim jeszcze słońce pojawiło się nad horyzontem, a jej siostra wybudziła się z gasnących snów.

Kiedy Lore otworzyła oczy, zobaczyła twarz ojca unoszącą się tuż nad nią.

– Chrysaphenia mou – szepnął ze zwykłą czułością. *Moje złotko*. Miał łagodne rysy. – Czy nadal chcesz trenować? Znalazłem dla ciebie miejsce.

Lore spojrzała na Olympię zwiniętą niczym kociak na ich małym łóżku, po czym przeniosła wzrok na ojca. Nagle się ocknęła. Miała wrażenie, że za chwilę eksploduje.

– Agogé⁸?

– Achillesydzci przyjmą cię na szkolenie, ale jeszcze dziś musisz stawić się u nich.

Lore odrzuciła na bok kołdrę i zerwała się na równe nogi, czym rozbawiła ojca. Zachichotał, a następnie pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. Odwzajemniła pocałunek.

– Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję!

– Cśśś – upomniął ją, wskazując śpiącą siostrę. Lore udała, że zamyka usta na zamek błyskawiczny, ale nie przestała się uśmiechać. Wciąż podskakiwała na palcach.

– Będzie inaczej niż w tych twoich książeczkach – powiedział ojciec, poprawiając jej włosy. – Nie rozczaruj się. Pewnie już po pierwszej lekcji zorientujesz się, że to nie jest Sparta.

Łowcy wzorowali swoje programy treningowe na tych stosowanych w Sparcie, jednak usunęli z nich te elementy, które nie przypadły im do gustu. Lore nie przejmowała się jednak takimi szczegółami. Liczyło się dla niej to, że nauczy się walczyć tak jak jej rodzice. Że będzie mogła zobaczyć ceremonie, archiwa i wszystkie rzeczy, których ich niewielka rodzina nie miała. No i pozna wielkie tajemnice, o których tyle słyszała.

– Dziś? – powtórzyła, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to nie sen. – Poważnie?

– Poważnie – potwierdził ojciec. – A teraz umyj się i ubierz. Zaprowadzę cię tam przed pracą.

Podbiegła do komódki, którą dzieliła z siostrą, i wyszarpnęła górną szufladę. Stojące na mebelku zdjęcia przewróciły się i Olympia drgnęła, po czym obróciła się na drugi bok. Lore spojrzała na kępkę ciemnych włosów wystających zza kołdry i po cichu wyciągnęła T-shirt, sweter i parę dzinsów. Ostrożnie zamknęła szufladę. Podeszła do łóżka, poprawiła kołdrę siostry i upewniła się, że króliczek Króliczek znajduje się w zasięgu jej wzroku.

W końcu, pomyślała, czując rosnące podniecenie. Ledwo mogła oddychać. Wybiegła z pokoju i zatrzymała się. Zapomniała o butach!

Trzy miesiące wcześniej rodzice usiedli z nią w ich ciasnej kuchni i wyjaśnili, że być może nie będzie mogła rozpocząć treningów ze swoimi rówieśnikami z rodzin łowieckich.

To nie jest najlepszy czas na szkolenie, wyjaśniła matka. *Wiem, że się denerwujesz, ale rozumiesz przecież, że nasza rodzina jest inna. Mój... Dom Odyseusza nie otworzy przed nami swoich drzwi, gdyż wyrzekłam się swojego imienia, zresztą jego szkoła znajduje się za morzem. Twój ojciec i ja sami zajmiemy się twoim szkoleniem. Latem będę miała mniej pracy, a pani Osbourne zajmie się twoimi siostrami, więc...*

Lore skinęła głową, pozwalając łzom i bólowi narastać jedynie w myślach. Przynajmniej

do momentu, aż będzie mogła już uciec do swojego pokoju. Później cicho płakała w poduszkę, a otrzymaną od ojca księgę mitów wepchnęła pod łóżko. Tak głęboko, żeby nie dało się jej wyciągnąć.

Wkrótce zapadła w niezwykle głęboki sen, w czasie którego poznała swoje Przeznaczenie. Sny uważano za wiadomości od Zeusa i dlatego starała się je zapamiętywać. Tym razem zobaczyła zręb tarczy, którą trzymała mocno w dłoniach, odstraszać ciemność, oraz skrzydło ze złotego światła i jasne oczy odbijające się w ostrzu miecza.

Nikomui nie opowiedziała o tym śnie. Teraz wydawało jej się, że moiży przygotowywały się na spotkanie z nią.

Matka szykowała w kuchni śniadanie. Damara leżała w kołysce, gaworząc do siebie. Wciąż była mniejsza od przeciętnej lalki i miała tak miękką, delikatną skórę, że Lore obawiała się, iż byle dotknięcie pozostawi na niej siniak.

Pochyliła się i ostrożnie pocałowała siostrzyczkę w czoło. Lubiała szeptać jej swoje sekrety, ponieważ Damara – w odróżnieniu od Olympii – nie mogła powtórzyć ich rodzicom.

– Trochę się denerwuję – powiedziała cicho i połaskotała siostrę. Kiedy Damara zamruczała, Lore roześmiała się. – Brzmi jak kotek.

– Kotek? – Tata pogładził krzywiznę policzka Damary. Potem pozwolił jej złapać za swój kciuk. – Zdecydowanie należy do naszej rodziny – dodał z dumą. – Ależ ma chwyt!

– Należy do Mrrrrauseuszy – zachichotała dziewczynka.

– Ktoś tu jest podekscytowany – powiedziała mama, stawiając przed nią miskę owsianki. Lore wciągnęła w płuca słodki zapach cynamonu i bananów. Jej ulubione śniadanie! – Mam ci zapleść warkocz?

Lore pokiwała z zapalem głową i pozwoliła mamie przeczesać swoje loki, a następnie starannie je spleść. Szybko uwinęła się z jedzeniem. Jej rodzice rozmawiali o wiadomościach radiowych.

– Czy możemy już iść? – zapytała w końcu. – Przyjmą nas tam wcześniej?

Tata się zaśmiał.

– A co powiesz mamie?

– Och, no tak. Dziękuję, mamo! – zawołała Lore i wskoczyła na krzesło, żeby pocałować ją w policzek.

Kobieta pomogła jej zejść na ziemię i odprowadziła aż do drzwi. Podała płaszcz mężowi, a potem Lore.

– Już prawie z niego wyrosłaś – powiedziała zaskoczona. – Będziesz wysoka. Tak jak moja matka.

Dziewczynka bardzo na to liczyła. Wysoki wzrost przydałby się podczas sparingów, a w przyszłości także podczas i polowań.

– Początkowo będzie ci trudno – ostrzegła matka, zapinając jej kolejne guziki. – Musisz wierzyć w siebie i nie zniechęcać się przeszkodami. Z czasem poradzisz sobie z nimi. W końcu jesteś córką Perseusza.

Lore wciąż myślała o jej słowach, kiedy szła z ojcem do centrum. Tego dnia pojechali metrem dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy wyszli ze stacji, ulice wydawały jej się równie obce, co ekscytujące.

Ojciec trzymał ją za rękę i nie pozwolił jej się wyrwać, aż dotarli do dużego, ceglanego gmachu. Tam zatrzymał się na chwilę, sprawdzając numer, po czym położył dłoń na jej ramieniu i pokierował w stronę sąsiedniego, nieco mniejszego budynku. Drzwi otworzyły się, zanim podniósł rękę i zapukał.

Czekał tam na nich człowiek. Wpatrywał się w nich, kiedy zatrzymali się na dole

schodów. Czarne włosy gładko przylegały mu do czaszki i – co Lore natychmiast zauważyła – z twarzy przypominał poirytowaną kozę.

– Jesteśmy zaszczyceni twoją łaskawością – powiedział ojciec i pochylił głowę. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął grubą kopertę, którą nieznajomy przyjął bez słowa. – Czy mogę przedstawić moją córkę, Melorę?

– Rozumiesz warunki tego układu? Przysługę, o którą proszę cię w zamian? – zapytał dudniącym głosem nieznajomy.

Lore spojrzała na nich zdeorientowana. Przysługę?

– Tak – potwierdził ojciec. – Przekażę ci wszystkie informacje na temat Dawczyni Przypływów.

– I zrobisz to jeszcze dziś.

– Dostaniesz je wieczorem.

Lore zmarszczyła brwi. Co prawda Dawczyni Przypływów doprowadziła do upadku jej rodzinę, lecz dziewczynka uważała, że nie powinno się udostępniać żadnych informacji przedstawicielowi konkurencyjnego domu.

Będzie dobrze, pomyślała. Tata nigdy się nie myli.

W końcu mężczyzna spojrzał na nią.

– Nazywam się Philip Achilleos i jestem archontem Achillesydów – oświadczył, po czym odwrócił się, zostawiając otwarte drzwi. – Chodź za mną, dziecko. Twojemu ojcu nie wolno tutaj wchodzić.

Ciężar dłoni jej ojca zelżał, aż w końcu zupełnie zniknął.

– Wrócę po ciebie wieczorem – obiecał tata.

Lore nie odwróciła się nawet wtedy, kiedy zatrzaśnięto i zaryglowano za nią drzwi, odcinając ją od porannego słońca. Po chwili zdała sobie sprawę, że budynek przypomina raczej skorupę. Wewnątrz stały samochody!

Mężczyzna sprowadził ją po schodach do ciemnego korytarza. Wkrótce znaleźli się pod ziemią i przemaszerowali do sąsiedniego, większego gmachu.

– Jesteś teraz gościem Domu Tetydy – oświadczył Philip Achilleos. – Jeśli opowiesz komuś o tym, co tutaj zobaczysz, twoje życie, podobnie jak i życie twojej rodziny, zostanie stracone. Jeśli będziesz odstawać, zostaniesz usunięta z agogé, żeby nie zarażać naszych dzieci niekompetencją.

Lore odpowiedziała „tak”, jakby to były pytania. Zrobiłaby wszystko, co konieczne, byle tu zostać. Była gotowa trenować długo i ciężko, byle tylko osiągnąć areté – idealne połączenie odwagi, siły, umiejętności i sukcesu. A później, pewnego dnia, również i kleos. Otrzymała dar w postaci Przeznaczenia. Musiała go tylko wykorzystać.

Archont zaprowadził ją na trzecie piętro budynku, do jasnego, choć pozbawionego okien, pomieszczenia. Na pokrytej drewnem podłodze tłoczyły się dzieci. Niektóre miały zaledwie siedem czy osiem lat, ale były i starsze, a nawet prawie dorosłe.

Kiedy Lore pojawiła się wraz z Philipem i pomaszerowała w stronę przeciwległej ściany, w sali zapadła głucha cisza. Dzieciaki skłoniły się jej towarzyszowi, natomiast Lore była zbyt oszołomiona stojakami z bronią i grupami treningowymi, żeby usłyszeć ich wredne szepty o Perseuszu i Perseidach.

W końcu zobaczyła inne dzieci w swoim wieku. Wszystkie nosiły krótkie, czerwone chitony i ścisnęły w rękach małe, drewniane kije niczym włócznie pozbawione zabójczego grotu. Lore z zainteresowaniem przyglądała się ich twarzom i ku swojemu zaskoczeniu dostrzegła na nich jedynie wstręt i obawę.

Nie znają cię, powiedziała sobie. Musisz potwierdzić swoją wartość, tak jak dzieje się to

w książkach.

– To jest Melora Perseous – ogłosił Philip. – Dołączy do waszego agelé⁹ jako gość rodu.

Na dokładniejsze przedstawienie nie mogła jednak liczyć. Philip skinął głową instruktorowi i odszedł.

Instruktor zaś – istny jasnowłosy gigant – zmierzył ją wzrokiem.

– Perseous – powiedział wyraźnie rozbawiony. – Wygląda na to, że wspaniały Dom Perseusza został zredukowany do bandy sprzedawczyków żebrzących o miłosierdzie.

Pozostałe dzieciaki uśmiechały się do siebie szyderczo, chichotały i szeptały.

Lore zacisnęła zęby tak mocno, że aż przeszło jej przez myśl, że za chwilę je sobie zmiażdży.

– Jesteś zapóźniona. Powinnaś dołączyć do nas przed wieloma tygodniami – kontynuował, krążąc wokół niej. Po przeciwnej stronie pomieszczenia uczniowie rozpoczęli swoje codzienne zajęcia. Wywijali kijami i mieczami. Lore oparła się pokusie odwrócenia się od instruktora i obserwowania ich. Uznała, że wystarczy jej dźwięk metalu uderzającego o metal, drewna o drewno, ciała o ciało.

Jesteś córką Perseusza, powtarzała sobie, aż słowa te stały się jej niewidoczną tarczą. *Jesteś córką Perseusza!*

– Tak się składa, że on również – powiedział instruktor, wskazując chłopca stojącego z tyłu. Chłopiec ruszył w jej kierunku, omijając pozostałe dzieci. Lore otaksowała go wzrokiem, od razu wyczuwając niepewność.

Był mniej więcej jej wzrostu, o nogach przypominających gałązki. Miał ziemistą skórę, jakby od miesiący unikał słońca. Cień ciemnych włosów ledwo co wyłaniał się ze starannie ogolonej głowy. Do grzbietów dłoni oraz posiniaczonych ramion miał przyklejone plastry.

On jest chory, uświadomiła sobie. A raczej był, skoro pojawił się tutaj.

Teraz jeszcze mniej podobał się jej śmiech pozostałych dzieciaków. Kiedy znowu rozbrzmiał, chłopak nie zareagował, za co od razu go polubiła. Spojrzała w jego ciemne oczy, mrużąc powieki. Wydawał się wycieńczony, a jednak przyszedł na zajęcia, choć zdaniem niektórych kolegów nie powinien.

– Na razie to Castor będzie twoim hetaïrosem¹⁰ – powiedział chłodnym tonem instruktor. – W przyszłości zaczniesz praktykować u uzdrowicieli, dlatego nie zawsze będziesz mogła z nim ćwiczyć. W takich przypadkach ograniczysz się do obserwowania zajęć. Na razie wasze siły wydają się... wyrównane.

Wszyscy ponownie się roześmiali. Lore zastanawiała się, czy dostała partnera powracającego po chorobie, gdyż chciano jej dokuczyć, czy też może w ten sposób ukarano Castora, który musiał sparować z przedstawicielką Domu Perseusza.

Pomiędzy domami zawsze panowała rywalizacja, pomyślała. *Między mną a Castorem jej nie będzie*. Jej krew wrzała na samą myśl o tym, że dostała partnera. Uniosła głowę. Nie wiedzieli jeszcze, do czego była zdolna. Nie znali jej Przeznaczenia. Lore nie zamierzała rozczarować swojego rodu ani hetaïrosa.

Ukloniła się Castorowi. Odpowiedział jej w ten sam sposób. Miał ciepłe, choć uważne spojrzenie. Polubiła je. Jego spokój jej się udzielał.

Jedynym ostrzeżeniem było powietrze poruszające się tuż za jej plecami, a potem nagły ból, kiedy pchnięto ją naprzód. Pozostałe dzieciaki odganiały ją swoimi kijami, nie pozwalając opuścić kręgu. Kolejne uderzenie przyszło z prawej strony, następne z lewej. Dzieci okręwały ją, okładając jej plecy.

Gdzieś po prawej usłyszała sapnięcie Castora, który uniósł dłoń, próbując zablokować cios jednego z chłopaków. Potem zakreślił się, starając się trafić go kijem w łopatki.

Tylko się nie przewróć, pomyślała Lore, próbując pochwycić jego spojrzenie. *Nie upadnij*. Tak właśnie wyglądało szkolenie. Bolało, jednak było to konieczne. Raz za razem padały na nich ciosy, bezlitosne i druzgocące. Lore starała się głęboko oddychać, nie pozwolić łzom płynąć po twarzy. Ból kłębił się w niej i uderzał miazdzącymi falami. Ponownie spojrzała na Castora. Okazało się, że i on zerka w jej stronę.

– To najważniejsza nauka, jaką odbierzecie na tej sali – powiedział instruktor. – Musicie przyzwyczaić się do bólu. Strach przed nim skuje was kajdanami i pozbawi odwagi. Strach jest waszym największym wrogiem.

Czerń zasnuła granice jej wzroku, twarze przed nią rozmazywały się, rozpadały na dwie czy trzy niczym u Cerbera.

Jesteś córką Perseusza.

Głos matki odbił się echem wewnątrz jej czaszki, kiedy kij trafił ją tuż za prawym uchem. Krew eksplodowała w jej ustach, gdyż ugryzła się w policzek.

Castor się potknął. Drżał z wysiłku, próbując nie upaść. Zerknął na Lore ponownie i z wysiłkiem się wyprostował, tak jak i ona.

Nie przewróć się, pomyślała.

Nie zamierzam, odpowiedział jego wzrok.

Tak długo jak Castor nie zamierzał, nie zamierzała i Lore.

– Ból jest esencją życia – zawołał instruktor. – Rodzimy się i umieramy w bólu, jeśli rzeczywiście jesteśmy łowcami i chcemy czcić naszych przodków.

Ja nie umrę, pomyślała Lore, choć przed oczami robiło jej się coraz ciemniej. Spojrzała na Castora. Starała się podbudować jego widokiem.

– Twój ojciec i twoja matka wprowadzili cię do naszego rodu – kontynuował mężczyzna. – Ale nie są już twoją rodziną. Twoi bracia i siostry są teraz wokół ciebie. Twój archont jest twoim opiekunem, twoim światłem, twoim przywódcą. To twój Patér. Twój prawdziwy ojciec. To dla niego poznasz ból. Dla niego krwawisz.

Lore splunęła krwią, niemalże się nią dławiąc. Jej archontem był j e j ojciec.

– Będziesz dążyć do areté, lecz pamiętaj, że nie ma lepszej śmierci niż ta, którą poznaje wojownik sięgający po wiekuiste kleos dla siebie i swojego rodu – huknął instruktor. – Honor! Chwała!

Wszyscy w sali treningowej również zaczęli krzyczeć.

– Honor!

Uderzenie.

– Chwała!

Uderzenie.

– Honor!

Uderzenie.

– Chwała!

Oni nie wiedzą, pomyślała Lore. *Nie znają mojego Przeznaczenia*.

Zdobędzie honor i chwałę. Osiągnie kleos i odnowi swój dom. To było dla niej najważniejsze. By Dom Perseusza odrodził się ponownie, a jej imię stało się legendą.

Castor cofnął się w jej stronę. Dygotał. Dostrzegła zarys jego ciała pomiędzy kolejnymi ciosami, pomiędzy spojrzeniami pełnymi pogardy i rozbawienia. Krew spływała mu po twarzy wraz ze smarkami, mrugał, próbując cokolwiek dostrzec. Złapała go za nadgarstek, delikatnie podtrzymując.

Nie upadną. Wspólnie potwierdzą swoją wartość. Udowodnią, że zasłużyli na to, żeby tam być.

Kiedy nadszedł kolejny cios, zrozumiała, w jaki sposób zetrzeć rozbawienie z twarzy obecnych.

– Dziękuję – powiedziała na głos. I znowu, wraz z kolejnym uderzeniem drewna o bark, goleń, kolano. – Dziękuję wam. Bardzo dziękuję. Dziękuję!

– Dziękuję! – powtórzył Castor. – Dziękuję wam!

Powtarzali to w kółko, aż zachrypli, a uderzenia zelżały, żeby wreszcie ustać. Instruktor uniósł pięść i pozostałe dzieci się cofnęły.

Lore uświadomiła sobie, że wciąż trzyma Castora za nadgarstek, jednak bała się go puścić.

– Wystarczy! Idźcie się umyć i przebrać. – Głos instruktora dobiegł z bliska. – Pozostali, przyjąć pierwszą pozycję!

Ruszyła w stronę drzwi, kulejąc. Weszła za Castorem po schodach i zajrzała do szatni. Od razu zauważyła czerwone chitony ułożone w równe stosy, podzielone według rozmiarów. Każdy miał własny.

Wzdłuż ściany biegł rząd umywalek, z tyłu zaś ciągnęły się kabiny prysznicowe. Lore sięgnęła po leżącą w pobliżu myjkę, zmoczyła ją i zaczęła zmywać sobie krew z twarzy. Castor postanowił jej w tym pomóc. Był bardzo delikatny.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Nie!

To słowo załomotało w czaszce Lore. Nogi ugięły się pod nią, choć za plecami czuła lustrzaną powierzchnię ściany.

Cas, pomyślała i przykucnęła.

Nawet mając tak dobrze zbudowane ciało, poruszał się w sposób daleki od surowej pewności Ateny czy miarowego, dostojnego kroku Philipa i Acanthy. Cechowała go ta sama niezręczność, którą widziała podczas ich pierwszego spotkania. Krocząc w stronę ołtarza, mocno napinał mięśnie.

Castor – n o w y A p o l l o – starał się trzymać luźno ręce i dumnie unosić głowę, ale od czasu do czasu spoglądał pod nogi, jakby bał się, że za chwilę upadnie. Regularnie podkurczał palce, żeby znów je wyprostować. Raz za razem, przy każdym kroku.

Oddech ugrzązł Lore w gardle. Ród odział Castora w śnieżnobiały chiton z jedwabiu, ozdobiony haftowanymi złotem symbolami jego nowej boskości. Jedno ramię i część gładkiej, umięśnionej klatki piersiowej miał odsłonięte, a ręce i nogi gołe, z wyjątkiem błyszczących rękawic sięgających nadgarstków oraz sandałów.

Efekt był oszałamiający. I to zanim Lore dojrzała koronę ze złotych liści laurowych, wplecioną w ciemne, falujące włosy Castora.

Na twarzy nowego boga nie znalazła teraz tego drażniącego uśmieszku, którym obdarzył ją podczas walki. Z jego oblicza zniknęły niemal wszystkie uczucia i gdyby Lore nie dostrzegła w jego oczach niepokoju, pewnie w ogóle nie rozpoznałaby Castora.

Ale to nie Cas, przypomniwała sobie. Już nie. Kimkolwiek był, kimkolwiek mógł zostać... teraz to ktoś inny.

Lore nie rozumiała, jakim cudem tego nie zauważyła – nieoczekiwanie górował nad nią, był w szczytowej formie fizycznej, podczas gdy przed laty wywodzący się z różnych rodów uzdrowiciele, a także nierodowici lekarze uważali, że śmierć w każdej chwili może go zabrać. Iskry mocy w jego oczach uznała za światła piwnicy pod restauracją odbijające się w jego ciemnych tęczęwkach.

Utknęła opowieść, w którą z łatwością uwierzyła. Zamiast boga zobaczyła ducha.

Maska zatrzymała jej gorący, szybki oddech i zwróciła go w stronę twarzy. Lore poczuła, że się dusi. Młody bóg musiał ją wyczuć, bo zaczął obracać się w jej stronę. Na szczęście zatrzymano go.

– Panie! – zawołał Philip. Wciąż stał z Acanthą przy tronie. Castor spojrzał w ich stronę. – Czy możemy zaczynać? Słońce znajduje się już w najwyższym punkcie nieba i świeci jasno dla ciebie.

– Ależ oczywiście – odpowiedział nowy bóg, wracając do swojej roli. – Przepraszam – dodał mocniejszym, pewnym siebie głosem.

Jak to możliwe?, zastanawiała się Lore. *Jakim cudem do tego doszło?*

W czasie poprzedniego Agonu Castor miał zaledwie dwanaście lat. Ledwie był w stanie unieść głowę, a co dopiero mówić o zabiciu jednego z ostatnich starych bogów. Ktoś musiał popełnić błąd. To przecież nie miało prawa się wydarzyć!

A jednak się wydarzyło, szepnął głos w jej głowie.

Dlaczego zatem Castor przyszedł na jej walkę? Dlaczego Achillesydzci spuścili go z oczu, i to zaraz po Przebudzeniu?

Kiedy Philip wskazał dłonią tron, Lore przeszył niepokój. W postawie archonta wyczuła napięcie, a także coś... *C o ś .* Lore przyglądała mu się, podczas gdy nowy bóg stopniowo zbliżał się do Philipa.

Przypomniała sobie słowa, które Castor wyszeptał jej do ucha. *Coś się dzieje. Nie wiem już, komu mogę ufać.*

Wciąż nie widziała jego ojca. Co ciekawe, nie widziała też Evandera.

Naszła ją myśl, której prawdziwości Lore była niemal pewna. *Philip go zabije.*

Castor, czy był bogiem, czy nie, znalazł się na celowniku. Złamał przysięgę złożoną archontowi i przelał krew, której nie powinien był przelewać.

Więc o to chodziło w całej tej ceremonii?

Oczami wyobraźni zobaczyła złotego cielca prowadzonego ku ołtarzowi, gdzie miał być złożony w ofierze. Czy Philip zamierzał zagarnąć dla siebie moc Apolla? Jeśli tak, to Castor o tym wiedział. Musiał wiedzieć!

Na przestrzeni wieków zdarzały się przypadki morderstw w ramach rodu. Nie brakowało ludzi próbujących odebrać władzę tym, których rzekomo cenili i kochali. Większość powstrzymywała się w obawie przed koszmarną klątwą, jaka się z tym wiązała. Takim zabójcom nigdy nie pozwalano zbyt długo żyć.

Ale ten ród szanował Philipa Achilleosa i służył mu od lat. A nowego boga uważał w przeszłości za słabeusza. Prawdziwą ofiarę losu! Lore zastanawiała się, czy prócz niej Castor miał jakichkolwiek sojuszników.

Sięgnęła do kieszeni szaty po śrubokręt, tymczasem jej przyjaciel ominął basen, zerkając na stojące tuż obok dziewczynki. Tron zdawał się błyszczeć z zachwyty na jego widok.

Starożytni byli zabójczo sprytni w usuwaniu swoich wrogów i rywali. Kiedy Lore spojrzała na siedzisko, dostrzegła niezliczone sposoby na zabicie śmiertelnego boga za pomocą tej konstrukcji. Do złota można było dodać truciznę, tak jak kiedyś pokryto nią szatę Nessosa podarowaną Heraklesowi. W panelu dałoby się ukryć ostrze, gotowe wbić się w miękkie ciało siedzącego.

Tyle że... jeśli Philip rzeczywiście chciał przejąć moc Castora, musiał osobiście zadać mu zabójczy cios. Lore potrząsnęła głową, pozbywając się części napięcia zgromadzonego między łopatkami. Nie zrobiłby tego tutaj. Nie przy świadkach.

Twarz miał skupioną, jednak Lore wyczuwała pogardę w jego powściągliwości. Przemówił w starożytnym języku, równie melodyjnym, co rzeka wpadająca do wielkiego morza.

– Chwała ci, jaśnie panie. Składamy dzięki za prowadzenie słońca po szerokim niebie. Woźnico rydwanu, poskramiaczu węży, wszystkowiedzący, wszystkomogący boże. Nosicielu zarazy i uzdrowicielu człowieka. Zwiastunie pieśni, poezji i hymnów. Głosie przepowiedni. Zwycięzco zła, panie furii...

– Tak, tak – przerwał mu Castor żartobliwym tonem, zupełnie niepodobnym do tego, który pamiętała. – Długo by można się mną zachwycać...

Lore rozchyliła usta. Pewnie zaśmiałaby się z wyrazu twarzy Philipa, gdyby nagle w pomieszczeniu nie zrobiło się cicho.

– My... – zaczął jeszcze raz starszy mężczyzna, spoglądając na Castora.

Ten oparł rękę na podłokietniku tronu, moszcząc podbródek w dłoni. Popędził archonta gestem ze znudzoną miną.

Dawnego Castora zawsze cechował szacunek wobec innych ludzi. Nie był osobą potulną,

ale też nigdy nie kwestionował pozycji innych. Jeśli żył na świecie ktoś, komu boskość nie powinna uderzyć do głowy, to był to właśnie on.

To p o w i n i e n być właśnie on.

I wszystko jasne, pomyślała Lore, pocierając dłonią klatkę piersiową. Najwyraźniej władza była jak narkotyk.

– Witamy cię z powrotem w tej kolebce śmiertelników, która wydała cię na świat. Wychwalamy cię i prosimy o stałą opiekę nad domem potężnego Achillesa – powiedział Philip. – Z wdzięczności za to moja żona, Acantha, córka...

– Wiem, kim jest twoja żona – przerwał mu Castor. – Nie utraciłem zmysłów wraz ze zdobyciem nieśmiertelności, chociaż obawiam się, że za twoją sprawą może się to stać.

Wyraźnie zakłopotani łowcy zaczęli szeptać, wymieniając spojrzenia.

Philip kontynuował z pochyloną głową, zaciskając pięści na kolanach.

– W dowód wdzięczności złożyliśmy świętą hekatombę na wielkim ołtarzu, który wybudowaliśmy dla ciebie na ziemiach naszych przodków.

Lore skrzywiła się, gdyż oznaczało to przeznaczenie stu wołów na rytualną ofiarę. Castor wydawał się podzielać jej zdanie.

– Wolałbym, żebyś rozdał mięso głodnym tego miasta – oświadczył lodowatym tonem.

Gdzieś po drugiej stronie pomieszczenia rozległ się głośny jęk. Philip poczerwieniał, z trudem tłumiąc wściekłość. Jego szczeka wysuwała się i cofała, jakby próbował zmusić się do mówienia.

Prawdopodobnie minęło wiele dziesięcioleci od dnia, w którym ktoś odezwał się do niego podobnym tonem. Dlatego Lore postanowiła cieszyć się tym widokiem jeszcze przez parę chwil.

– Przygotowaliśmy również występ. To utwór skomponowany na twoją część – wtrąciła łagodnym tonem Acantha.

Małe muzy poderwały się z miejsc, rozpoznając swoją kolej. Kiedy lirniczka zaczęła śpiewać pogodną, radosną pieśń, dziewczynki dołączyły do niej, odtwarzając starannie wyćwiczony układ taneczny. Sztywniały jednak za każdym razem, kiedy nowy bóg na nie spoglądał.

Castor obdarzył je zachęającym uśmiechem, który zniknął z jego twarzy, kiedy jedna z dziewczynek – Caliope – rozplakała się. To wciąż były dzieci, i to młodsze niż Lore w dniu, w którym po raz pierwszy przekroczyła próg Domu Tetydy. Kiedy patrzyła na coraz bardziej zapłakaną dziewczynkę, miała wrażenie, że powietrze pali ją w płucach. Mała wciąż zmagала się z układem, choć łzy ciekły jej po policzkach. Najwyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, jak okrutnie zostanie ukarana.

W końcu występ dobiegł końca. Castor nie klaskał razem z łowcami. Po prostu skinął głową, po czym spojrzał ponuro na Philipa. Starszy mężczyzna pstryknął palcami i tancerki ustawiły się w równym szeregu.

– One są... naszymi najlepszymi parthénoi¹¹ – powiedział, zmagając się ze słowem „najlepszymi”. – Jeśli któraś z nich ci się spodoba, możesz zatrzymać ją jako swoją wyrocznię. Albo kochankę, kiedy zaczniesz krwawić.

Lore zastanawiała się, gdzie w dzisiejszych czasach zdoła kupić zatrutą koszulę i w jaki sposób zapakuje ją na prezent, zanim wyśle ją bezpośrednio do Philipa Achilleosa.

Parthénoi były młodymi kobietami, którym oszczędzano Agonu. Tym samym nigdy nie zostawały lwicami polującymi dla swojego rodu. Żyły tylko po to, żeby zapewnić mu przetrwanie – rodzić kolejne dzieci. Kiedyś Lore najbardziej na świecie obawiała się, że zostanie jedną z nich i nie weźmie udziału w Agonie. Dopiero potem zdała sobie sprawę, że istnieją gorsze nieszczęścia.

Więżniarki, pomyślała, czując jad na języku. Oto, czym są te dziewczynki. Nikim innym nie będą mogły zostać.

Wyobraziła sobie, że przebija się przez otaczających je łowców, zagarnia je i zabiera stąd, zanim ktokolwiek zdoła je skrzywdzić. Jej rozważania przerwał nowy bóg.

– Są urocze – powiedział z ponurym wyrazem twarzy. – Jednak zakazuję ci oferowania ich komukolwiek z tego rodu krwi i z innych aż do momentu, kiedy staną się dorosłe. Oczekuję też, że same wybiorą sobie partnerów.

Nić furii zaciskającej się wokół klatki piersiowej Lore pękła raz na zawsze.

– Mój panie? – odezwał się Philip. Jego słowa odbiły się echem w pełnej oszołomienia ciszy.

– Takie małżeństwa to nikczemna praktyka. Dziewczynki w tym wieku powinny skupić się na nauce liter oraz zabawie. Przecież już dawno przestaliśmy żenić młodych chłopców. Dzieci należy przede wszystkim chronić – mówił Castor coraz donośniejszym głosem. – Jesteś archontem tego rodu, Patér, ale ja jestem jego bogiem. Jeśli oczekujesz mojego błogosławieństwa, spełnij moją prośbę.

Lore poczuła, jak pierwsze światełko nadziei pojawia się na końcu tunelu, a potem znika, zgaszone reakcją otaczających ją łowców. Wydawali się podenerwowani, zaskoczeni, wręcz wściekli. Czym innym jest budzić strach i szacunek, a czym innym strach i obrzydzenie. A jedyną rzeczą, którą łowcy pogardzali bardziej niż hańbą, była zmiana.

Acantha chwyciła męża za ramię i odciągnęła na bok. Lore podejrzewała, że kobiecie być może nawet podobało się to, w jaki sposób nowy bóg zwracał się do jej męża, ale była zbyt przyzwyczajona do swojego starego życia, żeby to pokazać.

– O promienisty! – zaczęła. – Tak bardzo pragnęliśmy dowiedzieć się, co cię zadowoli. Ponieważ jednak postanowiłeś nie ukazywać się nam aż do dzisiaj, nie mogliśmy stworzyć obrazu na twoje podobieństwo. Posiadłość, którą wybudowaliśmy dla ciebie w górach, stała pusta, a ofiary leżały nietknięte. Jeśli czegoś pragniesz, po prostu nam o tym powiedz.

Co? Lore w końcu podniosła się, próbując przyjrzeć się twarzy przyjaciela. Nowi bogowie słynęli z tego, że ukazywali się ludziom tak szybko, jak było to możliwe. Oczywiście po to, żeby móc w pełni cieszyć się swoim nieśmiertelnym życiem.

– Czy moje prezenty były niezadawalające? – zapytał Castor.

– Były nieziemskie – odpowiedziała cierpliwie Acantha. – Dlatego chcemy sprawić ci przyjemność. Jeśli udzielisz nam błogosławieństwa, dokonamy wielkich czynów w twoim imieniu!

W tym momencie Castor zaczął tracić ostrość umysłu. Oparł się o tron, jakby rozważał jej słowa. Potem ponownie spojrzał na Philipa.

– Podejdź do mnie, archoncie Domu Achillesa – poprosił. – Uhonoruję cię, tobie pierwszemu podając obrane przeze mnie imię.

Nieco tym udobruchany, mężczyzna podszedł bliżej. Castor pozwolił mu pochylić się nad sobą, po czym odezwał się dostatecznie głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

– Od tej pory będę znany jako Castor.

Philip w końcu wybuchł.

– Musisz wybrać imię! Tak nakazuje tradycja! – rzucił, wrywając się z uspokajającego uścisku żony. – Nie możesz zachować swojego starego imienia!

Castor dawno już przekroczył granicę dręczenia i zarazem nęcenia. Nawet teraz jego łagodny ton i szeroki uśmiech miały jeden cel – irytować starszego mężczyznę.

– Chcę używać tego imienia na cześć mojej śmiertelnej matki, która tak właśnie mnie nazwała. Czy rzeczywiście istnieje zakaz, o którego istnieniu nie miałem dotąd pojęcia? A może

kwestionujesz zarówno moje imię, jak i moją decyzję?

Lore cicho westchnęła.

Czy ty próbujesz popełnić samobójstwo?

– Oczywiście – kontynuował Castor – masz pełne prawo zwracać się do mnie „mój panie” albo „promienisty”. Od czasu do czasu będę też reagował na „najwyższą ekscelencję”.

Zadowolenie walczyło w Lore z rozdrażnieniem. Obydwoje znienawidzili Philipa, jeszcze zanim przerwał leczenie Castora. Głównie za to, że zawsze z nich szydził. Lore podejrzewała, że chłopak grubo ponad dekadę musiał tłumić gniew, jednak wątpiła, żeby ośmieszanie archonta i upokarzanie własnego rodu było najlepszym sposobem na zrewanżowanie się mężczyźnie.

– Czy cię rozczarowaliśmy? – zapytał Philip. – Czy nie okazaliśmy ci należytego szacunku?

– Jestem z was zadowolony – odpowiedział nowy bóg.

Przed wszystkim powinieneś skupić się na przeżyciu, idioto, pomyślała Lore.

Castor jakby ją usłyszał, gdyż złagodził ton.

– Skoro tę sprawę już załatwiliśmy, archoncie, to opowiedz mi, jak radzi sobie Dom Achillesa.

Philip odchylił ramiona do tyłu i głośno zaczerpnął powietrza.

– Będziesz zadowolony, panie, słysząc o wszystkich narodzinach, do których doszło w ciągu siedmiu lat od twojego wstąpienia na boski tron...

Kątem oka Lore dostrzegła na schodach spóźnionego gościa – Evandera. Przepychał się przez tłum, lewą dłonią poprawiając przód srebrnej jedwabnej tuniki. Drugą, ukrytą w czarnej rękawicy, trzymał nieruchomo na wysokości brzucha.

No cóż, pomyślała Lore. *Cholera.*

Van znany był ze swojej inteligencji i dlatego od razu wszystkiego się domyślił. Zresztą nawet jastrzęb wołałby zaufać jego osądowi niż własnym oczom.

Co oznaczało, że powinna opuścić to miejsce dobrych pięć minut temu.

Castor również go zauważył. Spojrzał młodzieńcowi prosto w oczy, po czym przeniósł wzrok na Philipa, który ze stoickim spokojem wygłaszał sprawozdanie dotyczące liczby zawartych małżeństw, zgonów, rozmaitych inwestycji i przedsięwzięć biznesowych.

– Przyspieszyliśmy proces zatwierdzenia twoich lekarstw i szczepionek przez władze federalne i już na początku następnego kwartału spodziewamy się znaczących zysków – kontynuował. – Jestem przekonany, że to zaledwie początek tego, co uda nam się osiągnąć, o ile, dzięki swoim mocom, pomożesz nam zwiększyć popyt.

Castor pochylił się do przodu, marszcząc brwi.

– Proszę cię zatem o przysługę, *ś w i e t l i s t y* – dodał archont. – Chciałbym, żebyś po powrocie do swojej nieśmiertelnej formy stworzył chorobę, którą tylko my będziemy w stanie wyleczyć.

Lore zacisnęła szczękę tak mocno, że ta aż ją rozboleła. Zmusiła się, by nie wydać z siebie dźwięku.

– Zostaliśmy pobłogosławieni twoją zdolnością leczenia, ale oczekujemy czegoś więcej. Pragniemy wykorzystać nadarżającą się okazję. I wcale nie musi się ona wiązać z dużą liczbą zgonów – wyjaśnił Philip, wyraźnie podbudowany głosami otaczających go osób. – Kilka tysięcy wystarczyłoby do zapewnienia nam globalnego popytu.

– Nie – stwierdził kwaśno Castor. – Nie mam mocy sprowadzania chorób, ale nawet gdybym takową posiadał, to nie użyłbym jej. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby służyć temu rodowi, ale nie zamierzam siać śmierci czy strachu.

Philip się cofnął.

– Ależ, panie...

– Jestem przekonany – nowy bóg wrócił do swojego ostrego tonu – że nie muszę ci przypominać, dlaczego rozpoczął się pierwszy Agon i z jakich powodów Zeus odmówiłby Apollovi i jego następcom podobnej mocy. Nie muszę też wyjaśniać, jak wiele przerażających chorób istnieje już na tym świecie. Pewnie mógłbyś zapytać mnie, co zrobiłem, aby pomóc cierpiącym na przypadłość, z którą sam się zmagalem w swoim śmiertelnym życiu. I w jaki sposób mógłbyś dalej kręcić kołem, które wprowadziłem w ruch za pomocą niedrogich leków.

Acantha się skłoniła.

– To była mądra decyzja. Chętnie przejmę od ciebie ten ciężar.

Starzy bogowie byli potworami: samolubnymi, próżnymi, kierującymi się niepomaganą ciążą do przemocy. Rozglądając się po sali i widząc na twarzach obecnych rozczarowanie mieszaną ze złością, Lore dostrzegła obietnicę czegoś dużo gorszego.

– Evanderze, synu Adonisa – powiedział Castor, spoglądając na ciemnoskórego młodzieńca. – Co z Agonem? Co udało ci się uzyskać w sprawie naszych zmarłych?

Evander podszedł do basenu i przyklęknął tuż obok. Coś przemknęło przez twarz Castora. Rozchylił nawet usta, ale Van go uprzedził.

– Mam obowiązek poinformować cię o śmierci boga Hermesa...

Zgromadzeni wokół łowcy nie pozwolili mu dokończyć. Przez salę przetoczył się ryk o zadziwiającej wręcz intensywności. Lore rozcapierzyła dłonie, czując, jak drętwią jej palce.

A zatem z pierwotnych bogów żyły jeszcze tylko Atena i Artemida. Nagle Lore naszała kolejna, dużo gorsza myśl: *Muszę jej o tym powiedzieć.*

To była ważna informacja, choć oczywiście liczba pierwotnych bogów mogła wkrótce ograniczyć się do jednej – samej Artemidy. Lore zrozumiała, że musi czym prędzej poszukać pomocy dla Ateny.

– Kto go zabił? – warknął Philip.

Van zawsze miał w sobie spokój, który jednak działał na nerwy. Chłopak zachowywał go nawet w obliczu złych wieści.

– Nowy Ares, który przybrał imię Gniewny – wyjaśnił.

Szum w pomieszczeniu narastał, pulsując nowym, innym rodzajem furii.

– Zabił go, choć wiedział, że nie przejmie jego mocy? – wściekł się Philip.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Castor.

– Moje drony zarejestrowały moment śmierci Hermesa – odpowiedział Van. – Co więcej, Kadmici schwytali też Dawczynię Przyływów.

Wycie ponownie przetoczyło się przez salę.

– Żywą czy martwą? – próbował dowiedzieć się nowy bóg.

– Żywą, ale ledwo co. Moje źródła utrzymują, że Gniewny zamierzał wydobyć z niej jakieś informacje, ale się nie ocknęła. Prawdopodobnie wykończył ją w swojej siedzibie.

Lore czuła... może nie tyle smutek, ile chłodną świadomość, że jest już ostatnią z żyjących przedstawicielek Domu Perseusza. Jej przodkowie w Zaświatach musieli rozpaczać.

– Jakie informacje zamierzał z niej wyciągnąć? – dociekał Castor.

– Wciąż próbuję to ustalić – przyznał Van. – Może chodzi o to, o czym rozmawialiśmy...

– dodał porozumiewawczym tonem.

Przez chwilę Lore miała wrażenie, że dyskutują o oryginalnej wersji wiersza. Potem jednak przypominała sobie ciche ostrzeżenie, które usłyszała z ust Castora tuż po walce.

On czegoś szuka i nie wiem, czy nie chodzi mu o ciebie.

Nie... to niemożliwe. Dawczyni Przyływów nie mogła wiedzieć, gdzie jej szukać.

– Najwyraźniej próbuje zastraszyć rody – oświadczył Philip, swoją pasją odzyskując

uwagę zebranych. – Ale my się nie damy.

Van, zamiast odpowiedzieć, spojrzał znacząco na Castora.

– Pewnie ma ambitniejsze plany, więc musimy mieć się na baczności. Dom Tezeusza formalnie zjednoczył się z Domem Kadmosa. Obama dowodzi Gniewny.

– Co? – warknął Philip, próbując przekrzyczeć narastającą wrzawę.

– Jak pewnie pamiętasz, Dom Tezeusza stracił większość swoich parthénoi podczas ostatniego Agonu. Atena odnalazła ich kryjówkę – przypomniał Van.

Na samo wspomnienie tego faktu Lore rozboleł żołądek. Dziesiątki dziewczynek zmasakrowanych przez boginię, która niegdyś była ich patronką i opiekunką.

– Moi szpiedzy donoszą, że w zamian za ich lojalność – kontynuował Van – prócz szczodrej gratyfikacji finansowej Gniewny obiecał im małżeństwa oraz bezpieczeństwo.

– Tchórze! – krzyknął ktoś tuż obok Lore.

– Cisza... C i s z a ! – huknął Philip. – W odróżnieniu od nas nie mają boga, który by ich chronił.

Gdyby w tej chwili Lore nie obserwowała Castora, pewnie przegapiłaby jego reakcję. Sposób, w jaki jego twarz skurczyła się, a oczy zacisnęły. Szczeka mu zadrżała, kiedy kurczowo chwycił się dłońmi podłokietników tronu.

– Panie! – zaczął Van. – Jeśli mogę...

Obrazy na lustrach zadrgały, nagle poruszone. Lore odskoczyła od ściany, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

Starannie ukryte głośniki, emitujące szum odległych fal, odezwały się grzmiącym bębnieniem. Przestraszeni Achillesydzi rozbiegli się po pomieszczeniu.

– Co się dzieje? – zawołał Philip. – Niech ktoś to wyłączy!

Lustra pokryły się czernią, odbijając światło palenisk prowadzących w stronę schodów.

Dudnienie ustało tak nagle, jak się pojawiło. Castor podniósł się z tronu, jakby spodziewał się, co za chwilę nastąpi.

Pośrodku każdego lustra pojawiła się czerwona plama, rozpryskując się po ekranach, aż pomieszczenie utonęło w czerwieni.

– Achillesydzi! – Głęboki, chrapliwy głos wyślizgnął się z głośników. – Achillesydzi, wysłuchajcie mnie!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



STRACH PRZESZYŁ LORE. WYDAWAŁ SIĘ ROZCINAĆ JEJ CIAŁO od środka. Na skórze pojawił się pot zimny jak palce Tanatosa.

Krzyki rozdarły powietrze. Kilku łowców rzuciło się do wyjścia, jednak runęli z łoskotem na podłogę. Pozostali również zaczęli padać niczym deszcz, a ich jedwabne ubrania rozlewały się po posadzce. Niektórzy chwyтали się kolumn i siebie nawzajem, usiłując dźwignąć się z ziemi, inni próbowali dobyć noży ukrytych w fałdach ubrań.

Ciało Lore też ją zdradziło. Straciła czucie w nogach, które przestały utrzymywać jej ciężar. Uderzyła o wypolerowaną podłogę, czując obezwładniający strach. Kończyny wydawały jej się słabe i puste. Nie miała siły, żeby zadrzeć głowę.

Aristos Kadmou – Gniewny.

To jedna z jego mocy. Lore pochwyciła tę myśl i starała się jej trzymać, otrząsnąć się z paniki, która powoli ją ogarniała. Nowy Ares potrafił wywołać u człowieka żądzę krwi, ale również pozbawić go niej, osłabiając ciało i wolę.

Lore starała się poruszyć nogami, przynajmniej wsunąć je pod siebie, ale nie chciały jej słuchać. Wciągnęła powietrze przez nos i odwróciła się, szukając wzrokiem Castora.

Stał dokładnie tam, gdzie wcześniej. Pozornie niewzruszony obserwował przerażenie szerzące się w pomieszczeniu. Kiedy leżąca na ziemi Acantha jęknęła, podszedł do niej, próbując ją podnieść. Jego dłonie zaświeciły, kiedy jej dotknął, lecz pozostała bezwładna niczym lalka.

Niepokój wymieszany ze strachem zagościł na twarzy Castora. Lore usłyszała jego myśli, jakby wykrzyczał je na głos. *Co mam zrobić? Co mam zrobić?*

Zrozumiała. Gniewny chciał, żeby nowy bóg poznał jego moc. Żeby zrozumiał, co go czeka.

A potem przemówił.

– Pozdrawiam cię, Castorze Achilleosie, i całą twoją rodzinę – powiedział.

– To niepotrzebny popis. Wszyscy znamy twoje umiejętności – zaprotestował ostro Castor. – Powiedz, czego chcesz.

Czucie powróciło do ciała Lore. Jęknęła. Wyraźnie słyszała pokrzykiwania łowców, którzy starali się podnieść z ziemi, uwolnieni przez Gniewnego.

– Oferuję ci kleos – odpowiedział nowy Ares. – Pokłoń mi się, młody boże. Oddaj swoją moc pod me rozkazy, a oszczędzę Dom Achillesa. Odmów, a wszyscy zginą od mojego miecza. Zacznę od ciebie.

– Groźby bez pokrycia – syknął Philip, próbując wstać. – Odpowiemy ciosem na cios.

– Pozwolisz śmiertelnikowi decydować za siebie, młody boże? – zapytał Gniewny. – Oferuję wszystkim chętnym miejsce w nadchodzącym świecie. Tym, który wspólnie stworzymy. Będzie to miejsce pełne mocy i niewyobrażalnych bogactw. Agon dobiegnie końca, a służący mi zostaną hojnie wynagrodzeni.

Lore podniosła się z ziemi, wspierając się na przewróconym stole.

Castor złapał się oparcia tronu i zamknął oczy. Po chwili zmusił się do ich otwarcia.

– Achillesydzci nie służą nikomu.

– To twoja odpowiedź? Niech i tak będzie.

– Wyłączyć je! – zawołał Philip, sięgając po misę. Cisnął nią w najbliższe lustro, rozwalając je na setki kawałeczków. – Odciać zasilanie!

– Wasz nowy bóg was nienawidzi – wyjaśnił Gniewny łowcom. – Jest słaby. Najśłabszy ze wszystkich. Nie mógł przybrać właściwej sobie formy. Nie potrafi sięgnąć do głębszych pokładów mocy. Będę dbał o was i służył wam, tak jak wy mnie. Będę biesiadował na waszą cześć, podzielę się z wami moją władzą i mocą. Tylko ja was ochronię. Tylko ja mogę was uwolnić.

– Dom Achillesa nie ustąpi! – zawołał Philip. – Jesteś zwykłym tchórzem ukrywającym się za ekranami. Ochronisz nas? Nie wyświadczysz nam nawet tej uprzejmości, żeby zwrócić ciała naszych zmarłych!

Łowcy zaczęli zgodnie tupać nogami, pokrzykując z aprobatą. Ekrany ponownie zamigotały i pulsujący szkarłat ustąpił miejsca znacznie bardziej przerażającemu obrazowi.

W zaśmieconym rynsztoku ciągnął się rząd odciętych głów. Każdej wyłupiono oczy, zastępując je srebrnikami. Szczęki wyrwano z zawiasów i ułożono je w kpiącym uśmiechu, na podobieństwo masek Achillesydów.

Philip wraz z kilkoma łowcami rozbili resztę luster, lecz było już za późno.

– Przyjdźcie i je sobie weźcie! Niedługo do nich dołączycie! – zawołał Gniewny i zamilkł, gdyż połączenie wreszcie przerwano.

ROZDZIAŁ JEDENASTY



PODCZAS UCIECZKI LORE WYKORZYSTAŁA CHAOS PANUJĄCY PO WYPOWIEDZENIU przez Gniewnego wojny.

Przepychała się przez grupki Achillesydów, kierując się w stronę schodów. Miała zaledwie chwilę na wymknięcie się z sali, gdyż nadzwyczajne środki bezpieczeństwa łada moment mogły to uniemożliwić. A ona musiała wrócić do Ateny. Poszukać dla niej pomocy gdzie indziej. Opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło.

Ale Castor...

Spojrzała przelotnie na nowego boga. Wydał jej się blady jak ściana. Nie zdziwiła się, widząc, że otaczają go uzbrojeni łowcy. Jeden z nich wydawał już rozkazy, wskazując przeciwną stronę pomieszczenia.

Zdołałby ją uleczyć, pomyślała Lore. Z podsłuchanej rozmowy wywnioskowała, że od Apolla przejął moc uzdrawiania i mógłby w prosty sposób rozwiązać jej najbardziej palący problem.

Ale nie. Nie mogła zaprowadzić go do Ateny. Wiedziała o tym i czuła się rozzaczarowana, jednak bogini nie pozwoliłaby żyć mordercy swojego brata. Zresztą w jaki sposób Lore miałaby wyprowadzić nowego boga z Domu Tetydy? I to bez pomocy Achillesydów, którzy z pewnością ruszyliby jego śladem i podążyli za nimi aż do jej domu? Nie mogła narażać nikogo z nich – Milesa, Castora czy Ateny – na choćby najmniejsze niebezpieczeństwo.

Castor powinien zresztą zostać z rodziną. Tu nic mu nie groziło, nawet ze strony Philipa. Nawet po wypowiedzeniu przez Gniewnego wojny. Przemówienie nowego Aresa ukazywało Castora jako słabeusza i z tego powodu stanowiło dla niego zagrożenie. Jednocześnie mogło okazać się pomocne. Łowców cechowała przecież olbrzymia duma, samych Achillesydów również. Nigdy nie poświęciliby swojego boga i woleliby umrzeć, niż ukorzyć się przed obcym władcą.

Lore po raz ostatni spojrzała za siebie. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

Nie zawiedźcie mnie, dupki, pomyślała. Nie pozwólcie mu zginąć.

Van ruszył się wreszcie z miejsca, w którym rozmawiał z Acanthą, i pokonał dystans dzielący go od Castora kilkoma dużymi krokami. Minął Lore o kilka centymetrów. Znalazł się dostatecznie blisko, by poczuła zapach jego wody kolońskiej o nucie pomarańczy wymieszanej z drzewem sandałowym. Z trudem oparła się pokusie zatrzymania go.

Od tak dawna go nie widziała! Pewnie od czasów, kiedy byli jeszcze dziećmi rozbijającym się po mieście. Podczas gdy Castor przypominał otwartą księgę i cieszył się, że tak łatwo go zrozumieć, Van stanowił starannie zamknięty dziennik ukryty pod materacem. No, może z wyjątkiem tych chwil, w których obwiniał ją o ściąganie na głowę Castora kłopotów, a nawet zachęcanie go do robienia niebezpiecznych rzeczy – a dla Vana prawie wszystko, co zabawne, było niebezpieczne.

Tak naprawdę zaufanie Lore stanowiło rzadki towar – oferowany nielicznym i nigdy za darmo. Z kolei lojalność Vana wobec własnej rodziny przewyższała ich dawną niby-przyjaźń. Dlatego wiedziała, że musi sama wydostać się z Domu Tetydy. Jak zawsze zresztą.

Ruszyła po schodach na górę, wybierając tę samą drogę, którą tu przyszła. Z każdą

mijającą chwilą czuła się coraz bardziej zaniepokojona. Nieprzyjemny ciężar zakotwiczył się gdzieś w dole jej żołądka, dlatego zrobienie ostatnich kilku kroków wymagało od niej wiele wysiłku. Z trudem łapała oddech. Znow zaczynała panikować.

Gniewny.

Jego głos odbijał się echem w poranionych częściach jej ciała, przywołując obrazy rodziców i sióstr, które przez całe lata starała się wymazać z pamięci.

Gdyby z nowym Aresem sprzymierzył się Dom Tezeusza, setki nowych wojowników odgrodziłyby go od Ateny. Stara bogini nie miałaby szans, żeby się do niego zbliżyć i dotrzymać swojej obietnicy. Ta myśl przerażała Lore.

W rzeczywistości sytuacja stała się jeszcze trudniejsza, uświadomiła sobie.

Jeśli Gniewny rzeczywiście starał się dopaść innych bogów, starych i nowych, to jego łowcy mogliby niestrudzenie tropić Atenę. A Aristos Kadmou nigdy nie zadowalał się mało znaczącymi czy niezbyt spektakularnymi sukcesami. Nawet jeśli usuwał swoich rywali z planszy, plany miał znacznie większe.

A Cas...

Tak niewiele rzeczy łączyło Lore z jej dawnym życiem, że – nawet jeśli nie chciała się do tego przyznać – szansa na znalezienie kolejnego łącznika stanowiła dla niej atrakcję. Dziewczyna lata temu przestała wierzyć w Przeznaczenie, jeszcze w czasach, kiedy wyraźnie widziała błyski wyimaginowanych ostrzy odcinających ją od wszystkiego i wszystkich. Wkrótce rzeczywiście nie miała już nic. I nikogo.

– Ogarnij się, ty pijany barani łbie – mruknęła do siebie.

Przecież wiodła przyzwoite, naprawdę niezłe życie. W końcu miała dom i Milesa, który czekał na nią w towarzystwie bogini zdolnej go zarządzić.

Pragnęła jeszcze jednej osoby. Tej, która zawsze potrafiła ją uspokoić, bez względu na to, czy napędzał ją temperament, czy też strach. Chciała jedynej osoby, na którą zawsze mogła liczyć. Która zawsze była przy niej.

Chciała Castora.

Zagryzła wargę, próbując rozluźnić ucisk w gardle. Znalazła drzwi, przez które weszła do budynku. Złapała za klamkę. Szarpnęła, ale ani drgnęły.

– Och, c u d o w n i e – jęknęła. Ponownie szarpnęła, tym razem z większą siłą. – Nie mam na to czasu!

Odsunęła poły pożyczonej szaty, próbując w tylnej kieszeni szortów wymacać kawałek plastiku i za jego pomocą podważyć skobel. Nie znalazła jednak nic poza strzępkami przędzy.

Cholera.

Musiał jej wypaść, kiedy przechodziła przez drzwi balkonowe. A może odłożyła go na bok, kiedy się przebierała?

Świece w korytarzu migotały. Powoli dogasały. W powietrzu unosił się zapach dymu i rozgrzanego wosku, zmieszany z ciągnącym z dołu aromatem kadzideł. Lore oblizwała spierzchnięte usta, analizując możliwości. Czuła się podenerwowana i wyczerpana, mimo to sprawdziła kolejne drzwi. A potem następne. I jeszcze następne.

– Oczywiście, że rozumiem. – Dobiegł ją głos ze szczytu schodów, któremu towarzyszyły ciężkie kroki. – Naruszenie bezpieczeństwa... Obawiam się...

Przekląła w myślach. Podbiegła do kolejnych drzwi, wymyślając tysiące powodów swojej obecności, które mogłaby podać, gdyby ktoś ją przyłapał. *Kręciła się w kółko, sprawdzała podejrzanę odgłosy, szukała zaginionej torebki, potrzebowała chwili samotności...*

Żadna z tych wymówek jej się nie przydała. Ostatnie drzwi, te z panelem szyfrowym, okazały się uchylone. Wślizgnęła się do pomieszczenia za nimi i starannie je przytknęła.

Pomimo maski głęboko odetchnęła.

Przez przyciemniony świetlik do pokoju wpadało akurat tyle światła słonecznego, ile potrzeba było do rozproszenia ciemności. Pośrodku, pomiędzy dwoma zamurowanymi oknami, stało imponujących rozmiarów łóżko z baldachimem uszytym z białego jedwabiu. Znajdująca się pod ścianą szafa wyglądała na przekazywaną z pokolenia na pokolenie, gdyż zdobiła ją nieco już wyblakła scena pasterska przedstawiająca chłopów wypasających bydło. Na podłodze, niczym płatki kwiatów, rozłożono pluszowe poduszki, a w całym pomieszczeniu rozstawiono kunsztowne kandelabry. Czekały tylko, aż ktoś je zapali.

W powietrzu unosił się zapach świeżej farby, a nowe dywany wyglądały nieskazitelnie. To musiał być pokój Philipa i Acanthy, świeżo wyremontowany na czas ich wizyty z okazji Agonu.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. W nogach łóżka spał ogromny, kudłaty pies. Biel zebrała się na jego niedźwiedzim pysku i czubkach długich uszu. Resztę całkowicie czarnej sierści pokrywał kurz, jakby futrzak dopiero co wrócił ze spaceru po zaśnieżonym Central Parku. Z nią i z Castorem.

Wąska strużka śliny skapnęła psu z pyska na jedwabną kołdrę. Ogromne oczy otworzyły się. Podniósł łeb, jakby rozpoznał Lore.

– Chejron? – szepnęła.

Uniosła maskę, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Poczula falę radości. Pies wciąż żył – musiał mieć teraz jakieś czternaście lat. Powoli podeszła do owczarka greckiego i wyciągnęła rękę.

Pamiętała go z czasów dzieciństwa – należał do Castora. Pojawił się, kiedy chłopak był jeszcze na tyle mały, że jeździł na grzbiecie Chejrona. Później pies wiernie biegał za swoim opiekunem niczym wiecznie zmartwiona niania, biorąc udział w wielu przygodach Castora i Lore.

Teraz uderzył ogonem o jedwabną kołdrę i polizał palce dziewczyny na powitanie. Poczula dziwną ulgę.

– Też za tobą tęskniłam, futrzaku – szepnęła, głaszcząc go po uszach. – Pewnie nadal nie potrafisz mówić po ludzku i nie powiesz mi, jak się stąd wydostać?

Pies opuścił łeb i ponownie zapadł w drzemkę.

– Cóż – mruknęła Lore. – Tego się spodziewałam.

Gruby dywan tłumił jej kroki, gdy krążyła po pokoju. Nie miał balkonu ani okien, a jedynie świetlik. Również w zaskakująco eleganckiej łazience nie było okien. W jej czarnych marmurach Lore dostrzegła swoją poirytowaną minę.

Spojrzała na świetlik i zaczęła gorączkowo myśleć. Gdyby zdołała wdrapać się wyżej, być może podważyłaby go i wydostała się na dach. Wtedy jednak znalazłaby się na celowniku łowców – wytrenowanych maszyn do zabijania. Lore troskliwie pielęgnowała swoje poczucie własnej wartości, ale zdawała sobie sprawę, że walki z łowcami nie można porównać ze spuszczeniem lania bogatym, zepsutym dzieciakom.

Pies otworzył oko.

– Nie patrz tak na mnie – zaprotestowała. – Planuję ucieczkę!

Chejron odwrócił łeb w stronę drzwi. Po chwili również Lore usłyszała kroki.

– Bądź pewni, że będziemy... – Rozległ się stłumiony głos. Robił się coraz głośniejszy.

Lore nałożyła maskę i zanurkowała pod łóżko, lecz szybko się spod niego wytoczyła, gdyż zdała sobie sprawę, że od strony drzwi byłoby ją widać. Ruszyła w stronę szafy, lecz pomyślała, że Philip lub Acantha w pewnym momencie chcieliby zmienić strój, i choć Lore z reguły potrafiła wytłumaczyć się z wielu sytuacji, to raczej nie wyjaśniłaby sensownie, dlaczego stała w garderobie archonta i jego małżonki. W rezultacie mogła zrobić tylko jedno – na

pierwszy rzut oka straszną głupotę.

W chwili, w której ktoś odblokował i otworzył drzwi, ukryła się za ozdobnym drewnianym parawanem stojącym w rogu sypialni. Pomiędzy dwoma panelami znalazła szczelinę dostatecznie szeroką, żeby zobaczyć trzech mężczyzn wchodzących do pomieszczenia.

I właśnie w tym momencie zrozumiała, że się pomyliła.

Sypialnia wcale nie należała do archonta i jego żony.

ROZDZIAŁ DWUNASTY



CHEJRON ZERWAŁ SIĘ Z ŁÓŻKA I ZASZCZĘKAŁ, AŻ LORE PODSKOCZYŁA. Nigdy wcześniej nie słyszała jego ujadania. Głębokiego i basowego.

– Spokojnie, bestio – powiedział Philip, uspokajająco wyciągając dłoń. – Siad!

Pies stał na sztywnych łapach, z opuszczonym łbem i podwiniętym ogonem. Nie patrzył jednak na Philipa. Łypał okiem na Castora!

Resztki rumieńców znikły z twarzy nowego boga. Wyraźnie spięty obserwował zwierzątko, aż Van stanął pomiędzy nimi.

– Zabiorę go stąd – zaproponował Philip. – On... chyba cię nie poznaje.

– Nie szkodzi – rzucił ostrym tonem Castor. – Najpierw chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób, do diabła, Gniewny podłączył się do waszej sieci!

– Przesłuchujemy już techników – odpowiedział Van. – Zaraz i ja się tym zajmę. Podejrzewam, że nie musiał nawet korzystać z pomocy kogoś z Domu Tetydy. Po prostu jego ludzie włamali się do naszego systemu. Bardziej martwi mnie to, że Gniewny potrafi wykorzystać swoją moc tak, jak nam to zademonstrował.

– Dla mnie priorytetem jest ochrona boga naszego rodu. Bezpośrednie uderzenie wydaje się kwestią czasu – dodał Philip. – Kiedy będziemy gotowi, żeby przenieść cię w bezpieczniejsze miejsce, poza miasto, przyślę po ciebie strażników.

– Myślisz, że to konieczne? – zapytał Van. – Jeśli mają szpiega w naszej rodzinie, dowiedzą się o tym ruchu, zanim go wykonamy. To spore ryzyko.

– Nie jesteś archontem naszego rodu, p o s ł a ŋ c u – powiedział Philip. – To do mnie należy decyzja.

Posłaniec – no oczywiście! Świecidełko, które podczas walki Lore dostrzegła na piersi Vana, było złotym skrzydłem i symbolizowało emisariusza. Kogoś niewiele ważniejszego od szpiega, ale chronionego przysięgą złożoną przez wszystkie domy. Dzięki niej posłańcy mogli bez obaw przenosić wiadomości i ustalać z innymi rodami szczegóły wymiany ciał poległych.

– Jesteś pewien, że rywalizacja z Kadmou nie wpłynęła na twoją zdolność prawidłowego osądu sytuacji? – Van nie musiał podnosić głosu, żeby nadać swoim słowom ostrość brzytwy.

Lore wciąż nie mogła uwierzyć, że nie słyszeli jej nierównego oddechu.

– Evanderze, synu Adonisa – syknął Philip. – Raz jeszcze odezwij się do mnie w ten sposób, a odbiorę ci nie tylko złote skrzydło, ale też drugą rękę.

Drugą rękę? Lore pochyliła się do przodu.

Teraz to dostrzegła – palce prawej dłoni Vana były nieco dłuższe i sztywniejsze od tych u dłoni lewej. Mógł nimi poruszać, a nawet je zgiąć, ale reagowały wolniej i nie były tak sprawne. Podobnie jak wielu łowców, Evander stracił jedną z kończyn. Zastąpił ją zaawansowaną technologicznie protezą.

Cholera, pomyślała Lore.

To mógł być wypadek podczas sparingu. Prawą rękę miał dominującą – tyle zapamiętała z tych kilku sesji treningowych, które z nimi odbył, kiedy jego rodzice przyjechali do miasta w interesach.

Niektórzy łowcy po takiej tragedii szybko wracali do treningów, próbując nauczyć się

nowych stylów walki, lepiej dostosowanych do ich zmodyfikowanych ciał. Dzięki temu wciąż brali udział w polowaniach. Jednak większość z rozkazu archonta przechodziła na wcześniejszą emeryturę i parała się zajęciami niezwiązanymi z walką. Często zostawali archiwistami czy uzdrowicielami.

Lore uważała tę praktykę za irytującą. Jeśli ktoś chciał walczyć, jeśli wciąż marzył o kleosie, powinien mieć do tego prawo bez względu na okoliczności.

– Gdybyśmy otrzymali proroctwo, panie... – zaczął Philip, zwracając się do Castora. – Moglibyśmy przewidzieć ruchy Kadmitów.

– Ile razy mam powtarzać, że nie będzie żadnych proroctw? – odpowiedział. – Nie posiadam takiej mocy. Znów muszę ci przypomnieć, że choć dysponuję niektórymi umiejętnościami Apolla, to jednak nim nie jestem.

Lore wstrzymała oddech, gdyż nowy bóg zrobił kilka kroków w jej stronę. Zdjął złote rękawice i położył je na stoliku tuż obok parawanu.

Philip zaperzył się, ale skinął głową.

– Tak, mój panie. Wszyscy z przyjemnością wysłuchamy opowieści, jak niewinny dwunastoletni chłopiec pokonał jednego z najsilniejszych pierwotnych bogów i zajął jego miejsce. Być może zechciałbyś porozmawiać o tym z jednym z historyków naszego rodu...

– Dość tego! – przerwał mu ostro Castor. Znajdował się tak blisko, że Lore wyraźnie czuła dym kadzideł, którym pachniała jego skóra. Przez chwilę miała wrażenie, że spojrzał prosto w jej oczy, ale zaraz się odwrócił i podszedł do łóżka. – Chciałbym odpocząć przed podróżą.

– Cas... Mój panie – zaczął Van. – Może moglibyśmy przedyskutować...

– Powiedziałem: dość tego! – powtórzył Castor, chwytając jeden ze słupków podtrzymujących baldachim z taką siłą, że ten aż zatrzeszczał. – Wezwijcie mnie, kiedy przyjdzie pora ruszać w drogę.

Philip złapał Evandera za ramię i pociągnął w stronę drzwi.

– Na zewnątrz ustawiłem łowców. Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić, panie?

– Zniknąć – odpowiedział Castor, nawet się nie odwracając.

– Tylko zamknij za nami drzwi – przypomniał mu Van.

Castor skinął głową, ale nie poruszył się, dopóki obaj nie wyszli z pokoju. Dopiero po kilku dłuższych chwilach odwrócił się i uderzył kolaniem o skrzynię stojącą w nogach łóżka. Zaklął. Lore miała wielką ochotę roześmiać się na widok potężnego boga podskakującego i krzywiącego się z bólu. Sęk w tym, że Castor poruszał się jeszcze bardziej niezgrabnie niż wcześniej.

Próbował opleść rękami swoją szeroką klatkę piersiową i wyprostować szyję. Potem zamknął drzwi na trzy zamki i nacisnął przycisk znajdujący się tuż obok na ścianie. Lore drgnęła, gdyż metalowa gródź osunęła się, szczelnie zasłaniając wejście.

Lore znalazła się w pułapce.

Castor podszedł do Chejrona i wyciągnął dłoń w podobny sposób, w jaki zrobiła to Lore. Pies warknął, obnażając zęby, i skrzywił się złośliwie. Castor nie cofnął pięści, dopóki zwierzę nie rzuciło się na nią.

– Przecież mnie znasz – szepnął. – Znasz!

Lore zasłoniła usta dłonią, próbując nie wydawać z siebie najmniejszego dźwięku. Chejron nie pamiętał Castora. Nie dostrzegał w nim chłopaka, którego tak kochał i którego zawsze bronił. Wyczuwał... kogoś i n n e g o.

Wiedziała, że nie musi się obawiać Castora. W końcu pojawił się na walce, żeby jej pomóc – i nie miał powodów, żeby ją zabić, nawet jeśli włamała się do budynku. Wciąż jednak nie potrafiła zmusić się do reakcji. Czuła się jak jeden z tych starych posągów na zawsze

uwięzionych w jednej pozie, z wiecznie otwartymi oczami.

Pies rozluźnił szczękę i uspokoił się na tyle, że Castor ponownie spróbował go do siebie przekonać. Kiedy jego dłoń zawisła nad grzbietem zwierzęcia, Chejron drgnął i wskoczył na stertę poduszek, gdzie zwinął się w kulkę i spoglądał podejrzliwie na nowego boga.

Castor przez chwilę go obserwował. Z jego twarzy zniknęły dawne ciepło czy choćby ślad nadziei. Można było odnieść wrażenie, że wniknęła w niego jakaś mroczna moc. Krążył teraz po pokoju, oddychając coraz głębiej, z coraz większym wysiłkiem. Od czasu do czasu zatrzymywał się i przesuwiał dłonią po adamaszkowej tapecie, jedwabnych prześcieradłach i zasłonach, zakrzywionych brzegach kwiatów zdobiących oparcie krzesła.

Stanowiło to coś na kształt rytuału. W każdy dotyk wkładał mnóstwo szacunku. Lore wyraźnie widziała jego profil i niekończącą się burzę emocji na jego twarzy. W końcu wymamrotał do siebie coś, czego nie usłyszała.

Nowy bóg zatrzymał się pośrodku pokoju. Zadrżał. Ściągnął koronę ze swoich ciemnych włosów i przez chwilę trzymał ją między palcami. Nagle przełamał ją na pół. Rozległ się cichy trzask i kawałki korony upadły na podłogę.

Odsuwający się panel w ścianie za plecami Castora nie wydał żadnego dźwięku. Do pomieszczenia wszedł łowca w masce minotaura.

Castor wyprostował się i spojrzał za siebie. Zobaczył nieznajomego wyciągającego mały pistolet spod płaszcza. Przez chwilę nowy bóg jedynie wpatrywał się w przybysza. Nie poruszał się. Wydawał się nawet nie oddychać.

Cholera, pomyślała Lore. Cholera, cholera! Uciekaj, Castor!

Przyjaciół nie uciekł, a łowca wystrzelił.

Lore przewróciła parawan, jednocześnie sięgając po śrubokręt. Nie był to może nóż, ale zawirował w powietrzu dokładnie tak, jak się zamierzyła. Śrubokręt odbił się od maski napastnika, przewracając go na ziemię.

Dziewczyna rzuciła się na niego, choć próbował cofnąć się w stronę sekretnego przejścia. Była zbyt wściekła, żeby pozwolić mu uciec.

Momentalnie wyciągnął długi sztylet z pochwy u boku. Chejron poderwał się na równe nogi i zaczął ujadać jak szalony. Odwrócił w ten sposób uwagę napastnika, dzięki czemu Lore zdołała chwycić niewielkie marmurowe popiersie stojące na komodzie i uderzyć nim w głowę łowcy. Raz i drugi.

Zabójca osunął się na ziemię i znieruchomiał. Krew wyciekła spod ciemnego kaptura. Lore zsunęła mu go z głowy i zerwała maskę, odsłaniając sflaczałą twarz Philipa Achilleosa.

– Drań! – warknęła. I do tego zdrajca chowający się za maską należącą do innego rodu. Taka zasłona nie uchroniłaby go przed klątwą dopadającą zabójców swojego rodu, tak jak i nie uchroniła go przed Lore.

Chejron zaskamlał, wyrywając ją z oszołomienia. Stał tuż obok miejsca, gdzie leżał Castor. Wąchał jego rękę. Lore sięgnęła po śrubokręt i podeszła do nowego boga, szukając śladu po kuli. Otwartej rany. W pobliżu serca dostrzegła jedynie niewielką strzałę z piórkiem. A więc środek usypiający!

Dodała tchórzostwo do listy atrybutów archonta. Nie chciał napotkać żadnego oporu ze strony Castora. Pewnie wbiłby mu nóż w serce, a potem zajął jego miejsce.

– Chrzanić to! – zaklęła i chwyciła przód szaty przyjaciela. Potrząsnęła nim. – Mogłeś tego uniknąć! No, obudź się!

Głowa opadła mu do tyłu, więc Lore przyłożyła ucho do jego klatki piersiowej. Usłyszała jedynie bicie własnego serca.

– Castor? – powiedziała i ponownie nim potrząsnęła. – Cas!

Nawet nie drgnął. Lore przycisnęła spód dłoni do jego klatki piersiowej i zaczęła rytmicznie ją uciskać. Wtedy Castor się ocknął, ciężko dysząc. Przekręcił się na bok zdezorientowany. Nogi i ręce ślizgały mu się po dywanie.

– Cas... – zaczęła.

Nowy bóg odsunął się na bok, wyciągając dłoń w jej stronę.

Westchnienie było ostatnim dźwiękiem, jaki zdołała z siebie wydobyć. Potem wirująca masa ciepła i światła wystrzeliła z jego palców i powietrze w jej płucach zamieniło się w ogień.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY



LORE WYCHOWAŁA SIĘ Z MIECZEM W DŁONI.

Ćwiczyła długie godziny, wręcz całe dnie, wywijając kijami treningowymi, mieczami, włóczniami i tarczami, powtarzając w nieskończoność te same zabójcze ruchy, aż ze zmęczenia nie była w stanie utrzymać broni. Rękojeści pozostawiały na jej dłoniach głębokie odciski, przypominające rzeki w Zaświatach. Dziewczyna pielęgnowała te odciski i wzmacniała rogowaciejącą skórę tak, żeby się jej nie łuszczyła.

Chciała, by jej ciało zapamiętało wszystkie niezbędne szczegóły: ciężar broni, kąt uderzenia, wreszcie siłę, jaką musiała zaczerpnąć z mięśni. Właściwie to od początku wiedziała, że pewnego dnia jej umysł zapomni o wyczerpaniu i bólu, doświadczenie związane z wykonaną pracą zostanie z nią zaś na zawsze.

Będzie to moment, w którym doskonałona umiejętność przełoży się na refleks.

Tak jak choćby teraz.

Szafka za jej plecami eksplodowała tysiącem drzazg, z których część wbiła się w jej skórę. Lore tego nie poczuła. Nie marnowała oddechu. Odskoczyła, dysząc.

Maska, pomyślała, próbując ściągnąć ją z twarzy. Sznurki zaplątały się jej we włosy. Nie była w stanie jej zdjąć, choć naprawdę mocno szarpnęła.

Uderzyła w ścianę za sobą i przez moment nie mogła zaczerpnąć tchu. Ramię Castora owinęło się wokół jej klatki piersiowej niczym stalowa obręcz.

Przesunął je do góry, przyciskając jej gardło. Gdzieś przed oczami Lore zamajaczyły czarne plamki na skutek braku powietrza w płucach. Na twarzy Castora nie dostrzegła żadnych emocji. Najwyraźniej i on działał instynktownie. Jego ciało walczyło o przetrwanie.

Zaczęła kopać, próbując trafić go w rzepekę. W tle wciąż słyszała szczekanie. Niewyraźny cień za jej przeciwnikiem podskakiwał, kłapiąc zębami.

Uderzyła czołem w czoło Castora, pozwalając wykonanej z brązu masce dokonać dzieła zniszczenia. Nowy bóg jęknął, a z rozcięcia trysnęła krew. Kiedy zatoczył się do tyłu, spróbowała go odepchnąć, atakując z surową desperacją swoimi połamanymi paznokciami. Przyjaciół był niewiarygodnie ciężki – mógłby udusić ją samym swym ciężarem – wciąż jednak składał się z krwi i kości.

Owinęła nogi wokół jego klatki piersiowej i przerzuciła go nad sobą, a sama wylądowała na gorze. Przyłożyła mu śrubokręt do gardła, ale złapał za jego metalową część i skierował ku jej twarzy. Jego krew zaczęła skwierczeć na stali. Ostrze rozgrzało się w jego dłoni i zmieniło się w topniejące złoto. Nagle znalazło się tak blisko jej oka, że wyrwało Lore z szafu towarzyszącego walce.

Chejron wył, zaciskając szczęki na ramieniu nowego boga. Castor nawet nie poczuł kłów czy brutalnej siły masywnego zwierzęcia. Miał rozszerzone źrenice, otoczone złotym blaskiem mocy. Spoglądał na dziewczynę, ale jej nie widział, choć zdarł już z jej twarzy maskę.

– To ja! – wykrztusiła, próbując uchylić się przed rozgrzanym szpikulcem. – To ja! Lore!

Zmiany zachodzące na obliczu nowego boga przypominały powolne rozwijanie skrzydeł. Wściekłość ustąpiła miejsca zaskoczeniu, a potem przerażeniu.

Castor zwolnił uścisk, a wówczas Lore zsunęła się z niego i padła na kolana, ciężko

dyszac. Śrubokręt potoczył się po dywanie i po chwili poczuła zapach spalonej wełny. Dziewczyna okazała się na tyle przytomna, żeby kopnąć narzędzie w stronę kafelków łazienki.

Cisza, jaka nastąpiła, okazała się prawie tak samo bolesna jak bójka. Przez dłuższy czas Castor jedynie wpatrywał się w przyjaciółkę, skuloną na klęczkach, gwałtownie łapiącą powietrze. Krew dudniła jej w żyłach.

Chejron podbiegł do niej na sztywnych łapach, więc wtuliła twarz w futro na jego szyi. Słabsza jej część chciała w ten sposób zniknąć.

W końcu jednak odwróciła się do Castora.

– Zaskoczony? – zapytała, ponieważ nie istniała sytuacja, której nie potrafiłaby uczynić jeszcze bardziej niezręczną.

– Mogłem... mogłem cię zabić – wychrypiał przyjaciel. – Sądziłem... Byłem zdezorientowany, a zabójca...

Nie, nie mógł. *Z r o b i ł b y t o*. Jej ramiona wciąż pulsowały z wysiłku, jaki włożyła w odciążenie od siebie śrubokrętu.

– O ile dobrze pamiętam, byłam na górze, dryblasie – powiedziała.

Zamknął oczy i wypuścił powietrze z płuc. Potem potarł czoło, co przypomniało Lore, jak bardzo bolało ją jej własne.

– Już po pierwszym ciosie powinienem się domyślić, że to ty – stwierdził. – Nikt inny nie rzuca się na głowę. Czy chcesz wiedzieć, skąd wzięłaś tę maskę?

Chejron polizał Lore po twarzy, próbując ją pocieszyć.

– Tak, tak – rzucił Castor, posyłając mu ponure spojrzenie. – Ty też wbij mi nóż w serce, dlaczegoż nie?

Lore pogłaskała psiaka w niemym podziękowaniu, po czym wskazała łóżko. Ruszył ociężale, omijając Castora szerokim łukiem.

– Nie powiem, żebym się źle bawił, kiedy próbowałaś mnie dźgnąć śrubokrętem – stwierdził nowy bóg. – Po twojej reakcji w czasie tamtej walki nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze cię zobaczę. A jednak pojawiłaś się tutaj...

– Właściwie to już wychodziłam, ale w brutalny sposób mi przeszkodziłeś – odpowiedziała. – I, gwoździ ścisłości, nie miałam pojęcia, że to twój pokój.

Obecność Chejrona wydawała jej się teraz bardzo wyraźną wskazówką, ale postanowiła to przemilczeć.

– Jeśli nie przysłaś, żeby mi pomóc, to... dlaczego właściwie tu jesteś? – zapytał Castor, powoli cedząc słowa.

– Wydawało mi się, że właśnie ci pomogłam. Czy nie powinniśmy porozmawiać o tym, jak po prostu stałeś i patrzyłeś na to, jak twój niedoszły zabójca do ciebie strzela? – odpowiedziała, wskazując kciukiem Philipa. – Mam nadzieję, że domyślasz się, kto to jest.

Przyjaciel gwałtownie wciągnął powietrze przez zęby, przyglądając się skulonemu mężczyźnie.

– Ja nie...

– Nie co? – przerwała mu, czując pierwsze ogniki gniewu. – Stałeś i czekałeś, aż cię zabije?

– Nie zrozumiesz – bąknął, odwracając wzrok.

– Cóż, na pewno nie zrozumiem, jeśli mi tego nie wyjaśnisz – stwierdziła, a ponieważ nawet nie spojrzał na nią, dodała: – Co się z tobą dzieje? Tylko nie mów, że chciałeś się przekonać, czy rzeczywiście strzeli! Oboje wiemy, jakim jest człowiekiem. Poza tym to, w jaki sposób zachowywałaś się tam, na dole, nie pomogło ci w zjednaniu sobie ludzi.

– Jak wiele widziałaś?

– Dostatecznie dużo – odpowiedziała i podpełzła w jego stronę. – Nawet kiedy... Nawet kiedy zapędzili cię w róg, wciąż walczyłeś.

Na dole nie widziała dawnego Castora.

Co innego teraz.

– Czy... – zaczęła. – Chciałeś, żeby cię zabił?

Jego wahanie wystarczyło jej za odpowiedź.

– Nie – zaprzeczył jednak. – To był tylko błąd. Nie zachowałem ostrożności...

Lore pokręciła głową.

– Zawsze jesteś ostrożny.

Potań kolano, w które wcześniej go uderzyła.

– Ale nie ostatnio. Czuję się, jakbym...

Postanowiła zaczekać, aż dokończy zdanie.

– ...jakbym znajdował się w ciele, które nie należy do mnie – odpowiedział w końcu. – Nie musiałem odskakiwać... ani czuć... ani... – Wziął kolejny głęboki oddech. – Po prostu nie wiedziałem, co zrobić. Nie chciałem go przypadkiem zabić.

– A czy to byłoby takie straszne, gdybyś go zabił? – zapytała.

– W tygodniu, w którym Achillesydz potrzebują prawdziwego przywódcy? – Wzdrygnął się. – Nie zdołałbym udowodnić, że zaatakował mnie jako pierwszy. Tu nie ma kamer. Już sprawdziłem.

– A to nie ty jesteś ich przywódcą? – zapytała wprost. – Czy nie cenią ciebie bardziej od archonta?

– Tak naprawdę nigdy mnie nie cenili – odpowiedział. – Nie cenili mnie wtedy, kiedy byłem dzieckiem, nie cenią mnie i teraz. Może przez tę jedną chwilę wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli Philip zajmie moje miejsce. Jeśli on...

Lore wzdrygnęła się, czując w tych słowach brutalną szczerość, jednak Castor nie dokończył myśli.

– Co zrobi? Stanie się jeszcze gorszy? Zdobędzie jeszcze większą władzę? – naciskała.

– Przynajmniej miałby wszystko pod kontrolą – odpowiedział. – On nigdy... Cóż, uwierzyliby w niego.

– Na pewno świat nie stanie się lepszym miejscem tylko dlatego, że ty umrzesz, a Philip Achilleos zajmie twoje miejsce. Powiedz, że to rozumiesz. I że wierzysz, że zasługujesz, by żyć.

To nie miało sensu. Dlaczego Castor miałby zabić Apolla, jeśli nie po to, żeby sięgnąć po jego moce?

Rozwiązanie samo przyszło jej na myśl. *By się uzdrowić. Odrodzić w nowym, zdrowym ciele.*

Odkąd skończył cztery lata, Castor zmagał się z agresywną odmianą białaczki. Przeszedł chemioterapię, radioterapię i przeszczepy komórek macierzystych. Nawrót nastąpił tuż przed rozpoczęciem poprzedniego Agonu i wszyscy, łącznie z samym Castorem, zdawali sobie sprawę z tego, że wkrótce umrze.

Lore nigdy w to nie uwierzyła.

– Przestań tak na mnie patrzeć.

– Jak „tak”?

– Jakbyś się bała.

– Nie boję się – odpowiedziała. – Po prostu się niepokoję. Próbuję zrozumieć, co się dzieje i dlaczego to wszystko się wydarzyło. – Wskazała na niego.

Do tej pory nie zastanawiała się, jak przytłaczające mogą być konieczność zmierzenia się z potrzebami własnej rodziny, a także utrata swojego dawnego życia. Całej swojej osoby.

Wyjaśniało to ociężałość przyjaciela oraz niechęć do zaakceptowania swojej nowej roli. Ale było też coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiła określić.

– Co za zbieg okoliczności! Ja też jestem zdezorientowany – stwierdził Castor, nie wyjaśniając sytuacji, w jakiej się znalazł. – Zaczniemy może od tego, że wciąż nie wiem, w jaki sposób dostałaś się do budynku. Podobno szczelnie go zamknęli i wszędzie rozstawili strażę. Sprawdzałem. I nie mów mi, że zamieniłaś się w pająka.

Skrzywiła się.

– Weszłam tu w ten sam sposób co zawsze.

– Nie, to niemożliwe – rzucił, spoglądając na nią spod ciemnych włosów, które opadły mu na czoło. – Przy wyjściach ewakuacyjnych roi się od łowców. Nie prześlizgnęłabyś się.

– Co za ulga, że nie zdecydowałam się na tę drogę!

– Nie mów, że... – Wyprostował się. – Zawsze mi powtarzałaś, że wspinasz się po schodach ewakuacyjnych.

Och, pomyślała. No tak.

Rzeczywiście tak mu mówiła – opowiadała mu również, że moi uwiłbiają smak delikatnego chłopięcego mięsa, inicjacja łowiecka polega zaś na wypiciu sików satyra i biegu nago w świetle księżyca.

Nie po raz pierwszy Lore zdała sobie sprawę z tego, że była paskudnym dzieciakiem. Choć w tym przypadku intencje miała dobre.

– Tak naprawdę nie chciałam cię wtedy martwić – przyznała.

Kiedyś Castor przejmował się wszystkim – drzewami w parku i bezpiecznymi psami, czekającą go śmiercią na raka i tym, czy ojciec poradzi sobie bez niego. Obawiał się również, że ukarzą Lore za widywanie się z nim. I właśnie od tego zmartwienia postanowiła go uwolnić.

– Tylko w ten sposób mogłam dostać się do środka, kiedy byłeś... kiedy nie pozwolono mi się z tobą widywać.

Leczenie osłabiło jego układ odpornościowy, ale Lore nie mogła znieść myśli, że jej przyjaciel nie ma towarzystwa.

Na ogół siadała więc na skraju łóżka i razem z Chejronem czuwała nad snem Castora. Bardzo uważała przy tym, żeby go nie dotknąć, gdyż przynosiła ze sobą mnóstwo miejskiego brudu.

Przyjaciel potrząsnął głową z mieszaniną niedowierzania i przerażenia.

– To czwarte piętro. Nie zdołałabyś zejść.

Lore machnęła dłonią, odwracając się w stronę Philipa, który wciąż leżał na plecach i płytko oddychał.

– Powiedziałeś, że nie wiesz, komu możesz ufać – przypomniwała. – Chodziło ci o niego?

– Tak – odpowiedział i westchnął głęboko. – Ale też... chciałem cię zobaczyć i opowiedzieć ci o Aristosie. To znaczy o Gniewnym. Van zawiózł mnie z Central Parku do ciebie, choć zaraz po Przebudzeniu miałem stawić się tutaj.

– Ale dlaczego? – Pożałowała szorstkości, która wkradła się w jej słowa. – Miałeś siedem lat, żeby mnie odnaleźć. Czy jako śmiertelnik stałeś się bardziej nostalgiczny? A może po prostu uznałeś, że fajnie będzie zrujnować mi noc?

– Próbowalem... – zaczął. – Przez te wszystkie lata próbowałem cię odnaleźć. Ale ty jakbyś zapadła się pod ziemię! Nie zostawiłaś za sobą żadnych śladów.

– Taki był plan – odpowiedziała i poczuła, jak na samo wspomnienie tej decyzji jej serce zaczęło mocniej bić.

– Obawiałem się nawet, że nie żyjesz. Dopiero wczoraj Van zdołał cię odnaleźć – powiedział Castor. – Przejmował się Philipem i sądził... j a sądziłem... że być może pomożesz

mi się ukryć. Albo nawet wywieziesz mnie z miasta.

Czyżby dała w prasie ogłoszenie, że zapewnia schronienie wszystkim nieśmiertelnym znajdującym się w niebezpieczeństwie?

– Ale masz rację – dodał. – Masz rację. To nie w porządku wymagać czegoś od ciebie. Po prostu pomyślałem sobie, że...

– Że co? Że wciąż jesteście przyjaciółmi? – dokończyła za niego, zanim zdołała się powstrzymać.

Wzdrygnął się. Próbował to zamaskować, podnosząc się z ziemi. Lore też wstała. Nie lubiła, kiedy nad nią górował.

– Więc po co tutaj przyszedłeś? – zapytał cicho. – Wyraziłaś się dość jasno. Nie zamierzasz mi pomagać. Po co więc podjęłaś takie ryzyko, żeby tu przyjść?

Pytanie niczym miecz zawisło tuż nad jej szyją. Odwróciła się plecami do Castora, chcąc najpierw odpowiedzieć samej sobie.

Ponieważ wydawało mi się, że jesteś jedyną osobą na świecie, której mogłabym zaufać.

– Z desperacji. – Usłyszała własny głos, ucinający możliwość podzielenia się prawdą. Dostrzegła błysk na ziemi i ignorując ból, schyliła się, żeby podnieść fragment złotej korony. Kłamstwo przyszło jej łatwiej, niż się spodziewała. – Chciałam się dowiedzieć, czy może już wiesz, czego szuka Gniewny.

Podadła mu ten okruch, wpatrując się w misternie splecione liście laurowe. Dzięki temu nie musiała patrzeć przyjacielowi w twarz.

– Rozumiem – szepnął. – Obserwowałem niektóre jego działania w latach pomiędzy polowaniami, ale nie zdołałem ustalić, czego szuka. Van zresztą też nie. Przykro mi, ale nic więcej nie mogę ci powiedzieć, *Z ł o t k o*.

– Nie... – Lore z trudem opanowała nerwy. – Nie nazywaj mnie tak.

Żałowała, że wybrała sobie taki pseudonim na walki u Frankiego, ale było to pierwsze przezwisko, jakie przyszło jej do głowy. Frankiemu zaś spodobało się do tego stopnia, że pewnie nie pozwoliliby jej go zmienić. Przypominało jej o rodzicach, którzy właśnie tak ją nazywali. *Moje złotko*. Chodziło wbrew pozorom o miód, gdyż Lore zawdzięczała swoje niezwykle imię babciom, Melitcie¹² i Lorze.

– Chyba wiem, o co mu chodzi – oznajmiła. – Czego szuka Gniewny.

Dłoń Castora zawisła nad jej dłonią. Ciepłe powietrze owiało jego posiniaczone kostki na sekundę przed tym, jak jej dotknął. To było miękkie, niepewne muśnięcie, tak krótkie, że ledwie je poczuła.

– Czego? – Skupił swój wzrok na Lore.

Nie potrafiła powiedzieć, co ją zatrzymało. Czekala z wciąż wyciągniętymi rękami. Po chwili znów poczuła jego dotyk. Czubki jego palców zsunęły się z jej nadgarstków i poprzez krzywiznę kciuków dotarły do fragmentu korony. Dopiero wtedy Lore uświadomiła sobie, że powinna go puścić.

– Innej wersji wiersza początku – odpowiedziała. – Oryginału, który wyjaśnia, jak zwyciężyć w Agonie.

Dotyk Castora zacieśnił się na cienkim kawałku złota.

Bała się spojrzeć przyjacielowi w twarz. Zobaczyć jego reakcję.

– Dlaczego tak myślisz?

Ogarnął ją strach. Lore zrozumiała, w jak beznadziejnej znalazła się sytuacji.

Przed przyjściem tutaj chciała odnaleźć ów wiersz z dwóch powodów. Po pierwsze, wiedziała, że Gniewnemu również na nim zależy i że dla niego wyjdzie on ze swojej kryjówki, dając Atenie szansę na dotrzymanie obietnicy. Po drugie, nie chciała, żeby wiersz wpadł w ręce

któregokolwiek boga, starego czy nowego, gdyż ten mógłby użyć go do zdobycia pełnej nieśmiertelności oraz niewyobrażalnej mocy pozwalającej mu na podporządkowanie sobie wszystkich ludzi czy nawet ich eksterminację.

Teraz miała trzeci powód. Castora.

Jeśli według wiersza zwycięzca może być tylko jeden, to chciała, żeby to był Castor.

Tyle że sprzymierzyła się już z Ateną. A ona wykorzystałaby pierwszą lepszą okazję, żeby go zabić.

– Lore? – Przyjaciół wyrwał ją z zadumy. – Dlaczego tak sądzisz?

– Dziś rano otrzymałam kolejne ostrzeżenie – odpowiedziała. – Od kogoś innego.

– Dowiem się, czy Van o tym słyszał – zapewnił Castor. – To z pewnością ułatwi mu poszukiwania.

Zaryzykowała spojrzenie spod luźnych kosmyków, które opadały jej na czoło. Castor patrzył na jej szczękę. Na długą szramę, która przecinała jej twarz.

Miała wrażenie, jakby ktoś owinał jej płuca płonąca stalą. Przy kolejnym oddechu drgnęły boleśnie.

Blizny, mawiał jej ojciec, to opowieści o bitwach, które udało ci się przeżyć. Tej blizny jednak Lore nie wywalczyła. Została nią naznaczona.

– Nie pamiętam jej – powiedział.

Zignorowała pytanie zawarte w tym stwierdzeniu.

– Słyszałem o twojej rodzinie – dodał. – O twoich rodzicach... siostrach...

– Nie chcę o tym rozmawiać – stwierdziła ostro. – Czy jedną z zalet boskości nie jest przypadkiem to, że człowiek przestaje się przejmować żalonymi śmiertelnikami spoza własnego rodu?

Zacisnął zęby.

– Lore, nadal jestem Castorem.

Pokręciła głową i smutno się zaśmiała, choć czuła nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej.

– Jestem. J e s t e m!

Fragment korony znów wylądował na ziemi, kiedy dłonie Castora zacisnęły się na nadgarstkach Lore. Jakby dotykiem można było cokolwiek wytłumaczyć! Lore miała wrażenie, że uścisk Castora przedostał się do jej krwi, rozpalając zakończenia nerwowe. To wystarczyło, aby ujawnić kłamstwo kryjące się w jego słowach.

Najwyraźniej zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, bo puścił ją i cofnął się o krok.

To był Castor i jednocześnie nie był. Dało się dostrzec to w jego oczach. Co prawda dzięki swojemu wyglądowi zachował część swoich genetycznych predyspozycji, ale wydawał się... ulepszony. Niedoskonałości, które czyniły go człowiekiem, zostały wygładzone, a rezultat okazał się druzgocący... na wiele sposobów.

Poza tym ona też nie była tą Lore, którą Castor znał.

– Przepraszam – powiedział z nutą desperacji w głosie. – Po prostu... porozmawiaj ze mną. Dlaczego chcesz poznać plany Gniewnego? – dodał, po czym otworzył szerzej oczy. – Tylko nie mów, że chcesz go odnaleźć...

Zapadła cisza dzieląca przeszłość i teraźniejszość. Stanowiła granicę, której Lore po raz pierwszy w życiu nie potrafiła przekroczyć.

Castor spał się i zamknął oczy.

– Dlaczego kazał ich zabić?

Lore nieraz zastanawiała się, czy Kadmici mogliby zachować jej wyskok w tajemnicy, i za każdym razem dochodziła do wniosku, że pewnie zrobiliby to ze względu na dumę rodową.

Czasami nachodziły ją wspomnienia tamtej nocy i w ramach kary odtwarzała je w myślach. Pocieszała się wówczas świadomością, jak upokarzające musiało być dla Aristosa Kadmou i jego krewnych to, że pokonała go młoda dziewczyna.

– Van podejrzewał, że mogłaś schronić się u rodziny swojej matki, ale żaden z jego szpiegów tego nie potwierdził – powiedział Castor. – Zresztą wiązałoby się to z ryzykiem. Kadmici zapewne chcieliby ukarać ród twojej matki za udzielenie ci pomocy. Nie rozumiem jednak, dlaczego w ogóle ścigali twoją rodzinę.

Jej bliscy zaryzykowali, a ona odpłaciła im krwią. Ciekawe, że podczas poszukiwań Van nie poznał tej paskudnej historii.

– Czy nie jest to oczywiste? – zapytała. – Gniewny chciał dokończyć dzieła rozpoczętego przez swojego dziadka. Odsunąć Dom Perseusza od udziału w polowaniach.

– Ale czemu nie wydał takiego rozkazu wcześniej? Po co czekał, aż zostanie bogiem? I dlaczego nie zrobił tego osobiście, skoro stał się nieśmiertelny?

– Nie chcę o tym rozmawiać – rzuciła ostro Lore. – Nie wiem, dlaczego tak postąpił, jasne? Może dlatego, że mój ojciec odrzucił jego ofertę. Może dlatego, że go zawstydził. Albo po prostu miał na to ochotę. Wiem jedynie, że Kadmici odebrali mi rodzinę. Wszystko mi odebrali!

Nie do końca tak było, a dowód miała przed sobą. Nie odebrali jej Castora. Agon zrobił to za nich.

Czuła ucisk w gardle, ale nie była już małą dziewczynką. Umiała kontrolować swoje emocje.

– Poza tym sądziłam... sądziłam, że nie żyjesz.

– Przykro mi. Na boga, Lore – powiedział cicho Castor. Nigdy wcześniej nie słyszała u niego takiego tonu, pełnego gniewu i pogardy dla samego siebie. – Nie mogłem ci pomóc. Nie mogłem. Przez lata nic nie mogłem zrobić. Nawet gdybym cię odnalazł, nie dowiedziałabyś się o tym.

– Co masz na myśli? – Pochyliła się w jego stronę, wpatrując się w iskry mocy płonące w jego ciemnych tęczęwkach. Jej dłoń otworzyła się i uniosła, jakby chciała wygładzić bruzdy na jego twarzy.

– Nie mogłem przybrać fizycznej formy – parsknął Castor mrocznym, pozbawionym wesołości śmiechem. – Okazało się, że jako bóg jestem równie słaby i bezużyteczny, jak śmiertelnik.

Lore zmarszczyła brwi. Acantha wspomniała o tym podczas ceremonii. *Posiadłość, którą wybudowaliśmy dla ciebie w górach, stała pusta, a ofiary leżały nietknięte.*

– Nie jesteś bezużyteczny – stwierdziła. – Ani też nigdy nie byłeś. Choćby nie wiem co mówili twoi pobratymcy.

Castor desperacko pragnął w to uwierzyć.

– Nie mogłem nawet uratować własnego ojca. – Spojrzał na swoje ręce. – On nie żyje, wiesz o tym? Widziałem, jak konał. Dryfowałem pomiędzy miejscami, które w przeszłości odwiedzałem, i ludźmi, z którymi pragnąłem się spotkać.

– Nie miałam pojęcia – szepnęła.

– Zawał. Byłem przy nim. – Zaciśnął dłonie w pięści. – Jednego nie potrafię przeboleć i pewnie nigdy sobie nie wybaczę. Miałem przecież moc uzdrawiania. Mogłem go uratować. Wtedy jednak... była dla mnie zbyt nowa. Nauczyłem się ją przywoływać, ale nie kontrolowałem jej...

Lore przycisnęła ręce do piersi. Wspomnienie ciała jej ojca splotło się z wyobrażeniem wspomnień Castora. Zamknęła oczy i głęboko odetchnęła, żeby powstrzymać mdłości.

– Wróciłem po odpowiedzi – powiedział głosem równie przenikliwym, co spojrzenie,

którym ją obdarzył. – To wystarczający powód, żeby dalej żyć. Dlatego nie musisz się o mnie martwić.

Lore próbowała zebrać myśli. Pochyliła się, żeby podnieść gruby, oprawiony w skórę tom, który spadł ze stołu. Kątem oka spojrzała na drzwi i znieruchomiała. Zaciśnęła dłonie na książce.

– Coś nie tak? – zapytał Castor i podszedł bliżej niej.

– Strażnicy – wyjaśniła. Powinni usłyszeć jej walkę z Philipem. Powinni usłyszeć ujadanie Chejrona. Ona zaś powinna zginąć od kuli czy szabli, zanim jeszcze zadała mu pierwszy cios. – Gdzie się podziali?

– Tu nigdy nie było strażników, Melora. – Rozległ się ochrypły głos.

Philip podniósł się z ziemi. W jednej ręce trzymał nóż, drugą przyciskał do rany na głowie. Ruszył w stronę nowego boga.

– Zawsze uważałem cię za naiwne dzieciątko – kontynuował. – Ale nie sądziłem, że będziesz aż tak głupia, żeby się tutaj pokazać.

– Zabawne – odpowiedziała. – Zawsze uważałam cię za dupka i dlatego podejrzewałam, że będziesz na tyle głupi, żeby spróbować zabić Castora.

Archont splunął w jej stronę. Nowy bóg zrobił krok do przodu, wściekły.

– Wyjdź stąd – rozkazał mu. – Nikt nie musi wiedzieć, co się stało. Nie dopadnie cię klątwa zabójcy członka rodu.

– Chętnie wezmę na siebie ten ciężar – oświadczył Philip. – Będę wręcz przeszczeniwy, bo dzięki temu nasz ród przetrwa. Wiesz o tym równie dobrze, co ja. Jesteś zbyt żalosny, żeby nosić opończę Apolla. Nigdy też nie zdobędziesz szacunku Achillesydów. Gdybym wiedział, co się stanie, oszczędziłbym nam tego wszystkiego i zabił cię już w dzieciństwie.

Jego słowa stanowiły idealne odbicie przekonań Castora o sobie samym. Dlatego nie zaprzeczył, choć zaciśnął dłonie w pięści.

– Spróbuję ich chronić – powiedział.

– S p r ó b u j e s z ? Nie sądzisz chyba, że nie wiem, że planowałeś nas opuścić? Zostawić za sobą to miasto i cały swój ród! Zawsze byłeś słaby, ale teraz na dodatek okazałeś się pozbawionym kręgosłupa moralnego samolubem. Wstyd!

Castor się wzdygnął. Lore chwyciła go za ramię, wspierając go w ten sposób.

– Zaproponuję ci to tylko raz – powiedział Philip. – Jestem gotów uwolnić cię od życia. Gwarantuję szybką, bezbolesną śmierć. Wiesz, że to jedynie rozwiązanie. Chcesz s p r ó b o w a ć chronić Achillesydów? To nie wystarczy!

Lore zaciśnęła ręce na książce. Zastanawiała się, w który słaby punkt starego powinna uderzyć. Dostrzegła strach na twarzy Castora, jakby obawiał się, że Philip może mieć rację. Że sam nie podoła zadaniu. Dlatego zdecydowała się na dwa ciosy: najpierw w gardło, potem w łędźwie.

Philip przyjął postawę bojową.

– Nigdy nie zrozumiem, w jaki sposób t y , umierający chłoptaş, zdołałeś zabić starego boga. Ale jednego jestem pewien. Jeśli pozwolę ci żyć, nie spełnisz oczekiwań rodu. Twoi ludzie będą umierać, przeklinając cię.

Cieniutki promyk światła przemknął przez dywan tuż obok jej stóp. Rozejrzała się zdezorientowana i dlatego nie zauważyła strzały, która wbiła się w serce Philipa.

Starzec wybałuszył oczy i przez chwilę wpatrywał się w Castora. Wyciągnął nawet dłoń jakby na pożegnanie. Umarł, zanim jeszcze upadł na ziemię.

Castor instynktownie skoczył, żeby go złapać. Lore spojrzała w stronę otwartego świetlika. Na tle srebrzystego nieba pojawiła się kolejna strzała. Wystrzelona bez jakiegokolwiek

odgłosu, przecinała właśnie powietrze, kierując się prosto w kark nowego boga.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY



LORE SKOCZYŁA DO PRZODU, PRÓBUJĄC UMIEŚCIĆ CIĘŻKI TOM na trasie lotu strzały.

Ramiona zadrżały jej, gdy przyjęła siłę uderzenia. Stalowy grot, zamiast odbić się od skórzanej okładki lub ześlizgnąć się po niej, przeszył setki cienkich jak wafel stron i przebiwszy książkę na wylot, uderzył we framugę drzwi. Dopiero wtedy się zatrzymał.

Wolumin wypadł Lore z rąk.

– Cofnij się! – Usłyszała głos Castora.

Nie poruszyła się, więc złapał przód jej szaty i pociągnął za siebie. Rozległo się głośnie uderzenie o podłogę. Ktoś zeskoczył ze świetlika, aż zadrżały meble. Lore zachwiała się na nogach.

– B o g o b ó j c a – szepnął głos zimny niczym nocny wiatr szalejący wśród drzew.

Kobieta – czy raczej istota – wyglądała, jakby została wyrzeźbiona z mroku otchłani i prastarej dziczy. Liście zdobiły jej jasne włosy, kłębiące się niczym blade, prawie śnieżnobiałe chmury wokół jej boskiej, choć przybrudzonej twarzy. Mimo że przytłumiona przez śmiertelną krew, perlista skóra w kolorze kości słoniowej świeciła, jakby promieniowała blaskiem księżyca.

To była Artemida.

Groźnie obnażyła zęby, lecz Lore skupiła wzrok na jej palcach zawiniętych niczym szpony wokół bloczkowego łuku, zapewne skradzionemu jednemu z łowców.

Chejron zeskoczył z łóżka i zawarczał. Bogini zareagowała, dopiero kiedy z błyskiem w oczach rzucił się na nią. Nagle znieruchomiał, jakby trafiony strzałą ze środkiem usypiającym. Jego ciało rozluźniło się i upadł na bok, odsłaniając miękki brzuch.

– Pani Łowów – powiedział neutralnym głosem Castor.

Artemida spojrzała na niego z nienawiścią, po czym ruszyła do przodu. Z każdym krokiem ujawniały się nowe, przerażające szczegóły jej wyglądu.

Twarz bogini nie była po prostu brudna, lecz umazana zaschniętą krwią. Rdzawe plamy zdobiły też przód jej błękitnej szaty. Lore dostrzegła kołczan przypięty do pleców – podtrzymujący go pasek wykonano ze splecionych ludzkich włosów w różnych kolorach i odcieniach, lepkich od krwi i kawałków skóry.

Jej żołądek się skurczył.

Artemida uniosła łuk. Zdążyła już przygotować kolejną strzałę.

– Musiałeś wiedzieć, że po ciebie przyjdę. Że będę cię ścigała aż do Domu Hadesa, do najgłębszych czeluści Tartaru, do każdej piekielnej otchłani, w której postanowiłbyś się skryć.

Lore bez zastanowienia położyła dłoń na ramieniu Castora, chcąc go w ten sposób ostrzec. Poczuła, jak w odpowiedzi napinają mu się mięśnie.

– Proszę – odparł. – Nie jesteś moim wrogiem ani ja nie jestem twoim. Muszę jednak cię o coś zapytać. Dowiedzieć się, czy byłeś tam tamtego dnia. Czy widziałeś, co się wydarzyło?

Spojrzenie Lore padło na drzwi za nimi. Zrozumiała wszystko.

Nikt nie nadejdzie, pomyślała.

Zaczęła metodycznie przeszukiwać wzrokiem pokój, aż zauważyła lustro podłogowe. Mogła wybić szkło z ramy, użyć odłamków. Musiała jedynie podejść dostatecznie blisko, żeby

przeciąć któreś ze ścięgien czy tętnic w nodze bogini. Przynajmniej dałaby im w ten sposób czas potrzebny do ucieczki.

– Czekałam na ten moment siedem lat – wysyczała Artemida. – Śmierć mojego brata wieńczy również twoje życie. Przerazający los cię czeka, bogobójco. Kiedy z tobą skończę, twym marnym truchłem nie pożywią się nawet padlinożercy.

Bliźniacy stanowili dwie połówki jednej duszy, przenikające się nawzajem niczym przyprływy i odpływy. Tak jak noc przechodziła w dzień, a dzień w noc. Zazdrośnie strzegli się nawzajem, rzadko się rozdzielali, nawet podczas Agonu.

Bogini wyglądała, jakby śmierć Apolla zniszczyła resztki jej zdrowia psychicznego. Jej oczy płonęły mocą.

– Byłaś tam? – zapytał błagalnym tonem Castor. – Odpowiedz!

– Wyjdź, dziewczyno – powiedziała bogini, zwracając się bezpośrednio do Lore. – Do ciebie nic nie mam. Jeszcze.

Słowa te niczym zimne krople spłynęły po skórze Lore. Nie rozumiała, dlaczego Castor nie zaatakował bogini. Dlaczego wciąż zadawał to samo pytanie.

– Pozwól, że ją wyprowadzę – zaproponował, powoli cofając się wraz z Lore w stronę drzwi. – Jak sama zauważyłaś, nic do niej nie masz.

Ich krok stanowił ohydny parodię sposobu, w jaki zwykli maszerować. Castor sięgnął po strzałę bogini i wyrwał ją z rozłupanego drewna futryny. Kiedy uniósł rękę do boku, wykręcił nadgarstek i skierował grot strzały w stronę tkanego złotego pasa. Pod nim, tuż przy krzyżu, ukrył niewielki nóż.

Lore odetchnęła głęboko. Wiedziała, czego od niej oczekuje. Zbliżyła się do niego i zacisnęła dłoń na rękojeści. Broń najwyraźniej pochłonęła ciepło jego skóry, gdyż zaczęła palić ją w palce.

– Jeszcze jedno słowo, a zadławisz się własną krwią! – warknęła Artemida.

Castor pochylił się do przodu, a Lore – szybciej niż kiedykolwiek wcześniej – wyciągnęła nóż z pochwy i rzuciła w boginię.

Możliwe, że ostrze było wygięte albo po prostu Lore wyszła z wprawy. Poleciało bowiem nieco bardziej na prawo, niż celowała. W stronę ramienia, nie zaś barku. Artemida uniosła łuk i zablokowała nóż. Odbił się od podłogi i potoczył na bok.

Lore nie zobaczyła ani nie usłyszała wystrzału. Nagle pocisk popędził ze świstem w jej kierunku. Wtedy już jednak leciała ku ziemi, ledwo rejestrując siłę, z jaką pchnął ją Castor. Uderzyła z jękiem o twardą podłogę.

Krew napłynęła jej do oka. Tryskała z miejsca na skroni, które przeciął grot strzały. Lore otarła się ramieniem i poderwała na równe nogi, ignorując zaniepokojone spojrzenie przyjaciela.

Bogini odwróciła się z sykiem w stronę łóżka. Jej wzrok padł na Chejrona, który próbował wcisnąć pod łóżko swoje masywne ciało.

– Nie... – zaczął Castor. – Proszę...

Chejron zaskamlał, potem czknał, jakby przebiło go ostrze. Nieoczekiwanie zeszytywniał, a sierść stanęła mu dęba. W końcu obnażył kły. Jego warkot przetoczył się przez pomieszczenie niczym grzmot.

– Chejron, nie! – zawołała Lore. – Nie!

Pies rzucił się w ich stronę z rykiem, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała. Z pyska toczyła mu się piana i ściekały długie strugi śliny. Przepełnione mocą bogini oczy jarzyły się złotym blaskiem. Nie było w nim zrozumienia. Nie było świadomości. Tylko szal.

Głód i wściekłość.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



LORE STRACIŁA PSA Z OCZU, KIEDY CASTOR STANAŁ POMIĘDZY NIMI. PODMUCH MOCY EKSPLODOWAŁ z jego wyciągniętych rąk i pomknął ku Artemidzie, zabarwiając powietrze bielą.

Dziewczyna zasłoniła oczy dłonią. Ściana sypialni jęknęła, jakby ją wysadzono. Posypały się cegły wymieszane z cementem.

Gdzieś w pobliżu zaskamlał Chejron. Lore wymacała go na ślepo, złapała za futro i przyciągnęła do siebie.

Oślepiający blask rozpląnął się równie szybko, jak się pojawił. Opuściła rękę. W pokoju zrobiło się zimno, podczas gdy moc bogów skrzyła się gorącymi iskrami, unoszącymi się w powietrzu.

Castor z ponurym wyrazem twarzy stał już przy dymiącej dziurze w ścianie. Lore wstała i lekko się zataczając, podeszła do niego. Pochyliła się ostrożnie nad krawędzią budynku, szukając ciała.

Na pokrywie śmietnika dostrzegła sporych rozmiarów wgłębienie. Artemida uderzyła w kontener i przetoczyła się. Teraz znów była na nogach, próbując zniknąć w cieniach bocznych uliczek. Z wnętrza domu dobiegały okrzyki. Słyszeć też było wycie syren alarmowych.

– Nie trafiłeś – zauważyła Lore.

– Przeciwnie – stwierdził. – Trafiłem.

Zacisnął zęby i odwrócił się w jej stronę.

– Wszystko w porządku? – zapytał, ostrożnie dotykając jej łuku brwiowego. Odsunęła się.

– Czemu nie zrobiłeś tego wcześniej? – rzuciła, czując, że każde słowo sprawia jej trudność.

Spojrzał na nią, jakby zapytał o coś oczywistego.

– Ponieważ Chejron tam stał.

Pies zaskamlał pod drzwiami. Drapał i kopał, próbując wydostać się z pokoju.

– Artemida ponownie zaatakuje – powiedziała Lore. – Kiedy w rozmowie pojawiają się padlinożercy, można ze sporą dozą prawdopodobieństwa założyć, że szykuje się jatka.

– Nie martw się o mnie – stwierdził Castor, smutno się uśmiechając. – Nie jestem jakimś jeleniem, którego może odstrzelić – dodał i wskazał na uszkodzoną ścianę. – Przynajmniej będę widział, kiedy nadejdzie.

– Po pierwsze, to wcale nie jest zabawne. – Lore przeczesła splątane włosy dłonią. – Po drugie, nie o to mi chodziło.

Ktoś załomotał w drzwi. Kiedy szczęknęły zamki, Lore stanęła przed Castorem, ignorując koszmarny ból mięśni na wysokości krzyża oraz ostrzeżenie wciąż krążące po jej głowie.

Co ty wyrabiasz?, skarciła się w myślach. *Nadal możesz się stąd wydostać. Po prostu wyjdź przez świetlik.*

Atena jej potrzebowała, a Lore musiała utrzymać ją przy życiu. Jak najszybciej znaleźć lekarza lub jakąś nie do końca legalnie działającą przychodnię, w której zajęliby się boginią. Przede wszystkim jednak musiała się pospieszyć. Planowały przecież wykorzystać okazję – zaatakować, kiedy Gniewny wyłoni się ze swojej kryjówki i ruszy na Castora oraz pozostałych

bogów.

Cas...

Lore spojrzała na niego ukradkiem. Męczyła ją ta niepewność. Nie podobało jej się, że musi go zostawić, ale z drugiej strony co miała zrobić? Porozmawiać z Ateną, przekonać do przyjęcia pomocy od znenawidzonego wroga? Większe szanse miałyby na uspokojenie Cerbera.

Metalowe drzwi przeciwpancerne uniosły się, umożliwiając otwarcie tych drewnianych. Te zaś uderzyły o dymiące szczątki sąsiedniej ściany.

W przejściu pojawił się Van. Ciemną skórę miał niemal popielatą od pyłu, a usta zaciśnięte. Niepokoił się.

– Castor? – zawołał zza unoszących się w pomieszczeniu kłębow dymu. Chejron precisiął się obok jego nóg i uciekł ze zniszczonego pokoju. – Gdzie jesteś?

– Tutaj – odpowiedział nowy bóg.

Van ruszył w ich stronę ze sztyletem w dłoni.

Castor zasłonił Lore ramieniem.

– Wszystko w porządku, Van. To tylko Lore.

– Lore – powtórzył Van i odetchnął.

Dostrzegła nieme oskarżenie w jego oczach i znane już jej poirytowanie.

– Tym razem to nie moja wina – wyjaśniła i dodała w myślach: *Choć raz.*

W końcu Van opuścił sztylet.

– Jakim cudem się tu dostałaś?

– Mam lepsze pytanie – odpowiedziała. – Jakim cudem dostała się tutaj Artemida? Dlaczego nie zamurowaliście świetlika?

– Artemida! – Van rozejrzał się dookoła. Dostrzegł strzały, przewrócone meble, wreszcie dziurę w ścianie. Potem jego wzrok padł na ukryte przejście i leżące tuż przed nim ciało Philipa.

– Coś mi mówi, że nie zginął, próbując was obronić?

– Ano nie – potwierdziła Lore. – Nikt nie wpadł na pomysł, żeby poszukać tajnych wejść?

Van uniósł ręce, próbując ją uciszyć.

– Zazwyczaj lubię pojedynki na argumenty, ale właśnie zmierza w naszą stronę około dwustu Kadmitów, tymczasem połowa naszych łowców szuka ciał swoich bliskich. Castor, musisz stąd iść. I t o j u ż!

Serce Lore przyspieszyło, ale nie ruszyła się z miejsca.

Nowy bóg zacisnął szczękę. Cień przemknął przez jego twarz. Lore domyśliła się, że rozważy słowa Philipa. *Nie spełnisz oczekiwań rodu. Twoi ludzie będą umierać, przeklinając cię.*

Być może Castor nienawidził Achillesydów i nie cierpiał Agonu, ale nie byłby sobą, gdyby uciekł, wiedząc, że może zapobiec nadchodzącej rzezi.

– Nie masz im nic do udowodnienia – powiedziała.

– Zostanę tutaj – oświadczył. – Nieważne, co o nich myślę i co oni myślą o mnie. Odpowiadam za nich.

– Zgłupiałeś? – zapytała poważnym tonem Lore. – A może to dym zasnuł ci mózg mgłą?

– Jesteś urocza jak zawsze, Melora – wtrącił się Van. – Mogę zapytać, co tu robisz? Wcześniej nie chciałaś mu pomóc.

– Przyszłam się najeść, a ty? – odpowiedziała.

Ale nawet wtedy jej umysł zachęcał ją do ucieczki.

Musisz odejść, zanim pojawi się tutaj razem ze swoimi gadami, pomyślała i przeszył ją paraliżujący strach. *Musisz wrócić do Ateny. Opowiedzieć jej o Hermesie, Artemidzie, Dawczyni Przyptywów i Gniewnym.*

Van otaksował ją wzrokiem. Miała wielką ochotę zapaść się pod ziemię albo

przynajmniej zapytać, czego wypatruje. Jednak to jego spojrzenie i ten jego spokój nawet w dzieciństwie sprawiały, że Lore czuła się hałaśliwa, niedomyta i prostacka.

– Przyszła się dowiedzieć, co wiemy o innej wersji pierwotnego wiersza. Takiej, która wyjaśniałaby, jak wygrać Agon – odparł Castor. – Ktoś doniósł jej, że tego właśnie szuka Gniewny.

– Kto ci to powiedział? – zapytał Van.

– Nie twoja sprawa – odpowiedziała.

– Nic o tym nie słyszałeś? – naciskał Castor.

Lore poczuła się winna, że nawet teraz starał się jej pomóc. Zresztą zawsze stawiał jej potrzeby na pierwszym miejscu.

Van pokręcił głową.

– Nie... Jeśli, serio, j e ś l i taka wersja istnieje, to mogli o niej słyszeć Odyseidzi. Porozmawiam o tym ze swoim informatorem. Teraz jednak musisz iść, Cas. Natychmiast.

Cholera, zakłęła w myślach Lore. Mogła pomyśleć o archiwum Odyseidów! Inna sprawa, że generalnie starała się nie zaprzętać nimi głowy.

– Mam obowiązek pomóc temu rodowi – upierał się Castor. – Najwyraźniej wciąż cenię sobie swój honor.

– To byłoby nawet urocze, gdyby nie było tak strasznie głupie – stwierdziła Lore. – Czy razem z człowieczeństwem traci się instynkt samozachowawczy, czy też może najpierw zdrowy rozsądek? To miasto nie zmieniło się za bardzo od dnia, w którym je opuściłeś. Wciąż znasz je lepiej od większości łowców. Bezpieczniej będzie, jeśli się ukryjesz i przeczekaś te pięć nocy. Możesz spróbować przedostać do jednej z zewnętrznych dzielnic. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale przynajmniej nie musiałbyś się bronić przed atakami z dwóch stron. Największą głupotą, jaką możesz zrobić, to zostać tu i zginąć za ludzi, którzy...

– Dokładnie – powiedział Van i stanął tuż obok niej. – Dlatego właśnie idziesz z Melorą.

Zrozumienie jego słów zajęło jej dobrą chwilę.

– Zaraz... Co? N i e . On nie może iść ze mną!

– I nie pójdę – poparł ją Castor.

– Musi iść z tobą – naciskał Van, całkowicie go ignorując.

Lore była oburzona.

– Jak widzę, wciąż unikasz walki.

– Wiesz, że to nieprawda – zaprotestował Castor.

Zdenerwowała się, ale zdołała zmusić się do zaczerpnięcia głębszego oddechu. Zawsze tak było. Nawet w dzieciństwie Castor próbował odciągać ją od każdego możliwego niebezpieczeństwa, nawet jeśli w pobliżu nie było Vana. Różnica polegała na tym, że teraz sama potrafiła ocenić ryzyko.

– Gdybym potrzebowała moralnego kompasu, kupiłabym go w sklepie po drodze.

Nie mogła im wytłumaczyć swojej sytuacji. Nie mogła wspomnieć o umowie, którą zawarła, a następnie zmierzyć się z ich zbulwersowaniem. Nie mogła też sprowadzić do domu kolejnych kłopotów.

Van uniósł dłoń i przechylił głowę, obserwując ją w sposób, którego nie cierpiała.

– Problem tak naprawdę polega na tym, że n i e w i e r z y s z , że zdołasz go ochronić, prawda? – stwierdził, podczas gdy ona starała się ukryć zażenowanie. – Nigdy nie uważałem cię za tchórza, Meloro.

– Och, spadaj na szczaw, Evander – rzuciła. – I bez was mam dość kłopotów.

Wiedziała, że Van ją prowokuje. Znał jej temperament. Zdawał sobie sprawę, dlaczego nieraz podejmowała decyzje, których później żałowała. Jednak w słowie „tchórza” było coś

nieprzyjemnego. Nie chodziło o to, że rzucił nim w nią jak nożem. Ono już wcześniej tkwiło w niej niczym jakaś zaraza i na dźwięk swojego imienia postanowiło się wyrwać na zewnątrz.

Oby wszystkich tchórzy pogrążył ich wstyd, mawiała jej matka.

– Czy możecie mnie posłuchać? – huknął Castor. – Nie mogę stąd odejść. Nie pozwolę, żeby słowa tego starca stały się prorocstwem. Od dnia moich narodzin ten ród uważał mnie za niedojdę. Nie dam im powodu, by sądzić, że jednak mieli rację.

Zdziwiona gwałtownością tych słów, Lore spojrzała na nowego boga. Nawet Van wyglądał na zaskoczonego.

– Cas... – zaczęła.

Gdzieś na zewnątrz rozległ się pisk opon wymieszany z rykiem silników i pokrzykiwaniami dobiegającymi z niższych pięter Domu Tetydy.

Lore podkurczyła ręce, próbując zapanować nad bólem brzucha. Wiedziała, że jeśli zostawi tu Castora, jej przyjaciel zginie. Zabije go jego własny upór. Musiał istnieć sposób, żeby przemówić Atenie do rozsądku. A jeżeli nie, to cóż, miała całą drogę do domu na opracowanie planu awaryjnego.

– U c i e k a j , Cas – nalegał Van.

Castor pokręcił głową ze zboląłą miną.

– Nie mogę.

– Musisz – powiedział jego przyjaciel tonem kogoś, kto wiedział już, że wygrał tę bitwę.

– Być może jesteś gotowy zaryzykować, ale nie narażiłyś jej życia...

Kiwnął głową w stronę Lore. Już miała zaprotestować, kiedy Castor zaczerpnął powietrza do płuc i zamknął oczy.

– Van... – zaczął bez przekonania.

Posłaniec znalazł miejsce, w które należało wsunąć ostrze.

– Ona cię tu nie zostawi. Wie, że przyjdą cię zabić. Weźmiesz na siebie odpowiedzialność za jej życie?

Lore i Van wymienili spojrzenia. Bez trudu odczytała jego myśli. *Powierzam ci go.*

Jęknęła.

– Jeśli chcesz iść ze mną, to musimy ruszać – rzuciła, wsunęła mu rękę pod ramię i pociągnęła w stronę dziury, którą zrobił w ścianie. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób przeprowadzę cię przez miasto, nie zostawiając za sobą śladów...

– Weź taksówkę – odpowiedział Van. – Zapłać gotówką.

Lore mrugnęła.

– Nie myśl, że sama bym na to nie wpadła.

Van zerknął na nowego boga. Castor obejrzał się w stronę drzwi i z pewnością słyszał dobiegający z nich szcęk stalowych mieczy. Na schodach dudniły już kroki.

– A ty? – zapytała Lore.

– Chodź z nami – poprosił Castor.

– Pójdę, kiedy dowiem się, co się dzieje – odpowiedział. – Popytam o ten wiersz. Gdzie cię szukać?

Lore zacisnęła zęby. Co prawda jej przyjaciel mu ufał, ale ona niekoniecznie.

– Zaczekaj na nas w barze U Marthy w Harlemie.

Kiwnął głową i wymknął się na korytarz. Zasuwki zaskoczyły na swoje miejsce, jedna po drugiej. Metalowe drzwi opadły, odcinając ich od reszty budynku. Castor jeszcze przez chwilę wpatrywał się w przejście. Mięśnie jego ramion napinały się z przerażenia i frustracji.

Szybkość, z jaką wszystko się działo, przytłoczyła Lore.

– Daj spokój – szepnęła. – Tej walki nie jesteś w stanie wygrać. Czasami trzeba

zapomnieć o honorze...

– Tu nie chodzi o honor – odpowiedział ostrym tonem. – Chodzi o ludzi, których zostawiam tu na pewną śmierć.

Puściła jego ramię. Miała wrażenie, że zmiażdżył ją swoimi słowami. Podeszła do rozwalonej ściany i spojrzała na śmietnik.

– Cholera – zaklęła.

Wysokość nie stanowiła już największego problemu – wokół gruzu ze ściany gromadzili się łowcy w węzowych maskach Kadmitów. Niektórzy przyglądali się dziurze bądź wskazywali na nią. Lore odchyliła się, unikając beltu wystrzelonego z metalowej kuszy. Spojrzała w stronę dachu, skąd dobiegał ją łopot śmigieł helikoptera. Odgłos ciężkich kroków zmierzających w stronę świetlika sprawił, że przez jej żyły przeszedł grzmot.

Castor pojawił się tuż obok niej, wyciągając ręce. Chwilę zajęło jej zrozumienie, czego od niej oczekuje.

– Żartujesz – powiedziała.

– A ty się boisz – odparował. – Myślisz, że cię upuszczę?

– Nie. Myślę, że będę musiała zdrapywać twoje śmiertelne ciało z asfaltu – stwierdziła. – Mówisz poważnie? To czwarte piętro!

– Zaufaj mi! – odpowiedział Castor.

Głosy stały się na tyle wyraźne, że mogła już zrozumieć fragmenty zdań.

On jest tuż pod nami...

Skrzywiła się.

– Jeśli mnie upuścisz, to przysięgam, wrócę tu jako jedna z Ker. Zostanie po tobie popiół wymieszany z krwią.

Castor z ponurą miną skinął głową.

– Chciałbym to zobaczyć.

Niechętnie podeszła do niego i objęła go za szyję, stając na palcach. Chwycił ją swoimi silnymi ramionami tuż pod barkami i kolanami. Uniósł z irytującą łatwością. Nawet nie stęknął z wysiłku.

Spojrzał na nią.

– Gotowa?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do krawędzi ściany. Z obu stron dziury zwisały liny, a ostatnie słowa, które usłyszała, wypowiedział znajomy, głęboki głos.

– Bierzcie go! I nie pozwólcie mu uciec!

Castor uwolnił jedną rękę i posłał pocisk mocy w stronę łowców wspinających się już po ścianie bądź strzelających do niego z ulicy.

Lore odwróciła się, wtulając twarz w jego ramię. Smród spalonych włosów, skóry i metalu uderzył ją w nozdrza.

– Gotowa? – zapytał ponownie.

Kiwnęła głową. Wzmocnił chwyt, złapał się jednej z lin i zrobił krok w nicość.

Lot w dół zatrzymał serce Lore na parę chwil i wyssał tlen z płuc. Tylko dlatego nie krzyczała.

Castor jęknął, kiedy lina szarpnęła, gwałtownie ich zatrzymując. Lore otworzyła oczy. Wylądowali na topniejącej, wciąż tłącej się stercie metalu, która kiedyś była śmietnikiem.

– Wszystko w porządku? – sapnęła, wrywając się przyjacielowi.

Dostrzegła na jego dłoni otwartą ranę, efekt tarcia o linę. Wokół niej pojawił się dziwny blask i po chwili skóra się zabiłżniła.

Lore zeskoczyła na ziemię, unikając leżących wokoło zwęglonych ciał.

– Chodźmy stąd... Cas!

Obejrzał się po raz ostatni, choć kule i strzały sypały się z góry niczym deszcz.

Chwyciła go za nadgarstek, odciągając od budynku. Nie puściła, dopóki nie zaczął biec równo z nią. Poprowadziła go wśród okolicznych śmietników i dalej poprzez płot, w stronę garażu – jednego z tysięcy ich wspólnych sekretnych miejsc.

– Nie zgub się – ostrzegła. – Nie zamierzam na ciebie czekać.

– Spróbuję za tobą nadążyć – zapewnił, wyraźnie podenerwowany.

Pozwoliła mu podsadzić się wewnątrz szybu windy, po czym odwróciła się, podając mu rękę.

– A ja ci pozwolę spróbować.

Sięgnął po jej dłoń, choć Lore wiedziała, że wcale nie musiał. Potem znów ruszyli.

Kiedy biegli, krew krążyła po jej ciele jak szalona, przyspieszając dzięki ciepłu mięśni i znajomemu rytmowi kroków Castora. To była ich stara trasa. Wciąż czekała na nich, jakby nigdy nie odeszli i nigdy się nie zgubili.

W tym właśnie momencie przeszłość stała się teraźniejszością, a teraźniejszość przeszłością. I tak jak kiedyś, przemierzali razem cienie swojego miasta.

Tak powinno być zawsze.

CZĘŚĆ DRUGA

PRZYNOSZĄC OGIEŃ



ROZDZIAŁ SZESNASTY



W MIEŚCIE UTRZYMYWAŁ SIĘ LETNI SKWAR. WYDOBYWAŁ WSZYSTKIE NAJGORSZE zapachy, jakie Manhattan miał do zaoferowania. I choć szli na zachód, ku rzece Hudson, Lore miała wrażenie, że przedziera się przez worek wilgotnych śmieci.

Pozbyła się już przebrania łowcy, ale idący obok niej Castor wciąż miał na sobie strój z uroczystości. Niby Nowy Jork należał do tych nielicznych miast na świecie, w których mężczyzna odziany w starożytny kostium nie znalazłby się w trójce największych dziwołagów, jakich przeciętny człowiek spotkał podczas spaceru. Ale w przypadku Castora wszystko przyciągało wzrok, od budowy ciała po charakterystyczną twarz.

Lore kazała taksówkarzowi zatrzymać się kilka przecznic od domu. Wciąż miała przy sobie gotówkę zarobioną na ringu i z niechęcią pozbyła się sporej jej części, odliczając opłatę za przejazd z niewielkiego stosu dwudziestodolarówek. Nie była pewna, czym bardziej się martwi – znalezieniem się na celowniku jednego z rodów czy też reakcją, jaką wywoła po powrocie do siebie.

Castor nie odezwał się od opuszczenia Domu Tetydy. Nie musiał.

Późnym popołudniem miasto zwalniało. Od czasu do czasu przyjaciele mijali przechodnia zmierzającego do warzywniaka czy pralni lub dzieciaki szalejące w strumieniu wody sączącym się z hydrantu. Ku zadowoleniu Lore nie spotkali nikogo znajomego. Im mniej kłamstw, tym lepiej.

Bolesne napięcie powoli znikało z twarzy Castora. Spojrzał na przyjaciółkę, kiedy zatrzymała się, żeby złapać plastikowe torby niesione przez wiatr po chodniku, fruujące niczym duchy krążące bez celu.

– No co? – zapytała. – Nie lubię śmieci.

Zawsze dbała o swoją dzielnicę, gdyż dzielnica dbała o nią. To była część umowy, jaka wynikała z bycia nowojorczykiem.

Skręcili za kolejny róg i Lore poczuła, że Castor znów jej się przygląda. Zauważyła też kota Bo leżącego jak zwykle na swojej ławeczce, ale pośpiesznie minęła sklep pana Herrery. Nie chciała, żeby właściciel zobaczył ją zakrwawioną i pokrytą pyłem.

Dopiero przy barze U Marthy się zawahała.

– Chodź – powiedziała Castorowi i poprowadziła go w stronę bocznego wejścia. Zapukała, nie spuszczając wzroku z uliczki.

Dopiero po dłuższym czasie twarz Mel pojawiła się w uchylonych drzwiach. Na widok Lore oczy kobiety się rozszerzyły.

Lore uśmiechnęła się do niej niewinnie.

– Myślałam, że to dostawca owoców się dobija. Wszystko w porządku? Co się stało?

Po chwili Mel zamrużyła, jakby dopiero teraz zauważyła Castora.

– Och, cześć!

– Wypadek rowerowy – skłamała Lore. – Zderzyłam się z kolarzem i zaryłam twarz o ziemię. Nie masz chyba nic przeciwko, żebyśmy się ogarnęli w łazience? Znasz przecież Milesa. Jeśli zobaczy mnie w tym stanie, wpadnie w histerię.

– No jasne.

Mel wpuściła ich do środka i poprowadziła przez kuchnię, gdzie kucharz imieniem Joe zabierał się do przygotowywania obiadów. – Skorzystajcie z tej dla pracowników. Na pewno nie powinnaś pojechać do szpitala?

– Oboje czujemy się dobrze – odpowiedziała Lore i zamknęła za nimi drzwi łazienki. – Dziękuję!

– Taak... – Mel zmarszczyła brwi. – Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Słyszysz?

Castor czekał, aż Lore opłucze twarz nad umywalką.

– Kim jest Miles? – zapytał.

Spojrzała na niego zza papierowego ręcznika, którym próbowała oczyścić rozcięcie na czole.

– Przyjaciół i współlokatorów.

Nowy bóg skinął głową i oparł się plecami o drzwi. Obserwował przyjaciółkę w milczeniu, a ona zastanawiała się, czy kiedykolwiek była aż tak bardzo świadoma bliskości innej osoby – nie licząc oczywiście walk. Rozmiary oraz trudna do ukrycia w tak ciasnym pomieszczeniu obecność Castora przytłaczały ją.

Lore spojrzała na jego odbicie w lustrze.

Dostrzegła zmartwioną minę oraz strzępki czegoś, co kiedyś było kosztowną szatą.

– To nie twoja wina – powiedziała. – Musiałeś uciekać.

– Musiałem? – zapytał cicho.

– Martwy im się na nic nie przydasz – przypomniawszy.

– Prawdopodobnie w ogóle im się nie przydam.

Lore rzuciła mu w twarz mokrym ręcznikiem papierowym. Castor spojrzał na nią zaskoczony.

– Dom Achillesa nie ma do zaoferowania niczego lepszego od ciebie – oświadczyła. – Być może jesteś jedynym sensownym przedstawicielem tego rodu. Zrozum, że czasami najważniejsze jest przetrwanie. Dzięki temu można stanąć do walki kolejnego dnia. Nawet ja wiedziałam, że twoje szanse są marne. A chyba wiesz, co sędzę o unikaniu bójk?

Castor westchnął, opierając głowę o drzwi.

– Całe życie byłem słaby. Kiedy wreszcie zyskałem moce, kiedy stałem się wystarczająco silny...

– Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam. I zawsze tak było.

– Teraz wiem, że kłamiesz. – Uśmiechnął się. – W przeszłości ledwo za tobą nadążałem.

Lore starała się zapanować nad zapałem, który mógłby wkraść się w jej słowa.

– Jesteś najsilniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam, Castorze Achilleosie. I nie ma to żadnego związku z tym, jak szybko biegałeś czy jak dobrze się biłeś. Chodzi o to, że powalony na ziemię, zawsze starałeś się podnieść. Teraz też musisz to zrobić. Nie wiem, co o sobie myślisz, ale zostaw swoje przemyślenia na macie i wstań.

Incydent z Philipem przemilczała z powodu chaosu, który potem nastąpił, ale nie zapomniawszy o nim.

– Musisz dalej żyć – powiedziała. – Jeśli chcesz im pomóc, musisz żyć.

Twarz Castora wydawała jej się tak piękna, że samo patrzenie na nią bolało. Dlatego starała się tego nie robić.

– A co z tobą? – naciskał. – Jakie masz plany? Chcesz wziąć udział w Agonie? Przecież uciekłaś z naszego świata!

– To skutek spotkania z kimś, kto wciągnął mnie do niego z powrotem – wyjaśniła.

– Popełniłem błąd – przyznał. – Zniknąłeś, a ja powinienem był ci na to pozwolić. Tyle że

bardzo chciałem cię zobaczyć. Przekonać się, czy żyjesz. Ale jeżeli to ja podsunąłem ci pomysł, żeby ruszyć za Gniewnym...

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Z całych sił zacisnęła zęby.

– Twoi rodzice z pewnością nie chcieliby, żebyś próbowała ich pomścić. Tak samo, jak nie chcieliby, żebyś wpadła w pułapkę bycia nieśmiertelną. Żebyś stała się zwierzyną – powiedział Castor. – Woleliby, żebyś cieszyła się życiem. Wolnością...

Chłodne mrowienie w opuszkach jej palców rozprzestrzeniło się po całym ciele. Oddech miała urywany. Walczyła ze znajomą dławiącą falą, która w niej narastała.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Oni zasługują na spoczynek. Zasługują na... Oni... To był błąd.

Słowa te wydały jej się powolne, niemal apatyczne, w porównaniu z szybkością myśli.

Castor położył dłoń na jej ramieniu. Próbowała ją strząsnąć, więc cofnął się, ale przypomniała sobie twarze swoich sióstr. Tego dnia, kiedy je znalazła...

– Lore?

– Ja... Nic mi nie jest. W porządku – wykrztusiła.

Serce biło jej szybko i niezwykle mocno, wzrok przysłaniała ciemna chmura. Lore próbowała przez nią oddychać, starała się pamiętać, gdzie się znajduje. Wciąż jednak widziała swoje siostry z czarnymi dziurami zamiast oczu. Pamiętała świeżą krew na ich policzkach, przypominającą łzy.

Nie teraz, pomyślała dziewczyna, choć słowa w jej głowie wirowały i krzyczały. *Nie teraz – teraz trzeba wziąć się w garść!* Znowu narastało w niej napięcie. Czyniło ją kruchą. Nie potrafiła wydostać się z otaczającej ją ciemności.

– A słyszałeś ten o żółwiu bez skorupy?

Słowa te przedarły się do jej umysłu niczym blask pochodni. Zaskakujące, pogodne, przecinające mroczne myśli.

– Czy... Co? – zapytała, mrugając.

– No, skąd się wziął żółw bez skorupy? – powiedział ciepłym głosem Castor.

Wciąż nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Nie rozumiem... O czym ty mówisz?

– Nie wiesz? – zdziwił się, nie przestając na nią patrzeć. – Po prostu uciekł z domu.

Napięcie ustąpiło z jej ramion i opuściło klatkę piersiową. Tylko dzięki temu mogła wziąć dostatecznie głęboki wdech, żeby parsknąć śmiechem.

Spojrzała na swoje stopy i starą płytę chodnikową pod nimi. Starła się ukryć swoje zmieszanie. W takich sytuacjach Gil opowiadał jej o czasach, kiedy pracował na uczelni. Opisywał wybryki swoich byłych studentów oraz niezliczone podróże po świecie. Mówił cichym, kojącym głosem, dopóki Lore się nie uspokoiła. Czasami pili herbatę i rozmawiali o jej przeszłości, o ile była w stanie.

Ale teraz nie chciała o tym rozmawiać, a Castor zdawał się to rozumieć.

– Nieśmiertelni bywają strasznie irytujący – stwierdził.

– No nie mów! – rzuciła, kiedy uznała, że jej głos przestał drżeć. – Sprawiasz więcej kłopotów, niż jesteś tego wart.

– Nie zaprzeczam – przyznał.

– A w ogóle to był koszmarny żart.

– Uważaj. – Uśmiechnął się. – Nazbierało mi się ich przez ostatnich siedem lat.

– To groźba?

Powietrze wokół zrobiło się cieplejsze. Pewnie dlatego, że kiedy Castor się do niej uśmiechał, robiło jej się gorąco.

Rozległo się pukanie.

– Kochanie, jest tu człowiek, który szuka znajomej. Opisał mi kogoś podobnego do ciebie. Jest wysoki, czarnoskóry i wygląda, jakby urwał się z reklamy wody kolońskiej...

Lore i Castor spojrzeli na siebie zdziwieni. Van pojawił się naprawdę szybko.

– Możesz go tu przysłać? – zawołała Lore. – Przepraszam i obiecuję, że wkrótce będziecie mieć nas z głowy.

– Chcecie może coś do jedzenia? – zapytała Mel. – Mogę wam zrobić coś na wynos.

– Naleśniki? – rzucił Castor, zanim Lore zdążyła go powstrzymać. Posłała mu znaczące spojrzenie, jednak nawet się nie zawstydział.

– Nie ma sprawy! – odpowiedziała Mel.

Nowy bóg stanął przy umywalce i spryskał wodą twarz i ramiona. Lore uchyliła drzwi i szybko je zamknęła. Van siedł już w ich stronę. Miał na sobie dżinsy i modną lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami. Przez chwilę Lore zastanawiała się, jakim cudem nie przepocił jej jeszcze ani nie pociął.

Van wszedł do łazienki i odetchnął z ulgą.

– I jak sytuacja? – zapytał Castor. – Nic ci nie jest?

– Nic – odpowiedział Van, choć wydawał się zaniepokojony. – Jakoś udało mi się uciec. Zresztą nie tylko mnie. Czekam teraz na informację od łowców, którzy wrócili szukać ciał – dodał i wręczył Castorowi foliową torbę. – Masz, przebierz się.

Castor wyciągnął z niej parę tenisówek, szorty do koszykówki oraz sportową koszulkę.

– Nike? Serio?

– Niełatwo znaleźć coś w twoim rozmiarze – stwierdził Van, pokazując dłonią sylwetkę przyjaciela. – Ale akurat te ciuchy będą pasować. Poza tym przydałaby się nam odrobina sportowego ducha.

– Udało ci się skontaktować z Odyseidami? – zapytała Lore.

– Jeszcze nie. – Pokręcił głową.

– Kiedy się przebierzesz, daj mi swoją szatę – poprosiła dziewczyna Castora i otworzyła drzwi z łazienki.

– Po co ci ona? – zapytał ostrym tonem Van. – Co zamierzasz z nią zrobić?

– Pozbyć się gdzieś po drodze, żeby zmylić łowców i ich psy tropiące – wyjaśniła. – Pasuje ci taka koncepcja?

Nie zadała sobie trudu, żeby poczekać na odpowiedź. Castor przebrał się i podał jej znoszony komplet ubrań.

– Niedługo wrócę – powiedziała im. – Nigdzie się stąd nie ruszajcie.

Lore podarła wciąż ciepłą, zakrwawioną tkaninę na niewielkie paski i rozrzucała po okolicznych koszach na śmieci, sofach stojących przy krawężnikach, przystankach autobusowych i stacjach metra, zataczając tak szerokie koło wokół osiedla, na jakie starczyło jej odwagi. Kiedy wróciła, jej towarzysze stali już w korytarzu tuż przy barze. Posłaniec krążył po pomieszczeniu, Castor zaś delektował się każdym kęsem naleśnika lądującym w jego ustach.

– Wreszcie – zawołał ten pierwszy.

– Idziemy – zdecydowała Lore, po czym odwróciła się w stronę przedniej części restauracji. – Dzięki, Mel! Jestem twoją dłużniczką.

– Dokąd się wybieramy? – zapytał Van, kiedy wyszli na ulicę.

Lore się zatrzymała. Tej rozmowy nie mogła przeprowadzić w biegu.

– Idziemy do mojego domu. Ale musicie mnie uważnie wysłuchać i zrobić dokładnie to, co powiem.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Bo jeśli złamiemy twoje zasady, to wylecimy z hukiem?

– Nie – odpowiedziała spokojnym tonem. – Bo jeśli mnie nie posłuchacie, to mieszkający u mnie bóg zabije was obu.

Castor zadławił się jedzeniem. Zaczął uderzać się pięścią w pierś.

– Chyba się przesłyszałem – stwierdził Van. – Z pewnością...

– Teraz już rozumiesz, dlaczego nie chciałam, żeby Castor poszedł ze mną?

– Kto... – zaczął Van, ale od razu domyślił się odpowiedzi i otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. – Nie wierzę. Nigdy wcześniej nie szukała pomocy śmiertelników...

– Nigdy wcześniej nie p o t r z e b o w a ł a pomocy śmiertelników – przypomniał Castor, wyrzucając resztę jedzenia do śmietnika. – Co się stało?

– Gniewny ścigał ją i Artemidę – wyjaśniła szeptem Lore. – Artemida postanowiła spowolnić ją w jedyny skuteczny sposób, jaki знаła. Nożem w trzewia.

– Cholera – powiedział z podziwem Van.

– Znalazłam ją na swoim ganku – kontynuowała. – Najwyraźniej obserwowała mnie przez te wszystkie lata i uznała, że nie będę chciała jej zabić.

Van otworzył usta, jakby miał zamiar się odezwać. Potem jednak je zamknął. Potrzebował chwili, żeby się zastanowić.

– Przyszłam do was, ponieważ sądziłam, że zostałeś uzdrowicielem – powiedziała do Castora. – Zatamowałam jej krew, ale jest w kiepskim stanie.

– Czemu tak się nią przejmujesz? – zapytał. – To podstępna żmija. Niech zdycha, jeśli do tej pory tego nie zrobiła.

Lore wbiła wzrok w ziemię.

– Nie zrobiła. Jestem tego pewna.

Van zrozumiał, co miała na myśli.

– Chyba nie... – zaczął. – Powiedz, że nie byłeś aż tak głupia!

– A co miałam zrobić? – zaprotestowała.

– Pomóc jej umrzeć? – zasugerował. – Cieszyć się, że żaden obcy łowca nie przejmie jej mocy?

– Nie byłam sama, kiedy ją odnalazłam – odpowiedziała, mimowolnie podnosząc głos. – Poza tym zaproponowała mi coś, o czym od dawna marzyłam.

Po chwili również i Castor wszystkiego się domyślił. Mimo opalenizny pobrał na twarzy, ze złości czy ze strachu, a może z powodu obu tych emocji.

– Związałaś z nią swój los? Co takiego, do cholery, ci obiecała, że się na to zgodziłaś?

W pierwszym odruchu chciała skłamać, ale uznała, że to bezcelowe z uwagi na niebezpieczeństwo, w jakim się znajdowali.

– Obiecała, że zabije Gniewnego.

Przez moment obaj mężczyźni wpatrywali się w nią w milczeniu.

– Och – westchnął w końcu Van. – Cóż, to świetnie. Może poza tym, że umrzesz, jeśli i ona kipnie w ciągu najbliższego tygodnia, a planuje ją zabić pewnie z tysiąc osób. Odlotowy plan, Melora. Wybitny!

– Nie potrzebuję wykładu – warknęła. – Dokonałam wyboru i poniosę jego konsekwencje.

– No dobrze – powiedział Castor z wyraźną frustracją. – W takim razie prowadź nas do swojego domu.

– Nadal chcesz iść? – zapytała.

Spojrzenie, które jej posłał, nie pozostawiało wątpliwości.

– Mam pozwolić ci umrzeć? Chciałaś, żebym ją uzdrowił, to ją uzdrowię.

Odwróciła się sztywno, pozwalając przyjaciółom wymienić spojrzenia za jej plecami.

Kiedy upewniła się, że w pobliżu nie ma żadnych łowców, w milczeniu zaprowadziła ich do swojej kamienicy.

– To tutaj – powiedziała. – Wejdziemy przez piwnicę. Znikniemy w ten sposób z widoku. Potrzebuję jednak czasu, by ją przygotować.

Zza jednej z cegieł zdobiących fasadę wyciągnęła zapasowy klucz i odetchnęła z ulgą.

– Trzymajcie się mnie, dobrze?

Zeszli do zagraconej piwnicy, starannie zamykając za sobą drzwi. Castor i Van rozejrzeli się dookoła. Wszędzie stały sterty pudeł i plastikowych pojemników.

– To wszystko twoje? – zapytał Van.

– Zawsze jesteś taki wścibski? – mruknęła. – Nie. I zanim zapytasz: odziedziczyłam ten dom po człowieku, którym się opiekowałam. Nazywał się Gilbert Merrit.

– Byłaś czyjaś opiekunką? – zdziwił się Van. – T y?

– Van – powiedział Castor. – Odpuść.

Po raz pierwszy Lore zachowała ciętą ripostę dla siebie. Odwróciła się w stronę schodów prowadzących do mieszkania.

– To ja! – zawołała.

Castor chciał iść za nią, jednak powstrzymała go ramieniem. Van miał na szczęście dostatecznie dużo rozsądku, żeby zostać z tyłu.

– Musisz poczekać – szepnęła. – Daj mi parę minut. Spróbuję ugasić pożar, który wywoła twoja obecność.

W rzeczywistości słowo „pożar” uważała za stanowczo zbyt łagodne określenie. Zorientowała się już, że bogini darzy nowego boga nienawiścią mrozącą krew w żyłach. Lore pośpiesznie wbiegła po schodach, rzucając Castorowi spojrzenie mówiące: „Zostań”, po czym otworzyła drzwi.

– Wchodzę!

Stało się to tak szybko, że Lore zarejestrowała tylko poszczególne kadry. Pierwszy: Miles i Atena stoją przy kominku w salonie, za nimi gra telewizor. Drugi: Atena sięga po przedmiot stojący pod ścianą. Trzeci: jej twarz wykrzywia się w nieprzyjemnym grymasie, bogini cofa ramię. Czwarty...

Coś długiego i cienkiego wyleciało z jej dłoni i ze świstem przecięło pokój. Zaskoczona Lore podskoczyła, jednak to nie w nią miała uderzyć lecąca broń.

Castor złapał włócznię, zanim zdążyła wbić się w jego serce.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



MILESOWI Z UST WYPADŁA GUMA DO ŻUCIA.

– To... moja miotła? – jęknęła Lore. Drzewiec włóczni miał bowiem charakterystyczny zielony kolor, z wyraźnie widocznymi przetarciami na trzonku.

Dziewczyna spojrzała na Milesa, żeby upewnić się, czy wszystko z nim w porządku. Wygiął usta w bolesnym grymasie.

– Owszem – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Atena jest bardzo pomysłowa.

Po swojej prawej stronie Lore poczuła ciepło. Castor pozwolił swojej mocy spłynąć na prymitywną włócznię, zamieniając drewno w popiół. Swoje dzikie, nieruchome spojrzenie utkwiał w Atenie.

– To była moja miotła! – poskarżyła się Lore.

– Bogobójca! – Słowo to aż zawibrowało w powietrzu. Atena znów sięgnęła za siebie, szukając kolejnej prowizorycznej broni.

Lore stanęła pomiędzy nimi, unosząc wysoko ręce.

– Stop! Uspokójcie się!

– Ośmielasz się sprowadzać to... to plugastwo do mojego sanktuarium? – warknęła Atena.

– To moje sanktuarium, więc owszem, ośmielam się – odpowiedziała Lore. – Posłuchaj...

– Nie tak się umawialiśmy, Melora. – Atena nie musiała krzyczeć, żeby jej kolejne słowa zaatakowały Lore niczym topór wbijany w czaszkę. – Przysięgłaś mi posłuszeństwo.

– Przyszedł, żeby cię uzdrowić – odparła dziewczyna, zmieniając taktykę. – Pomoże nam. To przemyślana strategia. Sądziłam, że ci się spodoba.

– Nie widzę w tym żadnej strategii. No chyba że ściągnęłaś go tutaj, żebym mogła go zabić – warknęła bogini. – Słyszałam, samozwańcu, że nawet z mocą Apolla nie byłeś w stanie przyjąć cielesnej formy. Że zmarnowałeś ostatnie lata na jakieś rozterki godne żółtodzioba.

Dopiero kiedy Lore zauważyła, że Miles przygląda im się ze zdziwioną miną, dotarło do niej, że rozmawiają w starożytnym języku.

– Cóż, jeszcze nigdy nie zamieniłem utalentowanej hafciarki w pajęczaka, nie zrzuciłem niemowlęcia z góry ani nie nasłałem na nikogo orła, żeby wydziobywał mu wątrobę – odpowiedział Castor. – Masz rację, wciąż muszę się wiele nauczyć.

Atena wcale nie wydawała się najbardziej przerażająca, kiedy czerwieniała z wściekłości lub zapowiadała zemstę. Największą grozę budziła, kiedy jej oczy stawały się lodowate, a ciało nieruchomiało niczym u drapieżnika, który wie, że za chwilę dopadnie zwierzynę. Ręka Castora znalazła się nagle na ramieniu Lore, jakby chciał odsunąć dziewczynę na bok.

Ale to ona go odepchnęła.

– Dość tego. Nie mamy na to czasu – powiedziała po angielsku, wyraźnie akcentując każde słowo.

Ostrożnie podeszła do Ateny, nie spuszczać wzroku z włóczni, która na dobre zakończyła swoją krótką karierę sprzętu domowego.

– Muszę ci wyjaśnić, co się wydarzyło. Bo potrzebujemy jego pomocy.

– Nie potrzebuję j e g o pomocy – warknęła bogini. – Inni...

Lore sięgnęła po jedyną kartę, która mogła zrobić wrażenie na Atenie. Wyłożyła ją na stół, nawet nie próbując zmniejszyć jej siły.

– Hermes nie żyje. Gniewny zabił go podczas Przebudzenia.

Jako pierwszy zareagował Miles.

– Co? Poważnie?

Atena spojrzała na nią pogardliwie, jakby spodziewała się, że za chwilę to kłamstwo rozpadnie się w pył u jej stóp.

– Niemożliwe – stwierdziła w końcu.

– Naprawdę nie żyje – potwierdził Castor. – Podobnie jak Dawczyni Przyptyłów.

Van pojawił się na schodach za nimi.

– On mówi prawdę, bogini – wykrztusił z szacunkiem. – Przybywamy tutaj nie jako twoi wrogowie, lecz sojusznicy.

Lore nie bez satysfakcji zauważyła, że Atena lustruje go z taką samą przenikliwością, z jaką on lustrował innych. Może właśnie dlatego postanowił skupić swoją uwagę na innej osobie.

– A ty kim jesteś? – zapytał.

Miles zeszywniał pod jego wzrokiem, a uszy mu poczerwieniały.

– Cześć. Jestem... Miles. To znaczy współlokator Lore. I przyjaciel.

– Ja nazywam się Castor – powiedział nowy bóg. – A to Evander... Czyli Van.

Półokrągły skórzany plecak Vana przypominał skorupę żuka. Mężczyzna poprawił paski, spoglądając na Lore z ukosa.

– Co ty wyrabiasz? Wciągnęłaś do tego nierodowitego?

Miles wzdrygnął się, słysząc niechęć w jego słowach.

Lore była jednak stanowczo zbyt blisko eksplozji.

– Był ze mną, kiedy Atena do nas przyszła. A na wypadek, gdybyś nadal tego nie rozumiał, przypomnę ci, że prawdziwy świat funkcjonuje na nieco innych zasadach niż nasz. Kiedy nie należysz do żadnego z rodów, sam decydujesz o swoim życiu.

– Może wasz świat jest dla mnie nowy, ale przecież nie jestem bezużyteczny – stwierdził Miles. – Zauważyłbyś to, gdybyś nie oceniał mnie po dziesięciu sekundach.

– Nie potrzebuję aż dziesięciu sekund – odpowiedział Van.

Lore zacisnęła pięści. Przerażało ją, że wciągnęła Milesa w sprawy Agonu, ale jednocześnie zarzut, że celowo naraziła przyjaciela na niebezpieczeństwo, doprowadzał ją do szewskiej pasji.

– Van – zbeształ go Castor.

Evander Achilleos wychował się w eleganckim domu w Londynie. Jego rodzice mówili z idealnym akcentem i jadali na talerzach ze złotą lamówką, choć trudno było się tego domyślić, patrząc na chłopaka. W przeszłości kilkakrotnie zabierali go w podróże służbowe do Nowego Jorku. Trenował wtedy w Domu Tetydy i spędzał czas z Castorem i Lore w Central Parku. Starał się być uprzejmy, choć wydawało się jasne, że z jakiegoś powodu nie znosi Lore.

Nie miał pojęcia, kim był Miles, i z pewnością nie wiedział też, kim ona się stała.

– Lubię tego śmiertelnika – wtrąciła Atena. – Zostaje z nami.

Lore spojrzała na sztywną postawę Vana i protezę dłoni, którą trzymał blisko brzucha.

– Co powiesz jego bliskim, kiedy przyniesiesz im jego ciało? – zapytał.

– Rany! – jęknął Miles. – Ja tu jestem i wszystko słyszę!

– Jeśli nadal masz zamiar obrażać mojego przyjaciela, to możesz się stąd zwijać – ostrzegła Lore i spojrzała na Castora, żeby upewnić się, jak przyjął słowa Vana. Zamiast strachu dostrzegła u niego jawny sprzeciw – sprzeciw tego rodzaju, który rodzi się w człowieku, gdy jest

świadkiem kradzieży taksówki lub gdy widzi horrendalne ceny kimchi.

Atena oderwała wreszcie swój chłodny wzrok od Vana.

– Powiedzcie mi, czy jesteście pewni, że Hermes i ta fałszywa Posejdon nie żyją.

Van zaczerpnął tchu.

– Przechwyciłem nagranie... i widziałem je na własne oczy. Gniewny, czyli nowy Ares, zabił Hermesa w Central Parku i tam porzucił jego ciało. Jego łowcy, Kadmici, dopadli Dawczynię Przypływów i opuścili z nią miejsce Przebudzenia. Moje źródła w Domu Tezeusza potwierdziły, że zginęła z ręki Gniewnego w tym właśnie kompleksie.

Bogini zeszywniała.

– Wierzysz... tym źródłom?

– Owszem – odpowiedział Van. – Ci ludzie wiedzą, co bym im zrobił, gdyby skłamali.

– Twoja siostra wciąż żyje – dodała Lore. – I możesz to uznać za wiadomość z pierwszej ręki. Zaatakowała Castora w jednej z posiadłości Achillesydów.

Nozdrza Ateny się rozszerzyły.

– Ma do tego prawo. Nie spocznie, dopóki nie zabije uzurpatora.

– Cudownie – mruknęła ponuro Lore.

– Przez samą jego obecność tutaj Artemida odnajdzie nas wcześniej, niż się spodziewałam – powiedziała bogini, wskazując głową Castora. – Grot jej strzały zakończy tę historię.

– Boisz się jej? – zapytała Lore. Chciała w ten sposób dogryźć Atenie, choć jakaś część dziewczyny zastanawiała się, czy istota taka jak bogini w ogóle odczuwa strach. Przecież bać się to akceptować możliwość porażki.

– Strach to obca mi kraina, której nigdy nie odwiedzę, i nieznany mi język – oświadczyła bogini. – Gdzie podzieli się potomkowie boskiego Achillesa? Nie powinni cię aby chronić?

Castor zmrużył oczy.

– Mają inne sprawy na głowie.

– A zatem jesteś tu sam, zupełnie bezbronny – wycodziła. W ciągu paru chwil zdobyła pełen obraz sytuacji.

Castor ruszył do przodu, unosząc pięść, ale Lore go powstrzymała.

– Jego posiadłość zaatakowali Kadmici. Wcześniej Gniewny przesłał mu ostrzeżenie i próbował przeciągnąć Achillesydów na swoją stronę. Służą mu już potomkowie Tezeusza. Niedawno sprzymierzyli się z Kadmitami.

– W takim razie okryli hańbą swojego przodka. – Atena skrzywiła się z obrzydzeniem. – Ilu Achillesydów nie uległo wpływowi Gniewnego?

Lore i Castor spojrzeli pytająco na Vana.

– Ich liczba jest nieistotna – stwierdził zdawkowo, unikając wzroku nowego boga.

Aż tak źle?, pomyślała Lore.

– Ilu nam zostało?

Słowa Castora przetoczyły się przez pogrążony w ciszy salon niczym chmura burzowa.

Ciężar odpowiedzi wydawał się Vanowi nie do uniesienia. Zamilkł na chwilę niczym spiżowa tarcza.

– Dwadzieścioro siedmioro – rzucił w końcu.

Lore obserwowała, jak Castor analizuje tę liczbę. Ściągną na jego szyi nabrzmiały, kiedy odwrócił się i położył ręce na oparciu jednego z foteli.

– Z iloma rozpoczynaliście Agon? – drażyła Atena, nawet nie próbując ukryć zadowolenia.

– Na początku cyklu mieliśmy trzysta siedemdziesięcioro ósmioro łowców wywodzących

się z Domu Achillesa – odpowiedział beznamiętnym głosem Van. – Prawie setka zginęła w Domu Tetydy podczas ataku Kadmitów. Niektórzy zdecydowali się na zdradę i dołączyli do prawie pięciuset Kadmitów i całego Domu Tezeusza, który ostatnio liczył sobie czterystu trzydziestu ludzi.

– Powinienem iść uzdrawiać rannych – stwierdził pełnym napięcia głosem Castor.

– Musisz zostać tutaj – oświadczył Van. – Dostarczyłem im jedzenie, poza tym mają już co najmniej jednego uzdrowiciela.

– Van... – zaczął Castor.

– Tak, wiem – westchnął. – Wiem, że chcesz im pomóc. Ale nie możesz, a przynajmniej nie teraz. Gniewny próbuje zabić wszystkich żyjących bogów i zjednoczyć rody pod swoim panowaniem. Z polowania na ciebie na pewno nie zrezygnuje, dlatego wyeliminowanie go musimy potraktować priorytetowo. Bo jeśli cię dopadnie, losy Achillesydów zależeć będą wyłącznie od jego widzimisię. Powiedz, że to rozumiesz.

– Rozumiem – odpowiedział nowy bóg, choć wyraźnie zmarkotniał.

Szyderstwo, które pojawiło się na twarzy Ateny po wzmiance o zdradzie Achillesydów, sprawiło, że jej doskonale rysy nagle spotworniały.

– Och, stado zawsze ucieka pod skrzydła silniejszego opiekuna.

Castor odwrócił się w jej stronę z wyrazem dzikiego bólu i gniewu na twarzy.

– Wiesz coś o tym, prawda?

Atena poderwała się, patrząc mu prosto w oczy. Lore z trudem stłumiła jęk frustracji.

– Kiedy znowu staniecie się nieśmiertelni, będziecie mieli mnóstwo czasu na przelewanie swojej krwi, grzmocenie się i mierzenie spojrzeniami – powiedziała, po czym zwróciła się do bogini: – To byli łowcy, którzy poszliby za Castorem i nam pomogli. Tymczasem musimy się liczyć z tym, że Gniewny będzie jeszcze lepiej chroniony. A c i e b i e będzie szukać jeszcze więcej łowców.

– Nigdy nie stchórzę przed ostrzem uzurpatora i nie wycofam się z wiążącej mnie przysięgi. Powtórzę, co mówiłam wcześniej. Fałszywy Ares zginie z mojej ręki. Nie potrzebuję żadnej pomocy!

– Owszem, potrzebujesz – stwierdziła Lore. – Zaufaj śmiertelniczce, która w swoim życiu odniosła całkiem sporo obrażeń. Zdołałam jedynie zatamować twoje krwawienie. Jeśli zdecydujesz się na ten sojusz, Castor uzdrowi cię i przywróci ci siły. Nie będziesz marnowała czasu na odpoczynek.

– Być może powinnam pozwolić fałszywemu Aresowi wyeliminować moich rywali – powiedziała Atena. – A potem odbiorę mu życie i raz na zawsze zakończę ten koszmar.

Lore nie była głupia. Wiedziała, że ewentualny sojusz pomiędzy bogami potrwa najwyżej do końca Agonu; że ostatecznie Atena i Castor staną naprzeciwko siebie i zaczną polowanie. Tak naprawdę dziewczyna tylko opóźniała to, co nieuniknione, zwłaszcza jeśli oryginalna wersja wiersza potwierdziłaby, że zwycięzcą Agonu zostanie ostatni żywy bóg.

– Nie zrobisz tego – wyjaśniła, zerkając na boginię. – Bo nie dożyjesz do końca tego cyklu.

Po jej słowach zapadła cisza. Atena zadarła dumnie podbródek, lecz w jej spojrzeniu kryła się milcząca zgoda.

– Nie zwiążę się z tobą przysięgą – odezwał się w końcu Castor. – Ale ponieważ połączyłaś swoje życie z życiem Lore, nie mogę pozwolić ci umrzeć. I nie zrobię tego.

Atena skinęła głową i uważnie mu się przyjrzała. Lore poczuła mrowienie na karku.

– Niech uzurpator mnie uleczy – oświadczyła w końcu bogini. Usiadła pośrodku aksamitnej sofy Gila i uchyliła rąbek pożyczonej koszuli, odsłaniając zaognioną ranę. –

Zacznijmy wreszcie planować.

Castor uklonił się jej z sarkazmem.

– Służę!

Pozostali rozsiedli się dookoła. Van zajął jedno z krzeseł, za Miles i Lore klapnęli zaś na podłogę tuż obok szklanego stolika do kawy.

Nowy bóg przyłożył dłoń do rany bogini. Z opuszków jego palców spłynęło światło. Nie przypominało trzaskającej, ognistej energii rzuconych przez niego pocisków. Stanowiło łagodną, pulsującą poświatę.

Atena syknęła, kiedy światło zatopiło się w jej czerwonej, pomarszczonej skórze. Odwróciła się i napotkała spojrzenie Lore.

– Czy udało ci się dowiedzieć czegoś o wierszu, którego szuka fałszywy Ares? – zapytała.

– Niczego się nie dowiedziałam. Van słusznie jednak zauważył, że jeśli ktoś dysponuje zapisem alternatywnej wersji wiersza, to pewnie są to Odyseidzi – odpowiedziała dziewczyna i cofnęła ramiona, próbując złagodzić narastające w nich napięcie.

– Rozumiem – stwierdziła Atena i syknęła, gdyż Castor przesunął rękę. – Przypuszczam, że fałszywy Ares może się tego domyślać?

– Zdecydowanie. Podobnie jak tego, że mają nową Afrodytę – kontynuowała Lore. – Podejrzewam, że staną się kolejnym jego celem. Pytanie, kiedy ich zaatakuję.

– Dziś w nocy – oświadczył Van.

– Dziś w nocy? – powtórzyła Lore. – Skąd ta pewność?

– Zwykła dedukcja – odpowiedział szybko. Zbyt szybko. – Dom Kadmosa nie zaryzykuje kolejnego ataku za dnia, gdyż mógłby ściągnąć na siebie uwagę mediów.

– Twoje wnioskowanie wydaje się błędne. Skoro Kadmici nie bali się uderzyć na Achillesydów o świcie, to nie zawahają się powtórzyć tego manewru z Domem Odyseusza – stwierdziła Atena. – Czy jacyś strażnicy miasta zareagowali na zniszczenie waszej kryjówki?

– W sumie to dziwne – zauważyła Lore, spoglądając na Castora. – Spodziewałabym się, że ktoś poinformuje odpowiednie służby o eksplozji. Nawet jeśli jej nie widział, a jedynie ją słyszał.

Nowy bóg mruknął w odpowiedzi, wciąż skupiony na swoim zadaniu.

– Nie ma w tym nic dziwnego – wyjaśnił Van. – Wszystkie rody oplacają członków służb miejskich i porządkowych, które dzięki temu nie interesują się ich sprawami. Możliwe, że Gniewny i Kadmici mają u nich większe wpływy niż pozostali.

Miles zamrugał.

– To... przerażające. Choć nie powiem, żeby mnie zaskoczyło.

– Dzięki temu członkowie rodów nie muszą się obawiać, że zobaczą ich ludzie spoza naszego świata – powiedziała Atena i zerknęła na Vana. – Wyjaśnij mi więc, dlaczego z taką pewnością twierdzisz, że Kadmici dopiero wieczorem przeprowadzą atak. Przypuszczam, że wiesz to ze swojego ż r ó d ł a?

Noszony przez Vana pancerz spokoju i opanowania wydawał się Lore nie do przebicia. Odkąd jednak mężczyzna przekroczył próg jej domu i zobaczył boginię, biegnące głęboko pod jego skórą nerwy płonęły. Nawet teraz, choć milczał, czuł się nieswojo pod wpływem wnikliwego spojrzenia Ateny.

– Nienawidzę półprawd i niedomówień – ostrzegła go bogini, kiedy Castor usiadł, przerywając swoją pracę.

– Powiedz im – poprosił.

Nozdrza Vana rozszerzyły się wraz z kolejnym oddechem.

– Mam jedno źródło, owszem. Po latach prób udało mi się zdobyć wtyczkę u Kadmitów.

Ten człowiek należy do ich starszyny. Kiedy rozmawiałem z nim godzinę temu, potwierdził doniesienia o śmierci Dawczyni Przypływów i zasugerował, że wieczorem członkowie jego rodu ruszą na Odyseidów. Dokładnej godziny jeszcze nie ustalono, ale podejrzewał, że będzie to tuż przed północą.

– To ktoś ze starszyny? – zdziwiła się Lore. Do starszyny należeli ludzie najbardziej lojalni wobec rodu, czerpiący najwięcej korzyści z jego dorobku. – Dlaczego ci pomaga?

Van uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Ponieważ poznałem pewną jego tajemnicę, a on wolałby umrzeć, niż ujawnić ją swojemu rodowi. Zawsze dostaję to, czego chcę.

– Hmm – mruknęła Atena, na której to wyznanie nie zrobiło większego wrażenia.

Castor wstał i przeszedł przez pokój. Zajął drugi z foteli.

– Nie ma za co – mruknął.

Bogini zignorowała go, ponownie skupiając całą swoją uwagę na Lore.

– Wszystko wskazuje na to, że wieczorem będziemy mieć okazję zabić fałszywego Aresa, a może nawet dowiemy się czegoś o wierszu.

Na wzmiankę o wierszu Lore zacisnęła usta. Najchętniej nie dopuściłaby do tego, żeby Atena czy Gniewny poznali jego oryginalną wersję.

Nie chciała też, żeby twarz zdradziła jej myśli.

– A nawet jeśli nie pojawi się tam, żeby osobiście zabić nową Afrodytę – powiedziała – Kadmici schwytają ją i zaciągną do jego kryjówki. Moglibyśmy ich śledzić.

Sofa zaskrzypiała, gdy Atena oparła się o nią.

– Nie inaczej.

Lore czuła na sobie wzrok Castora, nie odważyła się jednak spojrzeć na przyjaciela. Nie chciała dostrzec w jego oczach troski czy zmartwienia.

– Wygląda na to, że mamy plan – rzuciła.

– Naprawdę? W tym waszym planie nie widzę żadnego planu – stwierdził Castor. – Nie wiemy nawet, gdzie kryją się Odyseidzi. Nigdy nie ustaliliśmy położenia ich nowojorskiej bazy. To nie wszystko. Kiedy tam pójdziemy, Gniewny, wszyscy jego łowcy, a także sami Odyseidzi będą chcieli nas zabić! – zauważył i zanim Lore zdążyła zaprotestować, dodał: – I tak, mówię „nas”, bo nie zamierzam zostawić was samych.

– Możemy poprosić Odyseidów i ich fałszywego boga o kilkugodzinny rozejm – oświadczyła Atena. – Z pewnością któreś z was ma u nich znajomości i mogłoby to zaproponować?

– A czy twoja kumpela nie jest Odyseidką? – zapytał Castor Lore. – Iro? Pamiętam, kiedyś opowiadałaś mi o niej...

Lore miała wielką ochotę zapaść się pod ziemię. Mogłaby porozmawiać z Iro, gdyby wiedziała, gdzie jej szukać...

Nie.

Ich matki niegdyś się przyjaźniły. Razem trenowały i traktowały się jak siostry. Kiedy rodzina Lore została zamordowana, matka Iro uparła się, by dziewczynka zamieszkała u nich. Tak naprawdę ją ukryła.

W rezultacie Lore spędziła wśród Odyseidów cztery lata. Tymczasem Iro z nieznajomej, którą wcześniej dziewczyna widziała zaledwie raz, stała się jej najbliższą koleżanką. Połączyła je przyjaźń, która wcześniej była udziałem ich matek.

Lore nie wiedziała jednak, co teraz kumpela o niej myśli. Podejrzewała, że z chęcią zabiłaby ją za to, co Lore zrobiła tej nocy, kiedy uciekła z ich posiadłości.

– Chyba wiem, gdzie mieszkają Odyseidzi – powiedziała w końcu. – Ale nie mogę o nich prosić. Zginęłabym, gdybym stanęła w ich progu.

– Co? – zdziwił się Miles. – Dlaczego?

Lore nigdy nie żałowała tego, co zrobiła, ale też nie miała najmniejszej ochoty o tym opowiadać.

– Sprawy rodzinne – rzuciła.

Atena przechyliła głowę, przez co jeszcze bardziej przypominała drapieżnika.

– Czy zabicie ciebie byłoby uzasadnione?

– W ich oczach? Na pewno – odpowiedziała Lore. – Nie żyjemy w dawnych czasach, kiedy wina wiązała się co najwyżej z rekompensatą bądź z wygnaniem.

– A nie żyjesz na wygnaniu? – zapytała Atena. – To nie wystarczyłoby, żeby nieco ich obłąskawić?

Starożytne prawo skupiało się na szkodzie oraz gniewie pokrzywdzonych, który wymagał zaspokojenia. Poczucie krzywdy przypominało bowiem chorobę duszy, a jej najbardziej zaraźliwym aspektem była przemoc. Uniknięcie złości pozwala zakończyć błędne koło, zanim zacznie się ono toczyć. Tyle że ich społeczność miała skłonność do okrucieństwa...

– Nie wiem – odparła Lore. – I nie planowałam się tego dowiadywać.

– A więc byłaś z nimi – powiedział Van. Z jego spojrzenia Lore wyczytała, iż ma własną teorię dotyczącą tego, co zrobiła, i zamierza ją przedstawić. – Nowa Afrodyta, Strażnik Serc...

– Strażnik Serc? – powtórzyła Lore i skrzywiła się. – Czy tylko moim zdaniem ksywki bogów robią się coraz głupsze?

– Być może Lore nie powinna się do nich zbliżać, ale może to zrobić posłaniec – zasugerował Castor.

Van potrząsnął głową.

– Moja wtyczka u Kadmitów chce się dzisiaj spotkać. Nie zdołam być w dwóch miejscach jednocześnie.

– Ja mogę pójść – zgłosił się Miles. – Znaczą się na spotkanie z wtyczką.

– Zaraz, zaraz, nie! – sprzeciwiła się Lore. – To nie jest najlepszy pomysł.

– Jest wręcz koszmarny – przyznał Van. – To nie będzie zwykłe spotkanie. Poza tym po drodze muszę jeszcze odebrać torbę pieniędzy.

– No i co z tego? Po prostu powiedz, dokąd mam iść i z kim się spotkać.

Van milczał.

– Chodzi o jakiś skomplikowany uścisk ręki, którego musiałbym się nauczyć? – zapytał Miles. – A może on nie mówi po angielsku?

Lore westchnęła, zasłaniając twarz dłońmi.

– Miles...

– Pozwólcie mi się na coś przydać – poprosił. – Nie potrafię walczyć, ale znam to miasto i wiem, jak się po nim poruszać.

– Nie ma mowy – powiedział stanowczym tonem Van.

– Twierdzisz, że kierujesz się w życiu logiką – wtrąciła Atena. – Zatem z pewnością rozumiesz, że to najlepsze rozwiązanie. Nierodowity zna miasto, a rody na niego nie polują. Samo zadanie wymaga nie tyle wyjątkowych umiejętności, ile dyskrecji.

– No właśnie – zawołał Miles. – Pójdę prosto na miejsce i zaraz wrócę.

– A co, jeśli ten człowiek spróbuje cię zabić i zabrać ci pieniądze? – zapytał Van.

– Nadal będziesz znał jego tajemnicę – odpowiedział Miles, próbując wytrzymać jego chłodne spojrzenie. – Nie robi niczego, co mogłoby skłonić cię do jej ujawnienia.

– Miles ma rację... – zaczął Castor.

– Planowałem też porozmawiać z pozostałymi Achillesydami, którzy nas nie zdradzili – wyjaśnił Van. – I poszukać im jakiegoś schronienia. Nasze nieruchomości i kryjówki nie są już bezpieczne, podobnie jak większość naszych skarbców i magazynów.

– Znam miejsce, z którego mogą skorzystać – wtrącił Miles. – Oczywiście przy założeniu, że przyjmiesz pomoc od nierodowitego.

Van nie odpowiedział, a jego twarz niewiele zdradzała.

– Co to za miejsce? – zapytał Castor.

– Opuszczony magazyn – wyjaśnił chłopak. – W Brooklynie. Podczas stażu byłem na spotkaniu poświęconym tej nieruchomości. Budynek stoi pusty od ponad dekady, a miasto toczy o niego spór z deweloperami.

– Powinien się nadać – stwierdził nowy bóg. – Dziękuję.

Miles się uśmiechnął.

– Przynajmniej będą mieli szansę się przegrupować. W jaki sposób można przekazać im namiary?

– Van? – zapytał Castor.

Evander siedział sztywno, obserwując światło sączone się przez jasne zasłony okna.

– Wyślę im SMS z adresem.

Lore westchnęła.

– Naprawdę chcesz to zrobić, Miles?

– Tak – odpowiedział.

– Obiecay, że weźmiesz nogi za pas, jeśli coś, c o k o l w i e k , wyda ci się dziwne bądź podejrzan.

– W twoim świecie wszystko jest dziwne – przypomniał jej. – Ale obiecuję, że będę uważać.

– No dobrze – stwierdził Van i wstał.

– Ano dobrze. – Miles poszedł w jego ślady.

– Więc mamy plan – dodała Lore.

– Wciąż nie wiemy, gdzie szukać Odyseidów – przypomniał Castor, oplatając rękami kolana.

– Ja wiem. A przynajmniej mogę się domyślać – stwierdziła Lore i spojrzała na zegar dziadka. – Zamierzam wziąć prysznic i przespać się trochę, żeby nie przypominać żywego trupa. Spróbujemy wyruszyć nie później niż o piątej. To znaczy przed zachodem słońca.

– Też muszę tak długo czekać? – zapytał Miles.

– Tak bardzo się spieszysz, by umrzeć? – rzucił Van i sięgnął po telefon. – Poproszę moją wtyczkę o przełożenie spotkania na jutro...

– Nie! – zaprotestował chłopak. – Bez dyskusji! Lore zaprowadzi was do Odyseidów. Porozmawiacie z nimi o rozejmie, a przy okazji zapytacie o wiersz. Castor w razie czego obroni was przed Gniewnym, Atena z kolei zagra w ofensywie. A ja pójdę na spotkanie z wtyczką i spróbuję wydobyć z niej jak najwięcej informacji. Nie ma innego wyjścia.

Oczywiście powodzenie całej operacji zależało również od tego, czy goście Lore nie pozabijają się nawzajem.

Van rozchylił usta. Wpatrywał się przez chwilę w Milesa, po czym ponownie spojrzał na telefon.

– Kiedy ustaliliśmy, że ja zajmę się obroną? – zapytał Castor dokładnie w tym samym momencie, w którym Atena powiedziała:

– W mojej ofensywie nie będzie żadnej gry.

Lore zostawiła ich i poszła na górę, do swojej sypialni. Zamknęła za sobą drzwi.

Nastawiła budzik i weszła do łóżka.

Leżała na kołdrze i nasłuchiwała, jak dobiegające z dołu głosy zamieniają się w niezrozumiałe pomruki. Parę chwil później jej zmęczone powieki opadły.

Twarz Iro wyłoniła się z mroków jej pamięci. Uśmiechała się zachęcająco.

Była nieświadoma kryjącego się w Lore potwora.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY



Z CIĘŻKIEJ, BEZSENNEJ CZERNI WYRWAŁ LORE SZALEŃCZY ALARM BUDZIKA w telefonie. Zmrużyła oczy i spojrzała na zegarek – był kwadrans po czwartej po południu. Natychmiast pożałowała, że w ogóle położyła się spać. Mięśnie jej zeszytywniały i żadne rozciąganie nie przyniosło ulgi.

Po przebraniu się w czystą parę džinsów i czarną koszulkę dziewczyna wyszła na korytarz, nasłuchując głosów gości. Jednak w mieszkaniu panowała cisza.

Ostatnia chwila spokoju, pomyślała Lore i odetchnęła głęboko.

Wiedziała, że nawet jeśli uda im się dogadać ze Strażnikiem Serc, to i tak jej życie zmieni się w nieodwracalny sposób. Kiedy Odyseidzi dowiedzą się o jej istnieniu, nie dadzą jej spokoju. Prawdopodobnie po dzisiejszym wieczorze będzie musiała opuścić miasto, a już na pewno tę kamienicę. Straci swoje bezpieczne schronienie.

Po raz ostatni rozejrzała się dookoła, przesuwając dłonią po gładkiej poręczu. Już miała zejść po schodach, kiedy dostrzegła w sypialni Gila jakiś ruch.

Van stał przy komodzie, podziwiając starą posrebrzaną figurkę żółwia. Tę samą, którą Gil tak bardzo cenił, choć obiektywnie rzecz biorąc, była szkaradna.

Lore nie wiedziała, w jaki sposób znalazła się tuż przy chłopaku. Szybko wyrwała mu figurkę z rąk.

– To nie twoje – rzuciła.

Ostrożnie odłożyła żółwia na właściwe miejsce, tuż obok starego drewnianego pudełka i zdjęcia przedstawiającego ich trójkę: Gila, Milesa i ją, wkrótce po tym, jak Gil poznał Milesa w kawiarni i zaoferował mu pustą sypialnię na trzecim piętrze. Obaj zostali ulepieni z tej samej, kochającej zabawy i nazbyt ufnej gliny. Pomimo początkowych obaw Lore wieczory spędzane przy planszówkach i niekończące się spory przy kolacji sprawiły, że w domu zrobiło się ciepło i bezpiecznie w sposób, którego dotąd nie doświadczyła.

Rozejrzała się po pokoju. Przed śmiercią Gila zaglądała tu setki razy. Czasami przypominała mu, żeby wziął lekarstwa, a w dni, w które wiek odbierał mu siły, pomagała mu wstać bądź położyć się do łóżka. Niekiedy po prostu przynosiła mu herbatę lub przychodziła z jakąś grą, żeby zapomnieć o własnych mrocznych myślach. Nazywał ją „kochaniem” i Lore była niemal pewna, że nigdy wcześniej nikt – nawet jej rodzice – nie zwracał się do niej w ten sposób.

Chociaż nigdy nie poznała swoich dziadków – zmarli na długo przed jej narodzinami – pokochała swoje wyobrażenie o nich, wizję stworzoną na podstawie opowieści rodziców. Gila pokochała zaś *p r a w d z i w e g o*, tak irytującego i upartego, jak tylko on potrafił być. Początkowo zamierzała pracować u niego tylko przez kilka miesięcy, dopóki nie zrosną mu się złamane ręka i noga. Liczyła, że w tym czasie zaoszczędzi dostatecznie dużo pieniędzy, żeby zacząć wszystko od nowa. Pokochała go jednak do tego stopnia, że – podobnie jak w przypadku miasta – nie potrafiła zdecydować się na rozstanie. Gil był łagodny, błyskotliwy i potrafił ją rozśmieszyć. Przebił się przez wszystkie jej osłony.

A teraz – co za wstyd! – pokój wydawał się ciemny i zatęchły. Należąca do Gila kolekcja lasek z rzeźbionymi głowami zwierząt nie trafiła jeszcze razem z resztą rzeczy do szafy, półki

pełne naukowych książek pokrywała zaś gruba warstwa kurzu. Lore starała się zachować budynek w takim stanie, w jakim zostawił go Gil, ale od miesiący nie potrafiła zmusić się do wejścia do jego pokoju.

– Inaczej wyobrażałem sobie twój dom – powiedział Van. – Jego styl wydaje się taki...

– Radziłabym ci nie kończyć tego zdania – wycodziła.

– Chciałem powiedzieć „dostojny” – wyjaśnił, wskazując stojące dookoła zdobione meble z dębiny, wszystkie wykończone kością słoniową oraz misternie rzeźbionymi kwiatami i winoroślami. – Jakim cudem znalazłaś tutaj pracę?

Lore odwróciła się, zaciskając zęby. Serce jej waliło.

– Domyśl się, skoro tak bardzo chcesz wiedzieć.

Jego głos zatrzymał ją w drzwiach.

– Wiesz, że zawsze ci zazdrościłem?

Znieruchomiała.

– Zazdrościłeś mnie? – odpowiedziała, odwracając się w jego stronę. – Zazdrościłeś mi biedy, niekończącego się ostracyzmu i wiecznych upokorzeń czy też tego, że mojemu rodowi groziło wyginięcie?

Van złapał się za swoją sztuczną dłoń, pozwalając obu spocząć przed sobą. Pozę tę można by uznać za zrelaksowaną, gdyby nie ścisnął ręki tak mocno.

– Zawsze dokładnie wiedziałas, kim jesteś i kim chcesz być. I wszystko przychodziło ci z olbrzymią łatwością, bo bardzo tego pragnęłaś – wyjaśnił. – Kiedyś myślałem, że gdybym nauczył się czegoś pragnąć, to znalazłbym to coś... coś ukrytego głęboko wewnątrz mnie. Coś, co pozwoliłoby mi biegać równie szybko i uderzać równie mocno. Chcieć sięgać po miecz.

– Byłam tylko głupim dzieciakiem – odpowiedziała. – Sądziłam, że sporo wiem, a tymczasem nie wiedziałam niczego.

Van pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Niezła ironia losu, co? Kiedy starałem się dotrzymać ci kroku i nadrobić zaległości, zrobiłaś coś, czego pragnąłem najbardziej na świecie. Coś, co wydawało mi się niemożliwe w naszych kręgach. Wycofałaś się.

Lore sapnęła, gdyż poczuła ucisk w żołądku.

– Zrobiłam to, bo musiałam.

– Zrobiłaś to, bo nigdy się nie bałaś – stwierdził. – Bo chciałaś żyć.

– Dobrze znam strach. Lepiej niż własne odbicie w lustrze.

– Nie wiedziałem, co się z tobą dzieje – przyznał. – Często się nad tym zastanawiałem. Nie miałem jednak wątpliwości, że wciąż żyjesz.

Ruszył w stronę łazienki przylegającej do pokoju. Prawdopodobnie zamierzał wziąć prysznic. Uwolnił ją na chwilę od duszącego bólu, który jednak szybko powrócił.

– Wiesz, że niektórzy ludzie do tego stopnia przyzwyczajają się do patrzenia na świat z wnętrza klatki, że przestają widzieć kraty? – rzucił. – Ja nigdy o nich nie zapominałem. Po prostu nauczyłem się żyć na własnych warunkach. Nie pozwól... Nie pozwól, żeby twój przyjaciel utknął tu razem z nami.

Jego słowa ścisnęły ją za gardło. Uniosła rękę, by odgarnąć luźny kosmyk włosów z twarzy. Tak naprawdę nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

Być może Van nigdy nie miał problemów finansowych, ale też nie odnalazł się jako łowca. Dlatego właśnie czuła się winna, że tak surowo go osądziła zarówno w przeszłości, jak i w jakimś stopniu teraz. Zaczynała rozumieć jego stosunek do Milesa. Zastanawiała się też, czy to, co w młodości odbierała jako niechęć do siebie, nie było przypadkiem jego własnymi frustracjami – rozczarowaniem sobą i całym ich światem.

– To tylko jedno zadanie – powiedziała w końcu. – Po dzisiejszym wieczorze przekonam go, żeby się wycofał.

– Dobrze – stwierdził.

Zanim zamknął drzwi do łazienki, Lore usłyszała jeszcze własne słowa:

– Ty też możesz się wycofać. Nigdy nie jest za późno.

– Zdecydowałem się zostać – odpowiedział. – Nie odejdę, dopóki nie dopadnę tych, którzy mnie w tej klatce zamknęli.

Słowa te towarzyszyły Lore w drodze na dół. Wydawały jej się tym bardziej niepokojące, że pasowały do sytuacji, w której sama się znalazła. Pomyślała nawet o powrocie na górę. O podzieleniu się z Vanem tym, czego nauczyła się przez ostatnie lata – że klatka jest tak mocna, jak chce tego umysł, który ją stworzył.

Postanowiła dochować przysięgi złożonej Atenie. Po raz ostatni wrócić do klatki i dopaść człowieka, który pozbawił ją wszystkiego.

Nie zostało utracone, pomyślała. Odzyskało wolność.

Dotarła do najniższego stopnia schodów i zatrzymała się.

Castor zajął sofę, wyciągając na niej swoje długie ciało i pozwalając stopom zwisać z podłokietnika. Splótł palce i oparł je na piersi. Podnosiły się i opadały przy każdym głębokim, miarowym oddechu.

Atena stała przy nim i go obserwowała. Ręce opuściła wzdłuż ciała. Na twarzy nie miała typowej dla siebie nienawiści. Zamiast niej Lora dostrzegła coś, co ją przeraziło.

Ciekawość.

– Co robisz? – zapytała surowym tonem.

Kiedy Castor otworzył oczy, Atena podeszła do prowizorycznych broni, które starannie ustawiła pod ścianą. Nowy bóg usiadł, żeby im się przyjrzeć.

– Przygotowuję się – odpowiedziała beztrząsowo bogini i sięgnęła po jeden ze sprzętów, w którym Lore, ku swojemu niezadowoleniu, rozpoznała dawny karnisz. – Czy wyszkolono cię do walki tego typu bronią? Nie pozwolę ci zhańbić się niekompetencją.

Castor prychnął, pocierając dłonią twarz.

– Jeszcze nie zdarzyło się, żeby Lore w czymkolwiek wykazała się niekompetencją.

– Odkładając na bok kwestie niekompetencji... – odezwała się dziewczyna. – Minęło już co najmniej tysiąc lat od czasów, kiedy noszenie tego typu gadżetów na ulicy uchodziło za społecznie akceptowalne.

– Nie opuścisz tego sanktuarium bez broni, która zapewni ci bezpieczeństwo – odpowiedziała Atena. – Przynajmniej dopóki nasze losy są ze sobą związane. Dlatego ponawiam pytanie: Czy wyszkolono cię do walki tego typu sprzętem?

To nie była zwykła włócznia – to była dory, broń używana przez starożytne armie greckie i jej najsłynniejszych wojowników. Grot w kształcie liścia Atena wykonała z kawałka metalu, jego ciężar zaś zrównoważyła metalowym kolcem zwanym zauroterem. Konstrukcja wydawała się nieco toporna, ale starannie wykonana. Lore nie miała wątpliwości, że w jej dłoniach okaże się równie trwała i zabójcza, co broń przygotowana przez doświadczonego kowala.

– Owszem – odpowiedziała, pozwalając nerwom odpłynąć wraz ze słowami. – Ćwiczyłam z taką bronią przez ponad sześć lat. Dam radę.

Atena spojrzała na nią oczami, w których płonęły dwa srebrne ogniki. Najwyraźniej przekonało ją to, co zobaczyła na twarzy Lore, gdyż podała jej dory.

Dziewczyna sprawdziła, w jaki sposób broń została wyważona. Nie spodobało jej się to, jak dobrze leżała jej w dłoniach.

– Z całą pewnością nie jest to dar zrodzony z kowadła Hefajstosa, ojca wielu wynalazków

– stwierdziła Atena. – Będę cię jednak trzymać za słowo.

– Mamy tak z tym paradować? – zapytał Castor, sięgając po dory, którą wcześniej otrzymał od Ateny i postawił tuż przy drzwiach. – I mówić wszystkim, że uprawiamy łowiectwo podwodne w Hudson?

W sumie nie był to taki zły pomysł...

– Chyba mam plan – powiedziała Lore. Być może szalenie głupi, ale mimo wszystko plan.

Zbiegła po schodach do piwnicy, przeskakując po dwa stopnie. Nagle zatrzymała się i cofnęła o krok. Uświadomiła sobie, że nie jest sama.

Miles z rękami na biodrach krążył wzdłuż wąskiej ścieżki ciągnącej się pomiędzy pudłami. Mamrotał coś do siebie pod nosem.

– Wszystko w porządku, stary? – zapytała.

Odwrocił się, niemalże strącając kilka tub.

– Co? Ach, przepraszam... Tak, to znaczy...

Zeskoczyła z ostatniego stopnia i spojrzała na niego z ukosa.

– Jesteś pewien, że chcesz pójść na to spotkanie? Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać.

– Tak! – zawołał, a potem ściszył głos. – Tak, nic mi nie jest. I wbrew temu, co sądzi Evander, nie zamierzam się rozmyślić.

– Nie pozwól, żeby namieszał ci w głowie – powiedziała Lore. – Choć w jednej kwestii ma rację. Od tej pory będzie się robić coraz bardziej niebezpiecznie. Nie masz nic do udowodnienia – ani jemu, ani mnie.

– Wiem – odparł. – I nie planuję wchodzić ci w drogę.

Pokręciła głową, czując ucisk w gardle.

– Nie o to mi chodzi. Po dzisiejszej akcji będziesz musiał się ulotnić. Odwiedzić rodziców albo wybrać się w podróż. Wyjechać z miasta. Obiecuję, że to zrobisz.

– Mogę obiecać ci jedno – stwierdził. – Nową miotłę. No dobrze, dwie rzeczy, bo będziemy jeszcze potrzebowali nowego mopa. Właściwie to również nowej wędki, tej z twojej szafy.

– Coś jeszcze? – zapytała zbolalym tonem.

– Obiecuję, że będę sprawdzał, co u ciebie – obiecał. – O ile znów zaczniesz udostępniać mi swoją lokalizację.

Skrzywiła się.

– Czułabym się obserwowana, a nie lubię tego.

Miles przytoczył stary argument:

– To kwestia bezpieczeństwa. Czekać, po co właściwie tu przyszłaś?

– Po to! – odpowiedziała, sięgając po nieużywaną kudłatą końcówkę mopa oraz woreczek z pierzastymi żółtymi rękawami do zmiotek do kurzu. – Widziałeś to pudło ze starymi szmatami, których Gil nie pozwolił mi wyrzucić?

– Tak, jest tutaj.

Po chwili ruszył za Lore na górę. Po drodze wyciągnął jej telefon z kieszeni.

– Jakie masz hasło? Skonfiguruję ci udostępnianie lokalizacji.

Posłała mu poirytowane spojrzenie, ale podała mu kod dostępu. Już na górze oddał jej aparat i przez chwilę obserwował – razem z Castorem i Ateną – jak Lore wsuwa grot jednej dory do rękawa od zmiotki, na drugiej zaś mocuje końcówkę mopa.

– Czy my... A co to niby jest? – zapytał Van, wszedłszy do pokoju.

Lore uniosła włócznię, prezentując ją dworskim ruchem ręki.

– Wrodzona pomysłowość. Gotowi?

Atena podsunęła sobie jeden z rękawów pod nos i powąchała, po czym ostrożnie dotknęła go językiem. Wykrzywiła się z obrzydzeniem.

– Z jakiego zwierzęcia to wycięto?

– Z Wielkiego Ptaka – odpowiedziała poważnym tonem Lore.

– Czy my... będziemy udawać ekipę sprząającą? – domyślił się Castor.

– Myślisz, że wiadro pomogłoby nam w osiągnięciu tego celu? – zapytała Lore i pochyliła się, żeby zawiązać kilka szmat na drugim końcu dory.

Atena podała broń Vanowi, on jednak pokręcił głową. Bogini wyraźnie zjeżyła się na jego odmowę.

– Spadam – oświadczył Miles. – Do zobaczenia za kilka godzin.

Van przesunął się, by zablokować mu drogę do drzwi.

– Nie spieprz tego – ostrzegł. – Potrzebuję tej wtyczki.

– Zejdź mi z drogi – warknął Miles i przecisnął się obok niego. Potem po raz ostatni zerknął w stronę Lore. – Nie zapomnij wysłać mi SMS-a – rzucił.

– Nie zapomnę – odpowiedziała. – Bądź ostrożny.

– I weź taryfę – rzucił Van.

– Oraz zapłacić gotówką – dokończył za niego Miles. – Wierz lub nie, ale załapałem koncept, kiedy wykładałeś mi go po raz pierwszy.

Uniósł rękę na pożegnanie, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Więc dokąd się wybieramy? – zapytał Castor Lore.

– Skrzyżowanie Broadwayu i Trzydziestej Szóstej – odpowiedziała. – Ruszajmy!

Kiedy wyszli na ulicę i zatrzymali taksówkę, spojrzała na dom. Na wypadek, gdyby miała nigdy więcej go nie zobaczyć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY



ODYSEIDZI POSIADALI NA MANHATTANIE TYLKO JEDNĄ POSIADŁOŚĆ NA TYLE DUŻĄ, żeby cały ród mógł się tam spotkać podczas Agonu. Był to stosunkowo nowy nabytek, kupiony w tym samym roku, w którym zamieszkała u nich Lore. Oczywiście nie wykluczała, że w międzyczasie go sprzedali.

Odpowiedź uzyskała, kiedy taksówka wioząca ją i Atenę zatrzymała się na skrzyżowaniu Trzydziestej Siódmej Ulicy i Szóstej Alei. Wystarczyło jedno spojrzenie na budynek znajdujący się przecnicę dalej na południe.

Ostrożnie zdjęły broń z kolan, ignorując spojrzenie, jakie taksówkarz posłał im we wstecznym lusterku. Atena rozejrzała się dookoła, szukając potencjalnych zagrożeń, po czym weszły do sąsiedniego budynku. Chwilę później podjechała taksówka Castora i Vana.

Posiadłość Odyseidów – Baron Hall – członkowie rodu nazywali Domem Itaki.

Ten charakterystyczny obiekt powstał w stylu antycznym, a dwie ściany z szarego piaskowca znajdujące się od strony ulicy ozdobiono kolumnami korynckimi. Poprzednio mieścił się tu bank, teraz zaś, w latach pomiędzy polowaniami, wynajmowano go jako przestrzeń eventową, co oczywiście stanowiło przykrywkę dla prawdziwej działalności jego właścicieli.

Obok wejścia od strony Szóstej Alei stał duży autobus z zaciemnionymi szybami. Z budynkiem łączył go namiot. Lore wyraźnie widziała, jak wewnątrz migają światła, zasłaniane i odsłaniane przez przechodzące osoby. Pojazd kołysał się, gdy stopniowo wypełniali go ludzie.

Castor stanął tuż obok Lore, niemalże opierając się plecami o ścianę.

– Co oni robią? – zapytał.

– Przenoszą coś? – strzeliła. – Albo ewakuują się?

– Co wiesz o tym budynku? – zapytał, podchodząc do nich, Van.

– Ma dwa wejścia, jedno od strony Szóstej Alei, drugie od strony Trzydziestej Szóstej Ulicy. Na każdej fasadzie znajduje się trochę niedużych okien – powiedziała. – Budowano go z przeznaczeniem na bank, więc przy projektowaniu uwzględniono kwestie bezpieczeństwa. Stąd jeden centralny hol z mniejszymi salonikami po bokach oraz skarbiec, który planowano przerobić na schron.

– Czy da się jakoś bezpiecznie zajrzeć do środka? – zapytała Atena. – Powinniśmy zbadać sytuację, zanim Evander w ogóle zbliży się do wejścia.

– U góry znajduje się duża szklana kopuła, z której jest widok na hol. Odyseidzi byliby jednak głupi, gdyby jej nie zasłonili – stwierdziła Lore. – Poza tym na pewno mają na górze łowców, którzy pilnują terenu.

Van zsunął z ramienia swój elegancki skórzany plecak i tak długo w nim szperał, aż wyciągnął miniaturową walizeczkę. Otworzył ją za pomocą przycisku.

Wewnątrz znajdowało się czarne urządzenie przypominające ptaka, niewiele większe od pięści Lore. Odłożył je na bok i sięgnął po telefon. Wprowadził najdłuższe hasło, jakie kiedykolwiek widziała, i uruchomił nieznaną jej aplikację. Przez chwilę przewijał zdjęcia kolejnych protez, aż w końcu wybrał jedną z nich, zmieniając układ palców sztucznej dłoni. Potem otworzył kolejny program. Nacisnął kilka przycisków i mechaniczny ptak ożył. Zaczął unosić się ponad futerałem.

Zdegustowana Atena odwróciła wzrok.

– No jasne. Mogłam się domyślić, że... technologia ma u ciebie pierwszeństwo przed sprytem i umiejętnością. To najgorszy wiek w historii ludzkości!

– Wszystko, co nie pochodzi od bogów, wydaje ci się bezwartościowe. – Lore wywróciła oczami. – A ja jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję. Sam go zaprojektowałem – odpowiedział Van i posłał drona na dach Baron Hall.

Kiedy jego kamera zaczęła transmitować obraz, Lore i Castor nachylili się nad ekranem. Znajdowali się tak blisko siebie, że dziewczyna wyraźnie czuła ciepło ciała przyjaciela.

– Naliczyłem trzech łowców. Bez masek.

Ciarki przeszły Lore po plecach.

– To bardzo niezwykle, znając ich tchórzliwość – stwierdziła Atena.

– Tak, to niecodzienne – potwierdził Van.

– I niezbyt pomocne – dodała Lore. – Choć może po prostu Odyseidzi nie chcieli, żeby mieszkańcy sąsiednich budynków widzieli ich w maskach.

– Albo wcale nie reprezentują Domu Odyseusza – uznała Atena.

Lore nie myliła się co do jednego. Odyseidzi ukryli szklaną kopułę pod betonową zasłoną.

– To drzwi? – zapytała.

– Tak wyglądają – stwierdził Van i podleciał bliżej.

W cementowej konstrukcji znajdował się niewielki właz. Zapewniał dostęp do światel zamontowanych pod kopułą. Zabezpieczono go panelem szyfrowym oraz pancernymi drzwiami.

– W żaden inny sposób nie da się zajrzeć do środka? – zapytał Van. – Czujnik na podczerwień powie nam co najwyżej, ile osób znajduje się wewnątrz. Nie będziemy wiedzieli, kim są.

Lore pokręciła głową. Wszystkie okna w budynku zabezpieczono i przyciemniono.

– No dobrze – powiedział Castor i podeszedł do szklanych drzwi sąsiedniego gmachu. Dotknięte przez niego klamki zaświeciły się, metalowe zamki zmiękły zaś do tego stopnia, że zdołał je otworzyć.

– Cas! – syknęła, ale on już zniknął za nimi.

– No nareszcie! – mruknęła Atena. Jej oczy zabłyśły chciwie i w kilku długich krokach znalazła się przy wejściu.

Budynek nie miał ochrony ani nawet wind. Wbiegli po schodach na samą górę i wpadli do położonego tam ciemnego pomieszczenia. Pograżone w cieniu manekiny i stojaki na suknie zaskoczyły Lore. No jasne – byli przecież w dzielnicy mody! To nie był obiekt mieszkalny. Powstał z myślą o pracowniach krawieckich i szwalniach, które w niedzielny wieczór były puste.

Castor przykucnął przy rzędzie okien wychodzących na dach Baron Hall.

Oba budynki były połączone, przyciśnięte bokiem do boku. Wystarczyłoby otworzyć okno i zeskoczyć z wysokości niespełna metra.

Lore schyliła się i podeszła do ostatniego z okien, które znajdowało się już poza zasięgiem wzroku łowców. Atena zajęła pozycję naprzeciwko niej i z nadąsaną miną strząsnęła pierzasty rękaw z ostrza dory.

– Jak zamierzamy to zrobić? – zapytała Lore, spoglądając na krążących w kółko łowców.

– Tak jak podczas gry w berka w Central Parku – odpowiedział Castor. Parsknęła na wspomnienie tej zabawy, choć zrozumiała, o co mu chodzi: trzeba zgromadzić łowców w jednym miejscu i następnie odwrócić ich uwagę. – Jeśli któryś z nich nas zauważy i przez radio poinformuje o tym pozostałych, to leżymy.

– Znasz może jakieś boskie sztuczki, które mogłyby nam pomóc? – zapytała go Lore. –

Jakieś hokus-pokus?

Van przycisnął kilka guzików w telefonie.

Castor i Lore odskoczyli od okien, gdyż łowcy – wciąż odziani w swoje czarne płaszcze – zbili się w grupę, wyraźnie zainteresowani widokiem ptasiego drona wyczyniającego w locie przedziwne, gniewne ewolucje.

Jeden z nich sięgnął do słuchawki przy uchu, aby zgłosić tę sytuację. Zanim zdążył to zrobić, dron zamarł w powietrzu i wystrzelił trzy rzutki, jedną po drugiej. Łowcy zachwiali się, a potem popadali na ziemię.

Atena spojrzała na Vana, który spokojnie przesunął palcem po ekranie telefonu, kierując drona w swoją stronę.

– Chociaż nie pochwalam wykorzystania tego sztucznego ptaka, to doceniam jego śmiertelność.

– Oni nie zginęli – odpowiedział. – Uśpiłem ich tylko na jakąś godzinę.

Castor przekręcił blokadę na ramie okna i otworzył je. Ptak z brzękiem wleciał do środka i wylądował na futerale.

– Masz tam jeszcze coś ciekawego? – zapytała Lore Vana, zaglądając mu do plecaka.

Uniósł brwi i wyciągnął niewielki sztylet.

Przeskoczyli na sąsiedni budynek i ruszyli przez dach, starając się stąpać po cichu. Lore ścisnęła dory tak mocno, że rozbolały ją palce. Kiedy Castor i Atena poszli rozwiązać problem wjazdu, zbliżyła się do nieprzytomnych łowców. Van podał jej kilka trytytek.

Stęknęła, przewracając jednego z mężczyzn na plecy. Podciągnęła mu rękaw płaszcza. Na jego przedramieniu dostrzegła tatuaż przedstawiający węża, jeden z symboli Kadmitów.

– Cholera – szepnęła.

Van zauważył symbol i odsłonił ramię drugiego łowcy. To samo.

A więc spóźnili się.

– Jesteś w środku – zawołał cicho Castor.

Lore spięła ręce i kostki strażników, po czym – z łomoczącym sercem – podniosła się na równe nogi. Kiedy się odwróciła, usłyszała cichy szum. Stłumione głosy i trzaski zakłóceń. Zsunęła najbliższemu z mężczyzn słuchawkę z ucha, oczyściła ją i wsunęła do własnego. Van poszedł w jej ślady, trzecią zaś schował do kieszeni.

Podeszli do towarzyszy stojących przy włączu, który teraz przypominał zgniecioną aluminiową puszkę. Lore zatrzymała się na jego widok, nie mogąc zrozumieć, co się stało – przecież zmiążdżenie jej wymagało czystej, brutalnej siły, co oznaczałoby, że...

Jej oczy powędrowały w stronę Ateny, która z ponurą miną i mocno zaciśniętymi ustami patrzyła przez masywną szklaną kopułę.

Centralną część Baron Hall stanowił okrągły hol – rozległe, wystawne pomieszczenie. Stare stanowiska kasjerskie przerobiono na bary, wliczając to pośrodku, bezpośrednio pod kopułą. Niebieskie, złote i zielone lampy kunsztownie rozjaśniały przestrzeń, jakby żaden z krążących po budynku Kadmitów nie odkrył jeszcze, jak włączyć główne górne światło.

Nie miało to jednak znaczenia. I tak Lore widziała wszystko.

Odyseidzi klęczeli ze związanymi rękami i głowami ukrytymi pod kapturami. Czekali, aż ktoś zawlecze ich do autobusu. Tymczasem Kadmici dzielili się ich rodową bronią, zapasami żywności i gotówki, wreszcie antykami, które ukryto w pozostałych częściach budynku.

Pośrodku stał Gniewny, zaciskając dłoń na szyi Strażnika Serc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY



GNIERNY WYDAWAŁ SIĘ LORE OGROMNY. TAK WYSOKI I TWARDY JAK KAMIENNE KOLUMNY otaczające pomieszczenie. Przerażał ją też jego spokój. Przecież był gotowy skrócić kark innemu bogu!

– Informator pomylił się co do terminu ataku – wyszeptał wyraźnie oszołomiony Van. – Albo w ostatniej chwili zmienili decyzję.

Lore nie zdawała sobie sprawy z tego, że ściska rękę Castora. Odwzajemnił uścisk, żeby ją uspokoić.

– Dlaczego fałszywy Afrodyta wciąż żyje? – zapytała cicho Atena. – Czemu jeszcze go nie zamordował?

Ciemna skóra Strażnika Serc błyszczała od potu lub krwi. Jego twarz, niegdyś naprawdę ładna, i to jeszcze przed osiągnięciem przez niego nieśmiertelności, teraz spuchła i była prawie nie do poznania. Szaty w kolorze kości słoniowej owinęły się wokół jego nóg, zgiętych pod nienaturalnym kątem, niezdolnych dłużej go podtrzymywać. Uległ Gniewnemu. Miał usta zaklejone taśmą, żeby nie mógł mówić – i tym samym użyć swojej siły perswazji wobec nowego boga. Nieopodal leżały fragmenty roztrzaskanej korony zdobionej perłami i bladoniebieskimi kamieniami.

– To wcale nie musi być trudne. – Głos Gniewnego rozległ się w słuchawkach, które zabrali łowcom. – Powiedz, jak otworzyć skarbiec, a pozwolę twoim ludziom żyć, o ile uznają moje przywództwo. Również i ty po nadejściu nowej ery będziesz mógł mi służyć.

Lore okrążyła kopułę, żeby zobaczyć, co dzieje się po przeciwnej stronie pomieszczenia. Potężne srebrne drzwi skarbca były szczelnie zamknięte. Zostały zaprojektowane tak, by przetrwać każdą próbę włamania, włącznie z użyciem ładunków wybuchowych.

– Podejrzewam, że wiersz znajduje się w schronie – powiedziała.

Gniewny dał znak jednemu z pobliskich Kadmitów.

– Znajdź to śmiertelne dziecko. Być może ono okaże się skuteczną formą nacisku.

Strażnik Serc wbił paznokcie w ręce Gniewnego, lecz niewiele tym osiągnął.

– Gdzie jest Iro, córka Iolasa? – zapytał łowca pilnowanych Odyseidów. – Jeśli boi się ujawnić, nie zasługuje na waszą ochronę. Tak jak i wy nie zasługujecie na cierpienie, które na was ściągnie.

Jego słowa były niczym nóż mający prześlizgnąć się pomiędzy żebrami i wbić w serce ich dumy. Lore przymknęła powieki. Czekala.

– To ja nią jestem!

Otworzyła oczy. Van spojrzał na nią zaskoczony, lecz pokręciła głową.

To nie był głos Iro.

– To jestem ja! – dodał inny.

– Ja jestem Iro! – rozległ się kolejny.

Gniewny odwrócił się, upuszczając Strażnika Serc na ziemię. Nowy bóg ledwo uniósł głowę. Nie był w stanie pełznąć.

– Co minutę zabijaj pięcioro z nich, dopóki się nie ujawni. Przyprowadź kolejne z autobusu, jeśli będziesz musiał.

– Gdzie jest Iro, córka Iolasa? – powtórzył pytanie łowca, krążąc wśród Odyseidów.
Kilkoro z nich z trudem panowało nad sobą, ale jeden z więźniów nie przejawiał strachu.
– Jestem Iro – powiedział męskim głosem.

Zginął jako pierwszy. Jego krew trysnęła na marmurową podłogę i spłynęła po zawziętych twarzach otaczających go łowców.

Gniewny pochylił się nad Strażnikiem Serc i odwrócił jego głowę w stronę zamordowanego, po czym przyspilił ją do ziemi stopą. Pochylił się do przodu, wzmacniając nacisk.

– Powiedz, jak otworzyć skarbiec. Ta informacja nie jest warta aż tak wielu ludzkich istnień. Nie chcesz przecież, żeby zapamiętali cię jako mazgaja i tchórza, który pozwolił im umrzeć.

Lore intensywnie myślała, próbując złapać strzępki wspomnienia, które stale jej się wymykało. Chodziło o skarbiec, a raczej o konstrukcję schronu. Lore i Iro włamały się kiedyś do biura archonta i przejrzały plany i dokumenty dotyczące tego pomieszczenia.

– Błagam! – wrzasnął kolejny łowca ciągnięty w stronę sterty trupów. – Proszę, nie!

Kadmici kpili z niego i szydzili. Jeden z nich przystawił nóż do gardła przerażonego mężczyzny.

– Czyżbyśmy mieli tu kogoś, kto chciałby służyć nowemu panu?

– Tak! – zawołał tak głośno, że otaczający go Odyseidzi prychnęli. – Tak... Ta dziewczyna, Iro, jest w skarbcu!

Castor spojrzał na Lore. Potrząsnęła głową, coraz bardziej przerażona.

Ale było przecież coś...

– Może jeśli ojciec nic nam nie powie, to zdecyduje się na to jego córka – stwierdził Gniewny, podchodząc do leżącego na ziemi Strażnika Serc. Po drodze spojrzał za siebie. – Jego też zabij.

– Ale... mój panie... – załkał łowca Odyseidów.

Jego krzyk zagrzmiał w słuchawce, wbijając się w ucho Lore.

– Nigdy nie lubiłem zdrajców – oświadczył nowy Ares i odwrócił się, zanim głowa mężczyzny spadła z jego szyi.

Podszedł do skarbcza i uniósł rękę, żeby dla żartu zapukać.

– Może chciałabyś do nas dołączyć, dziecko? Nie wyobrażam sobie, żebyś z przyjemnością obserwowала, jak z twojego ojca wraz z krwią uchodzi życie i jak odchodzą pozostali mieszkańcy Domu Odyseusza. Nieprzyjemnie jest być ostatnią z rodu.

Wspomnienie powróciło do Lore w mgnieniu oka. Inne wejście.

– Skarbiec ma drugie wejście – szepnęła.

– Jesteś pewna? – zapytał Castor.

Pokiwała głową.

– Widziałam plany, kiedy mieszkałam tu z Odyseidami. Iro twierdziła, że ma umożliwić jej ojcu ucieczkę. Większość schronów posiada tylko jedno wejście i dlatego wróg nie będzie szukał drugiego.

– Pamiętasz, gdzie się znajduje? – odezwał się Van.

Zawahała się, po czym kiwnęła głową.

– To tunel połączony ze sklepem położonym, jak sądzę, przy Trzydziestej Dziewiątej.

– A zatem nadal możemy zabić Gniewnego i uratować tę dziewczynę razem z wiedzą, jaką posiada o wierszu. Być może nawet zdołamy ocalić fałszywego boga i pozostałych Odyseidów – oświadczyła Atena. – Zaskoczenie będzie naszym sprzymierzeńcem, ale kluczowe wydaje się wybranie właściwego momentu.

Lore spojrzała w dół. Gniewny wciąż stał w pobliżu wejścia do skarbca.

Przez cztery lata ufała jedynie Iro i jednocześnie była jej jedyną prawdziwą przyjaciółką. Ród Odyseidów walczył wówczas o przychyłność jej boskiego ojca, więc nieraz porozumiewały się tym cichym, tajemnym językiem żalu, jaki pojawia się po utracie wszystkich bliskich osób.

Wtedy jeszcze ubóstwiała Iro. Podziwiała ją zwłaszcza za to, jak idealna i spokojna wydawała się w tak niepewnej sytuacji, w jakiej się znalazła. Lore sama miała wrażenie, że emocje nie mieszczą się w jej ciele. Z wyjątkiem tej ostatniej nocy, zawsze chroniły się nawzajem. Wiedziała, że Iro upierała się przy treningach z nią dlatego, że chciała, by Lore traktowano jak służącą pracującą w posiadłości.

Porzucenie jej było dla Lore jedną z najboleśniejszych decyzji w życiu. Nie zrobiłaby tego ponownie.

Iro, pomyślała. Wytrzymaj jeszcze chwilę...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY



VAN POSZEDŁ DO ODYSEIDÓW UWIEŻZIONYCH W AUTOBUSIE. Lore nie spodobał się ten pomysł – wiedziała, że potrafił się bronić bądź dzięki sprytniej gadce wybrnąć z kłopotów, ale nie miał przecież pojęcia, na ilu Kadmitów się tam natknie i do czego się posuną, żeby upilnować więźniów.

Tylko nie daj się zabić, pomyślała. Proszę, nie zgiń tam.

Sięgnęła do ucha, poprawiając słuchawkę. Słyszała głównie trzaski przerwane kilkoma nieregularnymi meldunkami od łowców, którzy pilnowali pobliskich budynków.

– Czysto, żadnego ruchu na ulicy...

– Chce, żebyśmy poszukali tej dziewczyny w autobusie...

– Cholera – mruknęła, spoglądając po raz setny w ciąg ostatnich pięciu minut na ekran swojej komórki. – Ruszaj się, Van...

Nie potrzebowała więcej dowodów na to, że posłaniec zawsze pracował sam. Zresztą mogła się tego domyślić. W końcu w plecaku nosił nowoczesnego drona, a nie gadżet, który pozwoliłby mu swobodnie komunikować się z nią i Castorem czekającym na dachu, gotowym zaatakować, gdyby Gniewny znalazł Iro, zanim udałoby się to Lore. Van ograniczył się do sprezentowania mu taniego prepaida z opcją trójstronnej rozmowy.

– Jesteś pewna, że tam jest to wejście? – zapytała szeptem Atena.

Lore spojrzała wzdłuż Trzydziestej Dziewiętej i ponownie przyjrzała się zakładowi szewskiemu. Gorączkowo przeszukały okolicę, zanim Lore wypatrzyła tę pustą witrynę.

Komercyjne nieruchomości na Manhattanie nie pozostawały wolne zbyt długo, więc obstawiała właśnie ten lokal. I to zanim jeszcze zobaczyła niewielką lambdę narysowaną przy tablicy pamiątkowej umieszczonej tuż obok drzwi. Odyseidzi używali jej jako znaku rozpoznawczego – stanowiła pierwszą literę słowa „Laertides”, które było patronimicznym nazwiskiem Odyseusza i oznaczało „syn Laertes’a”.

Teraz, przykucnięte za rzędem zaparkowanych samochodów, czekały na sygnał. Nadszedł wcześniej, niż Lore się spodziewała.

– Wchodzimy – odezwał się nagle Van. – Zbliżam się...

Lore westchnęła gwałtownie.

– Nasza kolej – powiedziała do Ateny.

Przemknęły przez ulicę i zajęły pozycje po obu stronach opuszczonego warsztatu. Okna i drzwi zaklejono papierem, żeby zasłonić wnętrze. Lore sięgnęła po dory Ateny, która pochyliła się i zerwała kłódkę blokującą metalową roletę antywłamaniową.

Kiedy roleta ze szczykiem uniosła się, bogini zajęła się drzwiami. Zamek po chwili puścił.

W środku Lore pozbyła się jakichkolwiek wątpliwości. Lokal był pusty, nie licząc kilku pudeł z zapasami i wodą, najwyraźniej przygotowanych na nagłe wypadki.

– Tędy – powiedziała, wskazując pomieszczenie na tyłach warsztatu, które przypominało magazyn. Tam, pod włazem zasłoniętym gumową matą, znajdowały się schody.

Lore sięgnęła po telefon, żeby oświetlić sobie zejście. Niepotrzebnie. Minęły ukryty czujnik i kilka światel zamigotało, rozjaśniając prymitywny tunel ciągnący się pod sąsiednimi

budynkami i ulicami.

– Sprytne – pochwaliła Atena.

– Jeszcze zobaczymy – szepnęła Lore.

Van musiał wyciszyć telefon przed wejściem do autobusu, bo to Castor poinformował ich o sytuacji na górze.

– Van dostał się do środka... wygląda, jakby... odjeżdżali...

Kolejne słowa zagłuszyły trzaski, które ucichły, gdy połączenie zostało przerwane.

– Co się dzieje? – zapytała Atena z czujnym wyrazem twarzy.

– Nie mam tu zasięgu – odpowiedziała Lore i ruszyła do przodu.

Blask telefonu oświetlał ściany tunelu, towarzysząc im w drodze. Korytarz nieznacznie się wznosił, wyprowadzając je z najgłębszej części podziemnego przejścia. Przed nimi zamigotały kolejne światła, odsłaniając potężne srebrne drzwi.

Kiedy znalazły się tuż obok nich, słuchawka Lore zaczęła wyłapywać fragmenty wykrzykiwanych meldunków.

– Co się tam u licha dzieje?

– ...kieruje się na zachód Trzydziestą Szóstą...

– ...po motocykle...

– Kyrios, Dorian, z góry nic nie było widać?

– Nic nie widzieliśmy, dopóki autobus nie odjechał – odpowiedział zbolący głos. – Jeden z nich musiał się uwolnić.

– Zdołasz je otworzyć? – zapytała Lore, próbując wybrać numer Vana.

Połączenie jednak wciąż się urywało. Nawet głosy w słuchawce stały się nierozpoznawalne, gdyż łowcy przekrzykiwali się nawzajem.

– Iro? – spróbowała zawołać przez drzwi. – Słyszysz mnie? Tu Lore!

Atena pomacała krawędzie niemal idealnie płaskich drzwi, po czym cofnęła się, unosząc pięść. Lore odskoczyła, kiedy bogini uderzyła dłonią w sam ich środek. Skóra na jej kłykciach pękła, pozostawiając na metalu plamę krwi. Mimo to ponownie wyprowadziła cios.

– Zostały wzmocnione. Ponoć wytrzymają wybuch bomby. Nie zdołasz się przebić w ten sposób – ostrzegła ją Lore.

Ale Atena nie potrzebowała się przebijać przez drzwi. Wystarczyło, że wgniotła ich centralną część. U spodu, pomiędzy ziemią a ich dolną częścią, powstała szpara. Bogini wsunęła w nią palce i zadrżała z wysiłku, próbując je wygiąć.

– Iro! – zawołała Lore. – Chodź tutaj!

W środku nikogo już nie było. Iro zdecydowała się otworzyć schron.

Adrenalina wystrzeliła w organizmie Lore, doprowadzając jej puls do szaleństwa. Dziewczyna wczołgała się pod drzwiami do wnętrza bunkra. Tuż przed sobą zobaczyła główny hol.

I śmierć.

Kadmici byli zbyt skupieni na sobie, żeby je zauważyć. Uderzali się pięściami w piersi i ryzeli, podczas gdy Gniewny nachylił ucho w stronę młodej kobiety w stroju łowcy. Jedną ręką trzymał Strażnika Serc za głowę, a drugą przyciskał mu nóż do gardła.

Iro wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętała ją Lore – ciemne, kręcone włosy spięta w niewielki kok, odsłaniając sieć siniaków i świeżych nacięć zdobiących twarz i szyję. Jej brązowa skóra pobraźniała i nawet kiedy poruszała ustami, jej szorstkiej urody ciało wyrażało krańcową pogardę.

To była ostatnia rzecz, jaką Lore zobaczyła, zanim świat eksplodował.

Szklana kopuła pękła, kiedy Castor wypuścił pocisk ciepła i światła, posyłając deszcz

szkła i metalu na zgromadzonych poniżej Kadmitów.

– Nie! – ryknęła Atena.

Lore wiedziała, że Castor czekał tak długo, jak to było możliwe, choć do pewnego stopnia podzielała frustrację bogini. Jego atak pewnie ułatwi im uratowanie Iro, czego rozpaczliwie pragnęła, ale też daje Gniewnemu szansę na wycofanie się i może pozbawić Atenę możliwości zabicia go.

Wciąż możemy zrobić jedno i drugie, pomyślała. Musimy tylko szybciej działać...

Atena pochyliła głowę i rzuciła się do walki z przeraźliwym okrzykiem. Nie na długo, gdyż uderzenie pocisku Castora odrzuciło ją do tyłu.

Krzyki wypełniły pomieszczenie. Kadmici przewracali się na ziemię, podziurawieni szkłem i odłamkami, inni uciekali, ale niedaleko – moc Castora trzaskała, wiła się przy ziemi, strzelając niczym błyskawica. Złapał ich w swoje sidła.

Lore potknęła się, osłaniając oczy. Szukała Gniewnego i Iro. Nagle betonowa, kryta płytkami podłoga zawaliła się, ściągając uciekających łowców na niższe piętro budynku. Dosłownie rozplynęli się w ciemnościach i dymie.

– Gdzie on jest?! – zawyła Atena.

Czterech Kadmitów ruszyło w jej stronę z uniesionymi wysoko mieczami, ona jednak okazała się szybsza. Rozcięła za pomocą dory ich klatki piersiowe. Lore wciąż zmagала się z falami rozpalonego podmuchu mocy Castora. Nagle przez ścianę dymu dostrzegła sylwetkę Gniewnego.

Łowca zaatakował ją, ale uchyliła się, unikając jego ostrza. Ostry ból przeszył jej ramię, gdyż miecz niemalże rozorał jej szyję. Przeciwnik odwrócił się i zniknął, pochłonięty przez wirującą chmurę popiołów.

Lore zapomniała o nim, kiedy tylko usłyszała przerażony głos Iro.

– Tato!

– Tutaj! – zawołała do Ateny. Bogini przebijając się przez mur Kadmitów. W oczach miała ogień, na twarzy zaś przyjemność czerpaną z walki. – Są tutaj!

Lore przeciągnęła dory po nogach jednego z łowców, przewracając go na nitkę płonącej mocy. Odkasznęła, pozbywając się dymu z płuc, i ruszyła do przodu.

– Iro! – zawołała. – Iro!

Ale to zszokowany głos Strażnika Serc dotarł do niej jako pierwszy.

– Nie patrz, Iro. Nie...

Iro zaczął krzyczeć.

Zanim Lore do niej doskoczyła, ciało Strażnika Serc znalazło się u jej stóp, z torsem rozłupanym na pół. Zsztywniała z przerażenia dziewczyna uklękła i sięgnęła drżącymi dłońmi do jego twarzy.

Gniewnego nigdzie nie było widać.

Moc Castora słabła, pozostawiając po sobie pożary. Posłał jeszcze kilka ostatnich, wściekłych smagnień. Lore uniosła głowę, próbując dostrzec coś za snującym się dymem i wypalonym szkieletem kopuły. Przetoczyła się przez nią kolejna fala strachu. Castor mógł zaniechać ataku tylko z jednego powodu – znalazł się w niebezpieczeństwie. Kadmici musieli dotrzeć na dach!

– Gdzie jesteś, bogobójco? – wołała Atena wśród otaczającego ich mrocznego chaosu. – Stań do walki, tchórze!

Lore objęła rękami Iro i odciągnęła do tyłu.

– To ja, Lore! Musimy się stąd wydostać! Uciekajmy, Iro!

Dziewczyna wyrwała się jej z objęć i odwróciła. Błyskawicznie przechwyciła dory z rąk

Lore i skierowała grot w stronę jej szyi.

Lore dokładnie widziała, kiedy pierwszy szok minął i przyjaciółka ją rozpoznała.

Zadrżała, ale wytrzymała jej spojrzenie. Pod lewym okiem miała siniaka, jej skórę pokrywał pot wymieszany z brudem. Szeroko otwarte oczy nabiegły krwią, tętnice szyjne pulsowały zaś niczym u zaszczutego zwierzęcia.

– Nie możesz tutaj być! Musisz stąd uciekać! On nie może cię zobaczyć!

Atena doskoczyła do niej od tyłu, rozganiając dym i żar. Bez słowa uderzyła ją drzewcem dory w głowę i Iro osunęła się w ramiona Lore.

– Uzurpator uciekł – powiedziała wyraźnie poirytowana. – A teraz nasza kolej. Gdyby fałszywy Apollo potrafił kontrolować swoją moc, zdołałby go zatrzymać. Celowo czy nie, sabotował nasze wysiłki.

– To nieprawda...

Bogini ruszyła w stronę dawnego skarbcza, przeskakując nad ciałami i zwalami gruzu. Lore uklękła i przerzuciła sobie Iro przez ramię. Stłumiła okrzyk bólu, który chciał się jej wyrwać, kiedy tylko poczuła na sobie ciężar dziewczyny. Na szczęście znikł, kiedy zaczęła biec.

Dotarła do schronu i poczuła nacisk u podstawy szyi. Odwróciła się.

Gniewny pojawił się wśród gruzów i kłębow gęstego dymu. Szedł w jej stronę powolnym, miarowym krokiem. Był coraz bliżej i bliżej.

Jej ręka znalazła panel bezpieczeństwa i zatrzymała się.

Lore przypomniła sobie, po co tu przybyli. Zapomniała o ciężarze Iro i paleniu w płucach. Nie zawołała Ateny. Nie była w stanie się odezwać, czując zimne ręce przerażenia zaciskające się na jej szyi.

Gdzieś za plecami Gniewnego Kadmici przegrupowywali się. Zbijali się w grupy jak cienie.

Bogini musiała uświadomić sobie, że Lore się zgubiła, bo zawróciła. Kiedy zobaczyła swojego najgroźniejszego przeciwnika, sięgnęła po miecz Iro i cisnęła nim z całych sił. Gniewny przechylił głowę, pozwalając, żeby ostrze musnęło jego policzek, gdy przecięło powietrze tuż obok.

Aristos Kadmou tak długo był potworem krążącym po labiryncie jej umysłu, że Lore potrafiła niemal idealnie odtworzyć sobie w myślach jego pokrytą bliznami twarz oraz szorstkie, ciemne włosy przyprószone siwizną. Teraz wyglądał młodziej, niż go zapamiętała. Zupełnie jakby nieśmiertelność ujęła mu paru dekad.

Dostrzegła jednak ślady obecności jego dawnego wcielenia – niskie, krzaczaste brwi, skórę o oliwkowym kolorze, twarz przypominającą oszlifowany diament.

Pomimo wirującego wokół ognia jego złote oczy napotkały jej wzrok. Uśmiechnął się.

Znalazłem cię.

Lore uderzyła pięścią w panel bezpieczeństwa i drzwi schronu się zamknęły.

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ



OJCIEC NIE POWIEDZIAŁ JEJ, DOKĄD SZLI.

Lore posłusznie niosła otrzymaną od mamy paczuszkę. Dreptała za tatą krok w krok. Mężczyzna na co dzień uwielbiał żartować, jednak tego poranka nie zaśmiał się ani razu i prawie w ogóle nie rozmawiał z mamą. Łopatki wyginały mu się niczym skrzydła osy i dziewczynka obawiała się, że kiedy zapyta go o cel wycieczki, ojciec użądli ją jakimś ostrym słowem.

Nie podobało jej się to. Ani trochę.

Sierpień wydobył na powierzchnię sekretne życie miasta. Lore ostrożnie omijała niewielkie kwiatki i żdźbła trawy przeciskające się przez szczeliny w chodniku. Uśmiechała się do ptaków ukrytych w koronach drzew rosnących wzdłuż ulicy, które witały ją śpiewem na każdym kroku.

Choć była starsza i wyższa, wciąż postrzegała tatę tak samo jak kiedyś. Wydawał się taki duży i silny jak budynki w centrum miasta, wrzynające się w niebo niczym błyszczące szklane noże.

Stawiał długie kroki. Przyspieszyła, próbując dotrzymać mu tempa, jednak wkrótce i tak musiał się zatrzymać, żeby na nią zaczekać. Kiedy go dogoniła, wsunął jej dłoń za plecy i objął ją ramieniem. Odprężyła się.

– Powiedz mi – odezwał się z lekkością w głosie. – Jak miewa się ten twój Castor?

Słońce świeciło gdzieś za nim, więc nie widziała jego twarzy.

– To nie jest m ó j Castor – zaprotestowała. – To mój hetaïros.

– Ach – stwierdził niewinnym tonem. – Sam nigdy nie miałem hetaïrosa. Jedyne ojca. Czy z hetaïrosem można się spotykać poza salą treningową, czy też wyłącznie w Domu Tetydy?

Zagryzła wewnątrz ust tak mocno, że poczuła metaliczny smak krwi.

Regularnie widywała się z Castorem poza miejscem ćwiczeń, chociażby wtedy, kiedy ich klasa nie miała lekcji albo zwalniano ich nieco wcześniej. Nie wspominała o tym ani rodzicom, ani też swojej opiekunce, pani Osbourne.

Lore cieszyła się, że ma młodsze siostry. Być może ukradły jej stary koc i króliczka Króliczka, ale też skupiały na sobie uwagę niani.

– Castor coraz więcej czasu spędza z uzdrowicielką Kallias – odpowiedziała, próbując zabrzmieć, jakby była rozczarowana. Wiedziała, że pewnego dnia jej przyjaciel zostanie najlepszym uzdrowicielem wśród Achillesydów i nie będzie miał dla niej czasu, jednak na razie nie zamierzała ćwiczyć z żadną z osób, które również straciły partnerów, najczęściej na rzecz archiwów czy warsztatów kowalskich. – Podejrzewam, że nie miałabym nic przeciwko spotykaniu się z Castorem poza szkołą...

– Poza szkołą, czyli na przykład w Central Parku, gdzie pojechałaś w zeszły wtorek?

Lore zwolniła, a w jej przerażonej głowie pojawiły się pierwsze wymówki. Mogła powiedzieć, że wracała inną drogą z powodu korków albo robót budowlanych...

– Nie, nie! – rzucił ojciec. – Kłamstwa nie naprawisz innym kłamstwem.

Otworzyła usta, po czym ponownie je zamknęła.

– Obiecaj mi, że nigdy więcej nie pójdziesz tam bez kogoś dorosłego – dodał.

Skrzywiła się, ale tylko do momentu, w którym dostrzegła ostrzegawcze spojrzenie taty.

– Ale dlaczego? – zapytała zdeorientowana.

– Bo ja tak powiedziałem, Melora – stwierdził. – Poza tym to niebezpieczne.

Szczęka opadła jej niemalże do ziemi. Niebezpieczne? Wczoraj instruktor pokazał jej, pomiędzy które żebra wbić ostrze, żeby dosięgnęło serca. Rano przeciwoczyła ten sztych przed lustrem w łazience.

– Nic mi się nie stanie, tato. Zawsze mam przy sobie nóż.

Ojciec ponownie się zatrzymał i głęboko westchnął. Zrobił minę, której Lore nie zrozumiała. Na jego twarzy nie malował się strach – wyglądał raczej, jakby córka zadała mu cios w brzuch, po którym próbował się utrzymać się na nogach. Milczał przez dłużą chwilę.

– Przepraszam? – szepnęła. Zazwyczaj właśnie tego słowa od niej oczekiwał.

Otrząsnął się z zadumy i chwycił jej dłoń.

– Co ci mówiłem o nożu?

– Że mogę go używać wyłącznie w Domu Tetydy bądź u nas – odpowiedziała posłusznie. Uważała to za głupotę, w końcu wszyscy łowcy sięgali czasami po broń, nawet pomiędzy polowaniami.

Jej słowa go nie uszczęśliwiły. Spojrzał po mijających ich ludziach, zamyślonych bądź wpatrzonych w telefony. Potem przeszedł na język starożytni.

– Nierodowici nie akceptują tego. Jeśli złapią cię z taką bronią, stracimy cię.

– Ale mam przecież prawo się bronić – wyrzuciła z siebie. – Jestem najlepsza w całej grupie. Instruktor nazywa mnie spartanką i...

– Nawet spartanie nie zawsze byli spartanami, Meloro – wyjaśnił.

Lore cofnęła się, żeby nie mógł jej dosięgnąć. Przytuliła do siebie paczkę. Myśli coraz bardziej jej się plątały.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Przyklęknał i spojrzał jej prosto w oczy.

– Czasami zapamiętujemy nie prawdę, lecz bajkę, w którą wszyscy chcemy wierzyć. Legendy z reguły kłamią. Wygładzają niedoskonałości, żeby uczynić historię atrakcyjniejszą lub skuteczniej wyjaśnić nam, jak powinniśmy się zachowywać. Kiedy indziej budują pomniki zwycięzcom i zawstydzają tych, którzy się zawahali. W starożytnej Sparcie pewnie niektórzy żyli tak, jak to opowiadają mity. Być może. Ale to, jak nas zapamiętają, jest znacznie mniej istotne od tego, jak naprawdę żyjemy. Tu i teraz.

Serce Lore zaczęło szybciej bić. Ścisnęła paczkę tak mocno, że pogięła brązowy papier.

– Ale nasze legendy są prawdziwe. Nasi przodkowie, bogowie...

– Jeśli gdzieś kiedyś żyli prawdziwi bohaterowie, to wyginęli – stwierdził ojciec i się podniósł. – Zostały tylko potwory. Twoja odwaga zawsze mi imponowała, chrysaphenia mou¹³. I choć niektóre potwory przestraszą się jej, to na ich miejsce pojawią się inne, większe bestie, które z przyjemnością rzucą się za tobą w pogoń. Rozumiesz mnie?

Nie odpowiadała. Poczula gniewny warkot w klatce piersiowej, wściekły i kąśliwy. Dałaby radę każdemu, kto próbowałby ją skrzywdzić. Być może potwory miały kły, ale dwice miały pazury.

– Czy mnie rozumiesz? – powtórzył ojciec, tym razem nieco ostrzejszym tonem.

– Tak, tato – odpowiedziała markotnie.

– Ojciec Castora jest moim znajomym – dodał. – Poproszę go, żeby wyznaczył wam terminy spotkań pozaszkolnych. Jeśli będzie trzeba, zapytam również Philipa o zgodę. Ale... musisz mi obiecać, że się do tego z Castorem dostosujecie.

– Obiecuję – odpowiedziała, po czym dodała w myślach: *być ostrożniejszą niż przedtem*.

Znów ruszyli, dołączając do tłumu przemierzającego miasto. Lore starała się trzymać

blisko ojca i unikać potrącenia przez grupy szkolne maszerujące Piątą Aleją. Czasami zerkła znacząco na te dzieciaki. Nie były takie jak ona.

– Twoja siostra wkrótce pojawi się na zajęciach w Domu Tetydy. Co ty na to?

Wzruszyła ramionami. Nie potrafiła wyobrazić sobie Olympii z jej szeroko otwartymi oczami i paluszkami wiecznie umorusanymi farbą, przyjmującą ciosy kijami od szkolnych kolegów. Na samą myśl o tym jej klatka piersiowa zawarczała. Lore nie miała pojęcia dlaczego.

– Co przygotujemy na jej urodziny? – zapytał ojciec, przechodząc ponownie na angielski.

Znów wzruszyła ramionami. Wiedziała już, co podaruje siostrze – obietnicę, że będzie słała ich łóżko i codziennie zaplatała jej warkocze aż do dnia, kiedy jesienne wiatry ostatecznie zmiotą letnie dni.

– Film? – zaryzykowała. Ojciec nie przepadał za kinem, ale może ten jeden raz...

– Piknik? – odpowiedział sugestią.

– Wizytę w zoo w Central Parku? – zaproponowała.

Wymieniali się pomysłami, aż skończyły im się aktywności, których sami próbowali. Wkrótce zaczęli przerzucać się koncepcjami niemożliwymi do zrealizowania.

– Wycieczka na Księżyc? – zaczęła Lore.

– Taniec ze skrzydlatymi końmi?

Dziewczynka poprawiła niesioną przez siebie paczkę. Nie była ciężka, jednak dobiegający z niej brzdęk wzbudził w niej ciekawość.

– Spacer do miejsca, do którego zmierzamy? – zasugerowała niewinnie.

Kącik ust jej ojca drgnął, ale zaraz mężczyzna zacisnął wargi.

– Nie, chrysaphenia mou – powiedział i spojrzał w przestrzeń. – Tam jej nie zabierzemy. To miejsce pełne potworów.



Lore nie знаła tej restauracji. Nawet nie sądziła, że knajpka jest otwarta, w końcu przywitały ich opuszczone rolety i zamknięte drzwi. Spojrzała na nazwisko widniejące na większym z dwóch okien. *Fenicjanin*.

Westchnęła.

– Nie odzywaj się – szepnął ojciec i wyjął paczkę z jej rąk. – Pamiętasz, czego cię uczyłem o zachowaniu w gościach? Kadmici zaprosili nas w geście dobrej woli. Stawką jest pokój...

Lore się wzdrygnęła.

– Nie oni, tato... Przecież zabili...

– Melora – przerwał jej ostrym tonem. – Naprawdę myślisz, że zapomniałem? Jesteśmy teraz sami na tym świecie. Została tylko nasza piątka. Ród twojej matki nie wesprze nas podczas następnego Agonu, podobnie jak Achillesydz i Tezeusydz. Wszyscy z przyjemnością obserwowaliby, jak ostatni z rodu Perseusza odchodzą z tego świata. Dlatego potrzebujemy sojuszników.

Wciągnęła powietrze przez nos i wstrzymała oddech, starając się w ten sposób zachować milczenie.

– Aristos Kadmou, archont ich rodu, osobiście do mnie napisał. Poprosił, żebym przyszedł do nich z moją najstarszą córką – stwierdził. – Nie mogłem odmówić, gdyż potraktowałoby to jako zniewagę. A zlekceważeni nie okazują łaskawości.

Lore gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

– Ale, tato...

– Jeśli chcemy mieć jakąkolwiek przyszłość, musimy odciąć się od przeszłości – wyjaśnił. – Nie martw się. Będę przy tobie. Jesteśmy tu obcy, więc Zeus Ksenios będzie nas chronił.

Tak jak chronił resztę naszego rodu? Lore była zaskoczona swoim złośliwym nastawieniem. Jasne, że Zeus będzie ich chronił. Wybrał ich przecież na swoich łowców.

Jej rodzina nie przypominała innych rodów. Ale co innego trenować z domem potężnego Achillesa, a co innego pójść do najgorszego wroga Perseidów po broń, tarcze i informacje. Nie podobało jej się to. Perseusz okazał się przecież znacznie większym bohaterem od Kadmosa.

Jej ojciec uniósł dłonie i zapukał.

– Kogo tutaj niesie? – odezwał się głos zza drzwi w pradawnym języku.

– Jestem Demos, syn Demostenesa. Towarzyszy mi moja córka Melora z Perseidów – odpowiedział. – Przybywamy na prośbę archonta Kadmitów.

Zamek szczękął. Lore złapała dół starej skórzanej kurtki ojca, ale zaraz cofnęła się i wyprostowała. Nie była już małą dziewczynką. Nie chowała się przed nikim.

Drzwi otworzyła im kobieta o siwych włosach i zniszczonej skórze. Po chwili starannie zamknęła je za nimi.

W restauracji panował półmrok, jedynie przez rolety sączyło się przytłumione światło słoneczne. Sam lokal był mniejszy, niż Lore się spodziewała, i żeby wygospodarować dodatkowe miejsce, wszystkie stoły i krzesła zepchnięto pod ścianę i ustawiono jedno na drugim. Zebrani Kadmici ustawili się w dwóch szeregach, tworząc wąski korytarz. Posykiwali i uśmiechali się kpiąco, kiedy Lore wraz z ojcem przechodzili obok nich.

Odważnie zerkąła na nich. Łowca nigdy nie okazywał strachu na oczach innego łowcy, o ile pragnął szacunku.

W powietrzu unosiły się znajome zapachy – oregano i czosnku, pieczonego mięsa, natłuszczonej skóry, zwłok. W tylnej części restauracji na niewielkim podwyższeniu będącym niegdyś sceną siedział mężczyzna w średnim wieku, z ciemnymi włosami przeczesanymi srebrem.

Gdy się zbliżyli, oparł się o tron. Do zbicia go wycięto stare, rozłożyste drzewo. Wzrok Lore przyciągnęły rzeźbione smoki wyrastające z obu stron oparcia, odstraszające każdego, kto miałby ochotę podejść zbyt blisko.

Mężczyzna przypominał dziewczynce Hadesa pilnującego królestwo umarłych.

U jego stóp siedział chłopiec mniej więcej w wieku Lore. Miał podobny strój co mężczyzna – mroczną jedwabną tunikę, ciemne spodnie, ciemne buty i takiż uśmiech. Patrzył na Lore z pogardą niczym na psa, którego odgania się kopnięciem.

– Witaj, Demosie z Perseidów – powiedział mężczyzna. – Cieszę się, że przyjąłeś nasze zaproszenie.

Lore знаła wiele historii o Aristosie Kadmou. O jego zmarłych żonach. O tym, jak prawie udało mu się zabić Artemidę. O jego bezwzględności w dążeniu do awansu w hierarchii własnego rodu. Jego twarz opowiadała je wszystkie. Za sprawą głębokich bruzd i szerokich blizn wyglądała, jakby została wyrzeźbiona z tego samego drewna co tron.

Lore słyszała, że był zaledwie o dziesięć lat starszy od jej taty. Podejrzewała jednak, że z powodu mrocznej duszy gnił od środka nawet szybciej niż Kronos.

– Dziękuję za zaproszenie nas – odrzekł jej ojciec. – Czy mogę przedstawić ci moją córkę, Melorę?

Spojrzała gniewnie.

– Witaj, Meloro. – Aristos Kadmou uśmiechnął się lekko.

– Moja żona przesyła prezent – kontynuował tata i wzniosł paczkę.

Mężczyzna skinął głową na chłopca, który wstał poirytowany i podszedł do nich. To on otworzył paczkę i uniósł dwa słoiki z miodem.

Lore wzdygnęła się na ich widok. Jej matka hodowała pszczoły na dachu ich domu i sprzedawała miód na jednym z miejskich targowisk. Stanowił dla nich płynne złoto, ale chłopiec, Belen, na jego widok zmarszczył tylko swój świński nose.

– Po co nam to? – zakpił. – Miód możemy sobie kupić za kilka dolarów w sklepie.

Lore momentalnie poczerwieniała i tylko leżąc na jej ramieniu dłoń ojca powstrzymała ją od podrapania chłopakowi twarzy.

– Spokojnie, Belen – odpowiedział Aristos, posyłając chłopcu spojrzenie dalekie od karcącego. – Wszystkie ofiary, nawet te... najskromniejsze, są mile widziane.

Rozległ się stłumiony śmiech.

Lore poczuła, jak ciało ojca sztywnieje. Jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu i choć wciąż pochylał głowę, z trudem panował nad wyrazem twarzy.

Aristos pstryknął palcami na jedną z kobiet, która ukloniła mu się i podała ojcu starą butelkę.

– To moja ulubiona madera – oświadczył archont. – Leżakowała przez ponad dwieście lat.

Ojciec pchnął Lore do przodu. Ta spojrzała na kobietę, która ruszyła w jej stronę. Składała się z samych mięśni i ścięgien, a powieki podkreśliła czarnym kohl¹⁴. Podobnie malowało się wiele zgromadzonych wokół kobiet, także dziewczyny w jej wieku. Dzięki temu oczy zdawały się świecić.

To lwice Kadmitów, uświadomiła sobie Lore, sięgając po butelkę.

– Jesteś bardzo szczodry – powiedział sztywnym tonem ojciec. – Dziękuję w imieniu całej mojej rodziny.

– Nie ma sprawy – odrzekł Aristos. – Nie myśl o tym prezencie jak o przejawie szczodrości, ale jak o symbolu mojej wiary w targ, którego tu dobijemy.

– Targ? – powtórzył ojciec.

– Ależ oczywiście – odpowiedział mężczyzna. – Dlaczego inaczej człowiek schowałby dumę do kieszeni i przyszedł do jaskini lwa, który niemalże wytepił jego ród, jeśli nie po to, by dobić targu?

Nozdrza Lore rozszerzyły się, ale jej ojciec zachował spokój.

– Rzeczywiście, masz rację.

– Słyszałem, że chodzisz od rodu do rodu niczym żebrak szukający pocieszenia i wsparcia – kontynuował Aristos. – Wielka szkoda, że żaden z nich nie dostrzegł szansy, jaką oferujesz.

– Na sojusz? – zapytał ojciec, ignorując szept i szyderczy śmiech wokół.

– Sojusz? – Aristos pochylił się do przodu, przekręcając głowę. – Nie, Demos. Mam dla ciebie ofertę. Propozycję, która może odmienić twój los.

– O ile przyjęcie jej leży w mocy człowieka – odpowiedział chłodno tata.

– Poprosiłem cię, żebyś przyprowadził tu swoją córkę, ponieważ chciałbym wprowadzić do naszego rodu szlachetną krew Perseusza – stwierdził archont. – Chcę kupić ją od ciebie. W celu zawarcia małżeństwa.

Lore pulsowało w uszach. Skronie jej tętniły.

Ojciec spojrzał na Belena, który wycierał nos brzegiem tuniki.

– Podejrzewam, że nasze dzieci są jeszcze zbyt małe, byśmy decydowali o ich przyszłości...

– Przeznaczenie wyznaczane jest przy narodzinach – odpowiedział Aristos Kadmou. – Dobrze o tym wiesz.

– Jestem tego coraz mniej pewny. Wierzę, że mamy wpływ na to, kim się stajemy.

– Więc przeciwstawiasz się mojemu? – zapytał archont. – Być może to właśnie ten błąd, który przez lata popełniałeś. Ja jako mały chłopiec rozpoznałem swoje Przeznaczenie. Odziedziczyłem je wraz z ogromem timé i osławionym kleos mojego ojca.

– A jednak sam zdecydowałeś o losie młodego Belena – zauważył jej ojciec. – Poprosiłeś w imieniu tego bękarta o rękę mojej córki.

Rozległ się syk zaskoczenia i szczęk dobywanej broni.

Belen cofnął się, czerwieniąc ze złości i wstydu. Jednak kiedy archont Kadmitów przemówił ponownie, przebił nawet ojca Lore.

– Nie chcę jej dla Belena – oświadczył. – Chcę ją dla siebie.

Palce Lore rozluźniły się i tylko dzięki refleksowi zdołała chwycić butelkę, zanim ta rozbiła się o podłogę. Obróciła się i spojrzała na tatę. Bezgłośnie błagała, żeby wyszli, zanim z jadowitych ust archonta popłyną kolejne parszywe słowa.

– Ona ma zaledwie dziesięć lat – powiedział ojciec. – Jesteś od niej starszy o dobre pół wieku... Do tego dochodzą twoje pozostałe żony...

Wśród Kadmitów rozszedł się cichy szept. Niektórzy posykiwali, inni uderzali się w piersi, lecz Lore skupiła całą swoją uwagę na archoncie. Skrzywił się na wspomnienie sześciu żon, które odeszły do Zaświatów, nie dając mu prawowitego dziedzica.

– Poczekam, aż skończy dwanaście lat. Potem zgodnie ze starożytnym zwyczajem poślubię ją. Do łóżka wezmę, kiedy pojawi się pierwsza krew – odparł Aristos Kadmou, nawet nie spoglądając na Lore. – Do tego czasu dziewczynka pozostanie pod moją opieką. Zadbam o jej p r a w i d ł o w e wychowanie.

– Nie! – warknęła Lore. Jej ojciec ponownie ścisnął ją za ramię.

– Wybacz jej, jest bardzo żarliwa – zdołał powiedzieć. – Twoja oferta jest niezwykle... szczodra. Tyle że Melora rozpoczęła już treningi z Achillesydami.

– Po co? – zapytał Aristos. – Po co ją tam posłałeś, skoro od początku wiedziałeś, jaką ma przed sobą przyszłość?

– Ja tego tak nie widzę – odpowiedział jej ojciec. – Melora jest moją spadkobierczynią...

– Z całą pewnością nie – przerwał mu archont. – Ile masz córek, Perseousie? A ilu synów? Nikomu nie przekazesz swojego nazwiska. Ona zaś nie dostanie lepszej propozycji niż służba archontowi Kadmitów. Dobrze wiesz, że taka jest prawda.

Lore czuła, że zaraz eksploduje.

– Zastanów się, Demosie. Masz jeszcze dwa szczeniaki, które będziesz musiał wypchnąć do innych rodów – kontynuował Aristos. – Pozbądź się jednej pijawki, a odetchniesz z ulgą. Zresztą hojnie ci za nią zapłacę.

Dopiero po chwili Lore zdała sobie sprawę, że to z jej gardła wydobywa się cichy pomruk.

Ku jej zaskoczeniu ojciec tylko się zaśmiał.

– Masz mnie za głupca? – zapytał. – Myślisz, że nie znam prawdziwego powodu, dla którego złożyłeś mi tę ofertę?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Aristos Kadmou pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach i unosząc brwi.

– Musi cię to męczyć, tak jak męczyło twojego ojca i jego ojca – kontynuował ojciec. – Masz w posiadaniu taki skarb, a jednak stanowi on jedynie dekorację. Jak bardzo ci on ciąży? Czy jesteś w stanie dźwignąć go sam, jak każdy z moich s z c z e n i a c z k ó w?

Oczy archonta błysnęły, a twarz spochmurniała.

– A czy ciebie nie prześladowuje myśl, że twoje utracone dziedzictwo znajduje się teraz pod moimi stopami? Zaledwie jedno piętro niżej? – odpowiedział Aristos. – Czekam. Czekam. Wciąż czekam, aż spróbujesz je odzyskać.

Oczy Lore przeszły krwią, a w sercu zrobiło się gorąco. Mówili o egidzie, słynnej tarczy noszonej przez Atenę. Była dziedzictwem podarowanym Perseidom na początku Agonu przez Zeusa, jednak Kadmici ją wykradli. Więc znajdowała się tutaj...

– Czy egida cię przyzywa? – zaciekawił się archont. – Może nawet teraz ją słyszysz, co? Rozpacza po twoich przodkach, wyrżniętych niczym świnię?

– Słyszę w twoim głosie desperację – stwierdził spokojnie ojciec. – Ale moje córki nigdy nie dadzą ci dziecka, które zdoła unieść tarczę.

Archont podniósł się z tronu, jego twarz skryła się w cieniu.

– Nie muszę mieszać podłej krwi z moją, żeby móc sięgnąć po twoje dziedzictwo.

– Nigdy nie oddamy ci go z własnej woli – odpowiedział tata. – Nawet jeśli przez nie zginiemy, ono przepadnie razem z nami. Jakież to niefortunne, że rzeź przeżyła najbardziej uparta z perseidzkich rodzin!

Aristos powoli zszedł ze sceny. Jego ramię pokrywał tatuaż przypominający skórę węża. Przecinały go żyły, które uwypukliły się, kiedy skrzyżował ręce na piersiach.

– Jesteś tego pewien? Powiedz mi, dziewczynko, czego pragniesz?

Lore spojrzała na ojca i powtórzyła jego gest – wyprostowała się i spojrzała przed siebie, omijając wzrokiem archonta.

– Wyobrażam sobie, w jak wielkiej nędzy żyjesz. Nie chciałabyś obracać się wśród najpotężniejszych rodów? Mieć złota w bród, klejnoty i jedwabie? – zapytał Aristos.

Ojciec kazał jej milczeć. Wiedziała, że nie powinna się odzywać, ale nie zdołała się powstrzymać. W jej sercu płonęła duma.

– Będę léainą¹⁵ – oświadczyła. – Moje imię przejdzie do legend.

Śmiech Kadmitów dobiegł ją ze wszystkich stron, ale bezczelny uśmiezek Aristosa Kadmou wydał jej się znacznie gorszy. Lore miała wrażenie, że jej całe ciało stanęło w płomieniach. Ojciec wciąż trzymał dłoń na jej ramieniu, ale już tego nie czuła. Nie czuła niczego poza biciem własnego serca.

– Ty léainą? – powtórzył Aristos. – Mam ich, jak widzisz, wiele. Wszystkie odważniejsze, szybsze, silniejsze od ciebie...

Lore wypuściła krzyk narastający jej w płucach i uderzyła butelką w kamienny filar. Wino niczym krew rozlało się po podłodze, wypełniając powietrze lepką słodyczą. Dziewczynka w tym czasie rzuciła się na najbliższą małą lwicę, ściskając szyjkę butelki niczym sztylet. Podkreślone kohlem oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły, lecz Lore była szybsza i silniejsza...

Dłoń ojca zacisnęła się na jej nadgarstku i pociągnęła do tyłu, zanim butelka zdążyła rozciąć gardło dziewczynki. Przez chwilę Lore nie widziała niczego poza jego przerażoną miną. Ciężko oddychała i nie rozumiała, dlaczego chciało jej się płakać.

Tata odciągnął ją od lwic i od Kadmitów, którzy ruszyli w jej stronę. Po raz pierwszy w życiu Lore usłyszała w głosie ojca strach.

– Proszę – zaczął. – To tylko dziecko. Nie potrafi kontrolować emocji. Na pewno też nie miała zamiaru znieważać gospodarza. Jeśli konieczna jest kara, wymierzcie ją mnie, ponieważ to ja nie zdołałem jej lepiej wychować.

Kadmici otaczali ich coraz ciasniejszą pętlą. Ktoś chwycił Lore za warkocz i mocno pociągnął. Przycisnęła twarz do pleców ojca i chwyciła go za koszulę. Cios trafił ją pomiędzy łopatki.

Ojciec odepchnął łowców od niej. Bicz trzasnął go w ramię i uwolnił krew.

– Stop! – szepnęła. – Przestańcie...

Dopiero rozkaz powstrzymał Kadmitów.

– Wyjdźcie!

Okazali się tak posłuszni, jak posłuszna powinna być Lore. Wychodząc z restauracji, dali powody do dumy swojemu przywódcy, podczas gdy ona przyniosła ojcu wstyd. Znała przecież xenię, zbiór zasad, których gość powinien przestrzegać. Wiedziała, że naruszyła świętość.

Kiedy ostatni z Kadmitów wyszedł, Aristos Kadmou zaczął krążyć dookoła niej i ojca. Powoli stawiał ciężkie kroki, splótłszy ręce za plecami.

– Przepraszam za moją córkę – powiedział ojciec. – Postaram się ci to wynagrodzić. Cokolwiek uznasz za stosowne.

– Jest tylko jedna rzecz, której pragnę – stwierdził. – Jakież to szczęście, że lubię w kobietach ogień – dodał i pochylił się w stronę Lore – oraz wyzwanie, jakim jest ugaszenie go.

Wsunął kopertę do kieszeni koszuli ojca.

– Moja oferta za dziewczynę. Przekaż mi swoją odpowiedź do końca Agonu.

Jej tata kiwnął głową i złapał córkę za rękę tak mocno, że nie miała innego wyjścia – musiała pójść za nim w stronę drzwi. Nie odważyła się spojrzeć za siebie, choć mężczyzna odezwał się jeszcze raz.

– To jej przyszłość – oświadczył. – Innej na tym świecie nie ma. Osobiście o to zadbam, w ten czy inny sposób.

Kilku jego węży czekało na zewnątrz. Syczeli i pluli, kiedy Lore wraz z ojcem przechodziła obok. Upokorzenie sprawiło, że czuła się mała i słaba. Najbardziej bolała ją jednak świadomość, że przyniosła ojcu wstyd.

Nigdy nie zdobędę kleos, pomyślała, czując pieczenie w gardle i szczypanie w oczach. Już zawsze będę nikiem.

Szli dobrych dwadzieścia minut, kiedy wreszcie mężczyzna zwolnił. Uklęknął i mocno ją objął. Nie odezwał się.

– Przepraszam – szepnęła, wtulając twarz w jego ramię. – Naprawdę przepraszam, tato.

Podniósł ją i przytulił do siebie tak, jak robił to wtedy, kiedy była jeszcze mała. Potem niósł ją przez resztę drogi do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI



DRZWI SCHRONU SIĘ ZATRZASNĘŁY.

Atena ruszyła na Lore. Buzowała z wściekłości.

– Dlaczego? – warknęła. – To nasz wróg. I był w naszym zasięgu...

Lore zdołała wydusić z siebie słowa, choć zimne dłonie przerażenia wciąż zaciskały się na jej gardle.

– Za dużo czasu... zbyt wielu przeciwników... Castor...

Coś uderzyło z ogłuszającym hukiem w drzwi, które zadrżały. Atena się wyprostowała. Opanowała swój gniew na tyle, żeby rzucić:

– Jeśli mamy tchórzliwie uciekać, to powinniśmy zrobić to właśnie teraz.

Lore odwróciła się, obserwując trzęsące się drzwi. Nie potrafiła podjąć decyzji. Mogłyby tu zostać. Spróbować zabić Gniewnego i zakończyć ten koszmar.

Jej nieprzytomna przyjaciółka jęknęła i się poruszyła.

Lore przełknęła gorzki smak w ustach. Serce wciąż szalało jej w piersi. Nie – teraz ryzyko było zbyt duże. Musiały pomóc Castorowi i zadbać o bezpieczeństwo Iro.

– Ruszajmy – powiedziała do bogini.

Walenie ścigało ich podziemną ścieżką nawet wtedy, kiedy Atena odgięła dół pancernych drzwi z powrotem na swoje miejsce. Dwa uderzenia, jak bicie serca. Bum, bum. Zagłuszały każdą myśl Lore, aż w końcu usłyszała niesioną w nich wiadomość.

Bum, bum.

Za późno.

Za późno!

Telefon zawibrował, kiedy tylko dotarły do nieczynnego warsztatu szewskiego. Wiadomość wysłał nieznany numer.

Jestem cały.

Po chwili Lore uświadomiła sobie, kto do niej napisał. Poczula olbrzymią ulgę i odpisała: *My też. Spotkajmy się u Vana.*

– Castorowi nic nie jest – powiedziała Atenie. Bogini podeszła do drzwi i oderwała kawałek zakrywającego je brązowego papieru. Wyrzała na ulicę, wypatrując łowców.

– Szkoda – westchnęła. – Będzie musiał wyjaśnić, dlaczego sknocił nasz plan.

Lore poprawiła sobie Iro na ramionach. Dziewczyna była od niej wyższa, więc niełatwo było ją nieść.

– Cóż... – zaczęła. – Tym razem nam nie wyszło.

Atena spojrzała na nią.

– Dlaczego zamknęłaś drzwi schronu? Czyżbyś przestawała wierzyć w naszą sprawę?

Lore pokręciła głową.

– Nie. On po prostu... Byłyście dla niego zbyt łatwym celem. Jest różnica pomiędzy ryzykowną próbą a bezmyślnym pójściem na pewną śmierć, kiedy nie ma się szans na wygraną. A właśnie ten drugi przypadek mieliśmy w tej sytuacji.

Wyraz twarzy bogini wcale nie złagodniał. Stał się co najwyżej nieco bardziej kontemplacyjny. Kiedy znów się odezwała, staranniej i spokojniej dobierała słowa.

– Boisz się go?

– Nie – odpowiedziała Lore. – Ja...

– On się żywi twoim strachem – wyjaśniła Atena. – On sprawia mu przyjemność, więc nie dawaj fałszywemu Aresowi tej satysfakcji. Zwłaszcza że przez kolejnych sześć dni będzie równie śmiertelny, co i ty. Jeśli znowu się zawahasz, przypomnij sobie wszystkich, których ci odebrał. Wiem, że dysponuje mocą, ale ty masz po swojej stronie słuszość. Jeśli kiedyś przestaniesz w nią wierzyć, zostaną ci jeszcze ja. A ja nie pozwolę ci przegrać.

Lore zastanawiała się nad odpowiedzią. Widziała Gniewnego i wiedziała, że i on zobaczył ją. Wątpliwości przebiły się przez zasłonę utkaną z pewności siebie. Dziewczyna wciąż pragnęła zemsty, ale zaczynała uświadamiać sobie, czego może zażądać od niej Agon w zamian za śmierć boga.

Nadal mogę się wycofać, powiedziała sobie. Nie zabijam. To ma być koniec, a nie początek.

– Musimy spotkać się z pozostałymi – oświadczyła. – Ulica wolna?

– Tak – odpowiedziała bogini. – Poniosę dziewczynę.

Przejęła nieprzytomną Iro i po chwili zniknęła w ciemnościach.

Lore ociągała się przez moment. Próbowала sobie przypomnieć, jakie to uczucie niczego się nie bać.



Punkt, którego adres Van podał im przed rozstaniem, okazał się pralnią samoobsługową położoną około dwudziestu przecznic na północ, w dzielnicy Hell's Kitchen.

Wybrały boczne drzwi i pozwoliły się omieść ciepłu wentylatorów. W powietrzu unosił się dławiący zapach detergentów.

Kiedy weszły do środka, blask jarzeniówek oślepił Lore. Atena obróciła się tymczasem w stronę, z której dobiegał znajomy głos.

W ciasnym biurze pralni oparty o biurko Miles rozmawiał po koreańsku z siwowłosą kobietą. Wydawał się ożywiony, lecz spochmurniał, kiedy tylko je zauważył.

– Co się stało? – rzucił. – Gdzie pozostali? Kto to jest? Czemu się spóźniłyście?

– Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? – zapytała zmęczona Lore.

Starsza kobieta westchnęła i podniosła się z krzesła. Wyłączyła monitor swojego zabytkowego komputera i wyciągnęła torebkę z szafki.

– Zamykam na noc. Powiedźcie Evanderowi, żeby zostawił kasę w sejfie. I w końcu zmienił stawkę.

Wyszła z pomieszczenia i po kilku chwilach światła w pralni przygasły. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, kilka urządzeń wciąż pracowało.

– Proszę, proszę, na każdym kroku zawierasz przyjaźnie – powiedziała Lore.

Atena posadziła Iro na krześle i odsunęła się, pozwalając Lore sprawdzić puls przyjaciółki. Lore spróbowała ją też ocucić.

– Jak mocno ją uderzyłaś? – zapytała. Iro odpłynęła na dobrych dwadzieścia minut.

– Kim była ta kobieta? – odezwała się Atena, ignorując jej pytanie.

– To pani Cheong – wyjaśnił Miles. – Uroczą staruszką. Powiedziała mi, że przez te tatuaże przypominam jej wnuczka – dodał i westchnął, po czym spojrzał na bezwładne ciało dziewczyny. – No dobra, to kim ona jest?

– To Iro z Odyseidów – powiedziała Lore. – Cóрка Strażnika Serc.

Miles się skrzywił.

– Dlaczego mam wrażenie, że coś poszło nie tak?

– W skrócie? – zaczęła Lore, opierając się o ścianę. Całe ciało ją bolało, jakby próbowało przegrupować się po wysiłku, jaki włożyło w niesienie Iro. – Gniewny żyje, Strażnik Serc nie żyje, a Iro może znać oryginalną wersję wiersza lub przynajmniej wiedzieć, gdzie jej szukać.

Boczne drzwi znów się otworzyły. Atena wyskoczyła z biura i wycelowała dory w gardło przybysza, zanim Lore zdołała zaczerpnąć kolejny oddech.

Van uniósł ręce.

– Wszyscy już wrócili?

Bogini opuściła broń i cofnęła się, pozwalając mu przejść.

– Czekamy jeszcze na fałszywego Apolla.

Van nie niepokoił się nieobecnością Castora aż tak bardzo jak Lore. Zatrzymał się za to w drzwiach i spojrzał na Milesa. Zaciśnął usta, ale się nie odezwał.

– Tak, wciąż żyję – oświadczył chłopak z nietypowym dla siebie sardonicznym uśmiechem.

Podniósł leżący u swoich stóp plecak i z niemałym wysiłkiem wepchnął w ręce Vana, któremu ramiona ugięły się pod jego ciężarem.

– Twój kontakt okazał się prawdziwym dżentelmenem – oświadczył Miles. – Tylko dwukrotnie nazwał mnie nierodowitym. Dodał też, że woli mnie od ciebie.

– Prawdopodobnie dlatego, że nie znasz jego wstydlivej tajemnicy – odpowiedział Van.

– Aha, pani Cheong chce swoich pieniędzy – przypomniał sobie Miles. – I żebyś podniósł jej stawkę. Twierdzi jednak, że jesteś dobrym partnerem biznesowym, cokolwiek to oznacza.

– Tylko tyle, że wiem, ile powinienem jej zapłacić, żeby zapomniała o wszystkim, co tu widziała lub słyszała.

Rozpiął plecak i zaczął wysypywać jego zawartość na podłogę biura. Lore aż podskoczyła, widząc kilka tuzinów paczek setek lub dwudziestek. Van zdążył jeszcze złapać znajdujący się na spodzie laptop, zanim ten uderzył o kafelki.

Lore zakryła jeden z plików pieniędzy stopą i próbowała niezauważenie przesunąć go w swoją stronę.

– Niezły pomysł! – powiedział Van. – Ale bez tych pieniędzy nie przetrwamy tygodnia – dodał, sięgnął po dwie paczki i odłożył do sejfku pod biurkiem. – Miałeś jakieś kłopoty?

– Tylko kilka dziwnych spojrzeń, kiedy poprosiłem o konkretny pokój karaoke, a później wytrzymałem w nim zaledwie jedną piosenkę Whitney Houston – wyjaśnił Miles.

W jego słowach kryła się ta charakterystyczna iskierka, rodzaj podniecenia pojawiający się u każdego dzieciaka, któremu udało się po raz pierwszy złamać zasady. Na samo wspomnienie oczy zaświeciły się Milesowi niczym w gorączce, a policzki zarumieniły. Jak zresztą zawsze, kiedy był podekscytowany.

Ręce Vana znieruchomiały nad stertą pieniędzy.

– Brakuje prawie trzech tysięcy – powiedział oskarżycielskim tonem. – Kupiłeś coś podczas swojej małej wycieczki?

– Tak, zatrzymałem się na małe co nieco – odciął się Miles. – Nie jestem złodziejem. Koleś posiadał nowe informacje, ale chciał za nie więcej pieniędzy.

– A ty mu je dałeś? – huknął Van. – Bez uzgodnienia ze mną? Prawdopodobnie wcisnął ci jakiś kit...

– Sam wyciągnąłeś od niego tylko to, że Kadmici kupili nową posiadłość przy Central Park South i że skorzystali w tym celu z jakieś fasadowej firemki – wyjaśnił chłopak. – Ja dowiedziałem się natomiast, że nowy Dionizos, niejaki Bachant, sprzymierzył się z Gniewnym

i od ostatniego Agonu pracował razem z nim i resztą Kadmitów. Ale na początku tegorocznego polowania uciekł i jak dotąd nie wrócił. Gniewny również jego szuka.

Lore rozchyliła usta. Nawet Atena wyglądała na zdeorientowaną.

– Sam oceń, które informacje są dla nas cenniejsze – dodał triumfalnie Miles.

Van wstał, ale chłopak się nie cofnął. Co więcej, wytrzymał jego spojrzenie.

– To nie jest żadna gra – oświadczył Van. – Tu nie ma wygranych. Nie ma też żadnych zasad, które gwarantowałyby ci bezpieczeństwo.

– Mam tego świadomość – odpowiedział Miles.

Lore dobrze go знаła i od razu rozpoznała u niego ogromny zapał oraz zadowolenie z siebie, które wywołało w nim tak bojowy nastrój.

Van miał rację. Jej przyjacielowi za bardzo się to spodobało.

Boczne drzwi znów się otworzyły. Tym razem z większą siłą.

Castor, pomyślała Lore i wyminęła Atenę.

Nowy bóg oparł się dłonią o ścianę i pochylił do przodu. Na jego twarzy malowało się zmęczenie.

Podeszła do niego i schyliła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Poza cięciem wzdłuż lewej kości policzkowej wydawał się w całkiem niezłym stanie. Kiedy ją zobaczył, napięcie na jego obliczu zelżało.

– Wszystko w porządku? – zapytała. – Co się stało?

Otarł ramieniem pot z twarzy. Koszula przylgnęła mu do klatki piersiowej.

– Zgubienie ich zajęło mi więcej czasu, niż myślałem...

Nagle się wyprostował i złapał Lore za łokieć. Jej ramię lekko się poruszyło i przez ciało przeszła kolejna fala bólu. Ciepła krew spłynęła jej po skórze. Dziewczyna zachwiała się oszołomiona.

Castor rozerwał torbę z praniem czekającą na odbiór i grzebał w niej tak długo, aż znalazł czysty ręcznik.

– Jak to się stało?

– Rzuciłam się, zamiast się uchylić – wykrztusiła Lore, próbując skupić się na jego twarzy.

– Co... O nie.. – jęknął Miles i niemalże zwymiotował na widok zakrwawionego ręcznika. – Czy ona...

– Ulecz ją, uzurpatorze – rozkazała Atena.

– Nie! – Lore zdołała wziąć się w garść. – Najpierw Iro. Iro... ona... musi się obudzić.

– Nie zamierzam patrzeć, jak ze stoickim spokojem wykrwawiasz się na śmierć – oświadczył poirytowany Castor.

Przycisnęła ręcznik do ramienia i odsunęła się od niego.

– Najpierw Iro!

Castor minął Atenę i wszedł do biura. Lore dołączyła do niego, kiedy światło jego mocy przeniknęło na ciemny korytarz. Pracował w pośpiechu, słuchając jednocześnie, czego Miles dowiedział się od wtyczki u Kadmitów.

– Musimy ulotnić się stąd tak szybko, jak to możliwe – zdecydował Van. – Jeśli Gniewny podąża z Kadmitami naszym tropem, to wkrótce się tu pojawi.

– Potrzebujemy chwili na złapanie oddechu i zaplanowanie kolejnego ruchu – stwierdziła Lore.

– Zacznijmy od zastanowienia się, co tak wystraszyło Bachanta, że zdecydował się zerwać sojusz z Gniewnym – zaproponował Castor.

Wsunął dłoń pod głowę Iro i delikatnie uniósł, ale dziewczyna wciąż nie chciała się

przebudzić.

– Śmierć Hermesa – strzelił Van.

– To zdecydowanie by go wystraszyło – westchnął nowy bóg.

– Dlaczego? – zapytał Miles.

– Byli parą przez całe dziesięciolecie – wyjaśniła Lore, opierając zdrowe ramię o framugę. – Spędzali ze sobą czas pomiędzy polowaniami. Bawili się na przyjęciach, podróżowali po całym świecie, podziwiali zgromadzone w muzeach zabytki starożytnego świata. Podobno niektóre z nich zdołali wykraść – dodała i spojrzała na Atenę. – Mówiłaś, że przez ostatnie lata nie czułaś obecności Hermesa. Myślisz, że ma to jakiś związek?

– Hermes nigdy nie zgodziłby się na sojusz z fałszywym Aresem – stwierdziła bogini. – Podejrzewam, że decyzja fałszywego Dionizosa doprowadziła do rozdźwięku pomiędzy nimi i dlatego Hermes na wszelki wypadek postanowił poszukać schronienia poza swoimi dawnymi kryjówkami.

– Na niewiele mu się to zdało – zauważyła Lore. – Cóż... Niezależnie od tego, co się wydarzyło pomiędzy tymi dwoma gołąbkami, jedno jest pewne. Musimy znaleźć Bachanta, zanim zrobi to Gniewny. Zrewidujmy nasz plan i spróbujmy zastawić pułapkę na nowego Dionizosa.

– Masz rację – zgodziła się Atena, najwyraźniej myśląc o tym samym. – Uzurpator nie wybaczy mu zdrady.

– Pytanie, czy Bachant zgodzi się nam pomóc – powiedział Van.

– Przecież nie musi pomagać nam z własnej woli – wyjaśniła bogini. – Nie musi nawet wiedzieć, że go obserwujemy. Kiedy pojawi się fałszywy Ares, wyskoczymy z ukrycia i...

– Zakładamy oczywiście, że Gniewny nie odkryje naszego planu – dodał Castor. – I nie domyśli się, co dla niego szykujemy.

– No cóż... – powiedziała powoli Lore. – Wątpię, żeby się domyślił. Być może podejrzewa, że chcemy go dopaść, ale nie ma bladego pojęcia o tym, że wiemy o zerwaniu sojuszu przez Bachanta. Przecież nawet Van nie słyszał o ich współpracy, a wszędzie ma swoje wtyczki.

Posłaniec wyglądał na niezadowolonego z powodu tego, że mu to wypomniała.

– No dobrze – westchnął Miles. – A gdzie chcecie szukać tego kolesia? Gniewny pewnie wysłał za nim setki łowców...

Castor spojrzał na Vana, jakby zadawał pytanie. Ten nie odpowiedział, a jedynie potrząsnął głową.

– O co chodzi? – zapytała Lore, spoglądając na nich. Ręcznik coraz bardziej jej ciążył, tak jak głowa. Musiała oprzeć skroń o framugę, żeby się nie przewrócić.

– Nie byłoby szybciej? – zapytał Castor.

– I tak potrwa za długo – odpowiedział Van. – Spóźnilibyśmy się.

Przysunął plecak do Castora i wyciągnął laptop. Zamiast uruchomić go lub podłączyć do prądu, za pomocą niewielkiego śrubokrętu otworzył tylny panel.

Miles i Lore pochylili się w jego stronę. Zaintrygowani obserwowali, jak Van wyciąga spod baterii niewielki srebrny gadżet, po czym instaluje go w telefonie Castora.

– To kopia programu śledzącego Kadmitów – wyjaśnił Van, czekając, aż aplikacja się załaduje. – Używają go do notowania ruchów innych rodów, a nawet bogów. Sprawdź, czy opublikowali coś o Bachancie. Nie mogą jednak zbyt długo siedzieć w ich systemie, bo ktoś, chociażby ich posłaniec, może to wychwycić.

– Co jeszcze wiesz o fałszywym Dionizosie? – zapytała Atena.

– Niewiele – odpowiedział. – Poza tym, co wiedzą wszyscy. Został bogiem nieco ponad

sto lat temu. Wcześniej znany był jako Iason Herakliou, syn archonta Iasona Starszego. Po wstąpieniu zabił swoją rodzinę i zniszczył wszystkie jej kroniki. Po to, żeby jeszcze trudniej było go wysledzić.

Miles wyglądał na zszokowanego.

– Zatruli wszystkich? Całą swoją rodzinę?

– Wszystkich – potwierdziła Lore. – Czystki u Heraklidów zawsze były brutalne.

– A jednocześnie zgodne z okrutną naturą tego rodu – zauważył Van. – Heraklidzi zawsze cenili u swoich przodków jak najgorsze cechy. Aż dziwne, że tak długo przetrwali.

– Nowym bogiem jest już od dawna – zauważył Castor. – Podejrzewam, że nie ma kto go ukarać za zabijanie krewnych.

– Był najmniej przedsiębiorczym nowym Dionizosem w historii, a to oznacza, że nie możemy wysledzić go poprzez jego firmy – oświadczył Van. – Żadnych winnic, żadnych nowych substancji psychogennych, żadnych kultów, ani religijnych, ani innych... Nie mam pojęcia, jak zareaguje na naszą wizytę, ale musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Nie zapominajcie, że posiada moc wywoływania odurzenia i szału. W przeszłości nieraz wymykał się łowcom, wtaczając im w głowy iluzje.

– Masz jego zdjęcie, Van? – zapytała Lore. – Nigdy go nie widziałam.

Podczas gdy program Kadmitów instalował się na komórcie Castora, Van sięgnął po swój telefon i odszukał na nim ziarniste zdjęcie z jakiejś starej gazety. Przedstawiało mężczyznę z ręką wsuniętą pod kamizelkę staromodnego garnituru. Jego okrągłą twarz przysłaniał sumiasty wąs. Bachant stał z poważną miną pomiędzy dwoma torami do kręgli.

– To człowiek czy wąsaty mops w garniturze? – zapytał Miles.

Ku zaskoczeniu Lore – i siebie samego – Van wybuchnął gromkim śmiechem. Szybko się jednak opanował i zacisnął usta, próbując zmasować ów grymas ze swojej twarzy.

– Podobno był kiedyś architektem – powiedział. – Słyszałem również, że wciąż mieszka w Nowym Jorku, ale nie znalazłem żadnych dowodów mogących to potwierdzić. Jak już mówiłem, niewiele o nim wiemy.

– No cóż, na pewno wiemy jedno – stwierdził Miles. – Bywał we Fricku.

Lore do tego stopnia skupiła się na studiowaniu twarzy mężczyzny, że nie zwróciła uwagi na to, gdzie się on znajduje.

– Że co? – zapytała.

– Frick Collection – wyjaśnił, po czym szeroko otworzył oczy ze zdumienia i uśmiechnął się, gdyż dostrzegł zaskoczenie malujące się na twarzy Vana. – Nie wiedziałeś? Poważnie?

– Doskonale – pochwaliła go Atena. – Po raz kolejny znajomość miasta tego śmiertelnika okazuje się o wiele bardziej przydatna od tego, co wy wnosicie do drużyny.

– Jesteś pewny? – zapytał surowym tonem Van.

– To kręgielnia. Ma charakterystyczne łuki po bokach i sufit w kształcie plastrów miodu – odpowiedział Miles, starając się nie zapiszczyć z radości. Zwłaszcza że Van w milczeniu przyglądał się sufitowi ze zdjęcia, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. – To na pewno jest Frick. W przeszłości stara posiadłość należąca do pana Fricka, przemysłowca, który inwestował niekończące się wiadra swoich ukochanych pieniędzy w dzieła sztuki. Po jego śmierci w budynku powstało muzeum, w piwnicy zaś kręgielnia. Postawiłbym na to każdą sumę. Nie zdziwiłbym się, gdyby to Bachant zaprojektował wnętrze, jeśli rzeczywiście był architektem.

– Skąd ty, u diabła, o tym wszystkim wiesz? – zapytała Lore.

– Też byś wiedziała, gdybyś miesiąc temu wybrała się tam ze mną – odparował Miles. – Dostałem darmowe bilety w ramach stażu, nie pamiętasz? Stwierdziłaś, że „prawdziwi nowojorczyści nie bawią się w turystykę”.

– To niepodobne do mnie – stwierdziła z oburzeniem Lore.

– To t y p o w e dla ciebie – zaprotestował Castor. – Zawsze mi powtarzałaś, że „autentyczni” nowojorczyści nie opiekają swoich bajgli.

– Tylko potwory opiekają bajgle – oświadczyła z przerażeniem w głosie.

– To bez znaczenia – przerwał im Van. – Wiemy jedynie, gdzie ponad sto lat temu facet dał się sfotografować. Jaki to ma związek z jego obecną kryjówką?

– Wszystko ma znaczenie – powiedziała Atena. – Ta kręgielnia znajduje się w pobliżu miejsca Przebudzenia i jest mu dobrze znana.

– Czyli stanowi idealne miejsce na zadekowanie się – dokończyła Lore. – Oczywiście mógł wybrać inne, ale powinniśmy to sprawdzić.

– Och, nie powiedziałem wam jeszcze najlepszego – rzucił Miles i zamilkł, aby zbudować napięcie.

Kiedy przyjaciółka spojrzała na niego, uśmiechnął się szeroko.

– Dwa tygodnie temu zamknęli całą posiadłość. Ponoć robią remont – dokończył. – Dopiero w styczniu muzeum ponownie otworzy się dla zwiedzających.

– Cholera – jęknęła Lore. – Sądzę, że właśnie tam powinniśmy go poszukać.

– Zgadzam się – powiedział Miles.

– Mimo wszystko sprawdzę program Kadmitów – stwierdził bez przekonania Van. – Nie możemy polegać wyłącznie na przeczuciu.

– Słusznie – zgodził się Castor. – A w międzyczasie – ostrożnie puścił Iro – dziewczyna powinna odzyskać przytomność w ciągu kilku minut.

Odwrócił się w stronę Lore i uniósł brwi. Ta przycisnęła ręcznik do rozciętego ramienia i żeby poprawić przyjacielowi samopoczucie, pozwoliła poprowadzić się korytarzem do obskurnej toalety dla pracowników.

– Pospieszcie się – zawołał za nimi Van. – Za dziesięć minut powinniśmy ruszać.

O ile Gniewny wcześniej nas nie znajdzie, pomyślała Lore.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI



LORE PRAWIE JUŻ NIE PAMIĘTAŁA, JAK TO JEST ZNALEŻĆ SIĘ POD OPIEKĄ INNEJ OSOBY.

Opiekowała się Gilem przez kilka lat i przyzwyczaiła się do tej roli. To dziwne uczucie bycia z drugiej strony – i niechęć, jaką wobec tego czuła – przypomniało jej słowa, które Gil wypowiedział tej nocy, kiedy się poznali.

Po opuszczeniu posiadłości Odyseidów szła dniami i nocami. Chciała dotrzeć do Marsylii, żeby wyżebrać pieniądze na powrót do Stanów Zjednoczonych i rozpoczęcie tam życia od nowa. Liczyła, że fałszywe papiery pozwolą jej przynajmniej wybrać szkołę i znaleźć coś na start. Gil, wówczas osiemdziesięciosiedmioletni mężczyzna, został napadnięty na obrzeżach miasta. Znalazła go na wpół martwego, ze złamaną nogą i ręką. Zdążył ochrypnąć od wołania o pomoc, a mimo to nikt mu jej nie udzielił.

Lore strasznie to wkurzyło. Pomimo strachu i wyczerpania zaniósła go na plecach do najbliższego szpitala. Czuła się zobligowana, żeby przy nim zostać. Po prostu uznała, że ten bezbronny starszy pan potrzebuje opieki i towarzystwa. Podczas rejestracji podała się za jego wnuczkę, a potem chętnie słuchała jego opowieści o sobie. Okazał się samotnym profesorem z Nowego Jorku, który wybrał się w swoją ostatnią podróż za granicę. Zanim lekarz zszyl jego rany i zajął się jej pokaleczoną twarzą, w głowie Lore narodził się pewien pomysł.

Gil nie pochodził z jej świata, a w swoim żył sam jak palec. Dlatego Lore zaproponowała mu układ czysto biznesowy – pojedzie do Nowego Jorku i zaopiekuje się mężczyzną, dopóki ten nie wstanie z wózka inwalidzkiego. On przyjął to z wyraźną niechęcią, więc przygotowała się na rozczarowującą odmowę. Ostatecznie jednak zmienił zdanie. Kiedy tuż przed wypisem zapytała go, dlaczego przyjął jej propozycję, odpowiedział: *Czasami większej odwagi wymaga przyjęcie pomocy. Zwłaszcza kiedy nauczono cię wierzyć, że jej nie potrzebujesz.*

Lore zachowała te słowa w sercu. Teraz sięgnęła po nie, żeby odegnać niechęć, którą poczuła, kiedy Castor prowadził ją do zaniedbanej łazienki dla pracowników pralni samoobsługowej.

Musiał się pochylić, żeby nie zawadzić o niski sufit. Lore obserwowała, jak jego gardło porusza się, a chłopak zastanawia się, czy żeby podeprzeć Lore, powinien położyć dłoń na jej biodrze. W jej głowie pojawiły się ciepłe myśli.

On jest naprawdę niezwykły, pomyślała. Nie tylko dlatego, że stał się tym, kim się stał, ale również dlatego, że był po prostu sobą.

Jednym szybkim ruchem posadził ją na wąskiej krawędzi blatu, na którym stała umywalka. Toaleta, podobnie jak wiele innych w mieście, była w obskurnym stanie, prawdopodobnie dlatego, że chciano zniechęcić ludzi do przebywania w niej zbyt długo.

– Ale z ciebie macho, dryblasie – powiedziała.

Rzucił jej karcące spojrzenie, po czym odebrał od niej ręcznik i rzucił go na podłogę. Ostrożnie, żeby nie naruszyć rany, odciągnął kołnierz jej koszuli i dokładnie przyjrzał się cięciu.

– Czy możemy skupić się na twoim urazie?

Wydawał jej się równie poważny, co niespokojny.

Przypomniało jej się, że kiedy byli młodzi, właśnie w ten sposób obserwował ją po

sparingu. Jakby chciał się upewnić, że nic jej nie jest.

– Spokojnie, tygrysie. To żaden wielki uraz – poinformowała go. – Raczej głupota z mojej strony.

Pokręcił głową.

– Przysięgam, jesteś jedyną osobą, jaką znam, która nawet w takiej sytuacji próbuje się klócić.

– To dlatego, że w odróżnieniu od ciebie jestem wielozadaniowa – stwierdziła i zawadiacko mrugnęła. – Jakie rokowania, doktorku? Będę żyć?

Nagle uświadomiła sobie, w jaki sposób przyjaciel może odebrać jej słowa.

– Przepraszam, Cas – powiedziała. – Naprawdę mi przykro. Ja i moja niewyparzona gęba. Odniosła wrażenie, że starał się zignorować jej komentarz, choć mógł go zabołec.

– Mogę rozerwać koszulę? Bo mi przeszkadza.

Skinęła głową i skrzywiła się, kiedy ostrożnie przedarł materiał pomiędzy kołnierzem a brzegiem rękawa. Dopiero teraz zobaczyła swoją ranę, głęboką i postrzępioną. Kilka niewielkich odłamków szkła utkwiło też w jej mięśniu. Choć w swoim krótkim życiu widziała wiele obrażeń, na ten widok wykręciło jej żołądek.

Ramięczko jej stanika wciąż przeszkadzało w opatrzeniu rany, przyklejone do jednego z płytszych draśnięć. Palce Castora, dziwnie gorące na jej śliskiej skórze, zawahały się tuż nad nim. Krwawienie stało się mniej obfite, a chłód, jaki czuła pod powierzchnią naskórka, zdawał się przenikać coraz głębiej.

Kiwnęła głową i przełknęła ślinę. Chłopak zsunął ramięczko, przez cały czas obserwując twarz Lore.

– Właściwie już nie boli – stwierdziła. – To chyba dobrze, prawda?

– Wręcz przeciwnie – powiedział cicho. – Kto cię tak zranił?

– A czemu pytasz? Chcesz mnie pomścić? – Spróbowała spojrzeć na ramię. – Jest aż tak źle? Nie wydaje mi się.

– Myślę, że wciąż jesteś w szoku – wyjaśnił. – Więc kto to był? Straciłem cię z oczu, kiedy dym i pył stały się zbyt gęste.

– Nie wiem – przyznała.

Castor jednym szybkim ruchem chwycił największy szklany okruch i wyciągnął go z rany. Ból okazał się tak silny, że Lore nie zdołała krzyknąć, bo zabrakło jej tchu. Po chwili usunął pozostałe odłamki.

Jego ręka znalazła się tuż przy ranie, mocno przyciśnięta do miejsca, z którego sączyła się krew. Lore poczuła falę gorąca i nieprzyjemne pieczenie, które rozplynęło się w otępiającym cieple.

– O ja pier... – jęknęła.

– Nie przeklinaj – skarcił ją. – Staraj się głęboko oddychać.

– Mogłeś mnie... ostrzec... – powiedziała.

– Wtedy napięłabyś mięśnie i byłoby mi trudniej wyciągnąć te szkiełka – wyjaśnił. – Coś jeszcze pamiętam z lekcji udzielanych mi przez uzdrowicielkę Kallias.

Wiedziała, że przyjaciel ma rację, ale to nie oznaczało, że sama nie może sobie przez kilka minut ponarzekać.

– Oddychaj – powtórzył.

Starała się stosować do jego zaleceń. Z każdym kolejnym oddechem czuła, jak jego moc skleja rozdartą tkankę. Ta energia miała niemal narkotyczne działanie. Owijała się wokół ciała i umysłu Lore, starała się utulić do snu swoją miękkością.

Kiedy Castor ujął przyjaciółkę za rękę, zamknęła oczy i oparła głowę o lustro za swoimi

plecami. Trzymała się tej chwili, chciała pozostać w niej, uspokoić się czymś realnym, zanim moc zmiękczy również jej umysł.

– Czy to ja? – szepnął. – To ja ci to zrobiłem?

Zmusiła się do otwarcia oczu. Złote plamy wirowały w tęczówkach Castora, wyjątkowo jasne na tle ciemności panujących w łazience.

– To ja? – powtórzył. – Nie potrafię jeszcze kontrolować swoich mocy – zapytał ponownie.

– Nie, to była jedna z Kadmitek – uspokoiła go.

Ale nie przekonała. Ścisnęła jego dłoń, a potem przyciągnęła do siebie, aż wreszcie na nią spojrział.

– Boska moc jest twoją nową umiejętnością – przypomniawszy. – I jak każda umiejętność, wymaga wielu ćwiczeń, zanim się ją opanuje.

Zaczął nieświadomie gładzić kciukiem jej obojczyk. Wciąż ją jednak leczył, pozostawiając ciepły, błyszczący ślad na skórze. Pochyliła się.

– Chciałbym, żeby to było takie proste – stwierdził. – I żeby potrafił to lepiej wyjaśnić. Otóż... odkąd odzyskałem siły fizyczne, nie mogę złapać równowagi psychicznej. Czuję niespójność między tym, czego oczekuje mój umysł, a tym, co później wykonuje moje ciało.

– Dlaczego nie wspomniałeś mi o tym wcześniej? – zapytała.

– Bo mnie onieśmielasz – przyznał bez ogródek. – Zresztą zawsze tak było. Chcę ci wszystko opowiedzieć, ale jakaś część mnie boi się, że uznasz mnie za słabeusza.

Chwyciła go za nadgarstek.

– Nigdy tak nie uważałam.

– Wiem – przyznał. – Ale przecież przez długi czas rzeczywiście byłem słaby. Nikogo za to nie winię. Taki po prostu byłem. I wkurzałem się, że łowców postrzega się jedynie jako słabych bądź silnych. Wolałem, żeby patrzono na mnie poprzez pryzmat mojego życia.

Życia, którym żył. I które zostałyby bezlitośnie skrócone, gdyby nie został nowym bogiem. Niemal czuła historię, którą przed nią ukrywał. Rozpaczliwie falowała pod jego skórą, jakby za wszelką cenę chciała się wydostać.

– Cas – szepnęła. – Jak zabiłeś Apolla?

Jego grdyka drgnęła. Przełknął ślinę. Rozważał coś, a Lore niemalże pożałowała, że zadała to pytanie. Choć wiele się pomiędzy nimi zmieniło, to nie była pewna, jak zareaguje, kiedy po raz pierwszy Castor spróbuje ją okłamać.

– Nie wiem.

Uniosła na niego wzrok.

– Co?

Zerknął na drzwi, jakby martwił się, że ktoś może ich podsłuchać.

– Nie wiem. Nie pamiętam, jak to się stało.

Otworzył jeszcze usta, a potem je zamknął.

– Niestety – stwierdził, wyraźnie spięty. – W mojej sypialni nie było kamer. Van twierdzi, że pozostałe przestały działać, kiedy Apollo wszedł do Domu Tetydy. Spałem, kiedy to wszystko się wydarzyło.

– Van o tym wie?

Nie miała powodu, żeby czuć się zraniona tym wyznaniem, a jednak tak się czuła.

– Nie wie, że utraciłem pamięć – odparł Castor. – Na pewno węszył, próbując się czegoś dowiedzieć. A ja...

– To dlatego próbowałeś porozmawiać z Artemidą? – zapytała Lore, w końcu składając sobie wszystko w całość. – Sądzisz, że ona coś wie?

Kiwnął głową.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób byli ze sobą związani ani czy rzeczywiście widziała, co się stało. Atena chyba o niczym nie wie. Czy Artemida zwierzyłaby się jej, gdyby była świadkiem śmierci Apolla?

– Próbowала ją zabić nie dalej niż pięć minut od rozpoczęcia tego Agonu, więc nie sędzę, żeby obecnie łączyła je siostrzana miłość – stwierdziła Lore.

Uśmiechnął się słabo, ulotnie. Raz jeszcze złapała go za dłoń i mocno ścisnęła.

– Muszę się tego dowiedzieć – wyznał. – Muszę. Nie mogę przecież... Na pewno był jakiś powód. Przyczyna, dla której otrzymałem tę moc.

Kryjaca się w jego słowach desperacja sprawiła, że Lore pękło serce.

– Nie wierzę w Przeznaczenie, ale wierzę w ciebie – powiedziała. – Cokolwiek się wtedy wydarzyło, wydarzyło się dlatego, że zawsze byłeś sobą. Dowieśmy się wszystkiego, obiecuję. Masz moje słowo.

Castor skinął głową.

Ciepło jego dotyku zgasło, gdyż skończył ją leczyć. Nie odsunął się jednak od niej ani ona nie odsunęła się od niego. Zwilżył niewielką gąbkę i zaczął zmywać krew z jej nowej, różowej skóry – ruch za ruchem. Czułość, jaką w to wkładał, niemalże złamała jej serce. Rozsunęła nogi, pozwalając mu jeszcze bardziej się zbliżyć. Przymknęła oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją. – Tak naprawdę.

Jego długie palce przesunęły się wzdłuż jej ramienia, docierając w końcu do policzka. Delikatnie musnęły starą, długą bliznę. Napięcie zeszło z mięśni jej szyi, kiedy pogładził niewielkie zagłębienie w jej karku.

– Widziałam go – szepnęła. – Obiecałam sobie, że nigdy nie wrócę do tego świata. Że nie pozwolę, aby cokolwiek zmusiło mnie do zabijania. Sądziłam, że nie zbrukam swoich rąk, bo robi to Atena, ale... Nie wiem, czy dam radę dalej tak funkcjonować, trzymając jedną nogę na ringu, a drugą poza nim.

– Dasz radę – powiedział. – Tylko nie pozwól, żeby pociągnęli cię za sobą. Tu czekają na ciebie tylko cienie.

Lore doskonale wiedziała, jak to jest zagubić się w ciemności. *P o t r z e b o w a* jej.

Nawet teraz potrafiła wyobrazić sobie, jak zaciska dłonie na szyi Gniewnego i dusi go, aż iskry mocy w jego oczach gasną. Albo jak jej ostrze błyska, wbijając się raz za razem w jego pierś. Od tych myśli wcale nie zrobiło jej się niedobrze.

Wręcz przeciwnie – jeszcze bardziej tego pragnęła.

Pochyliła się do przodu, słysząc głośnie bicie śmiertelnego serca Castora.

– Kiedyś naprawdę wierzyłam w ten świat – powiedziała. – Chciałam wszystkiego, co obiecywał.

– Wiem – przyznał. – Ale nie sądziłem, że będziesz chciała wygrać Agon. Myślałem, że go zniszczysz.

Lore zastanowiła się nad jego słowami. Zmieszała się i zmarszczyła czoło. Zanim zdążyła zadać mu pytanie, panującą wokół ciszę rozdarł huk, a następnie wściekły okrzyk.

Iro wreszcie się obudziła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY



ZANIM LORE DOTARŁA DO BIURA, IRO ZDAŻYŁA CHWYCIĆ RAMIENIEM GARDŁO MILESA i przycisnąć ostry koniec noża do listów do jego tętnicy szyjnej.

Van wyciągnął ręce i zaczął mówić coś niskim, spokojnym głosem, podczas gdy dziewczyna ciągnęła Milesa w stronę drzwi. Atena przyglądała się wszystkiemu z kąta, stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wyglądała na rozbawioną, choć dory miała w zasięgu ręki.

– Nie! – zawołała Lore i płynnym ruchem wytrąciła Iro nóż, dając Milesowi czas na wyrwanie się i odczołganie na bok. – Iro, posłuchaj mnie!

Próbowała przytrzymać jej ręce, ale Iro zawsze była szybka, kiedy kierowała się instynktem.

Momentalnie sięgnęła po jeden ze stojących na półce ciężkich segregatorów i cisnęła nim w Castora. Wyglądała, jakby działała w amoku.

Nowy bóg odsunął się i segregator uderzył w ścianę. Szeroko otwartymi oczami Castor spozjrzał na Lore, jakby nie wiedział, co powinien zrobić.

Iro wreszcie ją dostrzegła i nagle do niej doskoczyła. Nie chciała jej zaatakować, lecz osłonić przed pozostałymi.

– Uciekaj stąd, Melora! – zawołała.

– Hej! – jęknął w tym samym momencie Miles. – To dokumenty pani Cheong!

Jego reakcja zaskoczyła Iro. Odwróciła się do niego.

– Że co?

Lore otrząsnęła się z szoku wywołanego zachowaniem przyjaciółki i wykorzystując chwilę jej nieuwagi, objęła ją ramionami.

– Puść mnie! Musisz stąd uciekać! – warknęła Iro przez zaciśnięte zęby. Szarpała się i rzucała, próbując się wyrwać. Jej subtelny francuski akcent zyskiwał na sile w tych rzadkich przypadkach, kiedy podnosiła głos.

– Uspokój się! – huknęła Lore i pociągnęła ją na ziemię. – Nikt nigdzie się nie wybiera. Jesteś tu bezpieczna. Ja zresztą też.

– Iro – odezwał się Van i ukucnął obok nich. – To jest Castor Achilleos. Współpracuje z nami, tak jak Atena. Staramy się zabić Gniewnego. To dzięki jego mocy udało ci się uciec. Gwarantuję, że cię nie skrzywdzi. Nikt z nas tego nie robi.

Iro wyrwała się Lore i obróciła, żeby spojrzeć jej w twarz. Czarne szaty łowieckie odsłoniły cienką zbroję, którą nosiła pod spodem. Dobrą chwilę zajęło jej zrozumienie tego, co powiedział Van.

– Przecież Castor Achilleos nie żyje. Sama mi to mówiłaś... A może wtedy też kłamałaś?

– Tak mi powiedzieli twoi ludzie – przypomniała Lore i podniosła się z ziemi. Miała wrażenie, że na samo wspomnienie tego dnia zwymiotuje. Wciąż pamiętała satysfakcję malującą się na twarzy archonta Domu Odyseusza, kiedy nachylał się nad nią, mówiąc: *Dla nas to jeden Achilleos mniej do zabicia.*

– Przecież wiesz, co się stało z Achillesdami – stwierdził Van. – Wszyscy, którzy przeciwstawiają się Gniewnemu, powinni zewrzeć szyki. W przeciwnym wypadku zginą.

– To nie jest Castor – warknęła Iro. – To nie jest twój przyjaciel.
– Owszem, jest – odpowiedziała Lore i stanęła obok niego. – Jest moim przyjacielem w tym samym stopniu, w jakim Strażnik Serc był twoim ojcem.

– On... on nie był... – Iro usiłowała dobrać właściwe słowa. – On jest... był... moim panem. Naszym obrońcą. On...

– Był twoim ojcem – powtórzyła Lore.

Przez długie lata piastował funkcję archonta Odyseidów, a w czasie ostatniego Agonu został nową Afrodytą. Lore trafiła do nich nieco później i nigdy nie była świadkiem tego, jak Strażnik Serc objawiał się w formie fizycznej.

Z opowieści Iro i kilku innych członków jej rodziny wynikało, że choć był człowiekiem surowym, nie należał do osób, które nie kochałyby swojego jedyne dziecko.

Jego ród zawsze starał się kierować logiką. Przedkładał ją nad wszystko inne, włącznie z emocjami. Iro taka nie była, a przynajmniej nie zawsze. Zanim Lore znalazła schronienie u Odyseidów, spotkała ją tylko raz, a jednak dziewczynka potraktowała ją, jakby sypiały w jednej kołysce. Weszła się w rolę starszej siostry, choć była zaledwie o rok starsza.

W ciągu kilku pierwszych tygodni spędzonych w posiadłości Odyseidów Lore była oszołomiona śmiercią swojej rodziny i żyła tylko dlatego, że Iro ją do tego zmuszała. Podsuwała jej jedzenie i cierpliwie rozmawiała, kiedy nocą Lore budziła się z krzykiem. Pozwalała jej również towarzyszyć sobie przez cały dzień. Dlatego Lore podziwiała ją nie tylko za niezwykłą siłę czy dryg do walki. Większe wrażenie robiła na niej empatia, której zresztą Iro próbowała się oduczyć.

– Ona tego nie zrozumie – powiedział Castor. – Bo nie chce zrozumieć.

– Niczego o mnie nie wiesz! – huknęła Iro. – Podjedź bliżej i przekonaj się, czy rzeczywiście nie rozumiem, kim naprawdę jesteś! Zabiłeś Apolla! Jak dumny z siebie byłeś, kiedy zastawiłeś na niego pułapkę? A może zaatakowałeś go niczym tchórz, z daleka, albo ukradłeś jego moc swojemu archontowi?

Wszyscy w pokoju spojrzeli na Castora, którego twarz zmieniała się niczym niebo o wschodzie słońca. Szok przeszedł w zaprzeczenie, a ono z kolei w desperację.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał – Mów!

Iro wyglądała, jakby właśnie go pokonała.

– A zatem to prawda. Wstąpiłeś w sposób niehonorowy.

– To... – Lore urwała, kiedy spojrzała na przyjaciół. Dostrzegła szczerą nienawiść u Iro i nagłą niepewność Castora. – To niemożliwe. Castor był wtedy przykuty do łóżka!

Nowy bóg wypuścił powietrze z płuc, a jego dłonie zacisnęły się na wspomnienie tamtych dni.

– Tylko powtarzasz plotki – zarzucił Iro Van. – Odyseidzi słyną z powtarzania bredni i kłamstw. Starają się nimi przykryć swoje niepowodzenia.

– Jeśli ona kłamie – zwróciła się Atena do Castora – to opowiedz nam, jak było naprawdę.

– Niczego nie zamierzam wam opowiadać – odparł. – Odyseidzi wszystko potrafią przekręcić. Nigdy nie miałem honoru i teraz też nie zamierzam się nim przejmować.

– Możesz się nie przejmować – stwierdziła Iro, spoglądając to na jednego, to na drugiego boga. – Ale i tak zrobię to, czego nie udało się Melorze. Dopilnuję, żebyś zginął z rąk członka Domu Odyseusza. Odzyskam kleos skradzioną mojemu panu po śmierci.

Atena prychnęła, ale Lore słowa Iro tylko przestraszyły.

Usłyszała w nich siebie.

Usłyszała swoich rodziców i instruktorów. Usłyszała wersy ze starożytnych tekstów,

które wielokrotnie przeglądała. Nawet logiczne myślenie nie pozwalało przebić się przez siedemnaście lat starannego uwarunkowywania psychologicznego.

– Masz jego spojrzenie – powiedziała spokojnie Atena.

– Nie wspominaj o... Strażniku Serc – ostrzegła ją Iro.

– Nie mówię o nim – stwierdziła bogini. – Mówię o Odyseuszu.

Zapadła długo cisza.

– Próbuje zabić Gniewnego – oświadczyła w końcu Lore, powtarzając słowa Vana. – Nikt nie zamierza cię tu skrzywdzić. Wybraliśmy się dziś do Domu Itaki, żeby zawrzeć pokój z twoim ojcem i Odyseidami. Chcieliśmy uprzedzić Gniewnego, ale się spóźniliśmy.

Ściągnęła na szyi Iro się napięły. Oddychała z trudem.

– Jeńcy z autobusu są cali i zdrowi – dodał Van. – Udało mi się ich wywieźć w bezpieczne miejsce, a nie zdołałem zrobić tego samego dla większości ludzi z mojego rodu. Nasz archont nie żyje i nikt nie chce zająć jego miejsca. Ty przynajmniej możesz służyć swoim krewnym.

– Ale nie mogę być archontem – stwierdziła ostrym tonem Iro.

– Dlaczego nie? – zaprotestowała Lore.

– Bo żadna kobieta nie może zostać archontem starożytnego rodu. Ale jeśli moi bliscy rzeczywiście żyją, to... pójdę do nich.

Nieco się rozluźniła. Lore po raz pierwszy wyczuła, że jej przyjaciółka się otworzyła.

– Musimy wiedzieć, co powiedziałaś Gniewnemu – stwierdziła. – Czy chodziło mu o wiersz? Jego oryginalną wersję?

Iro znieruchomiała z rękami zaciśniętymi w pięści. Chciała rzucić się do ucieczki albo przynajmniej walczyć, jednak umysł zatrzymał ją w miejscu.

– Porozmawiamy na osobności? – zapytała Lore. – Tylko we dwie?

Dziewczyna się zawahała. Dawno nic tak Lore nie zabolęło jak jej reakcja.

– Kiedyś przecież potrafiliśmy ze sobą rozmawiać – westchnęła. – Naprawdę aż tak mnie nienawidzisz?

Iro zbladła.

– Wcale cię nie nienawidzę...

Telefon Vana zapiszczał, rozładowując napięcie. Jego ciemne oczy spojrzały na Iro.

– Nigdzie go nie widziano – powiedział ostrożnie. – Ale pojawiła się nowa kategoria poszukiwań. Powinna cię zainteresować, Lore.

Obrócił telefon i lekko uniósł, żeby mogła spojrzeć w ekran.

– O cholera! – jęknęła i jakby nie dowierzając, wyjęła mu aparat z dłoni.

Melora Perseous znalazła się tuż pod Bachantem, ale przed Castorem. Lore kliknęła w swoje imię i mapa Manhattanu rozświetliła się niewielkimi kropeczkami, które oznaczały przypuszczalne miejsca jej pobytu. Niektóre z nich były niepokojąco trafne – w pobliżu restauracji, w której odbywała się walka, albo przed Domem Tetydy. Pozostałe rozrzucano po całym dolnym Manhattanie, także w miejscach, w których w ostatnich dniach nie była.

Wolną rękę otarła o dzinsy, próbując ukryć, jak bardzo się jej spociła. W uszach słyszała narastający szum. Próbowала się odezwać, ale nie wykrztusiła nawet jednego słowa.

– Tylko Gniewnemu mogło zależeć na informacjach o tobie – oświadczył Van. – Musiał wysłać wielu łowców na poszukiwania, skoro dokonali tak wielu obserwacji.

Lora zmusiła się do zaczerpnięcia kolejnego oddechu. Oddała telefon Vanowi.

– Zraniłam jego dumę. Wymknęłam się mu, choć starał się położyć kres Domowi Perseusza. Nie daruje mi tego.

– Nie, nie daruje – przyznał cicho Castor.

Niepokój wrócił i ponownie zmiękczył jego spojrzenie. Lore wkurzało to, że pomimo swojej mocy i jakże oczywistej siły fizycznej wciąż pod jej wpływem zachowywał się jak mały chłopiec. Miał naprawdę trudny tydzień, a na dodatek ją na głowie.

– Dlatego musimy dopaść go jako pierwsi – stwierdziła Lore.

– Nie inaczej. – Atena kiwnęła głową.

– Jeśli chcemy odnaleźć Bachanta, powinniśmy już się zbierać – oświadczył Van, po czym wstał. Część pieniędzy włożył do swojego skórzanego plecaka i wręczył go Castorowi, a resztę do tego, który przyniósł Miles. – Spotkamy się na miejscu. W międzyczasie przerzucę pozostałych Achillesydów do magazynu i załatwię im jakieś zapasy.

– Zamierzasz zabrać też Ody... – zaczął Miles

– Nie – przerwał mu ostro Van.

Lore posłała mu błagalne spojrzenie, ale udał, że go nie widzi. Najwyraźniej nie zamierzał nikomu ujawniać kryjówek Achillesydów ani też oferować jakiejkolwiek pomocy Odyseidom. W sumie w czasie polowania nie spodziewała się niczego innego.

Podążyła za nim przez boczne drzwi, żeby raz jeszcze poruszyć sprawę lokalizacji magazynu. Nieoczekiwanie Iro wyszła za nią na ulicę. Ręce splotła na piersiach.

Lore przez chwilę obserwowała, jak Van znika w ciemności. Korciło ją, żeby go zawołać. Jednak to Iro odezwała się jako pierwsza.

– Podobno to sprawka jego ojca.

– Ale co? – zdziwiła się Lore, odwracając się w jej stronę.

– Jego ręka – odpowiedziała Iro. – Słyszałam, że tata Evandera był tak zawstydzony niechęcią syna do udziału w walkach, że odciął mu dłoń. W ten sposób zapewnił mu możliwość usprawiedliwienia się w sposób h o n o r o w y.

Lore zbladła.

– To niemożliwe. Powiedz, że to nieprawda!

– Albo zrobił to sobie sam. – Jej przyjaciółka się zamyśliła. – Nie ze słabości, wręcz przeciwnie. Z chęci samodzielnego zdecydowania o własnym losie.

Te słowa dały Lore nadzieję, że uda jej się porozumieć z Iro. Jeśli dziewczyna wierzyła, że obcięcie sobie ręki jest przejawem odwagi, a nie zwykłym tchórzostwem, czego zapewne ją uczono, można było spróbować nad nią popracować.

– A polowania i tacy ludzie jak ci, którzy chcieliby, żeby Van uczestniczył w walkach wbrew swojej woli... to naprawdę świat, w który wierzysz? – zapytała. – I czujesz się jego częścią?

– Żaden świat nie jest idealny. Ani ten bogów, ani śmiertelników czy łowców – odpowiedziała Iro. – Wierzę jednak w boski cel. Wierzę w honor i w kleos. I że nigdy nie zostaniemy zniszczeni. Naprawdę w to wierzę, nawet jeśli ty dałaś się zwieść na manowce.

– Wiesz przecież, dlaczego odeszłam – stwierdziła Lore. – Wszyscy wiedzieli, kim był ten człowiek, a mimo to nikt nie zaprotestował. Gdzie podział się honor twojego rodu, kiedy nominowano go na najwyższe stanowisko? Gdzie był w tym kleos, Iro?

Dziewczyna spuściła wzrok.

– Trzeba było zostać. Ochroniłabym cię.

– Nie dałabyś rady.

– Dałabym... – szepnęła.

– Masz prawo w to wierzyć – powiedziała Lore. – Ale czy możesz uczciwie powiedzieć, że nie zabiliby mnie za to, co zrobiłam?

– Nie wiem, co by zrobili – przyznała Iro. – Nie rozmawiamy o tym, co się stało. Uznajmy to za straszliwy wypadek.

No jasne, pomyślała z goryczą Lore. Prawda mogłaby przynieść hańbę zmarłym. Oznaczałaby przyznanie się, że należący do ich rodziny potwór nie został zamknięty w labiryncie ani zesłany w jakieś odległe miejsce. Wciąż żył wśród nich.

– Wiem, że nie podoba ci się to, że współpracuję z bogami – przyznała. – Ale spójrz na Prometeusza. Podarował nam ogień, choć dobrze wiedział, jaką zapłaci za to cenę. Czasami nadchodzi taki moment, w którym musisz zdecydować, co jest dla ciebie dobre. A potem działać bez względu na konsekwencje.

Iro wciągnęła niepewnie powietrze.

– Nie urodziłyśmy się, żeby nieść ogień.

– Straciłam całą moją rodzinę – przypomniała Lore. – Nie chcę stracić i ciebie. Zostań z nami, proszę. P o m ó ż nam.

Iro zamknęła oczy i przez dłuższą chwilę milczała.

– Teraz i ja nie mam rodziny – powiedziała.

– Nawet matki? Jesteś pewna?

Dorcas przypominała momentami ducha. Zniknęła kilka dni po pojawieniu się Lore i nikt się tym nie zainteresował. Z wyjątkiem Iro.

Kilka miesięcy później przyjaciółki włamały się do jej zamkniętych komnat w poszukiwaniu odpowiedzi. W pustej skrzyneczce na biżuterię znalazły karteczkę z jednym tylko słowem.

Mákhomai. Prowadzę wojnę.

– Nie mogę wyruszyć z tobą na poszukiwania Bachanta – odpowiedziała Iro. Jej akcent łagodził słowa, łącząc je w cichym szepcie. – Cięża na mnie obowiązki wobec rodu. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że mam wobec was dług do spłacenia. Bo nie przetrwalibyśmy bez waszej pomocy.

Dziewczyna stała, zaciskając dłonie. Lore czekała, próbując ukryć zniecierpliwienie.

– Ten wiersz, o który pytałaś... – zaczęła Iro. – Rzeczywiście istnieje inna, bardziej kompletna wersja przemówienia, które Zeus wygłosił w Olimpii, kiedy wydawał łowcom rozkaz rozpoczęcia Agonu.

Zaskoczona Lore rozchyliła usta.

– I znasz ją? Całą wersję?

Poczuła olbrzymie rozczarowanie, kiedy Iro pokręciła głową.

– Nasz archiwista w zapomnianej skrytce depozytowej w Alpach znalazł liczący setki lat list – kontynuowała. – Napisany przez twojego przodka do jednego z moich.

– List wspominał o istnieniu wiersza? – naciskała Lore.

– Zawierał informację, gdzie go szukać. Jego autor twierdził, że pełna wersja tekstu została spisana na egidzie.

Lore cofnęła się o krok. W uszach jej zaszumiało, niedowierzanie zaś momentalnie opróżniło umysł. Czuła się tak, jakby przez cały czas biegła. Aż do tego momentu.

– To niemożliwe. Bo... wiedziałabym o tym. Mój ojciec by o tym wiedział. Przecież ja...

Przecież ja widziałam tę tarczę.

Ale... czy rzeczywiście? Czy dostrzegłaby wiersz przez tę krótką chwilę?

– Gniewny zna jego treść? – zapytała. W końcu Kadmici posiadali egidę od dziesięcioleci. Mieli czas, żeby poznać każdy jej detal. Odkryć wszystkie tajemnice.

– Wątpię – stwierdziła Iro. – Według listu treść wiersza została ukryta bądź przynajmniej zaszyfrowana. Gniewny mógł się jednak o tym dowiedzieć, bo jego łowcy dostali się do naszego archiwum. Tam trzymaliśmy list.

– Więc dlaczego chciał z tobą porozmawiać? – zapytała Lore. – Czego próbował się od

ciebie dowiedzieć?

Dziewczyna pobrała.

– Jego łowca znalazł nie tylko list, ale także wzmiankę o tym, że udzieliliśmy ci schronienia.

– Nie mów, że...

– Chciał wiedzieć, gdzie się ukrywasz – odpowiedziała Iro. – Być może tylko ty możesz odczytać ten wiersz i dlatego bez ciebie nie zrealizuje swoich planów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY



PODZIELILI SIĘ NA PARY. CHCIELI ODDZIELNIE WYRUSZYĆ DO MUZEUM i dotrzeć na miejsce z różnych stron. Lore starała się zachować spokój, ale w rzeczywistości była kłębkim nerwów.

Podąga Atenie swoją dory, kiedy bogini wysiadła z taksówki kilka przecznic na północny wschód od budynku Fricka. Kierowca podejrzliwie zerknął na ich włócznie – końce obu zawinęły w poszewki na poduszki ukradzione z czyjegoś prania – ale ostatecznie nie zrezygnował z przewozu.

– Tędy – powiedziała Lore i popędziła chodnikiem. Po chwili odwróciła się, gdyż uświadomiła sobie, że Atena nie podąża za nią.

Bogini zatrzymała się w pobliżu schodów kościoła Świętego Jana Chrzciciela. Jej szare oczy pobłyskiwały groźnie na tle głębokiego fioletu późnej nocy. Budynek z klasycystycznym frontonem i kolumnami, renesansowymi dzwonniami i kopułami, wreszcie posągami chrześcijańskich aniołów nagle wydał się Lore ucieleśnieniem historii. Tego, w jaki sposób postępowała naprzód. Jak jedna cywilizacja połykała drugą.

– Wyczuwasz coś? – zapytała Atenę. – Albo kogoś?

Bogini pokręciła głową.

– No dobrze – powiedziała powoli Lore. – Dlaczego więc wyglądasz, jakbyś chciała rozwalić ten gmach gołymi rękami?

Atena posłała jej spojrzenie tak ostre, że mogłoby przeciąć szyć.

– A jak mam patrzeć na świątynię boga, którego wyznawcy zniszczyli kulturę helleńską, sprofanowali nasze pomniki, sanktuaria i miejsca kultu, wypaczyli wiarę ludzi?

– No tak – stwierdziła Lore.

Atena po raz ostatni spojrzała na kościół.

– Ale ten bóg osiągnął coś, czego my nie byliśmy w stanie, nawet pod koniec naszych rządów. Sprawił, że ludzie się go bali. W ten sposób przejął kontrolę nad ich duszami.

– Być może, ale strach to tylko jedna z emocji. Niektórzy twierdzą, że wyznawcy po prostu go szanują i podziwiają jego moce.

– Nie czujesz złości? – zapytała ją bogini. – Życie, jakie niegdyś wiodłaś, też jest zagrożone.

– I dobrze – odpowiedziała Lore. – Wreszcie poczułabym się wolna. Nasze życie jest koszmarem. Oby jak najszybciej się to zakończyło.

Przez twarz bogini przemknął cień zaskoczenia. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Po jej głosie nie dało się tego poznać.

– Nie zaprzeczaj swojemu dziedzictwu – odezwała się. – Nie jesteś zwykłą śmiertelniczką. Widziałam cię podczas walki. Nawet jeśli potrafisz stłumić, uciszyć tę chwalebną wściekłość... wielka wojowniczką wciąż w tobie żyje.

Moje imię znajdzie się w legendach.

Na wspomnienie tej deklaracji i pewności siebie, jaka ją wówczas napędzała, Lore poczuła mdłości. Od tak dawna nie myślała o tym śnie, a teraz ponownie zagnieździł się w jej umyśle. Krawędź tarczy. Złote skrzydło. Oczy w ostrzu miecza.

Brednie. To wszystko brednie.

– Mojry... – zaczęła Atena, lecz Lore pokręciła głową.

– One nie mają z tym nic wspólnego. Wierzę, że decyduję o własnym losie.

– Możesz je odrzucać, ale one nie odrzucą ciebie – odpowiedziała bogini. – Zaprzeczanie nie uchroni cię przed tym, co cię czeka. Co najwyżej przyspieszy bieg rzeczy.

– To twoje zdanie – stwierdziła. – Oznacza też, że pisane ci były wypadnięcie z łask i rola osoby ściganej. Wszystkie ery w historii ludzkości kończyły się w ten czy inny sposób. Z jednym wyjątkiem. Dlaczego era bogów nie miałyby dobiec końca?

– Bo ta era jest wieczna – oświadczyła Atena i sięgnęła po swoją dory. Lore zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do oczu bogini i sposobu, w jaki ich spojrzenie przebijało się do jej wnętrza. – Może rzeczywiście miałam upaść, ale tylko po to, żeby raz jeszcze udowodnić ojcu swoją wartość.

Skoro tak twierdzisz.

Lore pobiegła w dół ulicy, tym razem w nieco szybszym tempie. W końcu i Atena ruszyła się z miejsca.

– Odwagi, Meloro. Jeśli Gniewny wierzy, że jesteś kluczem do odkrycia tajemnic wiersza, to przetrwamy polowanie. Nie może cię przecież zabić. Śmierć ostatniej z Perseidów oznaczałaby koniec jego planów.

– Naprawdę pocieszające – mruknęła dziewczyna.

Na samą myśl o tym ciarki przeszły jej po plecach. Rzeczywiście, po śmierci Dawczyni Przypływów stała się ostatnią ze swojego rodu.

Kiedy Iro pożegnała się z nimi, zostawiając swój numer telefonu, Lore opowiedziała pozostałym o inskrypcji na egidzie. Tak jak się spodziewała, usłyszała mnóstwo pytań, na które nie miała ochoty odpowiadać.

– Nie mogę zdzierżyć myśli o tym fałszywym Aresie posiadającym tarczę mojego ojca...

– zaczęła Atena z ponurym wyrazem twarzy. – Gdyby tylko twój ród był silniejszy – i mądrzejszy – nie straciłby jej...

Gniew zapłonął w sercu Lore zbyt gwałtownie, żeby mogła go stłumić.

– Nie straciliśmy jej. Została nam odebrana razem z całym naszym dobytkiem. Ukradziona.

– Teraz sędzę, że właśnie dlatego nie od razu fałszywy Ares zabił fałszywą Posejdon – stwierdziła bogini. – Pewnie wierzył, że pomoże mu rozszyfrować wiersz z tarczy. W końcu fałszywa Posejdon należała do twojego rodu.

Lore zagryzła wnętrze ust tak mocno, że poczuła smak krwi.

– Możesz mieć rację.

Tak naprawdę Iro widziała tylko fragmenty większego koszmaru. Lore nie bardzo chciała opowiedzieć Atenie o wierszu wyrytym na tarczy, ale jednocześnie dostrzegła w tym szansę. Gdyby bogini uwierzyła, że Gniewny ma tekst na wyciągnięcie ręki – i tym samym posiada klucz umożliwiający mu ucieczkę z Agonu – pewnie miałyby znacznie więcej powodów, żeby skupić się na pościgu za nim.

Problemem pozostawało zapanowanie nad sytuacją po śmierci Gniewnego, kiedy Atena uświadomi sobie, że nie dysponował egidą.

Ale z tą niedogodnością Lore mogła się zmierzyć w dalszej przeszłości. Nie teraz, kiedy po raz pierwszy tego dnia nieco się uspokoiła. Miała bowiem świadomość, że żaden z bogów nie odnajdzie tarczy i nie pozna jej sekretów.

Atena błędnie odczytała jej minę.

– Nie martw się, Meloro – powiedziała. – To, że cię szuka, działa na naszą korzyść.

Ściągnie go wprost na ostrze mojej broni.

– Cudownie – jęknęła Lore. – Już nie mogę się doczekać!

– Nie mogę jednak znieść myśli – ciągnęła bogini, cedząc ostre słowa – że twoi przodkowie skalali tą swoją inskrypcją idealną formę egidy. Zbezcześcili tarczę mojego ojca, choć przecież modlili się do niego i składali mu ofiary, żebząc o błogosławieństwo. Nic dziwnego, że Zeus nie chroni już łowców.

– Nigdy nie potrzebowaliśmy ochrony bogów – odparowała dziewczyna.

Atena zgromiła ją wzrokiem.

– Kiedy ogarnie cię ostateczna ciemność, przypomnisz sobie o nas. Ale jeśli świat nadal będzie wyglądał tak jak teraz, kto z nas zdoła ci odpowiedzieć?

– A skąd pewność, że w ogóle będziemy o was pamiętać?

Bogini nie znalazła dla niej żadnej odpowiedzi.

– Nie obchodzi cię to miasto ani żadne inne – kontynuowała Lore, nie mogąc się powstrzymać. – Zależy ci jedynie na władzy.

Nienawidziła swojego temperamentu bardziej niż czegokolwiek innego.

Irytowało ją zwłaszcza to, jak szybko przechodziła od iskry do wybuchu, podpalając wszystkich dookoła.

– Posłuchaj – dodała, zwalniając kroku. – Nie chciałam...

Zanim zdążyła się odwrócić, coś ostrego dotknęło jej pleców, dokładnie na wysokości nerki. Zerknęła przez ramię.

Patrzyła na nią maska Minotaura.

Lore uniosła swoją dory.

– Nie robiłbym tego – ostrzegł ją łowca. – Na twoim miejscu rzuciłbym broń i po cichu udał się ze mną.

Spojrzała za niego, w głąb ulicy, ale nigdzie nie dostrzegła Ateny.

– Pracujesz z bogami – kontynuował, spychając ją na bok. – Mogłem się spodziewać, że w końcu nas zdradzisz – dodał. Nagle zmienił ton i zaczął mówić do kogoś innego, prawdopodobnie przez słuchawkę. – Tak, powiedz mu, że ją znalazłem.

Lore pochyliła się w lewo i pozwoliła, żeby ostrze ją drasnęło. Zyskała w ten sposób wystarczająco dużo miejsca, żeby zamachnąć się dory. Obróciła się i uderzyła zakrytym grotem prosto w maskę przeciwnika. Jej paski pękły i spadła na ziemię.

– Ty dziwko! – warknął łowca.

Próbowała dźgnąć go włócznią, ale ciął mieczem w dół i drewniana laska pękła na dwie części. Lore obróciła się i odskoczyła w bok, unikając jego ciosu, gdyż teraz zamachnął się na nią. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy poczuł, jak nóż kuchenny na czubku dory przeciął poszewkę na poduszkę i dotknął jego tchawicy.

Ciężko oddychała, a jej ramiona napinały się, by przesunąć się jeszcze trochę do przodu i w ten sposób ostatecznie zakończyć walkę.

– Powinieneś być mnie zabić, kiedy miałeś na to szansę – syknęła.

– Nie mogłem – odpowiedział z dziwnym podnieceniem w głosie.

Nagle obrócił się w lewo i kopnął ją w klatkę piersiową na tyle mocno, żeby posłać ją na chodnik. Kawałek dory wypadł jej z rąk i potoczył się pod stojący tuż obok samochód.

W mgnieniu oka łowca znalazł się na niej, kierując sztylet w stronę jej ramienia. Zablockowała go ręką i próbowała zrzucić z siebie przeciwnika. Jednocześnie starała się namacać resztki dory. Jej dłoń natknęła się na coś innego.

Uderzyła kawałkiem betonu w bok głowy łowcy. Cios odrzucił go na bok. Potem przywaliła mu w twarz i usłyszała jakże przyjemny odgłos krztuszenia się. To krew wypełniała

mu usta. Zaczął pełznąć do tyłu, próbując uciec przed Lore.

Ponownie uniosła kawałek betonu i skupiła wzrok na skroni mężczyzny. Cichy, śpiewny głos Olympii powtarzał w jej głowie słowa, które słyszały tysiące razy. *Zabij lub zgiń. Zabij lub zgiń. Zabij lub zgiń...*

Lore cofnęła się. Łowca leżał na ziemi z zakrwawioną twarzą. Rzęził. Miał mokre płuca i desperacko łapał oddech.

Prawie go zabiłam. Lodowate igły wbiły się pod jej skórę, natychmiast chłodząc buzującą krew. Zadrżała.

Po tym wszystkim... Po tym, czego nauczył ją Gil...

Ktoś wyłonił się z cienia. Atena.

– O n nigdy jej nie dostanie – oświadczyła.

Była ostatnią osobą, jaką łowca zobaczył w swoim życiu.

Ciało młodego mężczyzny zadrżało, kiedy bogini wbiła włócznię w jego klatkę piersiową. Wilgotne cmoknięcie, kiedy ją wyciągała, wydało się Lore jeszcze gorsze. Łowca otworzył szeroko oczy. Próbował coś powiedzieć, ale z jego ust popłynęła tylko krew.

Atena pociągnęła go do najbliższego budynku i oparła o ścianę. Jego własną szatą otarła mu usta, po czym starannie go owinęła, ukrywając ranę.

Potem pochyliła się, żeby znaleźć się na poziomie jego wzroku.

– Kiedy zobaczysz lorda Hadesa – powiedziała – przekaz mu, że reszta potomków Tezeusza wkrótce dołączy do ciebie tam na dole. Właśnie ściągnąłeś to przekleństwo na swój ród.

Lore odwróciła wzrok. Splotła ręce, kładąc sobie dłonie na ramionach.

– Nie zamykaj oczu – skarciła ją Atena. – Nie jesteś tchórzem.

Nie była, ale w tym momencie niemalże zazdrościła Atenie pustki w miejscu, w którym śmiertelnicy nosili człowieczeństwo.

Bogini podała jej sztylet łowcy, po czym sięgnęła po złamaną dory. Jeden z kuchennych noży schowała, a drugi wyrzuciła wraz z kawałkami drewna do pobliskiego rynsztoku.

– Przepraszam – szepnęła Lore. W tym tygodniu nie panowała nad swoim życiem.

– W czasie Agonu nie ma przebaczenia – odpowiedziała Atena. – Jest tylko przetrwanie. I wszystko to, co trzeba w tym celu zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY



KIEDY TYLKO LORE SPOJRZAŁA NA BUDYNEK FRICKA, UŚWIADOMIŁA SOBIE, ŻE JUŻ GO WIDZIAŁA. I to wiele razy. Zazwyczaj przechodziła obok niego, nie zawracając sobie głowy, by się zatrzymać i podziwiać ten piękny duży gmach, rozciągający się pomiędzy ulicami Siedemdziesiątą a Siedemdziesiątą Pierwszą. Nowy Jork był miastem, w którym widziało się tylko to, czego się szukało.

Zamek na ogrodzeniu postawionym przez budowlanców został wyłamany. Lore pchnęła furtkę, odsłaniając znajdujące się metr dalej wejście do muzeum. Miles siedział na stopniach schodów. Usłyszał je i uniósł wzrok. Był blady.

– Wszystko w porządku? – zapytała Lore.

Miles przyciskał butelkę z wodą do piersi.

– Mogłem posłuchać Castora i zostać na zewnątrz.

Atena poruszyła się niespokojnie.

Lore spojrzała w okno drewnianych drzwi wejściowych. Drgnęła na widok dwojga ochroniarzy siedzących na wysokich krzesłach i zwróconych do niej plecami. Pomiędzy nimi stał Castor. To ponury wyraz jego twarzy pozbawił ją tchu.

Poczuła ten zapach, kiedy tylko pchnęła drzwi. Zatęchłe powietrze, rozkład i krew. Włoski na jej ciele stanęła dęba.

– Chcesz poczekać na Vana na zewnątrz? – zapytała Milesa.

Pokręcił głową.

– Nie przyjdzie. Przysłał Castorowi SMS-a, że spotka się z nami w domu.

– To dlaczego od razu tam nie pójdziesz? Nie musisz wracać tu do środka.

– Nie chcę iść do domu – stwierdził z wymuszoną odwagą. – Jakoś sobie poradzę. Mogę tu zostać.

– Ja z kolei nie chcę, żebyś musiał jakoś sobie radzić.

Ale Miles ją minął i wszedł do budynku.

Ruszyła jego śladem. Za sobą słyszała lekki, szybki oddech Ateny. Bogini zbliżyła się do strażniczki po prawej stronie – młodej kobiety, która podobnie jak Lore splotła włosy w warkocze. Opierała głowę o ścianę, jakby przysnęła.

Lore zrozumiała, co się stało, kiedy stanęła obok Castora.

Gardło kobiety zostało rozcięte tak głęboko, że widać było białą kość kręgosłupa. Śmierć przyszła szybko, ale w sposób brutalny. Pewnie nie była w stanie krzyknąć.

Twarz drugiego strażnika została poharatana, a jego męczarnie zakończyły się wraz z ciosem w serce.

– Léaina? – domyślił się Castor. – Kadmici znów nas uprzedzili.

– Albo zrobił to zdesperowany bóg – stwierdziła Lore.

Nie wiedziała, co gorsze.



Znaleźli jeszcze cztery ciała: policjanta i trzech umundurowanych ochroniarzy. Zabójca przeciągnął je na Garden Court i ułożył w groteskowy wzór dookoła nieczynnej fontanny. Ich martwe oczy obserwowały niebo poprzez szklany sufit w kształcie kopuły. Nigdzie nie znaleźli śladów walki czy choćby krwi, a monitory w stróżówce wyświetlały zapętlony obraz.

Wszystko to oznaczało, że za zgonami najprawdopodobniej stali łowcy.

Miles oparł się o jeden filarów, oplatając się ramionami.

Może to go zniechęci, pomyślała Lore. Może jej przyjaciel zrozumie, że nierodowici śmiertelnicy też mogą zginąć, jeśli znajdą się na ścieżce Agonu.

– Wszyscy zostali... – wydawało się, że szuka najprzyjemniejszego słowa na opisanie tej masakry, którą mieli przed sobą – ...poszatkowani. Czy łowcy nie używają broni palnej?

– Niektórzy owszem – odpowiedziała i poklepała go po ramieniu. – Głównie polując na innych łowców. Bogów zabija się strzałami bądź mieczami.

– Dlaczego? – zapytał.

– Słowa Zeusa w Olimpii zinterpretowano jak polecenie – wyjaśniła. – *Wynagrodzę was opończę wraz z niewyczerpaną mocą boga, którego krew splami wasze śmiałe ostrza*. Nikt nie odważył się zweryfikować innych możliwości, bo ryzykowałby utratę boskiej mocy.

Przez chwilę obserwowała, jak Atena za pomocą zabranych ochroniarzom pałek wzmacnia klamki, domykając uszkodzone drzwi.

– Sądząc po stanie ciał, nie żyją od zaledwie kilku godzin – stwierdziła Lore.

Castor kiwnął głową. Prócz ciemniejącej w miarę utleniania się krwi i unoszącego się w powietrzu słabego zapachu śmierci, który zdążył już do nich przyłgnąć, nie zauważyli żadnych oznak rozkładu. Nie nastąpiło też stężenie pośmiertne.

Miles spojrzał na nią zdumiony, ale i przerażony.

– Nie znaleźliśmy żadnych pracowników muzeum ani robotników budowlanych. Podejrzewam, że do ataku doszło już w czasie nocnej zmiany – dodała. – W przeciwnym razie ktoś by ich szukał, prawda?

– Myślicie, że Bachant zdołałby to zrobić? – zapytał zdumiony Castor. – I to sam?

– Owszem – odpowiedziała Atena i sięgnęła po swoją dory. – Nie przeżyłby tak długo, gdyby miał łagodne usposobienie.

– Nie mogę doczekać się spotkania z nim – jęknął Miles. – Prawdopodobnie powinniśmy uprzątnąć ciała, zanim pojawi się kolejna zmiana.

Odsunęli krzesła z ochroniarzami spod wejścia i wytarli swoje odciski palców. I choć Castor stopił zamki w drzwiach, to Miles miał rację. Stojąc bezczynnie, marnowali tylko czas i ryzykowali, że ktoś zobaczy ich przy ciałach.

Jeśli Kadmici ponosili odpowiedzialność za te morderstwa, to jeszcze przed wschodem słońca powinna pojawić się tu specjalna ekipa i oczyścić miejsce zdarzenia.

Lore miała nadzieję, że tak się stanie. Wiedziała, że w policyjnych archiwach nie ma odcisków jej palców ani choćby fragmentu jej DNA. Podobnie było z bogami, jednak policja mogła mieć ślady biologiczne Milesa, a to pozwoliłoby powiązać ich ze zbrodnią.

– Miej oko na wejście, uzurpatorze – rzuciła Atena i przeniosła wzrok na Lore. – Zaczniemy od dołu i będziemy stopniowo przesuwać się ku górze.

Castor wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale ostatecznie przystał na tę propozycję.

– Jeśli natkniecie się na niego, nie rozmawiajcie z nim. Najpierw musimy przekonać się, w jakim jest stanie. Dopiero potem możemy wykorzystać go jako przynętę.

Atena uśmiechnęła się bezdusznie.

– To w sumie zabawne, że próbujesz dać wykład ze strategii komuś takiemu jak ja.

– Idziesz z nami, Miles – zdecydowała Lore. – Tylko... jak dostaniemy się na dół?



Niższe poziomy budynku okazały się równie mroczne i spokojne co górny. Lore wyciągnęła rękę, próbując namacać ścianę. Korytarz byłby pogrążony w całkowitych ciemnościach, gdyby nie blask neonu wyjścia awaryjnego.

Z tylnej kieszeni wyjęła telefon komórkowy i włączyła latarkę. Poprowadziła grupę do pierwszej z dwóch galerii połączonych długim korytarzem. Na czas remontu wyniesiono z niej obrazy i dokumenty, pozostawiając puste ściany z tabliczkami informacyjnymi.

Poza dolnymi salami oraz westybulę nie zauważyła żadnych oznaczeń, które pomogłyby im przemieszczać się po budynku. Odnalazła jedynie ciąg drzwi prowadzących do części administracyjnej.

Drzwi, które zostały wyważone.

Atena odsunęła jedno z nich na bok i uniosła włącznik. Lore skinęła na Milesa, żeby trzymał się za nią. Światło padające z jej telefonu przesunęło się po pokoju biurowym i przyklepionym do niego magazynku. Oba pomieszczenia wyglądały, jakby zostały wypatroszone i krwawiły pudłami oraz papierzyskami.

Podążyli śladem połamanych mebli przez kolejne sale. Znaleźli rozbite skrzynie transportowe z pociętymi na strzępy obrazami, strzaskanymi wazami i zegarami.

Minęli znaną już sobie kręgielnię i kontynuowali poszukiwania, aż w końcu Lore natrafiła na wskazówkę, co znajdowało się przed nimi.

Skarbiec muzeum.

Podskoczyła, kiedy dudniący huk rozdarł powietrze. Po nim nastąpił kolejny i jeszcze następny – do tego brzdęk sypiącego się szkła. Czyjś ochryply głos ryknął z frustracji.

Lore sięgnęła po sztylet zabitego łowcy, który przywiązała do uda paskiem materiału. Wyłączyła latarkę i podała telefon Milesowi. Kiwnął głową ze zrozumieniem, kiedy przyłożyła palec do ust, ale zignorował ją, gdy kazała mu zostać z tyłu, a sama podeszła do drzwi i ostrożnie je otworzyła.

Obrazy przechowywano na przesuwanych ścianach zrobionych z cienkich, metalowych płacht ustawionych niczym regały w bibliotece. Za nimi ciemny korytarz ciągnął się w lewo. Lore wyjrzała za róg tylko po to, żeby momentalnie cofnąć się wraz z kolejnym rozdzierającym hukiem.

Miles posłał jej pytające spojrzenie. Atena ponagliła kiwnięciem głowy.

Lore zbliżyła się do drzwi znajdujących się na końcu korytarza. Były lekko uchylone, więc kiedy szła wzdłuż ściany, dokładnie widziała, co czekało na nich wewnątrz.

Po pomieszczeniu, pomiędzy wiszącymi na ścianach półkami pełnymi kartonów, zegarów i figurek, krążył prawdziwy gigant – potężny mężczyzna o czujnym spojrzeniu. Kamienne popiersia i posągi z brązu obserwowały go z platformy pośrodku. Ledwo przetrwały kolejne gniewne machnięcie ręką.

Ściągnął jedno z pudeł z pobliskiej półki i burcząc coś pod nosem, rzucił je na ziemię. Momentalnie rozpadło się i rozsypało swoją zawartość po podłodze. Mężczyzna odrzucił na bok resztki rozbitej wazy. Wylądowały pomiędzy wszechobecnymi odłamkami szkła i skrawkami opakowań.

Iason Herakliou. Nowy bóg wciąż nosił błękitną tunikę i sandały. Strój miał ubrudzony trawą i ziemią.

Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w średnim wieku, który – choć wciąż był sprawny –

łysiał już i przejawiał inne oznaki starzenia. Ten człowiek jednak, nowy bóg, wydawał się wyrzeźbiony z nagrzanego słońcem piaskowca. Włosy miał niemalże w tym samym odcieniu co ciemnozłote kosmyki Ateny, a skórę oliwkową, choć pokrytą brudem i zaschniętą krwią.

Bachant sięgnął po stojącą na jednej z półek butelkę whisky. Pociągnął długi łyk palącego płynu. Następnie przechylił ją, wylewając resztę jej zawartości na ogromną ranę na udzie. Ryknął z bólu, uderzając pięścią w ścianę z pustaków. Dopiero po chwili poczuł się lepiej.

Lore wyciągnęła rękę do tyłu i nawet nie patrząc, złapała Milesa za koszulę. Pchnęła go do tyłu, a potem wskazała przeciwny koniec korytarza. Miejsce, gdzie będzie bezpieczny.

Dokładnie w tym samym momencie jego telefon wydał z siebie ogłuszający dźwięk.

– Cholera – jęknął chłopak i sięgnął po niego do kieszeni.

Nacisnął kilka klawiszy i z głośnika popłynął głos jego matki.

– Miles! Znowu potrzebuję twojej pomocy...

Lore spojrzała na niego.

Rozłączył się, ciężko oddychając, po czym przełączył na tryb cichy i przycisnął aparat do piersi.

Drzwi skarbca zatrzasnęły się, a echo poniosło ten dźwięk w przerażającej ciszy, która zaraz potem nastąpiła. Lore sięgnęła po nóż. Nadstawiła uszu, próbując wychwycić odgłos kroków nowego boga. Nie usłyszała zupełnie nic.

Gdzie on się podział?, pomyślała, czując pot spływający jej po wardze. *Dokąd, do diabła, polazł?*

Fala tynku i betonowych odłamków wylała się ze ściany po prawej stronie. Siła eksplozji pchnęła ogłuszoną uderzeniem w głowę Lore do tyłu – a po chwili ręka, która wyłoniła się z dziury, zacisnęła się na jej gardle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY



CHWYCIŁA DUSZĄCĄ JĄ DŁOŃ. Głowa pękała jej z bólu, w dodatku dławiąca chmura pyłu ją oślepiła.

Nowy bóg zacisnął mocnej palce i przed oczami zrobiło jej się ciemno. Poczuła też, jak kręgosłup jej się wygina, gotowy pęknąć. Zaczęła dźgać sztyletem jak szalona, aż w końcu przebiła się przez skórę przedramienia. Bachant zawył z bólu i rozluźnił uścisk na tyle, że mogła osunąć się na kolana i kaszłąc, przetoczyć się na bok.

Cofnął rękę za ścianę. Otwór, który pozostawił, odsłaniał resztę pomieszczenia. Rozciągało się ono dokładnie do tego miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stała.

Świetny wybór, jak zawsze, skrzywiła się.

Atena łypnęła na nią groźnie i odsunęła na bok. Za pomocą dory zaczęła powiększać dziurę w uszkodzonej ścianie. Otwór musiał być na tyle duży, żeby dało się przez niego przejść.

– Bachancie! Nie chcemy cię zabić! – zawołała szorstko Lore. Odpowiedziało jej niemal zwierzęce warczenie. Półki za ścianą zaczęły spadać w ogłuszającej kakofonii.

Atena wyrwała ostatni blok betonu i zajrzała do skarbca. Lore ruszyła za nią, odwracając się do Milesa.

– Leć po Castora!

Nie czekała, by sprawdzić, czy ją usłyszał.

– Wiedziałem, że w końcu po mnie przyjdiesz, ty nienawistna suko! – wycodził Bachant i zgrzytnął zębami.

Atena zapędziła go w kąt. Do obrony miał jedynie sztylet Lore, który zdążył już wyrwać sobie z ramienia, oraz wieko skrzyni służące mu za tarczę.

Atena z kamienną twarzą obserwowała, jak drży ze wściekłości.

– Nikt nie zamierza cię zabić – powtórzyła Lore i wyciągnęła dłonie, pokazując, że nie ma w nich broni. Chciała go w ten sposób uspokoić.

– Mogę jednak zmienić zdanie – dodała chłodno Atena.

Twarz Bachanta wykrzywiła się w grymasie nienawiści i oburzenia. Widok pijanego boga pograżonego w chaosie, strachu i chęci przeżycia mógłby wzbudzić w Lore litość, gdyby nie sześć ciał niewinnych ludzi, które widziała na górze.

– Nazywam się Melora Perseous – oświadczyła.

Bachant zaśmiał się ponuro.

– No jasne! Niech to wszystko cholera weźmie! Nie wiem, dlaczego spodziewałem się kogoś innego. Przecież ten cykl od początku jest totalnie gówniany.

Nie była pewna, jak zareagować, dlatego kontynuowała:

– Apeluję do ciebie, potomku potężnego Heraklesa, który był najbardziej znanym i cenionym ze starożytnych Perseidów...

– Te brednie na mnie nie działają, kretynko – warknął Bachant. – Mam to wszystko w poważaniu, a nawet gdybym nie miał, to przypominam, że na długo przed rozpoczęciem Agonu Eurysteusz z Perseidów próbował zgładzić wszystkie dzieci Heraklesa.

– Racja – wykrztusiła Lore, przypominając sobie ten mroczny epizod z historii swojego rodu. – Punkt dla ciebie. Teraz jednak przyszliśmy tu tylko po to, żeby porozmawiać.

– Chyba że wolisz się bić? – zapytała Atena. – Tak czy inaczej, wydusimy z ciebie odpowiedzi.

– Myślisz, że nie wiem, że ty i ta psychopatka planujecie strącić głowy wszystkich bogów? – zawołał. – Spróbuj tylko sięgnąć po moją. Śmiało!

– Gdyby tak było, to czy współpracowałybyśmy z nowym Apollem? – zauważyła Lore.

– Kłamiesz. – Bachant skierował sztylet w jej stronę.

– Ona nie kłamie. – Rozległ się głos za nimi.

Castor przeszedł przez otwór w ścianie, spojrzał na Lore, po czym zwrócił się w stronę drugiego nowego boga.

– Więc jesteś największym głupcem w tym pomieszczeniu – oświadczył Bachant i zrobił krok do przodu. – Jakiegokolwiek masz plany, ona jest dziesięć kroków przed tobą. Ty... nie masz pojęcia. Rzeczy, które od niego o niej usłyszałem...

Od niego, pomyślała Lore. Czyli Hermesa.

– Niech i tak będzie – stwierdził Castor i stanął obok przyjaciółki. – Ale to Gniewny zabija nowych bogów, a nie my.

Bachant parsknął.

– Gniewny nie tylko zabił Hermesa – kontynuował nowy Apollo. – Uśmiercił też Dawczynię Przyływów i Strażnika Serc. Próbował też dopaść mnie. Chcemy go powstrzymać...

– Ja go zabiję – oświadczył Bachant, ocierając pot z blednącej twarzy. – J a , nikt inny. Zabiję każdego gówniarza, który wejdzie mi w drogę.

– Chyba że Gniewny dopadnie cię jako pierwszy – wtrąciła Lore.

– Myślisz, że nie wiem? – zapytał szyderczym tonem. – Wiedziałem, ile będzie mnie kosztowało wyrwanie się z jego kręgu.

– Hermes... – zaczęła.

– Nie waż się wymawiać jego imienia! – warknął. – Zwłaszcza ty... Nawet nie próbuj!

– Ja? – zdziwiła się Lore. *O co mu, do cholery, chodzi?*

Bachant otarł usta wierzchem dłoni, ale nic nie powiedział.

– Jesteś sam – przypomniła. – Potrzebujesz pomocy. Możesz się tutaj wykrwawić, jeśli chcesz, tylko po co? Jaki to wszystko ma sens?

– Zawarłam sojusz z fałszywym Apollem – oświadczyła Atena. – Tymczasowo poszerzę go o ciebie, o ile zgodzisz się pomóc nam wyciągnąć Gniewnego z ukrycia.

– Mam być przynętą? Do tego mnie zredukowaliście? – zaśmiał się sardonicznie i pokręcił głową.

Próbował się wyprostować, nie opierając się o ścianę za plecami. Lore nie była pewna, czy zdaje sobie sprawę z tego, jak rozpaczliwie się prezentuje. Rana na jego nodze była znacznie gorsza od tej, którą mu zadała. Zrobiła się czerwona. Wdzierała się w nią infekcja.

– Wolałbym, żebyś po prostu wbiła mi nóż w brzuch – syknął. – No dalej, zakończ tę marną namiastkę egzystencji! To wszystko – całe to gówno – nic już dla mnie nie znaczy. Nawet rzekomo wielki Apollo zdawał sobie z tego sprawę. On to wiedział!

– O co ci chodzi? – zapytał Castor. Nie zdołał ukryć zaskoczenia i ciekawości. – Co wiesz o jego śmierci?

Powietrze zdawało się uciekać z piersi Bachanta. Pochylił się, a potem zsunął wzdłuż ściany na ziemię.

– Nic nie wiem – przyznał. Dotychczasowy wysiłek w połączeniu z alkoholem przerodził się wreszcie w wyczerpanie. – Tylko tyle, że polowanie jest straszliwie długie. Nie każdy może je znieść.

Castor powoli do niego podszedł. Wyjął sztylet z jego luźnej dłoni i podał go Lore. Potem

spojrzał na mężczyznę ze współczuciem, na jakie nowy bóg nie zasługiwał.

– Dlaczego przyszedłeś właśnie tutaj? – zapytała Atena i rozejrzała się ze wstrętem po zniszczonych dziełach sztuki. – Czego tak desperacko szukasz?

– Sądziłem, że coś dla mnie zostawił. Że ukrył to tutaj – odpowiedział Bachant, spoglądając gdzieś pomiędzy nich.

Lore oddychała nierówno. Zaciśnęła wolną rękę w pięść.

– Dlaczego po ostatnim Agonie zdecydowałeś się współpracować z Gniewnym? – naciskała. – Dlaczego zgodziłeś się na to, choć Hermes mu odmówił?

Nowy bóg nie odpowiedział.

Lore dotknęła skóry na głowie, którą rozcięły przelatujące odłamki betonu. Spojrzała niepewnie na Castora. Ukucnął przed Bachantem.

– Przysięgnij mi, że nie zabijesz nikogo z moich towarzyszy i że odpowiesz na wszystkie nasze pytania – powiedział. – Wtedy cię uzdrowię.

Nowy bóg parsknął.

Temperament Lore przypomniał o sobie, lecz Castor nigdy nie tracił rozsądku.

– Będiesz miał większą szansę na przeżycie, jeśli zdołasz uciec łowcom, Iason. A naprawdę dużą, jeśli nam pomożesz.

Kiedy Bachant usłyszał swoje śmiertelne imię, jego nozdrza się rozszerzyły. Lore była pewna, że odmówi – że ichor, moc i niekończąca się przemoc pozbawiły go jakichkolwiek śladów człowieczeństwa. Nieoczekiwanie jednak jego dzikość wyparowała.

– Dostrzegasz logikę w tymczasowym sojuszu – zauważyła Atena. – Być może jest dla ciebie jeszcze nadzieja.

– Wiecznie tylko się wywyższasz – westchnął kpiąco.

– To mamy umowę czy nie? – naciskał Castor.

Ostatnie ślady rozbawienia zniknęły z twarzy Bachanta. Spojrzał na Castora, na całą ich grupę. Lore niemal czuła, jak jego umysł szuka jakiegokolwiek innej możliwości.

– Odpowiem na dwa wasze pytania – powiedział w końcu. – Ale nie pomogę wam zabić Gniewnego. Nie będę waszą cholerną przynętą.

Atena położyła swoją zimną, ciężką dłoń na ramieniu Lore. Dotyk uspokoił zarówno myśli dziewczyny, jak i buzującą w niej złość.

– Wystarczą dwie odpowiedzi.

– Praca ze śmiertelnikami – parsknął Bachant, a pokraczny uśmieszek powrócił na jego twarz. – Ty stara bidulko. Kiedyś władałaś całymi cywilizacjami, teraz zaś jesteś historią, która gaśnie z pokolenia na pokolenie. Pewnie wciąż tęsknisz za wrywaniem śmiertelnikom serc z piersi...

Atena gwałtownie doskoczyła do niego, odkopując stopą beton z podłogi.

– Proszę bardzo. Cała ona! – zadrwił.

– Na twoim miejscu zamknęłabym się, bo jeszcze pozwolę jej cię zabić – rzuciła chłodno Lore. – Jest tym, kim zawsze była. Natomiast ty urodziłeś się śmiertelnikiem, a mimo to nie miałeś problemu z zamordowaniem sześciu niewinnych osób. Nie miały nic wspólnego z Agonem!

Bachant powoli podniósł się z ziemi i – wyraźnie zaskoczony – zmarszczył.

– O czym ty, dzieciaku, gadasz? Nie zabiłem nikogo od czasu Przebudzenia – powiedział.

– Być może w tym budynku ktoś zginął, ale nie od mojego ostrza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY



CASTOR WYLECZYŁ RANĘ BACHANTA NA TYLE, ŻE NOWY DIONIZOS WYSZEDŁ ZE SKARBCA na własnych nogach. Chciał jak najszybciej zobaczyć ciała zamordowanych, choć zniechęcała go do tego świadomość, że podczas wspinaczki po schodach będzie musiał skorzystać z czyjejś pomocy.

Atena szła na czele grupy, starannie sprawdzając kolejne spowite mrokiem korytarze i pomieszczenia. Lore maszerowała z tyłu, pozwalając swojemu wzrokowi wędrować po ciemnych zarysach idących przed nią towarzyszy. Dłoń trzymała na rękojeści noża, który ponownie przywiązała do uda.

Miles czekał na nich przy schodach, obejmując się ramionami.

– W porządku? – szepnęła.

Skinął głową, choć jego twarzy wciąż brakowało kolorów.

– Uzurpatorze. – Atena ściszyła głos. – Jak to możliwe, że zabójcy cię nie znaleźli, a ty nie znasz ich tożsamości?

Lore też się na tym zastanawiała. Wiedziała, że to byli łowcy – tylko do którego domu należeli?

– Ukryłem się w jednej ze skrzyń. Siedziałem w niej, aż na górze ucichło, a ochroniarze nie przyszliz na obchód... Cholera!

Zraniona noga ugięła się pod nim i prawie się przewrócił. Castor wyciągnął ręce, żeby go złapać, ale drugi nowy bóg odgonił go warknięciem.

– Pozwól, że dokończę leczenie – spróbował ponownie. – Wolałbym, żebyś nie zemdłał ani nie umarł, zanim nie udzielisz nam odpowiedzi, które w swej szczodrości nam obiecałeś.

– W takim razie pytaj, ośle – rzucił Bachant i się wyprostował. Jego oczy zabłyśły. – Wreszcie będziemy mogli zakończyć naszą znajomość.

Castor spojrzał na niego niewzruszony. Milczał z tego samego powodu co Lore – żadne z nich nie chciało zmarnować obiecanych odpowiedzi, zadając niewłaściwe pytania.

Nawet Atena wydawała się pochłonięta jakąś strategią, którą analizowała w myślach. Stała tak spięta, że Lore zaczęła się obawiać, iż każde kolejne szyderstwo Bachanta skończy się dla niego grotem dory wbitym w brzuch.

– No dobra, to ja zacznę – odezwał się Miles. Zanim Lore otworzyła usta, żeby go powstrzymać, było już za późno. – Dlaczego zdecydowałaś się współpracować z Gniewnym, a Hermes nie?

– Ponieważ dostrzegłem potencjał w jego wizji – odparował Bachant. – A Hermes nie lubił go i mu nie wierzył.

Lore miała właśnie zapytać go, jaka to wizja kazała Gniewnemu zabijać wszystkich swoich rywali i szukać wiersza, jednak Miles znów ją uprzedził.

– Pewnie zabołało cię, kiedy nazwał cię głupcem i cię porzucił – stwierdził. – Mimo to nie wycofałeś się z układu aż do Przebudzenia, choć przecież musiałeś wiedzieć, że Gniewny planuje zabić swoich wrogów, w tym Hermesa. Podejrzewam, że wasza umowa zakładała, że nic mu nie będzie grozić.

Nawet w ciemności Lore dostrzegła, jak górna warga Bachanta unosi się, odsłaniając

zęby.

– A teraz uważasz, że Hermes ukrył tu coś dla ciebie – kontynuował Miles. – Prawdopodobnie kontaktowałeś się z nim przed rozpoczęciem Agonu. I wiedziałeś, co robił przez ostatnie lata. No chyba że tylko zgadujesz, że coś ci zostawił, czego oczywiście nie można wykluczyć.

– On wcale mnie nie porzucił! – huknął Bachant i skoczył do przodu, jednak nadział się na wyciągniętą dłoń Castora.

Lore chwyciła Milesa za ramię i zasłoniła go swoim ciałem. Dopiero po chwili zrozumiała, co tak naprawdę robił – uzyskiwał odpowiedzi poprzez testowanie założeń, a nie zadawanie pytań. Cmoknęła z uznaniem.

– A jednak Hermes nie chciał mieć z tobą nic wspólnego. I nic ci nie zostawił. Prawdopodobnie nawet się nie pożegnał.

Bachant rzucił się w jej stronę.

– Ty głupia...

Tym razem Castor pchnął go na ścianę. Wcisnął przedramię w odsłonięte gardło nowego boga.

– Nie zbliżaj się do niej!

Atena wsunęła pomiędzy nich ostrze swojej dory, zmuszając Castora do puszczenia Bachanta.

– Dość tego!

Ale i ona odkryła grę Milesa i Lore. Dreszcz satysfakcji przebiegł wzdłuż kręgosłupa dziewczyny, kiedy bogini posłała jej subtelny uśmiech.

Hermes zniknął, lecz wcale nie uciekał przed Gniewnym. Chciał coś schować. Coś, co – jak podejrzewał Bachant – stary bóg zostawił tu dla niego. Do jego użytku.

Lore już chciała poprosić go o wyjawienie planów ich przeciwnika, kiedy uprzedziła ją Atena.

– A jaka jest w tym wszystkim rola Melory?

– Że co? – zdziwiła się.

Atena uniosła rękę, uciszając ją.

Bachant spojrzał na nią wyzywająco. Po chwili odezwał się dużo bardziej wyważonym tonem.

– Wszyscy jesteście głupcami. Jego plany sięgają dziesięcioleci. Chce końca Agonu, ale potrzebuje jeszcze jednej rzeczy, żeby dopiąć swego.

– Pełnej wersji wiersza – stwierdziła Lore. – Wiemy o tym.

Nowy bóg zawahał się, zaciskając zęby.

– Wcale nie jesteś taki przerażony polowaniem, jak nam wmawiasz, uzurpatorze – powiedziała Atena. – W przeciwnym razie już dawno skończyłbyś ze sobą lub poprosiłbyś o to jakiegoś śmiertelnika. Tymczasem chcesz przeżyć. Widzę to w twoich oczach. Dostrzegam tę tęsknotę, tę potrzebę czucia krążącego w twoich żyłach ichoru.

Bachant spojrzał na nią, ale nie zaprzeczył.

– Udzieliłeś odpowiedzi, którą chcieliśmy usłyszeć, ale nie ma ona wiele wspólnego z moim pytaniem – stwierdziła Atena. – Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Melora Perseous?

– Nie wiesz jeszcze? – zapytał.

– Odpowiedz na jej pytanie – powiedział Castor.

Bachant splunął krwią pod jego stopy.

– A więc dobrze. Gniewny potrzebował mnie tylko do jednej rzeczy. I zanim któreś z was, bezmózgi, zapyta mnie o to, wyjaśniam – nie znam reszty jego planów. Chcę tylko znaleźć

jak najgłębszą pieczarę w tym szalonym świecie i spróbować to wszystko przeczekać.

– Wciąż nie odpowiedziałeś na nasze pytanie – przypomniał Castor, tym razem ostrzegawczym tonem.

– Złożyłem obietnicę i nie zamierzam jej dla was złamać, dupki – warknął Bachant. – Mogę tylko tobie o tym powiedzieć, dziewczyno. Na to wyraził zgodę. Chodź ze mną, jeśli chcesz wiedzieć. Albo nie idź. Mam to gdzieś.

Odwrócił się i kuśtykając, zaczął wspinać się po schodach. Lore spojrzała na pozostałych, dostrzegła w ich oczach niepewność i zaniepokojenie.

– Zachowamy dystans – oświadczyła Atena. – Ale nie będziemy daleko.

Lore ruszyła za nowym bogiem. Pozostali podążyli za nią, lecz zwolnili, kiedy znaleźli się u szczytu schodów.

Nowy bóg dotarł do fontanny pośrodku wewnętrznego dziedzińca i zatrzymał się, zmuszając w ten sposób Lore do zbliżenia się. Obejrzał ciała. Zrobił dziwną minę.

– Więc o co chodzi? – zapytała i usłyszała desperację w swoim głosie.

– Moim jedynym zadaniem było odnalezienie ciebie – powiedział bez zbędnego wstępu. – Gniewny wierzy, że masz egidę. Zrobi wszystko, żeby ją odzyskać.

Czerń zasłaniająca jej pole widzenia rosła, a palce ponownie zaczęły drętwieć. Czegoś takiego się spodziewała, ale ziarenko strachu, które zasiała rozmowa z Iro, w końcu zakwitło.

– Ale dlaczego? – burknęła. – Przecież to Kadmici ją mają...

– Okłamywanie mnie nie ma sensu. – Nowy bóg odwrócił się w jej stronę, a ona nie potrafiła stwierdzić, czy widzi na jego twarzy wstręt czy też litość. – Upokorzyłeś go. Cały jego ród zna prawdę, choć nikomu jej nie ujawnia. Aristos Kadmou został pokonany przez młodą dziewczynę! To rodzi problem. Głównie dla ciebie.

Lore potrząsnęła głową. Nie była w stanie się odezwać.

– I w końcu cię odnalazłem, wiesz? – dodał Bachant. – Było to piekielnie trudne, totalny fuks właściwie. Szukałem wtedy jego i odkryłem, że to on znalazł ciebie.

– O kim mówisz? Kto mnie znalazł?

– Hermes – wyjaśnił. – Dobrze wiesz, gdzie był przez te wszystkie lata, kiedy rzekomo zniknął. W końcu przez cały czas był przy tobie.

CZĘŚĆ TRZECIA

NIEPRZEMIJAJĄCY



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY



LORE COFNEŁA SIĘ O KROK.

– Nie. Nigdy go nie spotkałam. Ja nie...

– Przez te wszystkie lata nie myślał o swoim przetrwaniu. Skupiał się na chronieniu c i e b i e – powiedział Bachant. – Idiotyczna decyzja.

Spojrzał na zakrwawioną wodę w fontannie.

– Wybrał tę żalosną skorupę, ale oddziaływała na ciebie, prawda? Kruchy starzec... Chciał, żeby było ci go żal. Żebyś postanowiła mu pomóc.

– Ale ja... – zaczęła Lore. – Nie, on... nie...

– Naprawdę sądziłaś, że jakiś nieznajomy zadałby sobie tyle trudu, żeby odwdzińczyć ci się za pomoc? Że dałby obcej osobie chrzaniony dach nad głową i nowe, słodkie życie? – rzucił drwiącym tonem nowy bóg. – Hermes chronił nie tylko dom, ale także ciebie. Nikt nie mógł wejść do środka nieproszony. Odkrycie tego zajęło mi dobrych kilka dni. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że nie mieszka sam w tej kamienicy. Że jest jeszcze ktoś, kogo nie mogę zobaczyć. Bo dzięki jego mocy stałaś się dla nas, bogów, całkowicie niewidzialna. Miałas kupę szczęścia, że nikt inny się nie zorientował.

– To niemożliwe – odpowiedziała Lore, starając się zapanować nad swoim głosem. Nagle przypomniała sobie słowa Castora. *Przez te wszystkie lata próbowałem cię odnaleźć. Ale ty jakbyś zapadła się pod ziemię! Nie zostawiłaś za sobą żadnych śladów.*

– Czyżby? – zagruchał Bachant. – Bogowie potrafią ukryć się we mgle i zniknąć z oczu zarówno śmiertelnikom, jak i tym na górze. Dał ci coś, prawda? Coś, co nosiłaś przez cały czas przy sobie. Co wykorzystywało jego moc do odwrócenia uwagi bogów. Pewnie zaczarował ten przedmiot, żebyś nie chciała się z nim rozstawać. Bez względu na okoliczności. Sprawił też, żeby twój mały, głupi mózdek sądził, że to była twoja decyzja. Pewnie myślałaś, że u w i e l b i a s z tę rzecz.

Dłoń Lore powędrowała ku nagiej szyi. *Wisiolek w kształcie piórka.*

W głowie zaczęło jej pulsować. Wręcz walić w rytmie bijącego serca.

– Chroniła cię aż do śmierci Hermesa – kontynuował Bachant. – Dlatego teraz możemy cię zobaczyć. Mówię tu o sobie i dwójce twoich boskich przyjaciół.

Lore zacisnęła pięści, próbując zapanować nad drżeniem dłoni. Pokręciła głową, ale jej umysł już zaczynał łączyć kropki, znajdować prawdę w słowach boga. To nie przypadek, że zapięcie naszyjnika pękło w noc śmierci Hermesa...

– Ale nawet kiedy odnalazłem ten dom, mój przyjaciel nie chciał mnie widzieć – powiedział Bachant. – Nie odezwał się do mnie ani słowem. I to niezależnie od tego, ile razy przychodziłem i jak bardzo starałem się go przekonać, żeby razem ze mną służył Gniewnemu. Wielokrotnie przysięgałem na Styks, że go nie zdradzę i nie powiem nikomu o jego tajemnicy – dodał i odwrócił się w stronę Lore. – A wszystko dlatego, że miał wobec ciebie poczucie winy... Wszystko przez małą gówniarę, która powinna odejść razem ze swoją rodziną!

Wyciągnął rękę, jakby próbował złapać ją za szyję. Przez chwilę trzymał dłoń w powietrzu.

Z każdym uderzeniem jej serca budynek muzeum wydawał się gasnąć. Kolory i światła

wirowały wokół niej, malując obraz doskonale znanej jej ulicy oraz domu. Głowa ciążyła Lore, jakby dziewczyna wypila butelkę wina.

– Ty... – Straciła czucie w ustach. – Jesteś... to nie w porządku... Gil...

Zobaczyła Gila w salonie włączającego stary, trzeszczący gramofon. Wirującego w takt muzyki z miotłą, która nieraz zostawała jego partnerką do tańca.

Kiedy Lore podeszła bliżej, zwróciła uwagę na jego stopy. Unosiły się nad podłogą.

– Gil? – Bachant zaśmiał się szaleńczo. – Tak ci się przedstawił?

Wizja się zmieniała. Gil urósł, w jego kończynach przyrosło mięśni, skóra zmiękła i odmłodziła. Wokół całego jego ciała pojawił się słaby blask.

– Widziałem jego przebranie. – Głos Bachanta dobiegał z daleka. – Nic dziwnego, że mu zaufałaś. Musiałaś czuć się jak w jakiejś cholernej bajce.

Przez umysł Lore przepłynęła fala wspomnień, tyle że wypranych z pogodnych kłamstw. Aż ją skrzyło.

– Nie – warknęła. – Kłamiesz...

Ale...

Czy tamtej nocy Gil rzeczywiście leżał godzinami na ulicy? Naprawdę nikt nie usłyszał napaści na niego ani jego wołania o pomoc? Czy to możliwe, że został brutalnie skatowany w małej, spokojnej wiosce? Przecież nawet lekarz wydawał się zaskoczony tym, że właśnie tam doszło do pobicia.

Gil nie dopytywał się o przeszłość Lore. Ani wtedy, ani nigdy później. Nie podważał jej motywów. Po prostu przyjął ją do swojego domu, a kiedy umarł, zostawił jej cały swój majątek...

Ale przecież umarł na wiele miesięcy przed rozpoczęciem Agonu!

Poza tym Hermes wiedział, że Gil musiałby w pewnym momencie zniknąć, gdyż trafiłby do miasta, w którym odbywał się Agon.

Zdawał też sobie sprawę z tego, że mógł w trakcie polowania zginąć, a wówczas Lore już do końca życia zastanawiałaby się, co się z nim stało.

Może jego „śmierć” była uprzejmością, którą jej wyświadczył. Tyle że ta „śmierć” rozzłościła Lore. Powinien powiedzieć jej prawdę. Ujawnić się.

Lore miała wrażenie, że słyszy wołanie Castora, ale nie była w stanie się odwrócić. Jej ciało nie chciało jej słuchać.

Wszystko to było kłamstwem.

Czy na pewno? Nowy Dionizos specjalizował się w szaleńczych historiach. W złudzeniach.

– Przestań – powiedziała, chwytając się za głowę. – Nie chcę tego widzieć.

Otoczający ją dom spłonął do szczytu i nieoczekiwanie powrócił stary Frick, nudny i płaski w porównaniu z niezwykle wiarygodną halucynacją.

– Powiedz mi – zaczął Bachant – ile zielonego aksamitu masz w swojej kamienicy? Hermes zawsze miał fatalny gust.

Lore zasłoniła dłonią usta.

– Próbowałem wyjaśnić mu, dlaczego Gniewny szuka egidy. Ale on chyba już to wiedział. Przecież nie chroniłby cię bez powodu – kontynuował nowy bóg. – Zastanawiałem się też, czy przypadkiem nie ściągnął tu tarczy. Oczywiście nie po to, żebym oddał ją Gniewnemu. Pewnie planował ją zniszczyć. Właściwie to nie rozumiem, dlaczego jej nie zniszczył. Miałby spokój. I z nią, i z tobą.

– A l e j a j e j n i e m a m – powtórzyła Lore. – I to wszystko nie trzyma się kupy.

– Nie, mała gówniario – warknął. – Nie trzyma się kupy to, że ty....

Jego krew chlapnęła na twarz Lore. Bachant pochylił się do przodu i wpadł do fontanny. Kamień pociemniał, pijąc świeży płyn. Oszołomiona dziewczyna zauważyła unoszącą się na powierzchni wody strzałę, która przed chwilą przeszła gardło nowego boga.

Czyjeś ciężkie ciało spadło na Lore, przygwożdżając ją do ziemi. Zaraz za nim z dachu zleciało szkło. Castor ciężko oddychał, a luźne kosmyki włosów opadające na jego twarz się poruszały. Jego dłonie szukały rany na jej głowie, szyi, klatce piersiowej.

– Nic mi nie jest, Cas... Ja...

Kolejna strzała przeszła powietrze, wbijając się w płytkę tuż obok jej głowy.

Castor przetoczył przyjaciółkę w stronę kolumn otaczających fontannę. Po chwili zniknęli z oczu strzelcowi ukrywającemu się na zwieńczonym kopułą dachu. Lore kątem oka zauważyła Milesa biegnącego w stronę drzwi.

– To Artemida? – zapytała, wyciągając szyję.

– Lwica! – krzyknęła Atena i cisnęła nożem, nie opuszczając kryjówek za kolumną.

Łowczyni odskoczyła, unikając ostrza, ale już nie dory, którą bogini posłała jego śladem. Wkrótce potem ciało kobiety spadło na dół. Jej węzowa maska rozbiła się od uderzenia o marmurową podłogę.

Choć Castor trzymał Lore za ramię, dziewczyna wychyliła się i spojrzała w górę. Jedna z większych szyb kopuły pękła i w otworze pojawiły się dwie kolejne postacie w czarnych płaszczach. Pierwsza wskazała Atenę, druga uniosła łuk, celując jednak w ich stronę.

Nowy Apollo posłał podmuch energii w dach pod stopami łowczyń. Lwice spadły. Dobrze wytrenowane, nawet nie krzyczały, kiedy ich kości popękały od uderzenia o twarde podłoże.

Przez twarz Castora przemknął ciężar przygniatającej winy. Nowy bóg próbował ruszyć w ich stronę, ale Lore złapała go za rękę.

– Muszę je uzdrowić – zawołał, usiłując się wyrwać.

– Nie zasłużyły na to – huknęła z wściekłością w głosie. – Pozwól im umrzeć.

Castor spojrzał na nią ze zdziwieniem. Wkurzył ją ten jego wzrok. A czego innego się spodziewał?

– Hej, musimy spadać! – zawołał Miles.

Castor spojrzał na Lore raz jeszcze, po czym wyrwał się i popędził w stronę lwic. Pewnie pobieglaby za nim, gdyby nie usłyszała za sobą agonálního jęku.

Odwróciła się i zobaczyła należące do Bachanta stopy, próbujące utrzymać jego ciało na śliskich kafelkach fontanny. Ranny bóg nieudolnie próbował wydostać się z niecki.

One nie próbowały go zabić, uświadomiła sobie Lore. Ta myśl ją zelektryzowała. To były lwice. Miały obezwładnić i utrzymać boga przy życiu na tyle długo, żeby Gniewny osobiście go wykończył.

– Castor! – zawołała i podbiegła do rannego.

Na dźwięk swojego imienia jej przyjaciel odwrócił się i puścił jedną z lwic. Blask wokół niej zgasł.

– Stój, głupia! – wrzasnęła Atena do Lore.

– Ale on żyje – odpowiedziała dziewczyna i złapała Bachanta za ramiona, ponownie przewracając go na ziemię.

W oczach miał dzikość. Przesunął ręką po przesiąkniętej krwią skórze, próbując uciskać ranę na gardle. Strzała jakimś cudem ominęła tętnicę. Lore zakryła jego dłoń własną. Starła się powstrzymać krwawienie.

– Spokojnie – powiedziała.

Oszalały z bólu Bachant pokręcił głową.

– To... musi trafić... musisz dać... to...

– Co chcesz powiedzieć? – zapytała.

Atena odepchnęła jej rękę i zastąpiła własną. Skóra nowego boga stała się szara i lepka, a Lore widziała na jego twarzy strach. Bogini spojrzała na Bachanta. Wydawała się nieobecna.

– Cas! – zawołała ponownie Lore. Nowy bóg znajdował się już kilka metrów od nich. Miała wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, dlatego ponownie skupiła się na rannym.

– Trzymaj się... po prostu...

Kamienne kolumny podchwyciły głośny trzask, który rozległ się, kiedy Atena skrzyła Bachantowi kark.

– Dlaczego to zrobiłaś? – jęknęła przerażona Lore.

Bogini podniosła się z ziemi i otarła zakrwawioną dłoń o błękitną tunikę martwego boga.

– Nie można było go uratować. A chciałybyś, żeby zabójczyni przejęła jego moce? A może byłaś gotowa, żeby wziąć ten ciężar na siebie?

Nie, Lore nie była na to gotowa.

– Dałbym radę go uratować! – ryknął wściekły Castor.

– Ten głupiec i tak by nam nie pomógł – stwierdziła Atena. – A lepiej, żebym to ja łaskawie odebrała mu życie, niż żeby zginął z ręki naszego wroga.

– Powtarzam, on wcale nie musiał umrzeć.

Gdzieś na dachu rozległy się kroki. Lore odwróciła się, próbując je śledzić. Zmierzały w stronę rogu budynku.

– Jeszcze jedna? – zapytał Miles.

Lore rozważała w głowie wszystkie opcje. Może to nie lwice strzelały do Bachanta? A jeśli zrobił to sam Gniewny?

Rzuciła się w stronę wyjścia, ignorując krzyki przerażonego przyjaciela. Rozwaliła blokadę klamki i wypadła na zewnątrz. Jej stopy zapiszczały na śliskim chodniku. Ciemna postać schodziła po ścianie z dachu. Zeskoczyła z wysokości półtora metra, lądując ciężko na pobliskim trawniku.

To nie był Gniewny. Łowca odwrócił się, jego wężowa maska zaślniła w świetle księżyca. Wspiął się na ogrodzenie budowy i zeskoczył na Siedemdziesiątą Ulicę.

Ruszyła za nim.

– Lore! – zawołał Castor. – Zaczekaj!

Nie mogła. Już nie.

Łowca na tle ciemności wczesnego poranka był zaledwie cieniem. Kierował się na zachód. Przeciął Piątą Aleję i przeskoczył przez niski kamienny płot wyznaczający granicę Central Parku.

Wdrapała się na mur, ścierając sobie skórę na dłoni. Na noc park zamykano, ale latarnie wciąż się świeciły. Jeśli łowca myślał, że ją tutaj zgubi – w parku, który tak dobrze знаła – czekało go rozczerowanie.

– No dalej – szepnęła. – Biegnij!

Podąży za nim aż na krańce miasta. Dotrze do miejsca, w którym ukrywa się Gniewny.

Ale Gil...

Nie, nie, postępowała słusznie. Patrzyła przed siebie i nie oglądała się wstecz. Dopóki nie dopuści do siebie bólu, nie będzie go czuć. Tak jak zawsze. Jej gniew wreszcie się na coś przyda. Napędzi ją.

Wcale nie zostało utracone, pomyślała. Ale też nie odzyskało wolności.

Czuła nie tylko gniew, ale także upokorzenie. Przez cały ten czas wierzyła, że wymknie

się bogom, że wreszcie odzyskała kontrolę nad własnym życiem.

Wcale tak nie było.

Miłość Gila nie była prawdziwa. Podobnie jak nadzieja, którą Lore odzyskała, czy nawet ich dobre wspólne dni. Lore nie chciała niczego zmieniać w kamienicy. Nie chciała przestawiać ani jednego przedmiotu. Czuła, że jest mu to winna. Że powinna zachować pamięć o nim. Tymczasem tak naprawdę stworzyła mu kolejną świątynię. Każdego dnia musiał się z niej śmiać.

Budowanie nowego, lepszego życia, powiedział jej kiedyś, polega na patrzeniu w przyszłość. Pewnego dnia odkryjesz, że nie masz już ochoty wracać do tego wszystkiego, co straciłaś.

Hermes. H e r m e s jej to powiedział. Po co? Liczył, że kiedyś z własnej woli odda mu egidę?

Po raz pierwszy od siedmiu lat nie spięła się na myśl o tarczy. Niemal wyobrażała sobie, że ją trzyma – skórzany pasek ciasno przylega do jej ramienia, a pomruk tłumionej mocy gładzi jej zmysły.

W każdej chwili mogła po nią pójść. Mogła sięgnąć po to, co jej się należało. Skoro Agon nie pozwolił jej odejść, to ona, Lore, pokona bogów w ich własnej grze. Zmiażdży ich, zanim ponownie spróbują ją złamać.

Wyśle Gniewnemu i pozostałym bogom wiadomość, której nie będą mogli zignorować.

Gdzie idziesz, mały wężu?, zastanawiała się, obserwując łowcę sunącego pomiędzy drzewami pustego parku. Do jakiej dziury się wślizgniesz?

Dość szybko otrzymała odpowiedź.

Łowca trzymał się z dala od wyznaczonych ścieżek. Wybierał trawiaste wzgórza, kluczył pomiędzy placami zabaw i posągami. W końcu zwolnił, zbliżając się do niewielkiego płotka ciągnącego się wzdłuż głównej promenady.

Po obu stronach szerokiego chodnika stały ławki i rosły ciemne wiązy. Kiedy i Lore spowolniła, łowca zatrzymał się na samym środku drogi. Czekał na nią.

Wreszcie uniósł maskę.

– No chodź, Melora! – zawołał Belen Kadmou. – Chodź się ze mną zabawić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY



SŁODKA, WRZĄCA ADRENALINA ZACZĘŁA KRĄŻYĆ W JEJ ŻYŁACH.

Belen odziedziczył po ojcu arogancję – miał swobodną, pewną siebie postawę oraz próżny uśmiech kogoś, kto nigdy nie został strącony z tronu. Nawet jako bękart cieszył się szacunkiem należnym jednemu dziecku Aristosa Kadmou.

Więszym niż ten, którym Lore kiedykolwiek obdarzono – tylko dlatego, że była dziewczyną.

Odrzucił kuszę na bok i wyciągnął długi nóż z pochwy umocowanej po wewnętrznej stronie ramienia. Lore poszła w jego ślady, szybko oceniając przeciwnika. Choć nie była niska, on wydawał się odrobinę wyższy. W walce tak krótkimi ostrzami miał naturalną przewagę. Nieco większy zasięg.

Ale to w niej buzowała furia. Belen był darem od losu. Nie znalazłaby lepszego sposobu na przesłanie Gniewnemu wiadomości niż pozostawienie w parku ciała tego chłopaka.

Wyszła z cienia.

– Mam nadzieję, że rzeczywiście nie masz nic przeciwko zabawie, ty płaczliwy dupku.

– W ten sposób witasz starego kumpla? – zagruchał.

– Ostatnim razem, kiedy cię widziałam, siedziałeś u stóp swojego ojca niczym posłuszny szczeniaczek – rzuciła i go zlustrowała. – Wygląda na to, że niewiele się zmieniło.

– Zawsze za dużo gadałaś jak na kobietę – odparował, obserwując, jak Lore przeskakuje przez płotek.

– Zabawne, właśnie po raz pierwszy usłyszałam, jak mówisz za siebie. Tatuś poluzował smycz?

– Jest moim ojcem, ale i panem – stwierdził Belen. – Zdaję sobie sprawę, że może ci się to wydawać niezrozumiałe, bo ty nie masz już nikogo.

Lore puściła zniewagę mimo uszu i zaczęła krążyć dookoła przeciwnika.

– Jak twój pan i ojciec zareaguje na wieść, że nie udało ci się zabić żadnego z trzech bogów, na których natknąłeś się w muzeum?

Belen przewiercał ją wzrokiem.

– Nie celowałem w Bachanta – odpowiedział. – Pojawiłem się tam dla ciebie.

Lore postarała się, żeby zdziwienie nie zostawiło śladów na jej twarzy.

– Schlebiasz mi.

– On chce ją odzyskać, Melora – oświadczył Belen. – Nie spocznie, dopóki jej nie zdobędzie.

– Nie wiem, gdzie ona jest – stwierdziła, zbliżając się i nie przestając krążyć wokół niego. – Marnujecie czas.

– Też mu to mówiłem. – Belen wyciągnął przed siebie nóż. – Że gdybyś ją miała, użyłabyś jej lub oddała bogom, za którymi się ukrywasz.

– A jednak znaleźliśmy się tutaj we dwoje – powiedziała. – I wygląda na to, że zupełnie nie obchodzi go twoje zdanie.

Belen spochmurniał.

– Stanowisz dla mnie co najwyżej rozrywkę, lecz ona rozprasza jego uwagę. Winę za

twoją śmierć zrzuć na tę siwooką sukę, zresztą zawsze była lojalna tylko wobec siebie. Umrzesz i mój problem zniknie. Ojciec będzie mógł skupić się na konkretach.

– Czyli? – zapytała Lore.

Belen uśmiechnął się, a potem zaatakował.

Zablokowała jego cios wolną ręką, opadając na kolano i obracając się, zanim zdołał wykorzystać przewagę swojej pozycji. Szybko wyprostowała się, nie przestając poruszać bronią. Nie pozwalała mu się zbliżyć.

Pewnie miał jeszcze jeden nóż ukryty w czarnych, wysokich butach i drugi przywiązany do pleców lub biodra, ale na razie ukrywał je pod szatą łowcy. Lore zaczerpnęła powietrza, próbując zapanować nad przyspieszonym tętnem. Problem z walką na noże polegał na tym, że najczęściej sprowadzała się do prób draśnięcia przeciwnika. Z takiego starcia nie dało się wyjść bez szwanku.

Ale Lore nie bała się, że zostanie pocięta.

– Nie wiem, jakim cudem wymknęłaś się za pierwszym razem, ale to się już nie powtórzy – stwierdził. – Słyszałem, że najpierw wykłuli twoim siostrą oczy, ale utrzymywali je przy życiu dostatecznie długo, żeby mogły przysłuchiwać się śmierci swoich rodziców. Żeby zrozumiały, że nikt już ich nie uratuje.

Lore skoczyła w jego stronę. Cięła, zmuszając go do uniesienia ręki i zasłonięcia nią szyi i klatki piersiowej. Jej umysł odłączył się od ciała. Belen pozostawił po sobie głęboką studnię przeszywającego bólu, który wrzał w Lore od lat.

Tętnica, pomyślała i rzuciła się w stronę jego nogi.

To był głupi błąd. Spore niedopatrzenie. Wiedziała o tym, ale ciało nie chciało jej słuchać i atakowało dalej. Belen chwycił ją za ramię i uderzył w nie udem, posyłając jej nóż w powietrze. Zanurkowała po niego, a wówczas chłopak rzucił się na nią z gardłowym okrzykiem. Wbił kolana w dolną część jej pleców i powalił ją. Napierał całym swoim ciężarem, aż pomyślała, że złamie jej miednicę.

Szarpała się, kopała i krzyczała. Wyciągnęła rękę w kierunku noża. Błyszczą niczym szpon tuż poza zasięgiem jej palców.

Belen uniósł się tylko na tyle, żeby ją brutalnie odwrócić. Jego klatka piersiowa falowała, krew spływała po ramionach z miejsc, które mu rozdrapała. Przetoczyli się po ziemi. Trawa przylepiła się do twarzy i ramion Lore, mimo to siłowała się z przeciwnikiem, próbując go przygwoździć. Zaryzykowała i sięgnęła do jego buta, próbując wymacać ukryty nóż. I znalazła go. Chwyciła za rękę i cięła Belena w czoło.

Wydał z siebie zdławiony jęk.

Rana nie była głęboka, ale tryskająca z niej krew zalała mu oczy. Lore zyskała dzięki temu czas, żeby chwycić go za nadgarstek i zmusić do puszczenia ostrza. Następnie wbiła mu je w mięsień lewej łydki. Z zadowoleniem przyjęła kolejny okrzyk bólu.

Czując przyływ sił, przetoczyła się i przygniotła przeciwnika do ziemi. Belen próbował się wykręcić i ją zrzucić, ale owinęła nogi wokół jego ciała i zwiększyła nacisk na ramiona, choć strzelał śliną jak wściekły pies. Ponownie uniosła nóż, obserwując jego klatkę piersiową. Unoszącą się i opadającą. Gdzieś pod zbroją, pod skórą i kośćmi tętniło jego serce.

Wbiłaby w nie swoje ostrze, gdyby nie szept rozważi, który prześlizgnął się do najbardziej zwierzęcej części jej mózgu.

Zabicie go nie wystarczy.

To za mało. Gniewny zasłużył, żeby poznać ból związany z utratą członka rodziny. Jednak taka śmierć przyniosłaby Belenowi chwałę. Kleos rodził się w bitwie, zwłaszcza wtedy, kiedy z odwagą szło się na śmierć.

Zawsze mogła wysłać jego ojcu inną wiadomość. Lepszą.

– Słyszałeś kiedyś o Faetonie? – zapytała, pochylając się nad klekoczącymi zębami Belena. Krew pokrywała jego twarz niczym kolejna maska. – Desperacko pragnął udowodnić swoje boskie pochodzenie. Domagał się więc, żeby pozwolono mu poprowadzić po niebie rydwan jego ojca, Heliosa.

– Zamknij się, suko! – ryknął Belen. – Zamknij się!

– Ostrzegano go, że nigdy nie zdoła zapanować nad dzikimi końmi. Był jednak pyszny. Chciał spróbować – kontynuowała Lore. – Wiesz, jak skończył?

Belen syknął, ze wszystkich sił starając się zrzucić ją z siebie.

– Oczywiście konie go nie posłuchały. Wspięły się zdecydowanie za wysoko. Ziemia zaczęła stygnąć, bo rydwan boga słońca oddalił się od niej – powiedziała. – Zeus musiał stracić go swoim piorunem. Faeton przypłacił życiem desperację i dumę.

Lore częściowo uwolniła jego ramię. Pozwoliła mu myśleć, że popełniła błąd i dała mu okazję do kontrataku. Ze straszliwym okrzykiem uniósł swoje ręce. Chciał jej sięgnąć – odepchnąć ją, udusić, nie potrafiła stwierdzić. Na wpół oślepiiony krwią nie widział jej ostrza. Przynajmniej do momentu, w którym odcięło mu kciuki.

Zawył z bólu i wściekłości.

– Będziesz żyć – zadrwiła. – Ale powodzenia we władaniu mieczem.

Pocięła go nożem, ale prawdziwą bronią był sam Agon – i wszystkie te okrucieństwa, którymi ludzie tacy jak on i jego ojciec dręczyli innych. Teraz miał okazję doświadczyć ich osobiście.

Belen stracił szansę na kleos. Zarówno w czasie tego Agonu, jak i we wszystkich kolejnych. Być może kiedyś przygotują dla niego protezy i będzie mógł wziąć udział w polowaniu, ale nigdy już nie pozbędzie się blizn po tej przegranej. I zawsze będą towarzyszyć mu szepty: *Został pokonany przez dziewczynę z Domu Perseusza. Ostatnią z rodu. Pobity przez ryszotkowego szczura, który dawno już powinien umrzeć. Złamany.*

Napisła dla niego nową historię.

– Lore!

Castor stał niedaleko. Na jego bladej twarzy malowało się przerażenie.

Odepchnęła od siebie Belena i wstała. Na widok miny Castora poczuła ból w piersi. Patrzył na nią, skupiając się na detalach. Zobaczył jaśniejsze niebo i zbliżający się poranek, krew na jej rękach, ramionach i dżinsach, każdy kolejny wdech i wydech.

Kiedy Lore spojrzała na siebie jego oczami, zrozumiała, że wygląda na wpół dziko. Jakby była potworem.

Coś się w niej poruszyło. Poczowała przerażenie i wściekłość.

Gdzieś za nią pękła gałąź. Odwróciła się w stronę Belena. Najpierw czołgał się, potem z trudem wstał. Krztusił się przy każdym oddechu, mocno przyciskając ręce do piersi. Z jego dłoni wciąż tryskała krew.

Castor ruszył za nim, lecz Lore stanęła mu na drodze. Oceniał skaleczenia na jej ramionach – części nawet nie zauważyła – i wyciągnął dłonie, żeby je wyleczyć. Nie zgodziła się. Nie chciała, żeby w tej właśnie chwili się nią zajmował. Nie potrzebowała jego łagodności.

– Gdzie reszta? – zapytała.

– Wraca już do domu – powiedział Castor. – Lore, co powiedział ci Bachant? Czy jego słowa mogły... to spowodować?

Jego pytanie tylko ją rozjuszyło.

– To? Chodzi ci o to, że wreszcie coś zrobiłam?

– Lore – zaczął ponownie, z jeszcze poważniejszą miną. – Co się tutaj stało? Co się

dzieje?

Nie odpowiedziała. Chciał ją ominąć, ale ponownie zagroziła mu drogę.

– Czy to był Belen Kadmou? – zapytał. – Dlaczego pozwoliłaś mu uciec?

Po raz trzeci zatrzymała przyjaciela.

Dopiero wtedy szok malujący się na twarzy Castora ustąpił miejsca wściekłości, której nigdy wcześniej u niego nie widziała.

– Mogliśmy go przesłuchać. Dlaczego pozwoliłaś mu odejść?

– Żywy stanowi lepszą wiadomość niż martwy – odpowiedziała.

Castor pokręcił głową i jęknął sfrustrowany.

– Rzykujesz nie tylko tym, że rozwścieczysz Gniewnego – wałnął prosto z mostu. – Rzykujesz naszym życiem. Także Milesa.

Napięcie powróciło i zaszumiło jej w uszach. Puls gwałtownie przyspieszył, a przed oczami zrobiło się ciemno. *Miles...*

Nawet nie pomyślała o Milesie.

– Co powiedział ci Bachant? – ponownie zapytał Castor. – Co cię tak rozgniewało, że odważyłaś się na to po tym wszystkim, co mi wcześniej wyznałaś? Przecież nie jesteś taka.

– Może jednak jestem – odcięła się.

– Nie – zaprotestował. – Jesteś dobrym człowiekiem, Meloro Perseous. Nie stałaś się tym kimś, w kogo usiłowali cię zmienić. Ani też tym, kim próbowałaś być dla nich. Obydwoje tacy nie jesteśmy.

– Jesteśmy d o k ł a d n i e tacy, jakimi nas stworzyli – odpowiedziała, nie dbając o to, że jej głos się łamał i drżał od zbyt długiego powstrzymywania bólu. – Jesteśmy potworami, Cas. Żadnymi tam świętymi. Zabicie Gniewnego nie zmieni przeszłości, ale to jedyna rzecz, co do której mam pewność. Po prostu wiem, że należy to zrobić. Tego nas uczono.

Jej dłonie, przyciśnięte do jego klatki piersiowej, zamieniły się w pazury. Castor chwycił ją delikatnie za nadgarstki, jakby ją prowokował. Jego ciepło zwyciężyło chłód powietrza i zapach trawy. Wymazało resztę świata. Stworzył dla niej prywatne zaćmienie.

– Chcę, żeby Gniewny cierpiał – szepnęła. – Chcę, żeby się bał. Chcę być jedną z tych, którzy wyrwą życie z jego ciała.

– Znajdziemy inny sposób na poradzenie sobie z Gniewnym – odpowiedział Castor. – Lepszy. Nie pozwól im odebrać sobie tej nadziei.

Ponownie zbliżył się do Lore. Tym razem się cofnęła, co zaniepokoiło go bardziej niż wszystko inne. Mimo to odsunął się, dając jej przestrzeń. Wcale tego nie chciała. Nie wiedziała jednak, czego tak naprawdę pragnie.

Zamknął oczy.

– Lore...

Sposób, w jaki wymawiał jej imię...

Gdzieś wewnątrz niej rozszalała się burza. Lore zamierzyła się w niego ramieniem. Zablokował ten cios, odsłaniając brzuch. Przewidziała to. Zawsze tak robił.

Gniew zamienił się w dezorientację, potem w instynktowną reakcję i wreszcie w potrzebę – dziewczyna ujęła nowego boga za policzki i przyciągnęła do siebie. Przytknęła jego wargi do swoich.

Castor znieruchomiał jak kamień. Delikatnie rozchylił usta. Nie odsunął się, ale i ona się nie ruszyła się z miejsca. Wsunęła palce w jego gęste włosy.

– Lore...

Chciała, żeby nadal wypowiadał jej imię tak, jakby znał tylko to słowo.

Czuła się zagubiona, surowa i dzika, ale on również taki był. Zakrył jej dłonie swoimi.

Tymi samymi, które niezliczoną ilość razy pomagały jej podnieść się z ziemi. Tymi samymi, które podczas wspinaczki pomagały jej sięgnąć wyżej. Tymi samymi, które trzymała, kiedy powoli umierała.

Nie chciała myśleć. Pragnęła zanurzyć się w jego bliskości. Kiedy więc westchnął, błyskawica przemknęła wzdłuż jej kręgosłupa.

Castor owładnął nią, w jej świecie nie było już nic poza jego ustami i dotykiem. Wyraźnie czuła rosnące ciepło, żywiące się kontaktem z jego skórą. Czuła też, jak jej ciało mięknie, przytulone do jego twardych mięśni. Castor dotknął językiem jej języka i przyciągnął ją bliżej, aż w końcu odkryła, jak bardzo jej pragnie. Poczuła ucisk w żołądku.

Przez lata wspólnych treningów poznała jego ciało równie dobrze, co własne. Teraz jednak każdy jego fragment wydawał się jej objawieniem. Czymś, czego potrzebowała, choć dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy. Powoli wracali jednak do walki. Każde z nich próbowało przejąć kontrolę, doprowadzić do pocałunku.

– Lore – szepnął. – Lore...

Cofnął się tak nagle, że zachwiała się na nogach.

Zdezorientowana i zdesperowana, próbowała go przytulić, ale podniósł rękę i powstrzymał ją. Spojrzał na nią tak, że niemalże pękło jej serce.

– Powtórzmy to, kiedy naprawdę tego zapragniesz, złotko – wychrypiał. – Teraz po prostu chcesz mnie zatrzymać.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył za Belenem. Lore próbowała złapać oddech. Wsunęła dłoń we włosy i je ścisnęła.

– Cholera – jęknęła. – Cholera!

I pobiegła za nim.

Belen opuścił już park i kierował się w stronę śródmieścia. Poruszał się szybciej, niż się spodziewała – ale w końcu faktycznie ludzkie ciało pod wpływem adrenaliny zdolne jest do naprawdę niesamowitych rzeczy.

Lore i Castor podążali po śladach jego krwi aż do Piątej Alei, niesamowicie pustej o tej porze dnia – bez tłumu robiących zakupy turystów oraz nowojorczyków próbujących dostać się do biurowców.

Kiedy biegli, Lore starała się nie patrzeć na Castora. Była zbyt zdezorientowana i oszołomiona, wręcz zawstydzona. Już teraz tęskniła za tym, co zrobiła – a w zasadzie, co oni zrobili. Czuła się, jakby złamała kość, lecz nie złożono jej we właściwy sposób. Przez chwilę nawet bała się, że to napięcie pozostanie między nimi już na zawsze. Że uczyniła coś, czego nie da się cofnąć.

Belen wyprzedzał ich o co najmniej cztery przecznice. Szedł chwiejnym krokiem. Telefon w jego rękach się zaświecił. O mały włos go nie upuścił.

Castor zacisnął pięść. Zajaśniała mocą. Podniósł ją, jakby chciał posłać za Belenem pocisk, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Rozluźnił dłoń i skwierczące światło zgasło.

– Coś nie tak? – zapytała z wahaniem Lore.

– Jest za daleko – odpowiedział. – Poza tym... nie wiem, czy nie wysadziłbym okolicznych budynków.

Miał czym się przejmować. Zbliżyli się właśnie do Centrum Rockefellera. Kilka osób szło już do pracy bądź wychodziło po nocnej zmianie. Masywny, wykonany z brązu posąg Atlasa dźwigającego na swych barkach świat obserwował, jak przechodzą tuż obok.

Gdzieś w pobliżu rozległ się cichy warkot przypominający bzyczenie pszczoły. Lore wyętyżyła wzrok i dostrzegła Belena stojącego po przeciwnej stronie ulicy.

– Hej, Melora! – zawołał drżącym głosem. – Słyszałaś kiedyś o ptakach stymfalijskich?

Przed nimi opadł potężny dron z piórami wrytymi na srebrnych skrzydłach. Wysunęło się spod niego niewielkie ramię i coś upuściło. Jakieś urządzenie, kawałek srebrzystego...

Powietrze wokół niej zaryczało i eksplodowało falą wiatru i ciepła, pożerając wszystko na swojej drodze. Rozpuszczającą ziemię pod jej stopami.

Dziewczyna skoczyła przed Castora i to w nią uderzył podmuch. Wzbiła się i runęła pośród szalejących światel.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY



GDZIEŚ POŚRÓD WYSOKIEGO DŹWIĘKU KATUJĄCEGO JEJ USZY DOBIEGŁ JĄ ODGŁOS przypominający szum sypiącego się piasku. Zaczepnęła powietrza do płuc i uświadomiła sobie, że wciąż żyje. Cholernie bolały ją plecy.

Cofnęła się i usiadła. Jęknęła, czując, jak ocierają się o nią unoszące się nad jej głową płomienie. Barwne iskry i światła rozbłyśły jej przed oczami.

Eksplozja...

– Lore. – Rozległ się czyjś pełen napięcia głos. – Czy... w porządku...

Ból powrócił. Ożył wraz z umysłem. Dłonie miała odarte ze skóry, dzinsy i koszulę w strzępach. Wszędzie czuła nieprzyjemne, tępe szczypanie. To jednak nic w porównaniu z tym, co działo się z jej czaszką. Lore miała wrażenie, że ją rozbiła.

– Co... – Jej usta wypełniały popiół i pył.

Odkasznęła, starając się wyprostować, ale też uciec przed klębiącym się za nią gorącym. Nie docierało do niej, co widzi przed sobą.

Zwały ciemnego asfaltu, rozerwane szczątki żółtej taksówki i bloku betonu zapadły się wraz z nią pod ziemię. Poza kręgiem intensywnego, trzaskającego światła otaczającego ją niczym bariera ochronna panował chaos.

Znała tę moc. Odchyliła głowę do tyłu.

– Cas? – wykrztusiła.

Pochylał się nad nią. Stał z uniesionymi rękami i rozpostartymi dłońmi, a tuż nad nim wisiała potężna betonowa płyta. Próbowала przebić się przez osłonę stworzoną przez nowego boga.

Kołysała się w powietrzu, dryfując w ciepłe i energii wybuchu. To ona, a nie sypiący się piasek, stanowiła źródło irytującego dźwięku. Beton spalał się w drobny pył, zsuwał wzdłuż krawędzi bariery i gromadził dookoła niej.

– N i e r u s z a j s i ę – rzucił Castor przez zaciśnięte zęby.

Ściągną na jego szyi pulsowały z wysiłku, który wkładał w ustabilizowanie mocy. Beton wciąż płonął, lecz tuż za szerokimi plecami Castora zaczęły pojawiać się plamy porannego nieba spowitego dymem. Nowy bóg napinał ciało, jakby dźwigał na plecach całe niebiosy.

Pot kapał mu z brody. Lore była nim przesiąknięta.

Jedno słowo opuściło jej usta. *Bóg*.

Wpatrywała się w niego, próbując zapanować nad chaosem myśli. Na chwilę odwzajemnił spojrzenie i wówczas iskry mocy w jego źrenicach wydały jej się jaśniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Zamknął jednak oczy i odwrócił głowę.

– Trzymaj się. Blisko.

Płonący pierścień światła skurczył się, migocząc niczym gasnący ogień.

Lore odwróciła się w stronę Castora i przytuliła go, opierając policzek na jego ramieniu. Objęła go.

Belen.

Nie powinni go ścigać.

– Wszyscy ci ludzie... – odezwała się, dławiąc się słowami.

Eksplozja ponownie rozbłysła w jej umyśle, tym razem ze wszystkimi przerażającymi szczegółami. Dostrzegła przechodniów zwalniających, żeby przyjrzeć się dronowi. Ziemię otwierającą się niczym rana. Pyskające szkło. Jęk ściskanego i giętego metalu.

Castor pokręcił głową.

– Próbowałem...

Otoczając ich światło znów zadrżało i się skurczyło.

– Co z tobą? – zapytała. – Jesteś ranny?

– Nic mi nie jest – odpowiedział i oparł policzek na czubku jej głowy.

Z wysiłkiem zaczerpnęła powietrza. Miała nadzieję, że jej serce nieco zwolni. A może to jego serce, bijące równo i miarowo za ich oboje, czuła?

Wciąż żyjemy. Jakoś mu się udało... Lore starała wyobrazić sobie, jak do niej doskoczył, jak osłonił ją nie tylko przed wybuchem, ale także przed upadkiem. Próbowała kilkanaście razy, ale każdy kolejny obraz miał mniej sensu od poprzedniego.

Piasek wciąż zsuwał się po świetlnej barierze. Gdzieś w oddali zawyła syrena. Lore skupiła się na jej znajomym dźwięku, chcąc wrócić do rzeczywistości. Musieli wydostać się z tej pułapki, zanim pojawią się służby ratunkowe.

Strach okazał się skutecznym narzędziem. Kiedy przerażenie w końcu uwolniło jej umysł, Lore postanowiła go wykorzystać.

– Nie mogę już – jęknął Castor. – Proszę...

Ostatnich kilka centymetrów cementowego bloku rozpadło się nad ich głowami, zsuwając się na otaczający ich gruz. Bariera ochronna rozplynęła się niczym oddech w powietrzu.

Castor osunął się na Lore i objął ją ramionami, chowając twarz w jej włosach. Dziewczyna zakołysała się pod jego ciężarem.

– Nie dam rady – zaczął słabym głosem.

– Cas? – szepnęła, choć paliło ją gardło. Kiedy nie odpowiedział, potrząsnęła nim. – Cas!

Kolana ugięły się pod nią, ale postanowiła walczyć z ogarniającą ją słabością. Rozejrzała się, szukając wyjścia z rozpadliny, po tym, co pozostało z ulicy.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię ciągnęła, dryblasie – wychrypięła.

Ponownie nim potrząsnęła, ale nie zareagował. Przez krótką, przerażającą chwilę Lore obawiała się, że moc, którą tak w nim podziwiała, pożarła jego śmiertelne ciało.

Ważył niesamowicie dużo, ale nie miała wyboru. Pociągnęła go w lewo, ku miejscu, z którego wiała się najłatwiejsza, choć wciąż niepewna droga do góry, prowadząca przez zalegające wokół gruzy.

Od czasu do czasu kawałki betonu poruszały się pod jej stopami, ale starała się pewnie kroczyć do przodu. Wciąż trzymała Castora. Ciągnęła i popychała go, a jej ciało drżało z wysiłku. W końcu dostrzegła nad sobą krawędź krateru.

Uniosła wzrok.

Atena stała kilka metrów przed nią. Ręce trzymała nad głową, podtrzymując fragment masywnej, kamiennej fasady pobliskiego budynku. Osłaniała w ten sposób tych, którzy odciągali z miejsca wybuchu ciała ofiar i rannych. Jeśli ktokolwiek widział ten niezwykle pokaz mocy, był zbyt wdzięczny za życie, żeby zrozumieć jego znaczenie.

Umarli leżeli dookoła. Na ulicy i na chodniku. Niektórzy przybrali groteskowe pozy, inni po prostu pływali w kałużach własnej krwi. Miejsce przypominało pole bitwy. Popiół i pył zasnuwały powietrze, wirowały w żałobnych pętlach i opadały na ciała zmarłych niczym całuny pogrzebowe.

Atena zaczęła, aż ostatni ranny zostanie odciągnięty w bezpieczne miejsce, po czym opuściła dłonie. Ostrożnie pozwoliła tłąć się gruzom opaść na chodnik.

Opiekunka miast. Pewna niewygodna myśl zawirowała w głowie Lore. Dziewczyna odepchnęła ją, nie pozwalając jej przybrać pełnej formy.

Spodziewała się, że bogini wpadnie we wściekłość i wypomni jej, że samolubnie zaryzykowała życiem Castora i własnym. Zamiast tego Atena przeszła przez ścianę dymu i spojrzała na nią swoimi siwymi, świadomymi oczami.

– Poniosę go – zaproponowała. – Musimy czym prędzej opuścić to miejsce.

Za jej plecami zaczęli pojawiać się policjanci i strażacy. Przedzierali się przez ruiny, szukając ofiar. Jednak ci, którzy przeżyli, kierowani paniką, uciekli. Pył i starty na proszek gruz zamienił ich w blade duchy.

Atena bez najmniejszego trudu przerzuciła sobie Castora przez ramię i ruszyły tak szybko, jak tylko Lore była w stanie biec. Po chwili minęły bariery rozstawiane przez służby porządkowe wokół uszkodzonych budynków.

– Miles? – rzuciła Lore.

– Wrócił do domu – wyjaśniła Atena.

Dziewczyna kiwnęła głową, próbując przełknąć żółć i popiół gromadzące się w jej gardle.

– Wyjaśnij mi, co się stało – poprosiła bogini. – Kogo ścigaliście?

Lore urywanym głosem opowiedziała jej całą historię. Oczekiwała dezaprobaty, może nawet awantury z powodu decyzji, którą Castor uznał za lekkomyślną. Jednak Atena tylko skinęła głową.

– Zrobiłaś to, co było konieczne – oświadczyła. – Z pewnością rozgniewałaś tym fałszywego Aresa, Meloro. Dzięki temu stanie się impulsywny, co możemy wykorzystać do naszych celów.

– Castor uważa, że jedynie ściągnęłam na nas kłopoty – stwierdziła Lore, spoglądając na nieprzytomnego przyjaciela.

– Być może pora rozstać się z pozostałymi – odpowiedziała bogini. – Nie rozumiem tego, co musimy zrobić. Wiem, że obwiniasz się za to, co się przed chwilą stało. Ale czy i fałszywy Apollo nie ponosi za to odpowiedzialności? Przecież nie chciałaś śledzić Belena Kadmou.

– Ale... – zaczęła Lore, lecz musiała zaczerpnąć tchu, gdyż na samą myśl o wybuchu poczuła ucisk w klatce piersiowej. Mogła skuteczniej powalczyć z Castorem. Powinna była to zrobić.

To, co się wydarzyło, było wynikiem serii katastrofalnych wyborów i nie mogła ukrywać swojej w tym roli.

– A fałszywy Dionizos? – zaryzykowała Atena. – Co takiego ci powiedział, że nie mógł tego wyjawić innym?

Myśli Lore były pourywane, a w głowie czuła pulsujący ból. Nie ufała sobie do tego stopnia, żeby mieć pewność, że się nie wygada.

– Później. Obiecuję – rzuciła.

Bogini lekko skinęła głową, kierując jej uwagę ku ulicy.

– Przepraszam za to, co powiedziałam wcześniej – rzekła Lore. – O tym, że nie przejmujesz się ludźmi. Dziękuję, że im pomogłaś.

Być może Atena nienawidziła śmiertelników, którzy ją odrzucili, ale nie wyrzekła się swojej świętej roli. Atena Pallas, przerażająca opiekunka miast.

– Zawszę robię to, co trzeba – stwierdziła bogini. – Pytanie, czy ty również.

Tylko nie pozwól, żeby pociągnęli cię za sobą, ostrzegął ją Castor. Tu czekają na ciebie tylko cienie.

Ale nie rozumiał, co Lore musiała zrobić. Potwory żyły w cieniu. Aby na nie polować,

trzeba było wyzbyć się lęku i podążyć za nimi. Należało też uzbroić się w ostrzejsze zęby i mroczniejsze serce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI



DO KAMIENICY DOTARLI JUŻ PO WSCHODZIE SŁOŃCA. Z nastaniem porannego szczytu komunikacyjnego i z powodu sporej liczby pojazdów ratowniczych krążących po centrum miasta utworzyły się tak wielkie korki, że zatrzymanie taksówki czy zamówienie przejazdu okazało się niemożliwe.

Lore mogła sobie jedynie wyobrażać, co przechodnie mijani na ulicy o nich myśleli, zwłaszcza że Atena wciąż dźwigała Castora. W sumie dziewczyna nie przejmowała się innymi ludźmi. Nie zastanawiała się również nad tym, że mogą być śledzone. I kto może je śledzić.

Chciała po prostu wrócić do domu i zniknąć wszystkim z oczu. Mimo to, gdy wreszcie dotarli na jej osiedle, wlokła się noga za nogą i niemalże zatrzymała się, kiedy budynek, w którym mieszkała przez ostatnie trzy lata, wynurzył się z porannej mgły.

Kiedy patrzyła na gmach wzniesiony ze starego piaskowca, na rośliny doniczkowe ustawione na schodach i widoczne w oknach koronkowe firanki, czuła jedynie obrzydzenie. Przypomniła sobie fałszywą świątynię w Domu Tetydy, iluzję złożoną ze sztucznych obrazów i kłamstw. Wszystkie wspomnienia związane z tym budynkiem zostały skażone i przez dłużą chwilę nie potrafiła zmusić się do przejścia przez frontowe drzwi.

Tym razem nie walczyła z gniewem. Pozwoliła, żeby przemówił do niej.

Skorzystaj z domu. Wykorzystaj go tak, jak on próbował wykorzystać ciebie.

– Co się dzieje? – zapytała Atena.

Lore pokręciła głową.

– Nic. Chodźmy do środka.

Van czekał na nie przy drzwiach wejściowych. Wpuścił je i obdarzył zatroskanym spojrzeniem.

– W porządku?

Dziewczyna skinęła głową. Dopiero po chwili zauważyła, że nie wszyscy są na miejscu.

– Miles?!

Van westchnął.

– Szef wezwał go do centrum. Do ratusza. Potrzebował ludzi do pomocy przy obsłudze mediów i podczas odpraw dotyczących ataku. Podobno wypuścił go dopiero za kilka godzin.

Telewizor był włączony, lecz wyciszony, a na ekranie pojawiały się kolejne relacje poświęcone eksplozji w Centrum Rockefellera. Uwagę Lore przykuł laptop Vana stojący na stoliku do kawy. Odtwarzał jakiś film, na którym co kilka sekund zmieniał się ujęcie. Niektóre kadry były wyraźne, inne nieco nieostre, ale wszystkie śledziły pojedynczą postać przedzierającą się przez ulice.

Milesa.

– Co to, do cholery? – zapytała Lore.

Van z wyraźną niechęcią odwrócił się w stronę komputera, a potem spojrzał na nią. Zamknął laptop i opuściwszy ramiona, podniósł go ze stolika.

– Może... może połóżmy Castora na górze. Potem wszystko wytłumaczę.

Atena go posłuchała. Ostrożnie ruszyła korytarzem, uważając, by nie poobijać Castora o ściany, choć Lore podejrzewała, że o niczym innym nie marzyła. Po chwili bogini położyła go

na łóżku dziewczyny, pozostawiając jej ułożenie jego ciężkich kończyn w wygodniejszej pozycji. Jego nogi i tak nie zmieściły się na łóżku.

– Program nazywa się Argos – powiedział Van, kładąc komputer na komodzie. – Spędziłem lata na kodowaniu go. Służy do wyszukiwania bogów i wrogów za pomocą specjalnego algorytmu rozpoznawania twarzy. Aplikacja łączy się w tym celu z dowolnymi kamerami monitoringu, o ile są podłączone do internetu lub mają backup w chmurze.

Atena pochyliła się nad ekranem, obserwując wyświetlany na nim obraz przedstawiający Milesa na peronie metra. Postukała w niego palcem. Van odsunął laptop, zanim zdążyła go zarysować, a wówczas posłała mu miazdzące spojrzenie.

– To znaczy – zaczęła Lore, trzymając się ostatniej nitki cierpliwości – że zmarnowaliśmy mnóstwo czasu na szukanie Bachanta, choć mogłeś użyć tego systemu i odnaleźć go w ciągu paru chwil? Masz może jakieś inne przydatne programy, które przed nami ukrywasz?

– Aplikacja ma swoje wady – odpowiedział Van. – Przede wszystkim do działania potrzebuje aktualnego zdjęcia. To, które miałem, przedstawiało Bachanta w jego dawnej, śmiertelnej postaci i nie było zbyt wyraźne. I zanim zapytasz: tak, próbowałem już szukać Gniewnego. Po mieście porusza się w masce, więc system nie jest w stanie go namierzyć.

Lore odetchnęła z ulgą.

– Co mówią o wybuchu w wiadomościach?

– Niewiele. Podejrzewają atak terrorystyczny – wyjaśnił Van. – Swoją drogą to doskonały moment, żebyś mi opowiedziała, co naprawdę się tam wydarzyło. Z informacji krążących pomiędzy posłańcami wynika, że Bachant nie żyje, wszelkie nagrania z kamer monitoringu zainstalowanych zarówno w rejonie muzeum, jak i Centrum Rockefellera zostały zaś skasowane.

No jasne. Lore nie miała wątpliwości, że Kadmici dotarli również do wszystkich materiałów filmowych przedstawiających wydarzenia z Central Parku i je również usunęli. Chciała opowiedzieć Vanowi o tym, co wydarzyło się we Fricku, a także wspomnieć o Belenie i eksplozji, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła ubrać myśli w słowa.

– Streszczę ci historię kilku ostatnich godzin, Evanderze – zaoferowała się Atena.

Lore spojrzała na nią z wdzięcznością.

– W takim razie zajmę się Castorem.

Bogini skinęła głową.

– Zajmij się też sobą. Odpocznij trochę.

Lore zaczęła, aż ciężkie kroki Ateny zaczęły wystukiwać równy rytm na schodach, po czym weszła do łazienki na korytarzu i oparła dłonie o umywalkę. Przez chwilę patrzyła na ślady sadzy pokrywającej jej krwawiące strupy. W końcu odważyła się spojrzeć na siebie w lustrze.

Włosy miała potargane, przyprószone jasnym pyłem. Skóra niemal całkowicie straciła dawny kolor, oczy zaś okazały się nie tylko przekrwione, ale także podkrążone, jakby Lore stoczyła walkę na pięści z nocą i ją przegrała. Aż dziwne, że żadna z mijanych przez nią osób nie zadzwoniła po pogotowie. Lore jeszcze nigdy nie wyglądała aż tak przerażająco.

Nigdy też bardziej nie przypominała łowcy.

Szybko umyła twarz. Zmoczyła szczotkę, żeby sprawniej rozczesać płataninę falowanych włosów i zapleść je na nowo. Dobrych kilka minut zajęło jej oczyszczenie i zdezynfekowanie nacięć na ramieniu oraz owinięcie bandażami tych najgłębszych. Ręczników, które użyła, nie dałoby się już wyprać, więc wyrzuciła je i z myślą o Castorze namoczyła nowe.

Jej pokój przesiąknął ich zapachem. Zapachem dymu. Przez chwilę stała, patrząc na nieprzytomnego Castora. Podziwiała sposób, w jaki jego potężne ciało przytłaczało ramę łóżka. Choć rysy twarzy miał śmiałe, a szczękę niemal kwadratową, wydawał się zadziwiająco chłপিący. Wręcz delikatny.

Sięgnęła po jedną z myjek i zajęła się jego kończynami. Widoczne na nich rany goiły się już dzięki jego mocy, ale brud przecież nie zniknął. Pracowała powoli, metodycznie, pozwalając myślom odpłynąć w dal na tyle, żeby się ich pozbyć. Stopy. Nogi. Ręce. Ramiona.

W Domu Tetydy opiekowała się nim niezliczoną ilość razy. Wtedy, po sparingach, traktowała to jako pomoc świadczoną przyjacielowi i hetaïrosowi. Teraz jednak, kiedy zajęła się jego szyją i twarzą, zrozumiała, że coś się zmieniło.

Przecięgnęła gąbką wokół jego ust i ręka jej zadrżała. Poczuła przepływającą przez nią falę ciepła. Była zła na siebie, że go pocałowała – przekroczyła granicę, zdenerwowała go, wszystko zmieniła.

– Tylko nie zacznij mnie nienawidzić – szepnęła. – Proszę, nie czuj do mnie nienawiści.

Kiedy skończyła, Castor znów przypominał siebie. Osunęła się na podłogę tuż przy łóżku i przyciągnęła kolana do brody. Położyła głowę na materacu i przymknęła powieki. Taką odnalazł ją głos Ateny, powtarzając niedawne ostrzeżenie.

Nie rozumieją tego, co musimy zrobić.

Gdy Lore ponownie otworzyła oczy, światło w pokoju zmieniło się, zwiastując nadchodzącą noc.

Przez chwilę czuła się zdezorientowana. Próbowала przypomnieć sobie, jak wróciła do domu i dlaczego ma tak zeszytywniałe ciało. Na ramieniu czuła ciepły ciężar – ręka Castora zsunęła się z łóżka, jakby jej przyjaciel, nawet w głębokim śnie, chciał mieć pewność, że wciąż ma Lore przy sobie.

Dziewczyna chwyciła jego dłoń i przycisnęła do swojego czoła. Próbowала oczyścić umysł z resztek niespokojnego snu.

Pogładziła kciukiem kostki jego palców i poczuła... Sama nie była pewna co. Wcześniej uważała, że przepływające przez nią emocje, tworzące bolesną mieszankę sympatii, tęsknoty i opiekuńczości, nie przypominały uczucia łączącego ich w dzieciństwie. Ale czy rzeczywiście? A jeśli czas i dystans wyeksponowały je do tego stopnia, że wreszcie zrozumiała ich znaczenie?

Miała swoją rodzinę. Swoją ród. Swoje imię. Od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszała słowo „Agon”, nosiła na swoich barkach ciężar powinności. Castor jednak... cóż, Castor zawsze był inny. Czasami odnosiła wrażenie, że dostała go w darze od bogów, tak jak on dostał ją.

A teraz przez tych samych bogów go stracę, pomyślała ze ściśniętym gardłem. Efekt zawsze będzie taki sam, niezależnie od tego, czy Castor zginie, czy też zwycięży w Agonie. Nigdy więcej nie zbliżą się tak bardzo do siebie. Nigdy nie poczuje pulsu w jego nadgarstku i nie przyłoży ucha do jego serca, żeby usłyszeć, jak wtóruje jej własnemu.

Jeszcze mocniej ścisnęła jego dłoń. Wydał z siebie cichy, uspokajający pomruk i odwrócił się w jej stronę. Jego ciemne rzęsy kontrastowały z białością policzków. Lore miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce. Zmusiła się, żeby wstać i ostrożnie położyć jego rękę na piersi. W przeciwnym wypadku zaczęłaby szlochać jak dziecko i błagać bogów o litość, na którą przecież nie zasługiwała.

Po cichu założyła w łazience czyste ubrania. To właśnie tam usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi frontowych oraz cichy głos Milesa.

– Hej?

Ruszyła po schodach na dół. Musiała go zobaczyć, bardziej z desperacji niż chęci upewnienia się, czy jest cały i zdrowy. Zwolniła jednak, kiedy usłyszała stukot szafek kuchennych i początek cichej rozmowy.

– ...żadnych problemów? – zapytał Van.

– Nie mów, że cię to obchodzi – odparł Miles i po chwili dodał: – Przepraszam, to było nieuprzejme z mojej strony. Metro nie funkcjonuje, ale poza tym wszystko w porządku. A Lore

i pozostali...?

– Odpoczywają.

Pokonała kilka ostatnich stopni, uważając na skrzypiący schodek. Weszła na korytarz prowadzący do kuchni i spojrzała na odbicie w oknie. Van siedział przy stole, nad komputerem. Miles stał przy kuchence.

– Chcesz czegoś? – zapytał. – Parzę sobie filiżankę zwykłej herbaty, ale mogę spróbować przygotować ci tę dziwną, w której gustuje Lore.

– Chodzi o nektar? Nie, dziękuję. Nigdy za nim nie przepadałem – odpowiedział Van, nie odrywając wzroku od ekranu. Lore usłyszała, jak uderza palcami w klawiaturę. – Z chęcią napiłbym się szklanki ciepłego mleka.

Zapadła cisza. Po chwili stukot klawiszy ucichł.

– No co? – zapytał Van.

– Szklanka ciepłego mleka – rzucił wyraźnie rozbawiony Miles. – No dobrze, robi się, dziadziuniu.

Van prychnął i wrócił do przerwanej zajęcia. Gdzieś za Lore, w salonie, telewizor wciąż grał, choć bardzo przyciszony. Skupiła się na jego dźwięku, na oddechu wpadającym do jej klatki piersiowej i wypadającym z niej.

Po kilku minutach była gotowa, żeby pokazać się pozostałym. Tymczasem Miles postawił na stole dwa kubki i odpalił swój laptop. Zajął miejsce obok Vana, żeby się z niego ponatrząsać. Być może dlatego Van nie oparł się pokusie i spojrzał na jego ekran.

– Czegoś potrzebujesz? – zapytał Miles i się odsunął.

– Czy ty... szukasz informacji o mitach greckich w Wikipedii? – powiedział z niedowierzaniem w głosie Van.

– No co? – próbował bronić się Miles. – W porównaniu z resztą grupy mam braki w wykształceniu. Ostatnią lekcję mitologii zaliczyłem w szóstej klasie.

– Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, po prostu mnie zapytaj.

– Ach tak? – rzucił chłopak i odchylił się do tyłu, popijając herbatę. – Mogę cię zapytać o cokolwiek, a ty udzielisz mi odpowiedzi?

– Nie zamierzam odpowiadać na k a ż d e twoje pytanie – podkreślił zaskakująco poirytowany Van. – Chodziło mi o kwestie związane z Agonem.

– No dobra, to pytanie pierwsze. Spora liczba łowców z twojego rodu odwróciła się od Castora. Dlaczego ty pozostałeś lojalny?

Lore niemalże przewróciła się, kiedy usłyszała odpowiedź.

– Castor jest jedynym... – Van przez chwilę szukał właściwego słowa. – Jedynym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Jedynym gościem, który chce być moim przyjacielem, rozumiesz?

– No jasne – odrzekł Miles.

– Nie... – zaprotestował Van. – Nie rób tego. Nie współczuj mi. Tak zawsze było. W odróżnieniu od innych nigdy mną nie gardził. Nie patrzył na mnie z góry, bo nie chciałem walczyć i byłem kiepski w te klocki. Zresztą sam też nie przepadał, i nie przepada, za przemocą.

– Mógłbym przywołać tu doświadczenia, które zdobyłem podczas lekcji WF-u, ale nie chcę w to brnąć – stwierdził Miles. – Zwłaszcza z uwagi na to, że w twoim świecie wychowanie fizyczne obejmuje naukę zabijania ludzi.

Jego słowa rozbawiły Vana.

– Wiem, że myślisz, że jestem... trudny. Ale tak naprawdę zależy mi na bezpieczeństwie Castora... Chcę, żeby przeżył ten tydzień. Nie mogłem mu pomóc, kiedy miał nawrót i niemalże umarł na raka. Nie zdołałem go nawet przekonać, żeby odpuścił sobie treningi. Często

rozmawialiśmy przez telefon i wiem, jak bardzo go męczyły...

– Dlaczego trenował, skoro był w tak kiepskiej formie?

– Przez Lore – odpowiedział Van. – Nie chciał jej rozczarować. Straciłaby partnera treningowego i musiałaby zrezygnować ze szkolenia. Przede wszystkim jednak pragnął się z nią widywać. Chciał być przy niej, choć bez przerwy pakowała go w kłopoty.

– Hej! – zaprotestował Miles. Ostrzegawczy ton jego głosu sprawił, że Lore poczuła się lepiej. – Mówisz o mojej przyjaciółce!

Van wypuścił powietrze z piersi.

– Zawsze zazdrościłem uwagi, jaką poświęcał jej Castor. Wiem, że brzmi to strasznie głupio, bo jesteśmy teraz dorośli i...

– Och – przerwał mu Miles. – Więc jesteś w nim zakochany.

Van zakrztusił się mlekiem.

Miles oparł brodę na dłoniach i czekał ze znacząco uniesionymi brwiami.

– To nie tak. – Usłyszał.

– Jakbyś był pierwszym facetem, który ukrywa nieodwzajemnione uczucie – stwierdził. – Ja na przykład zadurzyłem się w rozgrywającym z liceum, tak bardzo hetero, że mógłby się tak nazywać. Hetero z potężnymi mięśniami i tendencją do określania każdego, kto zadał mu jakieś pytanie, magicznym słowem „koleś”.

Van roześmiał się, a Miles wyszczerzył zęby.

– Naprawdę nie darzę Castora tego typu uczuciem – odpowiedział w końcu Van. – I nigdy nie darzyłem.

Miles mrugnął porozumiewawczo i napił się herbaty, gdyż Van wziął łyk mleka.

– A ty dlaczego jesteś taki lojalny wobec Lore? Prawie nic nie wiedziałeś o jej przeszłości, a i tak wszystko okazało się kłamstwem.

– Wcale nie wszystko – odpowiedział Miles. – Zawsze wiedziałem, że jej rodzina zginęła. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób to się stało i co później działo się z Lore. Sporo czasu zajęło jej otwarcie się przede mną. Naprawdę wiele miesięcy upłynęło od dnia, w którym Gil wynajął mi wolny pokój... Kruszyłem ją powoli, ale było warto, ponieważ pokochałem to miękkie serce, które znalazłem pod jej gburowatą skorupą. I nie ma w tym żadnego kłamstwa. Rzadko spotyka się kogoś, kto cię całkowicie akceptuje. I uwierz mi, że staram się jej odplacić tym samym.

– Więc mnie rozumiesz – szepnął Van.

Miles pokiwał głową.

– Wiem, że twoim zdaniem zachowuję się jak beztroski idiota...

– Wcale nie uważam cię za...

Nie pozwolił mu dokończyć.

– Może i nim jestem. Ale chcę być przy niej.

Lore oparła się o ścianę, zamykając oczy.

– To była niezła przemowa – pochwalił go pogodnym głosem Van.

– Dziękuję – odpowiedział Miles i napił się herbaty. – Podejrzewałem, że ci się spodoba. Dla was wszystko wiąże się z życiem bądź śmiercią. Toczycie grę o epicką stawkę. Muszę wspiąć się na wasz poziom.

– Świat byłby o wiele lepszy, gdybyśmy pozostali na twoim.

Odgłosy dochodzące z telewizora zmieniły się. Stały się głośniejsze i wyraźniejsze, dotyczyły ostatnich wydarzeń i pobrzmiwał w nich ostrzegawczy ton. Chwilę później telefony chłopaków zawibrowały.

Lore przeszła do salonu, zgarniając po drodze pilota ze stolika do kawy. Na schodach rozległy się kroki. Castor zmierzał na dół, Atena wyłoniła się zaś z piwnicy.

Lokalny kanał informacyjny przykuł ich uwagę. Znajomo wyglądający reporter – biały mężczyzna w średnim wieku – zamienił barierki otaczające teren wokół Centrum Rockefellera na wspaniały budynek z kamienia. Wokół niego krążyli wyraźnie oszołomieni ludzie. Niektórzy z nich płakali. Ich twarze rozświećlały czerwono-niebieskie światła pobliskiego radiowozu. Dym wił się w ciemniejącym powietrzu niczym srebrny wąż.

Lore pochyliła się do przodu. Na ekranie pojawiły się słowa, które zmroziły jej krew z żyłach.

Ciała dwójki dzieci znalezione w uszkodzonym pomniku szarżującego byka z Wall Street.

Miles powoli opadł na kanapę i zasłonił dłonią usta.

Wyraźnie przybity prezenter mówił: „Policja dokonała tego makabrycznego odkrycia dzięki świadkom, którzy zauważyli dym, a potem ogień płonący pod słynną rzeźbą i powiadomili o tym władze. Wszystko wskazuje na to, że z pustego w środku posągu wycięto płytę i za jej pomocą zapieczętowano ciała dzieci wewnątrz. Według niepotwierdzonych doniesień pochodzących od naocznych świadków tuż po wybuchu pożaru słychać było paniczne krzyki. Nowojorska policja nie potwierdziła jednak, czy dzieci wciąż żyły, kiedy znalazły się we wnętrzu byka”.

Castor znieruchomiał i przechylił głowę, żeby na to nie patrzeć. Lore nie odwróciła wzroku. Wiedziała, że niezależnie od tego, czy ofiary pochodziły z jednego z rodów, czy też należały do nierodowitych, były to po prostu dwie małe dziewczynki.

– O Boże – jęknął Miles. – Przecież to... tylko dzieci.

Lore domyślała się, że Gniewny zemści się za to, co zrobiła Belenowi. Pomyliła się, przewidując atak fizyczny. Sądziła, że uderzy bezpośrednio w nią, a nie w jej psychikę. Po prostu nie spodziewała się takiego ruchu.

Więcej nie popełni tego błędu.

Atena podeszła do telewizora i przez chwilę przyglądała się obrazom migającym na ekranie. Dla Lore stawała się coraz bardziej niewyraźna, podobnie jak głos prezentera, którego zagłuszyło dudnienie w jej uszach. Cała wrzała z wściekłości.

Miles mógł tego nie wiedzieć, ale pozostali zgromadzeni w pokoju z pewnością domyślili się, że Kadmici z rozkazu Gniewnego zamienili słynny pomnik stojący przy Wall Street w sycylijskiego byka – jedno z najokrutniejszych narzędzi tortur stworzonych w kraju jej przodków, pozwalające upiec ofiary żywcem wewnątrz spiżowego posągu.

„Policja rozstawiła namioty wokół miejsca zbrodni. To zdjęcie zrobione na chwilę przed jej przybyciem dostarczył nam naoczny świadek” – powiedział prezenter. „Ostrzegamy, że jest ono drastyczne, a władze poprosiły nas o zatarcie wiadomości pozostawionej przez sprawców, przynajmniej do czasu zbadania sprawy przez śledczych”.

Na ekranie pojawił się posąg otoczony dymiącymi płomieniami. Kilka osób biegło z gaśnicami. Jakaś kobieta zatrzymała się, żeby odczytać słowa umieszczone na ścianie tuż obok byka.

Lore odwróciła się, żeby poprosić Vana o podłączenie się do którejś z pobliskich kamer. Okazało się, że on już pomyślał o tym samym. Jedną ręką podawał Milesowi kubek ciepłego mleka, drugą zaś trzymał laptop z odpalonym programem szpiegowskim.

Miles spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale sięgnął po kubek.

– Tak będzie mi łatwiej – powiedział Van. Jego ręka przelotnie dotknęła ramienia chłopaka, ale cofnęła się, zanim Miles zdążył poczuć ów dotyk.

– Wiem, że to nie jest zabawa – stwierdził Miles. – Jestem tego świadomy. Ale dlaczego posunęli się aż do... tego?

Lore przygryzła wargę na tyle mocno, żeby poczuć smak krwi. Palce Vana przesunęły się

po touchpadzie, przewijając materiał, który właśnie obejrzał.

– No i? – zapytała Lore. – Co to za napis?

Obrócił laptop i odtworzył nagranie. Przetworzone przez filtr noktowizyjny okazało się ziarniste, a zielony odcień nadawał mu upiornego charakteru. Pokazywało wydarzenia pod znacznym kątem. Wokół byka stało sześciu łowców. Wężowe maski przysłonili kapturami czarnych szat. Jeden z nich uklęknął, rozpalając ogień, który szybko się rozprzestrzenił. Kolejny stał przy ścianie wznoszącej się nieopodal pomnika i za pomocą pędzla oraz małego wiaderka pisał kolejne słowa.

Szkarłatne litery kapały, jakby roniły łzy.

ODNIEŚ JĄ NAM

Wiadomość przeznaczona dla konkretnej osoby. Dla niej.

– Musimy coś zrobić i zatłuc tego potwora. – Usłyszała Lore swój głos. – I to już.

– Powoli – zaprotestował Castor. – On właśnie na to liczy. Na emocjonalną reakcję. Co ta wiadomość w ogóle znaczy?

Atena spojrzała na Lore. Czekala.

Nie rób tego, szepnął umysł dziewczyny. Nie mów im.

Ale czy miała wybór? Musiała im coś powiedzieć – jeżeli nie prawdę, to przynajmniej jakąś jej wersję. Taką, w którą mogliby uwierzyć. Która nie wzbudziłaby podejrzeń Ateny i nie zmusiła Lore do zrobienia czegoś, czego przenigdy nie chciałyby zrobić.

– Bachant... wyjaśnił mi, dlaczego Gniewny mnie szuka. Jego zdaniem posiadam egidę – wyjaśniła, choć szalejący puls telepał jej ciałem. W uszach znów słyszała narastający szum, ale próbowała go zignorować. Skupiła się na tym, żeby jej głos brzmiał tak spokojnie, jak to tylko możliwe. – Zadanie Bachanta polegało na wysłedzeniu mnie oraz odnalezieniu tarczy...

– Żebyśmy mieli jasność... – zaczął Van.

– Nie mam jej – odpowiedziała stanowczo Lore, unikając spojrzenia wyraźnie zaniepokojonego Castora. – Nie miał jej nikt z mojego rodu od czasu rzezi dokonanej przez Kadmitów. Bachant twierdzi, że zaginęła podczas ostatniego polowania. Podejrzewam, że to robota kogoś z wewnątrz.

– Widzę pewną logikę w podejrzaniach fałszywego Aresa – powiedziała Atena.

– Podczas ostatniego Agonu miałam dziesięć lat – przypomniała jej Lore.

– Gniewny pewnie uznał, że ukradli mu ją twoi rodzice – stwierdził Castor, marszcząc brwi. – I że powiedzieli ci, gdzie ją ukryli. Cholera... Nie dziwię się, że tak bardzo mu zależy na odnalezieniu ciebie.

– No dobrze – westchnęła. – Więc niech mnie odnajdzie, zapraszam. Będziemy na niego czekać.

– Castor pokręcił głową.

– Musimy opracować alternatywną strategię – zaprotestował stanowczo. – Taką, która nie narazi cię na spotkanie z jego ostrzem.

– Racja – rzucił Miles i wskazał go palcem. – Popieram swojego przedmówcę.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Van.

– Musimy odnaleźć Artemidę – stwierdził Castor. – I przekonać ją, żeby nam pomogła.

Atena zaśmiała się kpiąco.

Również Lore była zaskoczona tym pomysłem, choć знаła powód, dla którego jej przyjaciel mógł być zainteresowany spotkaniem z boginią. Chociaż to właśnie Artemida nie tak dawno chciała go zabić...

– Mogę ponownie spróbować jej poszukać – zaproponował Van. – Słuch po niej zaginął,

odkąd uciekła z Domu Tetydy. Jesteś pewien, że chcesz ją odnaleźć, Cas? Nie wyobrażam sobie, żeby dołączyła do nas z uśmiechem na ustach.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że najchętniej wyrwałaby mi serce i je zeżarła – odpowiedział Castor. – Jednak jest najlepszą tropicielką w tym polowaniu. Lepszą niż jakikolwiek program komputerowy. Bez urazy, Van.

Jego przyjaciel machnął ręką.

– Jeśli ktokolwiek może odnaleźć Gniewnego i poznać jego plany bez ujawniania się, to właśnie ona – dodał Castor. – I, szczerze mówiąc, przydałaby nam się jej moc, żeby w odpowiednim momencie odeprzeć jego atak.

– O ile wcześniej Artemida cię nie zabije – przypomniała mu Lore.

– Zgadzam się. To absurdalny pomysł – uznała Atena. – Tylko odciąga naszą uwagę od meritum. Skoncentrujmy się na naszej sprawie. Przecież nie potrzebujemy Artemidy, żeby zabić tego uzurpatora. Nie potrzebujemy jej również do tego, żeby odnaleźć egidę i odczytać zapisany na niej wiersz.

Lore odetchnęła gwałtownie. Wreszcie zrozumiała, skąd brała się niechęć bogini do tego pomysłu.

– Wcale nie myślałem o egidzie – odpowiedział Castor. – Ani o wierszu. Ale dobrze wiedzieć, że wolałabyś, żeby twoja siostra zginęła, niż dotarła do niej jako pierwsza. Naprawdę tak bardzo się boisz, że zwycięzca może być tylko jeden, córko Zeusa?

– Artemida nigdy nie zgodzi się na współpracę z zabójcą Apolla – wyjaśniła bogini, ignorując jego zaczepkę. – A ponieważ raniła mnie, żeby się ratować, nie mam najmniejszej ochoty udzielać jej pomocy. Zgadzam się jednak z tym, że powinniśmy opracować alternatywną strategię. Taką, która pomoże nam pokrzyżować plany naszego wroga i uniemożliwi mu odnalezienie Melory – dodała i spojrzała na Vana. – Czy posiadasz jakieś informacje o jego majątku ruchomym i nieruchomym? Być może stanowi jego słabość...

– Oczywiście, że posiadam – odpowiedział chłopak. – Mam akta wszystkich przywódców i członków starszyny poszczególnych domów. Wierście lub nie, ale kiedyś byłem na tyle naiwny, że sądziłem, iż mogę zneutralizować rody, ujawniając informacje o ich podejrzanych interesach. Doprowadzając do przejęcia ich aktywów i aresztowania przywódców.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – zapytała Lore.

– Bo Agon przypomina hydrę – stwierdził. – Nawet jeśli zetnę najważniejsze głowy danego rodu, w ich miejsce pojawią się kolejne, należące do łowców, którzy ich zastąpią. Nawet jeśli ujawnię światu istnienie Agonu, znajdą się ludzie, którzy będą kontynuować polowania.

Lore uderzyło to, że wszyscy wokół niej chcieli, żeby Agon wreszcie się skończył – tyle że dążyli do tego z różnych powodów i za pomocą odmiennych środków.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Castor. – Ale czy znasz jakieś sekrety, które zainteresowałyby prasę i zwróciły jej uwagę na Gniewnego? Może i ma w kieszeni kilku urzędników miejskich i paru komisarzy, ale przecież nie wszystkich...

– Wiesz, gdzie Kadmici przechowują broń? – przerwała mu Atena. Skoncentrowana wyglądała przerażająco. – Gdzie znajdują się ich magazyny?

– Znam kilka adresów – odpowiedział. – Choć nie mam wątpliwości, że zarówno w mieście, jak i poza nim mają kryjówki, o których nie słyszałem.

– Wystarczy nam parę miejsc – stwierdziła bogini.

– Do czego zmierzasz? – zapytała Lore.

– Króla można zabić na wiele różnych sposobów – wyjaśniła Atena. – Możesz zadać mu fizyczną ranę, ale też sprawić, by ludzie stracili do niego zaufanie.

Van od razu ją zrozumiał.

– Uderzenie w magazyny sprzętu może podkopać jego wizerunek w oczach tych łowców, którzy przeszli na jego stronę, myśląc, że jest najpotężniejszym przywódcą i zagwarantuje im bezpieczeństwo.

– A ponieważ wysłał wielu z nich na poszukiwania Melory i pozostałych przy życiu bogów, nie strzeże już tak dobrze skarbców i magazynów broni jak w przeszłości – zauważyła Atena.

– Achillesydz, wciąż lojalni wobec Castora, potrzebują broni – dodał Van. – Podejrzewam, że Iro i jej ludzie również cierpią z powodu braku sprzętu. We wszystkich obserwowanych przez nas lokalizacjach obowiązują te same godziny zmiany warty. Dlatego proponuję uderzyć jutro rano.

– Powinniśmy poszukać broni gdzie indziej – upierał się Castor. – Nalot nic nam nie da, co najwyżej zmusi Gniewnego do przyspieszenia działań. Do podwojenia wysiłków zmierzających do odnalezienia Lore. Tak naprawdę potrzebujemy kogoś z umiejętnościami Artemidy...

– Nie możemy marnować czasu na szukanie jej – zaprotestowała Lore.

Zdumiony Castor zmarszczył brwi. Próbował nawet znacząco spojrzeć jej w oczy. Poczula ukłucie winy, ale odgoniła je. Atena miała rację. Uganianie się za boginią tylko odciągnęłoby ich od ważniejszych spraw.

– Posłuchajcie – zaczął Van. – Przecież nie musimy się decydować tylko na jedną z tych opcji. Możemy zmierzyć się z obiema. Poszukam Artemidy za pomocą Argosa...

– Przecież przed chwilą twierdziłeś, że nie udało ci się jej znaleźć – przypomniał mu Castor. – Może powinniśmy wyjść i poszukać jej w realu?

– Ciągłe zapominasz, że jesteś zwierzyną – wtrąciła Lore. – I że na zewnątrz roi się od łowców marzących o odebraniu ci boskości.

Nowy bóg zacisnął zęby.

– Poszukamy jej, ale najpierw skołujmy broń, dobrze? – zaproponowała, łagodząc nieco swoją wcześniejszą wypowiedź. – Załatwimy Kadmitom dodatkowe zajęcie i zmusimy ich do przegrupowania. Poza tym na otwartym terenie będziesz bezpieczniejszy.

– Mam gdzieś swoje bezpieczeństwo – zadeklarował.

Jej nozdrza poruszyły się, gdyż wzięła kolejny głęboki oddech.

– No cóż, przykro mi, ale dla mnie ma ono spore znaczenie – stwierdziła i spojrzała na Vana. – Daj znać Achillesydom, które magazyny mają zaatakować. I podaj mi adresy jednego czy dwóch punktów. Potrzebuję chwili, żeby przesłać je Iro.

Van zerknął na Castora, który skinął głową.

– Zajmę się poszukiwaniami – oświadczył Van. – I uczulę swoich ludzi w terenie...

Jego telefon zawibrował. Van sięgnął po niego i przeczytał nową wiadomość. Blask ekranu zatańczył na jego ciemnej skórze.

– Mój kontakt u Kadmitów zdobył nowe informacje dotyczące dalszych planów Gniewnego. Podobno mogą nas zainteresować.

Serce Lore drgnęło.

– Ale?

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – wyjaśnił. – Nie po tym, co się stało z Belenem. Coś mi w tym wszystkim nie pasuje. Zwłaszcza że wtyczka upiera się przy spotkaniu z Milesem.

– Bo ciebie nienawidzi – wyjaśnił Miles. – Mogę iść na to spotkanie.

– Możesz, ale niekoniecznie powinieneś – odpowiedział Van.

– Ile razy muszę ci udowadniać, że się mylisz? Mogę...

Van odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

– Nie, nie możesz! – warknął. – Nie jesteś jednym z nas i nie masz tu nic do powiedzenia!
Miles poderwał się z miejsca. Chłodne spojrzenie Vana zamieniło jego zaskoczenie w złość.

– Nie masz prawa mówić mi, co mogę robić, a czego nie mogę. Czy naprawdę muszę ci przypominać, że beze mnie nie zaszlibyście tak daleko?

– Gniewny zabił właśnie dwoje niewinnych dzieci – przypomniał Castor. – Jeśli to pułapka, wolę nie zastanawiać się, co ci zrobi...

Miles minął Lore i po chwili znalazł się po drugiej stronie pokoju. Naprzeciwko pozostałych.

– Jak to dobrze, że w nią nie wpadnę!

– Pamiętajcie, że robimy to dla tych małych dziewczynek – poprosiła Lore.

Castor przeszył ją wzrokiem.

– Których?

Lore zeszywniała.

Zaczerpnęła powietrza i tak długo przytrzymała je w płucach, aż rozbolała ją klatka piersiowa.

– Pójdę z Milesem – oświadczył Castor. – Będę czuł się lepiej, wiedząc, że w razie problemów nie będzie sam.

– A mnie nie wolno? – rzuciła. – Jeśli ktoś z nim pójdzie, to będę to ja.

– Nie ma mowy – zaprotestował Miles. – To znaczy, bardzo wam dziękuję za troskę, ale idę sam. Facet jest niesamowicie drażliwy i jeśli nabierze podejrzeń, że przyprowadziłem kogoś ze sobą, nie pojawi się na spotkaniu. A przecież może mieć jakieś ważne informacje albo przynajmniej zdoła podpowiedzieć nam, gdzie ukrywa się Gniewny.

Van nie spuszczał wzroku z Castora, próbując odgadnąć jego opinię.

– Mój kontakt chce się spotkać jutro rano – powiedział w końcu. – Mniej więcej w tym samym czasie, w którym planujemy zaatakować magazyny ze sprzętem. Dojdzie wtedy do zmiany stojących na straży łowców...

– Jeśli wspaniały Miles wierzy, że podoła zadaniu – odezwała się Atena – to nie widzę powodu, żebyście mieli mu w tym przeszkadzać.

Lore znów poczuła na sobie wzrok Castora. Serce zaczęło jej mocniej bić, i to zanim jeszcze usłyszała Milesa.

– Lore?

Może... może rzeczywiście spotkanie wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Gniewny musiał być wściekły. Jeśli jakimś cudem dopadłby Milesa, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Castor ma rację. Powinni się przyciąć i ostrożnie rozejrzeć za Artemidą, a przede wszystkim darować sobie cały ten skok na magazyny z bronią. Gdyby udało im się zawrzeć nowy sojusz – a to naprawdę spore „gdyby” – nie musieliby korzystać z informacji dostarczonych przez wtyczkę i brać udziału w ryzykownych spotkaniach. Artemida potrafiła dowiedzieć się wszystkiego. Z pewnością zdobyłaby potrzebne im informacje.

Jakby wyczuwając jej rozterki, Atena podeszła bliżej. Emanowały z niej spokój i pewność siebie, które w jakiś sposób udzieliły się Lore. Bogini swoją bliskością podsyciła jej pragnienia i pomogła rozstrzygnąć, co jest słuszne i konieczne.

Dla dziewczynek, pomyślała. Czyny Gniewnego wymagały odwetu.

– Rano Miles pójdzie na to spotkanie – zdecydowała. – A my skoordynujemy ataki na magazyny z bronią. Przeprowadzimy je podczas zmiany warty. Jeśli wtyczka nie dostarczy nam informacji o miejscu, w którym ukrywa się Gniewny, po południu zaczniemy szukać Artemidy.

Co wy na to?

Kiedy to powiedziała, zrozumiała, że Atena miała rację. Jej siostra nigdy nie zgodzi się na współpracę z nimi, nigdy też nie ujawni Castorowi tego, co wiedziała o śmierci Apolla – o ile w ogóle cokolwiek wiedziała. Może do tego czasu Gniewny wyłoni się ze swojej kryjówki i nie trzeba będzie narażać niczyjego życia podczas próby nakłonienia do współpracy bogini nieustępliwej niczym stal.

Van skinął głową. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Wyślę ci SMS z informacjami dla Iro.

Lore ledwo odnotowała, kiedy pozostali wspięli się po schodach, żeby przespać resztę nocy. Tylko Castor się ociągał. Stał, trzymając się poręczy, i obserwował, jak Lore sięga po telefon. Drżącymi dłońmi wystukała wiadomość do Iro.

Potrzebuję twojej pomocy.

Wściekłość narastała w niej niczym dym unoszący się nad spiżowym bykiem. W końcu poczuła w ustach smak popiołu, a w jej głowie zapłonęły pozostawione dla niej na ścianie krwistoczerwone słowa.

Kiedy ponownie podniosła wzrok, Castora już nie było.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI



POPOŁUDNIOWE POWIETRZE BYŁO CIĘŻKIE OD WILGOCI, ALE NAWET ONO nie mogło równać się z przytłaczającą atmosferą panującą w kamienicy.

Kiedy Achillesydzci potwierdzili, że udało im się przejąć magazyny Kadmitów bez żadnych ofiar po swojej stronie czy choćby drobnych problemów, Lore zasnęła na kolejnych kilka godzin. Nie dostała żadnej wiadomości od Iro, poza składającą się z jednego słowa odpowiedzią na jej SMS ze szczegółami akcji: *Przyjęłam*.

Nie przejmowała się tym, zwłaszcza że Van spotkał się z jednym z łowców i przyniósł do domu część broni odebranej Kadmitom. Atena z nieukrywaną przyjemnością rozłożyła zdobyczny sprzęt na ziemi i dokładnie przejrzała, zwracając szczególną uwagę na dory. Podekscytowanie tym sukcesem zniknęło jednak w emocjonalnej czarnej dziurze wywołanej milczeniem Castora i Vana.

W końcu Lore nie mogła już dłużej wytrzymać oceniających spojrzeń tego drugiego, siedzącego nad Argosem i obserwującego postępy Milesa. Miała też dość widoku zamkniętych drzwi, za którymi ukrył się ten pierwszy. Wróciła do swojego pokoju i znalazła to, co Miles zostawił jej na komodzie.

Piórko wiszące na łańcuszku złapało promień słońca i zamrugało do niej. Zawahała się, dotykając palcem jego krawędzi.

Nie odzyskało wolności, pomyślała.

Zgarnęła wisiorzek z komody i wrzuciła do stojącego tuż obok niewielkiego kosza na śmieci. Mimo to wciąż czuła jego obecność, choć go nie widziała. Miała wielką ochotę uciec – byle dalej od tego domu – więc otworzyła okno i wyszła na schody przeciwpożarowe. Wdrapała się na dach i stamtąd obserwowała sunące w oddali ciężkie szare chmury.

Kiedy usłyszała odgłos kroków na stopniach, spoglądała przez ramię. Zobaczyła, kto się zbliża, i nieco się odprężyła.

– Nie powinno cię tutaj być.

Atena rozejrzała się po posępnym dachu kamienicy. Poza Lore, dwoma starymi krzesłami ogrodowymi oraz klimatyzatorem nie zauważyła niczego godnego uwagi. W rzeczywistości miejsce to nie było tarasem, ale czasami, kiedy pogoda dopisywała, Miles i Lore wspinali się tu z butelką wina. Planowali nawet przearanżować tę przestrzeń, chociażby urządzić mały ogródek, ale ostatni raz rozmawiali o tym jeszcze przed śmiercią Gila.

Przed odejściem Hermesa, poprawiła się Lore, pocierając ramiona. Odwróciła się w stronę srebrzystych chmur burzowych zbierających się na wschodzie.

Bogini nie zdecydowała się usiąść na krześle. Wybrała szorstką powierzchnię dachu i położyła sobie dory na kolanach. Zaczęła ostrzyć oba jej końce oselką, którą zabrała z kuchni.

– To był Hermes.

Lore nie rozumiała, dlaczego z taką łatwością zwierzyła się bogini. Być może pomogła świadomość, że Atena, bezceremonialna niczym ostrze miecza, nie będzie próbowała jej pocieszać ani nie oświadczy, że z chęcią jej wysłucha.

– Co z nim? – zapytała, odkładając oselkę.

– Człowiek, dla którego pracowałam. Były właściciel tego domu. Ten, który zostawił mi

go w spadku – wyjaśniła Lore, przełykając ślinę. – Okazuje się, że to był Hermes. Kiedy zniknął, przeprowadził się tutaj. To właśnie powiedział mi Bachant w muzeum.

– Ach – odpowiedziała Atena i dodała ostrożnie: – I uwierzyłaś temu uzurpatorowi? Pokiwała głową.

– Najwyraźniej Hermes sądził, że mam egidę. Pewnie przeżył straszliwy zawód, kiedy uświadomił sobie, jaka jest prawda. Niepotrzebnie... – Jej głos załamał się w sposób, którego nienawidziła. – Niepotrzebnie włożył tyle wysiłku, by się mną opiekować.

Usta Ateny utworzyły wąską linię.

– Jednego nie rozumiem – przyznała Lore. – Bachant zasugerował, że Hermes czuł się moim dłużnikiem. Ponoć starał się uniemożliwić Gniewnemu zdobycie egidy...

– Prawdopodobnie dowiedział się o istnieniu wiersza – stwierdziła Atena. – Miał nadzieję, że dzięki niemu uwolni się od Agonu.

– Możliwe – zgodziła się Lore. – Ale być może nie miał o nim pojęcia i po prostu chciał wykorzystać tarczę w kolejnym Agonie. Sądził, że dobrowolnie mu ją oddam, jeśli okaże mi życzliwość. Ale dlaczego miałby czuć się moim dłużnikiem? Po co miałby opracowywać tak skomplikowany i czasochłonny plan pojawienia się w moim życiu, by potem nawet nie zapytać mnie o moją przeszłość? Nigdy nie zachęcał mnie do dzielenia się wspomnieniami, za to dał mi amulet, dzięki któremu stałam się niewidoczna dla innych bogów. Ba, zostawił mi ten dom...

– Zastanawiam się nad tym – powiedziała Atena. – Jak wspomniałam, od dawna śledziłam twoje losy i długo cię szukałam. Spotkałam cię tylko raz, trzy lata temu, na ulicy niedaleko stąd. Poszłam za tobą i tak dotarłam do tego domu. Później już nigdy się na ciebie nie natknęłam i na początku tego polowania miałam jedynie nadzieję, że wciąż tu mieszkasz.

Na samą myśl o spotkaniu z niewidzialną boginią Lore poczuła dziwny, spóźniony lęk.

– Pamiętasz, czy nosiłam wtedy naszyjnik? – zapytała. – Taki ze złotym piórkiem?

Bogini zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Nie miałaś go przy sobie.

A zatem musiały się spotkać zaraz po jej powrocie do Nowego Jorku. Dopiero dwa tygodnie później, zaraz po przebudzeniu się, zobaczyła naszyjnik leżący na szafce nocnej. Najwyraźniej Gil... Hermes uznał, że rzeczywiście miała urodziny tego dnia, który widniał w jej fałszywym paszporcie. Tak naprawdę miała je wcześniej.

– Zastanawiasz się, dlaczego Hermes urządził całą tę szopkę – stwierdziła Atena. – Po prostu był przebiegły i lubował się w takich sztuczkach. Ale na pewno nie był głupcem. Jeśli wierzył, że masz egidę, to nie bez powodu. Dlatego muszę ponownie cię o to zapytać, Meloro. Czy posiadasz tarczę mojego ojca i czy może ona wpaść w ręce fałszywego Aresa?

Lore poczuła, jak odrętwienie pojawia się w opuszkach jej palców i powoli obejmuje całe dłonie. Jej umysł zaplatał się, pozwolił jednym mrocznym lękom ścigać inne. Wbiła paznokcie w skórę ramion. Wykorzystała ból, żeby się z nich wyzwolić.

– Nie mam jej – odpowiedziała. – Może Hermes dowiedział się, że Aristos Kadmou zdradził mojemu ojcu, gdzie ją trzyma?

– Możliwe – mruknęła bogini.

Lore przypomniała sobie, co powiedział jej Belen. *Stanowisz dla mnie co najwyżej rozrywkę, lecz ona rozprasza jego uwagę.*

Objęła się ramionami i pochyliła do przodu.

– Myślisz, że Gniewnemu może chodzić o coś więcej niż tylko wiersz? Czy przekonanie, że to mała dziewczynka ukradła mu tarczę, mogło urazić jego dumę?

– Gniewny może pożądać tarczy z wielu różnych powodów. Chce dowiedzieć się, jak zwyciężyć w Agonie. Chce się zrewanżować za zranioną dumę, zapomnieć, że pokonała go

dziewczynka. Chce wykorzystać egidę jako symbol swojej potęgi – powiedziała Atena – albo po prostu jako użyteczne narzędzie. Przecież mógłby za jej pomocą przywoływać gromy i przyciągać błyskawice. Nie musi korzystać z pełni jej mocy. Może nie chce wzbudzać strachu w sercach wszystkich, którzy ją zobaczą.

Przez chwilę coś rozważała, po czym dodała:

– Nie musisz oddawać mu tej tarczy dobrowolnie. Możesz dzierżyć ją w jego imieniu. Kadmou zrobi wszystko, żeby cię do tego zmusić.

– Mówisz tak, jakby ci na mnie zależało – zauważyła Lore. – Po co udajesz, że przejmujesz się moimi losami poza okresem objętym umową?

– Jestem jak rzemieślnik, który dostrzega potencjał w posiadanym surowcu – odpowiedziała bogini i pochyliła głowę w jej stronę. – I dlatego ma ochotę nadać mu wspaniałą formę.

– W twoich ustach nie brzmi to wiarygodnie.

– Nie rozumiem tego zarzutu – przyznała szczerze Atena.

– Nigdy nie wspierałaś kobiet – wyjaśniła Lore. – A przynajmniej nie tak, jak wspierałaś herosów. Natomiast zawsze z radością je karałaś.

– Kobiety i dziewczęta były domeną mojej siostry. Tym samym nie odpowiadałam za nie – stwierdziła Atena, nadając tym słowom formę ostrzeżenia. – Zresztą nie muszę ci niczego wyjaśniać.

Jej groźna mina zachęciła Lore do kontynuowania dyskusji. Dziewczyna nigdy nie wycofywała się z walki, także na słowa.

– Czy wiesz, dlaczego łowczyńie nie mogą rościć sobie prawa do boskich mocy? W jaki sposób starszyzny poszczególnych rodów to tłumaczą? – zapytała, pozwalając, żeby ukrywany przez lata gniew wypełnił jej klatkę piersiową niczym para wodna. – Wskazują na pierwotny wiersz, ale również na ciebie. Przypominają, że wspierałaś wyłącznie mężczyzn w czasie ich podróży. Tylko im pomagałaś zdobyć bitewny kleos. Jedyny kleos, który ma znaczenie dla starszyzny. Dla nich zawsze byłaś przedłużeniem woli Zeusa.

– Zrodziłam się z umysłu mojego ojca. J e s t e m przedłużeniem jego woli.

Mówiąc to, zacisnęła szczękę, zakładając maskę wściekłości.

– Moja obecność tutaj powinna uświadomić wam, co się dzieje z tymi, którzy zakłócają naturalny porządek rzeczy. Którzy zdradzają Gromowładnego.

– Nie byłaś z tego powodu zła? – zapytała Lore łamiącym się głosem. – Jak możesz akceptować to, że nie pozwolono ci zadecydować, kim lub czym masz zostać?

Bogini nie odpowiedziała, ale w wyrazie jej twarzy Lore dostrzegła coś nowego – pewien rodzaj skupienia.

– Pozwalałaś mężczyznom korzystać ze swojego imienia i wizerunku, żeby wzmocnić ustanowione przez nich zasady. Tym samym reprezentowałaś wszystko, do czego dążyli – kontynuowała Lore. – A co z nami? Z tymi określanymi mianem kobiety? I tymi, których nie da się tak łatwo określić?

– Nie zdawałam sobie sprawy, że mój dar mistrzowskiego rzemiosła trafia wyłącznie do mężczyzn – przyznała Atena. – Albo że nie doceniałam kobiet, które wykazywały się doskonałością w prowadzeniu domu czy w opiece nad rodzinami.

Lore niepewnie odetchnęła.

– Wiesz, co jest jeszcze gorsze? Postrzegasz siebie tak, jak ludzie opisują cię w mitach. Przed chwilą powiedziałaś, że zrodziłaś się z umysłu swojego ojca. Ale przecież miałaś matkę, prawda? Metydę. Rozwagę w czystej postaci. To był jej dar, a nie Zeusa. Połknął was obie, żeby się ratować. Zaprzeczanie jej istnieniu to zaprzeczanie temu, kim naprawdę jesteś. Zaprzeczanie

temu, do czego zdolni są mężczyźni.

– Dokładnie wiem, do czego są zdolni, córko Perseusza – odpowiedziała chłodno Atena.

Lore wzdrygnęła się, słysząc imię swojego przodka.

– Wyrażasz opinie z nieuzasadnioną pewnością – kontynuowała bogini. – Jednak to nie ze mną walczysz. To nie ja jestem źródłem twojego gniewu, lecz ty sama. Co się dzieje?

Lore przeczesła dłonią włosy.

– Jesteś wściekła. Poczułam to już wtedy, kiedy po raz pierwszy na ciebie spojrzałam. Ten gniew z biegiem czasu przybierał na sile, choć próbowałam go stłumić – stwierdziła Atena. – Pytasz mnie, dlaczego nie korzystałam z mojej mocy tak, jak ty byś to zrobiła na moim miejscu. Sama jednak nie wykorzystujesz swojego potencjału. Nie sądziłam, że jesteś aż tak wielkim tchórzem.

Wcale nie jestem wyjątkowa ani wybrana, pomyślała Lore i potarła oczy pięściami.

Wspomnienie chwili, w której to sobie uświadomiła, było równie bolesne jak to, co wydarzyło się później.

– Nie tchórzę, tylko... po prostu nie mogę popełnić kolejnego błędu.

Atena parsknęła szyderczo.

– Fałszywy Apollo wdarł się do twojego umysłu i sprawił, że zaczęłaś w sobie wątpić. Przecież wiesz, co należy zrobić. A on nawet nie ma pojęcia, w jaki sposób zdobył swoją moc.

Lore spojrzała na nią ostro.

– Myślałaś, że nie domyśle się prawdy? – kontynuowała Atena. – Przecież bez przerwy wypytywałam wszystkich o śmierć mojego brata! Z jakiego powodu miałby pogardzać swoją mocą? Czemu miałby jej nienawidzić? Dlaczego tak bardzo chciał szukać mojej siostry, skoro wiedział, że Artemida marzy o jego śmierci?

– On... – zaczęła niepewnie Lore. Nie chciała o tym rozmawiać. Czuła się, jakby zdradzała Castora. – On nie chce, żebym posunęła się zbyt daleko.

– A sama nie jesteś w stanie określić tej granicy? – drążyła Atena. – Bardziej polegasz na jego osądzie niż na własnym?

– Stara się mnie chronić – usprawiedliwiła go Lore. Castor zawsze taki był, zresztą ona też na swój sposób starała się go strzec.

– Przed kim? Przed czym? – pytała Atena. – Przed sobą? Czy może przed tym, czym możesz się stać, jeśli wykorzystasz swój potencjał i przestaniesz myśleć o tym, czego fałszywy Apollo sobie życzy?

Lore powierzyłaby Castorowi życie. Wiedziała, że celowo nigdy jej nie skrzywdzi. Ale sposób, w jaki patrzył na nią, kiedy dogonił ją w Central Parku... Ten szok i obrzydzenie malujące się na jego twarzy...

Może już jej nie rozumiał. Miała wrażenie, jakby stracili znacznie więcej niż siedem lat.

– Nienawidzę Agonu — szepnęła.

– Nie sądzę – przerwała jej Atena. – Naprawdę w to wątpię. Nienawidzisz tego, ile cię kosztował, ale jednocześnie należysz do jego świata. Urodziłaś się w nim i masz w związku z tym pewne prawa. Na przykład chwała była ci pisana. Jasne, pozbawiono cię jej i w rezultacie nie czujesz się w pełni usatysfakcjonowana. I nigdy się nie poczujesz, o ile nie sięgniesz po to, co ci się należy.

W swojej głowie Lore usłyszała młodszą wersję siebie mówiącą: *Moje imię przejdzie do legend*.

– Nie o to mi chodzi! – Niemalże zmusiła się do wypowiedzenia tych słów. – Po prostu nie chcę stać się takim potworem jak oni.

– Nie jesteś potworem, lecz wojowniczką – upierała się Atena. – I gdybyś nie miała

większej roli do odegrania, to zapewne zginęłabyś razem ze swoją rodziną.

– Nie mów tak – szepnęła Lore. *Proszę, nie mów tak.*

Rozdzierała ją tęsknota. Dziewczyna marzyła o tym, żeby okrutna przeszłość nie okazała się jej winą, żeby miała jakiś sens. Pragnęła tego ze wszystkich sił.

– Istnieją znacznie gorsze rzeczy niż stanie się potworem – oświadczyła bogini.

– Czy to właśnie powiedziałas sobie, kiedy ukarałaś Arachne za jej pychę? – zapytała Lore. – Albo kiedy przemieniłaś Meduzę?

Atena wydawała się zmieszana tym pytaniem.

– O co właściwie mnie oskarżasz w przypadku Meduzy?

– Posejdon zgwałcił ją w twojej świątyni i zamiast go powstrzymać, zamiast ukarać je go, ty... – Lore zadławiła się własnymi słowami. – Popełniłaś jeszcze większą zbrodnię. Zamieniłaś ją w potwora i następnie kazałaś ją zabić.

– Wierzysz w to? – zapytała Atena.

– Twój ojciec i twoi bracia... często brali kobiety wbrew ich woli. Jak mogłaś nie rozumieć tego, co spotkało Meduzę, kiedy i ciebie próbował wykorzystać Hefajstos? – Lore wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. – Brali, co chcieli. Dlaczego więc mężczyźni uczestniczący w Agonie mieliby inaczej traktować kobiety i dziewczęta? Każą nam wierzyć, że same decydujemy o naszym życiu, a jednocześnie zakładają nam obroże na szyje. Nawet Gi... Nawet Hermes. W każdej chwili mógł pociągnąć za smycz.

– I dlatego porzuciłaś ścieżkę wojowniczkę? – zapytała Atena. – Nie chciałaś być kontrolowana? Sądziłam, że na tę decyzję wpłynęła śmierć twoich bliskich, ale przecież kontynuowałaś treningi, prawda? Z jakiegoś powodu zrezygnowałaś z udziału w polowaniach... Z całego naszego świata.

Przez te wszystkie lata Lore uparcie próbowała zapomnieć o tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Miała nadzieję, że zakopie te wydarzenia dostatecznie głęboko, żeby nie czuć obrzydzenia. Liczyła, że kiedyś nawet przestanie się bać oskarżeń, że to jej wina...

Teraz jednak zauważyła, że opowiada o tej historii bez skrępowania. Słowa wylewały się z niej z taką siłą, że nie była pewna, czy zdołałaby je zatrzymać.

– Kiedy ojciec Iro został nową Afrodytą, nie miał syna – zaczęła. – Nie miał też bliskich krewnych płci męskiej, więc tymczasowym archontem Odyseidów został jego daleki kuzyn. Przez pierwsze dwa lata nie pojawiał się w posiadłości. Skupiałam się wówczas na treningach z Iro. Powtarzałam sobie nawet, że cokolwiek się wydarzy, zawsze będzie Agon. I że w jego trakcie zdołam okryć swój ród chwałą.

Atena obserwowała ją w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

– A potem nowy archont Odyseidów zaczął się u nas pojawiać. Wydawało się, że był wszędzie. Dosłownie nie spuszczał nas z oka. Obserwował z okna, kiedy ćwiczyliśmy i walczyliśmy, zerkał na nas zza stołu podczas posiłków, podglądał podczas kąpieli w jeziorze... – kontynuowała Lore, splatając ręce na piersiach. – Szukał pretekstu, żeby mnie dotknąć. Poprawiał moją podstawę, choć wcale o to nie prosiłam, a przechodząc obok, głaskał mnie po ramieniu lub nodze. Instruktor zakazał mi komukolwiek o tym mówić. Ostrzegł, że jeśli archont uzna, że nie potrafię docenić jego przychylności i zainteresowania, wyląduję na ulicy bez choćby jednego noża przy pasie. Bez pieniędzy. Bez przyszłości.

Jej dłonie zacisnęły się w pięści.

– Pewnej nocy po kolacji kazał mi zaczekać na siebie w swoim biurze – dodała. – Wszyscy przy stole wiedzieli, co się wydarzy, ale niczego nie zrobili. Słudzy odwrócili wzrok. Jedynie Iro była podekscytowana. Myślała, że facet proponuje mi zostanie léainą.

Lore musiała głębiej odetchnąć, dobrać właściwe słowa. Żółć napływała do jej gardła.

– W jego gabinecie panował półmrok, nie licząc ognia buzującego w kominku. Archont zamknął za sobą drzwi. Powiedział, że od tej pory nie będę już trenować. Miałam mu usługiwać. Zaspokajać jego potrzeby.

Atena syknęła.

– W pewnym sensie miał rację. Byłam na tym świecie sama. Nie miałam rodziny. Uświadomiłam sobie, że moja przyszłość zależy wyłącznie od niego. Tylko że...

Wzięła kolejny oddech.

– Dotknął mnie dłońmi. Przytknął usta do moich ust. Przyszpilił mnie do biurka. Był ode mnie większy. Cięższy. Wtedy właśnie pomyślałam, że wcale nie jestem wyjątkowa ani wybrana. Przez lata powtarzałam sobie, że jestem przeznaczona do wyższych celów, ale to była tylko taka tarcza, którą osłaniałam się przed prawdą. Wtedy, tej nocy, z nim nade mną, zrozumiałam wreszcie, jak urządzony jest ten świat. Zawsze znajdzie się mężczyzna, który będzie decydował o moim losie. Mój ojciec, archont albo mąż...

Oczy bogini rozbłysły, a widoczne w nich iskry zawirowały w szaleńczych spiralach. Lore przypominała sobie ogień buzujący w kominku w biurze archonta. Stawał się jaśniejszy, w miarę jak rósł jej strach.

– Nigdy nie miałam wyboru – szepnęła.

Przynajmniej takiego, którego konsekwencje mogłaby zrozumieć przed podjęciem decyzji.

– Odebrał mi złudzenia.

Oddech archonta przyspieszył z podekscytowania.

Mężczyzna dostrzegł, że Lore właśnie zdała sobie sprawę ze swojej sytuacji.

– To bogowie byli moimi wrogami. Oni i pozostałe rody. Nie powinien być nim archont domu mojej matki. Domu, który mnie przygarnął i chronił.

Gałka szuflady biurka wbiła się w jej biodro. Jej ciało drgnęło, próbując się bronić, ale umysł nie był w stanie. Palce zacisnęły się na kawałku zimnego metalu. Dobyła noża, chwytając za rękojeść. Archont ją przygniatał. Nie przypominało jej to żadnej wcześniejszej walki.

– Znalazłam otwieracz do listów. Zacięłam się, wyciągając go z szuflady. A on... chwycił mnie za podbródek. Odchylił mi głowę. Chciał, żebym patrzyła na niego.

Szarpnął też za kołnierz jej koszuli. Tkanina rozdarła się, ale nie tak łatwo jak skóra na jego szyi.

– Tak naprawdę zawsze miałam wybór, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiałam – powiedziała Lore. – I wtedy właśnie podjęłam decyzję. Postanowiłam nie należeć do nikogo. Postanowiłam też go zabić, żeby nie mógł skrzywdzić ani mnie, ani nikogo innego.

Wspomnienie tryskającej krwi, spływającej po jego białej skórze, kapiącej na jej sukienkę, a także ciężar osuwający się na nią, kiedy w agonialnym odwiecie próbował ją zabić, powróciły do niej wraz z powiewem chłodnego wiatru. Dotknęła długiej blizny na swojej twarzy, ostatniego cięcia w jego życiu. Zadał je, kiedy próbowała wyslizgnąć się spod niego.

Oblał ją pot i zadrżała. Oddychała z największym trudem.

Najlepiej z tamtej nocy pamiętała swoją wściekłość, która przyćmiewała strach, szok i rozczerowanie. Dała jej siłę niezbędną do przetrwania.

Zrobiła to, do czego została wyszkolona. Atakowała ostrzem, aż archont znieruchomiał, a powietrze przestało wypełniać jego płuca. Wściekłość poniosła ją później przez pola i nieutwardzone drogi. Wściekłość utrzymywała ją przy życiu, popychała naprzód. Wściekłość karmiła ją, kiedy była głodna.

A potem Lore zrobiła to, o co oskarżała ją Atena. Stłumiła ową wściekłość. Zepchnęła na bok, uczyniła nieistotną i bezwartościową. Kiedy spotkała Hermesa, prawie już jej nie czuła.

– Tak... – zaczęła. – Tak to właśnie wygląda... Dobija mnie świadomość, że pomyliłam się co do Gila. Mogłam się domyślić. Naprawdę. Tymczasem straciłam czujność, i to zaraz po tej akcji z archontem. Po prostu uwierzyłam, że to ja dokonuję wyborów. Że Gil nie będzie w stanie mnie skrzywdzić ani tym bardziej kontrolować w sposób, w jaki próbowali to robić mężczyźni podczas Agonu.

– Ale nie żałujesz swojej decyzji tamtej nocy? – zapytała Atena.

Lore pokręciła głową. Nigdy jej nie żałowała, choć przecież musiała opuścić Iro.

– To dlatego, że twoje czyny można usprawiedliwić. Zrobiłaś to, co musiałaś – stwierdziła Atena. – Również teraz działamy z konieczności. Obawiasz się, jak inni ocenią naszą pogoń za fałszywym Aresem. Gwarantuję, że nie będziesz żałować swoich decyzji, kiedy wreszcie umrze. Co najwyżej utraconych możliwości, o ile pozwolisz, żeby lęki innych dalej cię więziły.

– To... – Lore zamknęła oczy. – To wcale nie jest takie proste. Ja...

Nie chcę pamiętać, że dobrze było mieć cel w życiu, dokończyła w myślach. Ale nie chcę też zapomnieć, z jakich powodów opuściłam Agon i dlaczego uważam tę decyzję za słuszną.

Jadące na rowerach dzieci pokrzykiwały na siebie. Ich radosne śmiechy iskrzyły w ciszy. Lore zastanawiała się, czy kiedyś też była taka beztroska.

– Dałam jej moc wściekłości – powiedziała cicho Atena.

Dziewczyna spojrzała na nią zdezorientowana.

– Przemieniłam Meduzę, żeby mogła bronić się przed tymi, którzy próbowali ją skrzywdzić – wyjaśniła bogini.

– Bzdura. Nie dałaś jej wyboru! – warknęła Lore. – W rezultacie historia zapamiętała ją jako potwora, który zasłużył na śmierć.

– To mężczyźni przedstawiali ją tak w sztuce czy opowieściach – zaprotestowała Atena. – Wyobrażali ją sobie jako paskudę, bo obawiali się choćby zerknąć na jej twarz. Zobaczyć żyjącą w jej oczach burzę. Czyn mojego wuja wcale jej nie złamał. Odrodziła się jako istota mogąca bez lęku patrzeć przed siebie. Tak jak twójród, który przez stulecia spoglądał na świat jej oczami.

Lore drgnęła, kiedy zrozumiała sens jej słów.

Perseidzi od wieków nosili maski przedstawiające Gorgonę – czyli Meduzę z jej wężowymi włosami i ustami zaciśniętymi w ponurej determinacji. Rodzice Lore też takie mieli. Przepadły, kiedy ich mieszkanie uprzątnięto, a ciała pochowano.

Wtedy nie była jeszcze na tyle dorosła, żeby zrobić sobie własną. W jednym ze swoich najbardziej pogodnych wspomnień wyciąga maskę mamy z jedwabnego opakowania i zbliża do swojej twarzy. Kiedy dotyka paluszkami węży wykonanych z brązu i podziwia ich odbicie w lustrze, czuje się naprawdę silna.

Teraz odczuwała jedynie ból żołądka. Ilu mężczyzn, wliczając w to jej ukochanego ojca, spoglądało zza tej maski na świat ze wściekłością Meduzy? Ilu wykorzystywało ją do własnych celów? Zdobienia używane przez rody symbolizowały największe osiągnięcia ich członków. Nie oddawały hołdu potworom. Wręcz przeciwnie – stanowiły trofea!

– Twoi przodkowie nosili tarczę ozdobioną jej głową – przypomniała Atena. – Korzystali z jej mocy, dopóki nie utracili egidy. Jeśli ktoś powinien po nią sięgnąć, to właśnie ty. Znasz mroczną stronę ludzi, a jednocześnie się ich nie boisz.

Lore potrafiła sobie wyobrazić siebie z egidą na ręce. Jej twarz odzwierciedlałaby ponury wyraz odlanego w srebrze oblicza Meduzy. Nie czułaby strachu ani wstydu, ani nawet męczącego żalu, który zniechęcał ją do choćby wypowiedzienia nazwy tarczy.

To ona powinna nosić egidę. Miała do tego prawo wynikające z urodzenia. Ale chodziło też o coś więcej – tarcza reprezentowała wszystko, co Lore mogła zyskać i kim chciała się stać.

Nie kłamstwo wciśnięte jej przez Hermesa, lecz wciąż żyjący w niej potężny głód.

Gdyby mogła wykorzystać tarczę przeciwko Gniewnemu, gdyby umierając, widział twarz Meduzy i jej własną, wtedy... uznałaby, że było warto.

Że jej rodzina nie zginęła nadaremnie.

Idź po nią, szepnął jej umysł.

– Ale... dałaś tarczę Perseuszowi – powiedziała Lore. – Tę, za pomocą której zabił Meduzę. Poprowadziłaś go. Byłaś jego przyjaciółką.

Atena przetoczyła dory przez swoje kolana.

– Odgrywałam swoją rolę w toczących się wówczas grach. Żyłam na łasce potężniejszych bogów. Łatwo wpadałam we wściekłość i chętnie uderzałam w tych, którzy zranili moją dumę lub mnie znieważyli.

Pierwsze krople deszczu zabębniły delikatnie o dach.

– Mogłaś do tego nie dopuścić – szepnęła Lore. – Mogłaś powstrzymać Posejdona.

Zimny gniew wykrzywił twarz Ateny.

– Powiem ci jedno, Meloro: nawet bogów wiąże Przeznaczenie. Nawet bogowie komuś służą. Zrobiłam w swoim życiu wiele złego. Między innymi rzuciłam się na słabszą istotę, gdyż nie miałam siły, żeby ukarać kogoś mocniejszego ode mnie.

Umilkła, gładząc palcami drzewiec dory.

– Istnieje opowieść nadrzędna wobec nas wszystkich. Jest jak materia, która rozprzestrzenia się wzdłuż i wszerz, prowadzona przez ręce dużo potężniejsze od moich – dodała.

– Nazywasz to współdziałem i może rzeczywiście tak jest. Dla mnie to była próba przeżycia.

– Skąd możesz wiedzieć, jaka ścieżka była tobie pisana? – zapytała Lore. – Co by się wydarzyło, gdybyś spróbowała żyć na własnych warunkach?

Atena parsknęła szyderczo.

– Zawsze pragnęłam robić to, do czego zostałam stworzona.

– Czyli? – naciskała Lore.

– Kierować sercami wojowników, umysłami filozofów, rękami rzemieślników – wyjaśniła. – Nigdy też nie zawiodę w obronie miasta, które znajduje się pod moją opieką.

Mówiąc to, wstała i spojrzała na widoczne w oddali budynki.

– Co do jednego się mylisz – powiedziała i odwróciła się, żeby wrócić do środka. – Może nie zdecydowałam się poprowadzić żadnej kobiety podczas wielkiej przygody, ale nieraz udzielałam im wsparcia. Postępowałam tak nie ze złośliwości ani też nie dlatego, że uważałam je za gorsze. Po prostu czułam, że okazałabym w ten sposób brak szacunku dla mojego przyjaciela, który nie miał sobie równych na ziemi. Ani za życia, ani po śmierci.

Pallas. Mówiła o towarzyszu, z którym się wychowywała i którego przypadkowo zabiła podczas treningu.

Atena wróciła na schody przeciwpożarowe położone na tyłach kamienicy i zeszła do okna na piętrze.

– W życiu bałam się tylko jednego: własnej bezsilności – zawołała Lore. – Że nie będę potrafiła ochronić ludzi, których kocham. Nie wiem, co się stanie, jeśli posłucham swojego serca. Co będę wówczas czuć i o czym marzyć.

Bogini się nie odwróciła.

– Przemienisz się – rzuciła.

Deszcz przybrał na sile. Coraz mocniej uderzał w skórę Lore. Mimo to dziewczyna nie potrafiła zmusić się do zejścia. Czuła się wyczerpana, choć nie słaba. Po raz pierwszy od kilku dni – a może nawet lat – myślała klarownie. Pochwyciła ów ostry ból, który odczuwała w swoim wnętrzu, i nie zamierzała się od niego uwalniać. Trzymała go mocno i czekała, aż odrosną jej

pazury.

Grom przetoczył się nad nią niczym tarcza uderzająca o tarczę. Minęły godziny, odkąd wspięła się na schody przeciwpożarowe. Wkrótce Miles powinien wrócić, a ona wciąż nie była w stanie się ruszyć. Nie mogła nic zrobić – jedynie czekać, aż zmoczy ją deszcz.

Telefon zawibrował w jej kieszeni, wyrywając ją z zadumy. Wstała i go wyciągnęła. Wiadomość była od Milesa. Lore westchnęła z ulgą i właśnie zamierzała mu odpisać, kiedy komórka zawibrowała po raz kolejny. A potem jeszcze raz, powtarzając tę samą wiadomość.

Pomocy!

Pomocy!

Pomocy!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY



– DLACZEGO TO NIE DZIAŁA?

Drżącą ręką Lore podała telefon Vanowi. Sięgnął po niego, starając się opanować gniew.

– Zmusił mnie, żebyśmy udostępnili sobie swoje lokalizacje – dodała. – Tak się przynajmniej umówiliśmy...

– Ty udostępniłaś mu swoją – powiedział ostro Van. – A on najprawdopodobniej zapomniał ci się zrewanżować lub ktoś mu tę opcję wyłączył. W obu przypadkach musimy się stąd jak najszybciej zwinąć. Jeśli Kadmici odkryją twoje miejsce pobytu, ta kryjówka jest spalona.

Castor stał za nią, opierając się plecami o schody. Nie odzywał się, co było bardzo wymowne. Ani on, ani Van nie patrzyli jej w oczy.

– Nie ruszamy się stąd – oświadczyła. – Może wcale go nie porwano. Może po prostu został ranny, ukrył się lub...

– Nie żyje – dokończył chłodno Van. – Mówiłem, że tak może się stać, jeśli nie przekonasz go do rezygnacji z misji.

– Nie traktuj jej jak wroga tylko dlatego, że wierzyła w jego umiejętności – wtrąciła Atena. – Wielokrotnie oczerniałaś go i próbowałaś zniechęcić do decyzji, którą podjął z własnej woli. Melora nie ponosi odpowiedzialności za to, co mu się przytrafiło.

Lore chciała jej wierzyć. Naprawdę bardzo chciała.

– Myślałam, że go obserwowałaś.

– I obserwowałam, ale musiałem odebrać telefon – stwierdził. – Nie waż się zrzucać winy na mnie. Jeśli myślisz, że nie czuję się...

Zdecydował się nie kończyć.

– Spróbuj odszukać go za pomocą Argosa – powiedział cicho Castor, odwracając się w stronę drzwi. – Będę pełnił straż na dachu. Powinienem zobaczyć, że ktoś nadchodzi, i dać wam czas na ucieczkę. Zwłaszcza jeśli Gniewny i jego łowcy spróbują nas zaatakować.

Atena stanęła przy wykuszowym oknie i podciągnęła rolety rzymskie. Wyjrzała na ulicę.

Van poszedł do kuchni po drugi laptop. Na jednym pracował Argos, aktywnie szukając Milesa, więc Van potrzebował sprzętu do przejrzenia zapisanych filmów.

– To zarchiwizowane nagranie z kamery ulicznej sprzed kilku godzin – powiedział i je uruchomił.

Przez chwilę razem z Lore obserwował, jak Miles znika za rogiem.

– Żadna z kamer nie obejmowała miejsca spotkania – stwierdził sfrustrowany. – Możliwe, że je wyłączyli.

Lore nachyliła się nad ekranem.

– I nie możesz w żaden sposób sprawdzić, czy rzeczywiście spotkał się z wtyczką?

Van pokręcił głową.

– Podejrzewam, że gdyby napotkał jakiś problem, od razu napisałby SMS lub nawet zadzwonił.

Miles pojawił się na tym samym nagraniu kilka minut później. Nie uśmiechał się triumfalnie, jak po pierwszym udanym spotkaniu. Wyglądał na przestraszonego.

Program przeskoczył do następnej kamery, wyłapując go, kiedy skręcał w Lexington. Kolejna pokazała, jak – rozglądając się – przeszedł przez ruchliwą ulicę.

Potem wideo się urwało.

– To wszystko? – wykrztusiła Lore.

Nigdy jeszcze nie widziała u Vana tak ponurej miny.

– Wtedy Argos stracił go z oczu. Albo Miles dobrze się ukrywa, albo rzeczywiście został porwany.

– Cholera – jęknęła Lore. Oddychała płytko, a serce waliło jej jak młotem. Zrobiło jej cięciemno przed oczami, a w myślach odtwarzała najgorsze scenariusze.

Drugi komputer zapiszczał. Van sięgnął po niego, prostując się. Jego palce zastukały w klawiaturę. *Nie Miles*, błagała w myślach. *Proszę, tylko nie on...*

Na ekranie pojawił się nowy materiał z kamery monitoringu miejskiego. Przedstawiał niewielką postać klęczącą przy jakimś jeziorze. Ręce miała związane za plecami i widać ją było z profilu, ale Lore rozpoznała ubranie Milesa.

– Kiedy to było? – zapytała.

– To relacja na żywo – odpowiedział Van, zerkając na czas nagrania. Osiemnasta dwadzieścia jeden.

– Możesz powiększyć obraz?

– Nie mogę. Rozpoznajesz to miejsce?

Pochyliła się, wpatrując się w ekran. Ze zdenerwowania nie potrafiła się skupić na żadnym szczególe.

– To wygląda jak... jezioro. I wodospad za nim... Może to Morningside Park? To niedaleko stąd.

– Zrobili z niego przynętę – ostrzegła Atena. – Fałszywy Ares musiał odkryć, ile chłopak dla ciebie znaczy. Jeśli mamy mu pomóc, będziemy potrzebować posiłków.

Myśli Lore galopowały.

– Jak szybko dotrą tu Achillesydzii?

– Wrócili na Brooklyn – odpowiedział Van. – Samochodem to co najmniej pół godziny. A może Odyseidzi nie opuścili jeszcze Manhattanu?

Wyjęła telefon.

– Zaraz się dowiemy. Idź po Castora.

Atena obserwowała, jak Lore pisze wiadomość do Iro.

Potrzebuję twojej pomocy. Czekam przy stawie w Morningside Park. Byle szybko!

Nie dostała odpowiedzi.



Morningside Park pełnił funkcję wąskiej granicy między położonym na trzydziestometrowych klifach osiedlem Morningside Heights a leżącym poniżej Harlemem. Rozciągał się pomiędzy Sto Dwudziestą Trzecią a Sto Dziesiątą, a Lore i Miles nieraz przemierzali go pieszo. Spotykali się tam po zajęciach chłopaka, zwłaszcza kiedy zgadzał się ufundować Lore lunch.

Zawsze niepokoił ją ten fragment naturalnego krajobrazu Manhattanu, jakże inny od otaczających go nowoczesnych budynków. Nierówny teren nie dał się okiełznać deweloperom.

Ciemne klify przecinały kilka ulic na pół, a jedynym sposobem na przedostanie się z jednej ich części na drugą było przejście przez park, a dokładniej skorzystanie z wielu schodów

opadających lub wspinających się pod znacznym kątem.

Kiedy zbliżyli się do jednej z bram, Lore zauważyła kamerę monitoringu miejskiego i wskazała ją pozostałym.

– Zapętlełem sygnał wszystkich kamer w parku – odpowiedział Van. – Jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

Wysoko w oddali spośród ciemności wyłoniła się blada bryła katedry Świętego Jana Bożego. Lore uznała to miejsce za naprawdę malownicze jak na punkt śmiertelnie niebezpiecznej konfrontacji.

Pomimo nadciągającej burzy park wydawał się niesamowicie cichy. Lore zrozumiała dlaczego, kiedy tuż za bramą natknęła się na pierwsze ciało. Kobieta ze strzałą sterczącą z pleców.

– Odyseidzi się odezwali? – zapytała Atena.

– Nie – odpowiedziała Lore. – Ale nie zamierzam marnować czasu. Jeśli mają się pojawić, to się pojawią.

Castor skinął głową i podniósł się z kucek.

– Idziemy! – rzucił.

A potem zaczęły wyć psy.

Lore momentalnie zwolniła. Zrozumiała, co się dzieje.

– No nie... – szepnęła.

– Co? – zapytał Van. – O co chodzi?

– To chyba nie Gniewny zastawił na nas pułapkę – odpowiedziała.

– To moja siostra – potwierdziła Atena, ściskając mocniej dory. – Artemida.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY



– NADCHODZĄ – OSTRZEGL VAN.

Dziesiątki psów o splecionej, pokrytej błotem sierści pędziło parkowymi ścieżkami, wyjąc i ujadając. Niektóre wydawały się przybłędami, inne dopiero co uciekły właścicielom, ciągnąc za sobą przypięte do obroży smycze. Z pysków kapłała im ślina.

– Płochacze – stwierdziła zdeglustowana Atena.

Wzięli ze sobą broń Kadmitów. Lore zdecydowała się na sztylet, bogini na niewielki nóż oraz dory, dzięki której trzymała bestie na dystans.

Łowcy wykorzystywali psy gończe do tropienia i osaczania ofiar. Stworzenia ujadają i wyły, starając się zająć zwierzynę. Zatrzymać do czasu przybycia ogarów lub samych polujących.

Kątem oka Lore zauważyła nietypowe zjawisko w ciemności spowijającej drzewa rosnące tuż za plecami Ateny. Ptaki i wiewiórki zasiadały obok siebie na gałęziach. Tkwiły tam w nienaturalnym bezruchu, a ich oczy świeciły mocą Artemidy.

Ucieczka nie była dobrym rozwiązaniem. Pościg doprowadziłby psy gończe do wrzenia. Kto wie, może nawet by ich rozszarpały.

– Jakies pomysły? – zapytał Castor. – Ktoś coś?

I nagle psy zamilkły. Lore miała wrażenie, że skóra na jej głowie swędzi ją od niewidzialnych spojrzeń.

Na trawie zaczęły zbierać się koty. Futro na ich grzbietach sterczało niczym ostrze.

Lore mogła się domyślić, że to instynkt nakazywał Artemidzie ukrywać się wśród dzikich istot, i to nawet w graniach miasta z betonu i stali. Mieliby szczęście, gdyby usłyszeli szept strzał przeszywających ich serca.

Psy krążyły dookoła. Te z końca przesunęły się do przodu, bliżej nich, te z przodu natomiast odwróciły się i wróciły na ścieżkę. Nie prowadziły ich, uświadomiła sobie Lore, tylko uniemożliwiała im ucieczkę z parku.

– Będziemy stać tu jak kołki i czekać, aż nas powybijają? – zapytała dziewczyna, wyciągając nóż z pochwy przywiązanej do nogi. – Ruszajmy!

Każdy oddech świszczał jej w uszach, kiedy biegli na południe. Trasę wyznaczały dorodne drzewa wznoszące się ponad szpaler gęstych krzewów. Kiedy szlak się zwężał, robiło się klaustrofobicznie. Po drodze natknęli się na więcej ciał, głównie mężczyzn i kobiet, biegaczy, ale też zwykłych przechodniów wracających ze szkoły bądź pracy. Lore aż skręcało na ich widok. Karmiła nimi swój gniew.

Przysięgła sobie, że Artemida odpowie za ich śmierć. Atena najwyraźniej się nie myliła – jej siostra nie myślała logicznie. Castor mógł wierzyć, że uda mu się namówić ją do współpracy, lecz w rzeczywistości bogini nigdy by się do nich nie przyłączyła. Teraz zaś Lore nie chciałaby skorzystać z jej pomocy, nawet jeśli otrzymałaby taką propozycję.

– To twoja ostatnia szansa, żeby cię wycofać, uzurpatorze – ostrzegła Atena. – Nie zamierzam marnować oddechu na osłanianie cię.

Lore spojrzała na Castora.

– Może powinienes...

Przyjaciół jednak nie chciał jej słuchać.

– Jestem tu dla Milesa i nie zamierzam wracać bez niego.

– Skąd w ogóle Artemida wiedziała, że to mój przyjaciel? – szepnęła Lore.

– Czy to nie oczywiste? – zapytała Atena. – Obserwowała nas. Śledziła nasze kolejne ruchy. Potrzebowała pretekstu, żeby wyciągnąć Castora z domu.

– Naprawdę nie jesteś w stanie z nią pogadać? – odezwał się Van. – W końcu jest twoją siostrą.

Patrząc teraz na Atenę, Lore zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, przyprowadzając ją tutaj. Bogini z pewnością nie naraziłaby jej na niebezpieczeństwo, bo ryzykowała własnym życiem, ale... nie związała swojego losu z Castorem. Niby kto miałby ją powstrzymać przed podaniem jego głowy na tacy Artemidzie i odnowieniem dawnej współpracy?

Ja, pomyślała Lore, obserwując, jak mięśnie pleców Castora poruszają się przy jego każdym kroku.

– Takiej bestii jak ona nie da się obłaskawić – ostrzegła Atena. – Kiedy Apollo odszedł, jej umysł zaczął inaczej funkcjonować. Artemida jest teraz namiastką samej siebie.

Castor nie odezwał się, obserwując spowity półmrokiem park.

Zanim dotarli do stawu i sąsiadującego z nim wodospadu, mżawka przerodziła się w rzęsimy deszcz bębniący w połacie zielonawej wody i wprawiający jej powierzchnię w obłąkany taniec. Na środku płytkiego zbiornika klęczał Miles, pochylony do przodu tak bardzo, że niemalże dotykał twarzą wzbierającej wody.

Lore chciała do niego podbiec, lecz Castor zatrzymał ją, zmuszając do ukrycia się za stojącą obok ławką.

Dziewczyna rozejrzała się, wypatrując ruchu. Psy cofnęły się aż do linii wody. Posłusznie rozsiadły się i czekały na kolejne rozkazy. Lore podążyła za ich wzrokiem ku drugiej stronie stawu.

– Tam! – zawołała. – Tam jest!

Łuczniczka stała na jednej z mniejszych skałek pomiędzy wodospadem a ociekającą deszczem wierzbą płaczącą.

Lore osłoniła oczy przed spadającymi kroplami. Dostrzegła pokrytą błotem twarz bogini i koronę z liści i cierni spoczywającą na jej jasnych włosach. Niegdyś błękitna tunika wydawała jej się czarna od brudu i krwi. Artemida uniosła łuk, kierując go w stronę Milesa.

– Nie! – Van przeskoczył przez ławkę i zaczął biec w stronę stawu. Kiedy wpadł do mętnej wody, strzała opuściła cięciwę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY



– CAS... – ZACZEŁA LORE, ALE NOWY BÓG BYŁ JUŻ NA NOGACH. Moc wystrzeliła z jego rąk, spaliła lecącą strzałę i wysadziła głązy leżące nieopodal wodospadu.

Artemida odskoczyła w chwili, gdy Van rzucił się na Milesa, próbując osłonić go swoim ciałem. Kiedy bogini znikła pomiędzy drzewami, Castor i Atena puścili się w pogoń, okrążając staw z dwóch stron. Psy popędziły za nimi, kłapiąc szczękami i warcząc.

Zwracam na siebie uwagę, pomyślała Lore. Przeskoczyła przez ławkę i wskoczyła do wody.

– Czy on...

Van wyciągnął rękę, blokując jej drogę.

– Nie dotykaj go! – powiedział głosem pełnym furii.

Lore zamarła, czując, jak żołądek się jej kurczy.

– Ale musimy... musimy go stąd zabrać!

Van był tak wściekły, że przy każdym słowie się trząsł.

– Ty zawsze... zawsze tak się zachowujesz! Zawsze czegoś chcesz i wszyscy wokół muszą... Po prostu... nie dotykaj go!

Nie wiedziała, co zrobić. Powstrzymała się, pozwalając, żeby Van wyniósł Milesa ze stawu. Potem ukląkł, przerzucił go sobie przez ramię i popędził w stronę sąsiednich, zapewne bezpiecznych, ulic.

– Bogobójco! – zawyla Artemida z ciemności. – Czekałam na tę chwilę!

Lore otrząsnęła się. Z konsekwencjami ataku na Milesa zmierzy się później. Z Vanem jej przyjaciel był bezpieczny, tymczasem ona miała inny, bardziej palący problem.

Wbiegła na najbliższe schody i zatrzymała się przy kolejnej wąskiej drodze. Poprzez rzęsisty deszcz i gęste zarośla nie widziała nikogo, ale wyraźnie słyszała głosy odbijające się echem od klifów. Zatrzymała się, kiedy dotarła do ścieżki prowadzącej wyżej. Spojrzała w stronę pobliskich drzew.

– Zostaw nas, siostro! – zawołała Artemida. – Wiesz, że jego życie należy do mnie! Jeśli jeszcze raz mnie zdradzisz, odbiorę je także tobie!

To Atena ją zdradziła, pomyślała Lore z niedowierzaniem.

– I ty mówisz o zdradzie? – huknęła Atena. – Po tym, jak zostawiłaś mnie na łasce nowego boga?

– Zdradzasz mnie z każdym oddechem, jaki wciąga zabójca mojego brata – odparła Artemida. – Powinnaś była przyprowadzić go do mnie. Obiecałaś, że będzie mój!

Lore próbowała biec w kierunku, z którego dobiegały ich głosy, ale miała wrażenie, że słyszy je ze wszystkich stron jednocześnie.

– Posłuchaj mnie – zawołała Atena. – Zapanuj nad swoimi emocjami, bo cię zniszczą!

– „Posłuchaj, posłuchaj, posłuchaj!” – warknęła jej siostra. – Nigdy więcej już cię nie posłucham! Tkaś kłamstwa i przedziesz obietnice bez pokrycia. Jesteś wszystkiemu winna. Właśnie ty! Poszliśmy za tobą! I co? Doprowadziłaś nas do nieszczęścia!

– Masz rację, ale odkryłam sposób na zakończenie Agonu – odpowiedziała Atena. – Nowe instrukcje. Pomóż nam je odnaleźć, a wrócimy do naszego domu. Czas polowań dobiegnie

końca!

– Nigdy nie będziemy mogli tam wrócić – warknęła Artemida. – Kiedy wreszcie to zrozumiesz? Nigdy nie będziemy wygrzewać się w blasku naszego ojca. Nigdy nie doznamy jego łaski. Możemy tylko pozabijać wszystkich łowców i fałszywych bogów za to, jaki los nam zgotowali. Możemy ukarać ich za brak wiary. Skoro ja muszę umrzeć, niech zginą i oni. Zaczynając od mordercy Apolla!

Lore wbiegła po kolejnych długich schodach, szukając lepszego punktu obserwacyjnego. Okoliczne klify wzmocniono kamiennymi blokami, więc czuła się, jakby wspinała się po murach starożytnego zamku. W końcu znalazła się na jego blankach. Wychyliła się przez cementową barierkę, przeczesując wzrokiem park. Strach opatulił ją niczym mgłą.

Sq tam, pomyślała. Jej towarzysze wciąż ścigali Artemidę. Ścieżka sprowadziła ich z dolnego szlaku i po chwili zniknęli pod osłoną liści.

Lore zaczęła zbiegać po śliskich stopniach. Choć była przemoczona, nie czuła już zimnego deszczu. Pędziła w stronę przyjaciół, kierując się trzaskiem łamanych gałęzi.

Castor i Artemida zatoczyli koło i wrócili w okolice wodospadu, do zagajnika rosnącego na jego grzbiecie, niedaleko jednej ze ścieżek. Skały sterczące z ziemi po obu jego stronach z góry przypominały połączone płaskie głazy. Wysuwały się ponad staw niczym nieduże klify i zasilaly wodospad deszczówką.

Atena znajdowała się niedaleko. Próbowала wydostać się z utkanej przez jej siostrę splątanej sieci cierni, sznurów i gałęzi, w którą wpadła.

Tymczasem Castor i Artemida przedarli się przez drzewa i doskoczyli do siebie, walcząc o dającą przewagę pozycję. Bogini z trudem uniosła łuk z włókna węglowego. Sięgnęła do tyłu i odkryła, że skończyły jej się strzały.

Odrzuciła broń na bok i sięgnęła po niewielki, przypięty do ramienia nóż myśliwski. Castor doskakiwał do niej i odskakiwał, unikając kolejnych, chaotycznych cięć. Syknał, kiedy drasnęła jego przedramię. Artemida natychmiast rzuciła się do przodu, podwajając wysiłki zmierzające do wbicia mu ostrza w gardło.

– Nie!

Lore schyliła się po leżącą na ziemi włócznię Ateny i cisnęła nią w Artemidę.

Bogini z łatwością odbiła nadlatującą dory i roześmiała się posępnie. Tyle że Lore wcale nie chciała jej zabić. Starła się jedynie zwiększyć szanse Castora.

A on wykorzystał okazję. Kiedy Artemida odchyliła się, próbując uniknąć włóczni, uderzył ją w nadgarstek, wytrącając nóż, po czym powalił na ziemię.

Atena w końcu uwolniła się z sieci i ruszyła w stronę walczących. Artemida wrzasnęła potępieńczo, a dzikość jej okrzyku wywołała prawdziwą kakofonię klekotów wśród pobliskich ptaków. Bogini zrzuciła z siebie Castora, posyłając go na ubłoconą trawę.

Zdołała podnieść nóż i unieść go, osłaniając się przed przeciwnikami.

– Posłuchaj mnie – zaczął Castor, chwytając się za bok. – Proszę... potrzebujemy twojej pomocy!

Artemida poruszała się z gracją jelenia i niekontrolowaną furią szarżującego dzika. O ile Lore dostrzegała czasami odrobinę człowieczeństwa w działaniach Ateny, w Artemidzie widziała jedynie zwierzę. Bogini była nieprzewidywalna, odznaczała się tym, co starożytni pisarze określali mianem okrutnego sposobu myślenia. Była zaskakująca i bezlitosna jak sama natura.

– Uspokój się, Artemis! – zawołała Atena. – Nie tylko łowcy nam szkodzą. Także polowanie. Razem możemy to zakończyć...

– Och, jesteś głupia! – zadrwiła z niej siostra. – Nawet nie potrafisz dostrzec leżącej przed tobą prawdy. Agonu nie można wygrać. Nie da się przed nim uciec. To nasz własny Tartar!

– Nie wierzę w to. – Atena zrobiła krok w jej stronę. Wyciągnęła rękę do tyłu, zakazując Lore mieszania się do walki.

Dziewczyna z trudem stłumiła odgłos frustracji, choć rozumiała boginię. Artemida rozjuszyłaby się jeszcze bardziej, gdyby miała naprzeciwko siebie troje przeciwników.

– Uspokój się, siostrzyczko – ciągnęła Atena. – Posłuchaj, co próbuję ci powiedzieć. Zagubiłaś się w swojej wściekłości, lecz chcę cię z niej wyciągnąć. Dobrze rozumiem...

– Nic nie rozumiesz! – krzyknęła bogini. – Inaczej przyprowadziłabyś go do mnie. Razem miałyśmy ich zabić. Wszystkich uzurpatorów! Co do jednego!

Woda obmywała stopy Lore i spływała do wodospadu. Kiedy Artemida się poruszyła, dziewczyna zauważyła, że część potoku deszczówki znika w pobliskiej stercie liści i błota. Ich warstwa powoli rozrzedzała się, odsłaniając krawędź uskoju i garść cienkich gałęzi, które maskowały zagrożenie.

Sapnęła, kiedy coś ciężkiego uderzyło ją w bok. To był duży labrador. Po chwili dołączył do niej drugi, warczący i kłapiący zębami.

– Stój! – warknęła, walcząc z ogarniającym ją szałem. Z ust poleciała jej ślina.

Jeden z psów zatopił kły w jej przedramieniu. Krzyknęła z bólu, ciskając czworonogiem w jego towarzysza. Zwierząt jednak przybywało, dlatego przetoczyła się na bok, podniosła potężną gałąź i zaczęła nią wywijać, próbując odstraszyć psy lub przynajmniej utrzymać je na dystans.

– Tak, masz rację – powiedziała Atena, nie odrywając oczu od Artemidy. Podeszła do niej powoli, pokazując ściskającej nóż siostrze puste ręce. – Już nie pamiętasz? Nawet teraz tego nie dostrzegasz? Pierwsze promienie słońca pobłyskujące zza chmur, omiatające najczystszym złotem nasze ogrody i korytarze domu... Powietrze słodkie od kadzidła i dymu... wiecznie płonący ogień... i świat u naszych stóp, tak zielony i obiecujący... No i nasz niepokonany ojciec. I inni...

Lore była zszokowana natłokiem emocji ukrytych w tych słowach, skrywaną przez Atenę za otchłanią szczerego bólu.

Artemida jęknęła i przeciągnęła dłonią po twarzy. Potem potrząsnęła głową. Również jej rozpacz była wstrząsająca. Atena dotarła jednak do jej serca...

Ale nagle bogini wyprostowała się i zmrużyła oczy, spoglądając z nienawiścią na Atenę.

– Ty! – powiedziała. – Odebrałaś mi to wszystko!

Artemida stała plecami do Castora, co pozwoliło mu zbliżyć się do niej od tyłu. Nagle obróciła się, lecz on był szybszy – chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

Jeden z psów chciał go zaatakować, lecz Lore odepchnęła go gałęzią. Wyciągnęła szyję, żeby choć przez chwilę widzieć toczącą się walkę.

– Nie, nie! – Artemida wiła się i skręcała.

W końcu rozległ się nieprzyjemny, mokry trzask. Żeby się uwolnić, bogini wybiła sobie bark. Jej umysł dryfował gdzieś w oddali, zupełnie nie czując bólu. Mimo to sprawną ręką wbiła nóż w udo Castora.

Upadł z krzykiem. Krzywiąc się, wyciągnął ostrze z rany.

– Wyczuwam w tobie moc mojego brata, ale jest odległa. Tak bardzo odległa – prychnęła i otworzyła szeroko oczy. Cofnęła się w stronę wodospadu i jej pięta znalazła się na krawędzi ustępu. Zachwiała się i ledwo odzyskała równowagę. – Wydajesz się inny od pozostałych. Czym jesteś?

Jej pytanie całkowicie zaskoczyło Lore. *Że co?*

Castor powoli zbliżał się do bogini. Artemida kręciła głową, nie mogąc oderwać od niego wzroku, aż ponownie znalazła się na krańcu skały wychodzącej nad staw. Wodospad szumiał tuż

obok, zagłuszając część jej słów.

– Widziałas jego śmierć? – zapytał Castor zdesperowany. – Byłaś tam? Wiesz, jak to się stało?

Gdzieś nad nimi rozległ się grzmot. Artemida wyprowadziła całą serię ataków, wbijając pięści w jego brzuch, nerki, wszędzie tam, gdzie była w stanie dosięgnąć. Krew tryskała z jego uda, mieszając się z deszczem.

W końcu odepchnęła go potężnym kopnięciem. Użył jednej ręki, żeby ją zablokować, a drugą wbił ostrze w jej ramię.

Zawyła z bólu, drapiąc go po twarzy. Potem wyrwała mu nóż i ponownie go zaatakowała. Wytracił broń z jej dłoni – ostrze przecięło powietrze i wirując, wpadło do stawu.

Kamienna półka pochylała się lekko w stronę wody. Artemida przeszła na jej wyższą stronę, zmuszając Castora do skupienia się na złapaniu równowagi. Silny wiatr i deszcz niemal zepchnęły go poza krawędź skały.

– Nie ruszaj się – ostrzegł Castor. – Proszę... on nie chciałby, żeby...

– Jeśli choć raz wymówisz jego imię, wyrwę ci język – wrzasnęła Artemida i zbliżyła się do niego.

– Nie podchodź bliżej – powtórzył młody bóg.

– Zatrzymaj się! – zawołała Lore. – Proszę!

– Nie mieszaj się, Lore! – Jej przyjaciel próbował przekrzyczeć deszcz – Prąd jest zbyt silny...

Ciało Artemidy falowało z każdym jej oddechem, wybite ramię zwisało bezużytecznie wzdłuż ciała.

– Nieważne, czym jesteś – powiedziała Artemida. – Nieważne, kim byłeś i kim mogłeś być. Dla mnie już nie żyjesz!

– Artemido! – zawołała Atena. – Nie niszczy się z powodu tego śmiertelnika!

Lore знаła minę, która malowała się na twarzy bogini. Tę straszną determinację. Artemida zawsze była samotnym stworzeniem, nawet wtedy, kiedy wraz z niewielką grupą swoich ulubionych łowców oraz nimf przemierzała najdziksze zakątki świata. Lore czuła jej ból, odbijał się w niej echem. Łuczniczka bez wątpienia była wyjątkowa, spowita cieniami i ciszą, jednak straciwszy bliźniaka, stała się naprawdę samotna. Nie miała już nic do stracenia.

– W rzece jest potwór. – Jej głos załamał się, ujawniając szaleństwo. – Zabójca bogów i śmiertelników. Pożre wszystko. Nawet ciebie, siostro!

– Potwór? – zdziwiła się Atena. – Powiedz mi...

– Śmierć jest ci przeznaczona, uzurpatorze – powiedziała Artemida Castorowi. – Krocę ścieżką sprawiedliwości.

Castor cisnął w nią kolejny pocisk mocy, a potem jeszcze jeden, próbując odciągnąć ją od ustępu i skierować w stronę ścieżki. Wiatr smagał ich ze wszystkich stron. W końcu zmusił nowego Apolla do przyklęknienia i podparcia się dłonią, w przeciwnym wypadku spadłby ze skały.

Artemida kopnięciem podniosła łuk z ziemi i trzymając go przed sobą niczym maczugę, ruszyła na przeciwnika. Castor posłał jeszcze jeden pocisk i jego przeciwniczka instynktownie uskoczyła w lewo.

– Stój! – krzyknęła Lore.

Stopa Artemidy ponownie zatrzymała się na krawędzi zastawionej przez nią samą pułapki. Gałęzie pękły i spadły na zaostrzone drewniane kije ustawione poniżej. Atena wyciągnęła rękę, lecz jej siostra odwróciła się od niej i od uskoku.

– On jest mój! – warknęła. – Jego życie należy do mnie! Do mnie!

Ten mały ruch sprawił, że jej stopa znalazła się w strumieniu deszczówki zasilającej wodospad. Ponownie rozległo się wycie. Artemida prowokująco obnażyła kły, po czym się wyprostowała. Chciała przeskoczyć nad kaskadą, ku miejscu, w którym Castor klęczał na skraju wystającej skały.

Kwitnący krzew ukrył prawdziwą krawędź klifu. Każdy mięsień w ciele Lore napiął się, kiedy stopa Artemidy uderzyła w krzew i się zsunęła. Nowy Apollo wyciągnął jeszcze rękę, próbując złapać boginię i w ten sposób zapobiec upadkowi, ta jednak wzgardziła jego pomocą.

I runęła w dół.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY



DO DNIA, W KTÓRYM OPUŚCI JĄ ŻYCIE I LORE OBUDZI SIĘ W MROCZNYM, podziemnym świecie, dziewczyna będzie pamiętać ten trzask kości i zduszony jęk, który nagle się urwał.

Castor opadł na kolana i chwycił się za włosy. Krzyknął z frustracji.

Lore parła naprzód, przytrzymując się drzew i skał, w pewnej chwili nawet się czołgała. W końcu znalazła się na krawędzi wodospadu.

Pasek kołczanu Artemidy zahaczył o długą gałąź wiszącą tuż nad spadającą wodą i zamienił się w pętlę, momentalnie łamiąc kark bogini.

A jej twarz...

Jęk przerażenia utkwiał w gardle Lore, próbując wydostać się na zewnątrz.

Dziewczyna obawiała się nawet, że się nim zdławi, jeśli spróbuje oddychać.

Atena stanęła tuż obok niej, wpatrując się w koronę z cierni i liści na głowie Artemidy. Jedyną oznaką kłębiących się w niej emocji była zaciśnięta szczeka. Bogini miała twarz wojowniczkę, stwardniałą na skutek stuleci pełnych śmierci. Nie poddawała się żałobie.

– Ja... – zaczęła Lore, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć. Na pewno nie było jej przykro, ale... – Co teraz zrobimy? Chcesz, żebym ją odcięła, żebyś mogła... pochować ją jeszcze przed końcem Agonu?

– A jak się grzebie boga? – zapytała Atena. – Przecież ona była mocą, a nie ciałem. Ciało to niewiele więcej niż prymitywne naczynie. Ona zaś... uwolniła się od niego.

Lore uświadomiła sobie, że Atena została już ostatnią z dziewiątki pierwotnych bogów.

Psy na okolicznych ścieżkach wyły i skomlały z rozpacz. Pomimo licznych wydarzeń mijającego tygodnia Lore dopiero teraz poczuła, jak niewiele brakuje jej do szaleństwa. Właśnie teraz, kiedy słyszała wycie wtórujące skrzypieniu kołczanu Artemidy.

Ciało bogini obracało się niczym niekończący się krąg życia, śmierci i ponownych narodzin.

Lore ruszyła w stronę Castora, wspinając się na niewielki, pochyły klif, wznoszący się tuż obok wodospadu. Został na górze, żeby wyleczyć nogę. Kiedy się podniósł, wciąż wyglądał na udręczonego, choć nie miało to nic wspólnego z fizycznym bólem.

– W porządku? – zapytała Lore i wyciągnęła dłoń, żeby przeprowadzić go przez kilka niebezpiecznych fragmentów skały.

– Bywało lepiej – odpowiedział, chwytając ją za rękę.

Nagle usłyszała świst. Z początku myślała, że wzmógł się wiatr, przedzierając się przez gałęzie i kamienie. Potem jednak poczuła palący ból w lewym ramieniu.

Z niedowierzaniem spojrzała na nowe rozcięcie w koszuli i krew spływającą jej po kończynie. Za jej plecami, gdzieś w pniu drzewa, drżała świeżo wbita strzała.

– Lore...

Castor miał zboliałą, przerażoną minę. Dziewczyna stała z wyciągniętą ręką, patrząc, jak szkarłat rozlewa się po jego przemoczonej koszuli, sącząc się z pojedynczej, otwartej rany po lewej stronie klatki piersiowej. Na wysokości serca.

Krzyknęła i skoczyła do przodu, próbując złapać go za ramię, ale zareagowała zbyt

późno. Jego usta złożyły się jeszcze w ostatnie, nieme słowo.
Lore.

Życie opuściło jego oczy, gasząc iskry mocy. Castor zsunął się ze skały i spadł do wody.

CZĘŚĆ CZWARTA

MROCZNE RZEKI



SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ



Lore trenowała z Castorem dostatecznie długo, żeby wiedzieć, kiedy coś było nie tak.

Wszyscy wydawali się podekscytowani rozpoczynającym się za dwa dni Agonem i cieszyli się przygotowaniami. Achillesydzi z całego świata zjeżdżali się do miasta.

Lore niepokoiło co innego: odliczanie, które rozpoczął Aristos Kadmou dwa dni wcześniej, podczas spotkania, na które poszła wraz z ojcem.

Przekaż mi swoją odpowiedź do końca Agonu.

Zostało im jeszcze dziewięć dni. Ojciec powiedział jej, żeby się nie martwiła, bo na pewno na coś takiego się nie zgodzi. Ale Lore i tak wciąż o tym myślała.

Castor nie był tak skupiony jak ona czy pozostali uczniowie. Jego ruchy zdawały się wlec w powietrzu, jakby ciało stało się dla niego zbyt ciężkie. Zawsze byli do siebie idealnie dopasowani – on dorównywał jej szybkością, a ona jemu siłą.

Jego twarz też zdradzała zmartwienie. Lore widziała przebiegający przez nią cień, tak jak chmura przesuwająca się pod słońcem i zaciemnia świat poniżej.

Bang, bang, bang.

Ostatnie uderzenie kijem treningowym zadała wyjątkowo mocno. Castor cofnął się o krok, a jego tylna stopa poślizgnęła się na kałuży potu.

– Jeszcze raz – rozkazał instruktor. – Tylko szybciej!

Lore ponownie uniosła kij. Castor pochylił się lekko i potrząsnął głową. Zamrugnął, robiąc skupioną minę.

Przechyliła głowę, bezgłośnie pytając: *Gotowy?*

Uniosł laskę. Wyczytała odpowiedź z jego ust.

Ponownie zaczęła ćwiczyć – uderzenie wysoko, uderzenie na wprost, uderzenie nisko i tak w kółko. Castor blokował jej ciosy, ale kiedy zwolnił, również musiała zwolnić.

Szybki stukot kijów dookoła niej przypominał bicie w bęben do pieśni poobijanych tarcz i dzwoniących ostrzy. Pozostałych osób jednak nie widziała. Smród ciała, oleju i gumowych mat ciążył jej w płucach.

Wraz z ostatnim uderzeniem Lore postanowiła przetestować swoją teorię. Uderzyła mocniej, niż musiała. Castor stracił równowagę, jęknął i osunął się na kolana.

Lore spojrzała na instruktora. Stał do nich tyłem, krążąc po drugiej części sali treningowej, udzielając rad i czasami chwając zawodników.

– Dobrze, Abreas... Mocniej, Theron!

Kiedy jej przyjaciel się podniósł, zastosowała chwyt zapaśniczy i pochyliła się do przodu, aż ich czoła się zetknęły. Położyła mu dłoń na karku. Wiedziała, że tylko w ten sposób mogą porozmawiać w trakcie zajęć.

– Wszystko w porządku? – szepnęła. – Jeśli jesteś chory, powinieneś to zgłosić.

– Nic mi nie jest – przekonywał. – Mam dostatecznie kiepską pozycję i nie mogę stracić kolejnych punktów. Poza tym Van wrócił już do siebie i nie miałybyś z kim trenować.

Evander, jeden z dalekich kuzynów Castora, mieszkał w Domu Tetydy przez kilka miesięcy poprzedzających Agon, ale został zabrany przez rodziców po serii kompletnie nieudanych sesji treningowych. Lore nie przepadała za nim, bo ograniczał wolny czas jej

przyjaciela, a przede wszystkim zakłócał ich normalne lekcje. Instruktorzy odsunęli ją od treningów z Castorem – chcieli, żeby jej przyjaciel i Evander ćwiczyli razem.

Strasznie to ją wkurzało – Evander nie potrafił zablokować ciosu bez cofnięcia się i zakrycia głowy. Ona zaś z całą pewnością zasługiwała na udział w szkoleniu, nawet jeśli nie należała do rodu Achillesydów.

– Przerwa na wodę! – zdecydował instruktor. – Szybko! Zajęcia kończymy ćwiczeniami z nożem.

Lore zabrała Castorowi kij, zanim zdążył zaprotestować.

Idź, rozkazała mu spojrzeniem i skinęła głową w stronę długiej ławki z tyłu sali, gdzie stały butelki z wodą. Mimo to postanowił na nią zaczekać.

– Daj sobie spokój, Cas – rozległ się szyderczy głos. – Nie nadążasz nawet za dziewczyną.

– Zazdrościsz, Orestesie? – odparował, wciąż ciężko dysząc. – Instruktorzy mawiają, że będziemy tak dobrzy jak nasi partnerzy. Biedny Sabas nie ma się czym popisać, prawda?

– Każdy jest lepszy od chorej, słabej gnidy – stwierdził Orestes. – Pospiesz się i umrzyj wreszcie, dobrze? Gdyby twoja matka nie stchórzyła, zostawiłaby cię na jakimś wzgórzu.

Lore cisnęła butelkę wody na ławkę i podeszła do chłopaka. Castor złapał przyjaciółkę za nadgarstek, próbując ją powstrzymać.

– Z pewnością coś o tym wiesz – rzucił – żyjąc z zaledwie połową mózgu. Nie martw się, nikt nie zauważy, że nadal nie opanowałeś walki na miecze na poziomie pierwszej klasy. Mamy z tego niezły ubaw.

Reszta grupy wymieniała szeptem uwagi i od czasu do czasu zerknęła w stronę instruktora, aby zobaczyć, czy nie interweniuje. Na razie był zajęty rozmową z innym trenerem. Niektórzy uczniowie uśmiechali się, spodziewając się walki.

– Przynajmniej nie zostanę panną młodą u węży – warknął Orestes.

Lore gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. Castor spojrzał na nią, marszcząc brwi. Orestes wyglądał jak wrona, która dopadła robaka.

– Nie powiedziała ci? – rzucił, kiedy ruszyli w stronę cienkich mat treningowych. – To jej ostatni dzień tutaj. Patér się wściekł, że ten osioł, jej ojciec, zgodził się wydać ją za archonta Kadmitów. Nasza starszyzna spotkała się wczoraj wieczorem i postanowiła wydać ją z zajęć. Ojciec mi o tym powiedział. Nie odesłali jej rano tylko dlatego, że jej ojciec wyblagał dla niej jeszcze jeden dzień.

Na twarzy Castora malowało się zmieszanie, ale i ból. Obserwował ją, czekając na potwierdzenie. Zaczerwieniła się.

– To nieprawda – powiedziała. – Bzdury i tyle!

Nie powiedziała mu o spotkaniu z Kadmitami, bo... wciąż nie rozumiała, co właściwie tam się wydarzyło. Była przekonana, że jej tata odrzuci ofertę Aristosa Kadmou. Że nigdy mu jej nie odda.

– Nie odmawia się archontowi węży – dodał zadowolony z siebie Orestes. – Może cię udusi, kiedy dosięgnie cię jak...

Castor uderzył pięścią w bok jego głowy, powalając chłopaka na bok. Orestes natychmiast poderwał się i ku radości zebranych zaatakował.

Gdyby jej przyjaciel był w pełni sił, nie upadłby tak jak wtedy.

– Dość – powiedział instruktor. – Zająć pozycje. Zaczynamy od nowa.

Ale Castor nie podniósł się z ziemi. Nie był w stanie się ruszyć.

– Cas? – szepnęła Lore.

Nie odpowiedział. Jego oczy wywróciły się do tyłu, a ciałem zaczęły wstrząsać

konwulsje.

Uklękła przy nim, próbując go przytrzymać.

– Co mu zrobiłeś? – krzyknęła do Orestesa, który wydawał się równie zszokowany. Instruktor wsunął dłoń pod głowę Castora, żeby nie uderzała o drewnianą podłogę.

– Wezwij dyżurnego uzdrowiciela – warknął do jednego z pomocników.

– Co mu zrobiłeś? – zapytała ponownie Lore.

Orestes cofnął się, a wówczas Lore rzuciła się na niego, uderzając pięściami w brzuch. Nic więcej nie pamiętała. Jej umysł zasnuł się mgłą. Później dowiedziała się, że instruktor objął ją w pasie i siłą ściągnął z Orestesa. Chłopak miał zmasakrowaną twarz. Cały był we krwi.

– Zabiję cię – przysięgła.

Orestes odkasznął, wypluwając krew z płwociną. Jego hetaïros klęczał tuż obok niego i szeroko otwartymi oczami obserwował Lore.

– Będziesz musiała poczekać na to siedem długich lat, mała Gorgono – warknął instruktor. – O ile wąż kiedykolwiek wypuści cię ze swojego łoża.

Lore próbowała się wyrwać z jego uścisku, ale wiedział, jak ją trzymać. Wyciągnęła rękę w kierunku Castora. Nie widziała go. Zza tłumu otaczających go ludzi wystawały jedynie jego stopy w sandałach.



Kilka godzin po tym, jak uzdrowicielka Kallias przyniosła niepokojące wieści, Lore została w końcu wpuszczona do pokoi, które Castor dzielił wraz z ojcem w Domu Tetydy.

Zatrzymała się po lewej stronie łóżka, obserwując unoszenie się i opadanie klatki piersiowej chłopaka. Liczyła jego oddechy, jakby to były kroki podczas marszu. Chejron spał w nogach swojego pana.

Polizał jej rękę, kiedy podrapała go za uszami.

– Myślisz, że źle zrobiłam? – szepnęła do niego. Dostrzegła zaprzeczenie w jego ciemnych oczach i zgodziła się z nim.

Serce waliło jej w piersi, powtarzając niczym echo ciosy zadane Orestesowi. Dotknęła szorstkich bandaży, które założył jej ojciec Castora. Uzdrowicielka Kallias odmówiła udzielenia jej pomocy – podobno Orestes należał do jej rodziny.

Przez uchylone drzwi sypialni Lore usłyszała, że zbliżają się jej rodzice. Ojciec Castora, Cleon, pełnił obowiązki dozorca, więc mógł wprowadzić ich do budynku bocznym wejściem i przewieźć na górę windą usługową, zmniejszając ryzyko spotkania z Achillesydami. Lore wstydziła się, jak bardzo chciała przytulić się do matki – pragnęła przykleić się do niej, dopóki nie zapomni o słowach uzdrowicielki.

Nic więcej nie można zrobić. Nawet terapie bezkrwistych nie zdołają mu pomóc.

W pokoju słychać było fragmenty cichej rozmowy, zagłuszanej przez miękkie brzęczenie i okresowe piski tajemniczej aparatury medycznej stojącej dookoła łóżka Castora. Lore ruszyła w stronę drzwi, wytężając słuch. Starła się podsłuchać ich rozmowę, choć i tak połowę słów wyczytała z ruchu warg – nauczyli się tej sztuczki z Castorem, kiedy szpiegowali starszyznę jego rodu. W uszach słyszała głównie szum przypominający trzeszczenie radia.

– Co powinienem zrobić? – szepnął ojciec jej przyjaciela. – Czy cierpi, bo nie chcę pozwolić mu odejść? Może kieruje mną pycha? Wiara w niemożliwe?

– Nie. Oczywiście, że nie – odpowiedziała mama Lore cichym, kojącym głosem. Ujęła go za dłoń. – Zawsze jest nadzieja.

– Nas już opuściła – wyjaśnił Cleon. – Starsi poinformowali mnie, że nie zamierzają dalej płacić za leczenie Castora. A on jest zbyt słaby, żeby wyjechać za granicę, tam, gdzie można by było mu pomóc.

Dłonie Lore zacisnęły się w pięści, a całe jej ciało, łącznie z duszą, zaczęło drżeć z wściekłości. To nie było w porządku. Nie tak miało być...

– Nie pozostaje nam nic innego, tylko poddać się losowi spleconemu przez mojry i zapewnić mu godną śmierć.

– Nie! – zawołała i wyskoczyła zza drzwi.

Chejron szczerknął, zaskoczony hałasem i nagłym ruchem. Lore miała wrażenie, że cała za chwilę eksploduje. Niemalże zaatakowała ojca Castora za jego żalosne wymówki. Chciał, żeby chłopak umarł – finalnie zamierzał pozwolić mu odejść. Tymczasem prawdziwy łowca zawsze walczył do końca, jak bohaterowie z legend, którzy nigdy się nie poddawali.

– Przestań, Melora – rozkazał jej tata, chwytając ją za ramię i odciągając do tyłu. – Natychmiast się uspokój!

– Ty tchórzu – wrzasnęła w stronę Cleona, próbując wyrwać się ojcu. – Hades cię zabierze, ty spasiony psie! Zaslługujesz na śmierć dużo bardziej od niego!

– Melora! – powiedziała z przerażeniem jej matka.

Ojciec Castora wciąż płakał.

– Chciałbym, żeby tak było. Naprawdę chciałbym...

– Natychmiast przeproś – oświadczył jej tata, popychając ją w stronę Cleona Achilleosa.

Lore odwróciła głowę i zacisnęła szczękę. *Nie!* Bogowie nienawidzili tchórzy i ona również.

Ojciec wciągnął ją z powrotem do sypialni chorego.

– Masz tu siedzieć, dopóki się nie uspokoisz!

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Lore uderzyła w nie pięściami. Gorące łzy spływały jej po policzkach. Czuła wewnętrzny ból i zmieszanie. Nie była w stanie tego znieść.

Instruktorzy często powtarzali, że nie ma gorszej hańby niż tchórzostwo. Dlatego ojciec Castora mógł się poddać, ale ona nie zamierzała. Była gotowa zaprowadzić chłopaka do każdego lekarza w mieście, nawet gdyby musiała go nieść na plecach. Chciała walczyć, dopóki jej ciało się nie podda, mogłaby się nawet czołgać, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

– On jest po prostu smutny, Lore.

Głos Castora był zaledwie szeptem, kiedy do niej dotarł.

Podniosła wzrok, ocierając ramieniem łzy. Podeszła do przyjaciela i wdrapała się na wąskie łóżko. Castor przesunął się na materacu, starając się zrobić dla niej miejsce. Położyła się na plecach i ułożyła swoje trzęsące się ręce na brzuchu. Chejron wydał z siebie niezadowolony odgłos, robiąc przestrzeń dla jej stóp.

– Nie obchodzi mnie to – szepnęła Lore i odwróciła się w stronę przyjaciela.

Wciąż miał bladą skórę, niemal tak przezroczystą jak rurki doprowadzające mu tlen do nosa. A jednak uśmiechnął się, dzięki czemu poczuła się odrobinę lepiej.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała mu. – Zawsze jest jakiś sposób.

– Nie sądzę – stwierdził. – Nie tym razem.

Mocno przycisnęła dłonie do brzucha, próbując powstrzymać ich drżenie.

– Wiem już, w jaki sposób możemy zobaczyć Przebudzenie. I nikt się o tym nie dowie!

– Uzdrawicielka Kallias zabroniła mi wychodzić z łóżka – oświadczył Castor. – Ja... muszę po prostu odpocząć.

– A potem – kontynuowała Lore, siadając. Słowa same płynęły z jej ust, ale nie przejmowała się tym. – Potem pójdziemy na lody do tego miejsca niedaleko. Tego, które jest

zawsze otwarte. Nasza sąsiadka dała mi kilka dolarów za podlewanie roślin, kiedy wyjechała z miasta...

– Lore – przerwał jej, a potem wypowiedział słowa, których nienawidziła najbardziej na świecie. – Uspokój się... Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

Wzięła głęboki oddech i poczuła, jak coś dzikiego chwyta ją za serce.

– Nic nie jest w porządku! Wyzdrowiejesz, a ta twoja uzdrowicielka jest głupia. Nie zna się.

– W porządku – szepnął. – Znowu zobaczę matkę. Nie będę sam. Nie boję się.

– Nie puszcze cię – oświadczyła Lore, składając obietnicę. Nie mogła tego zrobić. Castor był jej przyjacielem i hetaïrosem, jej towarzyszem i partnerem. Poprzysięgła go bronić, gdyby się potknął, i zabić każdego, kto by mu zagroził. Jego ostrze było jej, a jej jego.

– Hej – powiedział miękkim głosem. – Słyszałaś dowcip o psie zakochanym w tańcu? Zmarszczyła brwi, a kłębiące się w jej głowie myśli nagle się zatrzymały.

– Co?

Uśmiechał się słabo, ale jednak uśmiechał.

– Nikt nie chciał z nim tańczyć, bo miał dwie lewe nogi.

Lore pokręciła głową. Nawet Chejron zajęczał.

– Castorze Achilleosie, to najgorszy kawał, jaki kiedykolwiek opowiedziałeś.

Przyjaciół lekko wzruszył ramionami, a jego słaby uśmiech zgasł. Nie odzywał się, oddychał z coraz większą trudnością.

– Nie umrzesz – szepnęła Lore. – Nie zrobisz mi tego. A jeśli zrobisz, to pójdę za tobą do Zaświatów i zaciągnę cię tu z powrotem. Wcale się nie boję. Nie boję się niczego.

Zacisnęła dłoń na jego wąskim nadgarstku, jak gdyby próbowała utrzymać go przy życiu siłą woli. Poczuła pod palcami jego puls.

Obserwował ją. Usta pobladły mu, kiedy zacisnął je w wąską linię. Był wyczerpany, ale próbował się bronić przed snem, raz po raz mrugając. Choć nie podobało jej się to, pokiwała głową.

– Nie – powiedział. – Nie, Lore. Obiecuję, że tego nie zrobisz.

Nie odezwała się, więc złapał ją za kark i przyciągnął do siebie. Ich czoła się zetknęły. Jego dłoń wciąż drżała z wysiłku, lecz Lore udawała, że tego nie widzi.

– Przysięgnij – szepnął i zamknął oczy o rzęsach wyjątkowo ciemnych na tle bladego policzka. Wraz z nadejściem snu jego ciało się rozluźniło, ale jej umysł i dusza wciąż płonęły.

– Znam swoje Przeznaczenie – szepnęła.

I zmienię twoje!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY



NA TĘ JEDNĄ STRASZLIWĄ CHWILĘ LORE ZAMARŁA, a przez jej głowę nie przeszła nawet pojedyncza myśl. Dziewczyna wpatrywała się tępo w miejsce, w którym jeszcze przed momentem stał Castor. Deszcz zmył kałużę jego krwi, karmiąc nią rosnącą w wodzie plamę.

On nie żyje.

Zaraz za stawem pojawiło się kilkunastu łowców. Niektórzy nosili maski, ale nie Iro. Ani też wysoki mężczyzna, który stał tuż obok niej. Wciąż trzymał kuszę skierowaną w stronę Lore.

Z daleka, poprzez deszcz, spojrzenie Lore napotkało wzrok przyjaciółki. Iro patrzyła na nią wyzywająco. Miała beznamiętną minę.

– Padnij! – wrzasnęła do niej Atena. – Melora!

Nadleciała kolejna strzała, tym razem wystrzelona przez innego łowcę. Przecięła ramię Lore. Przeszywający ból wyrwał ją z szoku. Iro huknęła na swoich towarzyszy, którzy rozproszyli się i znikli w uliczkach miasta. Pozostali skierowali swoje łuki w stronę Ateny, która ukryła się za drzewem.

Poleciało więcej strzał. Bogini przykucnęła, osłaniając głowę, kiedy pień pękł na pół.

Całe ciało Lore pulsowało w rytm jej bijącego serca. Nie była w stanie poskładać myśli.

On nie żyje.

– Musimy stąd uciekać! – zawołała Atena i rzuciła coś w jej stronę. Lore jeszcze przez chwilę wpatrywała się w srebrny nóż myśliwski Artemidy i spływające po jego ostrzu krople.

On nie żyje.

Niewielki ogień zapalił się wewnątrz jej klatki piersiowej. Pozwoliła mu płonąć, ponieważ był czymś realnym w otaczającej ją pustce. Podsycala go, aż wreszcie rozpoznała, czym jest.

Furią.

Podniosła nóż i ukryła się wśród zarośli. Każda jej część usiłowała rzucić się do przodu i poderżnąć gardło mordercy. Ukarać Iro. Wiedziała, że to miało sens. Wręcz było konieczne zgodnie z zasadami rządzącymi polowaniem.

Iro wraz z łowcą, który wypuścił morderczą strzałę, weszli do stawu i z mozołem ruszyli naprzód przez nieustannie siąpiący deszcz. Mężczyzna odrzucił kuszę na bok i powoli wyciągnął miecz, obserwując unoszące się na wodzie, obrócone twarzą w dół ciemne ciało Castora. Iro podparła się trzymaną w drugiej ręce dory. Starła się utrzymać równowagę, ostrożnie przemierzając niewidoczne dno zbiornika.

To była broń, którą za namową Lore zabrali Kadmitom.

I odplacili jej t y m . Odebrali jej Castora.

Głowa rozbolała ją od krążących myśli. Lore zbiegła na niższy poziom parku, po czym spłynęła rzeką błota, deszczu i luźnych kamieni aż do stawu.

– Iro! – zawołała zachrypniętym głosem.

Dziewczyna odwróciła się, dopiero kiedy Lore wskoczyła do wody. Uniosła swoją włócznię i pomachała nią łowcom zgromadzonym na brzegu.

– Nie zbliżaj się, Lore! – huknęła.

– Jak mogłaś! – warknęła Lore. – Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy...

Jej podeszwa otarła się o coś długiego i wąskiego, ukrytego w miękkim podłożu zbiornika. Kiedy zdała sobie sprawę z tego, co to takiego, wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł prąd.

Dory Ateny.

Podważyła ją stopą i z ulgą wyciągnęła z wody. Długość włóczni dawała jej przewagę nad przeciwnikiem.

– Mój ród potrzebuje boga – odpowiedziała Iro. – Odwróciłaś się od naszego świata, ale my tego nie zrobiliśmy. A jeśli mamy odpłacić Gniewnemu za wszystkie jego winy, musimy mieć obrońcę!

Lore obróciła dory w dłoniach, wciąż krocząc w kierunku Iro. Stojący obok niej łowca poruszył się, wyraźnie nie wiedząc, jak zareagować.

– Nawet nie potrafiłaś sama odwalić brudnej roboty – warknęła Lore. – Pozwoliłaś zabić go jakiemuś facetowi!

– Miałam nadzieję, że to będzie Artemida lub Atena – przyznała Iro, próbując nadać głosowi spokojny ton. Nie cofnęła się jednak, kiedy Lore lewą ręką rzuciła nóż, trafiając w gardło towarzyszącego jej łowcy.

Jęknął przerażony i upadł, dławiąc się własną krwią. Zszokowana Iro spojrzała na nią.

– Teraz to ty... się wzniesiesz – wykrztusiła. – Ale... dlaczego moc jeszcze się nie objawiła?

Lore zignorowała jej słowa, jakby zostały wypowiedziane w niezrozumiałym dla niej języku. W jej świecie istniały tylko trzymana przez nią broń oraz jej przeciwniczka.

Uniosła dory, uderzając Iro tuż przy brodzie i rozcinając jej prawy policzek.

Pewnie zmiażdżyłaby jej oko niczym winogrono, gdyby dziewczyna nie odchyliła się do tyłu, odbijając cios włócznią.

Zabrałaś mi go, pomyślała Lore i pozwoliła bólowi podsycać nienawiść narastającą w jej głowie. *Nie dotkniesz jego ciała.*

– On może jeszcze... – zaczęła Iro, ocierając dłonią spływającą jej po twarzy krew i wypływającą ją z ust. – Nie chcę mieć w tobie wroga!

– Przecież sama do tego doprowadziłaś!

Lore zakręciła dory wysoko ponad głową i pozwoliła rywalce zablokować cięcie tylko po to, żeby kopnąć ją w klatkę piersiową. Woda ułatwiła Iro utrzymanie równowagi, lecz spowolniła kontratak.

Kiedy dziewczyna skoczyła do przodu, Lore odchyliła się w prawo i próbowała dźgnąć ją włócznią w stopę, ale pod wzburzoną, bombardowaną deszczem powierzchnią stawu niewiele widziała. Iro pochyliła się i wyrwała nóż z szyi martwego łowcy. Rzuciła nim w Lore, która odbiła go metalowym korpusem broni z taką siłą, że aż powstała iskra.

Rytm walki ustabilizował się, a Lore zatraciła się we własnej sile. Podążyła w przeszłość i odnalazła małą dziewczynkę, która wyrwałaby przeciwnikowi serce, byle tylko zwyciężyć.

Uwolniła całą swoją dzikość. Każda rozdzierająca strata, każde upokorzenie, każde wspomnienie duszącej beznadziei szalały teraz w niej niczym najprawdziwsza nawałnica.

Iro starała się trafić prosto w jej klatkę piersiową. Lore sparowała cios i ostrze zahaczyło o jej ramię, rozcinając skórę.

Iro zasłużyła na śmierć, pomyślała z nienawiścią. *Wszyscy zasłużyli.*

Była gotowa dołączyć do legendarnych potworów. Zamienić swój kleos w wieczną hańbę.

Uderzyła Iro nisko w brzuch i wsunęła rękę pod wodę, sięgając po nóż. Jej rywalka zrobiła wielkie oczy, kiedy Lore wbiła go w jej udo i błyskawicznie odwróciła dory, kierując ją

w stronę gardła dziewczyny.

Na brzegu stawu, wśród porozrzucanych ciał zabitych Odyseidów, pojawiła się Atena.

Iro, mimo rany w nodze, próbowała się jeszcze cofnąć. Szukała możliwości ucieczki. Krew spływała jej po twarzy i Lore uświadomiła sobie, że odniesiona przez dziewczynę rana jest bliźniaczo podobna do tej, którą archont Odyseidów zadał jej w noc swojej śmierci.

Znów natarła. Nie chciała, żeby cięcie zdążyło zamienić się w bliznę.

Iro wyciągnęła przed siebie dory, próbując odepchnąć przeciwniczkę. Z najwyższym trudem najwyższym trudem.

Jej broń zaczęła przybierać czerwony odcień rozgrzanego żelaza. Iro przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywała się we włócznie. Obserwowała, jak ciepło promieniuje z ostrza, zamienia deszcz w parę. Jak rozlewa się po stalowym, coraz miększym drzewcu. W końcu upuściła dory, żeby nie poparzyć sobie dłoni.

Lore się odwróciła.

Castor powoli wynurzał się z wody. Twarz miał pozbawioną wyrazu, a oczy płonące złotem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY



WOKÓŁ CASTORA BŁYSZCZAŁO PRZEPEŁNIONE MOCĄ POWIETRZE.

Lore straciła kontrolę nad swoim ciałem. Dory wyslizgnęła jej się z rąk.

To nie dzieje się naprawdę! To przecież... To niemożliwe.

W końcu widziała, jak umierał. Spojrzała na jego pierś, na miejsce, które przebiła strzała skierowana prosto w jego serce. Pod rozdarciem koszuli dostrzegła nową, nieuszkodzoną skórę. Tam, gdzie powinna znajdować się rana. A to oznaczało...

Blask otaczający Castora się nasilił. Nowy bóg popatrzył na martwego łowcę, a potem na Iro.

– Idź stąd – rozkazał.

– Co... to... ma znaczyć... – wydyszała. – Kim jesteś? Przecież ty....

– Uciekaj! – huknął.

Iro miała dostatecznie dużo zdrowego rozsądku, żeby go posłuchać. Przedzierała się przez wodę i deszcz, trzymając się za zranioną nogę. Castor nie zwracał na nią uwagi. Spojrzał na ciało łowcy.

– To twoja sprawka? – zapytał cicho.

Niepokój w jego głosie sprawił, że szczeka Lore się zacisnęła.

– Tak. I zrobiłabym to ponownie.

Zamknął oczy i potem ponownie je otworzył, jakby budził się ze snu.

– Mój los nie ma znaczenia, ale ty nie powinnaś sama sobie szkodzić.

Krótką radość, jaką Lore poczuła na jego widok, zamieniła się w smak popiołu na ustach. Jak on śmie... Jak śmie ją osądzać, jakby znów byli dziećmi, a ona nie odróżniała dobra od zła.

– Mam prawo robić to, na co mam ochotę – powiedziała chłodnym tonem.

– Ale nie robisz tego – stwierdził. – Nie wierzę, że naprawdę chcesz zabijać ludzi. Być łowczynią.

– Dokonuję własnych wyborów – oświadczyła. – Jesteś jedyną osobą, która nie zamierza grać według zasad, do których stosują się inni. To nie współpraca. To walka o przetrwanie.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Czy ty siebie słyszysz? Naprawdę wierzysz, że tego właśnie chcieliby twoi rodzice? Żebyś zatraciła się, próbując ich pomścić?

– Nie waż się wykorzystywać ich przeciwko mnie – warknęła.

Cokolwiek Castor chciał jej odpowiedzieć, zrezygnował, kiedy Atena ruszyła w ich stronę.

– Czym jesteś, uzurpatorze? – zapytała. – Nie jesteś śmiertelnikiem, co oznacza, że nie jesteś też bogiem. Więc czym jesteś?

– Jestem... – Castor spojrzał na swoje dłonie, wokół których macki mocy owijały się niczym złote pierścienie, po czym dotknął miejsca, które przeszyła strzała.

Artemida zadała mu to samo pytanie.

Czym jesteś?

– Jakim cudem żyjesz? – Atena domagała się odpowiedzi. – Co przed nami ukrywasz?

– Nic – stwierdził, spoglądając na Lore. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie pamiętam, co

wydarzyło się tamtego dnia...

– Co takiego wiesz o Agonie, czego my nie wiemy? – naciskała bogini. – Nie wierzę, że nic nie pamiętasz. Jeżeli zachowałeś nieśmiertelność również na tych siedem dni, to z pewnością coś odkryłeś albo coś zrobiłeś, i ukrywasz to przed nami, swoimi sojusznikami.

– Ja nie... – powiedział cichym, szorstkim głosem. – *N i e p a m i ę t a m .* Poczułem ból, a potem zobaczyłem ciemność. Aż wreszcie się obudziłem.

– Kłamiesz! – zarzuciła mu Atena. – Jesteś tutaj, ale nie stanowisz części polowania. A przynajmniej nie do końca. Powiedz mi, czym jesteś. Moja siostra miała rację. Twoja moc wydaje się inna. Zawsze tak było. Zupełnie jakby przepływała przez ciebie, a nie rodziła się w tobie.

Lore spojrzała na nią zszokowana.

– Co to znaczy?

Bogini wciąż wpatrywała się w Castora, więc po chwili i Lore przeniosła na niego wzrok. Jej puls przyspieszył i nagle poczuła, jakby tonęła w powietrzu, gdyż w jej umyśle rozległ się jasny, wyraźny głos.

To wszystko bujdy.

– Utrata pamięci jest wygodnym kłamstwem do ukrycia tego, że i bóg może uciec z polowania – powiedziała Atena. – Dlaczego przez ostatnich siedem lat nie objawiłeś się w formie fizycznej? Byłeś w ogóle w naszym wymiarze?

To wszystko bujdy.

Choćby Gil, całe jej życie tutaj, wreszcie Castor i schronienie, jakie zyskało jej serce dzięki samej jego obecności.

Przyjaciel nie odpowiedział bogini. Ponownie próbował skupić na sobie uwagę Lore.

– Nie wierzysz mi – stwierdził.

Nie chciała ponowie dać się oszukać któremukolwiek z bogów. Nie zamierzała wbrew własnej woli zostać pionkiem w ich grze. Ale... to przecież był Castor.

Czyż nie?

– Próbujemy dowiedzieć się, co się stało – oświadczyła.

Spojrzał na nią, wyraźnie rozzarowany.

– *M y* – powtórzył.

Lore odtworzyła w myślach swoje słowa. Obecność Ateny działała na nią uspokajająco. Wzmacniała ją, dawała jej tę odrobinę potrzebnej siły, żeby nie rozpaść się na kawałeczki.

– *M y* – potwierdziła.

Zrobiłyby z Ateną wszystko, co konieczne albo przynajmniej uzasadnione, byleby Gniewny wreszcie wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Castor nie chciał im pomóc w opracowaniu planu. Jeśli naprawdę nie wiedział, jak stał się bogiem i dlaczego nie umarł... Jeśli nie ukrywał żadnych powodów, dla których zdecydował się na współpracę z nimi... Lore chciała, żeby jej to udowodnił. Tak zabrzmiała jej ostatnia propozycja: *dołącz do nas lub zniknij.*

Castor po raz ostatni spojrzał na nią, po czym odwrócił się i odszedł.

Szedł przez wodę ze zwieszoną głową i opuszczonymi ramionami. Lore czuła przerażenie, obserwując, jak robi się coraz mniejszy i mniejszy, aż znika w deszczu.

Zrobiła krok do przodu, ale Atena wyciągnęła rękę, blokując jej drogę. Gdzieś za nimi rozległy się syreny. W miarę jak zbliżały się do parku, robiły się coraz głośniejsze.

– Nie jest nam potrzebny – oświadczyła bogini. – To my zostałyśmy wybrane do tego zadania. Ty i ja.

Kiedy wspinały się po schodach, w stronę pogrążonego w ciszy osiedla Morningside

Heights, Lore czuła odrętwienie. W końcu dotarły do punktu widokowego i Atena obróciła się w stronę parku. Twarz miała napiętą. Skoncentrowaną. Przyjrzała się czerwono-niebieskim światłom karetek, które pędziły ulicą poniżej.

– Musimy się zbierać – oświadczyła Lore.

Atena wyciągnęła rękę, żeby ją uciszyć.

Wstrząs poruszył ziemię niczym wąż wędrujący przez piaski. Nogi Lore zaczęły drgać, wibracja powędrowała wzdłuż jej kręgosłupa, rozpalając po drodze każdy napotkany nerw. Towarzyszył temu pełen niezadowolenia pomruk grzmotu.

Tyle że to nie był grzmot.

Runęła na ulice, rycząc niczym potwór i pochłaniając wszystko na swojej drodze. Szarżując z brutalnością, która zaparła Lore dech w piersiach.

Ciemna woda. Całe mnóstwo – więcej, niż dziewczyna kiedykolwiek widziała. Żywioł pędził od strony rzeki, przedzierając się przez ulice. Karetki pogotowia i radiowozy znikwały pod stale rosnącą falą lub toczyły się niczym zabawki o gasnących światłach. Policjanci i sanitariusze uciekali w panice, lecz nie byli dostatecznie szybcy – woda pożerała ich bez większego trudu.

A mimo to wciąż nie była usatysfakcjonowana.

Wznosiła się z każdą sekundą, połykała znaki, latarnie, a nawet całe budynki. Zatapiała miasto.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY



Z POŁOŻONEGO W NAJWYŻSZEJ CZĘŚCI PARKU PUNKTU OBSERWACYJNEGO LORE PATrzyŁA, jak bezlitosna fala przebija się przez ceglane ściany i niesie gruz niczym trofeum wojenne. Usłyszała krzyki i ruszyła w stronę schodów. Atena złapała ją mocno za nadgarstek i zatrzymała w miejscu.

– Musimy im pomóc! – zawołała dziewczyna, próbując wyrwać rękę z niezwykle silnego chwytu.

Bogini spoglądała na wznoszącą się, wzburzoną wodę, napawając się jej widokiem i zapachem.

Lore zamknęła oczy, złowieszcze dudnienie rozbijającego okna żywiołu, trąbienie miażdżonych samochodów, wreszcie ciche, odległe błagania o pomoc wwiercały się zaś w jej umysł. Pomyślała, że za chwilę zacznie krzyczeć, byle tylko je zagłuszyć.

Atena miała nieodgadnioną minę. Na jej twarzy nie malowały się ani przerażenie, które odczuwała Lore, ani bezradność. Jeśli już, to uznanie. Zapewne bogini widziała już większe i groźniejsze powodzie. Takie, które zmiatały całe narody z powierzchni ziemi. Które rozpoczynały nowe ery po niepowodzeniach skazanych na zagładę cywilizacji z epok kamienia i brązu.

– To na pewno nie jest fala sztormowa – wykrztusiła Lore. – Za dużo wody. No i nie słabnie. Tak nie działa natura. Wszyscy ci ludzie mieszkający na niższych piętrach kamienic...

Nie była w stanie dokończyć tej myśli na głos. *Nie mieli szans wydostać się z domów.*

Pod wodą musiały znaleźć się strefy ewakuacyjne Manhattanu i okolicznych dzielnic, wyznaczone na wypadek huraganów i groźnych burz. Teoretycznie wyspa wznosiła się ku centrum, ale niżej położone nadbrzeża – osiedla ciągnące się wzdłuż obu rzek – oraz tereny wysunięte na południe, powyżej Trzydziestej Czwartej Ulicy, czasami były podtapiane.

Jeśli tu było tak źle...

To wszyscy ci ludzie..., pomyślała załamana Lore.

Przeszył ją strach, docierając do głębi jej duszy. Gdyby Van nie odesłał Milesa na górę...

Sięgnęła po telefon, ale nie miała zasięgu. *Cholera.*

– To nie są rzeki – stwierdziła Atena z ponurą miną. – To bóg.

– Dawczyni Przyptywów.

Bogini skinęła głową.

– Evander z Achillesydów się mylił. Fałszywa Posejdon żyje. Sprzymierzyła się z naszym wrogiem.

Na widok wody przelewającej się przez ulice gniew ponownie zapłonął w sercu Lore. Agon znów niszczył jej miasto.

– Jesteś pewna, że fałszywy Ares nie odzyskał egidy? – zapytała ponownie Atena. – Fałszywa Posejdon byłaby w stanie rozszyfrować wiersz. Wywodzi się przecież z Perseidów...

– Nie sądzę... To znaczy, nie wiem. – Strach Lore wysunął kły. Być może nie była tak rozsądna, jak sądziła. – Mogło być gorzej. Przecież Dawczyni Przyptywów mogłaby władać egidą w imieniu Gniewnego.

Powódź byłaby wówczas zaledwie pierwszą fazą większego planu mającego zapewnić

nowemu Aresowi zwycięstwo w Agonie.

Lore zmusiła się do wzięcia głębszego oddechu.

– Nie sądzę, żeby miał egidę. Jeszcze nie. Wciąż mamy czas, żeby go zabić i zakończyć ten koszmar.

Możliwe, że w jakimś stopniu ponownie zaczęła wierzyć w Przeznaczenie i w celowość wszystkiego, co się działo. Być może los rzeczywiście wyznaczył ją do wykonania tego zadania.

Spojrzała w stronę Morningside Heights, a jej ciało się napięło. Pragnęło ruchu.

– A więc polujemy.

– A więc polujemy – powtórzyła Atena i ruszyła za nią.



Lore zawsze znajdowała pociechę w niewidzialnym pulsie swojego miasta.

Nawet kiedy ulice były puste, nie licząc kilku porannych taksówek, czuła bicie jego serca. Wiedziała, że rurami ukrytymi pod asfaltem płynie woda. Że pociągi metra ciągną puste wagony ze stacji na stację. Podziemne linie energetyczne nuć pieśń, której słucha jedynie beton.

Teraz bezruch miasta oznaczał jego upadek.

Z wysokości sześciu pięter Lore miała doskonały widok na zalane kwartały ulic. Widziała też co odważniejszych nowojorczyków brodzących po pas w wodzie, którą służby miejskie próbowały wypompowywać z dróg, ale rzeki – zarówno East River, jak i Hudson – wciąż przybierały. W niektórych miejscach było na tyle głęboko, że nowojorska policja i straż przybrzeżna musiały korzystać z łodzi i helikopterów, żeby ratować uwięzionych w domach ludzi lub przynajmniej dostarczyć im zapasy.

Lore nie czuła już bijącego serca swojego miasta.

Przedzierając się z Ateną w stronę centrum, zebrały masę plotek, z których próbowały spleść obraz tego, co się wydarzyło. *Rekordowych rozmiarów burza. Błędne prognozy pogody. Podnoszący się poziom mórz. Dziwna zbieżność zjawisk.* Każdy miał inną teorię.

Pracownicy służb ratunkowych i urzędnicy miejscy komunikowali się drogą radiową, gdyż nadajniki telekomunikacyjne zostały zniszczone. Szpitale ewakuowano jako pierwsze, bo zapasowe generatory prądu zawodziły jeden po drugim. Olbrzymie połacie Central Parku zamieniono w obóz pomocy tymczasowej. Wolontariusze Czerwonego Krzyża przy wsparciu Gwardii Narodowej próbowali rozdzielać żywność i odzież, ale z czasem zapotrzebowanie ich przerosło.

Zdesperowani mieszkańcy zaczęli plądrować sklepy spożywcze i warzywniaki. Nie było nikogo, kto mógłby ich powstrzymać. Tunele metra zamknięto, a żadne pociągi nie mogły wjechać i wyjechać z miasta. Mosty też wyłączono z użytku. Nad głowami słychać było ciągły szum helikopterów policyjnych i telewizyjnych.

Lore zdawała sobie sprawę z tego, że choć nowojorczycy należeli do najlepszych ludzi na świecie, mieli swoje ograniczenia. Izolacja przyszła błyskawicznie i okazała się niszczycielska.

Tego właśnie pragnie Gniewny, uświadomiła sobie. Wystawić miasto na próbę. Nadwyrężyć jego zasoby.

Odcięła swój umysł od zalanych ulic, od widoku rannych i rozpaczających. Zamknęła na nich swoje serce. Od tej pory liczyło się tylko to, co należało zrobić.

Razem z Ateną przez całą noc polowała na łowców Gniewnego. Pracowała aż do rana. Około dziesiątej zauważyła w pobliżu Empire State Building jedną z lwic Kadmitów. Pamiętała ją z ataku na Dom Itaki i dlatego ruszyła za nią. Wkrótce kobieta zniknęła w niewielkim hotelu

butikowym w Upper East Side. Teraz Lore z Ateną obserwowały wejście do budynku z dachu domu wznoszącego się po drugiej stronie ulicy. Czekwały, aż lwica pojawi się ponownie.

– Kochasz to miasto – stwierdziła Atena. – I jesteś z niego dumna.

Bogini niemalże świeciła w południowym słońcu. Podczas krótkiej chwili wytchnienia mogły wysuszyć buty i ubrania, choć nie miało to większego sensu, gdyż planowały wrócić do zalanych dzielnic.

Lore wzruszyła ramionami.

– Być może muszę się nim dzielić z ośmioma milionami ludzi, ale to mój najmniej skomplikowany związek.

– Hmm...

Obecność Ateny z wielu różnych powodów wydawała jej się przytłaczająca, w dodatku w ciągu ostatnich kilku godzin bogini się zmieniała. Przejawiała olbrzymią chęć do działania, choć mogło to być zwykłe napięcie związane z nastaniem środowego poranka. Miały mniej niż pół tygodnia.

– Nie zapominaj o tym uczuciu – pouczyła ją Atena. – Miasto nigdy cię nie opuści, jeśli będziesz mu dobrze służyła. Nie jest tak kapryśne jak śmiertelnicy.

Lore oczami wyobraźni zobaczyła twarz Castora. Wyrzuciła go ze swoich myśli, zanim zdążył się w nich rozgościć.

– Prawdopodobnie masz rację – powiedziała i pochyliła się nad krawędzią dachu, spoglądając na chodnik poniżej. – Gdzie się podziała ta dziewczyna?

Atena wypila resztę wody i wyrzuciła butelkę. Lore przykucnęła i po raz pierwszy zaczęła powątpiewać w ich plan. Nie miały czasu czekać, aż lwica odpocznie albo dokończy spotkanie. Potrzebowały nowego tropu.

– Co takiego właściwie powiedziała twoja siostra? – zapytała Atenę. – Że w rzece jest potwór? Zabójca bogów i śmiertelników?

– Nie poświęcałabym zbyt wiele uwagi jej słowom – odpowiedziała bogini. – Była chora. Nie kontrolowała własnego umysłu.

W wypowiedzi Artemidy było jednak coś, co nie dawało Lore spokoju.

– Wciąż wielu rzeczy nie wiemy – stwierdziła Atena. – Czuję, jakby okruciny prawdy leżały tuż przed nami. Hermes, fałszywy Ares szukający egidy, wreszcie fałszywy Apollo – dodała, a jej spojrzenie nabrało ostrości. – Może w jakiś sposób stał się prawdziwym bogiem? A może zupełnie innym bóstwem, niż nam się wydaje? Może bierze udział w polowaniu, żeby zdobyć potrzebne mu informacje?

– To przede wszystkim nadal Castor – oświadczyła Lore, bardziej przekonana o tym teraz niż wtedy, kiedy stał przed nią w stawie. – Jakoś... wciąż jest Castorem. Zbyt wiele wiedział o mojej przeszłości, żeby mógł być kimś innym.

– Każdy bóg wiedziałby takie rzeczy. Wkradłby się w twoje łaski i subtelnie nakierował na wybraną przez siebie ścieżkę. Nawet byś się nie zorientowała. Jak już wspominałam, zawsze wydajemy się wam tym, czego akurat potrzebujecie lub pragniecie.

– Tak zrobił Hermes – szepnęła Lore.

Był jedyną osobą, której potrafiła zaufać: współczującym przyjacielem żyjącym poza światem Agonu. Tymczasem wzmocnił jej lęki i bolesne wspomnienia.

– Może masz rację i to rzeczywiście Castor Achilleos – powiedziała Atena. – Apollo odszedł. Nowy bóg zdobył jego moce, choć odczuwam je jakoś inaczej. I nie rozumiem tego. Nie potrafię tego logicznie wytłumaczyć.

Lore pokręciła głową. Jej myśli wirowały.

Wszystkie te niezliczone wątpliwości i zbiegi okoliczności próbowały połączyć się

w całość niczym błyskawica przeszywająca niebo.

– Ze wszystkiego można wyciągnąć jakąś lekcję. Dlatego posłuchaj mojej rady: samotność jest dopuszczalna, a nawet preferowana – rzekła bogini. – Zwłaszcza jeśli inni ludzie próbują cię ograniczać lub oszukiwać. Wybrańcy zawsze są samotni, gdyż jako jedyni zostali wyznaczeni do wykonania zadania. Uwierz mi. I niech te słowa okażą się trucizną dla twojego strachu.

Niewielki uśmiech zamajaczył na twarzy bogini.

– No co? – zapytała Lore.

– Zapomniałam, jakie to uczucie – powiedziała Atena. – Ponownie wejść w buty Mentora.

Kiedy Lore zdała sobie sprawę z tego, co to tak naprawdę znaczy, serce uderzyło jej mocniej w klatkę piersiową.

– Przynajmniej nie będziemy musiały się przebierać – zauważyła Lore i ponownie pochyliła się nad krawędzią budynku. Patrol Gwardii Narodowej niespiesznie przemierzał ulicę nieopodal ich budynku. Cofnęła się.

– Rzeczywiście – stwierdziła bogini z nutką rozbawienia w głosie. – Przebieranie się bywa męczące, tyle że niektórzy mężczyźni słuchają tylko innych mężczyzn.

Lore uniosła brew. Nie zamierzała zaprzeczać.

– Nadal chcesz wrócić do swojego miasta? Tego nazwanego na twoją cześć?

– Wracam do wszystkich moich miast – odpowiedziała. – I zawsze będę do nich wracać, dopóki ostatni głos wołający mnie nie ucichnie.

– Co wtedy zrobisz?

– Nadal będę dążyć do powrotu do domu i ojca – wyjaśniła. – Obecnie tylko tego pragnę.

Jeśli jakakolwiek łagodność zarysowała się na twarzy bogini, od razu zniknęła. Lore miała wrażenie, jakby ktoś przesunął kostkę lodu wzdłuż jej kręgosłupa.

– Muszę ci coś powiedzieć, Melora – odezwała się Atena, a w jej szarych oczach zapłonęły iskry. – I przy okazji cię ostrzec. Nie jestem przekonana, czy zdołam pokonać naszego przeciwnika. W końcu, w odróżnieniu od fałszywego Apolla, jestem teraz śmiertelna. Choć sporo potrafię, ten drań może pozbawić mnie części moich sił. Dlatego potrzebuję twojej pomocy... No, chyba że zamierzasz zagarnąć jego moc dla siebie.

Lore wypuściła powietrze z płuc.

– Nie, nie. Nie chcę jej.

Nigdy nie chciała być ściganą i uwięzioną. Moce Aresa doprowadziłyby ją do szaleństwa.

Dzięki nim stałabyś się niewyciężona, szepnął jej umysł.

Nie. Moc Aresa byłaby zarówno darem, jak i przekleństwem. Niezliczonym łowcom próbującym po nią sięgnąć zapewniła kleos, ale Lore uważała, że w swoim krótkim życiu przyczyniła się już do wystarczająco wielu szkód i śmierci. Tyle że... żyła w niej ta wiecznie głodna sławy dziewczyna. Ostatnia ze swojego rodu na całym świecie. Czy ktoś ją zapamięta?

Potrząsnęła głową, przyciskając ręce do piersi. Postanowiła, że będzie walczyć o przywrócenie swojej rodzinie honoru. O chwałę dla siebie. Pomści bliskich jako Melora Perseous.

Idź po nią. Ta myśl przemknęła jej przez głowę, ciepła i jakże potężna.

Idź po swoje dziedzictwo. Wykorzystaj je przeciwko niemu.

Nawet skryta za egidą, Lore ugnie się przed potęgą Gniewnego. Gdyby jednak tarcza znalazła się w rękach kogoś silniejszego... kogoś, kto wiedział, jak nią władać i jak wykorzystać jej potencjał...

– Naprawdę myślisz, że możesz sobie z nim nie poradzić? – zapytała ostrożnie

dziewczyna. To byłby przerażający widok: Atena sięgająca po egidę, stojąca do walki z okrzykiem bojowym na ustach.

– Tylko mojry mogłyby to przewidzieć – odpowiedziała bogini. – Trudno mi o tym mówić, dlatego więcej mnie o to nie pytaj.

– A gdyby istniało coś, co mogłoby wyrównać wasze szanse? – zaczęła Lore pełnym napięcia głosem.

Wzrok bogini spoczął na Lore.

– Byłoby to mile widziane.

Szum w uszach powrócił, przyspieszając puls.

Ale wiesz...., pomyślała dziewczyna.

Czy byłaby to wielka tragedia, gdyby Atena zwyciężyła, a Agon wreszcie dobiegł końca?

Po stuleciach polowań bogini chciała jedynie opuścić ten świat i wrócić do własnego królestwa. Wspomniała o tym Artemidzie, a przed chwilą również Lore.

Oddanie tarczy Atenie nie zmienia przeszłości, ale może skierować je obie na ścieżkę prowadzącą do rozgrzeszenia.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Lwica w końcu opuściła hotel, ściskając w dłoniach kopertę z papieru pakowego. Ruszyła Park Avenue na północ, omijając częściowo zanurzone w wodzie samochody oraz wszechobecne ruiny.

Atena skinęła głową i zeszyły po schodach przeciwpożarowych. Zanurzyły się w chłodnej wodzie. Poruszały się powoli, żeby przypadkowym pluskiem nie zwrócić na siebie uwagi lwicy. Odległość między nimi rosła, ale przy tak pustych ulicach śledzenie nie stanowiło większego problemu.

Dotarły do Siedemdziesiątej Ósmej i lwica skręciła w prawo. Lore się zatrzymała.

Coś sobie przypominała. Wiele lat temu wraz z Castorem bawiła się w wyszukiwanie kryjówek rodów na terenie miasta. Położenie niektórych z nich było tajemnicą poliszyneła, ale o wielu krążyły jedynie plotki. To miejsce znaleźli dzięki słowom pewnego instruktora, który głośno snuł domysły, gdzie może się znajdować siedziba Kadmitów.

Atena zwolniła i spojrzała na nią. Przed sobą miały East River, a nieco bliżej ciąg imponujących przedwojennych budynków mieszkalnych w kolorze kości słoniowej.

– To jedna z ich posiadłości – wyjaśniła Lore. – Zupełnie o niej zapomniałam. Poszukajmy jakiegoś miejsca, z którego będziemy widziały, kto do niej wchodzi i z niej wychodzi.

Rozwiązaniem okazało się zakratowane okno szkoły publicznej numer sto pięćdziesiąt osiem, położonej po drugiej stronie ulicy. Wyłamały drzwi od strony York Avenue i przez chwilę kluczyły korytarzami. Wreszcie znalazły okno, z którego rozpościerał się widok na budynek.

W ciągu kilku kolejnych minut trzy osoby w tradycyjnych czarnych szatach łowieckich przeszły brukowaną uliczką ciągnącą się pomiędzy zachodnim skrzydłem kryjówki a sąsiednim gmachem.

Brama wydawała się otwarta, ale lwica czekała na ulicy, aż łowcy do niej podejną. Jeden z nich otworzył kopertę i wyciągnął z niej coś, co przypominało zestaw kluczy. Rozdał je pozostałym, w tym samej lwicy.

Odeszła jako pierwsza, krocząc tą samą drogą, którą przyszła. Pozostali zatrzymali się, żeby zdjąć szaty, po czym ruszyli przed siebie. Lore zaczęła, aż się oddała.

– Jeśli ten budynek przypomina Dom Tetydy, to nie wchodzi się do niego przez frontowe drzwi – stwierdziła.

Kiedy tylko to powiedziała, pojawili się kolejni łowcy. Maszerowali od strony tej samej wąskiej uliczki. Byli przemoczeni. Lore domyśliła się, że wejście musi znajdować się w zaułku.

Prawdopodobnie pod ziemią, bo ociekali wodą. Może piwnica?

Niemal jednocześnie zauważyły mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym numerem budynku oraz jego nazwą: DOM „RZEKA” NR 111.

– W rzece jest potwór – stwierdziła Lore.

Atena odwróciła się w jej stronę, unosząc zachęcająco brew.

Lore przyjęła to zaproszenie.

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ



LORE ZMYWAŁA WŁAŚNIE SWÓJ TALERZ po obiedzie, kiedy jej rodzice wrócili z Agonu. O jeden dzień za wcześnie.

Tata porzucił torbę podróżną przy drzwiach i z napiętą twarzą podziwiał słabo oświetlone mieszkanie. Mama złapała go za ramię i uściśnęła uspokajająco.

Lore nic nie rozumiała. Jej rodzice powiedzieli przecież, że przez kolejnych siedem dni muszą trzymać się z daleka od domu, tak by nikt nie zdołał ich wysledzić. Planowali nawet spać w hotelu w mieście.

Tymczasem Lore starała się utrzymywać porządek i czystość w mieszkaniu. Zmyła naczynia, schowała pstrokate zabawki Damary i Pii do odpowiednich szuflad, a noże babci naostrzyła i włożyła do skrzyni. Jej siostry były jeszcze za małe, żeby po nie sięgać, ale nie ona. Ona uwielbiała przesuwając palcami po wzorach wyrzeźbionych na rękojeściach, zamykać oczy i marzyć.

Jeszcze tylko jeden cykl, powiedziała jej matka. Musisz dalej tak ciężko pracować i uzbroić się w cierpliwość.

Jeszcze jeden cykl i będzie mogła się wykazać.

Jeszcze jeden cykl i będzie mogła uratować Castora. Jej przyjaciel wciąż żył i zamierzał dalej walczyć. Czuła to w głębi duszy. Gdyby pomogła tacie zabić boga, mieliby dość pieniędzy, żeby opłacić lepszych lekarzy i kupić niezbędne lekarstwa.

Jeszcze jeden cykl.

Na cały tydzień zatrzymała siostry w mieszkaniu, wynajdując im rozmaite gry i zajęcia. Na dzisiejszą noc plan był taki sam. Zamierzała odłożyć talerz, wyrzucić pudełko po mrożonej pizzy do zsypu, umyć zęby, pocałować Damarę na dobranoc, a potem wyciągnąć się obok Pii, przykrywając się kocem matki pachnącym kwiatami pomarańczy.

– Co tu robicie?

Słyszając jej głos, się odwrócili.

– Och... nie sądziłam, że jeszcze nie śpisz – powiedziała mama i podeszła do niej.

Lore zeskoczyła ze stołka, unikając jej wyciągniętych ramion.

– Co tutaj robicie? – powtórzyła pytanie.

Rodzice wymienili spojrzenia, których nie rozumiała. Ojciec nie golił się od wielu dni, więc dorobił się kłującej brody. Nad jego lewym okiem dostrzegła rozcięcie i wydawało jej się, że tata lekko utyka. Przyjrzała się matce: zauważyła siniak na policzku i bandaż na nadgarstku. Żadne z nich nie odniosło na tyle poważnych obrażeń, żeby przedwcześnie rezygnować z polowania, co zawsze wiązało się ze wstydem. Lore nie dostrzegła żadnej rany.

– Dobrze się nimi opiekowałam – oświadczyła. – Byłam dobrą siostrą. Robiłam wszystko, o co mnie poprosiliście.

– Wiem, że tak było – powiedziała cicho mama.

Więc dlaczego?

Ojciec ukląkł przed nią, próbując wziąć ją w ramiona. Cofnęła się, aż wpadła na ladę.

– Nie pocałujesz taty?

Odwróciła głowę. Serce biło jej mocno, a myśli pędziły w tysiącach kierunków

jednocześnie.

– Nie powinno być was w domu. Polowanie się nie skończyło.

– Dla nas owszem – powiedział łagodnym tonem tata.

Jeszcze jeden cykl.

Spojrzała na niego, łapiąc oddech. Nienawidziła tego, że drżał jej głos.

– Aż do następnego?

– Na zawsze, chrysaphenia mou – doprecyzowała matka. – Podjęliśmy z ojcem decyzję, którą powinniśmy podjąć lata temu. Nie zamierzamy więcej polować.

Lore potrząsnęła głową i zakryła uszy. Próbowwała wyprzeć te słowa. Rodzice ponownie wymienili spojrzenia, a po chwili ojciec wstał.

– Czekaliśmy tak długo, jak to było możliwe – wyjaśnił. – Sytuacja zrobiła się poważna i musimy wykorzystać chaos związany z Agonem, żeby opuścić miasto. Dziś wieczorem spakujemy wszystko, czego potrzebujemy. Jutro rozpoczniemy nowe życie w zupełnie innym miejscu.

To nie miało sensu. Co się stało?

– Boisz się Aristosa Kadmou? Mówiłeś, że Perseidzi niczego się nie boją – przypomniwała.

– Nieraz powtarzałeś, że Dom Perseusza jest najszlachetniejszym ze wszystkich. Mówiłeś tak! Mówiłeś...

Pozostałe rody pluły na nich i kpiły za każdym razem, kiedy ojciec prosił ich o sojusz. Ich rodzina straciła też swoje dziedzictwo i musiała walczyć za pomocą kiepskiej broni, którą inne domy odrzuciły. Lore nigdy jednak nie sądziła, że utracą swoją dumę.

Honor był najważniejszy na świecie. Tylko on im pozostał.

Jest ważniejszy niż oddech w waszych płucach, powiedział jej instruktor. *Bez niego nie przetrwacie i nie chcielibyście przetrwać.*

– Wiem, co mówiłem, Melora – przerwał jej ojciec. – Ale to się musi zmienić. Nie przetrwamy w tym świecie. Aristos Kadmou właśnie przejął moce Aresa. Rozumiesz, co to znaczy?

Lore nienawidziła znaczącej pauzy, którą zrobił. Zupełnie jakby zakładał, że jego córka nie poradzi sobie z prawdą.

Zignorowała niepokój, jaki poczuła, wyobrażając sobie kogoś takiego jak nieśmiertelny Aristos Kadmou obdarzony mocą, na którą z całą pewnością nie zasługiwał. Rozumiała, co to znaczy.

Przed wszystkim to, że za siedem lat będzie go siekać, aż zaleje się swoją śmiertelną krwią, a wtedy przyprowadzi do ojca, żeby go zabił.

– Robimy to dla ciebie i twoich siostr – kontynuował ojciec. – Opuuszczamy Agon, a wraz z nim to miasto. Jedziemy tak daleko, jak poprowadzą nas wiatry.

Nigdy nie będę polować.

Słowa te wywołały lodowate, okropne uczucie w żołądku Lore. Oto już na zawsze miała zostać dziewczyną stojącą na progu tajemniczego świata, ale pozbawioną kluczy do niego.

– Nie – odpowiedziała. Czekają na nią noże babci i obietnica, której chciała dotrzymać. – Jesteście tchórzami. Jesteście tchórzami i jeśli nie zamierzacie walczyć, to ja będę walczyć.

– Nie wolno ci mówić do nas w ten sposób, Melora – stwierdził ojciec. Gniew kryjący się w jego słowach sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej.

– Nienawidzę was! – szepnęła przez zaciśnięte zęby.

– Lore, proszę... – wtrąciła matka.

– Nienawidzę was! – powtórzyła. – I zawsze będę was nienawidzić!

– I dobrze. – Ojciec popatrzył na nią ponuro. – Przynajmniej będziesz żyć.

Przepchnęła się obok niego, przebiegła przez mieszkanie jak burza i wpadła do sypialni, którą dzieliła z siostrami. Dygocząc, stała w ciemnościach, a łzy spływały jej po twarzy. Po drugiej stronie drzwi zaskrzypiały deski podłogowe. Słyszała ciche głosy rodziców.

Nie chciała z nimi rozmawiać, nie chciała nawet na nich patrzeć. Rzuciła się na łóżko tuż obok Olympii i naciągnęła koc na głowę.

– Zostaw ją, Heleno – powiedział ojciec. – To po mnie odziedziczyła temperament. A to oznacza, że z czasem się uspokoi.

– Musi nas zrozumieć – odszepnęła matka.

– Nie chcę, żeby moje córki żyły w strachu – kontynuował. – Nie pozwolę, żeby je prześladowano.

– Powinna wiedzieć, co oznacza jego wstąpienie... Być może należało się wycofać przed rozpoczęciem polowania...

– Chcieliśmy spróbować. Gdyby jednemu z nas udało się zdobyć moce, moglibyśmy je ochronić.

– Musi pojąć konsekwencje tego, co się stało – powiedziała matka. – Zrozumieć, że w tym mieście nie zdołamy się przed nim ukryć. Że przyjdzie nie tylko po nią, ale także po nas wszystkich... I po t o.

Ich kroki oddaliły się, zabierając ze sobą głosy. Lore zacisnęła pięści i zamknęła oczy. Wciąż trzęsła się ze złości. Bała się, że za chwilę eksploduje, jeśli nie zacznie krzyczeć.

Olympia przewróciła się na drugi bok i zwinęła w kulkę niczym zaspany szczeniak, przytulając głowę pełną ciemnych loków do piersi siostry.

W oczach Lore zakręciły się gorące, piekące łzy. Płynęły niczym rzeka bez początku i końca, przez jej policzki na poduszkę i materac.

Rodzice odebrali jej wszystko, ponieważ się bali.

A ona nie bała się niczego. Ani bogów, ani śmierci, ani Aristosa Kadmou i jego węży.

– Nie walcz, Lolo – szepnęła Olympia i złapała za przód jej koszuli nocnej. – Nie walcz. Śpij...

Ale Lore potrafiła jedynie walczyć.

Jej rodzicami pogardzano przez długie lata i nieraz ich upokarzano. Z wielkim trudem wiązali koniec z końcem. Ją też wyśmiewano, kpiono z niej właściwie każdego dnia w czasie, który spędziła w Domu Tetydy. W końcu znaleziono pretekst, żeby ją odesłać. Ale Lore trenowała całymi godzinami, kiedy jej rodzice wychodzili do pracy. Wciąż pamiętała o tym, o czym oni zdążyli już zapomnieć.

Takie życie było im pisane.

Mieli osiągnąć kleos i żyć wiecznie.

Nie będą ostatnimi Perseidami. Nie pozwoli umrzeć Castorowi.

Jej rodzice musieli sobie o tym przypomnieć. Potrzebowali czegoś, co pozwoliłoby im ponownie uwierzyć w Agon i we własne siły. Potrzebowali tego, co należało do nich.

Nadstawiła uszu, nasłuchując rodziców. Usłyszała jedynie delikatny szum klimatyzatora kuchennego. Wyślizgnęła się z objęć Olympii i zdjęła piżamę. Serce podeszło jej do gardła, kiedy zawiązała tenisówki i wstała, a następnie pocałowała siostrę w czoło. Zbliżyła się do Damary i pochyliła nad jej łóżeczkiem, żeby i z nią się pożegnać.

Ojciec nie mógł zamurować okien w wynajętym mieszkaniu, ale wzmocnił je dodatkowymi zamkami i zainstalował system alarmowy. Lore już kilka miesięcy temu zorientowała się, że działa on dokładnie tak samo jak ten w Domu Tetydy – wystarczyło jedynie umieścić magnes z lodówki na czujniku, żeby go dezaktywować. Od tamtej pory trzymała jeden

na dnie swojej szuflady.

Wspięła się na parapet i spojrzała na mały dziedziniec ciągnący się wzdłuż budynku. Mieszkali obecnie na szóstym piętrze, ale układ cegieł zapewniał dostatecznie dużą przyczepność, żeby zejść bez korzystania ze schodów przeciwpożarowych. Zamierzała wrócić, zanim jej rodzice się obudzą.

Aż się uśmiechnęła na samą myśl o ich minach, kiedy zobaczą, co zrobiła. Serce zabiło jej z podekscytowania.

– Lo? – Olympia przetarła oczy. Miała tak zaspany głos, że prawdopodobnie jeszcze nie do końca się obudziła.

– Coś ci się śni – szepnęła Lore. – Śpij dalej, Pia.

I Pia zasnęła, mocno przytulając poduszkę. Lore powoli przymknęła okno, ale zostawiła niewielką szparę, żeby móc przez nie wrócić.

Potem zeszła po ścianie, a gdy była już tylko kilka metrów nad ziemią, zeskoczyła. Ruszyła przez ciemne ulice.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY



W ALEJCE CIĄGNĄCEJ SIĘ WZDŁUŻ DOMU nad rzeką nie było nic.

Ani śmietnika, ani samochodu, ani nawet drzwi do budynku czy choćby piwnicy. Uliczka prowadziła prosto do Siedemdziesiątej Drugiej, a po każdej jej stronie stała brama.

– Hmm. – Lore stanęła tyłem do ściany budynku, próbując spojrzeć na alejkę pod możliwie szerokim kątem i zobaczyć to, czego dotąd nie dostrzegała.

Atena zatrzymała się metr dalej, prześlizgując się wzrokiem po brudnej wodzie.

– Może powinniśmy się zbierać – stwierdziła Lore. – W każdej chwili ktoś może wrócić...

Bogini zatrzymała się i tupnęła nogą, a potem przesunęła się i tupnęła ponownie. Lore odepchnęła się od ściany.

– Co robisz?

– Chodź tutaj – powiedziała bogini i przyklękła w wodzie. Chwilę później otworzyła właz pokryty dla niepoznaki cienką warstwą cementu.

– Nieźle – pochwaliła ją Lore, walcząc ze strumieniem, który przelewał się obok niej i spływał na dół. Pochyliła się i zajrzała do tunelu.

– Szybciej – ponagliła ją Atena.

Lore skinęła głową.

Kiedy schodziła po śliskiej metalowej drabinie, obserwowała wodę, której poziom szybko się podnosił. Zanim dołączyła do niej bogini, starannie zamknąwszy właz, ciecz sięgała już kolan dziewczyny. I płynęła w głąb korytarza.

Lore włączyła latarkę w telefonie. Kanał okazał się prymitywny, ale szerszy, niż jej się to początkowo wydawało.

Ciągnął się bez końca, prowadząc to w lewo, to w prawo, pozornie bez ładu. W końcu się rozwidlił. Lore zatrzymała się, oświetlając jedną, a potem drugą jego odnogę.

– Którędy? – zapytała cicho Atena.

Lore już miała się odezwać, kiedy coś usłyszała – wyraźne bum, bum, bum, bum, bum, bum. Prawie jak...

Bicie serca.

Zacisnęła dłoń na rękojeści noża. Skręciła w prawo, tropiąc dźwięk na kolejnych zakrętach i rozstajach.

Jak daleko ciągnie się ten tunel?, zastanawiała się. Aż do East River?

Ich ścieżkę przecięła inna, prostopadła do tej, na której się znajdowały. Stukanie zrobiło się znacznie głośniejsze i bardziej natarczywe. Zbliżały się.

Lore wyłączyła latarkę, uruchomiła aparat i przykucnęła w miejscu, w którym spotykały się oba tunele. Wysunęła telefon za róg i zobaczyła na ekranie łowcę.

Mężczyzna wydał się jej znajomy, ale nie na tyle, żeby go rozpoznała. Bum, bum. Rzucił niewielką, kauczukową piłeczkę tak, że odbiła się od ziemi, a potem od jednych z dwójga metalowych drzwi znajdujących się naprzeciwko miejsca, w którym siedział na taborecie. U stóp miał niewielką lampkę w kształcie latarenki.

Lore oparła głowę o ścianę, przewracając oczami. To nie było bicie serca. Nie był to też

potwór.

Atena stała za nią, skupiając wzrok na ekranie telefonu. Lore wyłączyła go i schowała komórkę do kieszeni. Przycisnęła palec do ust, po czym dała znać bogini, żeby chwilę na nią poczekała. Wyszła zza rogu.

– Przepraszam – powiedziała głośno. – Czy możesz mi powiedzieć, jak dojść do Statuy Wolności?

Mężczyzna przestraszył się i poderwał z miejsca. Lore chciała rzucić nożem prosto w jego serce, ale przypomniała sobie twarz Castora. W ostatnim momencie zmieniła kąt i trafiła mężczyznę w ramię.

– Ty... – zawył.

Zanurkowała po taboret i przywaliła nim w głowę przeciwnika. Łowca upadł na twarz, w wodę zalegającą na ziemi. Musiała go odwrócić, żeby się nie utopił.

Serce wciąż jej waliło, kiedy Atena przeszła nad łowcą, wyciągnęła mu nóż z ramienia i podała go Lore. Dziewczyna przypomniała sobie, co kiedyś powiedziała jej matka. Ponoć według starego przesądu przekazany w ten sposób nóż zwiastuje konflikt.

– Zabij go – powiedziała bogini. – Może ściągnąć na nas kłopoty.

Lore zmarszczyła brwi, w końcu mężczyzna był nieprzytomny.

– Wczorajsze trupy ci nie wystarczają?

– Nie prowadzę statystyk. – Bogini odwróciła się na pięcie, zauważając opartą o ścianę dory. Mruknęła z zadowolenia i podniosła broń, sprawdzając jej ciężar i sposób wyważenia.

Lore skupiła się na pierwszych z pary drzwi, przykładając ucho do ich zimnej powierzchni. Atena odsunęła ją na bok, po czym złapała za ciężką kłódkę, która pękła na dwie części i upadła z brzdękiem na ziemię.

Drzwi zaskrzypiały, kiedy je otworzyła.

Pomieszczenie za nimi okazało się większe, niż wydawało się to z zewnątrz. Metalowe podpory, duże jak stopy, leżały na ziemi wraz z kilkoma porzuconymi narzędziami.

Lore włączyła latarkę.

– Dziwne. Po co zostawiać tu strażnika, jeśli nie ma czego pilnować?

Atena odwróciła głowę w stronę drzwi. Najwyraźniej coś usłyszała. Lore dopiero po chwili wyłapała czyjś słaby głos.

– Hej! – wołał. – Jest tam ktoś?

Napędzane adrenaliną serce dziewczyny zaczęło bić jeszcze szybciej.

– Kto tam?

Atena wróciła na korytarz i podeszła do drzwi znajdujących się po przeciwnej stronie. Lore wcześniej ich nie zauważyła, gdyż opierał się o nie strażnik. Dlatego ruszyła śladem bogini, wyciągając nóż i stając w pozycji obronnej. Atena płynnym ruchem zerwała kłódkę i otworzyła ciężkie wrota na oścież.

W celi kuliła się więźniarka. Choć była strasznie brudna, jej skóra zaśniła, kiedy zaskoczona Lore uniosła latarkę.

Kobieta z trudem podniosła się z ziemi i zasłoniła błyszczące oczy. Była naprawdę wysoka.

Lore doskonale знаła jej twarz. Bez trudu dopasowała do niej imię.

Dawczyni Przyływów.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI



– CO TU ROBICIE?

Dawczyni Przyptywów mówiła zachrypniętym, lecz niepozbawionym melodyjnych akcentów głosem, a każde jej słowo wznosiło się i opadało niczym odwieczny rytm morza. Kiedy przeniosła wzrok na Atenę, w jej ciemnych oczach zamigotał żar mocy, a na twarzy pojawiło się zaskoczenie. Lore podejrzewała, że Dawczyni Przyptywów zastanawiała się, czy nie cierpi na halucynacje.

– My... – zaczęła i urwała, ponownie spoglądając na kobietę.

Jako ostatni śmiertelny potomek Perseusza spotkała istotę, która doprowadziła jej ród do upadku, nową boginię znaną niegdyś jako Rhea Perseous. Dopiero po chwili do Lore dotarło, że naprawdę stoi przed nią Dawczyni Przyptywów – żywa, oddychająca osoba, a nie postać z opowieści, która miała stanowić przestrożę, do czego zredukowali ją łowcy.

– To Melora Perseous – powiedziała Atena. – A ja jestem...

– Wiem, kim jesteś – przerwała jej Dawczyni Przyptywów i zrobiła niepewny krok do przodu. Łącuchy skuwające jej kostki u nóg zaszczyły o wilgotną podłogę. Bogini patrzyła za Atenę, prosto na Lore, jak gdyby chciała powiedzieć: *Ciebie też znam*.

Dziewczyna ruszyła, żeby przyjrzeć się okowom, lecz towarzyszka zablokowała jej drogę.

– Wyjaśnij mi, dlaczego zgodziłaś się służyć fałszywemu Aresowi – rozkazała.

– Tak jak morze, nie mam pana – warknęła Dawczyni Przyptywów. – Służę tylko sobie.

– A dlaczego wywołałaś powódź? – rzuciła Lore.

Nowa bogini potraktowała jej pytanie z jawną pogardą.

– Perseidzi byli słabi i głupi. Nie potrafili zaakceptować zmian. To, co nie chce rosnąć, samo się niszczy.

– Poprosiłam cię o odpowiedź, a nie mądrości ludowe – odparowała Lore.

Dawczyni Przyptywów prychnęła i oparła się o ścianę.

– Jeśli chcesz wysłuchać mojej opowieści, musisz przynieść mi klucze. Ma je strażnik.

Lore poszła po nie, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Ateny. Kiedy wróciła do małej, ciemnej celi, poczuła intensywny zapach ludzkich ekskrementów wydobywający się z pobliskiego wiadra.

Nowa bogini zadygotała, nie spuszczać wzroku z rywalki. Lore odważnie podeszła do niej i uklękła, chcąc ściągnąć jej łańcuchy. W ostatniej chwili się zawahała.

Choć skuta, Dawczyni Przyptywów wciąż stanowiła zagrożenie – mogła skrócić jej kark, zanim Lore poczułaby dotyk jej palców na swojej szyi.

Podążyła bogini klucze.

– Miej tę przyjemność... – odezwała się.

Dawczyni Przyptywów skinęła głową.

– Chętnie skorzystam – odpowiedziała.

– Co z twoją opowieścią? – wtrąciła zniecierpliwiona Atena.

Nowa bogini ponownie oparła się o ścianę i gestem dłoni zachęciła Lore, żeby przysunęła latarkę bliżej – chciała lepiej widzieć. Jej brązowa skóra chorobliwie ciasno opinała mięśnie, zaś

pod wysokimi kośćmi policzkowymi pojawiły się zaś wyraźne wgłębienia.

– Kadmici rzucili się na mnie podczas Przebudzenia. Sprowadzili mnie tutaj i dali prosty wybór. Mogłam umrzeć lub służyć swoją mocą Gniewnemu. Pomyślałam, że warto trochę się pomęczyć i poznać jego plany, a następnie zemścić się w kolejnym cyklu.

– Byłaś na tyle głupia, żeby uwierzyć, że pozwoli ci żyć? – zapytała Atena.

– On wcale nie chce zostać ostatnim bogiem na świecie. Jedyne tym, który zakończy Agon. Wierzy, że rozpocznie nową erę, kiedy zyska pełnię mocy, a jego boskość się utrwali.

Lore potarła ramiona, próbując pozbyć się pełzającego po nich zimna. Stojąc pomiędzy rzucającymi płomieniste spojrzenia bóstwami, czuła się jak na ścieżce dwóch mających się zderzyć gwiazd.

– Czyli chce obalić mojego ojca? – zapytała Atena.

– Uważa, że twój ojciec wycofał się do królestwa boskości i na dobre porzucił ten świat. Władzę nad nim przejmie zwycięzca Agonu – potwierdziła Dawczyni Przypływów.

– Ale to niedorzeczne – zaprotestowała bogini. – Mój ojciec nie kontroluje całego świata. Istnieje wiele krain i wielu bogów.

– A ilu wciąż jeszcze żyje? Gniewny wydaje się wierzyć, że zmiażdży wszystkich swoich rywali i ich wyznawców.

Atena aż podskoczyła, cofając się niczym wąż szykujący się do ataku. Zamiast pozwolić jej na to, Lore postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

– Zrobi to tylko wtedy, kiedy dostanie egidę – powiedziała. – Ale jej nie dostanie. Co wiesz o napisie na niej? Potrafisz go odczytać?

Dawczyni Przypływów spojrzała na nią, a na jej twarzy powoli zaczęło malować się przerażenie, czytelne i wywołujące przenikliwy pisk w uszach Lore.

– O bogowie – jęknęła Dawczyni Przypływów. – Wy wciąż wierzycie, że Gniewny musi odnaleźć ten wiersz? Że nie wie, jak to zrobić?

Lore straciła czucie w rękach. W całym ciele.

– Przecież Kadmici mieli tę tarczę przez całe lata! Naprawdę sądziłyście, że nie zbadali każdego jej centymetra? Napis znajdował się po wewnętrznej stronie skórzanej podszewki z tyłu tarczy. Wystarczyło ją odpruć! – bogini parsknęła z frustracji i pokręciła głową. – Spóźniłyście się. Przecież on wcale nie szukał egidy. Spędził ten tydzień na wprowadzaniu swojego planu w życie. Od wygrania polowania dzielą go dni... a może nawet godziny.

– Ale ja tylko... – Lore przeanalizowała w myślach to, co usłyszała od Iro, ale też rozmowę z Belenem i wiadomość na ścianie. Poczuła, jak treść żołądka podchodzi jej do gardła, pozostawiając gorzki smak w ustach. Przełknęła ślinę i swój strach. – Wcale nie jest za późno. Nadal potrzebuje tarczy. Inaczej by mnie nie szukał.

– Obyś miała rację – stwierdziła bogini. – Choć on rzeczywiście cię potrzebuje. Ja nie mogę dzierżyć egidy. Nie mogę mu jej dać, nawet gdybym chciała. Może to zrobić jedynie śmiertelnik z naszego rodu.

– Czy wiesz, po co mu ta tarcza? Może w jakiś sposób to zasugerował?

Dawczyni Przypływów pokręciła głową.

– Kiedy mnie dopadł, realizował już swój plan. Teraz jest pewnie sto kroków dalej.

– Nadal możemy go powstrzymać – upierała się Lore. – Możemy go zabić.

– To nie wystarczy – stwierdziła nowa bogini, zdejmując z nogi jedną z obręczy łańcucha.

– Jego zwolennicy będą kontynuować pracę, którą rozpoczęli tutaj.

– Pracę? – wtrąciła Atena. – Jakiego rodzaju?

– Nie jestem pewna. Coś związanego z chemią, jeśli sądzić po zapachach i tym, co udało mi się usłyszeć. Podejrzewam, że chodzi o jakieś materiały wybuchowe – odpowiedziała

Dawczyni Przyływów, zdejmując obręcz z drugiej nogi. Jej spojrzenie przeniosło się na Atenę, żeby po chwili wrócić do Lore. – Cokolwiek to jest, doprowadziło do śmierci kilku osób. A parę godzin temu, tuż przed powodzią, wynieśli to na zewnątrz tym właśnie tunelem.

Nozdrza Ateny się rozszerzyły.

– Te informacje są bezużyteczne.

Gdzieś na zewnątrz ktoś odetchnął przerażony. Chwilę później rozległ się chlupot rozbryzgiwanej wody, któremu towarzyszyły szybkie kroki.

Strażnik.

Cholera, pomyślała Lore.

Skoczyła w stronę drzwi, ale Atena już tam była.

– Stój – powiedziała. – Zajmę się problemem, którego tobie nie udało się rozwiązać.

Ruszyła, nie próbując nawet biec. Planowała powolny, ale skuteczny pościg.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na nadgarstku Lore i pociągnęła ją do tyłu. Ból przeszył jej ramię, a ręka wygięła się, kiedy dziewczyna uderzyła o ziemię.

Dawczyni Przyływów rzuciła się do przodu, żeby zamknąć drzwi. Lore podniosła się z ziemi i sięgnęła po nóż. Wstrzymała oddech.

– Ty durna dziewucho – syknęła bogini. – Czemu się z nią zadajesz?

– Ja... Mamy umowę – odpowiedziała z wahaniem.

– Co lepszego może ci zaoferować niż to, co ci odebrała? – Dawczyni Przyływów pokręciła głową. – Uciekaj, zanim wróci.

– O czym ty mówisz? – zapytała Lore.

Zimny strach, który obudził się w niej, kiedy po raz pierwszy ujrzała umierającą boginię przed swoim domem, powrócił do jej krwiobiegu i szepnął: *Przecież wiesz*.

– Kiedy dowiedziałam się, co się stało, szukałam cię po całym świecie. Przepadłaś jak kamień w wodę. Nie mogłam cię odnaleźć – kontynuowała Dawczyni Przyływów.

– Mieszkałam u Odyseidów, w ich chronionej posiadłości. Potem dostałam od Hermesa amulet, który ukrył mnie przed wzrokiem nieśmiertelnych – wyjaśniła.

Bogini zaklęła szpetnie.

– Sam nie powinien cię chronić. Idiota!

– Czy to dlatego mnie szukałaś? Chciałaś mnie chronić? – zapytała Lore, próbując ją zrozumieć. Dawczyni Przyływów wstąpiła bardzo dawno temu. Aż dziwne, że pamiętała o jakiejś śmiertelniczce, choćby ostatniej z jej skazanego na zagładę rodu.

– Nie, dziecko. Chciałam cię ostrzec. Przybyłabym do ciebie wcześniej, gdyby Kadmici nie dopadli mnie już podczas Przebudzenia – kontynuowała bogini. – Przystałam na warunki Gniewnego tylko dlatego, że wierzyłam, że utrzyma mnie przy życiu dostatecznie długo, bym uciekła i cię odnalazła. Chciałam ci powiedzieć, że Hermes widział cię tamtej nocy i że wspomniał o tym Atenie. I zrobił to, choć zdawał sobie sprawę, jak bardzo Atena jej pragnie. Twierdziła przecież, że nie może się bez niej obejść...

– Ale bez czego? – spytała Lore, podnosząc się na równe nogi. – I co jej powiedział?

Wiesz.

Oczy Dawczyni Przyływów rozszerzyły się i wydała z siebie ciężki, wilgotny oddech. Potem krew wypłynęła z jej ust, a metalowy czubek dory wyłonił się z jej klatki piersiowej. Walczyła, jej ciało poruszało się niczym ryba złapana na haczyk. W końcu utkwiała wzrok w Lore, a iskry mocy w jej żrenicach zgasły.

– Wszystko – rzekła Atena, wyciągając broń z ciała bogini, które osunęło się na ziemię. – Wszystko mi powiedział.

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ



OKAZAŁO SIĘ TO ŁATWIEJSZE, NIŻ SĄDZIŁA.

W ciągu nieco ponad dziesięciu lat życia Lore zdążyła znienawidzić Kadmitów za wiele rzeczy. Jednak wtedy, stojąc na niewielkim dziedzińcu za Fenicjaninem, najbardziej nienawidziła ich za to, że zachowywali się tak, jakby nie musieli się starać. Jakby wierzyli, że nikt nie odważy się odebrać im tego, co sami zrabowali.

Pomiędzy restauracją a budynkiem ciągnął się wąski, ogrodzony przesmyk. Ktoś popełnił błąd i zostawił bramę otwartą, żeby móc rano wynieść na ulicę worki z odpadami. Dzięki temu Lore bez trudu wślizgnęła się do środka i przykucnęła za kontenerami na śmieci. Obserwowała, jak łowcy kręcą się niczym pszczoły przy ulu.

Za każdym razem tylne drzwi restauracji zamykały się. W rezultacie wszyscy wchodzący wstukiwali na klawiaturze ten sam kod.

3-9-6-9-3-1-5-8-2.

Bez końca powtarzała w myślach ten numer. Wiedziała, że nie może go zapomnieć.

Kiedy księżyc zbliżał się do szczytowego punktu swojej wędrówki, poczuła mrowienie na karku.

Odwróciła się, spoglądając na dziedziniec i okoliczne okna. Szukała czyjegoś cienia. Jediną kamerą, jaką zauważyła, była ta umieszczona nad drzwiami, łatwa do ominięcia. Razem z Castorem – w sumie to bez niego, bo stał jedynie na straży – nauczyła się trudnej sztuki unikania wzroku kamer monitoringu. Dzięki temu w Domu Tetydy wślizgiwała się niezauważona do komnat Philipa Achilleosa. Nigdy nie została złapana i teraz też tak będzie.

Nie zawiedzie. Tak jak bohaterowie z dawnych opowieści.

– Po prostu zrób to – powiedziała do siebie, naciągnęła kaptur bluzy na głowę i schowała pod niego rozczochrane włosy. Kiedy przez kolejnych dziesięć minut żaden łowca nie wyłonił się zza drzwi, ostrożnie zbliżyła się do nich, przywierając plecami do muru i unikając spojrzenia kamery. Wślizgnęła się do środka.

Kuchnia pachniała cebulą; unosiła się w niej para, efekt zmywania naczyń. Młody mężczyzna stał tyłem do niej, przy zlewie, i cicho śpiewał do muzyki z radia. Lore powoli ruszyła wzdłuż ściany. Kroki stawiała ostrożnie i oddychała płytko.

Tuż obok usłyszała głosy. Momentalnie zanurkowała pod jeden ze stołów ze stali nierdzewnej i ukryła w jego cieniu. Przycisnęła pięść do ust i czekała.

Kilku łowców weszło do cichej kuchni, rycząc ze śmiechu. Zdjęli maski, ale zatrzymali przy sobie broń. Pomaszerowali w stronę chłodni, po drodze jeden z nich pomachał do chłopaka przy zlewie.

– Jak poszło? – zapytał gorliwie pomywacz, obserwując ich szeroko otwartymi oczami.

– Było rozczarowująco spokojnie jak na ostatnią noc Agonu – stwierdził mężczyzna. – Chociaż nie wiem, czy nasz nowy boski pan ucieszyłby się z konkurenta w rodzinie.

Lore skrzywiła się na samą myśl, że ten obrzydliwy staruch został bogiem. Inny łowca uciszył mówiącego, ale potem roześmiał się pijacko.

– No co? – rzucił ten pierwszy. – Dostał to, czego zawsze chciał. Ale nie wszędzie ma swoich ludzi. Na razie nie wszystko słyszy. Jestem niezwykle ciekawy jego kolejnych rozkazów.

Lore pochyliła się do przodu, mrużąc oczy. Starła się dostrzec, jaki kod łowcy wklepali w panelu znajdującym się po prawej stronie wejścia do chłodni. 1-4-6-9-0. Uśmiechnęła się, kiedy zniknęli za drzwiami. Po paru minutach pojawili się ponownie, już bez broni i szat łowców.

W ten sposób uzyskała odpowiedź na najważniejsze pytanie. Aristos Kadmou, kpiąc z jej ojca, ujawnił, że egidę Kadmici trzymają pod restauracją. A myślała, że znalezienie drogi prowadzącej do skarbcza będzie wyzwaniem.

– Zbieraj się, Charles. Odprowadzę cię do domu, do matki – powiedział jeden z łowców do chłopca. Pozostali pomaszzerowali w stronę bocznego wejścia. Kiedy mijali stół, Lore cofnęła się i wstrzymała oddech.

– Ale naczynia... – zaczął łamiącym się głosem chłopak.

– Rano będziesz miał dostatecznie dużo czasu. Wyrobisz się przed rytuałem – stwierdził łowca i ponaglił go ręką. – I tak zamkniemy wtedy restaurację.

Chłopiec skinął głową, zdjął fartuch i ochotczy powiesił go na ściennym haku. Lore leżała na zimnej posadzce. Policzyła, ile kroków zrobili w stronę drzwi. Zaczekała na charakterystyczne kliknięcie – znak, że wejście zostało zamknięte i zaryglowane – a potem policzyła do stu i dopiero wtedy wygramoliła się spod stołu.

Poczuła lekkie oszołomienie, kiedy wsunęła się w lodowate objęcia chłodni.

Odwróciła się i w ostatniej chwili złapała wrota, które już się za nią zamykały. Zablockowała je za pomocą ciężkiego kawałka zamrożonego na kość mięsa, wpuszczając do pomieszczenia odrobinę światła i ciepła.

Powierzchnię chłodni, włącznie z podłogą, pokrywała cienka warstewka szronu. Obszar wokół gumowej maty pośrodku został niedawno naruszony. Lore podniosła ją stopą, po czym odsunęła na bok.

Uśmiechnęła się na widok klapy niezabezpieczonej zamkiem – jej rodzina nie popełniłaby takiego błędu.

Otworzyła włącz i zeszła po schodach. Światła wokół niej zamigotały, wyczuwając ruch, i odsłoniły liczne półki z bronią, pieniędzmi i gadżetami. Jej oczy rozszerzyły się na ten widok, i to zanim zobaczyła cuda zgromadzone pośrodku skarbcza. Materiał wiszący na manekinie musiał być skórą lwa nemejskiego. Dom Heraklesa wieki temu sprzedał ją Kadmitom za broń, której rozpaczliwie potrzebował. Tuż obok, w szklanej gablocie, znajdowała się egida.

Myśli uciekły z umysłu Lore, zastąpione mimowolnym dreszczem wędrującym przez ciało.

Odlane ze srebra i złota oblicze Meduzy było tak realistyczne, że stopy dziewczynki niemalże zapuściły korzenie. Wzdrygnęła się, gdyż usta Gorgony zdawały się rozchyłać, jakby próbowały zaczerpnąć powietrza. W rzeczywistości poruszało się jej własne odbicie w szkle.

Twarz Meduzy i spętane węże w jej włosach wystawały z tarczy, jakby bogowie wtopili jej odciętą głowę w sztywną skórę i metal. Delikatny, wręcz filigranowy wzór błyskawicy otaczał wraz z pnączami jej oblicze. Zwisające nad nią złote frędzle pozostawały na swoim miejscu od tysięcy lat, tak jasne i błyszczące jak w dniu, w którym zostały wykonane.

Widzę cię, zdawała się mówić Gorgona. *Widzę cię, Melora.*

Lore wzięła głęboki oddech, próbując zapanować nad nerwami.

– Uspokój się! – rozkazała samej sobie. W skarbcu z pewnością znajdowały się kamery. Ktoś za chwilę tu przyjdzie. – Do roboty!

Gablota była zbyt duża, żeby Lore mogła ją podnieść, a nigdzie nie zauważyła drzwiczek. Pozostał jej jeszcze jeden sposób na wydostanie egidy. Bardzo, bardzo zły.

Okrążyła ją. Szkło, sądząc po grubości, było hartowane. Być może nawet kuloodporne.

Spojrzała na właz.

Zawyje alarm. Będzie miała tylko kilka sekund...

Cofnęła się, wyjmując z pobliskiego stojaka najcięższy miecz. Wspięła się po schodach do chłodni i położyła go po przekątnej otworu w podłodze. Tak na wszelki wypadek.

Potem, nie tracąc czasu na rozmyślania, wróciła po egidę. Uśmiechnęła się i użyła całej swojej siły, żeby przewrócić gablotę wraz z cokołem.

Zawyła syrena, a pokój rozbłysnął czerwienią. Rozległ się huk tak głośny, że Lore niemalże wyskoczyła ze skóry. Odwróciła się. Kłapa zamknęła się, kiedy uruchomił się alarm, jednak miecz pozostał na swoim miejscu, nie pozwalając jej się zatrzasać.

Tak jak dziewczyna się spodziewała, szklana gablota nie rozbiła się przy uderzeniu o ziemię. Lore sięgnęła po leżącą tuż obok dory i wsunęła jej grot w miejsce, w którym szkło przylegało do płaskiej powierzchni marmurowego postumentu. Napięła mięśnie i przecięła uszczelniacz, aż w końcu odsunęła cokol na tyle, żeby móc wyciągnąć tarczę.

Egida okazała się prawie tak duża jak ona. Mimo swych rozmiarów wydawała się lżejsza od ramienia, przez które Lore przełożyła jej skórzane pasy. Potem odwróciła się i wbiegła po schodach. Kłapa napierała na nią, wciąż próbując się zamknąć, ale przytknęła do niej tarczę i pchnęła do góry.

Podmuchi światła eksplodował z egidy, otwierając właz, który uderzył o podłogę chłodni z taką siłą, że kłapa oderwała się od zawiasów i wpadła pod pobliską półkę. Lore przez chwilę wpatrywała się w nią, a potem spojrzała na tarczę. Głuche postukiwanie drzwi o kawałek mięsa pomogło jej wrócić do rzeczywistości. Ruszyła dalej.

Wpadła do ciemnej kuchni. Wyjście prowadzące na podwórze zamknęło się w momencie uruchomienia alarmu, ale Lore – w ramach eksperymentu – uderzyła w nie egidą. Metalowe drzwi upadły na nierówny asfalt.

Biegła, dopóki świat dookoła niej się nie rozmył. Tarcza obijała się o jej bok i brodę, ale Lore miała wrażenie, że jej sandały dostały skrzydeł.

Uciekała wschodnią stroną Manhattanu, klucząc po pustych o tej porze ulicach.

Cała, od kości aż po duszę, czuła wielką radość. Egida wreszcie wróci na swoje miejsce, a Kadmici nigdy nie zapomną ani tej nocy, ani jej imienia. Jej rodzina nie opuści Agonu, nie opuści też miasta. Ona zaś nie opuści Castora.

Zanim dotarła do Central Parku, szaleństwo krążące w jej krwi zaczęło stygnąć, a potem topnieć. Chciała skręcić ku zachodniej części miasta, ku domowi, ale stopy odmówiły jej posłuszeństwa.

Pewne rzeczy uświadomiła sobie w ten sam sposób, w jaki spojrzenie Meduzy zamieniało niegdyś ludzi w głazy.

Kadmici nie zapomną jej imienia, bo będą wiedzieć, kto wykradł ich cenny skarb. Nie zachowała ostrożności i nie sprawdziła, gdzie są ukryte kamery w skarbcu. Każda z nich mogła uchwycić jej twarz.

Opadła na pobliską ławkę, a jej myśli układały się w mroczne, przerażające wzory.

Jeśli Kadmici zobaczą ją na nagraniu, będą wiedzieć, gdzie szukać tarczy. Kogo winić i kogo ukarać. A teraz, kiedy ich archont został bogiem, nic ich nie powstrzyma.

Załkała, a serce załomotało jej w piersi. Obawiała się, że za chwilę zwymiotuje. Na świecie było tak wielu Kadmitów i tak mało Perseidów!

Po raz pierwszy opuściła ją odwaga. Jej drżące ciało przejęło nad nią kontrolę, przeskoczyło przez kamienną ścianę i zanurzyło się w znajomym, bezpiecznym parku. Musiała gdzieś się ukryć, ale musiała też zrobić coś jeszcze.

Trzeba to odkręcić, pomyślała, dławiąc się na samą myśl o tym. Nie ukarzą nas, jeśli ją

zwrócić.

Tylko że egida nie należała do Kadmitów. Nie była ich, a teraz, kiedy mieli nowego boga, bo przecież Aristos Kadmou zrzucił śmiertelną skórę, wreszcie mogli z niej skorzystać. Ojciec Lore twierdził co prawda, że to niemożliwe, ale nieraz już się mylił.

Przykucnęła za ławką nieopodal centrum handlowego. Czuła się, jakby dostała gorączki, i brudnymi rękami ocierała pot z czoła.

Przez cały ten czas czuła na sobie wzrok Meduzy. *Widzę cię. Wiem, co zrobiłaś.*

Nie! Wciąż mogła to naprawić.

Lore nie ruszała się z miejsca. Siedziała z głową opartą na kolanach, aż w końcu podjęła decyzję. Wiedziała już, co powinna zrobić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI



KLATKA PIERSIOWA LORE ZAPŁONEĘŁA OD KRZYKU, KTÓRY NIE NADCHODZIŁ. Szukała go, próbowała wyrwać z najgłębszej części duszy, ale z jej ust wydobył się jedynie cichy jęk.

Miała wrażenie, że jej ciało nie do końca należy do niej. Zdezorientowana, wpadła na ścianę.

– Ty... – próbowała się wysłowić. – Ty... wiedziałaś...

– Teraz już ją dostrzegasz? – zapytała w starożytnym języku Atena. Wszelkie ciepło wraz z jakimikolwiek przejawami człowieczeństwa wyparowało z niej niczym zgaszony ogień. – Tę pewną rękę snującą nić twoich losów?

Ciało Lore zadygotało z taką siłą, że z trudem utrzymała broń. Przed oczami widziała jedynie czarne plamki. Jeśli Hermes powiedział Atenie, że Lore ukradła egidę... A bogini wiedziała, gdzie znaleźć jej rodzinę, i szukała jej właśnie tego dnia...

Prawda niczym trucizna przemknęła przez jej ciało, wypalając wnętrzności na popiół.

Na ustach bogini pojawił się lekki uśmiech, zupełnie jakby знаła jej myśli.

Ona ich zabiła.

Nie Gniewny. Nie Kadmici. Za śmiercią jej rodziny stała Atena.

Kiedy szok minął, pojawiła się panika.

– Sądziłam... – zaczęła.

Zostawiła ją samą z Milesem i Vanem... Liczyła, że dotrzyma swojej przysięgi i nie skrzywdzi Castora... W dodatku...

Uwierzyła jej.

– Niby co sobie myślałaś? Że mam serce? – zapytała Atena. – Serce to tylko mięsień!

– Zabiłaś ich. – Jej głos był ledwie szeptem. – Dlaczego?

– Ledwie uwierzyłam Hermesowi, kiedy opowiedział mi, co widział. Że egidę, przedmiot, którego szukałam całe wieki, odnalazło jakieś dziecko. Że n o s i ło j ą dziecko! – kontynuowała Atena. – Wiedziałam, gdzie mieszkają ostatni z Perseidów. Znałam tę chałupę, którą nazywali domem. Ku mojemu zadowoleniu zostawili niedomknięte okno. Zupełnie jakby zapraszali mnie do środka.

Lore wplotła palce w swoje włosy. Oddychała nierówno, a jej serce biło tak mocno, że niemalże połamano jej żebra. Desperacja płynęła w jej żyłach.

Nie... proszę, nie...

– Ale kiedy znalazłam się w pokoju, od razu domyśliłam się, że złodziejem nie mogło być żadne z tych małych, bezwartościowych stworzeń. Były mniejsze od tarczy – powiedziała Atena, robiąc krok do przodu. – Stałam nad ich łózkami i zastanawiałam się, jak łatwo byłoby je udusić.

Zbliżyła się o kolejny krok do Lore.

– Postanowiłam zaczekać, aż twoi rodzice zajrzą do nich, a ja odzyskam swoje moce wraz z końcem cyklu – dodała i zatrzymała się przed Lore. Teraz jeszcze bardziej nad nią górowała. – A potem zabierałam po kawałku ciała dziewczynek za każde pytanie, na które odmówili odpowiedzi. O ich zaginionym dziecku. O miejscu, w którym może się ukrywać.

Wspomnienie pociętych sióstr, ich zmasakrowanych ciał, rozerwało ucisk w klatce

piersiowej Lore. Wściekłość i żal wyrwały się na zewnątrz, a świat wyskoczył ze swojej osi. Zaatakowała.

Zamierzyła się ostrzem prosto w serce Ateny. Bogini bez większego wysiłku sparowała cios swoją dory. Potem, z twarzą pozbawioną wyrazu, cięła Lore w prawe ramię.

– Bez kontroli, bez dyscypliny, bez strategii – stwierdziła. – Czysty gniew. Od razu to w tobie dostrzegłam. Jesteś jak stopiony brąz czekający na wprawne ręce, które by go ukształtowały. Musiałam jedynie zasiał ziarenko w postaci nowej wersji wiersza. Wiedziałam, że dowiesz się, gdzie go zapisano, a potem wrócisz po tarczę. Wystarczyła odrobina cierpliwości...

Siła ciosu odrzuciła Lore. Wykorzystała odległość, żeby przerzucić nóż do lewej ręki, zmieniając chwyt. Zamarkowała cios w prawo, a kiedy bogini ruszyła się, żeby go zablokować, cięła ku górze. Atena odchyliła się co prawda do tyłu, ale czubek ostrza zahaczył o jej podbródek. Rozcięcie pomalowało jej szyję na krwisty kolor.

Bogini zaśmiała się zgryźliwie i potarła kciukiem ranę, chwilę oceniając obrażenia.

– Problem z małymi śmiertelnikami polega na tym, że jest w nich niewiele krwi. W rezultacie umierają za szybko.

Lore wrzasnęła. Jej okrzyk był nierówny, jakby wyrwany z jakiejś złamanej części jej ciała. Podała się bólowi, tnąc i drapiąc, aż otaczająca ją cela zniknęła, kontrolę nad nią samą przejął zaś instynkt.

Uderzenie dory nadeszło z tyłu i sięgnęło jej czaszki. Lore przewróciła się na ziemię, nóż wypadł jej z ręki. Obróciła się na plecy, a wówczas Atena ponownie uderzyła ją drzewcem, a potem wbiła dory w jej udo. Jednym pchnięciem przebiła jej mięsień, złamała kość i przyszpiliła do ziemi.

Ból był wręcz agonalny. Lore z ledwością zaczerpnęła tchu i załkała. Atena obróciła włócznię, wbijając ostrze jeszcze głębiej. Instynkt przetrwania zawył w Lore. Przesunęła dłoń po wilgotnej ziemi, próbując namacać nóż. W końcu triumfalnie go chwyciła.

Zanim zdążyła się podnieść, Atena złapała jej rękę i ją wykręciła. Potem z wysiłkiem, jakiego wymagałoby zerwanie kwiatu, zacisnęła palce na dłoni Lore i zmiażdżyła każdą jej kość.

Lore niemal traciła przytomność z bólu. Dygotała i krzyczała. Na widok okaleczonej ręki poczuła kwaśne soki żołądkowe.

– Dlaczego? – błagała. – Dlaczego?

– Wołały cię – odezwała się bogini i przyciągnęła dory do siebie. Grot pękł, pozostał w udzie Lore. – Obie dziewczynki. Myślisz, że wiedziały, że umierają przez ciebie?

Dziewczynę zaatakowało wspomnienie tamtej nocy. Nie musiała zamykać oczu, żeby je zobaczyć – krew rozmazaną na ścianach i podłogach, ciała siostr rzucone na łóżka, ciemne dziury tam, gdzie powinny mieć oczy.

– To były tylko małe dziewczynki – zaszlochała. – Damara była niemowlęciem! Były niewinne!

– Nikt nie jest niewinny – warknęła Atena. – A zwłaszcza ty, Meloro! Twój ojciec umarł jako pierwszy, błagając o litość. Potem twoja matka, która przynajmniej wiedziała, że nie ma sensu o nic prosić. Czekałam godzinami na twój powrót, lecz kiedy się pojawiałaś, nie miałaś jej już przy sobie. Patrzyłam, jak stałaś w drzwiach swojego domu i podziwiałaś dar, który ci zostawiłam. Ale nie płakałaś. Nie wydałaś z siebie ani jednego odgłosu. Byłaś silniejsza niż teraz.

– Dlaczego wtedy mnie nie poddałaś mnie torturom, nie próbowałaś wyciągnąć ze mnie informacji, co zrobiłam z egidą? – sapnęła Lore, dotykając dłonią twarzy i włosów. – Dlaczego po prostu mnie nie zabiłaś?

– Chciałam, żebyś pokazała mi, gdzie ją ukryłaś – odpowiedziała Atena. – I z własnej

woli mi ją oddać. Kiedy dowiedziałam się o wierszu, miałam jeszcze jeden powód, żeby zachować cię przy życiu. Nie mogłam pozwolić, żeby tekst zniknął wraz z twoją śmiercią. Chciałam poznać jego treść.

Lore poczuła, że się dusi. Przecież przed godziną niemalże dała bogini tarczę! W dodatku uważałyby ten gest za swój pomysł. Rodzaj konieczności.

– Przez wszystkie lata, które spędziłaś w Domu Odyseusza, obserwowałam twoją żalostną egzystencję i czekałam, aż pójdziesz po nią lub przynajmniej ujawnisz komuś, gdzie ją ukryłaś – powiedziała Atena. – Mogłam oczywiście interweniować, przybrać inną postać, żeby zdobyć twoje zaufanie, ale Hermes mnie uprzedził.

Lore potrząsnęła głową, próbując odciąć się od jej słów.

– Podążałam za nim aż do tego miasta. Ciekawiło mnie, czemu sięgnął po fałszywą twarz – dodała bogini. – Szybko otrzymałam odpowiedź. Poczułam moc zaklęć odwracających, które rzucił na swój dom. Nie mogłam wejść do środka ani nawet zbliżyć się do budynku. Istniał tylko jeden powód, dla którego byłby gotów włożyć tyle wysiłku w odepchnięcie mnie. Tym powodem była śmiertelniczka, którą próbował chronić i dla której posunął się aż tak daleko. Fakt, że cię nie widziałam, choć mogłam wyłapać twój zapach czy usłyszeć odgłos twoich kroków, jedynie to potwierdzał.

Przyjrzała się czubkowi swojej dory.

– Hermes zrobił to z niesłusznego poczucia winy. Widzisz... wyjawiał mi informacje o tobie i egidzie w zamian za życie swojego kochanka. Wiedział, że znalazłam kryjówkę fałszywego Dionizosa – powiedziała Atena. – A kiedy zaczęło się polowanie i z daleka patrzyłam, jak Hermes umiera, dostrzegłam swoją okazję. Wraz z jego śmiercią moc zaklęć wygasła. Mogłam bez przeszkód się z tobą spotkać.

Ciało Lore się rozplątało. Zamieniało w ołów. Krew sączyła się z nogi przy każdym uderzeniu serca. Dziewczyna przycisnęła plecy do ściany, czując, jak wilgoć przesiąka przez jej koszulę.

– Ale Artemida cię zaatakowała... – zaczęła słabym głosem.

– Myślisz, że zadałaby mi taki cios bez mojej zgody? – zapytała Atena. – W czasie tego cyklu planowałyśmy zabić wszystkich uzurpatorów. Zgodziła się pomóc mi w oszukaniu ciebie, kiedy opowiedziałam jej o twojej znajomości z chłopakiem, który zamordował naszego brata. Ciekawy z niego przypadek, nie? Od chwili, w której poczułam jego aurę, wiedziałam, że nie zdołamy go zabić. Chciałam jednak dowiedzieć się, kim tak naprawdę jest. Artemidę to rozzłościło, ale mnie pozwoliło zbliżyć się do innych uzurpatorów na tyle blisko, żeby mieć pewność, że zginą z ręki prawdziwego boga.

Artemida nie oszalała, jak twierdziła jej siostra – została zdradzona przez Atenę, która nie oddała w jej ręce Castora.

– Kazałaś Artemidzie wytropić mnie już pierwszego dnia polowania. Wiedziałaś, że będę go szukać, prawda? – powiedziała Lore, wreszcie składając historię w całość. – A potem patrzyłaś... patrzyłaś, jak twoja siostra umiera!

– Nie wszyscy możemy wrócić na Olimp – stwierdziła chłodno Atena. – Tylko najsilniejsi z nas zostaną rozpoznani przez Hory i ponownie przekroczą bramy Olimpu. Artemida była zbyt chwiejna.

Ręka Ateny wystrzeliła, łapiąc Lore za podbródek i boleśnie ściskając.

– Może skończymy dręczenie cię i pójdziemy po tarczę?

Lore przeniosła wzrok na boginię, wkładając w to spojrzenie całą swą rozdygotaną furję. Jej umysł był potokiem przerażenia i niedowierzania.

– Nie oddam ci jej dobrowolnie, jeśli będziesz mnie torturować. Nie będziesz w stanie jej

unieść.

– Jeszcze nie, masz rację. Ale zobaczę wiersz. Będę wiedziała, jak zakończyć Agon – powiedziała Atena. Lore miała wrażenie, że bogini za chwilę zmiążdży jej szczękę. – A kiedy odzyskam pełnię mocy, znów będę w stanie nią władać.

– Ale Gniewny... też chce dostać tę tarczę – wychrypiała Lore. – Nie pozwoli ci jej wziąć...

– Kiedy osiągnę pełnię mocy, będę niczym więcej jak robakiem, którego zmiążdżę stopą – stwierdziła Atena. – A także tych, którzy odważyli się odwrócić od swoich prawdziwych bogów. Ostrzegam cię, Melora. Zniszczę wszystko i wszystkich, których kochasz, jednego po drugim, jeśli nie zaprowadzisz mnie do egidy.

Serce Lore zabiło jej w piersi.

Nie.

Nie Milesa. Nie Castora. Nie Vana. Nie Iro.

Nie jej miasto.

Spokojna pewność przejęła kontrolę nad jej umysłem, uciszając burzę chaotycznych myśli i podsuwając oczywisty wybór. Akceptując go, Lore zobaczyła twarze ich wszystkich. Podejmując decyzję, myślała o rodzinie, choć miała świadomość, że dusze jej bliskich nigdy nie zaznają spokoju.

To był jej ostatni wybór. I należał do niej.

Przepraszam, pomyślała. Castorowi zostanie tylko jeden boski rywal, a egidy nikt już nigdy nie dobędzie.

Jej dłoń bez choćby śladu lęku chwyciła złamany fragment drzewca włóczni i wyciągnęła go z nogi. Lore wróciła myślami do swoich sióstr. Do nieustraszonej matki. Do twarzy ojca błyszczącej w świetle kominka, tłumaczącej, jak trzymać rękojeść sztyletu.

Przesuń kciuk na grzbiet rękojeści, Melora. Zyskasz lepszą kontrolę nad ostrzem.

– Nie! – podniosła głos, upewniając się, że słowo to zagrzmiało.

Nozdrza Ateny się rozszerzyły.

– Impertynenckie dziecię...

Lore spojrzała na nią zza kosmyków swoich ciemnych włosów.

– Wybór należy do mnie.

Obróciła ostrze i wbiła je sobie w pierś.

CZEŚĆ PIĄTA

ŚMIERTELNICZKA



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY



LORE ZAWSZE MYŚLAŁA, ŻE JEJ ŚMIERĆ BĘDZIE ATRAKCYJNIEJSZA.

Łowcy uważali na przykład, że największym zaszczytem jest zginąć na polowaniu, w pogoni za chwałą. Zawsze to lepiej, niż zostać zabranym przez Tanatosa, boga spokojnej śmierci. Lore sądziła, że to bzdury, ale jakaś jej część wierzyła, że ostatni ogień bólu wypali z niej przeszłość i zamieni w kogoś, kto w Krainie Umarłych zostanie uznany za godnego.

Tymczasem śmierć okazała się paraliżująca. Jej umysł wyłączył się, żeby chronić ją przed szokiem, jaki wywołała stal przebijająca jej skórę i ocierająca się o kości.

Jej ręka ześlizgnęła się z prowizorycznej broni i opadła bezwładnie na kolana.

Gdzieś w pobliżu rozległ się przerażający krzyk, który brzmiał niczym piła napotykaląca metal.

Spójrz, pomyślała Lore. Otwórz oczy.

Zobaczyła przed sobą szarooką boginię.

– Ależ jesteś głupia – warknęła Atena. – Nie pozwolę ci na to. Nie pozwolę, żebyś mi ją odebrała!

– Nie będziesz... jej potrzebować – wyszeptała Lore. – Tam... gdzie... trafisz...

Dłoń bogini zacisnęła się wokół jej szyi, jakby chciała ją zmiażdżyć. Twarz wykrzywiła się z wściekłości, odsłaniając zęby. Atena sprawiała wrażenie niezrażonej, ale i nieugiętej wobec zbliżającej się śmierci.

– Naprawdę w to uwierzyłaś? – zapytała chrapliwym głosem. – Sądziłaś, że byłam na tyle głupia, żeby związać swoje życie z porywczą śmiertelniczką? Z tobą? Twój gest jest bez znaczenia!

Lore się przeraziła. Patrzyła na boginię, próbując skupić się na tym, co usłyszała, ale przed jej oczami malowała się czerń. Dziewczyzna widziała jedynie iskry wirujące w oczach Ateny.

Nie jest bez znaczenia, pomyślała, choć słowa gasły w jej umyśle.

Nie chodziło jej tylko o zabicie Ateny. Lore chciała mieć pewność, że nikt już nie będzie w stanie sięgnąć po egidę. Po tylu błędach choć raz postąpiła właściwie.

Bogini cofnęła się i wyprostowała. Nie odeszła jednak, wciąż obserwowała Lore. Skomplikowana maszyna, jaką był jej umysł, intensywnie pracowała, aż ponownie odzyskała kontrolę nad sytuacją.

– Zmuszę fałszywego Apolla, żeby cię uzdrowił – oświadczyła. – A wtedy zabierzesz mnie do niej.

Nie...

Lore się odsunęła. Wbiła paznokcie w ziemię i próbowała przesunąć się do przodu. Bogini oparła dory o ścianę. Lore mogłaby po nią sięgnąć, gdyby była w stanie zmusić swoje ciało do wysiłku. *Najpierw cię zabiję...*

Atena chwyciła ją za włosy, wyrывая ich kępkę. Pociągnęła dziewczynę w stronę drzwi i znajdującego się za nimi tunelu.

Potem jednak ją puściła. Lore opadła na mokrą ziemię, a uderzenie rozdarło jej policzek.

Krew zaczęła płynąć po szyi. Parzyła jej chłodną skórę.

– Hmm... – powiedziała Atena, po czym cofnęła się po dory. – Myślę, że...

Usta Lore rozchyliły się, ale słowa, które próbowała wypowiedzieć, zagubiły się w ciemnościach narastających w jej umyśle i po chwili przepadły. Lód zalał jej żyły, zastępując krew.

– Jest jednak inny sposób – stwierdziła powoli bogini, jak gdyby zmieniała zdanie.

Lore wydała z siebie zduszony jęk – wściekłości i udręki.

Bogini ruszyła w stronę wyjścia, lecz jeszcze zatrzymała się w drzwiach celi. Spojrzała na dziewczynę przez ramię i odezwała się z fałszywym współczuciem:

– Szkoda, że nie miałas odwagi, żeby wbić sobie ostrze w serce.

– Zabiję... cię – szepnęła Lore, lecz nie dostała odpowiedzi.

Nigdy jej nie otrzymała.

Pozostały jedynie ciemność, cisza i oczekiwanie.

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ



JAKIŚ CUDEM, POMIMO PORY, KSIĘŻYC WCIĄŻ WISIAŁ NA NIEBIE, choć przygasł już wraz z nadejściem bladego świtu.

Lore nie odrywała wzroku od jego mlecznego sierpa, gdyż nie chciała patrzeć na ulice swojego osiedla. W końcu jednak stanęła przed blokiem, w którym mieszkała z rodziną, i zmusiła się do spojrzenia w okno, przez które wymknęła się przed kilkoma godzinami.

Było zamknięte.

Westchnęła, czując narastający strach. Jej rodzice już nie spali.

Zacisnęła pięści i przycisnęła je do oczu. Uspokoiła oddech i powstrzymała łzy.

Kłamstwa byłyby proste – poszła spotkać się z Castorem, chciała zobaczyć ostatnie chwile Agonu, myślała o ucieczce z domu, ale wróciła.

Prawda sprawiała jednak, że czuła się, jakby wbiła sobie ostrze w brzuch. Musiała im powiedzieć. Kara nie będzie aż tak zła, jak mogłaby być zemsta Kadmitów. A jej rodzice będą wiedzieć, co należy zrobić.

Nie zawracała sobie głowy wspinaczką do okna sypialni. Skorzystała z frontowych drzwi.

Wyprostowała ramiona i przełknęła kwaśny smak w ustach. Wspięła się po schodach aż na szóste piętro. Wczorajszy wieczór wydawał jej się bardziej snem niż wspomnieniem.

Ich mieszkanie znajdowało się na samym końcu cichego korytarza. W uszach słyszała jedynie łomotanie własnego serca. Wiedziała, że rodzice będą źli. I że będzie musiała znaleźć sposób, żeby im wszystko wyjaśnić. Przekonać ich do pozostania w mieście pomimo zaistniałych okoliczności. Nie chciała opuszczać Castora i Nowego Jorku. Nie w ten sposób.

Zatrzymała się przed drzwiami mieszkania, przyciskając czoło do ich gładkiej powierzchni. Zamknęła oczy. Nasłuchiwała dźwięków krzątania się rodziców. Odgłosów robienia kawy, karmienia Damary, cichych rozmów czy wiadomości płynących z telewizora.

Ale nic nie słyszała.

Coś mokrego przesiało czubki jej starych tenisówek. Otworzyła oczy.

Ciemna krew sączyła się przez szczelinę pod drzwiami. Utworzyła kałużę wokół jej stóp.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY



OLYMPIA CZEKAŁA NA NIĄ WŚRÓD CIENI NOCY.

Siedziała na skraju ich wspólnego łóżka. Włosy wciąż miała potargane, a oczy zbyt zmęczone, żeby się skupić. Lore zajęła miejsce obok niej. Patrzyła, jak wiatr zakrada się przez okna i porusza rysunkami Pii, które powiesiła na ścianie.

Jej siostra odwróciła się do niej. Lore zaczęła płakać.

– Nie walcz, Lo – szepnęła Olympia, łapiąc ją za koszulkę. – Nie walcz. Idź spać.

Lore zamknęła oczy, ale łzy nie przestawały płynąć.

Idź spać.

To wydawało się takie proste. Banalne. Ale kiedy znalazła się na krawędzi snu, otrzeźwił ją zapach czegoś ostrego i metalicznego.

Nie walcz.

Otworzyła oczy i zobaczyła odwzajemniające jej spojrzenie ciemne dziury oczodołów siostry.

Wokół nich, na łóżku, płynęła krew. Przykryła skórę Lore i wypełniła jej krzyczące usta. Dziewczyna stoczyła się z materaca i upadła na podłogę, ale krew też tam była, sączyła się pomiędzy prętami kołyski Damary. Ciszę przeszło wycie, wbijając się coraz głębiej w umysł Lore z każdym kolejnym szaleńczym uderzeniem serca.

Drzwi sypialni otworzyły się i w rozpościerającej się za nimi czerni zapaliła się pojedyncza iskra.

Lore zatoczyła się do przodu. Nie chciała się rozglądać, bo wiedziała, co zobaczy – matkę wyciągniętą przy drzwiach, z rozcięciem od brzucha po gardło, ojca leżącego w kuchni z pękniętym kręgosłupem i zmiażdżoną czaszką. Była tu już wcześniej. Wszystko to widziała.

Światło... Gdyby tylko mogła go dotknąć...

Idź spać.

Kiedy przekroczyła próg, jej umysł ucichł, a ciało znieruchomiało. Chłodna mgła otarła się o jej policzki.

Światło wciąż tam było, tuż za zasłoną ze srebrnej mgły. Towarzyszyły mu inne. Łącznie było ich siedem i przybierały różne kształty. Przypominały pozbawione wyrazu twarze wpatrujące się w Lore z drugiego brzegu rzeki. Jedno oderwało się od pozostałych i pożeglowało w jej stronę. Z każdym powolnym uderzeniem jej serca powiększało się i jaśniało.

Szary świat wydawał się oddychać, jak gdyby próbował wciągnąć ją do płuc. Zimna woda obmywała palce jej stóp.

Melora. Wilgotne powietrze szeptało to imię, aż stało się ono pytaniem bez odpowiedzi.
Melora?

Kiedy ciężka dłoń opadła na jej ramię, Lore powoli się odwróciła.

Jej ciało przeszył ból. Kończyny wykrzywiły się w agonii. Zaczepnęła powietrza i wbiła paznokcie w ziemię. Była zimna... taka zimna... pękała niczym lód.

Mroczny świat rzeki pojawiał się i znikał w podziemnej celi, aż Lore przestała odróżniać jeden od drugiego.

– Spokojnie, Melora – powiedział ten sam głos. – Obawiam się, że najgorsze masz

jeszcze przed sobą.

Promienista twarz unosiła się tuż przed jej własną. Był młody i piękny. Psotnie wyginał usta. Jego włosy kręciły się słodko, a nieco powyżej ich linii, po obu stronach jego hełmu, trzepotały skrzydła. Utrzymywały rytm jej serca.

– Ale ty... – szepnęła. – Nie...

Postać zmieniała się w obcym świetle. Rozplątywała niczym wstążki. Kolejne warstwy jej ciała oddzielały się, odsłaniając kogoś, kto ukrył się pod spodem.

Ktoś zupełnie inny.

Lore uniosła drżącą dłoń i potarła nią oczy, starając się usunąć zasnuwającą je mgłę. Teraz unosił się przed nią starzec, którego stopy nie dotykały ziemi. Srebrzyste, sterczące włosy pobłyskiwały niczym fale dookoła jego głowy, nad pociągłą twarzą. Białą skórę pokrywały żyły i inne oznaki starości. Ramiona pochylał do przodu, kiedy patrzył na nią świecącymi zielonymi się oczami.

– Cześć, kochanie – wyszeptał Gil. – Wszystko w porządku?

– Ty przecież nie... – zaczęła Lore. Na jego widok zabrakło jej tchu. Wyglądał doskonale w dobrze jej znanej tweedowej marynarce i z pełną zrozumienia miną.

– Żyjesz? – dokończył za nią. – Wstań i się przekonaj.

Miała zbyt ciężkie powieki. Zamknęły się, kiedy tylko potrząsnęła głową.

– Nie! – powiedział ostrym tonem. – Spójrz na mnie! Musisz na mnie spojrzeć!

Spróbowała.

– Chcesz żyć? – zapytał, a te słowa odbiły się echem w jej głowie, splatając się ze wspomnieniami.

Odetchnęła lekko. Pozostali... miasto... jeszcze nie skończyła... ale jej ciało... nie mogła...

– Wiesz przecież, że dasz radę – stwierdził Gil. – Wstań, Melora. No dalej. Udowodnij, że mam rację.

Myślała, że da radę polować, ocalić swoje miasto, ochronić przyjaciół i pomścić rodzinę. Utraciła wszystko. Wszyscy, którzy ją kochali, już dawno odeszli.

Nie wszyscy.

Tak jak nie wszystko było kłamstwem.

– Zrób to dla siebie – powiedział Gil. Jego głos był niczym balsam dla zdeorientowanego umysłu Lore. – Nie po to, żeby się na niej zemścić. Nie ze złości. Dla siebie.

Upokorzenie, wściekłość i zdrada łączyły się w niej. Ale nie tylko one. Mogła... Zostało w niej jeszcze... coś...

– Musisz tylko wstać. Nie mogę ponieść cię tak, jak ty nosiłaś mnie – stwierdził Gil. – I nie mogę poprowadzić cię zbyt daleko, tylko do granicy, na którą on się zgodził. Tak jak miałem to zrobić. Musisz sama wstać i iść za mną.

Chyba... miała na to jeszcze dostatecznie dużo siły. Wstać. Dotrzeć do pozostałych. Ostrzec ich...

Wyciągnęła rękę i oparła dłoń na ścianie za swoimi plecami. Szukała czegoś, czego mogłaby się złapać. Jej palce wbiły się w niewielkie zagłębienie, pozostałość po nieumiejętnie wywierconej dziurze. Ramiona i barki zabołały ją, kiedy poczuły ciężar jej ciała, ale zacisnęła zęby. Syknęła z wysiłkiem, jakiego wymagało wsunięcie pod siebie stóp.

– Dobrze – powiedział z ulgą w głosie Gil. – Doskonale, kochanie!

Jej prawa noga była zdrowa, lecz lewą – tą, którą przebiła włócznią Atena – miała złamaną. Najmniejszy ciężar sprawiał, że Lore przeszywał rozpalony do białości, agonálny ból. Jej kolano zachwiało się, kiedy na próbę wykonała krok, zdążyła jednak podeprzeć się ramieniem

o ścianę.

Gorąca krew połała się z rany w klatce piersiowej, kiedy Lore pochyliła się i przycisnęła do niej dłoń. Zadrżała. Ból był tak silny, że czuła się jak pijana.

– Za mną, kochanie – powiedział Gil. – Wpatruj się w światło.

Pokuśtykała do przodu, krok za krokiem, szurając po ziemi. Woda chlupotała u jej stóp. Świat rzeki i świat tunelu zlały się, aż stały się kamienną ciemnością. Ale przed nią wciąż majaczyło światło. Widziała tę iskrę.

Jej prawe biodro kołysało się przy każdym kroku, a mięśnie napinały z wysiłku. Naprzód. Naprzód. Boleśnie i powoli.

Gil jak zawsze znał drogę. Pewnie wybierał trasę na kolejnych rozwidleniach. Pozwoliła mu się prowadzić, nie odrywając wzroku od światła emanującego z pochodni, która pojawiła się w jego dłoni.

Płomień zahipnotyzował Lore, płatając figle jej oczom. Sprawiał, że widziała rzeczy, których nie było.

Tweedowa marynarka Gila rozpadła się niczym rozżarzone węgielki, odsłaniając tunikę w kolorze kości słoniowej. W jego lewej dłoni pojawiła się uskrzydłona laska z oplatającymi ją złotymi węzami. Ich małe łuskowate głowy otarły się o siebie, po czym odwróciły się, żeby ją obserwować.

Pomóż mi, pomyślała Lore, ponieważ nie była w stanie wypowiedzieć tych słów na głos. *Zostań ze mną.*

Jakby na jej wezwanie, wzdłuż ścian tunelu pojawiły się cienie. Sylwetki mężczyzny, kobiety i dwóch małych dziewczynek towarzyszyły jej, utrzymując jej cierpiętnicze tempo. Widziała twarze, które знаła. Twarze, które kochała.

Wyciągnęła rękę w stronę kobiety, musnęła palcami jej policzek.

Zostań ze mną, pomyślała. *Zostań ze mną...*

Postać Gila rozmazała się, kiedy Lore przestała cokolwiek widzieć. Dziewczyna osunęła się na ścianę. Resztkami sił wyciągnęła zdrową rękę do przodu i podciągnęła się kawałek. Brnęła przez zimną wodę, z najwyższym trudem utrzymując głowę nad jej powierzchnią.

Może to była kara za jej brawurę. Może będzie musiała bez końca odbywać ten marsz w ciemnościach albo zamieszkać na zawsze pod ziemią. Codziennie przeżywać tę agonię, za każdym razem uświadamiając sobie, że nigdy nie dotrze do wyjścia z tunelu ani nie znajdzie siły, żeby wdrapać się po drabinie na górę.

Gdzieś za nią zabrzmiał dzwonek wietrzny. Potem odezwał się kolejny, aż złączyły się w pieśń przypominającą trele ptaków o poranku.

Gil zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

– Zaszliśmy już dostatecznie daleko – oświadczył.

Lore z trudem zaczerpnęła tchu, przyciskając plecy do szorstkiej ściany. Próbowwała chwycić towarzyszące jej cienie, przyciągnąć je do siebie, ale straciła je z oczu, kiedy jej wzrok zasnuła ciemność.

Zostańcie ze mną.

– Przepraszam cię za moją rolę w tym wszystkim – powiedział gdzieś blisko Gil. Poczuła delikatny, ciepły dotyk na czole.

Lore nie wiedziała już, czy oczy ma otwarte, czy też zamknięte. Jej ciało dryfowało gdzieś w dół, a umysł się uwolnił. Pojawiły się w nim kolejne słowa Gila. Wyraźniejsze, wypowiedziane głębszym głosem. *Oczy bogów są zwrócone na ciebie.*

Przycmione światło pochodni zgasło, ale Lore wciąż czuła ich obecność przy sobie.

Zostańcie ze mną, błagała zdesperowana. *Zostańcie... Nie zostawiajcie mnie...*

Cienie owinęły się wokół niej, a kiedy myśli zamieniły się w popiół i świat zniknął,
wreszcie przestała się bać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY



BICIE SERCA ODNALAZŁO JĄ W CIEMNOŚCIACH.

Lore podążyła za jego dźwiękiem w ten sam sposób, w jaki Orfeusz spoglądał na światło nad sobą, kiedy usiłował wyprowadzić Eurydykę z Zaświatów. Wiedziała, że jeśli obejrzy się do tyłu, próbując dojrzeć twarz czającego się za nią chłodu, będzie zgubiona.

Dryfowała więc ku rosnącemu ciepłu. Ku znajomej mocy otaczającej jej zmysły.

Jej powieki zasnuwał brud, ale zmusiła się do ich otwarcia.

Castor miał zamknięte oczy. Zadarł głowę, ukazując ostrą linię szczęki.

Jego moc pulsowała dookoła nich, wypalając mroki tunelu. Stojąca woda zamieniała się w gęstą mgłę unoszącą się w powietrzu.

Okrył jej nogi i podniósł z nieprzyjemnie zimnej ziemi. Jedną ręką objął jej ramiona i podtrzymał ją, a drugą przytknął do miejsca, które rozcięło ostrze.

Łzy płynęły jej po twarzy, ściekały po włosach. Uniosła głowę i spojrzała na niego. Miała wrażenie, że przez jej ciało przenika powietrze i światło słoneczne, zbyt delikatne, żeby płynąć. Castor zaś prawie nie oddychał.

Wyciągnęła wolną rękę i przesunęła palcem po jego policzku. Musnął dłonią jej piersi, tuż obok jej bijącego, śmiertelnego serca.

Ich spojrzenia się spotkały. Castor się nie odezwał. Zresztą nie musiał nic mówić. Jego twarz zawsze przypominała jej księgę napisaną tylko dla niej. Opisana na jej kartach historia wciąż się toczyła. Castor patrzył, jak Lore go obserwuje.

Ale kiedy łagodne, odurzające dotknięcie jego mocy ponownie ją przeszło, sklejjąc skórę i naprawiając kość, zaczęła sobie wszystko przypominać.

Wstyd wymieszał się z zaskoczeniem i gniewem. Znów zaczęła płakać, tym razem jeszcze mocniej. Bo nie przejrzała Ateny. Bo niemalże opuściła ten świat i wszystkich, których kochała.

Bo popełniła kiedyś błąd, którego nie da się naprawić. A jego koszt liczyło się w bezcennych życiach.

Spojrzała na otaczające ją ściany, ponownie szukając cieni. Najwyraźniej ulotniły się, kiedy pojawiło się światło Castora.

Odgarnął włosy z jej mokrych policzków, poprawił loczki wokół uszu. Chciała opowiedzieć mu, co się wydarzyło, wytłumaczyć się, ale wiedział już wszystko. Tak jak ona z łatwością czytała jego, tak on zawsze wiedział, co trapi ją.

– Byłaś lodowata – szepnął, po czym na chwilę zamilkł. – Nie wiedziałem... nie byłem pewien..

Oparła czoło o jego ramię.

– W porządku. To miła odmiana. Nasze spotkania z reguły sprowadzają się do walki.

– Nie zawsze – odpowiedział. – Czasami ścigaliśmy wspólnych wrogów.

– Różnorodność – stwierdziła. – Sedno morderczych pojedynków.

Castor wypuścił powietrze z płuc i odsunął się, żeby zbadać ranę na jej nodze. Zobaczył nową, różową skórę. Lore uniosła dłoń, dotykając żeber.

Szkoda, że nie miałaś odwagi, żeby wbić sobie ostrze w serce.

– Hej – szepnął. – Nadal cię boli?

Pokręciła głową. Zastanawiała się, jak opowiedzieć mu o tym, co się wydarzyło.

– Popęłniłem błąd, zostawiając cię z nią. Uznałem po prostu, że to jedyny sposób, żeby przemówić ci do rozumu... Mimo to nie powinienem tego robić – dodał i ciężko westchnął. Znowu zamknął oczy, ale kiedy je otworzył, dostrzegła w nich chłodny cel.

– Zabiję ją!

Powiedział to cicho, zwyczajnie, ale bez wahania. Zazwyczaj nie przybierał takiego tonu.

– Nie mów tak – zaprotestowała.

– Za to, co ci zrobiła... – zaczął.

– Nie – powtórzyła ochryplym głosem. – To moja wina.

Lore dostrzegła moment, w którym Castor zorientował się, co miała na myśli. Jego szok szybko zamienił się w przerażenie.

– To wszystko ona – szepnęła. – Przez cały czas... To ona ich zabiła.

– Ale dlaczego? Dlaczego ich, a nie inne rody?

– Przeze mnie – stwierdziła Lore. – I przez to, co zrobiłam podczas poprzedniego Agonu.

Castor spojrzał na nią pytająco. Czekał na wyjaśnienia.

– A ja myślałam... gdybym mogła powstrzymać Atenę i wyeliminować ją z Agonu... gdyby nikt nie mógł już dobyć egidy... – dodała i pokręciła głową. – Wiążąca nas przysięga nie była prawdziwa.

Castor sięgnął po jej rękę i delikatnie pocałował jej zrogowaciałą dłoń. Pograżał się w myślach, w miarę jak jego moc stopniowo słabła.

– A czy gdyby była prawdziwa, nie przejęłabyś jej mocy? – zapytał w końcu.

– Nie – odpowiedziała. – Przynajmniej według legend. Myślę, że musiałabym pchnąć ją ostrzem, ale byłam... byłam w kiepskim stanie.

Zacisnęła pięść na samo wspomnienie tej chwili.

Kiedy nerwy się obudziły, a myśli wyostrzyły, nagle przypomniała sobie pierwsze pytanie, które chciała mu zadać.

– Jak mnie znalazłeś?

– Twój telefon – powiedział.

Lore spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Miles włączył jakiś... tryb śledzenia przyjaciół – stwierdził, robiąc niepewną minę. – Najwyraźniej zaakceptował twoją prośbę o udostępnienie lokalizacji. Po powodzi spotkaliśmy się przy waszym domu i spędziliśmy większość dnia na szukaniu ciebie. Twoja komórka zgłosiła się pół godziny temu. Van i Miles poszli spotkać się z Achillesydami, by załatwić dla nas jakieś bezpieczne schronienie.

A ty przybiegłeś tutaj, pomyślała z wdzięcznością. Przyszędłeś mnie odnaleźć.

– Milesowi nic nie jest? – wyszeptała. – I co z tobą?

– Wszyscy mają się dobrze – zapewnił.

Uniosła się na tyle, żeby wyciągnąć telefon z tylnej kieszeni. Ekran pękł, ale informacje o nieodebranych połączeniach i nadesłanych wiadomościach wciąż dało się odczytać. Spanikowany Miles przesłał jej cały zestaw SMS-ów.

Jesteś tam? Po prostu daj znać, że wszystko OK.

Drżącymi rękami zaczęła stukać w telefon, próbując mu odpisać.

Wszystko OK. Napiszę, gdy będę bezpieczna.

Odpowiedź przyszła niemal momentalnie, a jej telefon zawibrował i wydał z siebie znajomy, wysoki dźwięk.

Ding.

Cool. Wyślę nowy adres.

Ding.

Będę tam za 2 godziny. Musiałem skołować łódź.

Ding.

Co się z tobą działo?

Dzwonki wietrzne. Naprawdę słyszała ich dźwięki. To nie były omamy słuchowe. Ale czy...

Czy wszystko inne też było prawdziwe?

Rozejrzała się tylko po to, żeby uświadomić sobie, że znajduje się zaledwie kilka kroków od drabiny prowadzącej na ulicę. Głębiej pod ziemią, zwłaszcza w celi, nie miała zasięgu.

Castor podążył za jej wzrokiem w głąb tunelu.

– Tam gdzie znajduje się ciało Dawczyni Przyptywów – poinformowała go niepewnie Lore.

Wiedziała, że śmiertelne szczątki znikną wraz z zakończeniem cyklu, ale uznała, że bogini nie zasłużyła na taki koniec.

Jej przyjaciel skinął głową.

– Zajmę się tym – powiedział, pomagając jej wstać.

Potem ruszył w głąb krętego tunelu i po chwili zniknął za pierwszym zakrętem. Lore oparła się o ścianę, wyobrażając sobie złoty blask jego mocy zamieniający ciało Dawczyni Przyptywów w popiół. Usłyszała jego kroki wcześniej, niż się spodziewała. Wrócił, rozpryskując to, co zostało ze stojącej wody.

Potrząsnął głową.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem...

– A ja mam nadzieję, że już nigdy czegoś takiego nie zobaczę – odpowiedziała Lore. – Opowiem ci wszystko, ale nie tutaj.

– Niech i tak będzie – westchnął Castor i podszedł do drabiny. – Pójdę przodem, na wypadek gdyby ktoś czał się na gorze. Cofnij się. Powierzchnia jest jeszcze trochę zalana.

Kłapa otworzyła się z jękiem i przyćmione światło wlało się wraz z wodą do środka. Lore odwróciła się, pozwalając jej wypełnić tunel wokół swoich stóp.

– Czysto – zawołał Castor. – Gotowa?

Skinęła głową. Trzymała pierwszy szczebel, aż ręce przestały jej drżeć. W zagojonej nodze pojawił się tępy ból, ale zniknął, kiedy chwyciła następny szczebel i krok po kroku zaczęła się zbliżać do Castora i do ognistego zachodu słońca, który go ukoronował.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY



NOWY ADRES DOSTALI OD MILESZA, KIEDY PRZEDZIERALI SIĘ PRZEZ WODY powodziowe i zapory otaczające Central Park, brnąć ku zachodniej części Manhattanu. Mieli dotrzeć do pustych biur usytuowanych nad zabitym dechami sklepem, położonym nieopodal Lincoln Center.

Castor stopił zamek w drzwiach, a następnie je wyważył. Kiedy weszli do środka, starannie je zamknął i zablokował. Lore się rozejrzała. Sądząc po pieczęci miasta wyrytej na szybie, pomieszczenie odnowiono z myślą o siedzibie jakiegoś urzędu. To przypuszczenie potwierdzały zapach świeżej farby oraz folia ułożona na klatce schodowej. Na górze znaleźli pusty *open space* – przy zaklejonych papierem oknach rozciągających się od podłogi do sufitu stały: stolik z krzesłami oraz kanapa.

Opuszczony, pozbawiony ochrony budynek stanowił idealny wybór – a wszystko to dzięki Milesowi. Informacje na temat tego miejsca zdobył podczas stażu. Lore miała nadzieję, że wkrótce pojawi się razem z Vanem. Chciała na własne oczy przekonać się, że nic im się nie stało.

Castor ściągnął folię z kanapy i zaprowadził do niej Lore. Dziewczyna usiadła. Czuli się wyczerpani. Nadciągnęła noc, a prądu wciąż nie było. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do otaczającej ją ciemności. Nowy bóg zacisnął dłoń w pięść, emitując wokół niej słabą poświatę.

– Bardzo imponujące, dryblasie – rzuciła.

– Coraz lepiej kontroluję swoją moc – stwierdził. – Teraz mogę ustawić ją na trzydzieści procent, zamiast od razu walić setką.

Jej uśmiech zgasł, kiedy obserwowała, jak Castor rozgląda się po kuchni, a potem znika na zapleczu. Przyjaciel wrócił, na ramieniu niosąc dwulitrową butelkę wody, a pod pachą paczkę brązowych ręczników papierowych, najwyraźniej po to, aby mogli się umyć.

Uklęknął przed Lore, zwilżając część ręczników. Uniósł jej rękę, leżącą do tej pory na kolanach, i w skupieniu zaczął zmywać z niej szlam, brud i krew. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zmarzła, dopóki ponownie nie poczuła ciepła jego dłoni. Próbowwała mu pomóc, podnosząc ramię, kiedy podwijał jej koszulę, ale ciało nie chciało jej słuchać.

Po raz pierwszy od wielu dni poczuła się na tyle bezpieczna, żeby nie ukrywać bólu i zmęczenia.

Teraz to widzę, pomyślała.

Atena powoli, za to metodycznie ją zmanipulowała. Każda sugestia bogini miała na celu oddzielenie jej od ludzi, którzy mogli rozpoznać problem i pomóc Lore uwierzyć w siebie. Tylko w siebie.

Castor posłał jej delikatny, uspokajający uśmiech. Sięgnął po nowy ręcznik papierowy i zaczął ostrożnie usuwać ciemne plamy ze złamanego przez Atenę ramienia, które skutecznie wyleczył. Lore obserwowała go, czując, że za chwilę jej serce eksploduje.

Bogini nie była śmiertelna i patrzyła na świat inaczej niż zwykli ludzie. Dla jej racjonalnego umysłu emocje wydawały się balastem, ale nawet ona rozumiała zagrożenie związane z bliskością innych. Jedną osobę łatwo jest bowiem kontrolować. Gorzej, jeśli otaczają ją bliscy. Wtedy na pewno będą starać się ją chronić.

Nawet teraz każda komórka ciała Lore chciała zejść po schodach i wyjść z nożem na

miasto, by poszukać boga, który według niej powinien spłonąć niczym gwiazda. Impuls ten atakował ją ze wszystkich stron, a ona cała trzęsła się, pozostając jednak w miejscu.

Castor dotknął świeżym ręcznikiem jej szyi, a kiedy zmoczył zimną wodą krzywiznę jej żuchwy, przez jego twarz przemknął niepokój. Lore zastanawiała się, czy Atena i ją złamała. Czy ból pozostałych części ciała nie sprawił przypadkiem, że nie czuła pękniętej szczęki?

Castor pstryknął jej wodą w policzek, wyrывая Lore z zamyślenia. Zaśmiała się ostrożnie. Ku jej zaskoczeniu skupił teraz uwagę na jej włosach. Przeczesał wilgotnymi palcami kołtuny na tyle delikatnie, na ile był w stanie, potem zaplótł je w warkocz i przerzucił przez ramię. Nie miał czym go związać.

W końcu spojrzał na jej rozdartą koszulkę, sztywną od zaschniętej krwi w miejscu, w które wbiła sobie ostrze.

Lore obiema rękami dotknęła jego przedramienia. Chciała, żeby się skupił.

– Muszę cię przeprosić – powiedziała.

Potrząsnęła głową.

– Lore, naprawdę...

– Przepraszam za to, jak cię traktowałam – kontynuowała. – I że nie od razu zgodziłam się pomóc ci odnaleźć Artemidę, choć wiedziałam, jak bardzo chcesz z nią porozmawiać. A przecież obiecałam, że pomogę ci odkryć, co się wtedy stało.

– Nie szkodzi – szepnął.

– Nie – przerwała mu. – Właśnie, że szkodzi. Jeśli przez większość mojego życia byłam czegoś pewna, to przede wszystkim tego, że stoisz po mojej stronie. I że mogę ci zaufać.

Zaczerpnęła powietrza.

– Powiedziałeś wcześniej coś, czego nie zrozumiałam – dodała. – A przynajmniej znaczenie twoich słów do mnie nie dotarło. Teraz już wiem, dlaczego chciałeś wiedzieć, jak zabiłeś Apolla. Żeby zrozumieć powody tej decyzji. Potrzebowałeś uzasadnienia. Nie chciałeś, żeby się okazało, że po prostu wykorzystałeś okazję.

Jej palce krążyły dookoła miękkiej skóry po wewnętrznej stronie jego dłoni. Gładziły ją.

– A przecież myślałam podobnie – powiedziała. – Powtarzałam sobie, że nie wierzę w moją, ale tak naprawdę miałam nadzieję, że one jednak istnieją. Że stoją za tym wszystkim, co się wydarzyło. Nie chciałam, żeby się okazało, iż moja rodzina zginęła przeze mnie.

– Co? – szepnął.

– Winiłam Agon. Winiłam Aristosa Kadmou i Kadmitów. A powinnam była spojrzeć na siebie. To... – Lore miała wrażenie, że wyrывa sobie te słowa z serca. – To była... To była moja wina.

– Wcale nie – zaprotestował Castor. – Rozumiem, że czujesz się winna, ale...

Potrząsnęła głową, choć coś ścisnęło ją za gardło.

– To była moja wina, Cas. Moi rodzice wrócili z Agonu i oświadczyli, że rezygnujemy z polowań. Że wyjeżdżamy z miasta. Nie potrafiłam... Nie mogłam tego zrozumieć. Sądziłam, że są słabi, że tchórz, ale...

Castor wydał z siebie cichy odgłos, wiedząc już, dokąd zmierza jej opowieść.

– Wiedzieli, że Aristos został bogiem. Podejrzewali, że będzie chciał ukarać mojego ojca za to, że nie oddał mnie Kadmitom – kontynuowała Lore. – Wiedzieli też, że nadal nie może nosić egidy i że znajdzie sposób, żebyśmy używali jej w jego imieniu. Albo przekazali mu ją z własnej woli. A przecież facet nie powinien dysponować tą tarczą! Ona należała do nas! Sądziłam, że kiedy rodzice ją odzyskają, zrezygnują z wyjazdu.

– Więc posłaś po nią – szepnął zaskoczony Castor. – Zwinęłaś mu ją!

Skinęła głową, chwytając go za ramię. Potrzebowała czegoś stabilnego, zanim pochłonie

ją fala żalu i rozpacz.

– Zwinęłam. Byłam tylko głupim dzieckiem, które wierzyło, że jest przeznaczone do wyższych celów. Chciało zrobić coś wyjątkowego.

– To wcale nie było takie głupie – odpowiedział. – Zresztą tak nas wychowano. A wychowanie ma na nas ogromny wpływ.

Kiwnęła głową, niepewnie nabierając powietrza do płuc.

– Kiedy buchnęłam im egidę, byłam taka... podekscytowana. Dumna z siebie. – Wspomnienie tej chwili przepełniło ją wstydem. – Ale potem uświadomiłam sobie, jak bardzo Kadmici przewyższają nas liczebnością. Jaka będzie kara za kradzież. Jak okrutny był Aristos Kadmou dla mojego ojca... Pomyślałam, że odniosę mu ją z powrotem. Oddam mu ją i poproszę, żeby to mnie ukarali. Nie mojego ojca, nie moją matkę, nie Damarę czy Olympię. Tyle że... nie mogłam tego zrobić. Nie potrafiłam oddać im naszego dziedzictwa. Ukryłam więc tarczę w miejscu, w którym na pewno by jej nie szukali.

Całe jej ciało drżało. Musiała zmusić się do kontynuowania opowieści.

– Wtedy nastał już poranek. Parę godzin wcześniej Agon dobiegł końca.

– Potem wróciłaś do domu – powiedział cicho.

– Potem wróciłam do domu. – Lore pokiwała głową. – I... znalazłam ich.

Jej oczy zapłonęły. Dotknęła powiek palcami.

– Pomyślałam, że Kadmici przejrzeni nagrania z kamer monitoringu i poprosili nowego boga o pozwolenie na zabicie mojej rodziny poza Agonem. Jakaś część mnie zawsze wiedziała, że potrzebowaliby na to więcej czasu, ale wierzyłam, że to ich вина. Jego. Ich wszystkich. Tymczasem stała za tym Atena. To była ona.

– To nie twoja вина – powiedział z przekonaniem Castor. – Byłaś wtedy dzieckiem. Nie mogłaś wiedzieć...

Lore zaczęła płakać. Łzy ściekały po jej policzkach.

– Musieli straszliwie cierpieć. Dziewczynki z pewnością były przerażone... Nie mogę przestać o tym myśleć. Martwię się, że pewnego dnia będę pamiętać tylko ich cierpienie... Kiedy zapomnę ich twarze, ich głosy...

Wszystko, co posiadała jej rodzina, zostało zniszczone. Zdjęcia, papiery, pamiątki. Nie zostało nic.

Castor pochylił się do przodu, obejmując ją ramionami. Wtuliła się w niego, nie słuchając deszczu bębniącego o szyby.

– W ciągu ostatnich kilku dni nieraz okłamywałam cię w sprawie egidy – stwierdziła. – Okłamywałam was wszystkich. Powtarzałam sobie, że dopóki Gniewny nie odnajdzie tarczy, nie zrealizuje swoich planów. Ale gdybym postanowiła po nią pójść, zrobiłabym wszystko, żebyś jako jedyny poznał treść wiersza. Chciałam, żebyś wygrał polowanie i uciekł z Agonu. A jednak niemalże poszłam po egidę i prawie oddałam ją Atenie. Tak bardzo chciałam śmierci Gniewnego.

Spojrzała na niego.

– Myślisz, że mnie znienawidzą? – zapytała drżącym głosem.

Castor potrząsnął głową, dotykając ustami jej czoła.

– Nie sędzę – odpowiedział zdecydowanie. – Kochają cię. Zawsze cię kochali.

Łzy znów pociekły jej po policzkach. Chciała mu wierzyć.

– Powinnam była przynieść ci tę tarczę, ale nie mogłam. Nie byłam w stanie po nią pójść.

Dziedzictwo, którego tak bardzo pragnęła, zniszczyło jej dawne życie.

– Żadne z nas nie może zmienić tego, co się stało – szepnął. – Chciałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej. W ciągu ostatnich siedmiu lat marzyłem o tym z tysiąc razy. Twoi rodzice chcieli opuścić Agon, żebyś była bezpieczna. Szczęśliwa. I wciąż masz na to szansę. A oni

pewnie wciąż na to liczą.

Jeszcze mocniej przytuliła się do niego. Nie chciała wyobrażać sobie swojej rodziny uwięzionej za jej czyny w szarym mroku Zaświatów. Odetchnęła zapachem przyjaciela i ponownie zamknęła oczy. Czekala, aż ból w klatce piersiowej i głowie ustąpi...

– Jednego nauczyłem się w tym tygodniu – zaczął po chwili Castor. – Kiedy nie możemy zmienić przeszłości, powinniśmy ruszyć do przodu. Ja też muszę. Muszę przestać wypierać się daru pozwalającego mi chronić ludzi, na których naprawdę mi zależy.

Lore się cofnęła.

– Zaslugujesz na to, żeby się dowiedzieć, jak to się stało...

– Samolubny bóg nie jest nikomu potrzebny – stwierdził. – Czy... kim tak naprawdę jestem.

– Jeśli zechcesz, nie będziesz samolubnym bogiem – powiedziała.

– Tutaj się mylisz. Ja też nie byłem z tobą całkowicie szczery – wyznał. – Nie pamiętam, jak zginął Apollo, ale wiem, co wydarzyło się chwilę wcześniej. O tym, co stało się później, rzeczywiście nie mam pojęcia. Pamiętam dopiero moment, w którym ocknąłem się i uświadomiłem sobie, że nie mam ciała, a moje dawne życie dobiegło końca.

Ból w jego głosie sprawił, że Lore zakłuło serce.

– Na początku go nie widziałem. Jak mało kto potrafił bawić się światłem i cieniami – powiedział Castor i zaczerpnął powietrza do płuc. – Byłem wtedy przykuty do łóżka, na granicy życia i śmierci. Dom Tetydy opustoszał, bo trwało polowanie, a mój ojciec wyszedł załatwić jakieś sprawy. Nagle ocknąłem się i zobaczyłem Apolla. Stał po drugiej stronie mojego łóżka.

Zaskoczona Lore rozchyliła usta.

– Wyglądał... – Urwał. – Był skąpany we krwi. Z boku miał olbrzymią ranę.

– Co zrobiłeś? – zapytała. – Nie miałeś przy sobie broni.

Castor pokręcił głową i podniósł dłonie, żeby na nie spojrzeć.

– Nie miałem. Zapytałem go więc, czy potrzebuje pomocy.

Lore wpatrywała się w niego.

– Wiem. W sumie zabawny widok. Dwunastolatek, który sądzi, że może pomóc bogu! – zaśmiał się cicho. – Powinienem być przerażony, przecież przez te wszystkie lata uczono nas ich nienawidzić. Jednak kiedy go zobaczyłem, pomyślałem, że jest chory. Zobaczyłem w nim, w jego twarzy i oczach, coś, co wielokrotnie widziałem w lustrze. Był aniatos, tak jak ja.

Aniatos. Nieuleczalnie chory.

– Zapytał mnie, jak się nazywam. Roześmiał się, słysząc odpowiedź. Miał koszmarny śmiech, niczym trąbka sygnałowa. A jednak coś mnie do niego ciągnęło. Trochę... trochę jak wtedy, kiedy wszyscy powtarzają ci, że nie wolno patrzeć prosto na słońce, a jednak coś każe ci spróbować – powiedział Castor. – Zapytał mnie też, dlaczego zaproponowałem mu pomoc. Stwierdziłem, że wygląda, jakby potrzebował odpoczynku.

Spojrzał na Lore.

– Nic więcej nie pamiętam. Chciałbym mieć lepszą historię do opowiedzenia. Żałuję, że nie mogę dodać, iż byłem silny i odważny, że zasłużyłem na tę moc. Możliwe, że nigdy nie będę mógł tak powiedzieć, i ta myśl mnie dobija. Wiele bym dał, żeby udowodnić ci, że jestem jej godzien.

– Mnie nie musisz niczego udowadniać – szepnęła Lore. – Dlaczego niby miałbyś?

Castor odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Na jego twarzy malował się lekki uśmiech. Oczy płonęły jednak mocą i tym dzikim, niepohamowanym uczuciem, które ją również obezwładniało.

– Czy to nie oczywiste? – zapytał cicho. – Chciałem być godny ciebie.

– Godny mnie? – powtórzyła. Wypowiadała słowa zbyt szybko, zbyt nieporadnie, zbyt ostro. Nie chciała tego. Nie tym razem. – Cas...

– Lore – powiedział tym samym, miękkim tonem. – Przez całe życie umiałem jedynie trzy rzeczy: oddychać, marzyć i kochać cię.

Zadrżała. Jej oddech stał się płytki, równie lekki i szybki jak puls, który płał w jej żyłach.

Jak to odkrył? Jak przekazywało się tego typu rzeczy? Czuła się, jakby zdejmowała zbroję, odkładała na bok ostrza, odsłaniała najbardziej wrażliwe części swojego ciała. Jego wyznanie sprawiło, że odkryła w sobie poczucie nieuchronności, które przeplatało się przez wszystkie ich wspólne chwile, dawne i obecne. Które przyciągało ją do niego, jakby byli ze sobą związani.

Łzy spływały jej po twarzy, skapywały z policzków. Zawsze była dziewczyną o trudnych do odgadnięcia uczuciach, o włosach mierzwionych wiatrem podczas biegu przez miasto. Ale przecież Castor zawsze był tym chłopakiem, który biegł obok niej.

– A słyszałaś kawał o żółwiu na Broadwayu? – zapytał cicho, dotykając palcem jednej z łez.

Lore zrezygnowała ze słów i pocałowała go.

Odetchnął gwałtownie, kiedy jej usta niepewnie dotknęły jego ust. Cofnęła się, ujmując jego twarz w dłonie. Przyglądała jej się, wpatrywała w jego jasne, płonące oczy. Zastanawiała się też, czy będzie to ich ostatni pocałunek i czy cokolwiek miało znaczenie, kiedy byli razem, tu i teraz, a coraz silniejszy wiatr grał melodie wśród ulic ich miasta.

Castor objął ją w talii, ostrożnie okrywając ciepłem swojego ciała. Pochylił głowę i odnalazł jej usta, muskając je swoimi. Uśmiechniętymi, gdyż było to wyzwanie.

A czy kiedykolwiek nie podjęła wyznania?

Znów go pocałowała. Ich usta spotkały się i zaczęły poruszać w tym samym rytmie, dotyk za dotykiem. Lore zatraciła się w tym uczuciu, unosząc się i opadając przy każdym ruchu, poruszając się do przodu i do tyłu. W parku działała instynktownie, poddając się przyciąganiu, ale tu... robiła to świadomie.

Całowała się już z chłopakami. Niemal zawsze pijana i po ciemku, pozwalając alkoholowi odciąć ją od emocji, których nie chciała czuć, i rzeczy, o których nie chciała pamiętać. To, co wydarzyło się tamtej nocy w domu Odyseidów, przypominało fantomową falę, która wdzierала się do jej umysłu i ustępowała, zostawiając za sobą piasek. Czasami potrafiła przez całe tygodnie nie myśleć o przeszłości, kiedy indziej były to tylko pojedyncze dni lub wręcz godziny. Fale zawsze jednak wracały, odłączając ją od ciała, o którego wzmocnienie tak bardzo walczyła, i przynosząc duszące poczucie bezsilności.

Może zawsze będą częścią niej, ale nauczyła się już, jak je omijać i samodzielnie podejmować decyzje. Teraz, przy Castorze, nie czuła się już bezsilna. Triumfowała. Zupełnie jakby wszystkie części jej ciała nagle połączyły się i nabrały siły.

Jego miękkie usta ocierały się o jej wargi, wyłapywały ostatnie łzy. Pod wpływem jej ponagleń pocałunki stawały się coraz bardziej natarczywe, intensywniejsze. Nie wystarczały jej. Chciała dotykać go wszędzie, stopić się z tą kałużą ciepła w jej ciele, którą nazywano pożądaniem, i czuć ten delikatny ból w sercu, który zwał się miłością.

Odrzucił ich od siebie grzmot. Lore cofnęła się, lecz Castor zatrzymał się jeszcze na chwilę, przesuwając dłonie po jej ramionach, chłonąc dotyk jej skóry.

Przytuliła twarz do ciepłego łuku jego barku, wdychając jego zapach. Jej dłoń powędrowała wzdłuż jego klatki piersiowej do miejsca, w które został postrzelony.

– Co się z tobą stanie po Agonie? – szepnęła.

Poczuła, że się uśmiecha.

– Będziesz za mną tęsknić, złotko?

– Być może lubię mieć cię w pobliżu – odpowiedziała. – Jesteś przyjemny dla oka.

Kusiło ją, żeby pozostać tam na zawsze, wsłuchując się w burzę, wyobrażając sobie inne życie. Ale kiedy grzmot ponownie przetoczył się po niebie, podjęła decyzję.

– Wybieram się do Fenicjanina – oświadczyła. – Chcesz mi towarzyszyć?

Uniósł brwi.

– Dawna siedziba Kadmitów? Po co?

– Ponieważ zostawiłam tam coś, co wreszcie powinnam odebrać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY



– NIE MOGĘ POWIEDZIEĆ, ŻEBY TO MIEJSCE NIE ZMIENIŁO SIĘ... NA LEPSZE.

Lore spojrzała na Castora i cicho zachichotała.

– Przychodząc tutaj, poczułam odrobinę nostalgii.

Dzień po pamiętnym spotkaniu jej ojca z Kadmitami Lore wróciła razem z Castorem na osiedle Murray Hill, żeby przyjrzeć się Fenicjaninowi. Wspięli się po schodach przeciwpożarowych na dach budynku znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy. Dokładnie tak, jak teraz. Wtedy jednak Lore nie przyznała się przyjacielowi, w jaki sposób dowiedziała się o istnieniu tej kryjówki – stwierdziła tylko, że wybierają się na własne polowanie.

Kiedy Kadmici sprzedali nieruchomość, powstał tu butik z odzieżą sportową, który z czasem zamknęto. Kilka miesięcy później budynek zaatakowały szczury, które potraktowano trutkami. Teraz przygotowywano do otwarcia arabską restaurację. Ot, zwykły krąg życia w Nowym Jorku.

Spojrzała na Castora, na jego oszałamiający profil na tle wieczornych chmur. Powietrze nabrało ciepłego, sennego charakteru, gdyż na zabudowania zaczęła już opadać nocna wilgoć. Gdyby nie zapach zatęchłej wody i zgnilizny, mogłaby pomyśleć, że wciąż śni.

Po śmierci Dawczyni Przyptywów wody powodziowe powoli opadały. Według Lore miasto zaczynało wyglądać tak, jakby zostało namalowane akwarelami – wszędzie widziała zmiękczzone krawędzie i nierówne plamy kolorów.

Lore podniosła się z miejsca tuż przy krawędzi dachu, gdzie leżała na brzuchu, i po raz ostatni przyjrzała się sąsiednim budynkom. Zbliżała się północ i początek piątego dnia Agonu, lecz w okolicy nie było ani nowojorczyków, ani – jak sądziła – łowców.

Castor również wstał, mrucząc coś pod nosem. Jego włosy kręciły się i lśniły w wilgotnym powietrzu.

Wyglądał cudownie. Odkąd Lore dowiedziała się, kim się stał, intensywnie zastanawiała się, ile zostało w nim z dawnego Castora – jakby lata rozłąki nie miały wpływu na nią samą. Zapytała kiedyś ojca, czy zdobycie mocy boga oznacza przejęcie boskich przekonań i charakteru, a nawet wyglądu.

Moc cię nie zmienia, odpowiedział. A jedynie ujawnia prawdę o tobie.

Z tego, co widziała, nieśmiertelność cofała zegar biologiczny starszych łowców, którzy po nią sięgnęli. Przywracała ich do czasu fizycznego rozkwitu i nasycala poczuciem władzy, dawała piękno i siłę. Nie mogła jednak dać im tego, czego wcześniej nie mieli.

Podobnie było z Castorem. Moc podsyciła dobro kryjące się w jego sercu. Za każdym razem, kiedy spoglądała mu w oczy, dostrzegała te wszystkie jego cechy, które dawno już pożegnała. Rzeczy, których miała już nigdy nie odzyskać.

Rozmyślanie o tym okazało się bolesne.

– Muszę przyznać – powiedział Castor – że trochę mi go brakuje.

Przez chwilę Lore nie wiedziała, o kim mówi.

– Kiedy byliśmy tu ostatnim razem, wyobrażałem sobie, jak nieco starsi zakradamy się do baru pod nosem Kadmitów i zamawiamy po drinku – wyjaśnił. – Pamiętasz tę maskę z symbolem

węza, którą powiesili w oknie?

– Tę, która rzekomo należała do Damena Kadmou? – zapytała Lore. Damen był pierwszym nowym Dionizosem. – Owszem, a co?

Castor lekko się uśmiechnął.

– Wyobrażałem sobie, że ukradniemy ją i zweryfikujemy, czy historie są prawdziwe. No wiesz, czy rzeczywiście w jej wnętrzu widać ślady jego krwi.

– Jako dziecko naprawdę miałam na ciebie zły wpływ – oświadczyła.

Castor mrugnął do niej i Lore się zarumieniła. Odwróciła głowę, żeby nie zobaczył różu rozlewającego się na jej policzkach. Położyła się tuż obok niego i delikatnie musnęła palcami betonową krawędź, której się trzymał. Przesunął dłoń, chwytając małym palcem jej palec.

– Naprawdę o tym myślałeś? – zapytała cicho. – O nas razem?

W tamtych czasach umysł Lore zaprzętała głównie myśl o podpaleniu tego miejsca i obserwowaniu, jak Kadmici uciekają niczym szczury ze swoich mrocznych norek, co prawdopodobnie nie było normalne u dziesięciolatki.

– To było głupie, wiem – odpowiedział. – Biorąc pod uwagę to, jak mało zostało mi czasu. Ale nawet wtedy uważałem cię za niezwykłą. Stanowiłaś wentyl bezpieczeństwa. Byłaś kimś, w kim mogłem pokładać swoje nadzieje.

Rozchyliła usta, aż wypełniło ją nagle zrozumienie. Nie wiedziała, jak zareagować, dlatego ponownie wyjrzała na ulicę.

– Chodźmy, dryblasie – rzuciła, podnosząc się. – Mam nadzieję, że wciąż tam jest...

Zeszli schodami przeciwpożarowymi na poziom ulicy. Lore starała się zachować czujność. Nawet przechodząc na drugą stronę, trzymała dłoń na ostrzu.

Bramę przed chodnikiem prowadzącym na dziedziniec za starą restauracją blokowały worki na śmieci i poprzewracane rusztowania. Castor z łatwością urwał kłódkę.

Brudna woda obmywała im kostki. Smród śmieci przeniósł Lore w czasie – do tego samego miejsca, tyle że siedem lat wcześniej.

Obmacała mokrą ziemię dziedzińca, kierując się w stronę materiałów budowlanych. Strach przemknął od jej zimnych knykci aż po kark.

Gdzie to jest?

– Coś nie tak? – zapytał Castor.

– Odpływ... – zaczęła, ale w tym samym momencie zauważyła, jak woda spływa w stronę sterty sklejek ustawionej pod ścianą restauracji. – Możesz mi pomóc? Musimy je jakoś odsunąć.

Szybko się uwinęli z tym zadaniem. Kiedy odłożyli na bok ostatni kawałek drewna, woda wokół stóp Lore przyspieszyła, spływała przez zardzewiałą kratę do kanału burzowego.

Dziewczyna próbowała ją podważyć, metalowy dekiel jednak ani drgnął.

– Mógłbyś zrobić coś więcej, niż tylko stać i się wdzięczyć? – zapytała, spoglądając na Castora.

Udał, że podwija rękawy. Ten gest uwydatnił jedynie, jak mocno jego koszula przylega do ramion i klatki piersiowej. Kiedy Lore patrzyła, jak przyjaciel pochyla się i sięga po kratę, nic ciepła zakręciła jej się w brzuchu.

Chrząknął, poprawiając ustawienie nóg. Mięśnie jego ramion napięły się, kiedy szarpnął. Potem użył mocy, żeby rozgrzać zardzewiałą pokrywę. Po chwili odłożył ją z ulgą na bok.

– Jakim cudem ją wtedy odsunęłaś?

– Panika – odpowiedziała Lore, kucając przy otworze. Siła przepływającej obok wody niemalże wepchnęła ją do środka.

Dziewczyna przesunęła się i usiadła na krawędzi odpływu, żeby opuścić się w głąb.

– Zaczekaj – stwierdził nagle Castor dużo poważniejszym tonem. – Naprawdę chcesz tam zejść?

Otwór nie był głęboki. Ciemność sprawiła, że ciek kanalizacyjny wydawał się znacznie dłuższy niż w rzeczywistości. Woda wirowała, pędząc w dół ku większemu kanałowi. Było jej więcej niż poprzednim razem, mimo to Lore się nie bała.

Uniosła głowę, posyłając uspokajające spojrzenie wyraźnie zdenerwowanemu Castorowi.

Zamiast podążać wraz z nurtem, Lore przesunęła się na drugą stronę odpływu, mijając utworzony przez wodę wodospad. W miejscu, w którym rura stykała się ze ścianą piwnicy restauracji, znalazła niewielką wnękę. Zatrzymała się, wpatrując się w leżący tam ciemny worek na śmieci. Znajdował się dokładnie tam, gdzie go zostawiła.

Rozległ się cichy dźwięk przypominający szept. Po chwili usłyszała tysiące przekrzykujących się, melodyjnych głosów. Zachęcających ją do wykonania kolejnego ruchu.

Drgnęła i świat zamilkł. Moc przepalała worek, a kiedy go dotknęła, spod jej palców wystrzeliły iskry.

– Lore? – zawołał Castor

Otrząsnęła się z odrętwienia.

– Zaraz ci ją podam.

Walcząc z pędzącą wodą, wyciągnęła worek z wnęki i uniosła. Castor zacisnął na nim swoje dłonie i aż sapnął z zaskoczeniem, niemalże wpadając do odpływu.

– Co ty tu włożyłaś? – zapytał, z trudem wyciągając pakunek na górę.

– Bardzo zabawne – powiedziała Lore, kiedy przyjaciel pomógł jej się wydostać z kanału.

Przez chwilę siedziała, próbując uspokoić swój oddech.

– Mówię poważnie – oświadczył Castor i spojrzał oskarżycielsko na tarczę. – Musi ważyć z pół tony! Jak ty ją podniosłaś?

Lore zerknęła na niego nieufnie i rozwiązała węzeł spinający worek na śmieci. Następnie opuściła folię, odsłaniając krzywizną okrągłej tarczy z wtopionym w skórę wzorem przedstawiającym złote klucze.

Potem, wraz z kolejnym oddechem, zsunęła worek jeszcze niżej. Ze środka egidy patrzyła na nich zaciekle twarz Meduzy.

Pamiętam cię, wydawała się mówić.

Kiedy po raz pierwszy Lore ją ujrzała, zobaczyła potwora sprowadzonego do roli boskiego trofeum. Teraz, wpatrując się w niewidzące oczy Gorgony, dostrzegła samą siebie, odwzajemniającą spojrzenie.

Castor prawie nie oddychał.

– Wsadziłaś tarczę Zeusa do torby na śmieci?

– I ukryłam ją w kanarze burzowym – potwierdziła.

– Jak... – zaczął, ale reszta tego zdania uciekła przed zduszonym: – Ale czemu?

– Mówiłam ci – odpowiedziała. – Uznałam, że to jedyne miejsce, gdzie Kadmici nie będą jej szukać. Tuż obok tego, z którego ją zabrałam. No wiesz, trzymali ją po drugiej stronie piwnicznego muru...

Dotknęła krawędzi egidy, czując, jak delikatne drżenie przenika przez jej palce i przechodzi po ręce aż do serca.

Tarcza należała do niej. Tylko od niej zależało, w jaki sposób ją wykorzysta.

Castor milczał, ale czuła na sobie jego wzrok. Dotknęła palcami krawędzi miękkiej, zużytej już skóry wyściełającej wnętrze egidy. Wymacała niewielki zaczep i go odpięła. Zgodnie ze słowami Dawczyni Przypływów dostrzegła tekst wiersza zapisanego w starożytnym języku.

Castor westchnął cicho i przysunął się bliżej. Zerknął nad ramieniem Lore, odczytując

kolejne frazy.

– Jest niemal identyczny... – zaczęła.

Poza ostatnimi linijkami.

– „Tak będzie aż do dnia ostatecznego” – zaczęła, tłumacząc na bieżąco tekst. – „Kiedy pozostanie ten, kto odrodzi się w całości i wezwie mnie dymem z ołtarzy wzniesionych w czasie ostatecznego i przerażającego zwycięstwa”. – Spojrzała na zamyśloną twarz przyjaciela. – Wiesz, o co tu chodzi?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał Castor. – Ale nie podoba mi się to „ostateczne i przerażające zwycięstwo”.

– „Wezwie mnie...” – przeczytała ponownie Lore. – Atena wspomniała, że egidy można użyć do przywołania pioruna. Zastanawiam się, czy Gniewny nie chce zwrócić na siebie uwagi Zeusa. Planuje użyć do tego tarczy i liczy, że Gromowładny na własne oczy zobaczy go w akcji.

– Być może – zgodził się Castor i wziął głęboki oddech.

– Masz inny pomysł? – zapytała go Lore.

– Nie wiem... Teraz mam jeszcze więcej pytań. Wciąż nie wiem, czy rzeczywiście tylko jedno z nas może przeżyć – odpowiedział. – No i jak bóg może „odrodzić się w całości”, skoro nawet w swojej boskiej formie nie ma dostępu do pełni swoich mocy? No i czy tę czynność, o ile o czynności mówimy, może wykonać tylko jeden bóg i wtedy wygra Agon? A może wszyscy żyjący bogowie muszą zrobić to we własnym zakresie, uwalniając zarówno siebie, jak i swoich łowców?

Ta ostatnia myśl rozpałała w sercu Lore odrobinę nadziei, którą – jak błędnie sądziła – bezpowrotnie już utraciła. *Wolność*. Dla wszystkich.

Atena dostrzegła w niej pragnienie bycia kimś więcej. Lore oszukiwała się, sądząc, że będzie w stanie zapomnieć o mijającym tygodniu i wrócić do normalnego życia. Agon przypominał uzależnienie i dopiero jego prawdziwy koniec mógłby ją uwolnić – i nie tylko ją, ale też wszystkich łowców, którzy przez wielki walczyli i zabijali się w poszukiwaniu tego samego.

Nawet jeśli Castor trafiłby do królestwa bogów i ponownie by go straciła, to przynajmniej wiedziałaby, że żyje. Ból związany z uświadomieniem sobie zysków i strat sprawił, że Lore poczuła się, jakby ktoś wyrwał jej płuca z klatki piersiowej.

Z czasem pewnie by to zaakceptowała. Może nawet byłaby szczęśliwa, wiedząc, że Castor gdzieś tam sobie jest.

No, może nie szczęśliwa.

– Pozostaje żałować, że Zeus nie był trochę bardziej konkretny – jęknęła.

– O ile Agon miał być czymś więcej niż karą... – westchnął Castor i na chwilę zamilkł. – Zresztą nieważne. Nie mam pojęcia, o czym mówię. Pokażmy tekst Milesowi i Vanowi. Ciekaw jestem ich opinii...

Skinęła głową.

– Wiesz co? – zaczęła, gdyż nagle coś przyszło jej do głowy. – Atena zastanawiała się, czy to możliwe, żebyś był prawdziwym bogiem albo czymś innym, niż nam się wydaje. Czyli że w jakiś sposób pożyczasz sobie moc Apolla. Tylko że oznaczałoby to, że on wciąż żyje, nie uważasz?

– Artemida powiedziała coś podobnego – przypomniał sobie Castor. – Że mam jego moc, ale jestem inny... Tyle że nawet w swojej nieśmiertelnej formie podlegam tym samym ograniczeniom co inni bogowie. Nie dysponuję wszystkimi jego umiejętnościami, a jedynie tymi, których używałem.

Lore spojrzała na niego, wciąż się zastanawiając.

– Myślisz, że Apollo zrozumiał znaczenie tego wiersza i uciekł z Agonu? Może

potrzebował do tego twojej pomocy? A jeśli nie pamiętasz tego, bo Zeus chciał, żeby wszyscy bogowie sami rozwikłali tę zagadkę?

Castor wyciągnął ręce i spojrzał na nią.

– Więc dlaczego mam jego moc? Atena się nie myliła. Kiedy jej używam, czuję się, jakbym... zanurzał rękę w ciepłej rzece i czerpał z niej energię. Albo... jakbym miał w sobie świecę, ale mógł podsycać jej ogień tylko wtedy, kiedy po nią sięgnę. Ma to jakiś sens?

– Ma – zapewniła go Lore. – Strzępek dobrej wiadomości jest taki, że nie musimy tego rozwikłać teraz. Skupmy się lepiej na powstrzymaniu Gniewnego. Cas, wciąż uważam, że on powinien umrzeć. Nie możemy pozwolić, żeby odzyskał nieśmiertelność i wrócił po Vana, Milesa czy kogokolwiek innego...

– Atena też wciąż stanowi problem – dodał Castor. – Nie zawaha się zaatakować ciebie i twoich przyjaciół.

Lore potarła czoło, starając się nie myśleć o swojej rodzinie. Ani o tym, co zrobiła jej bogini.

– Dam radę – powiedział Castor.

– Cas...

– Mogę ich zabić – upierał się. – Dzięki temu żaden śmiertelnik nie przejmie ich mocy. A jeśli naprawdę nie można mnie zabić...

– Czy możemy już nie testować tej teorii? – zapytała Lore.

– Nie mamy innego wyboru – odpowiedział. – Kiedy tych dwoje zginie i Agon dobiegnie końca, będziemy mieli siedem lat na rozwiązanie zagadki kryjącej się w słowach wiersza. Zyskamy czas aż do następnego polowania.

I siedem lat na wymyślenie, co zrobić, żebym znów cię nie straciła, pomyślała smutno Lore.

Złapał ją za rękę i ścisnął.

– Czy Atena wspominała ci coś o swoich planach?

Pokręciła głową.

– Pewnie nawet nie wie, że żyję.

Ponad ich głowami przetoczył się grzmot, wstrząsając ścianami okolicznych budynków. Błyskawica wytoczyła ścieżkę przez chmury, rozświetlając na moment twarz Castora.

Lore podniosła tarczę i wsunęła ramię pod skórzane pasy. Z jakichś powodów wiedziała, co powinna zrobić.

Uderzyła pięścią w przód tarczy. Ryk, jaki egida z siebie wydała, był głębszy niż grzmot. Wręcz pierwotny.

Wzbił się w powietrze, sunąc przez pogrążone w ciszy ulice. Lore ponownie uderzyła w tarczę i potem jeszcze raz, aż usłyszała dzwonienie w uszach. Towarzyszyło mu odległe echo dobiegające z najdalszych budynków. Moc ją przeszyła. Czuła się niewyciężona.

Castor rozejrzał się dookoła, jakby czekał na kolejnego potwora do zabicia. Potem spojrzał na egidę, zbladł i odsunął się od niej. Lore przysunęła ją do siebie.

Przestań, pomyślała. *Nie chcę, żeby kiedykolwiek się bał.*

Tak jest, odpowiedział jej widmowy głos. *On nie jest twoim wrogiem.*

Castor znów stanął przed nią i potarł dłonią o klatkę piersiową. Wydawał się mniej spięty, miał łagodniejszy wyraz twarzy.

Dziękuję, pomyślała Lore. *I jeszcze jedna rzecz.*

Wyciągnęła swój mały nóż i przesunęła ostrzem po tarczy. Ciemne powietrze rozbłysło bielą błyskawic.

– Teraz i ona wie – powiedziała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY



Kiedy dotarli do biura, Miles czekał na nich u szczytu schodów, obracając telefon we wszystkie strony. Zamyślił się do tego stopnia, że dopiero po chwili ich zauważył.

Poderwanie się na równe nogi zajęło mu może sekundę. W tym czasie Lore zdążyła już wbiec po stopniach. Niemal przewróciła go, rzucając mu się na szyję.

Zaskoczony, wybuchnął śmiechem, zaczerpnął tchu, po czym mocno ją wyściskał.

– Nic ci nie jest? – zapytała i niemalże rozplakała się, czując ulgę na jego widok.

– Czy nic m i nie jest? – powtórzył i odsunął się, żeby dokładnie jej się przyjrzeć.

Jej wzrok zatrzymał się na nieprzyjemnie wyglądającym siniaku na jego czole.

– Tak mi przykro z powodu tego, co się stało – zaczęła. – Mówię o spotkaniu i Artemidzie...

– Sam chciałem iść – powiedział i spojrzał pytająco na Castora.

– Była tam, gdzie powiedziałeś, że będzie – potwierdził.

– To zasługa aplikacji, a nie moja – odpowiedział Miles.

Lore go przytuliła. Nowa skóra opinająca jej zebra zaboląła podczas ruchu, ale dziewczyna zignorowała ból, przytulając się do Milesa tak, jak on przytulał się do niej.

– Dziękuję – szepnęła.

– Podziękuj technologii i magicznym usługom komórkowym – stwierdził. – Ja jedynie się martwiłem.

– Zrobiłeś dużo więcej!

– Masz rację – powiedział. – Z nerwów pożarłem całą paczkę krakersów, które miały wystarczyć nam na cały dzień. Van musiał pójść po dodatkowe zapasy wody i żywności.

– Mówię poważnie. – Lore się uśmiechnęła.

– Ja też – oświadczył. – Moja mama dzwoniła. Wielokrotnie. W sumie było zabawnie. Chciała wsiąść do samochodu i przyjechać tu do nas. Zabroniłem jej, ale rozłączyła się dopiero wtedy, kiedy wysłałem jej fotkę z dzisiejszą gazetą w ręce na dowód, że wszystko u mnie w porządku.

Przeczesał dłonią ciemne włosy. Na jego twarzy widniał niewyraźny meszek, zapowiedź brody. Oczy miał podkrążone. Kiedy uśmiechnął się, ślady łez i zmęczenia na skutek ostatnich dni znikły.

– Mam dla was trochę ciuchów – powiedział i wprowadził ich do pustego biura.

W ciągu kilku ostatnich godzin wewnątrz nieco się zmieniło. Tu i ówdzie na plastikowej plandecie pokrywającej podłogę pojawiły się torby z zapasami. Miles podszedł do jednej z nich i wyciągnął niewielkie zawiniątko z ubraniami.

– Van uznał, że nie powinniśmy ryzykować ponownej wycieczki do domu, a w schronisku wybór był marny – oświadczył, podając im odzież. – Pomyślałem jednak, że przyda ci się dodatkowa para dżinsów we właściwym rozmiarze. Muszę cię jednak ostrzec, że modne były ze dwa sezony temu.

Lore rozwinęła spodnie, o których rozmawiali.

– Czy powinnam się niepokoić, że znasz mój rozmiar dżinsów?

– Czy powinienem się wkurzać, że zawsze zostawiasz swoje ubrania w pralce i muszę je

suszyć, a potem składać?

Przyniósł jej również sportowy stanik, czarną koszulkę z dziwnym, wyblakłym logo, wreszcie czyste skarpetki.

Uśmiechnęła się.

– Wielkie dzięki.

– Spoko – odpowiedział. – Wybór ułatwiło mi to, że twoją ulubioną marką jest „wszystko jedno”.

W kieszeni koszuli wyczuła jakiś drobiazg. Wyciągnęła go i zobaczyła złoty naszyjnik, który dostała od Hermesa. Wisiorek w kształcie piórka był chłodny w dotyku.

Ostrożnie dotknęła go palcem. *Oczy bogów są zwrócone na ciebie.*

– Znalazłem go, kiedy po raz pierwszy zatrzymaliśmy się w domu. Pomyślałem, że może ci go brakować – powiedział cicho Miles.

Lore nie była w stanie wykrztusić z siebie choćby słowa. Skinęła głową i otworzyła zapięcie łańcuszka, żeby go założyć. Co prawda wisiorek stracił swoją moc, ale zachował znajomy ciężar i znaczenie, jakie do niego przywiązywała. To drugie nigdy jeszcze nie było dla niej tak ważne.

Nie zostało utracone. Odzyskało wolność.

Stojący tuż obok niej Castor znieruchomiał. Lore podążyła za jego wzrokiem.

W drzwiach stała Iro, ciężko oddychając. Nie miała już na sobie czarnej szaty łowieckiej, lecz zwyczajne ubrania – ciemną koszulkę, luźne spodnie, ochraniacze.

Posłała Lore błagalne spojrzenie, ale się nie odezwała.

Lore zasłoniła Castora.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Pomaga nam – odpowiedział Miles.

– Wątpię – stwierdziła chłodno Lore.

Dziewczyna wzdrygnęła się, zerkając na Castora.

– Ja... wiem, że popełniłam błąd. Wszystko to było błędem... I... my wszyscy... chcemy wam zadośćuczynić. Jesteśmy gotowi walczyć. Powstrzymać Gniewnego.

Lore spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– To prawda – wtrącił Miles. – Odnalazła nas, kiedy szliśmy na spotkanie z Achillesydami. Podzieliła się zapasami i informacjami.

Lore otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzedził ją cichy głos Castora.

– Mówisz szczerze? – zapytał Iro. – Co się zmieniło?

– Ja się zmieniłam – stwierdziła. – Ktoś kiedyś powiedział mi, że istnieje lepszy świat. Czeka tylko, żeby go wybrać. Wiem, że zniknie w chwili, gdy Gniewny zrealizuje swój plan. A jeśli nadal mi nie wierzysz, to się nad tym zastanów. Przecież nie pozwolę zabójcy mojego ojca zwyciężyć w Agonie.

Przez chwilę Castor rozważał jej słowa.

– W porządku – odpowiedział w końcu.

Lore odwróciła się w jego stronę.

– Co?

– Przyjmuję twoje przeprosiny – zwrócił się do Iro. – I dziękuję, że pomogłaś Achillesydom.

Lore zdmuchnęła kosmyk włosów z twarzy.

– Dlatego właśnie jako dziecko musiałam zachowywać urazę za nas oboje. Ty nigdy nie miałeś do nich serca – stwierdziła, po czym spojrzała na przyjaciółkę. – Jeśli to jakiś podstęp...

– To nie jest podstęp – odpowiedziała Iro. – Mogę przysiąc, że...

Lore uniosła dłoń.

– Błagam! Mam już dość przysięgania! Po prostu będę trzymać cię za słowo.

Na schodach tuż za Iro rozległy się ciężkie kroki. Odwrócili się i zobaczyli nieco wyczerpanego Vana opierającego się o poręcz. Z jego nadgarstka zwisała plastikowa torba na zakupy, wyładowana butelkami z wodą i paczkowaną żywnością.

– Wszystko w porządku? – zapytał Miles.

Van machnął ręką. Odwrócił głowę w stronę schodów, ale nie dość szybko, żeby Lore nie zauważyła, jak ułożyły się jego usta, a oczy przymknęły z ulgą tak wielką, że aż bolesną.

Uświadomiła sobie, że to jej nowa rodzina. Zawsze miała ją gdzieś w pobliżu, czekającą na swój czas, podczas gdy ona była zajęta pogonią za przeszłością.

Kiedy Van ponownie spojrzął w ich kierunku, od razu zorientował się, kogo brakuje.

– Gdzie Atena?

Miles chrząknął, jakby dopiero co zauważył jej brak.

– Czekaj... Myślałem, że ona... Właściwie to nie wiem, co myślałem.

Lore wzięła głęboki oddech.

– Muszę wam opowiedzieć, co się stało – rzekła, opierając worek z egidą o pobliską ścianę. – A potem obmyślimy jakiś plan.



– No cóż... Psia kostka! – zaklął elegancko Van, grzebiąc w jednej ze swoich toreb.

Minęło sporo czasu, zanim pozostali się odezwali.

– Więc Gil... był Hermesem? – powtórzył Miles, który wyglądał, jakby za chwilę miał spaść z krzesła. Siedząca na ziemi tuż obok niego Lore położyła mu rękę na nodze. – Bóg... mył moje ten teges... Pojechał ze mną na rodzinny weekend na Columbię... Jedliśmy razem pizzę. – To ostatnie słowo wyszeptał, wciąż nie mogąc uwierzyć w prawdę. – Pizzę, rozumiecie?

– Tak – stwierdziła ciepło Lore. – Tak właśnie było.

– Dlaczego mnie przygarnął? – zapytał Miles. – Po co zaproponował mi dach nad głową? Pewnie dzięki temu skuteczniej zamaskował twoją obecność, choć nie jestem pewien, w jaki sposób...

– Może po prostu cię polubił – powiedziała Lore. Może pomyślał, że będzie potrzebował kogoś takiego jak Miles.

– Teraz się nie dziwię, że byłaś taka poruszona – oświadczył Castor. – Wiedziałem, że spotkało cię coś strasznego, ale nie wyobrażałem sobie, że aż tak...

– A Atena... – Van potrząsnął głową. – Powinienem być się tego domyślić. Uwierzyć w opowieści o niej. Cóż z tego, że nam pomagała?

Otworzył małe białe opakowanie, po czym podszedł do Milesa i ostrożnie odgarnął mu włosy z czoła. Przyłożył jasnoniebieski worek z lodem do jego siniaka.

Chłopak spojrzął na niego szeroko otwartymi oczami. Van nagle zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, cofnął się i po prostu podał mu okład.

– Trzymaj – powiedział. – Ja... Kiepsko wyglądasz.

– Gdzie znalazłeś worek lodu w mieście pozbawionym prądu? – zapytał Miles.

– Jak widzę, wciąż wątpisz w moje umiejętności – stwierdził Van. – Zawsze dostaję to, czego pragnę.

– Pozwól, że cię uzdrowię – wtrącił Castor, podnosząc się z miejsca.

Miles odprawił go machnięciem ręki, po czym przyłożył kompres do siniaka.

– Naprawdę powinienem się tego domyślić – powiedział Van, wracając do wcześniejszego wątku. – Jeśli nie jej roli, to przynajmniej tego, że Gniewny zna już treść wiersza.

– Ale w żaden sposób nie zasygnalizował, że ją zna – stwierdziła przepraszającym tonem Iro. – Nie ukrywałabym tego przed wami.

– Wierzę ci. Dlatego jeśli ktoś zawinił, to tylko ja – przyznała Lore. – Ja was wszystkich w to wciągnęłam. Ja wpuściłam ją do swojego domu.

– Naprawdę nic ci nie jest? – zapytał ją Miles, wyciągając rękę, by chwycić jej dłoń.

– Bywało lepiej – przyznała. – Na szczęście Castor znalazł mnie na czas.

Van przycisnął telefon do czoła. Intensywnie analizował.

– Wersy wiersza... – rzucił, po czym ponownie się zamyślił.

– Więc naprawdę zabrałaś mu egidę – powiedziała Iro, zerkając na nią swoimi ciemnymi oczami. – I nigdy się do tego nie przyznałaś... Nawet wtedy, kiedy po treningu o tym rozmawialiśmy.^[P]_[SEP] – Nie chciałam o tym myśleć – przyznała Lore. – A co dopiero mówić.

– Gdzie teraz jest tarcza?

Lore podniosła się, rozprostowując sztywniejące stawy. Tym razem nie zawracała sobie głowy węzłem. Zdarła worek i odkopała go na bok. Pokazała egidę zebrany.

Telefon wypadł Vanowi z ręki.

– W i e m – powiedział do niego Castor.

Van i Iro powoli podeszli do tarczy. Byli oszołomieni. Dziewczyna przycisnęła dłoń do ust i przykucnęła.

– Egida... – zaczął Van.

– Tak – odpowiedziała Lore.

– Używana podczas wojny trojańskiej...

– Tak.

– Zrodzona z młota Hefajstosa...

– Tak.

– Przyozdobiona obliczem Gorgony...

– Nie powinienes może usiąść? – zapytała go poważnym tonem.

Van wyciągnął rękę w stronę egidy tylko po to, żeby ją cofnąć, zanim palce dotknęły Meduzy. Jakby bał się, że go ugryzie. Tak naprawdę jednak żadne z jej przyjaciół się nie bało. Lore zastanawiała się, czy musi unieść tarczę, żeby wywołać przerażenie. A może powinna chcieć ich przestraszyć?

– Naprawdę fajna – stwierdził Miles i przyklęknął. Spojrzał na Lore. – Mogę sobie zrobić z nią zdjęcie?

– Co? – zdziwiła się Lore i odciągnęła go na bok. – Nie ma mowy!

– Czy to ty wołałaś jakąś godzinę temu? – zapytała Iro. – Początkowo brzmiało to jak grzmot, ale...

Lore skinęła głową.

– Chciałam, żeby Atena wiedziała, że wciąż żyję i ją mam. Nie wiem, co planuje, ale może w ten sposób wyciągnę ją z kryjówek.

– A musimy ją wyciągać? – odezwał się wyraźnie zmartwiony Miles.

– Owszem – potwierdziła Lore. – Jeśli chcemy zakończyć Agon, musimy ją zabić. W przeciwnym wypadku nie będziemy bezpieczni. Nigdzie na świecie.

Nowy bóg parsknął z frustracji.

– Nie wiemy wszystkiego.

– Oczywiście, że nie wiemy wszystkiego – zgodził się z nim Van. – Nie masz pojęcia, jak stałeś się bogiem, w dodatku nie można cię zabić. Dlaczego?

Castor opowiedział pozostałym o swoim spotkaniu z Apollem. Pytań bez odpowiedzi przybyło.

– Być może to dwie oddzielne sprawy – zauważył Miles. – Albo moc Apolla leczy go dostatecznie szybko, żeby nie mógł zginąć z powodu byle obrażeń.

– Jeśli to prawda, to w jaki sposób zginął pierwotny bóg? – wtrąciła Lore. – Poza tym Castor został postrzelony w serce!

Iro spojrzała na Castora.

– Przepraszam...

Wzruszył ramionami.

– A co, jeśli Gniewny potraktował wiersz dosłownie? – zapytał Van. – Może zamiast wybudować świątynię czy zachęcać wiernych do składania hołdów Zeusowi, postanowił zorganizować uroczystość ofiarną, na przykład ze zwierząt? „Ostateczne, przerażające zwycięstwo...” Zwycięstwo... Wiemy, gdzie on teraz się ukrywa?

– Wrócił do Waldorf-Astoria – oznajmiła Iro, dotykając dłonią ust. – Prawie zapomniałam wam o tym powiedzieć, a przecież po to tu przyszłam. Mieliśmy szpiegów w pobliżu i niedawno nam donieśli, że Kadmici wrócili na stare śmieci. Przypuszczam, że tam też jest nowy Ares.

– To on mieszkał w hotelu Waldorf-Astoria? – zapytała Lore, patrząc po zebranych. – Przegapiłam coś?

– Właściwie to tak – oświadczył Miles. – Dowiedziałem się tego od wtyczki u Kadmitów podczas naszego ostatniego spotkania. Hotel od paru lat jest przebudowywany i zostanie otwarty dopiero za kilka miesięcy. Kadmici zapłacili jego właścicielom oszałamiającą sumę za wstrzymanie prac remontowych na tydzień. Korzystają z apartamentów na najwyższym piętrze.

Prestiżowy hotel w centralnej części miasta, w dodatku przechodzący renowację, wydawał się Lore dziwnym wyborem. I to nawet jeśli stał pusty. Postanowiła jednak tego nie analizować.

– Czyli w pewnym momencie go opuścił?

– Wszyscy Kadmici ewakuowali się podczas powodzi – wyjaśnił Van. – Zastanawiające, że postanowili wrócić...

– On wróciłby tylko wtedy, gdyby naprawdę musiał – stwierdził Miles. – Nie sądzicie? Jeśli Van ma rację, to może właśnie tam zbudowali ołtarz ofiarny.

Van potarł podbródek.

– Dlaczego więc zmusił Dawczynię Przypływów do wywołania powodzi? Mógł przecież zgarnąć ludzi z ulicy. Chyba że... Och!

– „Och” co? – nacisnęła Lore. – Och nie?

– Hotel Waldorf-Astoria wcale nie jest tu kluczowy – odpowiedział Van i spojrzał na Milesa. – To tylko pusty hotel, nie licząc stacjonujących tam łowców. Co spowodowała powódź?

– Zniszczyła sieć wodociagową, zakłóciła działanie elektrycznej, a także wszystkich systemów transportowych... – powiedział Miles i wstał. – Och!

Van skinął głową.

– No właśnie. Zmusiła ludzi do skorzystania z przytułków, schronisk i obozów przejściowych. Właśnie o to mu chodziło. Aby możliwie wiele osób zgromadziło się w kilku punktach w mieście.

– Myślisz, że planuje złożyć je w ofierze? – zapytała wyraźnie przerażona Iro. – Przecież to zabronione!

– „Ostateczne i przerażające zwycięstwo” – powtórzył Van. – Pokonanie tych, którzy czczą innych bogów. Tak to może wyglądać w oczach Gniewnego.

– Ale przecież każdego dnia po każdym biurowcu, szkole, pociągu czy choćby stacji metra krążą tysiące ludzi – powiedziała Lore. – Do czego potrzebna mu była Dawczyni Przyływów i wywołana przez nią powódź?

– Żeby służby miejskie stały się bezużyteczne. Żeby wszyscy zajęli się niesieniem pomocy potrzebującym – powiedział Miles. – Żeby mógł niepostrzeżenie przemykać się ulicami. Ci, którzy nie siedzą jeszcze w kieszeni Kadmitów, będą w tym czasie zabezpieczać miasto...

– Gdzie są największe ośrodki pomocy? – zapytała Iro.

– Wiele regularnie działających schronisk ucierpiało – powiedział Miles. – Władze uruchomiły tymczasowe ośrodki w takich miejscach jak Madison Square Garden, Central Park, Grand Central Terminal...

Zbladł, po czym spojrzał na godzinę na telefonie.

– Miles? – zapytała Lore.

– Wiem już, dlaczego Kadmici wybrali hotel Waldorf-Astoria – stwierdził. – I jeśli się nie mylę, to wcale nie mamy czasu do niedzieli o północy, czyli do końca Agonu. Musimy powstrzymać ich do jutra!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY



– TO ZNACZY... – KONTYNUOWAŁ MILES, SPOGLĄDAJĄC NA OTACZAJĄCE GO TWARZE. – Mogę się mylić. Mam nadzieję, że się mylę.

– Zachowujmy się tak, jakbyś miał rację – powiedział Van i poprowadził go w stronę krzesła.

– W piątek wieczorem, to znaczy jutro w nocy, rozpoczyna się ewakuacja dworca kolejowego Grand Central i innych tymczasowych punktów pomocy. Będą przenosić ludzi do lepiej wyposażonego obiektu w Queens – poinformował Miles. – A Kadmici nieprzypadkowo wybrali hotel Waldorf-Astoria. Oczywiście pomijam tu remont.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytała Lore.

– Słyszałaś kiedyś o Torze 61? – zapytał, wyciągając z kieszeni telefon i czegoś szukając.

– To prowadząca do hotelu tak zwana tajna linia metra. Zbudowano ją dla prezydenta Roosevelta. Franklina Delano, a nie Theodore’a. Dzięki niej facet mógł podróżować między dworcem Grand Central a hotelem Waldorf-Astoria w tajemnicy przed opinią publiczną, która nie mogła się dowiedzieć, że z powodu bardzo szybko postępującej choroby prezydent nie może już chodzić. Kiedyś wybrałem się tam na wycieczkę z moim przełożonym ze stażu... Większość ludzi nawet nie ma pojęcia, że ten tunel istnieje.

Miles wręczył Lore swoją komórkę. Przejrzała artykuł, a Castor czytał jej przez ramię.

– Wyglądało to tak, że pakowano Roosevelta do opancerzonego wagonu i przewożono aż pod windę, którą wjeżdżał do garażu w Waldorf-Astoria – streścił Castor. – A więc to coś, co Kadmici zabrali z „Rzeki”, może znajdować się w tym właśnie tunelu.

– Myślałam, że tunele metra są zalane – wtrąciła Lore.

– Niektóre na pewno – stwierdził Miles. – Sprawdzę, czy pojawiły się na ten temat jakieś nowe informacje. Ale Kadmici mogą mieć sprzęt umożliwiający im poruszanie się po tunelu bez wykorzystania torów. Jak sądzicie, co tam mają? Bombę?

– Składaniu ofiar z reguły towarzyszy ogień – wyjaśniła mu Lore. – Dym unosi się do tego miejsca w niebie, w którym przebywają bogowie. Jeśli więc nie jest to bomba, to pewnie jakieś inne urządzenie zapalające. Czyli co? Obstawiamy, że zaatakują dworzec?

– Stamtąd mogą pojechać w dowolne miejsce. Mają do dyspozycji kilka innych linii metra – powiedział Miles. – Ale na pewno będą musieli przejść przez Grand Central Terminal.

– Zapominasz o paru rzeczach – stwierdziła Iro. – Aby ofiara została właściwie złożona, musi dojść do libacji. I poderżnięcia zwierzęciu gardła. Odmówienia modlitw.

– Myślę, że Gniewny nie przejmie się tym, co jest właściwe – zauważyła Lore.

– Racja. – Iro skinęła głową.

– Widzę jeszcze jeden problem – powiedział Castor. – Nawet jeśli mamy rację, to nie znamy choćby przybliżonej godziny ataku.

– Zostaw to Odyseidom – stwierdziła dziewczyna. – Dowiemy się, na kiedy szykują akcję, i pokrzyżujemy im plany.

– Pozostający przy życiu Achillesydzci pomogliby nam w akcji na Waldorf-Astoria – dodał Van. – Gniewny wciąż będzie miał przewagę liczebną, ale jeśli uda się nam go zaskoczyć albo przynajmniej uprzedzić jego ruch, szanse nieco się wyrównają.

– No dobrze – powiedział Castor. – Pozostaje kwestia pokonania Gniewnego. I Ateny.
– Nie widzę problemu – oświadczyła Lore. – Mam coś, czego oboje pragną. A teraz na dodatek wiedzą, że to mam.

Castor westchnął.

– Zamierzasz użyć egidy jako przynęty?

– No nie wiem... – Van pokręcił głową. – On jej do czegoś potrzebuje. Czy warto mu ją przynosić? Jeśli znajdzie sposób, żeby zmusić cię do jej użycia...

– Nie ma na to szans – stwierdziła stanowczo Iro.

Lore spojrzała na nią, zaskoczona wiarą, jaką pokładała w niej przyjaciółka.

– To się nie wydarzy – upierała się dziewczyna.

– Nie wydarzy – zgodziła się Lore. – Głęboko wierzę w to, że Atena i Gniewny łudzą się, myśląc, że dzięki swojej boskości skorzystają z mocy tarczy. Poza tym z własnej woli im jej nie oddam.

– Wydaje mi się, że już kilkakrotnie wcielaliśmy w życie podobny plan – przypomniał Castor. – Dlaczego nagle miałoby się nam udać?

– Dzięki egidzie – wyjaśniła Lore. – Tym razem nie zastawimy pułapki. Spróbujemy sprowokować atak. Gniewny ma obsesję na punkcie tarczy, lecz Atena nie pozwoli mu jej dotknąć, zwłaszcza jeśli sama będzie miała ją na wyciągnięcie ręki. Jeśli zaczną ze sobą walczyć, będziemy musieli zająć się tylko tym z nich, kto przeżyje starcie.

Van rozważał ten scenariusz w głowie, ale nie od razu go odrzucił. Natomiast Castor przybrał dobrze znaną Lore zmartwioną minę.

– Wciąż wielu rzeczy nie wiemy – stwierdził ten pierwszy. – Ale lepszego planu nie mamy. Skupmy się na tym, żeby nie udało im się uruchomić tego urządzenia. I żeby Castor jako jedyny bóg przetrwał do końca Agonu.

– Tyle że to za mało, żeby całkowicie go zakończyć – przypomniał im Miles. – Nadal przecież nie mamy pojęcia, co oznaczają nowe wersy wiersza.

– Masz rację – powiedziała Lore. Niewiedza doprowadzała ją do frustracji, ale co innego mogli zrobić? Brakowało im tego, czego najbardziej potrzebowali: czasu. – Jeśli przetrwamy dziś, jutro i sobotę, zyskamy siedem lat na rozgryzienie tej zagadki. Będziemy mieć czas aż do następnego Agonu!

Iro podniosła się z krzesła.

– Jeśli mamy już jutro zaatakować Kadmitów, to muszę wziąć się do roboty. Spróbować dowiedzieć się, jak będą działać.

– Jaki masz plan? – zapytał Miles.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Wystarczy, że napatoczy mi się choć jeden dobrze poinformowany łowca Gniewnego. Zapewniam cię, że będę się świetnie bawić podczas... r o z m o w y z tyloma osobami, z iloma będę musiała ją odbyć, żeby wszystkiego się dowiedzieć.

– Napisz do mnie, kiedy wyciągniesz z nich jakieś konkrety – poprosiła Lore.

– Jasne – obiecała Iro. – Och, prawie zapomniałam...

Podeszła do schodów i sięgnęła do leżącej tam ciężkiej czarnej torby podróżnej.

– Pomyślałam, że przyda wam się trochę więcej broni. Biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło...

Wyjęła sprzęt i rozłożyła go na ziemi. Castor wyciągnął miecz z pochwy, którą podał mu Van, i dokładnie go obejrzał.

– Pamiętasz jeszcze, jak się tego używa? – zapytała Lore.

Przeciął nim powietrze, podziwiając błysk nieskazitelnego srebrzystego ostrza.

– Myślę, że ogarniam.

To był xiphos, krótki miecz obosieczny, który cenili sobie starożytni. Współcześni płatnerze dawno już zastąpili żelazo i brąz znacznie lepszą stalą. Rękojeść inkrustowali srebrnymi pnączami – ot, dowód prawdziwego artyzmu najlepszych kowali rodu.

– Pochodzi z waszych magazynów? – odezwała się zaskoczona Lore.

Iro skinęła głową.

– Nie chcieliśmy walczyć bronią naszego wroga. Nie potrafilibyśmy jej zaufać.

Wręczyła jej swój xiphos, który nosiła wsunięty w pochwę przyczepioną do baldryka – skórzanego, przekładanego przez głowę pasa sięgającego od ramienia po biodro. Sam miecz nie miał żadnych ozdób, ale dobrze leżał w dłoni Lore.

Kiedy Iro ich opuściła, Lore wyszła za nią aż na klatkę schodową.

– Jesteś pewna, że dobrze robimy? – zapytała.

Iro skinęła głową, choć jeszcze przez chwilę biła się z myślami.

– Mam na myśli w s z y s t k o – dodała Lore. – Przecież nie chodzi tylko o powstrzymanie Gniewnego. Także o zakończenie Agonu i zniszczenie znanego ci świata. Wszystkiego, o czym zawsze marzyłaś.

Wszystkiego, z czym i sama Lore musiała się zmierzyć.

– Głosowaliśmy za udzieleniem wam pomocy. Decyzję podjęliśmy jednomyślnie – powiedziała Iro. – Agon nigdy nie był dobrym panem, a to polowanie niemalże nas zniszczyło. Gniewny podeptał wszystkie nasze zasady i zniszczył wierzenia, które niosły nas przez wieki. Ujawnił zgniliznę, która dotąd znajdowała się poza zasięgiem naszego wzroku. Jeśli nie zakończymy Agonu, on zakończy nas.

– No właśnie. – Lore kiwnęła głową.

– Nie mówiłam ci tego wcześniej... – powiedziała Iro, kiedy dotarły do drzwi prowadzących na ulicę. – Ale kiedyś mnie o to pytałaś. Otóż... moja matka żyje.

– Co? Jesteś pewna?

Iro skinęła głową.

– Napisała do mnie przed rozpoczęciem Agonu. W swoim liście przyznała, że nie potrafiła żyć w naszym świecie i udusiłaby się w nim – wyjaśniła. – Wiedziała, że nie mogła mnie ze sobą zabrać, bo Odyseidzi natychmiast ruszyliby jej tropem. Chyba nie do końca rozumiałam znaczenie tych słów. Dopiero kiedy wspomniałaś, że twoja rodzina też planowała ucieczkę... Według mnie matka nie uwolniła się, a jedynie okryła wstydem. Tylko czy powinnam tak myśleć o własnej rodzicielce?

Lore westchnęła cicho.

– Takie decyzje dla rodziny bywają niszczące...

– Jedyne, co mogę zrobić, to przeprosić cię za wszystko, co się stało. No i pojawić się na twoje wezwanie.

Lore wzięła głęboki oddech.

– Pozostałe rody dobrowolnie nie zrezygnują z Agonu.

– Nie szkodzi. – Iro się uśmiechnęła. – Żadna z nas nigdy nie bała się walki.

Otworzyła drzwi, ale jeszcze się odwróciła.

– A tak przy okazji, ten miecz ma imię. Mákhomai.

Prowadzę wojnę.

Lore odwzajemniła jej uśmiech.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY



LORE SPAŁA. ŚNIŁA O SZARYM ŚWIECIE ŚMIERCI.

Tuż obok niej leniwie płynęła rzeka. Pełna zadumy dziewczyna oddawała się wspomnieniom, sunąc przez okruchy skał przy brzegach. Powietrze w jej płucach powoli zamieniało się w lód, atakowało jej nagie ręce i nogi. Proste ciuchy, których używali łowcy przy paleniu ciał zmarłych, drapały ją w skórę.

Usłyszała cichy głos. Ktoś wyszeptał jej imię. Uniosła wzrok i na drugim brzegu rzeki dostrzegła siedem złotawych postaci o konturach płonących na tle przygnębiającego, skalistego krajobrazu.

Wybudziła się ze snu i usiadła. Wciąż jeszcze słyszała szepczące echo. *Siedem.*

Twarze miały niewyraźne – stanowiły bardziej sugestię niż rzeczywiste oblicza. Mimo to Lore rozpoznała je. Hermes, Afrodyta, Hefajstos, Posejdon, Artemida, Ares i Dionizos...

Gdyby naprawdę byli bogami Agonu, a nie sennymi halucynacjami, to powinno być ich ośmioro. Czy to oznaczało, że... No właśnie, co to mogło oznaczać? Że Lore miała rację i Apollo uniknął śmierci?

Potrząsnęła głową i dotknęła chłodną dłonią skroni. Dopiero po chwili przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Rozejrzała się po biurze, jej wzrok padł na Vana, który siedział na jednym z krzeseł. Nie spał.

Tuż obok niego na ziemi, z palcami splecionymi na klatce piersiowej, drzemał Castor. Ale Van wpatrywał się w Milesa, który chrapał na kanapie. Kiedy oczy Lore przyzwyczaiły się do wątego oświetlenia, tęskne spojrzenie Vana stało się dla niej tak oczywiste jak fotografia wyłaniająca się w ciemni.

Chłopak zauważył, że Lore mu się przygląda, i zesztyniał. Po chwili podjął decyzję i wstał, dając jej znak, żeby podeszła z nim do okna po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Nie spieszyła się. W końcu stanęła obok niego, oparła się o szybę i skrzyżowała ramiona. To ona przerwała ciszę.

– Posłuchaj... Wiem, że nie zawsze się dogadywaliśmy...

– Można tak powiedzieć – mruknął.

– I nigdy nie byłem za dobra w mówieniu o uczuciach... – dodała.

– W słuchaniu również – wtrącił cicho.

Skrzywiła się.

– W słuchaniu również. Ale szanuję cię i nie chcę, żeby między nami pozostały jakieś urazy. Zależy nam na tych samych ludziach i niezależnie od tego, co sobie myślisz, zależy mi również na tobie. Przepraszam, jeśli kiedykolwiek poczułeś, że jest inaczej.

Westchnął.

– Ja też nie zawsze byłem dla ciebie sprawiedliwy. Chociaż, co muszę podkreślić, nadal masz tendencję do pakowania się w kłopoty.

Lore zaśmiała się cicho. Kiedy Van ponownie spojrzał na Milesa, podążyła za jego wzrokiem.

– Dobrze jest pragnąć szczęścia – szepnęła. – I wierzyć, że zasługuje się na fajne życie.

Potrząsnął głową i lewą ręką poprawił swoją protezę.

– Niewiele o nim wiem. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym... no, może poza tymi krótkimi chwilami, podczas których zaczynałem wierzyć, że Agon rzeczywiście kiedyś się skończy. Ale potem zawsze zawałała mnie robota.

– Ja miałam tylko krótki przeblask normalności – stwierdziła Lore. – Teraz to widzę. Niby byłam szczęśliwa, ale moja przeszłość, Agon... wiecznie było coś, co powstrzymywało mnie przed docenieniem tego, co miałam. Dostrzeżeniem, jak bardzo było to dobre. Nie popełnij tego samego błędu.

Van wzruszył ramionami, ale jego spojrzenie ponownie powędrowało w stronę Milesa, który mruczał coś przez sen.

– Przyśniło mi się coś dziwnego – wyszeptała Lore. – Może wspomnienie.

Zeus zablokował napływ przepowiedni, ale łowcy wciąż wierzyli, że niektóre sny przekazują wróżby i wiadomości. Nie zdziwiła się, kiedy Van powiedział:

– Opowiedz mi o nim.

Kiedy skończyła, zapytał po prostu:

– Myślisz, że brakującym bogiem może być Apollo?

– Jeśli w ogóle to byli bogowie – odpowiedziała. – Utrata krwi potrafi namącić w głowie.

– Jeszcze nad jednym się zastanawiałem – zaczął.

– Kiedy patrzyłeś na Milesa? Czy na pewno chcę to usłyszeć? – zapytała i umilkła, widząc jego spojrzenie.

– Chodzi o ofiarę – wyjaśnił. – Nie wiem, czy we właściwy sposób odczytujemy ostatnie wersy wiersza.

Poruszył żuchwą, powtarzając je sobie w myślach. *Wezwie mnie dymem z ołtarzy wzniesionych w czasie ostatecznego i przerażającego zwycięstwa...*

– Ofiara musi mieć jakiś cel. Wiąże się również z utratą czegoś... Zgadzasz się chyba, że jej kwintesencję stanowi akt oddania bogom czegoś ważnego bądź potrzebnego?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zawibrował jej telefon podpięty do powerbanku, który dał jej Miles. Pęknięty ekran rozświetlił się, pokazując wiadomość od Iro.

Potwierdzam – atak jutro o zachodzie słońca.

Wymienili z Vanem spojrzenia.

– Ty decydujesz – powiedział. – Ale będziemy potrzebowali kilku godzin, żeby zgromadzić sprzęt.

Lore odpisała jednym słowem: *Południe.*



Godziny płynęły w powolnym, miarowym tempie. Lore rozważała drzemkę, choćby dla zabicia czasu, ale nerwy szalały jej pod skórą. W rezultacie postanowiła poćwiczyć z Castorem walkę na miecze. Sparowali ostrożnie, bo używali prawdziwego sprzętu. Mimo to nie zdołała się uspokoić.

Wreszcie o wpół do dziesiątej Miles wrócił z misji, którą sam sobie wyznaczył.

– To dla ciebie – powiedział, wręczając Vanowi komplet baterii zewnętrznych.

Ponownie sięgnął do torby i wręczył Castorowi czarną długą koszulę i czarne dżinsy, Lore zaś czarny sweter.

– Mam nadzieję, że będą na was pasować – rzucił.

Castor wyszedł się przebrać.

Kiedy wrócił, Miles podał mu kamizelkę kuloodporną, po czym podobną zaproponował

Lore.

– To od Odyseidów. Iro wysłała do mnie gońca. Mówię to na wypadek, gdybyś pomyślała, że mam dostęp do magazynów wojskowych czy zbrojowni karteli narkotykowych.

Lore próbowała zwrócić mu kamizelkę.

– Nie ma mowy! – stwierdził. – Zamierzam jedynie wbiec na dworzec i wrzasnąć: „Pali się!”, żeby skłonić ludzi do ewakuacji. Nic mi nie grozi.

Zaoferowała więc kamizelkę Vanowi, lecz ten też potrząsnął głową.

– Dostanę swoją od Odyseidów, kiedy spotkam się z Iro i jej ludźmi w hotelu – oświadczył.

– No dobrze – westchnęła w końcu, odpięła rzepy i włożyła ją przez głowę.

Castor wyciągnął rękę, próbując zmieścić się w swojej.

– A to... – zaczął Miles, wydając z torby dwa zestawy bezprzewodowych słuchawek dousznych. – To są słuchawki z redukcją szumów. Na prawej znajduje się przełącznik, który włącza tę funkcję. Jeśli ją wyłączycie, będą działać jak normalne, do naszych celów bezużyteczne.

Castor sięgnął po jeden z zestawów i zaczął mu się przyglądać. Lore wydawała się zdezorientowana.

– Chodzi o moc Gniewnego – przypomniał Miles. – Nie wiem, w jaki sposób działa, ale może jeśli nie będziecie go słyszeć, to nie wkradnie się do waszych umysłów i nie odbierze wam sił?

– No jasne – powiedziała Lore, gdyż zupełnie zapomniała o tym problemie. – Super!

– Czy goniec Odyseidów dostarczył rzeczy z mojej skrytki, o które poprosiłem Iro? – zapytał Van.

– Jak najbardziej – odparł Miles i rozdał im po niewielkich nożycach do drutu oraz latarce wielkości długopisu.

– Jest przydatniejsza, niż się wydaje – wyjaśnił Van, sięgając po tę Castora. – Na wyższym ustawieniu może na krótką chwilę oślepić, na niższym działa jak normalna latarka.

Lore wsunęła sprzęt do tylnej kieszeni dżinsów.

– Nie znalazłem skórzanych pasków, ale mam trochę taśmy. Możesz ją wykorzystać do zabezpieczenia dłoni – powiedział Van.

Kiedy trenowali walkę wręcz, zawsze nosili himantes, specjalne paski skóry chroniące kostki i nadgarstki. Taśma była nieco bardziej elastyczna, co ułatwiało Lore trzymanie miecza.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna i sięgnęła po taśmę.

– I na koniec jeszcze to – oznajmił Van, wyciągając dwa niewielkie urządzenia na breloczkach, jeden złoty, a drugi srebrny. Przypominałyby piloty do drzwi garażowych, gdyby nie miały wgłębienia na niewielkie głośniczki. – Jeśli wyciągniesz ten przewód i naciśniesz guzik, włączy się alarm o sile stu czterdziestu decybeli.

Lore zażartowała:

– Czyli nie dostaniemy po maczudze?

– A właśnie... – Miles wyjął z kieszeni płaszcza niewielką rurkę, odciągnął jej rączkę i zacisnął na niej palce. – Pomyślałem, że przypadnie ci do gustu.

– Dobrze mnie znasz! – stwierdziła.

– Będziemy śledzić cię dzięki opcji udostępniania lokalizacji – powiedział Van. – Choć połączenie może się urwać w zależności od tego, gdzie i jak głęboko zejdziesz.

Lore kiwnęła głową.

– Dziękuję. Za wszystko.

– To może okazać się niewystarczające – stwierdził. – Ale w tych warunkach nie dało się

zrobić więcej.

Wstrzymali się z pożegnaniem, dopóki nie dotarli do rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Jedenastej Alei. Miles miał iść na wschód, w kierunku dworca Grand Central, Van na zachód, na spotkanie z Iro i połączonymi siłami domów Odyseusza i Achillesa, Lore i Castor planowali zaś wejść do tuneli metra przy Trzydziestej Czwartej oraz przejść trasą linii siódmej aż pod dworzec.

Tuż przed rozstaniem Lore odciągnęła Milesa na bok.

– Kiedy ostrzeżesz ludzi, spróbuj uciec z Manhattanu – powiedziała. – Bo jeśli coś ci się stanie, jeśli dojdzie do wybuchu i...

– Nic mi nie będzie – zapewnił ją Miles. – Ale obiecaj mi, że i ty będziesz uważać.

– Jasne, że będę. – Lore mocno go przytuliła. – A potem zaliczymy te wszystkie głupie wycieczki dla turystów, na które nigdy nie chciałam chodzić. Więc postaraj się przeżyć.

Miles z trudem przywołał uśmiech na twarzy.

– Mam nadzieję, że gustujesz w wacie cukrowej z Coney Island.

Skrzywiła się na samą myśl o tym. Miles uściśkał ją po raz ostatni i się odwrócił. Castor i Van stali już po drugiej stronie ulicy, klaszcząc w swoje dłonie – było to tajne powitanie i pożegnanie ich rodu. Van spoważniał, kiedy wysłuchiwał słów przyjaciela. Starał się jednak utrzymać swoje emocje w ryzach.

Kiedy skończyli, Lore i Van pomachali sobie na pożegnanie.

– No dobra, raz się żyje – usłyszała głos Milesa. – Skoro wszyscy możemy umrzeć...

Zdecydowanym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy. Minął Castora, jakby go nie widział. Nowy bóg obejrzał się za nim, po czym podszedł do Lore, najwyraźniej równie zdezorientowany, co ona.

Van, odwrócony do nich plecami, szukał czegoś w swojej torbie. Miles zatrzymał się za nim i klepnął go w ramię.

Posłaniec odwrócił się i uniośł brwi na jego widok. Miles coś do niego powiedział i oblicze jego rozmówcy rozświetlił niewielki uśmiech. Przez chwilę stali w bezruchu, po czym Van ujął twarz Milesa w dłonie i pochylił się do gorącego pocałunku.

Obserwując, co się dzieje, Lore aż otworzyła usta.

– Och!

– Och! – powtórzył powoli Castor. – Proszę, proszę...

Van oplótł Milesa ramionami, pozwalając mu się przytulić, ale w końcu Miles cofnął się i wyprostował.

– No dobrze – powiedział. – Możemy iść.

Castor wyszeptał coś, co brzmiało jak modlitwa w starożytnym języku. Miles i Van rozstali się, ruszając w przeciwnie strony. Ten drugi, wciąż oszołomiony, po chwili minął Lore i Castora.

– Myślę, że i na nas czas – stwierdziła dziewczyna.

Jej towarzysz pokiwał głową.

Przed wyjściem owinęli egidę prześcieradłem. Teraz jednak Lore zdjęła je i zamocowała tarczę do ciała.

Spojrzała na Castora. Spletli ze sobą palce i ruszyli w milczeniu przez popowodziowe kałuże. Wkrótce dotarli do stacji linii siódmej przy Trzydziestej Czwartej Ulicy.

Castor stopił zamek blokujący bramkę bezpieczeństwa, a potem uniośł ją na tyle, żeby mogli się przez nią wślizgnąć. Woda wciąż spływała po schodach, ale Lore ze zdziwieniem stwierdziła, że stacja wcale nie jest zalana. Metro musiało mieć własny system usuwania deszczówki, bo tory przykrywał niecały metr wody.

– Z nią lub na niej, prawda? – powiedziała lekkim tonem, poprawiając paski egidy tak, żeby dało się ją nosić na plecach.

Z nią lub na niej. Tak właśnie mawiały niezliczone spartańskie matki swoim synom i mężom, kiedy podawały im tarcze przed bitwą. Ich społeczeństwo nienawidziło rhapsaspides – tchórzy porzucających tarcze podczas ucieczki lub gubiących je podczas walki. Dlatego do domu można było wrócić tylko na dwa sposoby. Jako zwycięzca, z tarczą w garści, lub jako poległy, którego ciało przyniesiono na tarczy.

Castor złapał Lore za ramię i zmusił, by spojrzała na niego. Na stacji panowały ciemności, więc iskry mocy w jego oczach wydawały się jaśniejsze niż zazwyczaj.

– Nie mów tak – powiedział. – Proszę cię, nie mów tak.

Nawet spartanie nie zawsze byli spartanami, stwierdził kiedyś jej ojciec. *Czasami zapamiętujemy nie prawdę, lecz bajkę, w którą wszyscy chcemy wierzyć. Legendy z reguły kłamią.*

– Nie będę – obiecała.

To, w jaki sposób zostanie się zapamiętanym, nigdy nie będzie tak ważne jak to, jak się żyje. Także w tej kwestii jej tata się nie mylił.

Zeskoczyli z peronu na tory i chlupocząc, ruszyli mozolnie przez wodę.

Lore zredukowała światło latarki. Miecz obijał się jej o biodro. Nie zdołała się oprzeć i spojrzała na Castora, chłonąc jego widok. Próbowwała w ten sposób odgonić chłód wędrujący jej wzdłuż kręgosłupa.

– Jeśli mylimy się co do twojej nieśmiertelności i jakoś mi cię odbiorą – szepnęła – poczekaj na mnie nad ciemną rzeką. Sprowadzę cię do domu.

– Hades sam odprawiłby mnie spod bramy, gdyby dowiedział się, że nadchodzisz – zażartował Castor. – I że będę walczył jak szalony, żeby spotkać się z tobą w połowie drogi.

Jeszcze przez chwilę rozkoszowała się ciepłem jego dłoni, ale potem ją puściła. Obydwoje potrzebowali wolnych rąk, żeby w razie potrzeby szybko sięgnąć po miecze.

Lore przełożyła egidę do przodu, ale wciąż trzymała latarkę wymierzoną przed siebie. Szła niezwykle powoli, a przez niekończący się tunel czuła się, jakby ugrzęzła w ponurej wieczności i już zawsze mieli zmierzać do miejsca, do którego nigdy nie dotrą. Bogowie uwielbiali takie kary.

Tor poprowadził ich po łuku od Trzydziestej Czwartej Ulicy aż do Times Square. Po drodze zanurzyli się w ciszy, brodząc w wodzie sięgającej kostek. Powietrze w tunelu się nie poruszało. Wydawało się niezwykle ciężkie, a ściany wokół wręcz śliskie od wilgoci. Lore nasłuchiwała. Próbowwała wyłapać głosy lub kroki wroga, lecz słyszała jedynie tupot stóp gryzoni i miarowe kapanie wody.

– GPS właśnie padł – szepnął Castor, pokazując jej ekran telefonu. – Ale zbliżamy się już do stacji Bryant Park.

Szli jeszcze przez kilka minut, aż nagle Castor się zatrzymał i sięgnął po latarkę Lore. Nie po to, żeby coś sprawdzić, ale żeby ją wyłączyć. Lore zeszytywniała i zrobiła krok do przodu, żeby zobaczyć, co go zaniepokoiło.

Kiedy jej oczy przyzwyczajały się do ciemności, każda kolejna sekunda ujawniała nowy szczegół makabrycznej sceny. Ciała policjantów oraz żołnierzy w mundurach Gwardii Narodowej leżały na torze przed nimi w przepełnionych bólem pozach, jakby spadły ze sporej wysokości.

Czerwone światło zalało tunel, kiedy zapaliła się raca rzucona na plecy martwej kobiety.

Dziesiątki łowców wyłoniły się z mroku i stanęły tuż przy wąskich peronach stacji, ciągnących się po obu stronach toru. Po kolei odwracali w ich kierunku swoje zamaskowane

twarze, ozdobione znakami węży, koni i minotaurów.

Widząc ich, stojących niczym wartownicy w szeregu, Lore poczuła się jak przed rozpoczęciem szturm. Ich ponurą pieśń poniosło echo.

– Nie widzę dla ciebie większych szans, nowy boże – powiedział jeden z łowców.

– Naprawdę? – Castor uniósł podbródek, mierząc ich jednym spojrzeniem. – Wydajesz się tego pewien.

Każda upływająca sekunda wydawała się rozcinać skórę Lore. Dziewczyna stanęła przed Castorem i skąpała egidę w krwistoczerwonym blasku racy.

To są nasi wrogowie, pomyślała.

Tak jessst, syknął w odpowiedzi głos.

Stojący najbliżej niej łowca zaklął i – wyraźnie przerażony – ściągnął maskę. Pozostali też zaczęli się trząść, zsuwając się z peronu na tory bądź kuląc się.

– Spokojnie – zawołał jeden z nich. – Nie patrzcie w jej stronę.

Ci z tyłu pozastaniali oczy.

Castor wsunął coś do jej tylnej kieszeni. Telefon.

Serce podeszło jej aż do gardła. Wiedziała. Wiedziała, że nie może przestać. Nie może zatrzymać się nawet na chwilę. Nie teraz, kiedy byli już tak blisko i mieli tak niewiele czasu.

– Dogonię cię – szepnął Castor i jego potężne ciało się napięło.

Oczy błysnęły mu groźnie, kiedy odwrócił się w stronę łowców. Ci, którzy widzieli egidę, walczyli z rosnącą w nich paniką. Pozostali zaczęli bić mieczami i włóczniami w swoje tarcze. Tunel zdawał się zaciskać dookoła.

Nie teraz, pomyślała Lore. *Jeszcze nie...*

Gdyby zostawiła go tu samego, naprzeciwno wszystkich tych łowców... mogliby już nigdy się nie zobaczyć.

– Leć – szepnął, a potem dodał znacznie głośniejszym głosem: – Macie ostatnią szansę, żeby się wycofać. Czy są wśród was tacy, którzy pragną przeżyć?

Lore uniosła egidę i wzięła głęboki oddech. Kiedy poczuła ulotny zapach ognia i spalonych włosów, przyjęła pozycję wyjściową. Najbliżsi jej łowcy, którzy ukończyli to samo szkolenie przyzwyczajające do bólu i strachu co ona, teraz szlochali z przerażenia i próbowali się od niej odsunąć.

Po raz ostatni spojrzała na Castora. Pozwoliła, żeby jego zacięta, pełna determinacji i pewności siebie twarz wryła się jej w pamięć.

Potem zaczęły się krzyki.

Dwaj najbliżsi łowcy zaczęli płonąć od środka. Moc Castora wypalała ich kości, ściągną, mięśnie, skórę.

Lore skoczyła do przodu, rozcinając włócznie wyjących i umierających łowców. Egida pochłaniała uderzenia kolejnych mieczy i noży, więc parła przed siebie. I choć czubek czyjejś broni zahaczył o jej kark, nie zatrzymała się, wciąż przedzierając się przez chaos eksplodujący dookoła niej.

Tylko raz spojrzała za siebie. Zobaczyła, jak jeden z łowców przedziera się przez linię ciał rozpadających się w proch, wyskakuje w górę i uderza ostrzem. Stał zahaczyła o pasek kamizelki Castora, przecięła go i zagłębiła się w jego ramieniu.

Nowy bóg zatoczył się do tyłu, tracąc na chwilę koncentrację. Obrócił miecz i zaatakował.

Kolejni łowcy wpadli na stację z ulicy powyżej, starając się przedrzeć przez peron. Umysł Lore krzyczał, żeby ponownie się odwróciła, lecz patrzyła przed siebie, w ciemność. Biegła, aż wreszcie przestała czuć żar mocy Castora, a jej blask przygasł niczym umierająca gwiazda.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI



JEJ TELEFON ZŁAPĄŁ ZASIĘG DOPIERO WTEDY, KIEDY LORE DOTARŁA do węzła tuneli pod stacją Grand Central. Nie pomyślała wcześniej, że skrzyżowanie trzech różnych linii metra z koleją Metro-North będzie dezorientujące.

– Cholera!

Drżącymi rękami walczyła z komórką, próbując odczytać SMS-y. Załadował się najnowszy, od Milesa, który informował, że znajduje się już w budynku na górze. Do południa pozostał im kwadrans.

Cas ma kłopoty, napisała w wiadomości do wszystkich. *Aleja 5, linia 7. Działam dalej.*

Mapa GPS nie była dostatecznie szczegółowa, żeby Lore wiedziała, którą drogę wybrać. Zorientowała się jedynie, że zmierza we właściwym kierunku.

Zanim znalazła ostatni tunel, jej ciało zeszytywniało z frustracji. Stojąc u wejścia i wpatrując się w jedwabistą ciemność, zawahała się, nagle niepewna.

Po drodze zgubiła się tyle razy, że nie bardzo rozumiała, jakim cudem dotarła aż tutaj. Wiedziała już, jak Tezeusz musiał czuć się w labiryncie, tyle że ona nie miała nici Ariadny, dzięki której mogłaby wrócić.

Zmusiła się do zaczerpnięcia oddechu. Jedną rękę położyła na rękojeści Mákhomai, drugą zacisnęła w pięść pod egidą. Wibracje tarczy podsycaly kłębek strachu, który związał się w jej żołądku.

Pierwszy krok wymagał od niej tyle wysiłku, ile przebicie się przez mroczną falę. Nie znała modlitwy, która mogłaby jej teraz pomóc, ani też nikogo gotowego jej wysłuchać. Czuła powietrze poruszające się wokół niej, jak gdyby tuż obok przemieszczały się jakieś istoty. Niewidoczne, obserwujące ją, czekające.

Przycisnęła zakrzywioną krawędź egidy do czoła i zamknęła oczy. Sięgnęła po naszyjnik i ścisnęła piórko, aż jego metalowe krawędzie pozostawiły ślad na jej dłoni.

Mogę być wolna.

Nie była Tezeuszem w labiryncie ani Perseuszem w kryjówce Gorgony. Nie była Heraklesem męczącym się ze swoimi zadaniami. Nie była Bellerofontem sunącym po niebie, Meleagerem na polowaniu ani Kadmošem mierzącym się ze smokiem. Nie była nawet Jazonem triumfującym gdzieś na końcu świata ze złotym runem w ręku.

Przeznaczenie nie istniało, a Lore nie została wybrana do tej misji. Przyszła tutaj z własnej woli. Każdy krok, który zrobiła, i każdy błąd, który popełniła, zaprowadziły ją właśnie w to miejsce.

Przyszła tutaj, ponieważ ojciec nauczył ją trzymać miecz, a matka wpoila jej, jak być silną i dumną. Ponieważ jej siostry nigdy nie dorosły.

Przyszła tutaj dla miasta, które ją wychowało. Przyszła z dumą swoich przodków i siłą w sercu. Wiedziała, że się na nich nie zawiedzie.

I wtedy właśnie je zauważyła – cienie poruszające się wzdłuż ścian tunelu.

– Zostańcie ze mną – szepnęła, robiąc kolejny krok. Powtarzała te słowa, aż stały się modlitwą, której tak potrzebowała. Prawdziwym pancerzem dla jej duszy. – Proszę, zostańcie ze

mną!

Pobiegła do przodu. Leciwała w głąb podziemnego korytarza niczym strzała wypuszczona z najpewniejszych rąk.

– Zostańcie ze mną...

Powietrze stało się inne i Lore zrozumiała, że zbliża się do celu. Prąd mocy lizał jej zmysły, zmuszając ją do opuszczenia tej linii, kierując do mniejszego tunelu.

Skupiła się jeszcze mocniej i zaczęła biec wzdłuż torów, rozpryskując wodę na boki. Wcześniej, niż się spodziewała, dotarła do nieużywanego odcinka metra. Tego, który prowadził pod hotel Waldorf-Astoria.

Usłyszała głosy i zwolniła, wyłączając latarkę.

– Posłuchaj mnie, proszę!

Belen, pomyślała. Wyciągnęła jedną z słuchawek dousznych, żeby lepiej go słyszeć.

Niewyraźne kształty uformowały się po drugiej stronie korytarza, w szerokiej przestrzeni otaczającej Tor 61. Dookoła rozwieszono lampy oświetlające kolejne sekcje tunelu, miejscami czarnego niczym smoła. Nie przypominał on tych, przez które przeszła razem z Castorem.

Lore z trudem poruszała się do przodu, próbując stawiać stopy pomiędzy dwoma trakcjami ukrytymi pod powierzchnią wody. Wokół nie zauważyła wysokich peronów, za to dostrzegła wolną przestrzeń rozciągającą się na prawo od stojącego przed nią pojedynczego wagonu metra. Przymocowano do niego duży, srebrny zbiornik wielkości samochodu. Jeśli była to bomba, to nigdy wcześniej takiej nie widziała.

– Wątpisz we mnie?

Głos Gniewnego wydał jej się niski i niepokojący. Nowy bóg obszedł wagon i znalazł się w jej polu widzenia. Gdzieś obok majaczyła potężna winda – ta, którą można było wjechać do hotelowego garażu.

Gniewny okazał się potworny w swojej mrocznej wzniosłości. Ciało miał twarde od mięśni. Górowałby nad Castorem tak, jak teraz górował nad Belenem.

Chłopak cofnął się i podniósł. Miał na sobie szkarłatną szatę ceremonialną haftowaną złotem. Obie dłonie owinał grubą warstwą białej gazy.

Połysk na skórze Gniewnego musiał pochodzić od złotej farby, która zdobiła jego ciało okryte jedwabną tuniką w kolorze kości słoniowej. Na piersi miał zbroję z polerowanego brązu, do tego rękawice i nagolenniki. Co gorsza, nosił też kolczastą, brązową skórę. Jej kaptur odlano z brązu, który mógł pełnić funkcję hełmu – i tak właśnie Gniewny go wykorzystywał. Skóra należała kiedyś do lwa nemejskiego i każdemu, kto ją nosił, zapewniała ochronę przed ostrzami.

Ogarnęła ją panika. Jeśli przygotował się na bitwę, i to jeszcze przed zachodem słońca...

Znów mieli błędne informacje. Gniewny właśnie wcielał swoje plany w życie.

Lore wyciągnęła telefon, ale nadal nie miała zasięgu. Zastanawiała się, czy się nie wycofać, spróbować wejść na wyższy poziom i ostrzec pozostałych, jeśli sami jeszcze tego nie odkryli. Tymczasem Belen odezwał się ponownie, jeszcze bardziej zdesperowany.

– Jesteś najpotężniejszą istotą na świecie – stwierdził. – Masz nas, a przecież jesteśmy tobie oddani. Wszyscy, mój panie.

– Naprawdę? – zapytał chłodno Gniewny. Powoli okrążył swojego śmiertelnego syna. Nie sięgnął po ostrze, a jednak zmusił go do cofnięcia się na peron.

– Nie potrzebujesz jej – argumentował Belen piskliwym głosem.

Krew krążąca w żyłach Lore na dźwięk tego jednego słowa zamieniła się w lód. *Jej*.

– Zastanów się, dlaczego zgodziła ci się pomóc. Dlaczego przyszła do ciebie właśnie teraz, kiedy jesteś już tak blisko wszystkiego, o czym marzyłeś. Ona i jej siostra próbowały cię zabić. Chciały zamordować wszystkich nowych bogów. A teraz co, nagle okazuje ci szacunek?

Jest przebiegła. Pozna twój plan i sama będzie chciała go zrealizować, a ciebie zabije. Ona cię zniszczy, ojczu. Proszę...

– Ojczu? – powtórzył cichy głos.

Atena pojawiła się na skraju jednego z oświetlonych odcinków tunelu. Jej oczy wciąż błyszczały w ciemnościach.

Tętno Lore przyspieszyło, a pot oblał ciało. Głowa Belena zwróciła się w stronę bogini. Chłopak niemalże się zakrztusił.

– Ojczu? – powtórzyła ponownie Atena. – Mój wielki panie, nie spodziewałam się, że ktoś tak potężny jak ty będzie miał równie płacznego i słabowitego syna.

Zatrzymała się tuż obok Gniewnego, trzymając dory w dłoni. Ona także założyła ceremonialną szatę, w kolorze najczystszej bieli, a skórę pomalowała tą samą, lśniąca na złoto farbą. Zbroję miała równie solidną, co nowy bóg, do tego hełm z białym pióropuszem otoczonym rzędem kamieni, które z daleka wyglądały na szafiry i diamenty.

Lore poczuła nienawiść zapierającą jej dech w piersiach. Oraz wściekłość, choć przecież powtarzała sobie, że jej nie potrzebuje i nie chce.

Zapomniała o spokoju, zapomniała o planie, zapomniała o wszystkim oprócz wstydu, za pomocą którego Gniewny próbował zniszczyć jej ród. Pamiętała również, że pragnął jej śmierci, choć była tylko małą dziewczynką. Dlatego widziała przed sobą jedynie twarz mężczyzny, który chciał zabić jej rodzinę, oraz bezlitosnej bogini, która jej rodzinę zabiła.

Gniewny obrócił się w stronę Ateny, prostując szerokie plecy. Chwycił hełm, a rękę skierował w stronę miecza wiszącego mu u boku.

– Ona cię zdradzi. Zniszczy cię, tak jak zniszczyła innych – zaczął Belen, tym razem autentycznie przerażony. – Posłuchaj mnie! Ona karmi cię kłamstwami! Nie potrzebujesz jej!

– Nie kłamię – stwierdziła chłodno Atena. – Wielkiego Gniewnego i mnie łączy Przeznaczenie. Zawsze nas łączyło. To spotkanie starego i nowego. Pierwszy Ares był słaby, miał zbyt chwiejne nastroje i odznaczał się szaleństwem. Najbardziej znienawidzony z dzieci mojego ojca. Teraz zaś znalazłam godnego sojusznika na czas wojny. Kogoś o sile dopełniającej moją umiejętność planowania. Nowego króla, przed którym nie wstydę się klęknąć.

Belen pokręcił głową.

– To... nie może być prawda.

– Zarzucasz mi kłamstwo? – zapytała ostro bogini. – Jestem winna mojemu panu wierność, gdyż łaskawie opowiedział mi o nowym wierszu i o życzeniu mojego ojca. Cieszę się, że mogę mu służyć aż do jego ostatecznego, prawdziwego wstąpienia.

Lore poczuła w gardle żółć. Po tym wszystkim, co Atena jej zrobiła, jej miękki, mdły ton wydawał się skrywać kolejną zdradę. Na dachu domu Lore opowiedziała jej o wszystkim – o swojej przeszłości i najsłabszych lękach. Uwierzyła bogini. Czowała jej z trudem tłumiony gniew i frustrację.

Nazywasz to współudziałem i może rzeczywiście tak jest, powiedziała jej kiedyś Atena. Dla mnie to była próba przeżycia.

Być może i teraz bogini udawała, ale wymagało to od niej ukorzenia.

– Siwooka jest najmądrzejszą ze wszystkich istot – powiedział Gniewny, pęczniąc z dumy po jej słowach. Najwyraźniej uwierzył w nie, co świadczyło o tym, że był człowiekiem, który nie dostrzegał u siebie wad. – Udowodniła już, że jest godna mi służyć... A ty? Chłopiec, który nawet nie potrafi walczyć, ośmiela się kwestionować mój osąd? Ma czelność wierzyć, że jest mądrzejszy od samej Ateny?

Belen potrząsnął głową i cofnął się, stając na krawędzi peronu.

– Mój wielki panie – zaczęła Atena, obdarzając młodzieńca spojrzeniem, które Lore już

znała, oznaczającym ciche zwycięstwo. – Wiesz dobrze, że jeżeli przedsięwzięcie ma się powieść, musi zacząć się od ofiary mającej zapewnić przychylność Zeusa.

Nowy bóg zwrócił się ku swemu śmiertelnemu synowi.

Każda część Lore parła do przodu, choć ona sama nie ruszyła się z miejsca.

Belen zdążył jeszcze wyszeptać: *Proszę...* Potem jego ojciec wyciągnął niewielkie ostrze z pochwy na przedramieniu i poderżnął mu gardło.

Pod wpływem cięcia krew prysnęła na zbiornik. Belen upadł na ziemię. Jego ciało jeszcze przez chwilę drżało, a rozszalałe serce wypompuowało z niego resztki życia.

Gniewny obserwował jego śmierć, a na jego twarzy pojawiło się mroczne zadowolenie. Kiedy chłopak w końcu znieruchomiał, nowy bóg pochylił się i położył dłoń na gardle syna, brudząc ją krwią.

Atena obserwowała go, nadymając górną wargę.

Gniewny wstał i przycisnął rękę do zbiornika, pozostawiając na nim krwisty ślad. Potem cofnął się, nie spuszczając z niego wzroku. Przyłożył palce do ust. Do języka.

Nie odwracając się, skierował słowa do Lore.

– Córkó Perseusza!

Zostańcie ze mną, pomyślała dziewczyna po raz ostatni, chwytając egidę za pasy i wchodząc na stację.

– Jak miło z twojej strony – dodał. – Przyniosłaś ostatni dar swojemu bogu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI



JEGO GŁOS BRZMIAŁ NICZYM ŁUSKI GADA PRZESUWAJĄCE SIĘ po skórze, wzbudzając w niej nieuświadomiony, pierwotny rodzaj lęku.

Adwersssarze, syknął głos w jej umyśle.

Ścisnęła mocniej pasy egidy, wyobrażając sobie bogów kulących się przed jej mocą. Ale nie czuła satysfakcji.

Nie, pomyślała. *Potrzebuję twojej pomocy, ale nie takiej.*

Miała własną furję i własną siłę. Chciała, żeby to j e j się bali, żeby wiedzieli, że to ona ich pokonała.

Lore nawet nie drgnęła, kiedy padło na nią spojrzenie Gniewnego. Roześmiał się, lecz wciąż zbliżała się z wysoko uniesioną egidą i ręką opartą na rękojeści miecza. Dźwięk odbił się echem dookoła nich i zwielokrotniając się, przeszedł w ryk. Lore nie spoglądała na Atenę, choć widziała ją gdzieś na skraju pola widzenia.

– Jak wielkim sprytem się wykazałeś, mój panie – powiedziała Atena cichym, łagodnym głosem. – Wysłałeś swojego łowcę, żeby przekazał potomkom Odyseusza fałszywe informacje.

Oddech Lore zatrzymał się w jej piersi.

– Zrobiłem to, czego ty nie potrafiłaś – odpowiedział i protekcyjnie przechylił głowę. – Wyciągnąłem tę małą sukę z jej kryjówki i kazałem jej przynieść moją tarczę.

Reakcja była niewielka, ale wymowna. Słyszac słowa „moją tarczę”, Atena się wyprostowała. Kiedy jednak odezwała się po raz kolejny, jej głos znów wyrażał szacunek.

– Zaiste. Mam ci ją przynieść?

Włosy na ciele Lore stanęły dęba. Bogini prowadziła bardzo subtelną grę.

– Nie – odpowiedział Gniewny i obdarzył Atenę aroganckim uśmiechem. Mówił tonem rodzica besztającego nierozumne dziecko. – Nie jesteś wystarczająco silna, żeby po nią sięgnąć. Pozwolę ci ją ponieść, kiedy wykonamy nasze zadanie i nie będę jej już potrzebował.

Lore uniosła egidę, starając się ukryć, że wkłada słuchawkę do ucha.

Kiedy się odezwała, usłyszała swój przytłumiony głos.

– Zniżyłaś się do współpracy z nim? – zwróciła się do Ateny. Wiedziała, że w ten sposób rozwścieczy Gniewnego. – Z jednym z najpośledniejszych nowych bogów? Przecież nimi gardzisz!

Gniewny stanął przed Lore, zasłaniając Atenę. Wyprostował się i wypiął klatkę piersiową, spoglądając na nią.

Lore wciąż patrzyła za niego.

– Siwooka uznała mnie za swojego pana – oświadczył Gniewny z nutą irytacji w głosie. – Zrobiła coś, czego ty odmówiłaś. Zawsze byłaś nadpobudliwa, prawda? Taki mały diabełek, którego najpierw trzeba złamać. Od dziś będziesz mi służyć w każdy możliwy sposób. Ty i ta dziewczyna Odyseidów. Będę miał was po jednej na kolano. Czekanie sprawiło, że ta chwila wydaje mi się jeszcze słodsza.

Wściekłość i obrzydzenie zapłonęły w Lore, niemalże przejmując nad nią kontrolę.

Skup się, pomyślała. Jej plan wciąż mógł wypalić. Wciąż mogła ich rozegrać.

– Więc razem z Artemidą rozpoczęłyście ten Agon z zamiarem zabicia wszystkich

nowych bogów – powiedziała do Ateny, odsuwając się od Gniewnego w stronę wagonu ze zbiornikiem. – A ty zbliżyłaś się do mnie w nadziei, że dam ci egidę i ułatwię zabicie nowego Apolla. Może nawet niektórych innych nowych bogów, w tym tego tutaj.

Teraz dla Lore było to oczywiste. Cały plan bogini.

Gniewny ryknął, wciągając powietrze do płuc. Niepokój rozlał się po jego twarzy, lecz nowy Ares ponownie stanął pomiędzy nimi, próbując zmusić Lore do spojrzenia na siebie.

– Jest lojalna wobec swojego władcy. Rozumie moją moc – powiedział. – Mogłem wynieść również ciebie, ohydny, dziką bestię. Ale umrzesz tak, jak żyłaś. Jako nikt. Bezsilna, samotna istotka.

Skup się, pomyślała ponownie Lore, próbując wytrzymać narastające mdłości. Zaciśnęła dłonie na egidzie, aż poczuła ból. Każdy mięsień jej ciała był tak napięty, że błagał o choćby chwilę ulgi.

Uniosła rękę i wymacała przełącznik słuchawki dousznej. Jeśli Gniewny skierował pod jej adresem jakiejkolwiek inne okrutne złośliwości, to zginęły one w nienaturalnej, szumiącej ciszy.

Pomogła ona Lore się skupić, zaostrzyła głód w jej sercu. Dziewczyna chciała, żeby Atena i Gniewny poczuli jej ból. Chciała, żeby krwawili i cierpieli tak jak jej siostrzyczki. Żeby błagali o litość.

Chłodny uśmiech Ateny oznaczał, że znała każdą jej myśl.

Pewnie spodziewała się, że temperament Lore ponownie da o sobie znać. Że dziewczyna wybuchnie. Że spali ją ten sam impuls, który zasiała w jej sercu Atena.

Dlatego Lore zachowała spokój. Egida nie drżała już w jej rękach, ani ze strachu, ani ze złości. Gdyby dziewczyna musiała wykorzystać swoją nienawiść do pogrzebania ostatnich wątpliwości, zrobiłaby to z radością. Ale nie mogła pozwolić, żeby pokrzyżowało jej to plany. Nie mogła rzucić się w ogień i zginąć.

Dzięki umiejętnościom zdobytym w Domu Tetydy z łatwością odczytała polecenie z ust Gniewnego. Wyciągnął do niej rękę. Sprawiał wrażenie skupionego, lecz jego twarz promieniała triumfem. Lore wiedziała, że korzysta z mocy, dlatego udała, że zмага się z ciężarem tarczy. Nawet się zakołysała.

Przynieś mi ją, powiedział. Pomimo stroju i farby, a także wrażenia, jakie robił, skrywając się w cieniu, wciąż widziała w nim tego samego starego człowieka siedzącego na pozbawionym znaczenia tronie. *Daj mi egidę!*

Zadrżała z podekscytowania. Skupiła się jednak, jakby szykując się na najbardziej agresywną z form jego mocy. Wykrzywiła się, odgrywając opór, a nawet zrobiła krok w jego stronę. Użyła egidy, żeby ukryć latarkę wydobyłą z kieszeni.

Oczy Ateny zwęziły się, a na jej ustach pojawiło się słowo: *Czekaj*. Gniewny nie należał do mężczyzn, którzy słuchają się kobiet, a nieśmiertelność tego nie zmieniła.

Kiedy Lore podeszła bliżej, wyciągnął rękę, zatrzymując Atenę, a nawet odpychając ją od tarczy.

Daj mi ją, powtórzył, kierując w stronę Lore swoje długie, potężne ramię... Jego twarz zdobiła duma z kolejnego zwycięstwa. *Daj mi ją, daj mi ją, grzeczna dziewczynko*.

Postanowiła oślepić go przy pomocy latarki. Jeszcze przed chwilą rozgrzewała ją wściekłość, ale na dźwięk zaledwie dwóch słów – „grzeczna dziewczynko” – zgasła.

Lore włączyła najmocniejszy snop światła i zobaczyła, że oboje odwracają głowy.

Czas zwolnił, kiedy Lore upuszczała latarkę i wyciągała Mákhomai z pochwy. Potem ponownie przyspieszył, gdyż podjęła decyzję. Skóra lwa nemejskiego chroniła plecy Gniewnego, a z przodu sięgała jego napierśnika. Ale ani ona, ani rękawice nie zasłaniały jego stawu

łokciowego. Lore uderzyła ostrym jak brzytwa ostrzem, jednym czystym ruchem odcinając nowemu Aresowi prawie przedramię.

Gniewny zatoczył się do tyłu, a krew trysnęła z jego otwartej rany.

– Ta g r z e c z n a d z i e w c z y n k a czeka, aż sam przyjdiesz i ją sobie weźmiesz – warknęła Lore. Przyciągnęła egidę do ciała, ale kiedy się odwróciła, ponownie zaczęła słyszeć dźwięki. Niewielka słuchawka wypadła z jej lewego ucha.

Cholera, pomyślała, spoglądając w otaczającą ją wodę. Nie znalazła jej.

Gniewny opadł na jedno kolano i szczerzył z bólu. Jego płuca pracowały jak miechy, kiedy uniósł drugą dłoń, próbując zatamować krwawienie. Potem posłał Lore spojrzenie, w którym zawarł obietnicę koszmarnego bólu. Na czole pulsowała mu żyłka.

– Suka... – wydyszał. – Mała suka...

– Jest twój – powiedziała Lore do Ateny. – Możesz wykorzystać okazję i wyeliminować konkurencję. Obie wiemy, że i tak nie pozwoliłabyś mu sięgnąć po egidę.

Bogini uśmiechnęła się i podeszła do Gniewnego.

– Nie słuchaj jej, panie. Chce nas podzielić. Wstań i udowodnij, jaki jesteś silny.

Gniewny usłuchał jej, pocąc się i przeklinając. Krew ciekła mu spomiędzy palców. Widząc jego wściekłą minę i obnażone zęby, Lore zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem tym jednym cięciem nie pozbawiła go resztek człowieczeństwa.

– Rozumiem, że twój fałszywy bóg cię uzdrowił – stwierdziła drwiącym tonem Atena. – Gdzie on się podział, Melora? Zgubiłaś go w ciemnościach?

Żyje, powiedziała sobie Lore. *Żyje i przyjdzie tutaj.*

Wtedy do głowy przyszła jej inna myśl, przebijająca wszystkie inne.

Lore założyła, że Atena potrzebowała tarczy, żeby poznać nową wersję wiersza. Teraz знаła jego treść, a mimo to nie porzuciła Gniewnego. Kontynuowała grę.

Wciąż jej pragnie, pomyślała dziewczyna, marszcząc brwi. *Nadal chce egidy!*

Więc dlaczego nie wykorzystuje swojej ogromnej siły, żeby wyrwać tarczę z jej rąk? Przecież obie wiedziały, że zdołałyby to zrobić.

Bo, szepnął cichy głosik w jej umyśle, *tarcza stanowi część jego planu.*

– Powiedz mi, po co ci egida – powiedziała Lore, cofając się. Bynajmniej nie ze strachu. Chciała zbliżyć się do wagonu i zbiornika, a potem dokładniej im się przyjrzeć. Musiał istnieć jakiś sposób na uszkodzenie silnika.

Kącik ust bogini się uniósł.

Lore jeszcze wyraźniej słyszała bicie swojego serca.

– Mój wielki pan – zaczęła Atena z szyderczą miną, której nowy bóg nie mógł widzieć – odkrył prawdziwe znaczenie nowych wersów i poznał instrukcje mojego ojca. Sama ich nie pojmowałam, dopóki nowy Ares nie przypomniał mi historii Deukaliona i Pyrry. Przypuszczam, że ją znasz?

Lore przeanalizowała jej słowa. Mroczne powietrze zdawało się napierać na nią ze wszystkich stron.

Deukalion i Pyrra jako jedyni ocaleli z wód powodziowych, które Zeus zesłał, żeby położyć kres skłóconym śmiertelnikom epoki brązu. Ostrzegł ich Prometeusz, ojciec Deukaliona. Później to oni ponownie zaludnili świat, rzucając za siebie kości matki – kamienie.

– Rozumiesz więc... – powiedziała Atena. – Długo sądziłam, że polowanie jest karą. W rzeczywistości okazało się sprawdzianem. Przez cały ten czas mój ojciec pragnął, żebyśmy udowodnili naszą lojalność, kończąc najgorszą erę w historii ludzkości. Mieliśmy stworzyć nową rasę, która będzie oddawała cześć bogom.

Lore potrząsnęła głową, walcząc z duszącym ją gniewem.

- Potrzebowałabyś mocy Posejdona, żeby zawładnąć morzami i rzekami.
- Jakby już ich poziom się nie podnosił! Przecież ludzie wciąż zatruwają świat – rzuciła bogini. – Czy nie będą tego kontynuować, kiedy bóg wojny rozpali ich serca i pobudzi na tak długo, aż powietrze wypełni się dymem, a ziemia zacznie krwawić?
- Jej strach – powiedział Gniewny, nagle pojawiając się za Lore – działa na mnie jak wino krążące we krwi.
- To tylko przedsmak tego, co nadejdzie – stwierdziła Atena, nie zwracając sobie głowy patrzeniem na niego. – Kiedy świat wreszcie zda sobie sprawę ze swojego losu – dodała i zrobiła krok w stronę Lore. Jej oczy na chwilę skierowały się w stronę egidy. – Ale to nie woda oczyści ziemię. Nie woda oczyści ten świat. To rola ognia.
- Lore odwróciła się w stronę wagonu ze zbiornikiem. Uniosła miecz.
- Na twoim miejscu nie robiłbym tego – pouczył ją Gniewny. – Zawiera ogień morski, który zapala się przy kontakcie z wodą.
- Ogień morski. Lore odetchnęła przez nos. Legendarna broń Cesarstwa Bizantyjskiego. Chemikalia zapalające wszystko, z czym się zetkną. Nawet wodę. I to właśnie woda przenosi go i zasila płomienie. Ma zagotować ulice, niszczyć niemalże wszystko na swojej drodze. Żywiąc się każdym napotkanym surowcem. W zalanym mieście zduszenie takiego ognia zajęłoby wiele dni, jeśli nie tygodni. A do tego czasu...
- Bogowie nie zamierzali wysadzić dworca Grand Central. Zamierzali spalić Nowy Jork.
- Tak – szepnął Gniewny. – Ogień rozprzestrzeni się kanałami przez liczne podziemne tunele i pożre miasto od dołu.
- Ale zapalenie go teraz doprowadzi także do waszej śmierci – powiedziała Lore, cofając czubek Mákhomai. Była gotowa zaryzykować. Spróbować przebić metalową skorupę zbiornika.
- Czy to nie powinno was odstraszyć?
- Tylko jak uratujesz przyjaciół przed piekłem, które po eksplozji rozpęta się nad nami?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY



PULS LORE PRZYSPIESZYŁ, A NOZDRZA SIĘ PORUSZYŁY.

– To pusta groźba – rzuciła z trudem. – Zorientują się, co jest grane, kiedy tylko zauważą zniknięcie łowców.

– Dziecko... – odparł Gniewny. – Kto powiedział, że wszyscy moi łowcy zniknęli? Potrzebowałem dwóch, którzy uwięziliby pozostałych i podpalili ogień morski.

Szok smagnął nią niczym bat.

– Ty... – zaczęła. – Chcesz ich...

– Ty, ty, ty – powtórzył nowy Ares kpiącym tonem. Stał tuż obok Ateny, obwiązując ramię pasem niczym opaską zaciskającą. – Poza tym, i tak muszą umrzeć, żeby świat mógł narodzić się na nowo. Zasługują jednak, żeby się dowiedzieć, iż będą pierwszymi ofiarami nowej, wspaniałej ery.

Lore spojrzała na Atenę, ale bogini jego słowa nie poruszyły.

– Nie możesz tego zrobić – oświadczyła dziewczyna. – Nie możesz tak po prostu zabić łowców... Jeśli jego plan się powiedzie, zginie wielu niewinnych ludzi.

– Nie ma niewinnych śmiertelników – przypomniała jej bogini.

– Z przyjemnością wyrwę z ciebie życie, żeby zobaczyć ostateczny koniec rodu Perseusza – stwierdził Gniewny. – Oddaj mi hołd i za pomocą egidy wezwij Gromowładnego. Niech zobaczy pożogę.

– Naprawdę myślisz, że tarcza zachęci Zeusa, żeby tu przyszedł i patrzył się, jak niszczysz miasto? To tak nie działa, dupku!

– Działa tak, jak mówię, że działa – odparł Gniewny przez zaciśnięte zęby.

Bogowie ruszyli w jej stronę, więc Lore przyjęła postawę obronną. Mákhomai ciążył w jej dłoni, ramię zaś trzęsło się z wysiłku. Świeży strach zawirował w jej sercu, a wagonik metra nagle drgnął i jego niewidoczny silnik zaczął pracę.

– Czy teraz już to czujesz? – zapytał Gniewny.

Lore próbowała jeszcze znaleźć słuchawkę, ale było za późno. Moc ukryta w jego słowach zamieniła jej kończyny w gumę.

Zachwiała się i czucie opuściło jej ciało. Wbrew swojej woli osłabła. Ledwie była w stanie unieść egidę.

– Naprawdę sądzisz, że pozwoli ci przeżyć? – zapytała, z trudem wypluwając kolejne słowa. Zadrżała i rozsunała zanurzone w wodzie stopy, próbując za wszelką cenę uniknąć upadku. – Że Zeus i pozostali bogowie oddadzą ci ten świat?

– Głupia jesteś! – warknęła Atena. – I nic nie wiesz!

Pewna myśl wpadła Lore do głowy niczym światło słoneczne przebijające się przez chmury. Nagle dziewczyna odkryła prawdziwy powód, dla którego bogini tu przyszła. Dlaczego robiła wszystko, co w jej mocy, żeby odzyskać tarczę.

Gniewny zapomniał o poniesionej ranie i próbował uderzyć ją odciętym ramieniem. Lore nawet nie drgnęła, kiedy dory Ateny pojawiło się pomiędzy nimi, uniemożliwiając mu ponowy atak. Oczy bogini płonęły w ciemnościach.

– Masz rację, jestem głupia – wycedziła Lore. – Tak jak miałaś rację wtedy, kiedy

szczyłaś ze mnie, że ci uwierzyłam. Tak naprawdę nie tylko uwierzyłam tobie, ale również uwierzyłam w ciebie. Zwłaszcza kiedy osłoniłaś tych ludzi przed wybuchem i walącym się gruzem. Kiedy wspomniałaś mi o Pallas, o swoim mieście, o celu, z jakim przyszłaś na świat, i o tym wszystkim, czego tak naprawdę pragnęłaś.

Atena niemal niezauważalnie się wzdygnęła.

– Twoje świątynie upadły. Ludzie przestali się ciebie bać. Twoja legenda, kiedyś głośno opowiadana, stała się jedynie szeptem – kontynuowała Lore. – A mimo to nadal w ciebie wierzyłam.

Nozdrza Ateny rozszerzyły się, dłonie ścisnęły drzewiec włóczni.

– To nie jest żaden sprawdzian. To lekcja – oznajmiła dziewczyna. – Dlaczego Zeus miałby chcieć, żebyście zabili niewinnych ludzi czczących innych bogów, skoro właśnie z tego powodu was ukarał? Przecież po tym wszystkim, co wam zrobił, nigdy nie mówiłaś o nim z gniewem czy urazą. W twoich oczach on wciąż nie ma sobie równych. Dlatego nigdy nie odda świata zwycięzcy Agonu.

– Cisza! – ryknął Gniewny, zamierzając się na nią.

Lore przypomniała sobie słowa, które usłyszała rano od Vana. Pchnęła je dalej, niczego się nie obawiając.

– Ofiara musi coś znaczyć. Ale ty uważasz ją za coś, co ci się należy od innych. Przecież Zeus przemawiał w Olimpii do śmiertelników! My rozumiemy ofiarę inaczej. Składamy ją na cześć bogów, dziękujemy im za łaskę lub prosimy o błogosławieństwo... Błagamy o przebaczenie.

– Wyrwę ci język z paszczy – oświadczył Gniewny. – Już dawno powinienem był to zrobić. Jeszcze kiedy byłaś szczeniakiem.

– Czy kiedykolwiek tego spróbowałaś? – zapytała Lore Atenę. – Odpokutowałaś za to, co wydarzyło się przed wiekami? A może spędziłaś ponad tysiąc lat, próbując się usprawiedliwiać, winiąc za wszystko nieszczęsny los? Może nie potrafisz znieść świadomości, że to ty i tylko ty ponosisz winę za utratę ojcowskiej miłości?

Twarz Ateny spowijała ciemność, lecz Lore wiedziała, że bogini pozostaje niewzruszona. Dziewczyna straciła resztki wiary. Nie znalazła sposobu, żeby do niej dotrzeć. Nie teraz.

– Miałaś być obrończynią miast – powiedziała. – A nie przyczyną ich upadku!

Gniewny warknął i ponownie rzucił się na Lore. Dziewczyna gwałtownie się cofnęła. Woda wokół nich rozprysła na boki.

Każdy kolejny jego cios odciągał Lore od wagonu i zbiornika. Walcząc z potokiem jego mocy, dziewczyna opadła na kolano i uniosła tarczę. Nie mogła nic zrobić, a jedynie pozwolić, żeby burzą ciosów Gniewny poobijał egidę.

Zaciskała zęby, a jej ramiona trzęsły się z wysiłku po każdym potężnym uderzeniu.

Pomóż mi, pomyślała Lore. Proszę!

Tak, usłyszała szept.

Uderzyła pięścią w przód egidy.

Ta ryknęła.

Jej krzyk wstrząsnął ścianami tunelu. Luźne kawałki betonu posypały się na nich. Lore zaczerpnęła kolejny haust powietrza i poczuła, jak przepełnia ją moc. Przepełnia bez końca, choć Gniewny próbował jej ją odebrać.

Nagle wszystko zamarło. Lore wiedziała, co się wydarzy.

Na twarzy Gniewnego nie było już choćby śladu człowieczeństwa.

– Jeszcze ci mało, ty mała suczko? Nawet twój ojciec wiedział, kiedy odpuścić – stwierdził z rozbawieniem. – Cóż, morze, ogień i kobiety to trzy przysłowiowe nieszczęścia!

Lore nienawidziła tego powiedzenia jeszcze bardziej niż Gniewnego.

Podeszła bliżej. Uniósł miecz, zupełnie niezrażony krwią ciekącą z rany po odciętym ramieniu.

Karmi się moją siłą, uświadomiła sobie Lore. Tylko dzięki temu utrzymywał się na nogach. Dyskusja podsyciła jego żądzę krwi.

Gdyby udało jej się zmusić go do normalnej walki...

Znieruchomiała.

Normalna walka. Przecież nie musiała walczyć na jego warunkach. Niczym łowca.

– Mam dla ciebie kolejne antyczne powiedzonko – powiedziała, wysuwając rękę spod wewnętrznych pasów egidy. – Pieprz się!

Rzuciła w niego tarczą. Gniewny wyciągnął dłoń, lecz jego głośny śmiech zgasł, kiedy egida uderzyła go w pierś, łamiąc kości. Przewrócił się na plecy i sapnął, przygnieciony jej ogromnym ciężarem.

– Możesz sobie być bogiem – stwierdziła, rozkoszując się widokiem jego zmagania. – Ale ja jestem Perseidką.

Adrenalina pokonała jej zdrowy rozsądek. Lore rzuciła się z mieczem do przodu. Jej serce pałało chęcią wbicia bogu ostrza w pierś.

Gniewny odepchnął egidę i zasłonił się własnym orężem. Atena zniknęła Lore z oczu, co pociągnęło za sobą kolejną falę niepokoju.

Dziewczyna pochyliła się jeszcze mocniej i zobaczyła, że oczy Gniewnego się rozszerzają. Nie znał tej postawy, dlatego pozwolił, żeby Lore uderzyła go kolanem w żołądek. Dokładnie tam, gdzie kończył się jego napierśnik.

– Twoim największym błędem było pojawienie się w moim mieście – powiedziała.

– Żadnych sztuczek, dziewczyno – warknął Gniewny. Zacisnął kolana wokół jej bioder, próbując przewrócić ją na plecy.

Sięgnęła po miecz i próbowała wbić mu go w pierś, ale ostrze zsunęło się po zbroi okrywającej jego tors.

Gniewny obrócił się z krzykiem, przyszpilając ją do ziemi całym ciężarem swojego ciała. Nie miał jednak przedramienia, żeby się podeprzeć, kiedy uderzyła go z całych sił w pachwinę. Znalazła akurat tyle miejsca, żeby podciągnąć rękę i wysunąć z tylnej kieszeni niewielki pojemnik długości palca.

– Właściwie to... – zerwała wieczko z pojemnika i prysnęła Gniewnemu w oczy gazem pieprzowym – przygotowałam jeszcze jedną sztuczkę.

Wysunęła się spod niego i wstała, kopnięciem obracając go na plecy. Chwyciła Mákhomai i skierowała go w stronę obnażonego gardła Gniewnego. Lata gniewu, strachu i bólu oczyściły jej umysł ze wszelkich myśli poza jedną.

Wykończ go.

Nie zasługiwał na nic innego niż to, co desperacko pragnęła mu dać. Pchnęła ostrze w dół...

Ale zatrzymała je w momencie, w którym zaczynało przebijać jego skórę.

Niepewnie wzięła oddech, próbując uspokoić szalejące serce.

Mogła go zabić.

Wiedziała o tym. Mogła go zabić i odebrać mu moc, a za jej sprawą dorównać Atenie. Cios za cios. Mogła wypalić swoje imię w pamięci każdego łowcy.

Ale już na zawsze straciłaby wolność.

A tak Gniewny żyłby ze świadomością, że został pokonany przez zwykłą dziewczynę. To byłoby dla niego gorsze niż śmierć. Zemsta zapoczątkowała Agon, ale nie mogła go zakończyć.

Zabicie któregokolwiek z nich oznaczałoby następne polowania w kolejnym cyklu. Na nią i na Castora.

Napięcie w jej klatce piersiowej ustąpiło niczym nagła burza przechodząca w lekki deszcz. Sięgnęła po egidę i wstała.

Gniewny tylko warknął, rzucając się z niewyczerpaną wściekłością.

Słowa ponownie rozległy się gdzieś we wnętrzu Lore. *Los gorszy niż śmierć.*

Odwróciła się w stronę Ateny, wciąż je słysząc.

Nagle dotarło to do niej. Wreszcie zrozumiała.

Czym mogła być ofiara złożona przez bogów, jeśli nie wyrzeczeniem się tego, czego naprawdę pożąдали, nie licząc własnego życia i mocy?

Poświęcenie tego, czego pragnęła najbardziej – oto ostateczne i przerażające zwycięstwo nad sobą.

Żar w oczach Ateny jarzył się w ciemnościach jej hełmu.

Lore wysunęła rękę z pasów tarczy i podała ją bogini.

– Weź ją – powiedziała.

Bogini się nie poruszyła. Nawet nie zaczerpnęła oddechu.

Lore podeszła do niej i położyła na ziemi egidę, a potem się cofnęła.

– A jeśli powiem ci, że jedynym sposobem na uwolnienie się od Agonu jest zaciśnięcie pięści i zniszczenie tarczy? Przekucie jej w bezwartościowy splot skóry i metalu?

Bogini się nie poruszyła.

– Chciałaś mnie torturować. Byłaś gotowa zabić dla niej dwie dziewczynki. Zamordować moich rodziców oraz niezliczonych ludzi, byle tylko znów ją unieść – powiedziała Lore. – A ja dam ci ją z własnej woli. Miej odwagę ją podnieść!

Atena zrobiła krok do przodu, ale się zawahała.

– Nie chodziło ci o wiersz, prawda? A przynajmniej niezupełnie – stwierdziła dziewczyna, czując dziwny spokój. – Nie możesz za jej pomocą wezwać swojego ojca, choć przekonywałaś o tym Gniewnego.

– To prawda? – warknął gdzieś za nią nowy bóg.

– Mój panie... – zaczęła Atena.

– Nie potrafisz z niej zrezygnować – przerwała jej Lore. – Bo jest symbolem ojcowskiej miłości. Jego d u m y z ciebie. Właśnie ją chcesz odzyskać. To uczucie, które utraciłaś, kiedy obróciłaś się przeciwko niemu.

– To akurat prawda – stwierdził Gniewny i spojrzał z nienawiścią na Atenę.

Bogini zdawała się go nie słyszeć. Całą swoją uwagę skupiła na egidzie leżącej pod płytką warstwą wody. Wyraz twarzy bogini wyrażał tortury, które Atena przeżywała. Nadchodził czas podjęcia decyzji.

Mogła uciec od Agonu i być może pomóc innym w ucieczce. Musiała tylko zniszczyć jedyną rzecz, na której naprawdę jej zależało.

– Zrób to – poradziła jej Lore. – To musisz być ty. Możesz to zakończyć.

W dłoni Gniewnego pojawiło się ostrze. Zbliżało się do nich, obracając się w ciemnościach.

Nie.

Lore poczuła konieczność podjęcia decyzji, zanim w ogóle zorientowała się, że ją podejmuje. W ułamku sekundy, pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim, weszła na tor lotu sztyletu.

Poczuła wstrząs, kiedy wbił się w jej klatkę piersiową. Dopiero potem przyszedł ból

i krew popłynęła z rany. Dziewczyna upadła na kolana, do wody, ale na chwilę przed upadkiem w jej umyśle pojawiła się znajoma twarz.

Castor.

Gniewny ryknął, unosząc ją i ponownie uderzając nią o ziemię. Woda rozprysła się, smagając ją ze wszystkich stron. Lore zaczęła się dusić.

Umierała...

Jej ciało skręciło się i znieruchomiało. Z najwyższym trudem złapała kolejny bolesny oddech. Obraz Ateny pękł jak pryzmat, obracając się, aż Lore zwymiotowała. Czuła w ustach smak krwi.

Gniewny ponownie wyciągnął ją z wody i uderzył jej plecami o swoje kolano. Dolna część kręgosłupa Lore pękła i dziewczyna zaczęła krzyczeć.

Nie mogła walczyć. Nie mogła się ruszyć. Agonia wdarła się w nią.

– Coś ty zrobił? – Głos Ateny brzmiał, jakby unosił się na wietrze.

– To trucizna hydry, Siwooka – odpowiedział, wyciągając nóż z Lore. Ponownie pchnął ją do wody, po czym zatrzymał sztylet tuż nad jej klatką piersiową. Nad sercem. – Pochodząca z kawałka materiału przekazanego Heraklesowi. Powlekam nim wszystkie moje ostrza. Chcesz jej posmakować?

– Nie – odparła Atena. – Przemyśl to, mój panie. Pamiętaj o egidzie. Zniknie razem z dziewczyną!

– Jaki miałbym z niej pożytek? – zapytał, spoglądając na boginię spode łba. – Teraz, kiedy zbliża się moje zwycięstwo? Nie mogę wezwać go za jej pomocą. Nie mogę jej nawet nosić. Od tego dnia będę dzierżył jedynie miecz.

– N a s z e zwycięstwo.

Słowa wyłaniały się z mgły udręki. Lore nie była pewna, czy rzeczywiście je usłyszała, czy też miała omamy słuchowe. Przynajmniej do momentu, w którym Atena przemówiła ponownie:

– Jestem przekonana, że chciałeś powiedzieć, „n a s z e zwycięstwo” – rzuciła.

Zrobiła krok do przodu i pochyliła się nad egidą. Jej ręka zawahała się jedynie przez chwilę. Potem, tak łatwo, jakby chodziło o zaczerpnięcie oddechu, Atena wyciągnęła tarczę z wody i uniosła do swojego boku.

– Tak jak jestem pewna, że nie wyraziłam zgody na zabicie tej śmiertelniczki.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY



W UMYŚLE LORE EKSPLODOWAŁY STRACH I BÓL. NIE MOGĄC UFAĆ SWOIM OCZOM, SKUPIŁA SIĘ na odgłosach stali uderzającej o stal. Próbowwała się poruszyć, podnieść się z wody, która raz po raz w szaleńczym tempie obmywała jej twarz.

Bogowie rzucili się do walki, lecz siła ich ciosów odepchnęła ich od siebie.

– Suka! – ryknął Gniewny. – Jak śmiesz!

Atena uderzyła tarczą w jego napierśnik, wywołując deszcz iskier. Egida ryknęła i nowy bóg poleciał do tyłu. Jego masywne ciało ślizgało się na zalanych wodą torach, więc bogini powoli ruszyła na niego. Delektowała się tym, jak czołgał się w stronę wagonu i zbiornika.

Gniewny odwrócił się nagle, rzucając najpierw jednym ostrzem, a potem drugim. Atena okazała się dostatecznie szybka, żeby odbić pierwsze z nich. Lore nie dostrzegła, co stało się z drugim, zanim wpadło do wody. Bogini zaczęła, aż jej przeciwnik wstanie, aż znajdzie się na wyciągnięcie ręki od wagonu. Na tyle blisko, żeby uwierzył, że zdoła go dosięgnąć.

Owinięta wstęgami ciemności Atena skoczyła w górę i przeleciała ponad Gniewnym, trzymając dory w ręce. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, nawet śladów wahania. Nie musiała też oglądać się przez ramię, po prostu dźgnęła włócznią za siebie, wbijając ją w napierśnik Gniewnego, jego klatkę piersiową i kręgosłup.

Miecz nowego boga uderzył na ziemię, on sam ze zwieszoną głową opadł na kolana. Atena wyłowiła jego broń z wody i podeszła do niego. Przysunęła mu egidę do twarzy. Nie miał wyboru. Musiał spojrzeć w oczy Meduzy.

Gniewny uniósł dłoń. Trzymał w niej coś ciemnego.

Zacisnął ją w pięść. Rozległ się metaliczny zgrzyt i zawór z tyłu zbiornika się otworzył. Z jego wnętrza zaczęły wylewać się cuchnące, oleiste chemikalia.

Wagon wydał z siebie głośny jęk i potoczył się do przodu. Wzbijał fale wody, sunąc po torach i pozostawiając za sobą szlak morskiego ognia.

Nowy Ares upuścił urządzenie i niezgrabnie wyciągnął zapalniczkę spod swojego pancerza.

W końcu jego palce skrzesały niewielki płomień. Warknął i cisnął nim w chemikalia. Linia biało-niebieskiego ognia rozbłysła, oświetlając wnętrze korytarza.

Powietrze otaczające Lore zamigotało i zaczęło parzyć. Zanim jeszcze wagon zniknął w tunelu połączonym z niezliczonymi innymi torami, zauważyła metalową osłonę termiczną umocowaną na jego tylnej ścianie, w miejscu, z którego wyciekały płonące chemikalia. Uniemożliwiała płomieniom dostanie się do wnętrza zbiornika i wywołanie eksplozji. Przynajmniej na razie.

Ogień płynął w jej kierunku, ale Lore nie była w stanie się poruszyć. Słowo, którego bała się przez całe życie, pojawiło w jej głowie. *Bezsilność*.

Tunel wypełniał dym, ale wciąż widziała Atenę unoszącą miecz Gniewnego.

– Ty! – sapnął, a krew pociekła mu po ustach. – Przegrałaś!

– A ty nie żyjesz – odpowiedziała bogini i z typową dla siebie zimną precyzją odcięła mu głowę.

Lore zamknęła oczy, chroniąc je przed otaczającym gorącem. Ktoś pociągnął ją

i agonalny ból przeszedł przez jej kręgosłup oraz nogi. Kiedy ponownie uniosła powieki, świat rozświetlał ogień. Dzięki niemu zobaczyła nad sobą Atenę.

Bogini nie wyglądała zbyt dobrze. Skórę miała wilgotną od potu, rozcięcie na szczęcie zaś zrobiło się czarne. Nawet blask w jej oczach przygasał.

Trucizna, pomyślała Lore.

Mimo to bogini nie uciekła. Odkasznęła nieprzyjemnie. Wilgotno. Sama wydawała się tym zaskoczona. Przycisnęła drżącą dłoń do piersi, choć krew kapła jej z oczu, nosa i ust.

– Powiedz mi, co mam robić – zażądała. – Powiedz mi... jak to... zatrzymać.

Ale Lore nie była w stanie mówić. Jej dusza zaczynała wyrywać się z ciała, a otaczający ją świat gasł.

Bogini po raz ostatni spojrzała na Lore. Zmarszczyła czoło i wstała. Dziewczyna była przekonana, że ucieka, że się ratuje, dlatego jęknęła niczym ranione zwierzę. Jej płuca rzęziły przy każdym oddechu.

Atena jednak po chwili wróciła, trzymając jeden ze sztyletów Gniewnego.

Po raz pierwszy na jej twarzy rozgrywała się opowieść. Emocje przebijały się na niewzruszoną zazwyczaj twarz. Gniew. Żal. Akceptacja.

Wsunęła rękę w dłoń Lore, ostrożnie zaciskając jej palce. Potem objęła je swoimi.

Oczy Lore rozszerzyły się, kiedy spojrzała na boginię. Jej ciało ogarnął strach. Przerazenie.

Ona nie... Atena n i g d y by tego nie zrobiła, a Lore, mimo swojej najgłębszej nienawiści do niej i desperackiej chęci ocalenia swoich bliskich, nigdy by na to nie pozwoliła. Nie chciała tego.

– Tak musi być – wychrypiała Atena. Jej ciało drżało, próbując zwalczyć działanie trucizny. – Ja... już przepadłam... Ty możesz narodzić się na nowo. Będziesz miała więcej czasu... Znów staniesz do walki... aż do końca. To... jedyny... logiczny wybór. Miasto... trzeba uratować.

Przysunęła ostrze do swojego serca. Dała Lore ostateczny wybór.

Nigdy nie będę wolna.

Lore zadrżała i zamknęła oczy. Szukała w sobie tej drobnej, pulsującej nadziei, którą nosiła niczym pochodnię rozświetlającą otaczające ją ciemności. Pragnęła dalej żyć i mocno o to walczyła. Była równie zdesperowana, co każdy jej kolejny oddech. Chciała płakać, jak nie płakała od czasów dzieciństwa. Chciała zobaczyć swoich rodziców.

Chciała wszystkiego, ale nigdy tego. Nigdy t e g o.

Urodziła się w klatce, a teraz w niej umrze – jeśli nie jej ciało, to na pewno dusza.

Ale miasto trzeba było uratować i to ona musiała to zrobić.

Pochwyciła spojrzenie Ateny i skinęła głową.

Spojrzenie, które bogini jej posłała, było ostre. Władcze.

– Prosto w serce.

Razem pchnęły sztylet do przodu. Zadały cios mocny i prawdziwy. Atena zadrżała, nie zamykając oczu. Błyszczały srebrem, kiedy coś zobaczyła. Coś poczuła. Coś nie do ogarnięcia rozumem.

To był cios godny wojownika.

Ostatni rachunek wystawiony bogu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY



ODDECH EKSPLODOWAŁ W PŁUCACH LORE, A JEJ KLATKA PIERSIOWA ROZSZERZYŁA SIĘ NIEPRZYJEMNIE. Mimo to po raz kolejny wciągnęła powietrze, próbując złagodzić palący ból wewnątrz. Jej serce przypominało grzmot. Próbowало wyrwać się z niej, przebić skórę.

I wtedy jej ciało wybuchło ogniem.

Burza światła zawirowała wokół niej i pochłonęła ją w swoje głębiny. Lore uniosła się nad wodą, a jej kończyny przecięły żyły błyskawic.

Śmiertelne szczątki Ateny obróciły się w popiół. Wyłoniła się z nich istota, która wznosząc się niczym jasność pojawiająca się nad uspioną krainą, wydawała się nie do opisanía. Stanowiła czystą, promienną moc.

Bogini po raz ostatni spojrzała na Lore i wyciągnęła rękę w stronę egidy. Między jednym uderzeniem serca a drugim obie znikły, pozostawiając po sobie iskry, które drżąc w ciemnościach, poszybowały ku ziemi.

Razem z nimi zniknął znany Lore świat.

Krzyknęła, kiedy ból powrócił. Moc falowała w niej, pożerając krew, mięśnie i kości. Wydrążała ją. Niszczyła każdy kawałek materii, jaka niegdyś w niej żyła.

Sekundy ciągnęły się, powoli odzyskując właściwe tempo. Lore czuła, jak stopniowo traci świadomość i zaczyna odpływać w sen. Błyskawica, ta nieokiełznana moc, szalała w jej wnętrzu, grożąc rozerwaniem jej śmiertelnego ciała.

Lore nie miała pojęcia, co jej pozostawi. Bała się, że nie będzie w stanie dogonić zbiornika z ogniem morskim, a co dopiero go zatrzymać.

– Muszę... – starała się przekrzyczeć wir chłostającego ją wiatru i dudniących wokół niej sił. – Muszę tu zostać... Potrzebuję więcej czasu... Muszę zostać!

Moc spłynęła jej wzdłuż kręgosłupa, kiedy ciało ponownie opadło do wrzącej wody. Lore się zawahała. W jej wnętrzu wciąż coś się miotalo, odbijając się od bariery, jaką stanowiła skóra.

Spojrzała na swoje dłonie. Pasma tej samej błyskawicy tańczyły wokół jej dłoni i knykci. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo miała przytłumione zmysły, dopóki nagle się nie obudziły. Powietrze sprawiało wrażenie żywej istoty. Miejscami chłodnej, gdzie indziej wilgotnej, wiecznie poruszającej się, ocierającej o nią.

Jej nogi jakby narodziły się do biegu. Eksplodowały z obcą jej siłą i szybkością.

Wagon metra wciąż sunął po torach, a za nim ciągnął się ogień. Płomienie wspinały się już po kamiennych ścianach, pożerały podpory i same tory.

Lore dogoniła go, zanim wpadł do tunelu prowadzącego pod stację Grand Central. Krzyknęła i stanęła przed nim, opierając dłonie na jego płaskiej ścianie. Wbiła stopy w podkłady kolejowe, starając się przeciwstawić pracującemu silnikowi.

Wagon zatrzeszczał i napiął się, wciąż pracując do przodu. Lore zacisnęła szczękę, wydając z siebie nierówny okrzyk, po czym uniosła prawą stopę na tyle wysoko, żeby uderzyć nią w prawe, a potem w lewe przednie koło. Wytrąciła je z szyn, a potem przechyliła pojazd do przodu, miażdżąc i składając metal jak papier. W końcu nie mógł się już poruszać.

Urwała pasy trzymające zbiornik, przyciągając do siebie jego masywną konstrukcję.

Syknęła, kiedy ogień morski polizał jej nogi i nagie ramiona, ale wytrzymała i w końcu zmiażdżyła zawór i zatrzymała upływ chemikaliów.

Potem przetoczyła pojemnik na stację, tak daleko, jak tylko zdołała. Wsunęła go do wody, która jeszcze się nie paliła.

Płomieni nie można było nią zgasić. Ojciec kiedyś opowiadał Lore o ogniu morskim i wspominał, że...

Może go pokonać jedynie piach. Żar zgaśnie z braku tlenu.

Dziewczyna odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na puste tory ciągnące się pod dworcem Grand Central i odległe perony, na które mogłaby się wdrapać, żeby wydostać się z płonącego piekła i odnaleźć przyjaciół.

Wciągnęła powietrze, opierając dłoń o ścianę tunelu.

Nigdy nie będę wolna. Ta myśl ją przeszła. *Nigdy nie będę wolna.*

Ale pozostali będą.

Rzuciła się na murowaną ścianę. Uderzała w nią raz za razem pięściami, aż wejście do tunelu zasypały popękane cegły i kamienie. Zapora z gruzów odcięła ją od stacji.

Ale i ogień stracił możliwość wydostania się na zewnątrz. Dopóki jednak miał dostęp do wody, nie przestawał płonąć, a rosnąca temperatura mogła doprowadzić do zawalenia się sufitu i ulicy powyżej. Lore musiała znaleźć sposób, żeby go zdusić. Pozbawić tlenu.

Wróciła tą samą drogą, którą przyszła. Gorąco gryzło ją ze wszystkich stron, ale nie zatrzymywała się, dopóki nie dobiegła do Toru sześćdziesiąt jeden. Cała stacja płonęła, pożar wydawał się nie mieć końca. Nie było też szans na spuszczenie wody z tunelu.

Nieprawda, uświadomiła sobie. *Jest szansa.*

Nie była bezsilna.

Wciągnęła do płuc płonące powietrze i powędrowała na sam środek stacji. Stękała, gdyż ogień morski pełzał po jej ubraniach i skórze. W końcu upadła na kolana i przycisnęła pięści do toru ukrytego pod płonącą powierzchnią.

Mogła posłać wodę wraz z ogniem w głąb ziemi, gdzie nie będzie niezbędnego mu do życia powietrza, a jedynie ciemność.

Błagam, pomyślała, zaciskając pięść. Elektryczna moc wciąż w niej rosła, tylko że tym razem nie opierała się jej.

Po prostu ją uwolniła.

Moc zgromadziła się w jej dłoni, mieniać się niczym płynne złoto. Z gardłowym krzykiem uderzyła nią o podłoże. Ziemia jęknęła i się rozstała. Pajęczyna pęknięć pod płonącą wodą zalsnęła złotem.

Lore zamknęła oczy i skupiła się na przepływającej przez nią energii. Na ciepło. Poczula, że zapada się coraz głębiej, gdyż moc wypala beton pod nią. Nie miała możliwości ucieczki. Wiedziała, że spadnie w ciemność poniżej i zgaśnie jak płomień. Sama. Tak bardzo sama...

– Zostańcie ze mną! – krzyknęła zduszonym głosem Lore, marząc o kolejnym oddechu czy choćby chwili ulgi. *Nie zostawiajcie mnie!*

Nie zostawili.

Poczula przy sobie obecność rodziny – ich kojący dotyk, musnięcie po policzku, rękę owijającą się dookoła niej. Do tego spojrzenie niewidocznych oczu.

Moc szalała w jej ciele, tak czysta jak ogniste serce świata. Tak stara jak Chaos i światy z niego zrodzone.

– Lore! – rozległ się na stacji głos Castora. – Lore!

Spojrzała w górę, szukając go poprzez dym. Stał przy windzie.

– Uciekaj stąd! – zawołała.

Poczuła swąd spalonych włosów i skóry. Uświadomiła sobie, że to jej ciało płonie. Pot spływał jej po twarzy, lecz uderzała raz za razem o ziemię, rozbijając twardą skałę w pył. Woda spływała w stale powiększające się szczeliny. Działo. Działo!

Na skraju pola widzenia dostrzegła Castora. Brnął do przodu, osłaniając twarz przed ogniem.

– Nie rób tego! – zawołał. – Musimy się stąd wydostać! Nic więcej nie zdołasz zrobić!
Zawsze mogła coś zrobić.

Iskry jej mocy wirowały wokół niej, wczepiając się we włosy i zmieniając jej skórę w błyszczący kosmos. Jej ramiona drżały z wysiłku, jaki stanowiła próba utrzymania świadomości. Dłonie wciąż płonęły złotem. W końcu uderzyła nimi po raz ostatni. Ukryty pod nią świat otworzył wreszcie swoje podwoje.

Ogień morski wlał się w szczelinę, wreszcie opuszczając stację. Znowu zaczęła rozbijać ścianę tunelu. Chciała pogrzebać ogień, lecz tunel trząsł się przy każdym uderzeniu, jak gdyby miał się zawalić.

Tylko jedna myśl krążyła jej po głowie. Musiała zdusić ogień... Ten jednak ją palił... Palił każdą część jej ciała.

Blask w jej dłoniach nasilił się, rozchodził się po jej ramionach, obmywając ją. W końcu nie mogła już stwierdzić, czy światło promieniujące wokół niej pochodzi z niej samej czy też z ognia.

– Stój! – Głos przerażonego Castora zdołał do niej dotrzeć. – Lore, stój!

Walczył z ukropem, tak odważny i lśniący. Jej wzrok powoli zasnuwała ciemność.

– Wystarczy! – dodał. – Jeśli ulica się zawali, zawali się też hotel!

– Ale ogień – wychrypiła.

– Wypalił się! – powiedział, chwytając ją w ramiona i próbując zmusić, żeby na niego spojrzała. Ściany przestały się trząść, a resztki wody z sykiem wlewały się do wyrąbanej przez nią szczeliny.

Ale Lore go nie słyszała. Powróciło to samo głębokie szarpnięcie mocy, które czuła wcześniej, grożące rozerwaniem jej ciała na strzępy. Biegące pod skórą żyły ponownie zalśniły złotem, wypalając ostatnie resztki śmiertelnej krwi. Czuła się równie niematerialna, co dym.

Castor mocno ją do siebie przytulił.

– Nie, zostań – błagał. – Zostań tutaj!

Jej moc pozostawiała ślady na jego skórze. To pobudziło ją do myślenia, wyrwało z bezdennego światła, w którym się rozpuszczała. *Krzywdzę go.*

Pocałował ją. Całował ją, aż ta gorejąca moc straciła władzę nad jej ciałem i umysłem. Jego dotyk uwiązał ją do tego świata. Trzymała się go wszystkim, co miała w sobie.

Otoczająca ich płonąca moc zgasła. Tylko on jeszcze wydawał się prawdziwy.

– Zostań – szepnął, odrywając usta od jej ust. – Nie odchodź beze mnie...

Miała pustkę w głowie. Z jej dawnego ciała nic już nie pozostało. I kiedy ciemność wreszcie po nią przyszła, nie wydawała się końcem, a zaledwie początkiem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY



KU SWOJEMU ZASKOCZENIU LORE OBUDZIŁA SIĘ W ŚWIECIE, KTÓRY – JAK SĄDZIŁA – zostawiła już za sobą.

Miasto śpiewało dla niej swoją starą pieśń, słabą, ale coraz głośniejszą i szybszą. Na drogach słychać było warkot dziesiątek silników samochodowych. Stanowił zapowiedź nadchodzących dni. Sprzęt budowlany już teraz łomotał i huczał, z wysiłkiem usuwając gruz, a ludzie krążyli ulicami i się śmiali. I tego właśnie śmiechu uczepliła się Lore. On odcisnął się na jej sercu, kiedy uniosła powieki.

Zaniepokojony Miles nie spuszczał z niej oczu. Trzymał w dłoniach jej dłoń, przygryzał wargę i starał się nie rozpłakać. Wyglądał, jakby jakimś cudem wziął prysznic albo przynajmniej starannie się wyszorował i ogolił.

– Twoje oczy – szepnął.

Zastanawiała się, co mu odpowiedzieć.

Teraz, kiedy wreszcie się obudziła, znów powróciło to niepokojące wrażenie. Zupełnie jakby moc poruszała się w niej, uwięziona i niespokojna. Ciało, które tak dobrze służyło jej przez te wszystkie lata, które wzmacniała, kochała i okaleczała, teraz wydawało jej się zbyt niematerialne. Rozejrzała się dookoła.

Znajdowała się we własnej sypialni.

Zaskoczyło ją to do tego stopnia, że niemalże się rozkleiła. Na wszelki wypadek odchrząknęła.

– Nie chciałam tego – powiedziała.

Posłał jej lekki uśmiech.

– Dlatego pewnie dobrze się stało...

Rozsunął zasłony w oknach, wpuszczając do środka złote, popołudniowe słońce. Lore poczuła, jak jego ciepło przenika ją niczym koc przesuwający się po skórze.

Nagle usiadła.

– Jaki dziś dzień?

– Sobota – odpowiedział Miles. – Spałaś, odkąd Castor cię uzdrowił.

Sobota. Na samą myśl o tym zalała ją fala paniki. Zostało już tylko parę godzin do końca Agonu.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała i rozejrzała się po pustym pokoju. Jej puls przyspieszył. – Nic im się nie stało? – dodała i przypomniała sobie, co wydarzyło się na stacji metra. – Czy Castor...

– Nic mu nie jest, wszyscy inni też mają się dobrze. To znaczy... dobrze w ten mętny, traumatyczny sposób będący wynikiem niepełnego przetworzenia tego, co się wydarzyło. Ale generalnie jest OK – powiedział Miles i potarł kark. – Parę minut temu poszli na dach, żeby się trochę dotlenić.

Zapadła przyjemna cisza. Lore wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze, ciesząc się tą czynnością. Jak łatwo jej poszło! Uświadomiła sobie, że wciąż trzyma Milesa za rękę. Nie puściła jej.

– Co się z tobą stanie, kiedy dzień dobiegnie końca? – szepnął – Teraz zamierzasz

zniknąć, a za siedem lat ukrywać się przed łowcami?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Ale... mam nadzieję, że to już koniec. Wszystkiego.

Nagle poczuła desperacką chęć spojrzenia na miasto. Powoli podniosła się z łóżka, puszczając dłoń Milesa, i podeszła do okna. Kiedy szła, moc poruszała się razem z nią, przepływała przez jej mięśnie, wiła się wokół stawów i ścięgien.

Miles stanął tuż obok.

– A co, jeśli Agon zabierze cię ze sobą i nie będziesz mogła wrócić? Atena wspominała, że bogowie żyją w innym świecie... Może tam właśnie trafisz?

– Tutaj jest mój dom – odpowiedziała. – Nawet jeśli stracę formę cielesną, znajdę sposób, żeby tu wrócić. Jestem zdeterminowana, a chyba wiesz, co to oznacza...

– Że robisz skupioną minę i walisz kogoś w nerkę? – zapytał.

– To również. – Lore zaśmiała się szczerze. Uświadomiła sobie, że Miles potrzebuje wsparcia. – Może będę musiała wyjechać na jakiś czas, ale nigdy cię nie porzucę. O ile będę miała na to wpływ.

– No dobrze, ale nie w tym rzecz – stwierdził. – Nie chcę, żebyś w ogóle wyjeżdżała.

Lore raz jeszcze spojrzała na ulicę poniżej. Przyglądała się, jak pierwsze promienie zachodzącego słońca zatapiają jej słodkie osiedle w idealnym świetle. Jakaś para szła z wózkiem i psem. Mężczyźni zaśmiali się, kiedy dziecko rzuciło na ziemię zabawkę w kształcie gwiazdki.

Miles zerknął ponownie na Lore, opierając czoło o ciepłe szkło.

– Wydajesz się trochę inna, ale jednocześnie taka sama. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Ja też nie – przyznała. – Ale czuję się... lekko.

Objęła Milesa ramieniem, on zrobił to samo.

– Wiesz, to miasto jest irytujące – powiedziała po chwili. – Ale irytujące na swój magiczny sposób.



Lore dołączyła wraz z Milesem do wypoczywających na dachu. Zachód słońca zaczął się na dobre, dając spektakularny pokaz różowego złota wymieszanego z fioletem.

Castor wziął od Milesa plastikowe torby z przekąskami. Kiedy spojrzał na Lore, dostrzegła w jego oczach troskę. Starał się ją jednak ukryć.

Iro i Van siedzieli na kocu rozłożonym na szorstkiej powierzchni dachu.

Lore ucieszyła się na ich widok, a jej radość była tak szczerą, że aż ją zaskoczyła. Oboje wymienili spojrzenia, jakby zastanawiali się, które z nich ma się odezwać jako pierwsze.

Nagle się zawstydziła – jakby to, co się stało i kim teraz jest, zrobiło z niej ducha, którego wszyscy widzieli, ale nikt nie chciał się do tego przyznać.

Nienawidziła swojej nieśmiałości.

– Rany, naprawdę musimy zainstalować tu basen lub urządzić ogród – stwierdziła, udając, że się rozgląda. – Po co komu, do diabła, wejście na dach, jeśli nie można powkurzać sąsiadów?

– Zgaduję, że chodzi o to, żeby nie naruszyć miejskich kodeksów budowlanych – oświadczył lekkim tonem Miles. – I żeby nie trzeba było płacić wysokiej grzywny.

– Nie masz znajomości we władzach miejskich? – zapytała. – Tylko to sobie wyobraź ... jakieś ładne światła, kilka niewielkich roślin tu i tam...

– Zabiłaś wszystkie rośliny, jakie kiedykolwiek ci przyniosłem – przypomniał. – A kiedy na ferie wiosenne pojechałem do domu, na Florydę, zabiłaś m o j e rośliny, bo zapomniałaś

o ich podlewaniu.

– Byłam zajęta – usprawiedliwiała się. – Wydawało mi się, że wszystko z nimi w porządku.

– Jak doszliśmy do tego tematu? – zapytał Castor, wyciągając niewielką paczkę precli i rzucając ją Vanowi.

– Skąd wiedziałeś, że czailem się na zawijaski? – powiedział i ją otworzył.

– Ponieważ przez ostatnie dni żywiliśmy się gorzej niż szczury w metrze, a dziś na śniadanie wciągnąłeś chrupki serowe – odparł Castor.

– Szczury w metrze od czasu do czasu załapują się na kawałek pizzy – zauważyła Lore.

– Czy możemy przestać rozmawiać o szczurach? – zapytał Van.

Przez jakiś czas krążyli wokół plastikowych toreb bądź wylegiwali się na ciepłym dachu. W końcu słońce schowało się za horyzontem.

Kiedy Miles referował najświeższe wiadomości, w tym opóźnienie rozpoczęcia roku szkolnego na Uniwersytecie Columbia, Lore spojrzała na Iro.

– Wszystko OK? – szepnęła.

Iro pokiwała głową. Lore nie dostrzegła u niej żadnego nowego siniaka czy zadrapania, co wydawało jej się niemożliwe, biorąc pod uwagę zadymę, do jakiej musiało dojść w hotelu. Najwyraźniej Castor zajął się wszystkimi, nie tylko Lore.

Odchyliła głowę do tyłu i skierowała wzrok ku niebu. Brak zwykłej łuny bijącej od miasta pomógł jej dostrzec pierwsze gwiazdy.

Panowie podeszli do krawędzi dachu. Castor wskazał pozostałym te same konstelacje, na które Lore zwróciła uwagę.

Jej ojciec przekazywał im wiedzę o gwiazdozbiorach, opowiadając kryjące się za nimi mity. Podobnie jak dawni herosi, wierzyła, że jeszcze większym zaszczytem niż zdobycie kleos było znalezienie się wśród gwiazd. Tyle że o tym decydowali bogowie.

Czasami Lore łapała się na szukaniu bliskich wśród nocnych światel. Kiedy ciążył jej żal, a tęsknota uniemożliwiała zaśnięcie, dla każdego członka swojej rodziny wymyślała nową konstelację.

Przycisnęła dłoń do klatki piersiowej, rozcierając ją. Wiedziała, że kiedyś znów ich zobaczy, ale jeszcze nie teraz. Przestała już liczyć, ile razy ograła śmierć. Teraz jednak osoba, która zniszczyła jej życie, podarowała jej kolejne.

Iro położyła się obok niej. Spojrzała w ciemne niebo. Lore odwróciła się w jej stronę.

– A co z twoim rodem? – zapytała. – Co wydarzyło się w hotelu?

– Wielu Odyseidów zostało rannych, ale przeżyją – odpowiedziała. – W walkach straciliśmy tylko jednego łowcę. Kiedy Kadmici odkryli zbiornik z ogniem morskim i uświadomili sobie, że zostali zamknięci, przestali się bronić. Pomogli nam nawet opanować pożar. W pewnym sensie wszystko to było strasznie dziwaczne...

– Odyseidzi mają szczęście, że ich prowadziłaś – stwierdziła Lore.

Iro pokręciła głową.

– Gdyby to było takie proste... Chciałabym nimi dowodzić, ale wciąż jakaś część mnie szepcze, że... jednak nie powinienam.

– Powinnaś.

Iro odetchnęła głęboko.

– Nie wiem, jak przekonać radę starszych, że musimy wymyślić sobie nową rolę do odegrania w świecie. Mam nadzieję, że mama mi w tym pomoże. Chce spotkać się z nami w Dolinie Loary. Razem będziemy walczyć o duszę Odyseidów.

– I super! – odparła Lore. – Naprawdę bardzo się cieszę, Iro. Nie wiem, czy w jakiś

sposób mogę wam pomóc, ale spróbuję.

Iro fuknęła cicho.

– Ty czegoś nie mogłabyś zrobić? – zakpiła.

– Choćby pokonać cię w sparingu.

– Właśnie! I nie zapominaj o tym! Niezależnie od tego, ile epok przeżyjesz.

– O ile dane mi będzie tak długo żyć – szepnęła Lore.

– Czy ty... – Iro nie wiedziała, jak zadać to pytanie. – Czy tego właśnie chcesz?

– Nie wiem, czego chcę i co naprawdę czuję. Chyba głównie smutek – powiedziała Lore.

– Choć może to nieodpowiednie słowo. Brakuje mi wszystkiego, choćby was, a przecież wciąż tu jestem. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że posiadanie mocy Ateny przysporzy mi tylko problemów. Niezależnie od tego, jak bardzo będę się starała, stracę część człowieczeństwa i być może trafię na tę samą destrukcyjną ścieżkę, na której znaleźli się starzy bogowie.

Lore nie chciała, żeby wieki stały się dla niej chwilami, a czas stracił znaczenie. Nie chciała decydować, kiedy i w jaki sposób wykorzystywać swoją moc. Wiedziała, że popełni błędy.

Nie chciała patrzeć, jak umierają jej przyjaciele.

– Nie wiemy, co się stanie, dopóki nie nadejdzie koniec Agonu – stwierdziła Iro, kiedy pozostali do nich podeszli. – Ale do tego czasu pozostaniemy tutaj razem. Ta noc należy do nas.

Lore skinęła głową, ale obie wiedziały, jak długo potrwa ta noc. Dla niej miała zakończyć się równo o północy.

Ściemniło się, a oni wciąż jedli i pili. Lore opowiedziała przyjaciółom, co wydarzyło się w tunelu i jak zachowała się Atena. Starła się odpowiadać na wszystkie ich pytania, choć sama miała ich coraz więcej.

Mijały godziny, a noc coraz bardziej przypominała sen. Beztroskie rozmowy i śmiechy, twarze oświetlone blaskiem świec. Lore przez cały czas obserwowała przyjaciół, bojąc się odwrócić wzrok, na wypadek gdyby przegapiła tę ostatnią sekundę życia, które tak bardzo kochała.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY



LORE POCZUŁA, KIEDY KSIĘŻYC ZBLIŻYŁ SIĘ DO SZCZYTU swojej wędrówki przez niebo.

Wysunęła się z wygodnego ciepła ramion Castora i usiadła. Dookoła spali jej przyjaciele, rozciągnięci pod gwiazdami. Van i Miles ze spleconymi dłońmi, Iro z miękkiem, zaspanym uśmiechem.

Lore sięgnęła po telefon, sprawdzając godzinę. 23.50.

Obiecała im, że przed północą zbudzą ich z Castorem. Kiedy jednak wyciągnęła rękę w stronę jego ramienia, wcale nie była do tego przekonania. W życiu zaliczyła już wiele pożegnań. Wszystkie bolesne i żadne na jej własnych warunkach.

Dlatego podniosła telefon Milesa, który położył tuż obok siebie, zrobiła głupią minę i pstryknęła sobie fotkę. Ustawiła mu je jako tło. Następnie, w szkicu e-maila, opisała mu, co powinien zrobić, aby zdobyć dostęp do konta bankowego, które Gil – to znaczy Hermes – zostawił jej w spadku. Wspomniała też, gdzie schowała klucze do skrzynki depozytowej zawierającej akt własności kamienicy.

– Z czego się śmiesz?

Castor drzemał przez ostatnią godzinę, ale i on wyczuł zmianę zachodzącą w świecie. Wstał i przeciągnął się, odchylając ramiona do tyłu. Poruszył rękami, jakby starał się zapamiętać to uczucie.

Lore przyłożyła palec do ust, uciszając go. Odłożyła telefon obok śpiącego Milesa. Sięgnęła po dłoń, którą podał jej Castor. Ze splecionymi palcami przeszli na drugą stronę dachu.

Spojrzała na ciemne miasto, wciąż pozbawione oślepiających świateł.

– Przypomniałem sobie.

Spojrzała na niego, czekając na szczegóły.

– Właściwie to wspomnienia przyszły do mnie we śnie – dodał. – Apollo pozwolił mi się zabić, ale nie umarł. Wstąpił.

Dokładnie tak, jak Atena.

– Czy tak zawsze było? – zapytała Lore. – Musieli dobrowolnie oddać swoje życie innemu człowiekowi?

– Myślę, że chodzi o coś więcej. Pamiętasz, co powiedział Bachant? – zapytał Castor. – Że nawet Apollo wiedział, że to się nigdy nie skończy. Że to wszystko... Agon, zabijanie... nie ma najmniejszego sensu. Apollo był tego świadomy. I to go niszczyło. Wyczuł we mnie chorobę i wpadł we wściekłość. Biegał po pokoju i dewastował wszystko, co wpadło mu w ręce. Sądziłem, że to ze złości, bo odważyłem się spojrzeć mu w oczy... Albo że łowcy byli na jego tropie... Teraz myślę, że przyczyna była zupełnie inna...

Castor po raz kolejny odetchnął.

– Nagle znieruchomiał. Najpierw szalał, a potem... stanął w miejscu. Myślał. Wyciągnął ostrze z pochwy i podszedł do mnie.

– Bałeś się? – szepnęła Lore.

Castor pokręcił głową.

– Nie. Dostrzegłem coś w jego twarzy. Jakby skupienie. Zapytał mnie, czy chcę żyć.

Odpowiedziałem, że nie boję się umrzeć. Już nie. Stwierdził wówczas: „Jeśli zwykły chłopiec się nie boi, to dorównam mu w odwadze”. Nie mogłem wyrwać się z jego uścisku. Powiedział: „Nie robię tego z bezsilności. Mam powód” i pomógł mi wbić ostrze w swoje serce.

Lore przez chwilę milczała.

– Dlaczego po prostu cię nie uzdrowił? Miał tę możliwość, prawda?

– Nie wiem – odpowiedział Castor. – Agon zbliżał się już ku końcowi. Lada chwila Apollo odzyskałby pełnię swoich mocy. Teraz myślę, że chciał się uwolnić. Uciec przed niekończącym się bólem, przemocą i stratą. Tak jak my...

– I załatwił to w jedyny sposób, jaki znał – stwierdziła. – Pozwalając ci się zabić.

Skinął głową.

– Nie wiem, czy była to prawdziwa ofiara, bo przecież złożył ją dla siebie. Może starzy bogowie mieli przypomnieć sobie prawdziwy cel swojego istnienia, a mogli to zrobić jedynie poprzez rezygnację z mocy, której tak desperacko pragnęli.

Wyrwało jej się ciche westchnienie.

Lore zastanawiała się, gdzie bogowie się podziiali. Czy byli wolni, czy też stali się więźniami mrocznego, podziemnego świata?

Jej dłonie chwyciły rękę Castora. Potrzebowały jego dotyku.

– Jak myślisz, czy będziemy czuć się jak na stacji? Odejście będzie nas bolało?

– Nie mam pojęcia – przyznał, odgarniając włosy z czoła. – Nawet nie wiem, co się wydarzy.

Sekundy mijały zbyt szybko. Lore ścisnęła dłoń Castora. Serce waliło jej w piersi i zastanawiała się, co by było, gdyby nie mogła już jej poczuć.

Podniosła się na palcach i ujęła jego twarz w dłonie. Pocałowała go, zanim było za późno.

– Boisz się? – szepnął.

Potrząsnęła głową.

– Tylko... martwię się o pozostałych.

Ale dręczyło ją coś jeszcze. *W ogóle nie chcę odchodzić.*

– Gdybyś mógł wybrać – zaczęła Lore – wiedząc to, co już wiesz... Chciałbyś zachować swoją moc?

Zastanowił się nad jej pytaniem, przesuwając dłoń po jej szczęcie.

– Nie. Nigdy nie marzyłem o nieśmiertelności. Chciałem jedynie nieco dłużej żyć. Godzinę. Dzień. Chciałem zmagać się z tatą, szkolić na uzdrowiciela, biegać z tobą po mieście...

Lore zamknęła oczy, koncentrując się na jego bliskości i brzmieniu jego głosu.

– W tym tygodniu moc jednak przydała mi się, i to bez względu na to, co wcześniej o niej sądziłem – stwierdził. – Wciąż czuję się tak, jak wtedy, kiedy byłem jeszcze chłopcem. Nadal jestem wdzięczny za te dni, kiedy czuję się silny. Także za każdą chwilę, którą spędziłem z tobą.

Objęła go w pasie, więc oparł policzek o jej głowę.

Nie chcę stąd odchodzić, pomyślała. Nie chcę tego stracić, nawet na chwilę.

Nie pragnęła wieczności. Chciała jedynie tulić się do Castora. Wiedzieć, że ich przyjaciele są tuż obok, zdrowi i bezpieczni. Chciała słyszeć coraz bardziej stabilny puls miasta.

– Proszę – szepnęła Lore do samego Gromowładnego i każdego, kto ją słyszał. – Dajcie nam wybór. Niech to się wreszcie skończy.

Jakby w odpowiedzi, powietrze wokół nich zawirowało. Poczuła ładunek rozchodzący się w szaleńczym tańcu po jej zmysłach. Za nimi czuła obecność, ścianę ogromnego, mrocznego napięcia. Ale nie odwróciła się, żeby stawić mu czoła.

– Proszę – szepnęła, powtarzając desperacką modlitwę. – Puśćcie nas.

Zwolnijcie nas.

Wiatr wzmógł się, mierzwiąc jej włosy. Śpiewał starożytną pieśń, a wszystko, co widział, niósł przez lądy, morza i stulecia. Kiedy przeszedł przez nią, gwałtownie odetchnęła. Poczuła ciepło rozlewające się po jej duszy. Mocniej przytuliła Castora, ale nie poczuła bólu. Pomimo zamkniętych oczu widziała przed sobą światło.

Ucisk osłabł, kiedy mieniająca się w niej moc wyrwała się z jej ciała niczym rozwijająca się nić. To uczucie po chwili zniknęło i odetchnęła z ulgą. Powietrze uspokoiło się i odgłosy miasta powróciły.

Uniosła powieki.

– Cas?

Spojrzał na nią. Przez moment wpatrywała się w niego w zdumieniu. Znow miał ciemne oczy, bez choćby śladu iskier mocy.

Były to oczy, które widywała codziennie jako dziecko. Oczy, które kochała.

Jego śmiertelne ciało stało tuż obok niej. Serce biło mu szaleńczo w piersi. Poczuła radość.

Dziękuję, pomyślała. Bardzo dziękuję!

Castor zaśmiał się miękkim, radosnym głosem. Dotykał jej ramion, włosów, twarzy, jakby chciał się upewnić, że już nie śni.

Gdy zaczął się ósmy dzień, Lore uśmiechnęła się i pocałowała Castora.

BOHATEROWIE POWIEŚCI

BOGOWIE

NIEŻYJĄCY NA POCZĄTKU AGONU:

Afrodyta – bogini piękna, prokreacji, przyjemności i miłości

Ares – bóg wojny, męstwa, brutalności i okrucieństwa

Dionizos – bóg świąt, religijnej ekstazy, dzikiej natury, teatru, wina i roślinności

Hefajstos (*moc usunięta z Agonu*) – bóg ognia, kowali oraz kamienia i metalu

Posejdon – bóg morza, powodzi, suszy, koni i trzęsień ziemi

ŻYJĄCY NA POCZĄTKU AGONU:

Artemida – bogini dziczy, polowania, dzikich zwierząt, rodzących kobiet i młodych dziewcząt

Atena – bogini mądrości, rzemiosła i strategii wojennej, obrończyni miast

Hermes – bóg pasterzy, złodziei, kupców, podróżników i przekonującej wymowy, przewodnik zmarłych i posłaniec bogów

STATUS NIEZNANY NA POCZĄTKU AGONU:

Apollo – bóg prorocत्व, pieśni, poezji, łucznictwa, uzdrawiania i światła, a także zarazy i choroby

OBECNI NOWI BOGOWIE

Strażnik Serc, posiadający moc Afrodyty

Bachant, posiadający moc Dionizosa

Dawczyni Przyływów, posiadająca moc Posejdona

Gniewny, posiadający moc Aresa

DOM PERSEUSZA,

ZAŁOŻYCIELA MYKEN

I POGROMCY MEDUZY

Rhea Perseous – śmiertelna kobieta, która została Dawczynią Przyływów – nowym Posejdonem; daleka krewna Lore

Demos Perseous – ojciec Lore i archont Perseidów; zamordowany tuż po poprzednim Agonie

Helena Perseous – matka Lore; urodzona w Domu Odyseusza; zamordowana tuż po poprzednim Agonie

Melora Perseous – znana również jako Lore; ostatnia żyjąca śmiertelniczka z Domu Perseusza

Olympia Perseous – siostra Lore; zamordowana tuż po poprzednim Agonie

Damara Perseous – siostra Lore; zamordowana tuż po poprzednim Agonie

DOM ACHILLESA, BOHATERA WOJNY TROJAŃSKIEJ

Philip Achilleos – archont Achillesydów; daleki krewny Castora i Evandera

Acantha Achilleos – dawna lwica; żona Philipa

uzdrowicielka Kallias – była nauczycielka Castora

Cleon Achilleos – ojciec Castora; zmarły

Phaedra Achilleos – matka Castora; zabita podczas jednego z Agonów
Castor Achilleos – najbliższy przyjaciel Lore z dzieciństwa i jej dawny partner treningowy

Evander Achilleos – kuzyn Castora; posłaniec Achillesydów
Orestes Achilleos – uczeń z grupy szkoleniowej Lore i Castora
DOM KADMOSA,
ZAŁOŻYCIELA TEB
I POGROMCY SMOKA

Aristos Kadmou – były archont Kadmitów, który stał się Gniewnym – nowym Aresem
Belen Kadmou – syn Aristosa z nieprawego łoża
DOM ODYSEUSZA,
PODSTĘPNego KRÓLA ITAKI

Iolas Odysseos – ojciec Iro i były archont Odyseidów, który został **Strażnikiem Serc** – nową Afrodytą; wówczas pozycja archonta trafiła do jego dalekiego męskiego krewnego

Dorcas Odysseos – matka Iro, która w tajemniczy sposób zniknęła; w przeszłości bliska przyjaciółka matki Lore

Iro Odysseos – przyjaciółka i była partnerka treningowa Lore
DOM HERAKLESA,
BOHATERA DWUNASTU PRAC

Iason Herakliou – został Bachantem, nowym Dionizosem, i zamordował resztę swojego rodu
POZOSTAŁE DOMY

Dom Bellerofonta, pogromcy Chimery, dosiadającego Pegaza (wymarły ród)
Dom Jazona, przywódcy Argonautów, który zdobył złote runo (wymarły ród)
Dom Meleagera, księcia kalidońskiego i zabójcy dzika kalidońskiego (wymarły ród)
Dom Tezeusza, króla Aten i pogromcy Minotaura

PODZIĘKOWANIA

MITOLOGIE GRECKĄ POZNAŁAM DZIĘKI PODNISZCZONEMU EGZEMPLARZOWI *Mitów greckich* autorstwa D'Aulaires, który razem z rodzeństwem odziedziczyłam po mamie, chcącej zapoznać nas z naszym greckim dziedzictwem. Zostałam pobłogosławiona wielką grecką rodziną, która jest wszystkim tym, czym nie są łowcy w mojej książce – a więc grupą kochających się, wspierających, niesamowicie zabawnych ludzi, zawsze gotowych na snucie rodzinnych legend. Chciałabym zacząć od podziękowania im wszystkim.

Za obecność języka greckiego w tej książce wdzięczna jestem nie tylko mojej rodzinie, ale także Brendonowi Zatirce i Kiki Hatzopoulou, którzy dwukrotnie sprawdzili grecką pisownię oraz wcielili się we wszechstronnych herosów najwyższej klasy, gotowych odpowiedzieć na wszelkie moje pytania. Razem z Kataliną Edwards i Joelem Christensenem byli na tyle uprzejmi, żeby również przeanalizować transliteracje z oryginalnej greki i omówić różne sposoby zapisywania nazw poszczególnych rodów (jeśli mówisz jakąkolwiek wersją tego języka, możesz zauważyć, że skłaniałam się ku używaniu zromanizowanych nazw ze względu na ich przejrzystość, ale starałam się zachować namiastkę „czystości” językowej greki, na ile to było możliwe).

Książka sporo też skorzystała dzięki publikacjom Mary Beard i Christine Downing. Obie pomogły mi dopracować moje spojrzenie na Atenę oraz niektóre mity wspomniane w tej historii. Przydały mi się również tłumaczenia Richmonda Lattimore'a, Emily Wilson, Samuela Butlera, Roberta Faglesa i Hugh'a G. Evelyn-White'a. Wielbiciele mitologii greckiej zauważą, że podjęłam parę decyzji dotyczących tego, które wersje mitów wykorzystać (na przykład, że egida jest tarczą, a nie rodzajem pancerza) – uwierzcie mi, kiedy mówię, że wszystkie te decyzje były trudne i ostatecznie zostały podjęte, aby pomóc opowiedzieć tę historię.

Lore i ja miałyśmy szczęście, że nad tą książką pracowało kilku wybitnych redaktorów. Dziękuję Laurze Schreiber, Hannah Allaman, Marissie Grossman i Rachel Stark za pomoc w ustaleniu, jak najlepiej przedstawić tę opowieść. Chciałabym również szczególnie podziękować Kieran Violi za całą jej pracę.

Pragnę wyrazić wdzięczność Ashilowi Lee za wspaniałe i szczegółowe komentarze, które pomogły mi spojrzeć na tę historię z większą wrażliwością i dostrzec jej niuanse. Znacznie wzbogaciły moje rozumienie pewnych spraw.

Emily Meehan, Seale Ballenger, Melissa Lee, Augusta Harris, Dina Sherman, LaToya Maitland, Holly Nagel, Elke Villa, Andrew Sansone, Sean Weigold, Jennifer Chan, Guy Cunningham, Meredith Jones, Dan Kaufman, Sara Liebling, Shane Jacobson, Alexandra Sheckler, Kim Greenberg i cały zespół sprzedaży – dziękuję wam za waszą ciężką pracę i starania, żeby zapewnić książkom najlepsze możliwe życie. Marci Senders, ta okładka jest piękna. Wręcz nie do opisania! Chciałabym również podziękować studiu graficznemu Billelis za wpadającą w oko (żart!) ilustrację okładkową oraz Keithowi Robinsonowi za wspaniałe grafiki wykorzystane wewnątrz.

Wielkie dzięki dla Merrilee Heifetz za bycie po mojej stronie oraz Rebecce Eskildsen i zespołowi ds. praw zagranicznych w Writers House za pomoc w znalezieniu czytelników na całym świecie.

Nie potrafię opisać, jak bardzo jestem wdzięczna mojej niesamowitej przyjaciółce Annie Jarzab za wiarę w tę historię i pomoc w zorganizowaniu burzy mózgów. Dziękuję Susan Dennard za to, że zawsze służyła mi szczerą opinią, a była przy tym bezgranicznie wyrozumiała. Na koniec dziękuję Erin Bowman, Leigh Bardugo, Victorii Aveyard i Amie Kaufman za bycie

chórem wspierających mnie głosów!

¹ Ichor – eteryczna ciecz płynąca zamiast krwi w żyłach bogów.

² Areté – z greckiego „cnota”.

³ Timé – z greckiego „czas”.

⁴ Kleos – z greckiego „sława”, „chwała”.

⁵ Chiton – lniana lub wełniana szata noszona w starożytnej Grecji, rodzaj tuniki o krótkich rękawach.

⁶ Peplos – podłużna wierzchnia szata kobieca, wykonana z prostokątnego płata tkaniny.

⁷ Patér – z greckiego „ojciec”.

⁸ Agogé – program treningowy, któremu poddawani byli mali spartanie.

⁹ Agelé – z greckiego „stado, grupa”.

¹⁰ Hetaîros – z greckiego „towarzysz, partner, przyjaciel”.

¹¹ Parthénoi – z greckiego „młoda, niezamężna kobieta, dziewczica”.

¹² Melitta – z greckiego „pszczoła”.

¹³ Chrysaphenia mou – z greckiego „moje złotko”.

¹⁴ Kohl – arabski kosmetyk, rodzaj czarnego proszku do malowania oczu.

¹⁵ Léaina – z greckiego „lwica”.